

ANNA
GRĘDA

OGAR BOGA

TEORIA HYBRYDY

UPADŁAM, ALE POWRÓCIŁAM,
ABY DOKONAĆ ZEMSTY NA
SWOICH OPRAWCACH



Anna Gręda

Ogar Boga. Teoria hybrydy

© Anna Gręda, 2016

© "GRAFI" Anna Gręda, projekt okładki, 2016

Kira Santiago, dotychczas najpotężniejsza i najniebezpieczniejsza istota w okolicy, nagle zostaje porwana, a sprawa nowonarodzonych wampirów wciąż nie zostaje wyjaśniona. Towarzysze łowczyni robią wszystko, co tylko w ich mocy, żeby odnaleźć Kirę na czas. W mieście pojawiają się nowi intruzi, mnoży się coraz więcej tajemnic i pytań, na które nikt nie zna odpowiedzi, a na dodatek nad wszystkimi wisi widmo nadchodzącej wojny.

ISBN 978-83-8104-439-4

Książka powstała w inteligentnym systemie wydawniczym Ridero

Spis treści

Ogar Boga. Teoria hybrydy

KSIĘGA I NÓW Rozdział I ~ KIRA ~ ~ AMELIA ~ Rozdział II ~
FREDERIC ~ ~ KIRA ~ Rozdział III ~ AMELIA ~ ~ KIRA ~ Rozdział IV ~
KIRA ~ ~ SOREN ~ ~ KIRA ~ Rozdział V ~ KIRA ~

KSIĘGA II PEŁNIA Rozdział VI ~ KIRA ~ ~ SOREN ~ ~ KIRA ~
Rozdział VII ~ KIRA ~ ~ SOREN ~ Rozdział VIII ~ KIRA ~ Rozdział IX ~
KIRA ~ ~ SOREN ~ Rozdział X ~ KIRA ~ L I A R Rozdział XI ~ KIRA ~
Rozdział XII ~ FREDERIC ~ ~ KIRA ~ Rozdział XIII ~ KIRA ~ Rozdział XIV ~
KIRA ~ Rozdział XV ~ KIRA ~ Rozdział XVI ~ KIRA ~ ~ SONYA ~
Rozdział XVII ~ AMELIA ~ ~ KIRA ~

KSIĘGA III ZACMIENIE Rozdział XVIII ~ KIRA ~ Rozdział XIX ~
FLESH ~ ~ KIRA ~ Rozdział XX ~ SONYA ~ ~ SOREN ~ ~ KIRA ~
Rozdział XXI ~ KIRA ~ Rozdział XXII ~ KIRA ~ ~ FLESH ~ Rozdział XXIII ~
KIRA ~ Rozdział XXIV ~ KIRA ~ Rozdział XXV ~ KIRA ~ Epilog ~ KIRA ~

KSIĘGA I
NÓW

Rozdział I

~ KIRA ~

Obudziłam się z niemiłosiernym bólem głowy niczym po ciężkiej nocy spędzonej jedynie na picciu coraz to kolejnych drinków na czas razem z Fredericem po sukcesywnym polowaniu na mieście. Tylko on potrafił mnie upić aż do nieprzytomności (co wcale nie było takie łatwe z moim metabolizmem), podarowując mi z rana pięknego, niezwykle uciążliwego kaca. Zamrugałam, żeby widzieć wyraźniej, ale niewiele mi to pomogło — nadal wszystko było rozmazane, a mnie dręczyły mocne zawroty głowy.

Zakłęłam w duchu, próbując wyprostować nogi dotychczas podkurczone pod siebie. Na nagich łydkach i udach zobaczyłam niewielkie siniaki, jednak już w trakcie stopniowego gojenia. Mglistie przypominałam sobie skrzynię wraz z którą wieziono mnie w bagażniku nieoznakowanej półciężarówki. Pewnie to właśnie o nią się poobijałam, gdy leżałam w środku w kompletnej ciemności i całkowicie nieprzytomna.

Zlustrowałam na w półprzytomnym wzrokiem swoją celę. Betonowe ściany wyznaczały przestrzeń niewiele ponad szesnastu metrów kwadratowych. Ziemia pod moim ciałem była zimna i zamarznęta, a przez kraty nad głową sączyło się słabe światło oraz spadały niewielkie płatki śniegu, wirując w delikatnym powietrznym tańcu. Przyjrzałam się szaremu kawałkowi nieba widocznemu z dołu, a potem szarpnęłam się ostro, aby się podnieść. Ze złością spojrzałam na krótkie, srebrne łańcuchy i obręcze otaczające moje nadgarstki oraz kostki u nóg uniemożliwiające mi wstanie. Każda z obręczy miała kolce po wewnętrznej stronie, które przy gwałtowniejszych ruchach naruszały skórę i wbijały się w ciało. Ledwie mogłam się ruszać, nie mogłam się także przemienić, aby nie wyrządzić sobie poważnej krzywdy.

Spomiędzy moich ust wyrwało się gniewne mruczenie. Banshee przebudziła się w mojej podświadomości, nieco rozjaśniając tym mój zamroczony umysł. Skupiłam się na wszelkich bodźcach w tej podziemnej celi, dzięki czemu do moich uszu dotarł wyraźnie szum wiatru, delikatna skóra wyczuła dotyk każdego płatka śniegu, a nos wywęchał trzy obce zapachy... i tylko dwa z nich były ludzkie. A moich porywaczy było dwóch i jestem pewna, że byli ludźmi.

Powoli obróciłam głowę, rozglądając się drapieżnie po kątach napełnionych mrokiem. Po drugiej stronie więzienia, ciasno wciśniętą przy ścianie, dojrzałam skuloną sylwetkę i poczułam wzrok wpatrujących się we mnie uważnie oczu. Znieruchomiałam nienaturalnie, wgapiając się w intruza złotym spojrzeniem mojego wilka.

Świadomość mojej aktualnej bezbronności sprawiła, że zacisnęłam palce

w pięści. Jednak w cieniu nie tkwił wilkołak, wampir czy inna istota, której się spodziewałam i która mogłaby mi zaszkodzić. Z lekkim niedowierzaniem przyglądałam się jak w zasięgu światła najpierw pojawia się blada, szczupła dłoń o długich palcach, cała ubabrana w ziemi i krwi, a potem smukłe ramię, łabędzia szyja i w końcu ładna, pociągła twarz. Para nienaturalnie jasnych, błękitnych oczu patrzyła na mnie spokojnie, bez jakiegokolwiek strachu.

— Nareszcie się obudziłaś — stwierdziła dziewczyna.

Jej głos był nieprzyjemnie ochryply i cichy, zupełnie jakby była chora lub jej gardło zdarło się od ciągłego krzyku. Podniosła zakrwawioną dłoń do twarzy i odgarnęła na bok kilka ciemnych kosmyków prostych, splątanych włosów.

— Jak długo byłam nieprzytomna? — zapytałam, nie wykonując żadnego ruchu.

— Kilka godzin. Chyba — odparła dziewczyna, wzruszając lekko ramionami. — Wybacz, ale już dawno straciłam tutaj rachubę czasu. Siedząc w tej celi samemu, po jakimś czasie przestajesz liczyć minuty, godziny, a nawet dni.

Mój wzrok przesunął się po jej bladej cerze niemal równie białej co śnieg, a także uformowanych na niej soczystym, krwawym siniakom. Spod gęstych rzęs spoglądały jasne oczy, równie zrezygnowane co i chłodne. Obojętne. Dziewczyna miała, sugerując się wyglądem, około dwudziestu lat, lecz jej oczy gwałtownie temu zaprzeczały — były o wiele starsze niż sugerowała uroda ich właścicielki. W zapachu nieznanym, oprócz woni ziemi i śniegu, wyczułam także słodką nutę magii, która była tak odmienna od innych z którymi dotychczas się zetknęłam, że natychmiast zmrużyłam powieki.

— Kim jesteś?

Przyjrzała mi się krótko i odwróciła wzrok.

— Więdnem, tak samo jak i ty — odparła.

Jej mina wyraźnie mówiła, że nie chciała powiedzieć nic więcej, więc nie naciskałam. Oparłam się o ścianę, oglądając gojące się szybko siniaki. Po kilku minutach moja skóra wróciła do zdrowego stanu.

— Spałaś dość długo — powiedziała cicho nastolatka, wpatrując się nieruchomo w bok. — Przywieźli cię tutaj rano, całkowicie nieprzytomną. Uwięzili cię i odeszli. Bali się, że się obudzisz, zanim znajdą się dostatecznie daleko.

Dwa ludzkie głosy w mojej głowie przywołały wspomnienia — spotkania na tyłach baru, potem środka usypiającego w strzałce wpływającego prosto do moich żył, utratę kontroli nad własnym ciałem, a potem porwanie. A także uśmiech Quentina obserwującego to wszystko z zadowoleniem i widoczną satysfakcją. Warknęłam gardłowo pod nosem. *Podstępny sukinsyn.*

Sam fakt, że tak łatwo dałam się zaskoczyć, wywoływał gniew. Dałam się podejść niczym niedoświadczony szczeniak, całkowicie straciłam czujność. Odgarnęłam do tyłu kosmyki jasnych włosów, krzywiąc się, gdy poczułam na

kończynach ciężar swoich kajdan. Spojrzałam mimowolnie na ręce mojej towarzyszki — one także były uwięzione.

— Jak masz na imię? — zapytałam.

Zanim zdołała odpowiedzieć, nad naszymi głowami rozległy się szybkie kroki. Skrzypiący śnieg zaalarmował dziewczynę. Natychmiast cofnęła się do cienia, skrywając w nim całą swoją sylwetkę. W jej oczach błysnęło coś, co kazało mi mieć się na baczności.

Pomiędzy kratami, niecałe cztery metry nad moją głową, pojawiła się ludzka sylwetka okuta w grube, zimowe ubranie. Mężczyzna uśmiechnął się do mnie, pokazując pożółkłe zęby.

— Kici, kici — zanucił oślizgłym głosem, donośnie stukając czymś w kraty.

Warknęłam donośnie, szczerząc wilcze kły. Człowiek drgnął, ale zaraz odzyskał pewność siebie, uświadamiając sobie w pełni, że przecież jestem uwięziona. Wcisnął rękę między pręty i coś nam rzucił. Nie odsunęłam się, chociaż kazał mi to mój instynkt. Na środku celi wylądowała plastikowa butelka wody, a także dwa niemal zamarzniete na kość kawałki surowego mięsa. Obserwowałam intruza złym spojrzeniem, póki bez słowa zniknął z widoku. Jego kroki stopniowo się oddalały, aż całkowicie umilkły.

Moje podniebienie było suche po działaniu środka usypiającego, a żołądek napełniony ostatnio na polowaniu podczas pełni, teraz zaburczał w proteście, więc spojrzałam podejrzliwie w kierunku danego pożywienia. Dziewczyna siedziała jeszcze chwilę w cieniu, a potem ponownie pokazała w świetle swoją pobitą twarz.

— Zawsze to robią — powiedziała pod nosem, wzdrygając się na dźwięk swojego zdartego głosu. — Rzucają jedzenie poza zasięg naszych łańcuchów — wyjaśniła tym samym chrapliwym tonem, gdy tylko przyglądałam się jej w milczeniu.

Bez słowa podczołgałam się na kolanach jak najdalej i wyciągnęłam ramię do przodu, jednak łańcuch i tak skończył się zaledwie w połowie drogi. Zakląłam siarczyście pod nosem. Moja głowa w jednej chwili zmieniła się w ogromny, wilczy łeb. Ludzka szyja ledwie pozwalała mi na utrzymanie łba w powietrzu, jednak wystarczyło tylko kilka sekund — wydłużona szczeka mi pomogła, tak jak to planowałam. Chwyciłam kraniec jednego kawałka mięsa i rzuciłam do tyłu, by był w zasięgu moich dłoni. Oblizalam zwierzęce wargi, przesuwając językiem po drapieżnych, ostrych zębach. Dziewczyna patrzyła na mnie rozszerzonymi oczyma, jednak tylko w połowie ze strachu. Na jej twarzy, oprócz przerażenia, malowało się także wyraźne zdumienie.

Cofnęłam się do tyłu, gotowa rzucić się na kolejny kawałek mięsa — nie wiedziałam, czy moja towarzyszka dałaby radę po niego sięgnąć. Dziewczyna, zupełnie jakby czytała w moim myślach, przesunęła się do przodu, ciągnąc za sobą łańcuchy. Z cienia coś się wynurzyło i sprawnie, niewiarygodnie szybko złapało

butelkę z wodą w swoje objęcia. Przyjrzałam się temu dokładniej, marszcząc lekko nos. To był gruby, czarny ogon, podobny do ogona wielkiego kota. Stek upadł na tyle blisko, by nieznajoma mogła wyciągnąć po niego dłoń. Jej paznokcie w jednym momencie zmieniły się w zakrzywione pazury, które wprawnie, niczym duże haczyki, wbiły się głęboko w zamrożone mięso. Pociągnęła je w swoim kierunku.

— Czym ty jesteś? — zapytałam cicho, wpatrując się w nią wzrokiem wilka.

Zerknęła na mnie krótko. Odkręciła butelkę i wypila połowę wody na jednym wdechu, płucząc gardło. Oblizwała wargi i zgrabnie rzuciła mi resztę wody. Złapałam ją jedną dłonią jeszcze w powietrzu. Uśmiechnęła się delikatnie pod nosem.

— Tak jak zapytałaś wcześniej, mam na imię Sonya — zamruczała niższym, nieswoim głosem, nadal jednak młodym i delikatnym. — A czym jestem? — Lekko wyduła wargi w zamyśleniu. — Zdaje się, że czymś bardzo podobnym do ciebie.

~ AMELIA ~

Flesh chodził niespokojnie po salonie, niemal wydeptując ścieżkę w podłodze. Wpatrywałam się w niewidzialny punkt przed sobą, co chwila zerkając na niego z kanapy. Silvyr oraz Frederic stali w przejściu na korytarz i rozmawiali ze sobą tak cicho, że nawet mój słuch ledwie wyłapywał strzępki słów. Charlotta, najspokojniejsza z całego zebranego towarzystwa, krzątała się w kuchni. Słyszałam stąd szum czajnika i postukiwanie przekładanych naczyń.

Zaczęłam delikatnie obgryzać czubkami zębów krótko przycięte paznokcie.

— Możesz wreszcie przestać? — warknęłam w końcu, unosząc wzrok prosto na demona, nie panując już nad wzbierającą irytacją. — Wszyscy się denerwujemy, ale mam już dosyć słuchania w kółko twoich kroków!

Silvyr uśmiechnął się lekko pod nosem, przyglądając się mojej minie. Flesh za to przystanął pośrodku salonu i obrócił głowę w moim kierunku. Jego twarz była pochmurna, a oczy przerażająco zimne. Zignorowałam dreszcz przebiegający po plecach i jak gdyby nigdy nic dalej zajmowałam się swoimi paznokciami. Demon nie podjął ponownie nerwowego spaceru, za to usiadł na fotelu, wznosząc oczy ku sufitowi.

Był wytrącony z równowagi od samego rana. Wrócił wcześniej rano, uprzedzając mnie i Silvyra czekających w domu, że Kira dostała niespodziewaną wiadomość i musiała spotkać się z kimś na mieście. Zamiast piętnaście minut później, tak jak obiecała, nie wróciła w ogóle.

Charlotta weszła do salonu, przeciskając się między Fredericem i Silvyrem. Niosła w rękach tacę z gorącą herbatą, kołysząc przy tym biodrami. Zdawało się, że od czasu zniknięcia Kiry jej niebieskie włosy nabrały innego, nieco

ciemniejszego odcienia. Postawiła tacę na blacie stolika z takim hukiem, że niemal wszyscy podskoczyli nerwowo. Tylko Flesh ani drgnął. Wróżka wyprostowała się z niespotykanie spokojną miną, a potem zwróciła pociemniałe spojrzenie na nas wszystkich po kolei.

— Wszyscy musimy się uspokoić — powiedziała donośnym głosem, unosząc brew i podkreślając ostatnie słowo. — Kira zniknęła i domyślam się, że nie dla własnego widzimisie, jednak tylko spokój może nas uratować. Dlatego właśnie wszyscy w tym pokoju napiją się ziołowej herbaty i logicznie zastanowią się, jak możemy wytropić naszą zaginioną wilczycę — rzuciła niemal rozkazująco, wskazując tacę z parującymi kubkami.

— Znasz Kirę, Charlotta. Wszyscy ją znamy — mruknął Frederic, jednak bez sprzeciwu wziął jeden z kubków postawionych na tacy. — Kira lubi znikać na jakiś czas, nie mówiąc nikomu, że cokolwiek planuje. Kilkudniowe polowania lub wędrówki po lesie to dla niej nic nowego. Może po prostu... chciała побыć trochę sama? — dokończył niepewnie, jakby sam nie wierzył w to, co mówił.

— Nie zostawiłaby nas w trakcie śledztwa, zwłaszcza teraz, kiedy sprawy coraz bardziej się komplikują — odezwał się niskim głosem Flesh, nie patrząc na nikogo z nas. — Nie pieprz bzdur, skoro ty też wyczułeś kłopoty. — Zwrócił wzrok jaśniejący srebrem w kierunku czarodzieja. — Bo wyczułeś, tak samo jak ja, nie zaprzeczaj temu. Coś się stało i my musimy się dowiedzieć, co takiego.

— Z kim Kira miała się spotkać? — zapytała Charlotta, siadając obok mnie na kanapie i krzyżując nogi w kostkach.

— Nie wiem. Ale się domyślam — dodał Flesh złowróźnie pod nosem.

Opowiedział nam, nie wdając się w szczegóły, o wspólnie spędzonej pełni razem z łowczynią, a potem o tajemniczej wiadomości. Po tych rewelacjach spojrzałam na demona uważnie, krzyżując ramiona na piersi.

— I puściłeś ją na to spotkanie zupełnie samą?

— Ona nie ma pięciu lat, kochana — odezwała się Charlotta opanowanym głosem, zanim demon zdołał odpowiedzieć. — Chociaż nawet w wieku pięciu lat radziła sobie lepiej niż większość szczeniaków w jej wieku — dodała nieco melancholijnie.

— Jakie są twoje podejrzenia, Flesh? — Silvyr wysunął się naprzód, ale nie tknął ziołowej herbaty sparzonej przez wróżkę, nawet pod naporem jej naglącego, nieruchomego spojrzenia.

Demon zamilkł na kilka minut. Przeczesał palcami gęste, ciemne włosy i syknął lekko przez zęby. Jego kły miały ostry kształt niczym u piranii. Przyjrzałam się jego twarzy — mięśnie spięły się, a szczeka zacisnęła tak mocno, że policzki drgały w rytm bijącego serca. Był nie tylko zaniepokojony tak jak my wszyscy, ale i odczuwał strach. Bał się o Kirę, to było wypisane w jego oczach teraz ze złości jaśniejących srebrem.

On ją kocha, uświadomiłam sobie nagle, ledwie powstrzymując się od powiedzenia tego głośno. Uczucia Flesha były jasne, przynajmniej dla mojego oka. Sądząc po minie Charlotty i spojrzeniu, które mi posłała, ona także o nich wiedziała. *Pytanie tylko, czy sam Flesh wie, co czuje do Kiry?* To pytanie rozbrzmiało echem w moim własnym umyśle. Tych wątpliwości na razie nie mogłam rozwiązać. Były ważniejsze kwestie do rozwiązania.

— Podejrzewam Quentina — rzucił krótko demon, zaciskając palce w pięści i raz po raz rozprostowując je w oznace stresu.

Silvyr, Frederic i Charlotta spojrzeli na niego zaskoczeni. Ja jedynie przymknęłam powieki, gryząc się w język, żeby tylko nie przekląć. Ten wampirzy sukinsyn grabił sobie coraz bardziej. Zwrócenie na siebie pełnego gniewu demona było kolejnym błędem, o wiele większym od poprzednich i bardzo źle rokującym na najbliższą przyszłość.

— Musimy ją odnaleźć i to jak najszybciej — powiedziałam na głos, wodząc wzrokiem między wszystkimi zgromadzonymi. — Jednak, żeby odnaleźć jej trop, potrzebujemy kogoś naprawdę dobrego, kogoś o umiejętnościach, które natychmiast naprowadzą nas na ślad Kiry.

— Mogę ją odnaleźć — odezwał się cicho Frederic, przy czym wzrok wszystkich zwrócił się na jego osobę. — Jednak potrzebuję do tego pomocy Flesha. — Jego oczy wbiły się w nieruchomego demona. — Znam sposób, by wysledzić energię Kiry, co nie powinno być trudne z jej poziomem aury, jednak rytuał, który przeprowadzę, będzie wymagał od ciebie... cóż... całej energii.

Flesh popatrzył na czarodzieja chłodnym wzrokiem — jego szafirowe tęczęwki zdawały się teraz wykute w twardym, zimnym granicie. Wstał powoli, nie spuszczać oka z Frederica. Wzdrygnęłam się, czując wirującą w powietrzu energię. To było zaledwie muśnięcie, nieprzyjemny chłód, który ogarnął wszystko na kilka sekund, jednak już wiedziałam, że potęga Flesha sięgała o wiele głębiej niż myślałam wcześniej.

— Co masz dokładnie na myśli? — zapytał niskim głosem demon, delikatnie mrużąc powieki.

Zdaje się, że wszyscy w pokoju zamarli, oczekując odpowiedzi.

— Potrzebujemy całej twojej energii, co oznacza, że musisz przybrać swoją prawdziwą formę — odparł Frederic, swobodnie opierając się o próg pokoju. — Założę na tobie pieczęć, która wzmocni twoje zmysły i pozwoli odnaleźć ślad energii.

— Mam już dość wyczulone zmysły, o wiele bardziej niż wy i jakiegokolwiek stworzenie z tego wymiaru, a to i tak nam nie pomoże.

Uśmiech zaigrał na ustach czarodzieja, kolidując z jego pociemniałymi oczyma.

— Nie chodziło mi o zmysły typowo ludzkie. Istnieją też takie, które

posiadają jedynie stworzenia nadnaturalne, a i tak tylko niektóre gatunki. Wampiry i wilkołaki mają wyczulone podstawowe zmysły węchu, słuchu i wzroku, smaku także, głównie dzięki swojej zmutowanej budowie ciała. Elfy i wróżki mają za to coś, co nazywane jest Instynktem.

— Tak zwany Instynkt łączy nas z elementami natury i pozwala na czerpanie z niej energii oraz wyczuwanie zawartych w niej najróżniejszych pokładów magii — wyjaśniła Charlotta, wtrącając swoje pięć groszy do rozmowy, a potem ponownie zamilkła, wracając uwagą do swojej ziołowej herbaty, jakby nigdy nic.

— Z tego, czego dowiedziałem się przez lata swojej pracy — Frederic powiedział to słowo z nutką rozbawienia — demony potrafią wyczuwać energię oraz aury innych stworzeń, mimo ich silnych osłon i kamuflujących zaklęć.

— Owszem — przyznał spokojnie Flesh. — Potrafisz wzmocnić te doznania na tyle, bym mógł wytropić Kirę?

— Warto spróbować — odrzekł czarodziej z westchnieniem. — Jeśli się zgodzisz, rytuał możemy przeprowadzić nawet dzisiaj wieczorem, najlepiej poza granicami miasta. Nie wiadomo, jakie istoty zareagują na tak duże natężenie magii w powietrzu — wyjaśnił pokrótce.

— Czemu nie teraz? — zapytał Silvyr, zerkając na Frederica kątem oka. — Czemu musimy z tym czekać aż do wieczora?

— Bo najstraszniejsze nie są stworzenia, które wychodzą nocą — odparł czarodziej pod nosem. — Najstraszniejsze są stworzenia, które nie boją się mroku i potrafią chodzić za dnia.

Po wyjściu Charlotty, Frederica i Silvyra, który dość niechętnie opuszczał progi domu, Flesh rozłożył się na kanapie, podczas gdy ja zawędrowałam do kuchni, by przygotować coś na obiad. Wampirom nie były potrzebne do przeżycia normalne posiłki, jednak przyjemnie wypełniały one naszą krwawą dietę. Poza tym miałam jeszcze w domu gościa, któremu na pewno przydałoby się porządne jedzenie.

Duch towarzyszył mi, leżąc swobodnie na posłaniu rozłożonym w kącie. Z pewnym rozżaleniem spoglądałam na legowisko Bruno, jego pełne wody i karmy miski, zupełnie jakby pies miał zaraz wrócić z ogrodu po popołudniowej zabawie w skrzącym się śniegu. *Czy tak właśnie czuła się Kira, od mojej wprowadzki widząc Ducha codziennie w swoim domu?*

Odwróciłam wzrok, skupiając się na przygotowaniu obiadu. Wyjęłam ze świeżo zapelnionej lodówki surowe piersi z kurczaka, sałatę, pomidory, ser feta oraz zielone ogórki. Podczas smażenia mięsa z przyjemnością wciągałam w płuca jego zapach pomieszany z wonią ziół.

Próbowałam prostymi czynnościami zagłuszyć ponure rozmyślenia, jednak

kiedy kroilał warzywa do sałatki, moje myśli i tak z powrotem skierowały swoje tory do Kiry. Spochmurniałam, zastanawiając się, co takiego mogło się z nią stać. Słowa Frederica cały czas chodziły mi po głowie, nie dając spokoju:

Znasz Kirę, Charlotta. Wszyscy ją znamy. Kira lubi znikać na jakiś czas, nie mówiąc nikomu, że cokolwiek planuje. Kilkundniowe polowania lub wędrówki po lesie to dla niej nic nowego. Może po prostu... chciała pobyć trochę sama?

Rozumowanie Frederica, które miało na celu nieco rozluźnić napiętą atmosferę, przyniosło zupełnie odwrotny skutek. *Nie, Kira nie zostawiłaby nas wszystkich w czasie, gdy w mieście działo się tak wiele. Zmieniła się po śmierci Bruno, jednak to nie oznaczało, że z powodu żałoby opuściłaby szeregi drużyny. Moja ręka dzierżąca nóż zatrzymała się na dłuższą chwilę w pół ruchu. Skoro nie zniknęła z własnej woli, to może ktoś jej w tym pomógł?*

— Twoje myśli idą w dobrym kierunku, wampirza księżniczko — usłyszałam za plecami niski, spokojny głos.

Odwróciłam głowę, unosząc gwałtownie wzrok wprost na stojącego w progu Flesha. Duch się nie obudził, jednak drgnął niespokojnie przez sen, zupełnie jakby podświadomie wyczuł jego niespodziewaną obecność.

— Czytasz mi w myślach? — zapytałam, starając się uspokoić niespokojnie bijące serce uderzające szaleńczo o żebra.

Demon przyjrzał się moim dłoniom metodycznie krojącym warzywa. Jego wzrok zdawał się przeszywać mi skórę, mięśnie i kości niczym wyspecjalizowany rentgen. Ponownie poczułam ślad jego mocy, muskający moją skórę delikatnie niczym motyl. Nagle zrobiło mi się zimno.

— Przeczuwam. Tak właśnie można nazwać to, co robię — odpowiedział po krótkim namyśle. — Nawiązując do słów Frederica, demony posiadają kilka drobnych talentów, których natura poskąpiła innym gatunkom.

— Nie tylko wyczuwasz energię, ale i odgadujesz czyjeś myśli?

— Coś w tym rodzaju.

Kiwnęłam głową, przyswajając jego wymijającą odpowiedź i wrzuciłam pokrojone warzywa do miski. W milczeniu całkowicie wróciłam do przygotowywania obiadu. Flesh przez cały czas nie próbował zagaić rozmowy, jedynie stał i przyglądał mi się uważnie. Od jego wzroku włoski zjeżyły mi się na karku.

Coś się w nim zmieniło, pomyślałam, zdejmując patelnię z ognia. Zmienił się po ostatniej nocy — po nocy, którą spędził z Kirą. Flesh nie mówił, co robił w czasie pełni, jednak wyraźny zapach łowczyńi na jego ubraniu oraz skórze, który

wyczułam, gdy tylko wrócił do jej domu nad ranem, mówił sam za siebie. Cokolwiek robili, demoniczna natura Flesha, wcześniej szczelnie ukryta, teraz niemal prześwitywała przez jego ciało. *Przestaje się ukrywać*. Nie wiedziałam, czy ta myśl bardziej mnie niepokoiła, czy może zadowalała. Prędzej to pierwsze.

— Uważasz, że Kirze coś się stało? — zapytałam, ostrożnie dobierając słowa.

Flesh zacisnął zęby, zanim odpowiedział, przez co jego głos stał się nieco zduszony i sykliwy niczym u zdenerwowanej kobry.

— Nie tak łatwo zrobić jej krzywdę — rzucił pokrótce. — Jednak sądzę, tak jak i ty, że teraz, kiedy sprawy w mieście nabierają tempa, na pewno nie zniknąłaby z własnej woli.

Przełknęłam ślinę, starając się zapanować nad niepokojem.

— Została porwana?

— To jedna z możliwości i dodatkowo, na nasze nieszczęście, najbardziej prawdopodobna. Pamiętasz, co kiedyś nam powiedziała? — zapytał niespodziewanie. — Przez ostatnie lata magiczna policja nasyłała na nią łowców przekonana, że uda się doprowadzić do jej śmierci.

— Jednak ty nie podejrzewasz, by to tym razem była sprawa magicznej policji — bardziej stwierdziłam niż zapytałam.

Kiwnął głową i uśmiechnął się krzywo, odsłaniając ostro zakończony kiel.

— Masz rację, nie ją podejrzewam — mruknął. — Jednak to nie wyklucza, że winowajca użył tej samej metody, by usunąć Kirę ze sceny. A komu sprawiła ostatnio najwięcej kłopotu?

Tym razem to ja bezwiednie zacisnęłam zęby. Wiedziałam, że mówił o tej samej osobie, o której wspomniał na spotkaniu z resztą ekipy.

— Quentin. — Niemal wyplułam to słowo, jakby raniło mi język.

— Bingo. — Oczy Flesha na moment zaślniły srebrem. — Skoro tak to rozegrał, musimy wytropić Kirę jak najszybciej. A potem zabić porywaczy, o ile Kira nie zrobi tego przed nami.

— Musimy coś zrobić z Quentinem — odparłam. — Jeśli tak dalej pójdzie, w mieście nie zostanie kamień na kamieniu. Naraził się, nasyłając na Kirę łowców. Jeśli porywaczom nie uda się jej zabić — przy tym słowie mój głos minimalnie się obniżył — wtedy życie Quentina jest całkowicie policzone. Kira już nie będzie się przejmowała konsekwencjami, po prostu go zabije. Musiał rozważyć wszystkie aspekty swojej decyzji — powiedziałam, opierając się o kuchenny blat. — Postawił wszystko na jedną kartę.

— W takim razie kiepski z niego gracz — warknął pod nosem Flesh, jednak żaden mięsień na jego twarzy nawet nie drgnął. — Jeśli liczył, że Kira nie poradzi sobie z łowcami, tak jak to robiła do tej pory, to się przeliczył i to bardzo. Ona żyje — odparł głośno i z taką pewnością w głosie, że niemal zadrżałam

z podniecenia, a Duch przebudził się ze swojego spokojnego snu. — Żyje. I tak pozostanie, póki to ja nad nią czuwam.

Rozdział II

~ FREDERIC ~

— Ta zima trwa o wiele za długo — mruknęła pod nosem Charlotta, poprawiając kołnierz zimowej kurtki zapiętej po samą brodę. — Jest cholernie zimno.

Jej zęby szczękały głośno niczym dzwoneczki na wietrze.

— Jesteś odporna na mróz — powiedziałem z rozbawieniem w głosie. — Niemal jak każdy nadnaturalny. To ja tutaj powinienem marudzić, w końcu bez czarów mam naturę czysto ludzką, zwłaszcza fizycznie.

— To, że jestem na niego odporna, wcale nie znaczy, że go nie czuję — odparła urażona moim tonem. — Kiedy tylko mam wolne, spędzam czas na Florydzie. Ciepło, słońce, plaża i kolorowe drinki — wymieniła rozmarzonym tonem, a potem ponownie spochmurniała. — A teraz, zamiast się opalać, odmrażam sobie tyłek na jakiś cholernym złomowisku, czekając na tę całą farsę, którą mamy odprawić, mam nadzieję jednak, że jeszcze w tym stuleciu.

Z irytacją wyrwała mi z rąk papierosa, co wcale nie było takim prostym zadaniem, gdy tak sięgała mi zaledwie do połowy ramienia i zaciągnęła się łapczywie dymem. Przypatrzyłem się jej spod uniesionej brwi. Jej krótkie, niebieskie włosy niemal lazurowe w żółtawym świetle ulicznej lampy, były artystycznie rozwichrzone, a nieco dłuższe kosmyki nad brwiami opadały jej na czoło. Oczy barwy o kilka tonów jaśniejszej niż włosy lśniły nienaturalnie, spoglądając w ciemność poza kręgiem światła bijącym od lampy. Skórzana, zimowa kurtka w kolorze wiosennych liści nie była jej potrzebna, jednak musiałem przyznać, że wyglądała w niej jeszcze smuklej i drobniej niż zwykle. Spod połów jej okrycia ciągnęły się zgrabne nogi wciśnięte w dopasowane dżinsy. Na stopy wciągnęła ulubione, wysokie kozaki na płaskim obcasie.

Wyczuła na sobie mój wzrok, jednak się nie odezwała ani nie zareagowała. Za to jej usta, zaciskające się wokół papierosa, wygięły się lekko w górę.

— Igranie z demoniczną magią zawsze cię kręciło — rzuciła na pozór spokojnie, jednak zauważyłem, że spięła mięśnie szyi. — Sądysz, że ten rytuał zadziała właśnie tak, jak ty tego chcesz?

— Kiedyś się udało, teraz także powinno — odparłem, wzdychając lekko. — Nikt inny z nas, oprócz Flesha, nie nadaje się do tego zaklęcia. I nikt poza nim go nie przeżyje — dodałem, gdy oczy Charlotty lekko się zmrużyły.

— A pomyślałeś może o Amelii?

Na kilka sekund wzniosłem oczy ku ciemnemu niebu, by wyrazić zniecierpliwienie, a jednocześnie żeby nie narazić się na gniew wróżki.

— Jak mówiłem, nikt oprócz Flesha nie przeżyje tego zaklęcia. Poza tym,

czy osoba Amelii nie jest tematem do całkowicie osobnej dyskusji?

— Ona ma coś w sobie, dobrze o tym wiesz — odparła, mrużąc powieki. — Obydwoje żyjemy wystarczająco długo i każdy z nas ma wystarczająco rozwinięte umiejętności, by wyczuć w niej pokłady ukrytej energii. Mimo oczywistego faktu, że jest wampirem, ma w sobie także coś z wiedźmy.

Milczałem, mimo że to, co właśnie na głos powiedziała Charlotta, było prawdą. Może nie od pierwszego spotkania, jednak już od pewnego czasu przyglądałem się Amelii nieco uważniej. Coś, co było zakamuflowane w jej aurze, fascynowało mnie i niepokoiło jednocześnie. Wampiry same w sobie posiadały moc, najczęściej skupioną wokół psychiki, dzięki której mogły manipulować swoimi ofiarami, na przykład używając Uroku. Oprócz takiej magii w Amelii gnieździło się także coś innego, mocniej związanego z samą naturą.

Czy była wiedźmą zanim ją przemieniono? Nie wiedziałem tego, jednak, nawet gdyby tak było, jej moce powinny były zniknąć zaraz po przemianie. Powinny, a jednak stało się tak, że część z nich pozostała, będąc teraz w stanie wcześniej nieznanej mi hibernacji. Cała ta sytuacja zakrawała niemal pod cud.

— Porozmawiam z nią o tym później — mruknąłem cicho, wsadzając dłonie do kieszeni płaszcza. — Jeśli zechce, pomożemy jej odblokować i zbadać tę magię.

— MY? — zapytała Charlotta. — MY jej pomożemy?

— Tak, właśnie MY, słodziutka. — Zaśmiałem się. — Bez ciebie się nie obejdzie.

Pocałowałem ją w czoło, na co zaserwowała mi mocną sójkę w bok. Odsunąłem się nieco, lecz na jej twarzy nie było widać irytacji czy złości, jedynie słabo skrywane zadowolenie.

Z daleka usłyszeliśmy echo czyich kroków na drodze. Zacząłem nasłuchiwać tak samo jak Charlotta. Postukiwanie butów zbliżało się stopniowo, aż przez uchyloną bramę na złomowisko wmaszerował Silvyr z Amelią u swego boku. Wampirzyca dostrzegła mnie oraz Charlottę i nieco przyspieszyła kroku.

— Przepraszamy za spóźnienie. Musiałam zostawić Ducha w domu — rzuciła po krótkim wstępie.

W jej głosie dosłyszałem ponurą nutę, ale nie zdziwiło mnie to — ostatnio, gdy jej pies był w domu razem z Bruno, owczarek Kiry został zamordowany. Nic dziwnego, że obawiała się zostawić Ducha samego.

— Założyłem kilka ochronnych pieczęci wokół posesji. Jeśli coś się tam stanie, na pewno będę o tym wiedział.

Moje skromne zapewnienie najwidoczniej nieco ją uspokoiło. Posłała mi wdzięczne spojrzenie.

Rozejrzałem się krótko dookoła i odebrałem od Charlotty resztki swojego papierosa. Spojrzałem krzywo najpierw na niedopałek, a potem wróżkę, która w milczeniu jedynie wzruszyła lekko ramionami.

— Flesh nie przyszedł z wami? — zapytałem, wyrzucając papierosa i wdeptując go w oszronioną ziemię.

Amelia i Silvyr spojrzeli po sobie, kręcąc przecząco głowami.

— Skoro tak, poczekamy jeszcze na niego — mruknąłem i wyjąłem z kieszeni czarną kredę. — Bez głównego bohatera nie będzie całego przedstawienia. A teraz odsuńcie się. Spożytkuję tę chwilę wolnego czasu na wytyczenie znaków, jeśli mi pozwolicie.

Gdy tylko reszta zostawiła mi odpowiednią ilość miejsca, zacząłem kreślić krąg pośrodku terenu. Pieczęć miała na oko sześć metrów średnicy, pośrodku niej narysowałem pięcioramienną gwiazdę, gdzie na czubku każdego ramienia zostawiłem pojedynczy symbol. Charlotta przyglądała mi się nieruchomym wzrokiem, tak samo Amelia i łowca. Zastanawiałem się, czy wampirzyca kiedykolwiek widziała te symbole na oczy — szukałem w jej źrenicach błysku lub czegokolwiek, co by ją zdradziło, ale niczego nie dostrzegłem, prócz zaciekawienia.

Po kilku minutach pieczęć była gotowa. Spojrzałem na nią z rękoma opartymi na biodrach, sprawdzając każdy element osobno.

— Nie ma mowy o pomyłce — mruknąłem bardziej do siebie niż do towarzyszy. — Krąg jest gotowy. Brakuje nam tutaj tylko Flesha.

Właśnie myślałem nad zapaleniem kolejnego papierosa, gdy wiatr zmienił swój kierunek. Przystanąłem na krawędzi kręgu, nasłuchując uważnie. W powietrzu uniósł się gorący powiew, najpierw zaledwie muskający moją skórę, a potem coraz silniejszy, aż zalał mnie od stóp do głów niczym fala lawy. Na dźwięk donośnego szumu uniosłem głowę w niebo, tak samo jak reszta. Na tle granatowego, wieczornego nieba malował się wielki cień, zbliżający się do nas w zawrotnym tempie.

— Odsuńcie się od pieczęci! — zawołałem donośnie, przebijając głosem powstały hałas.

Amelia, Silvyr i Charlotta spełnili moje polecenie, nie spuszczać oka z nadchodzącego intruza. Sam siebie potem pytałem, w którym momencie zorientowałem się, co takiego się do nas zbliża? Nie wiem, może na kilkanaście sekund przed Charlottą, która przeniosła na mnie wtedy rozświetlony wzrok o wiele bledsza niż wcześniej.

Pokłady energii były niesamowite i ciężkie niczym ołów. Poczułem jak mroczna, szkarłatna aura wirująca w powietrzu zaczęła przygniatać moją własną. Mimo wcześniejszego chłodu, teraz na złomowisku powietrze niemal drżało z gorąca. Kilka lat wcześniej pierwszy raz i ostatni, jak mi się wydawało, zobaczyłem prawdziwą formę demona, tak jak i poczułem jego pełną moc. Teraz byłem tak samo zaskoczony i przerażony jak wcześniej, nawet mimo większego doświadczenia i wielu niesamowitych rzeczy, które widziałem na oczy w przeciągu

tych kilku lat.

Flesh machnął skrzydłami, niemal przewracając nas wszystkich — były tak wielkie, że wystawały poza granice naszkicowanego okręgu. Spod falujących, ciemnych włosów błysnęły srebrno-szafirowe oczy, a usta, wypełnione ostrymi zębami niczym u piranii, ułożyły się w lekki uśmiech, który zniknął równie szybko, jak się pojawił. Skóra demona zdawała się jasna i gładka niczym polerowany marmur, a wyrastające z czoła rogi zawijały się w łuk za uszami, kończąc się ostro tuż pod linią szczęki.

Amelia spojrzała na niego rozszerzonymi oczyma z zaskoczeniem, strachem i zachwytem jednocześnie wypisanymi na twarzy. Silvyr zmrużył powieki i spał się, stojąc niesamowicie blisko wampirzycy, niemal dotykając ją ramieniem, zupełnie jakby chciał ją bronić własnym ciałem. Charlotta podeszła do mnie wolno, nie spuszczać oka z postaci stojącej w środku pieczęci. Wyprostowałem się, powstrzymując odruch, by w przyływie gorąca rozpiąć swój płaszcz.

— Nikt w mieście cię nie widział? — zapytałem z opanowaniem, niemal z entuzjazmem, jednocześnie podchodząc bliżej. — Muszę przyznać, że trudno cię przeoczyć.

Flesh rzucił mi spokojne spojrzenie, rozejrzał się po twarzach wszystkich, a potem jednym, gwałtownym ruchem złożył skrzydła, umiejscawiając je w granicach wytyczonego na ziemi kręgu.

— Umiem dobrze się maskować — powiedział głosem o wiele niższym, grubszym i nieco bardziej ochryłym niż zwykle, zwracając spojrzenie na symbole narysowane dookoła. — Nie podejrzewałem, że możesz znać demoniczny alfabet i że jeszcze potrafisz poprawnie go nakreślić. Nawet bardzo poprawnie. Jestem pod wrażeniem. — Uśmiechnął się pod nosem. — Czyżbyś robił to już wcześniej, czarodzieju?

— Nauka tego języka trwała dość długo. A to, co widzisz teraz, zrobiłem już kiedyś okazji, tylko jeden raz — odparłem, patrząc mu prosto w oczy. — W końcu, tak na marginesie, używanie demonicznej magii jest zakazane.

— Co nie powstrzymało cię od użycia jej po raz pierwszy.

— I nie powstrzyma przed użyciem jej ponownie. — Wyszczrzyłem zęby.

— Urządzamy sobie tutaj pogawędki, a czas nadal ucieka — warknął nieprzyjemnie Silvyr, wodząc wzrokiem między mną a Fleshem. — Pamiętajcie, po co dokładnie tutaj przyszliśmy.

Te suche, wypowiedziane gniewnie argumenty zdawały się przemówić Fleshowi do rozumu, trafiły także i do mnie. Charlotta bez słowa wyciągnęła do mnie lewą dłoń. Uśmiechnąłem się, rozpiąłem płaszcz i podałem go jej, szczerząc figlarnie zęby niczym uczeń ukrywający wódkę pod marynarką w drodze na bal maturalny. Poprawiłem białą koszulę wetkniętą w ciemne, dopasowane spodnie, a potem wszedłem do pieczęci. Stojąc naprzeciwko Flesha niemal na wyciągnięcie

ręki, jeszcze wyraźniej czułem jego moc przepływającą w powietrzu wraz z ciepłym powietrzem. Poczułem krople potu spływające po plecach i o mało się nie skrzywiłem.

— Jak długo utrzyma się działanie pieczęci? — zapytał Flesh, uważnie śledząc każdy mój ruch niczym głodna, przyczajona puma.

Wyjąłem z kieszeni srebrny nóż i ustawiłem się między dwoma pierwszymi runami wyrytymi kredą na ziemi. Odetchnąłem głęboko, czując wzbierającą w sobie energię. Uniosłem wzrok, szczerząc się szeroko, mimo że w środku żołądek wywracał się na drugą stronę.

— Działanie pieczęci nie jest objęte limitem czasowym — odpowiedziałem, mając już w głowie pierwsze słowa zaklęcia. — To coś jak wieczny produkt bez możliwości reklamacji. Jej moc może osłabnąć, ale nigdy nie zniknie.

Demon spojrzał na mnie spod uniesionej brwi ze śladem niedowierzania wymalowanym w jasnych oczach. Potem krótko westchnął.

— Jak już iść, to na całość — zamruczał w końcu, stając na lekko rozstawionych nogach. — Co mam robić?

— Stój i nie gadaj. Zaklęcie jest silne i ingeruje w działanie twojego organizmu, więc możesz poczuć lekki dyskomfort. — Mój głos lekko zanikał wśród nasilającego się wiatru. — Istnieje jedna zasada, której nie możesz złamać: cokolwiek się stanie, nie waż się wychodzić poza ten krąg.

Nie zapytał mnie, co mu groziło za wyjście poza runy w trakcie aktywowania pieczęci, ale z jego oczu odczytałem, że nie potrzebował ode mnie konkretnego wyjaśnienia. Amelia i Silvyr stojący z boku odsunęli się jeszcze bardziej, gdy owiała ich nagła, gorąca chmura powietrza. Charlotta była w pobliżu, zaciskając palce na moim płaszczu, jednak widać było, że wołała zaledwie zbliżyć się do pieczęci. Chyba, że w razie konieczności.

Po pierwszych słowach inkantacji dookoła Flesha zaczęła zbierać się gęsta mgła, odbijająca światło latarni niemal jak lustro i tworząc delikatną lunę, kolorową niczym blask rozlanej benzyny w słońcu. Przeciąłem skórę na wewnętrznej stronie przedramienia, pozwalając gęstej, szkarłatnej krwi spłynąć prosto na dwie runy. Znaki zabłysły, wypalając się w zamrożonej, twardej ziemi niczym polane kwasem. W ciągu kilku minut zdołałem odmówić wszystkie części zaklęcia, przechadzając się wzdłuż całego kręgu i kropiąc krwią każdy znak narysowany kredą. Flesh przez cały ten czas stał nieruchomo pośrodku pieczęci, z każdą sekundą coraz mocniej drżąc na całym ciele.

Gdy skończyłem przemawiać, mgła ścisnęła się wokół sylwetki demona i gwałtownie zaczęła wlewać się w jego oczy, nos i usta rozchylone w niemym krzyku. Jego obnażone kły błysnęły w świetle, a tęczęwki rozjarzyły się niczym dwa kręgi ognia. Amelia patrzyła na to wszystko z niepokojem wypisanym na twarzy, jednak wiedziałem, że nie niepokoiło jej prawdopodobne niepowodzenie

zaklęcia — podejrzewałem, że bardziej martwiła się o samo życie Flesha.

Demon zgiął się w pół, dotykając jednym kolanem ziemi. Jego skrzydła wyprostowały się i kurczowo naprężyły w powietrzu, jakby były gotowe do natychmiastowego lotu, jednak ani drgnęły kompletnie zastygłe, tak samo jak reszta ciała. Odsunąłem się w najdalszy kąt kręgu, zostawiając mu jak najwięcej przestrzeni. Temperatura wewnątrz i poza pieczęcią wzrosła gwałtownie, aż zachłysnąłem się gorącym powietrzem i musiałem odwrócić wzrok od błękitnego płomienia, który rozbłysnął i rozpalił runy. Święty Ogień rzucił niebieski blask na sylwetkę Flesha, pogłębiając cienie. W pewnym momencie lampa nad naszymi głowami gwałtownie zamrugała, potem żarówka niespodziewanie pękła, rozsypując dookoła deszcz drobnych iskier i wreszcie zgasła.

Pograżeni w półmroku, który rozświetlał jedynie Ogień, czekaliśmy na końcowy etap zaklęcia. Moja znikająca magia, która sączyła się szybko z ciała wprost do run, aby utrzymać pieczęć sprawiła, że powoli czułem coraz większe zmęczenie. Mimo tego miałem świadomość, że bardziej ode mnie cierpiał sam Flesh. Ingerowanie w działanie całego organizmu oraz zwiększenie intensywności doświadczanych bodźców przez wszystkie zmysły, zarówno ludzkie i magiczne, było bardzo inwazyjne i niezwykle niebezpieczne — obydwaj byliśmy o tym poinformowani.

Po kolejnych minutach wszystkie mięśnie demona rozluźniły się, a Ogień spalający powietrze powoli zaczął dogasać, pozostawiając po sobie niezbyt przyjemny zapach siarki i trwające uczucie gorąca. Demon zaczął się prostować, nadal trzymając skrzydła wyprostowane i naprężone, gotowe do odlotu. Spod grzywy jego ciemnych włosów lśniących szafirowymi poblaskami, wyjrzała para jasnych oczu. Nigdy wcześniej w źrenicach Flesha nie widziałem zwierzęcego błysku tak dzikiego, że przysłonił wszystko inne. Poczulem dreszcz płynący po plecach. Charlotta także przyglądała się demonowi z niepokojem, gotowa wkroczyć w każdej chwili, tak samo jak już sięgający po broń Silvyr. Powstrzymałem ich wszystkich krótkim, energicznym ruchem ręki.

— Nawet nie próbujcie przekroczyć linii kręgu — warknąłem stanowczo, rozciągając ramiona na boki. — Jeśli straci nad sobą kontrolę, zabije tylko mnie. Nie może opuścić pieczęci, póki nie dokończę zaklęcia.

Charlotta posłała mi wilcze spojrzenie. Jej lazurowe oczy lśniły nienaturalnie, a niebieskie włosy najeżyły się jak kolce wściekłego jeżozwierza. Silvyr miał minę, która wyraźnie mówiła, abym się pieprzył. Amelia wpatrywała się nieruchomo we Flesha, stojąc obok łowcy całkowicie bez ruchu. Wyglądała teraz niczym kamienny posąg.

Flesh przesunął zwierzęcym wzrokiem po mojej sylwetce. W jego ustach załśniły zęby, o wiele większe i ostrzejsze niż poprzednio. Nie wiedziałem, jaki będzie jego następny ruch. *Zabije mnie? A może najpierw spróbuje uwolnić się*

z okowów zaklęcia? Czułem miedziany posmak w ustach, jakbym miał pod językiem kawałek metalu, a serce gwałtownie przyśpieszyło swój rytm, pompując krew niczym silnik spalinowy na najwyższych obrotach. Po ciele nadal spływał mi pot, mimo że temperatura wolno wracała do normy, zastępując gorąco lodowatym powiewem zimowej nocy.

W końcu oczy demona wróciły do swojej poprzedniej postaci — zniknęła dzikość, a zamiast niej ujrzałem moc i chłód, które czaiły się w nich przed uruchomieniem pieczęci. Czekałem dalej, nie pozwalając sobie za szybko na ulgę. Nadal nie było pewne, co stanie się za chwilę.

Demon przyjrzał mi się uważnie, jakby obudził się z długiego, koszmarne go snu, a potem powoli uniósł brew, wykrzywiając usta w groteskowym uśmiešku.

— Mam wrażenie, że ci się udało, czarodzieju — odezwał się niskim głosem.

Odetchnąłem głęboko, powoli opuszczając ramiona wzdłuż ciała. Charlotta i Silvir nie porzucili do końca bojowych zapędów, ale było widać, że ich niepokój powoli się rozwiął. Z mojej rany nadal sączyła się krew, więc uniosłem nieco rękę z zamiarem zastosowania leczniczego zaklęcia.

— Czarodzieju — głos Flesha od razu mnie powstrzymał.

Spojrzałem na niego z wyczekiwaniem. W powietrzu uniósł się ciepły wiatr, niosący ze sobą lekki zapach ognia i dymu. Po niecałych trzech sekundach, wraz z towarzyszącymi temu pieczeniu i bólowi, rana zasklepiła się, nie pozostawiając na jasnej skórze nawet drobnej blizny. Uniosłem wysoko brew.

— Dość już dzisiaj zrobiłeś — powiedział demon. — Musisz zregenerować swoje siły. Jednak najpierw byłbym wdzięczny, gdybyś pozbył się tej pieczęci. — Machnął lekko skrzydłami niczym uwięziony w klatce orzeł pragnący swobodnie poszybować ku nocnemu niebu.

Westchnąłem pod nosem, ledwie skrywając ogromną ulgę. Zdjęcie zaklęcia zajęło mi kilka sekund. Krąg na moment rozjarzył się czerwonym blaskiem, a potem krew na runach gwałtownie wyparowała. Flesh przekroczył ich granicę bez problemu — teraz ponownie były jedynie bazgrołami narysowanymi czarną kredą na zamrożonej ziemi.

— Czujesz się inaczej? — zapytałem, poprawiając rękawy swojej koszuli.

Spojrzenie Flesha niemal zmroziło mi krew, a jednocześnie pobudziło serce do życia.

— Mogę zobaczyć każdą cząstkę magii płynącą w twoich żyłach i czuję każdy jej impuls, który przez ciebie przepływa — powiedział, stojąc do mnie bokiem. — Nie, nie czuję się specjalnie inaczej — dodał po chwili, tym razem uśmiechając się zadziornie, niemal przewrotnie.

Zaśmiałem się lekko pod nosem, udając, że nie czuję na sobie spojrzenia Charlotty. Gdyby wzrok mógł zabijać, byłbym zimnym trupem już kilka minut

temu.

— Rozumiem zatem, że wszystko w porządku. — Przekręciłem lekko głowę. — Skoro rytuał się udał, jutro z samego rana możemy zająć się poszukiwaniami.

— Do świtu zostało jeszcze kilka godzin — zamruczał Flesh. — Powęszę trochę w okolicy. Spotkamy się punktualnie o szóstej w domu Kiry.

— Na akcję możemy zabrać jej samochód — odezwała się Amelia. — Zostawiła kluczyki w swojej sypialni, sprawdziłam to dzisiaj. Jeśli ktoś ją porwał, na pewno wywiózł ją za miasto. Ty możesz polecieć — zwróciła się do Flesha — a my pojedziemy w ślad za tobą.

Wszyscy zamilkli. Flesh poruszył skrzydłami, przerywając ciszę ich wibrujący szelestem. Przeczesałem włosy palcami, czując się niczym po kilkukilometrowym biegu przez góry. Silvyr wodził wzrokiem po okolicy, jakby nasze rytuały miały zwabić na złomowisko niechcianych intruzów. Demon, bez żadnego słowa, wznosił się i odleciał, niknąc w atramentowych ciemnościach nocy poza zasięgiem blasku latarni. Charlotta śledziła go wzrokiem, nawet gdy już zniknął z pola widzenia. Czulem fale niezadowolenia, które cisnęły jej na usta słowa, których nie chciała wypowiedzieć w towarzystwie. Zamiast tego rzuciła we mnie dosyć brutalnie moim własnym płaszczem i ruszyła w stronę bramy, nie odwracając się ani razu. Zdjąłem materiał z oczu i popatrzyłem za nią.

— Dokąd idziesz?

— Muszę się napić — odwrzasnęła, dając nieco upust swojej irytacji. — Jeśli za mną pójdziesz, przysięgam, że zabiję cię bez mrugnienia okiem.

Poczułem na sobie rozbawiony wzrok Amelii i Silvyra. Mimowolnie na moich ustach zagrał uśmiezek. Teatralnym gestem przyłożyłem dłoń do serca, wzdychając głęboko.

— Kocham tę kobietę. — Usłyszałem ostry zgrzyt metalu, przypominający odgłos samochodu spadającego z urwiska i skrzywiłem się pod nosem. — Zdaje się, że kara musi być — odezwałem się ponuro, myśląc o motorze, który zostawiłem zaparkowany przy drodze. — Cóż, zawsze lokowałem swoje uczucia nie tam, gdzie powinienem. Dobrze by było, żebym za nią poszedł, ale lepiej po prostu zabiorę swój sprzęt i zniknę. Jeszcze Charlotta będzie gotowa spełnić swoją słodką groźbę.

~ KIRA ~

Męczyły mnie ciągle powracające mdłości będące wynikiem podanej wcześniej dawce narkotyk. Nie mogłam zasnąć. Mój mózg uparcie odmawiał odpoczynku, sprawiając, że zmysły miałam wyczulone na wszelkie podejrzone ruchy, dźwięki czy zapachy.

Sonya spała skulona na ziemi odwrócona do mnie plecami. Nawet

w głębokim cieniu dostrzegłam jej rozerwane ubranie i czerwone, krwiste pręgi biegnące przez jasną skórę. Zaciśnęłam zęby. Wiedziałam, że szybka regeneracja powinna była poradzić sobie z tymi ranami. Skoro było inaczej, wniosek pozostawał tylko jeden: porywacze posiadali broń ze srebra lub innego surowca, który uniemożliwiał szybkie leczenie ciała nadnaturalnym istotom.

Zmrużyłam powieki, przyglądając się nieruchomej sylwetce dziewczyny z namysłem.

Mam na imię Sonya. A czym jestem? Zdaje się, że czymś bardzo podobnym do ciebie.

Na myśl o jej słowach czułam zimne dreszcze biegnące po plecach. Fakt, że Sonya mogłaby być hybrydą tak samo jak ja, przyprawiał mnie o ciarki na całym ciele. Wyczuwałam, że jest inna niż magiczne istoty, które wcześniej spotkałam. Posiadała swój specyficzny zapach i na pewno potrafiła zmieniać formę. Jak długo żyłam, nigdy nie widziałam na oczy nikogo podobnego do mnie. Już samo to nastawiało mnie podejrzliwie do tej dziewczyny.

Kajdany na rękach i nogach niemiłosiernie mi ciążyły, a mdłości powracały co chwila, wywracając żołądkiem na prawo i lewo. Mięso, które zaserwowali nam porywacze, było żyłaste i na pewno nie pierwszej świeżości, jednak to nie powstrzymało mnie od jedzenia. Zimna woda smakowała nieco lepiej, chociaż podejrzewałam, że był to jedynie roztopiony, górski śnieg.

Wpatrywałam się w niebo przez kraty, póki jasność zastąpiła atramentowa ciemność nocy. Tarcza księżycy po niedawnej pełni świeciła jasno, będąc jedynym źródłem światła w podziemnej celi. Płaszcz, który był moim jedynym okryciem, skutecznie chronił nagie ciało od chłodu. Wcześniej sprawdziłam kieszenie i stwierdziłam, że porywacze zabrali mi komórkę. Nie liczyłam, że zdołam połączyć się z kimś z mojej ekipy, jednak liczyłam, że któreś z nich użyje systemu naprowadzającego, by mnie namierzyć. Teraz, czując pustkę w kieszeniach, wiedziałam, że porywacze na pewno zniszczyli telefon, by pozbyć się zagrożenia wykrycia.

Płaszcz, mimo kurzu i błota oblepiającego materiał, nadal pachniał Fleshem. Wtuliłam twarz w kołnierz, by ogrzać zmarznięte policzki.

Wyraz twarzy Quentina, gdy mignął mi przed oczyma, zanim te draby wsadzili mnie do bagażnika, palił mnie w żołądku niczym kwas. Złość wlewała mi się w żyły za każdym razem, gdy z rozkoszą wyobrażałam sobie, jak kładę dłonie na jego szyi i wbijam wilcze pazury w miękką skórę, by rozerwać nimi tętnicę oraz krtań. Rozkoszowałam się tą wizją, póki nie przypomiinałam sobie, gdzie teraz

byłam.

Sonya miała na ciele ślady tortur i była wygłodzona. Ja, mimo że byłam w łapach tych ludzi już od kilkunastu godzin, nie miałam ani jednego zadrapania, które nie byłoby wynikiem poobijania się w samochodzie. Ci ludzie nie byli typowymi łowcami, inaczej od razu po wywiezieniu mnie z miasta zabiliby mnie, póki działał środek usypiający. Wątpiłam, by brak przemocy wobec mnie wywołał się jedynie z obawy przed bliskim spotkaniem twarzą w twarz, mimo pętających mnie kajdan. Ktoś, kto porywa się na uwięzienie mnie, na pewno miał broń, której użycie nie wymagało bliskiej odległości zachowanej między nami. Nie, wydawało mi się, że porywacze na coś czekali. *Tylko na co?*

Szarpnęłam nadgarstkiem i wsłuchałam się w brzęk srebrnych kajdan. Moje myśli zatoczyły koło, ponownie roztrząsając wszystkie wydarzenia od dnia porwania. Przypomniałam sobie nagłą wiadomość od Quentina, szybki spacer do *Mrocznego Irysa*, potem strzałkę ze środkiem usypiającym, tamtych porywaczy... Nie, było coś jeszcze. Jeden istotny element, który zamazywał mi się w umyśle, a o którym bardzo chciałam pamiętać. Musiałam pamiętać. Wyteżyłam umysł, próbując usilnie ustalić, co takiego mi umknęło.

Klub, potem nieoznakowana półciężarówka, otwarty bagażnik. Podejrzana skrzynia. Znany mi zapach, przywołujący poczucie strachu i czujności zagrożonego zwierzęcia.

Srebro — głos mój i Banshee stopił się w jedno, pobrzmiwając niczym dzwon.

Skrzynia była pełna srebra, pomyślałam, otwierając szerzej oczy. *Była pełna śmiertelności surowca i została dostarczona prosto do Mistrza chmary.* Zaciśnęłam zęby, czując pulsowanie w skroniach. To było zaledwie jedno pudło z wielu, które musiały dostarczyć samochody, których wędrówkę obserwowała w mieście od jakiegoś czasu Felicity — jedna z wilczyc ze stada miejscowego Alfya. Co za tym szło, Quentin musiał już mieć ogromny skład srebra, który przechowywał pod klubem lub w innej, dobrze ukrytej ładowni. Skrzynia, o którą obijałam się w samochodzie podczas podróży, musiała być już pusta. Opróżnili ją, zanim wywieźli mnie za miasto. Na myśl o stosach takiego ładunku ponownie poczułam mdłości, o wiele silniejsze od poprzednich.

Szykuje się coś o wiele większego i nie tylko ja jestem tutaj pionkiem.

Dawne słowa Edwarda nabierały dla mnie coraz większego znaczenia i teraz już nie przypominały tylko bełkotu umierającego, tchórzliwego wilka i to zdrajcy swego własnego stada.

Wbiłam spojrzenie w swoje dłonie, myśląc intensywnie, jednak jedyne co przychodziło mi do głowy, nie wyglądało ani trochę pozytywnie. *Wojna*. To słowo wywołało w moich skroniach dudnienie, gdy w żyłach krew przyśpieszyła swoją wędrówkę. Nic, co wiązało się z jakąkolwiek wojną, nie miało pozytywnych skutków.

Sonya poruszyła się we śnie, lekko szurając nogami. Skupiłam na niej wzrok, próbując opanować szalejące nerwy. W tym więzieniu nie mogłam nic zrobić — ani ostrzec Flesha i innych o moich podejrzeniach, ani samodzielnie zająć się Quentinem oraz rozbojami w mieście.

Na wspomnienie demona oraz moich towarzyszy poczułam mocne ukłucie w piersi. Oparłam głowę o betonową ścianę i przymknęłam powieki. Przywołałam wspomnienia z polowania podczas pełni — cudowną, krótką więź ze stadem porzuconych szczeniaków, którymi się zajęłam, ponownie poczułam chłód muskający sierść i posmak wolności słodki niczym miód. W mojej głowie się rozjaśniło, gdy kolejny raz odczułam zapach wolności, poznam siłę swoich łap niosących mnie przez las i pola. Potem w moje myśli wkradł się ciepły dotyk Flesha, jego silne dłonie chwytające mnie w powietrzu, ratujące od śmierci, na którą sama się wystawiłam, aby sprawdzić jego lojalność. Jego srebrne oczy patrzące na mnie spod grzywy szafirowych włosów, światło księżyca odbijające się od jego rogów i jasnej skóry, ogromne i niewiarygodnie mocne skrzydła. Jego głęboki głos obijający się echem w moich żebrach, demoniczna magia budząca bestię ze snu...

Do moich uszu dotarły głośnie kroki i skrzypienie śniegu, wrywając mnie ze wspomnień. Sonya, dotychczas pogrążona we śnie, podniosła się na łokciu, wpatrując się w niewielki skrawek nieba widoczny za kratami. Oddychała szybciej. Wyczułam jej strach wymalowany w oczach i otaczający ją cienką mgiełką. Na jej twarzy widziałam spokój, jednak przeczuwałam, że to była tylko gra pozorów. Gdy kroki zmieszały się z metalicznym grzechotem metalu, dziewczyna skuliła się w kącie, kryjąc swoje poranione plecy. Patrzyłam na nią, zaciskając mocno zęby. W powietrzu uniosły się ludzkie wonie — do naszej celi zbliżali się dwaj porywacze.

Wpatrzyłam się w oczy dziewczyny, wyłapując jej spłoszone spojrzenie. Ona już wiedziała, co nas czekało, ja mogłam się jedynie domyślać. Nie szykowało się nic przyjemnego, ani dla mnie, ani dla Sonyi. Banshee wysunęła się z głębin mojej podświadomości, szukając wspólnej nici z umysłem nastolatki. Musiałam się skupić, czego nie ułatwiała mi bliska obecność tych ludzkich mężczyzn.

Musisz mi zaufać — zamruczałam w jej głowie na wpół zwierzęcym głosem, wbijając w jej twarz spojrzenie złotych, wilczych oczu. — *Teraz już nie jesteś sama. Wydostanę nas stąd.*

Źrenice Sonyi rozszerzyły się tak bardzo, że jej jasne tęczówki niemal zniknęły w ciemnych czeluściach. Zacisnęła palce w pięści, nieruchomiejąc. Moja twarz i ciało były spokojne, podczas gdy pod skórą powoli budziła się bestia. Dziewczyna nie rozluźniła napiętych mięśni, ale delikatnie kiwnęła głową. *Usłyszała mnie*, pomyślałam zadowolona z siebie. *I pozwoli mi działać.*

Nasłuchiwałam uważnie. Kroki przystanęły. Spomiędzy krat do celi wleciało trochę śniegu, więc wiedziałam, że ludzie byli tuż nad nami. Metal szczeknął, gdy kraty opadły na bok uniesione przed dwie pary rąk. Drgnąłam, gdy do środka spuszczone drabinę, która z hukiem uderzyła o betonowe dno. Sonya, wcześniej nie spuszczaćca ze mnie wzroku, teraz uniosła oczy w górę. W blasku księżyca jej tęczówki nabrały niemal mistycznej, srebrnej barwy.

Na górze pojawiła się twarz jednego z porywaczy — tego samego, który wcześniej rzucił nam jedzenie i wodę. Wyszczrzył się i jednym ruchem ręki wrzucił do celi cały pęk metalu. Przyjrzałam się temu bliżej, czując narastające dreszcze. Nie można było pomylić lśnienia srebra z czymś innym. Wśród narzędzi, które przywlekli tutaj nasi oprawcy, były noże, rękawice z przywleczonymi do palców cienkimi ostrzami, zębate pułapki, takie same w jakich tkwiła noga martwego wilka zabitego przez myśliwego w lesie oraz łańcuchy zakończone czymś, co wyglądało jak grabie — trzy ostre zęby były oddalone od siebie o kilka centymetrów, całe zrobione z czystego srebra. Nie musiałam zerkać na Sonyę, by domyślić się, że właśnie to narzędzie naznaczyło jej poranione, krwawiące plecy.

— Jak się mają nasze zwierczaki? — zapytał sztucznie słodkim, radosnym głosem mężczyzna, szczerząc w pełnej krasie swoje zepsute, żółte zęby.

Zarechotał głośno, a jego towarzysz mu zawtórował — był chudy niczym patyk, o bladej cerze i szpakowatych, jasnych włosach opadających na wyblakłe, zielone oczy. Miał nieprzyjemny wyraz twarzy niczym jadowita jaszczurka czyhająca w zaroślach na nieświadomą niebezpieczeństwa ofiarę.

Przyglądałam im się nieruchomym wzrokiem, starając się powstrzymać warkot cisnący się na usta. Żółtozęby, nie czekając na jakąkolwiek reakcję na jego pytanie z naszej strony, zaczął grzebać w narzędziach leżących u jego stóp. Z napięciem patrzyłam, jak naciąga na dłoń rękawicę z ostrzami i porusza palcami, wprawiając srebro w ruch. Drugi drab wybrał dla siebie jeden z noży, przyglądając

się mu w nikłym świetle księżycy niczym chirurg sprawdzający ostrość i jakość skalpela przed zaplanowaną operacją.

— Od której zaczniemy, Hans? — zapytał pierwszy z nich, przyglądając mi się z niezdrowym błyskiem w oku.

Hans o twarzy jaszczurki zwrócił spojrzenie na Sonyę, nieruchomą niczym posąg. Nie zmienił wyrazu twarzy, choć w jego oczach załśniło wyraźne obrzydzenie. Miałam ochotę go zabić. Po kilku sekundach skupił uwagę na mnie.

— Czas zająć się tym psem — powiedział znudzonym tonem. — Ten facet dał nam za jej schwytywanie całkiem pokąźną sumę.

Quentin, przysięgam na Boga na górze i Lucyfera na dole, że zapłacisz mi za to wszystko!, złorzeczyłam w duchu, jednocześnie przeklinając ciężkie kajdany na nogach i rękach ograniczające ruchy, a także własną bezsilność. Nie miałam zamiaru, mimo małego pola manewru, oddać swojej skóry tanio. Nie byłam ulicznym kundlem, byłam Ogarem.

Gdy Hans zaczął się do mnie zbliżać, nie spuszczałam z niego drapieżnego wzroku. Jego towarzysz wołał w stronę Sonyi „kici, kici”, mając najwidoczniej z tego niezłą zabawę. Dziewczyna się tym nie przejmowała, ale z rosnącym strachem patrzyła na Hansa ściskającego w dłoni nóż i kierującego się w moją stronę. Zerknęłam na nią — kontakt trwał mniej niż sekundę, ale może spojrzenie wyraźnie mówiące „*Miałas mi zaufać*” nieco ją uspokoiło.

Ostrze noża wylądowało centymetr od mojego gardła, ostrym czubkiem delikatnie naciskając na skórę. Bez mrugnięcia okiem wbijałam zimne, złote oczy w twarz wykrzywioną groteskowym, wrednym uśmiechem.

— Wystarczy, że zrobisz to, co ci karzemy — wymamrotał, obniżając nieco ostrze trzymane w rękę ku miękkiej tkance między obojczykami — a nikomu nie stanie się krzywda.

Cichy chichot jego współnika nadał jeszcze większego kłamu jego słowom. Nie poruszyłam się, nie odezwałam, nie zrobiłam nic. Czekałam na ciąg dalszy. Nie musiałam czekać zbyt długo. Widząc brak jakiegokolwiek oporu z mojej strony, Hans poszerzył swój jadowity uśmiech.

— Wystarczy, że się zmienisz, paskudny kundlu, a nic ci nie zrobimy. — Zielone oczy wpatrywały się we mnie niemal pożądliwie. — Przemiana, nic więcej. To jest nasz jedyny warunek. I to chyba niewielka cena za uratowanie życia, co?

Najpierw z moich ust wyrwało się ciche prychnięcie, a potem śmiech. Hans i jego towarzysz wpatrywali się we mnie najpierw zdezorientowani, a potem niezadowoleni.

— Nie będę spełniać waszych zachcianek — zamruczałam zimnym, tylko w połowie ludzkim głosem, przemawiając nie tylko w swoim imieniu. — Nie trzeba było ufać Quentinowi. Sprowadzę na was śmierć, ludzkie ścierwa.

Hans uderzył mnie otwartą dłonią w twarz tak mocno, że poczułam krew w ustach. Przełknęłam ją, wprawnie oblizując wargi językiem. *Kto by pomyślał, że w tych wychudzonych ramionach istnieje choć odrobina siły?* Wyprostowałam się z powrotem, cały czas niewzruszona.

— Doug, zajmij się nią — warknął Hans, odsuwając się do tyłu.

Wykorzystując tą okazję, skrzyżowałam spojrzenie z Sonyą. Kręciła delikatnie głową na boki, ostrzegając mnie przed ryzykownymi zagrywkami. Nie obchodziło mnie to. Szybko odwróciłam wzrok.

Doug przeszedł obok swojego współnika, teatralnie poprawiając rękawicę naszpikowaną srebrem na swojej prawej dłoni. W jego uśmiechu widziałam okrucieństwo i już wiedziałam, że będę musiała zaraz interweniować, aby ratować swój chudy tyłek.

Doug bez żadnego wahania zamachnął się na mnie ręką. Pochyliłam się, unikając rozerwania twarzy metalowymi szponami. Gdy tylko rękawica ponownie przepłynęła niebezpiecznie blisko policzka, moja głowa płynnie zmieniła się łeb wilka, a potężne, silne szczęki Ogara zacisnęły się na przedramieniu Douga. Człowiek zawył żałośnie, gdy wzmocniłam ucisk, niemal miażdżąc mu kości. Krew napłynęła mi do pyska, ściekając po kłach prosto na beton. Szarpnęłam głową, przewracając mężczyznę na ziemię blisko moich kajdan na tyle, by móc złapać dłonią jego ubranie. Zacisnęłam palce na materiale, puściłam jego ramię i przysunęłam twarz do jego głowy. Po moich ludzkich ustach spływała ciepła krew, a w uśmiechu lśniły nadal zwierzęce zęby.

— Jeszcze raz spróbuj mnie tknąć, a pożałujesz tego — warknęłam. — Następnym razem nie będzie głaskania po główce, Doug.

Puściłam go. Ranny porywacz przyczołgał się do swojego towarzysza, ściskając zdrową dłonią krwawiące ramię. Hans stał niemal pod ścianą, spoglądając na mnie nienawistnie. Byłam pewna, że gdyby jego towarzysz był krok od śmierci z mojej ręki, nie ruszyłby nawet palcem, by pobrudzić sobie rączki i mu pomóc.

Hans bez słowa zostawił nóż z dala ode mnie i pomógł towarzyszowi wtaszczyć tyłek na drabinę. Wejście na górę zajęło im dobre kilka minut. Gdy tylko Doug znalazł się na zewnątrz, drugi człowiek wrócił po narzędzia. Po kilku minutach zostałyśmy całkowicie same, a krata trzasnęła głośno, ponownie zamykając nas w tej betonowej klatce.

Otarłam zakrwawione usta rękawem płaszcza, uśmiechając się do siebie pod nosem z zadowoleniem.

— Pogorszyłaś tylko naszą sytuację — odezwała się cicho Sonya, patrząc na mnie nieruchomo. — Właśnie to chciałaś zrobić, gdy mówiłaś, że bym ci zaufała, czy zrobiłaś to impulsywnie?

Jej oczy niemal lśniły metalicznie w półmroku z gniewu. Zerknęłam na nią krótko i poszerzyłam uśmiech wykrzywiający wargi.

— Dostał to, na co zasłużył. — Podwinęłam rękaw płaszcza prawej dłoni i uniosłam w górę niewielki przedmiot. — Jest plus tej drobnej, nieco krwawej potyczki, moja droga. Palce mam zręczne i to nie tylko wtedy, gdy trzymam w nich broń.

Sonya popatrzyła z niedowierzaniem na długopis w moich rękach. Gdy tylko znalazłam okazję, zdołałam wyłuskać go z kieszeni spodni porywacza, podczas gdy on niemal robił w gacie ze strachu, będąc ze mną twarzą w twarz.

— Co masz zamiar z tym zrobić? — zapytała dziewczyna, unosząc brwi. — Napisać list pożegnalny?

— Co zrobić? — Popatrzyłam na długopis niemal jak na skarb. — Skoro pytasz, to ci odpowiem. Mam zamiar nas uwolnić, rzecz jasna.

Rozdział III

~ AMELIA ~

Flesh pojawił się w salonie dokładnie o piątej rano, tak jak mówił. Drgnąłam zaskoczona, mimo że go wyczekiwałam. W jednym momencie siedziałam sama na kanapie, sącząc powoli gorącą kawę z mlekiem, aby obudzić umysł po kilku niespokojnych godzinach snu, a po chwili po drugiej stronie pokoju stał demon oparty o gzyms kominka i spoglądający na mnie spod mokrych, ciemnych włosów. Miał na sobie jedynie ciemne spodnie i buty, podczas gdy na nagim torsie topiły się ostatnie płatki śniegu.

Przełknęłam gorącą kawę, starając się nią nie zakrztusić.

— Czy ty w ogóle dzisiaj spałeś? — zapytałam cicho, patrząc na niego znad kubka.

Uśmiechnął się lekko pod nosem, lecz ten uśmiech nie dotarł do oczu.

— Wątpię czy potrafiłbym — odparł spokojnie, oddychając głęboko. — Kręciłem się po mieście, rozglądałem trochę po okolicy. W końcu dziwnym zbiegiem okoliczności trafiłem pod *Mrocznego Irysa* — zamruczał z nutą sarkazmu, wpatrując się w jakiś punkt na dywanie. — Coś mnie tam ciągnęło.

— Podejrzywałeś Quentina o porwanie Kiry — zaczęłam ostrożnie, powoli odstawiając kubek na stolik. — Czy... potwierdziłeś swoje przypuszczenia po wizycie pod klubem?

Zwrócił na mnie swoje spojrzenie. Nie musiał odpowiadać, bo diabelski błysk w jego oczach mówił sam za siebie. Odchyliłam głowę do tyłu i położyłam ją na oparciu kanapy zmęczonym gestem. Przymknęłam powieki.

— Nie sądziłam, że jest aż taki głupi — mruknęłam cicho do siebie. — I bezmyślny — dodałam po chwili. — Sukinsyn.

— Wiele mnie kosztowało, by nie wejść do środka i po prostu go nie zabić — powiedział Flesh tak zimnym głosem, że dosłownie poczułam jak temperatura w pokoju spada o kilka stopni. — Jednak tę przyjemność pozostawię Kirze. Kiedy tylko ją odbijemy, z wielką rozkoszą będę się przyglądał, jak wrywa mu serce razem z kręgosłupem.

Nie miałam problemu, by wyobrazić sobie tę scenę ze wszystkimi plastycznymi szczegółami. I musiałam przyznać sama przed sobą, że poczułam silny dreszcz podniecenia. Ponownie się wyprostowałam, by chociaż po części opanować emocje, które mnie naszły.

— Nie miałeś wątpliwości? — zapytałam, skutecznie skupiając na sobie jego uwagę. — Nie miałeś żadnych wątpliwości, by dokonać rytuału, który mógł cię zabić? — wyjaśniłam, aby nie było żadnych wątpliwości, o co pytałam. — Mogliśmy znaleźć inny sposób na odnalezienie Kiry.

Flesh wyglądał, jakby miał ochotę wzruszyć ramionami, ale się przed tym powstrzymał.

— To był najszybszy sposób — odparł krótko.

Westchnęłam cicho pod nosem. Jego słowa były dla mnie kolejnym dowodem, że Flesh zrobiłby dla Kiry o wiele więcej niż ktokolwiek przypuszczał. Silvyr nadal żywił do niego pewną niechęć, Charlotta i Frederic uważali go za sprzymierzeńca, nic więcej, jednak ja sama miałam wrażenie, że otaczał nas wszystkich ochroną, a na złomowisku ryzykował życie, by móc zyskać moc, która pozwoliłaby mu wytropić i uwolnić Kirę. Byłam więcej niż pod wrażeniem.

Usłyszałam kroki na górze w pokoju gościnnym, gdzie na noc ulokował się Silvyr. Spojrzałam na zegarek.

— Za jakieś dwadzieścia minut wszyscy się tutaj zbiorą — mruknęłam. — Jeśli masz ochotę, weź szybki prysznic zanim wyruszymy razem w drogę. Czyste ręczniki są złożone na pralce.

Pierwszy raz od zniknięcia Kiry Flesh wygiął usta w szczerym uśmiechu i bez słowa ruszył do łazienki na parterze. Dopiliśmy swoją kawę, siedząc w cichym salonie. Po kilku minutach dobiegł mnie szum wody i to jakoś dziwnie mnie uspokoiło.

Silvyr krzątał się w moim pokoju, przygotowując się do drogi. Frederic oraz Charlotta mieli przyjechać tutaj prosto z hotelu. Czułam się, jakby misja mająca na celu odzyskanie Kiry, była jedynie snem — codzienna krzątanina tłumiła niepokój, który skradał mi się po plecach niczym ogromna tarantula. Wiele rzeczy mogło się nie udać. Najgorsza myśl tkwiąca głęboko w mojej głowie, starała się wypłynąć mimo moich usilnych starań, aby zatrzymać ją głęboko w sobie. *A jeśli Kira nie żyje?* Zdawało mi się, że to pytanie dręczy wszystkich mimo braku otwarcie okazywanego strachu. Flesh zapewnił, że łowczyni żyje, jednak jaką mógł mieć pewność, skoro nawet nie wiedzieliśmy, gdzie jest?

Silvyr zszedł po schodach, wyraźnie nasłuchując. Zacisnęłam delikatnie palce na kubku, gdy wszedł do salonu i czując magię demona, skrzywił się lekko pod nosem. Poprawił dopasowaną, ciemnobrązową koszulkę na swojej piersi, a potem skierował na mnie spojrzenie.

— Zaproponowałam mu prysznic, zanim ruszymy — wyjaśniłam pod naporem jego wzroku. — Przez całą noc szukał jakiegokolwiek tropu, który mógłby nam pomóc.

Łowca nic nie powiedział, zamiast tego usiadł obok mnie.

— To sprawa Quentina?

Pokiwałam lekko głową.

— Jest w to zamieszany, to więcej niż pewne. Trop zaczyna się pod *Mrocznym Irysem*, więc najprawdopodobniej to z właśnie Mistrzem spotkała się Kira, zanim tajemniczo zniknęła. — Zrobiłam palcami znak cudzysłowu, przy

czym sarkazm w moim głosie wydawał się wyjątkowo gorzki.

— Zastanawia mnie, jakim cudem jakikolwiek łowca, których Kira unikała przez wiele lat z niezwykłą skutecznością, zdołał ją złapać? Jest bardzo dobrze wyszkolona. I silna.

To było niedopowiedzenie i obydwójce to wiedzieliśmy.

— Musieli ją zaskoczyć — mruknęłam cicho. — Chociaż nawet to nie wyjaśnia całej sprawy.

— Skąd wiesz, że to „oni”, a nie „on”?

Uniosłam brew i spojrzałam na niego wyzywająco.

— Naprawdę podejrzewasz, że Kirze dałby radę tylko jeden łowca, choćby nie wiadomo jak sprytny?

Nie odpowiedział, ale wyczytałam z jego oczu, że myślał tak samo jak ja. Po kilku minutach drzwi łazienki otworzyły się, a do salonu wszedł Flesh. Wycierał włosy frotowym ręcznikiem, spoglądając na nas wzrokiem o wiele spokojniejszym niż wcześniej, gdy zastał mnie samą w salonie. Silvyr zmierzył go krótkim spojrzeniem.

— Zdaje się, że Charlotta i Frederic już się zjawili — powiedział Flesh swobodnym tonem, przewieszając wilgotny ręcznik przez ramię.

Obydwójce z Silvyrem spojrzeliśmy na niego z niedowierzaniem. Mój wyczulony słuch dopiero teraz, po kilku dobrych sekundach, wychwycił odległy rumor silnika. *Czyżby pieczęć aż tak wyostrzyła jego zmysły?* Łowca siedzący obok mnie wyglądał na tak samo zaskoczonego.

Na parkingu zamruczał motor, a potem zapadła cisza, którą po niecałej minucie przerwały podwójne kroki. Charlotta i Frederic mieli na sobie ubrania nadające im wygląd miejskich komandosów — czarodziej założył ciemny golf, na nogi wsunął czarne dzinsy i ciężkie buty do wspinaczki górskiej. Charlotta także miała na sobie sweter, jednak resztę zestawu stanowiły u niej bojówki moro oraz znoszone, skórzane glany. Jej niebieskie włosy były artystycznie nastroszone, a twarz, mimo braku jakiegokolwiek makijażu, wyglądała pięknie i świeżo. Z zaciekawieniem zauważyłam, że wcześniej pod warstwą ciemnego tuszu skrywała jasne, długie rzęsy identycznego koloru co jej lazuruwe włosy.

Wróżka nie omieszkała z aprobatą i pasującą do niej otwartością przejechać wzrokiem po nagim, jeszcze wilgotnym torsie Flesha, zanim zwróciła swoje spojrzenie na mnie i Silvyra.

— Musimy uwinąć się do wieczora z naszą akcją ratunkową — rzuciła bez zbędnych wstępów Charlotta, opierając dłonie na biodrach. — Zabieramy jedynie niezbędny sprzęt. Frederic będzie prowadził samochód. Amelia, Silvyr, wy zajmiecie się ewentualnymi przeszkodami, kiedy już dotrzemy na miejsce, jeśli wiecie, co mam na myśli. Ja będę kimś w rodzaju lekarza, jeśli ktokolwiek z nas zostanie ranny. Nie wiem także, w jakim stanie jest Kira, więc moja lecznicza

magia przyda się tak czy siak. — Zwróciła się do Flesha. — Tobie raczej nie muszę mówić, co masz robić — bardziej stwierdziła niż zapytała.

Demon minimalnie kiwnął głową.

— Poruszanie się w ciągu dnia będzie nieco kłopotliwe, ale inaczej się nie da — zamruczała wróżka. — Flesh, błagam cię, upewnij się, że nikt z miejscowych cię nie zobaczy. I nie chodzi mi tylko o ludzi, zapamiętaj to. — Wskazała na niego palcem. — Jak mówiłam wcześniej, mamy czas tylko do zmroku — rzuciła na zakończenie. — Ruszajmy już.

Odwróciła się na pięcie i wyszła na zewnątrz. Ruszyliśmy za nią wszyscy, nie mówiąc ani jednego słowa. Już na dworze poczułam falę gorąca, gdy za moimi plecami Flesh przybrał swoją prawdziwą formę. Odwróciłam się nieznacznie, wychwytyjąc kątem oka fragment jego skrzydeł, zanim schował je za plecami. Jego rogi o nieregularnej powierzchni lśniły niczym wyciosane w ciemnym granicie. Wokół niego falowała ledwie widoczna osłona, zapewne będąca zaklęciem, które miało ukryć go przed ciekawskim wzrokiem ludzi i nadnaturalnych.

Na pace z tyłu samochodu tkwiły już dwie torby, na pewno należące do Charlotty i Frederica. Jedna z nich pachniała ziołami, a także lawendą i różami — domyślałam się, że właśnie w niej wróżka przechowywała potrzebne składniki, by w razie problemów wyleczyć poważniejsze rany.

Gdy tylko zajęłam tylne siedzenie razem z Silvyrem, Frederic wpakował się za kierownicę z papierosem w zębach. Wyciągnęłam z kieszeni kluczyki i podałam mu między siedzeniami. Wróżka wdrapała się na fotel pasażera i zapięła pasy. Niemal natychmiast wyjrzała przez uchylone okno. Flesh stał obok wozu przygotowany do lotu.

— Dlaczego tak bardzo liczy się czas? — zapytał Silvyr, przyglądając się spiętym plecóm Charlotty. — Możemy równie sprawnie poruszać się w mroku, wiesz o tym.

— Nie o to tutaj chodzi.

Odwróciła się na tyle, by móc spojrzeć mu w oczy. Jej dotychczas lazuruowe tęczęwki lśniły magią, nadając im barwę dwóch tarcz księżycy w pełni. Jej skóra lśniła szronem tak samo jak przy naszym pierwszym spotkaniu — jej magia była na wyciągnięcie ręki, niemal czułam na języku jej słodki, mglisty smak.

Poprawiła się na siedzeniu, a potem ponownie wbiła spojrzenie w okno. Pojedyncze słowa, które później wypowiedziała, wywołały u mnie ciarki. Poczułam chłód o wiele zimniejszy niż mróz panujący na dworze. Miała spięty, zaniepokojony głos, który jakby ponaglał nas, by natychmiast ruszyć w drogę. Nawet dźwięk odpalanego silnika go nie zagłuszył, gdy ponuro wymamrotała pod nosem:

— Nadchodzi burza.

~ KIRA ~

Podczas, gdy ja rozkręcałam długopis na pojedyncze części, Sonya przyglądała mi się ze swojego miejsca ze sceptycznym wyrazem twarzy. Od momentu, gdy porywacze zostawili nas w spokoju, minęło już kilka godzin i przez kraty zaczęło sączyć się słabe światło poranka. Obydwie potrzebowałyśmy odpoczynku, więc moim szatańskim planem odzyskania wolności za pomocą długopisu zajęłam się dopiero teraz po orzeźwiającym śnie, który nieco rozjaśnił mi w głowie. Pozostałością wody z butelki wymyłam z ust resztki smaku krwi jednego z porywaczy.

— Skąd pochodzisz? — zapytałam, przerywając ciszę.

Nie odrywałam wzroku od swoich dłoni, ale wyczułam, że dziewczyna zaczęła mi się przyglądać nieco uważniej. Sadząc po jej obrażeniach i wychudzonym organizmie, była więziona o wiele dłużej niż ja. Mogło to trwać miesiąc albo więcej, nie byłam pewna.

Sonya westchnęła pod nosem tak cicho, że ledwie to usłyszałam. Po celi poniósł się szmer, gdy usadowiła się wygodniej na twardej ziemi, oplatając dłońmi zgięte kolana.

— Mieszkałam w górach. — Wymieniła nazwę miasta, której nie znałam. — Urodziłam się w Los Angeles, jednak rodzice przeprowadzili się krótko po moich narodzinach.

— Jesteś tutaj długo? — Jedyne kiwnęła krótko głową. — Rodzina pewnie się o ciebie martwi.

— Wszyscy nie żyją.

Jej grobowy, beznamiętny głos na moment kazał mi przerwać pracę i podnieść wzrok. Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji, ale oczy lśniły bólem, który sama odczułam jedynie raz w życiu dawno temu po wydarzeniach, które po raz drugi uczyniły mnie sierotą — gdy zamordowano wilkołaki, które przygarnęły mnie do siebie, kiedy byłam niemowlakiem.

— Jak to się stało?

— Zamordowano ich.

Odpowiedziała bez wahania i spojrzała na mnie niemal wyzywająco, jakby chciała sprawdzić ogrom mojego przerażenia lub jakbym miała zamiar zakwestionować jej słowa. Nie zmieniłam wyrazu twarzy — współczułam jej, jednak taka wiadomość nie szokowała mnie tak bardzo jak dawniej. W moim zawodzie śmierć była nieodzownym, wszechobecnym zjawiskiem, naturalna lub niekoniecznie, gwałtowna lub powolna, tragiczna lub nie.

— Współczuję — rzuciłam krótko, nie spuszczać z niej wzroku. — Przypuszczam, że to nie jest stara sprawa, zgadza się? — Byłam niedelikatna, jednak nie przeprosiłam za wścibskość.

Sonya potrzebowała minuty, by odpowiedzieć na moje pytanie. Wyglądała, jakby miała problem z powstrzymaniem łez. Mogła udawać niewzruszoną, jednak potrafiłam rozpoznać oznaki tłumionego cierpienia.

— Zginęli kilka miesięcy temu. — Jej głos brzmiał bardziej ochryple niż wcześniej. — Rodzice i mój młodszy brat. Miał pięć lat.

Byłam ciekawa, kto był za to odpowiedzialny. Nie musiałam czekać długo, ani nawet pytać, by otrzymać tę informację.

— Szukali mnie od jakiegoś czasu, tak przynajmniej mi powiedzieli. — Oparła głowę o ścianę, wpatrując się w ziemię. — Zabili ich, kiedy ja wyszłam na miasto z przyjaciółmi. Alkohol, impreza, tańce. Wróciłam do domu sama po północy. Znalazłam ich w salonie. — Oblizwała popękane usta. — Wszyscy już byli martwi. Nie miałam szans im pomóc.

— To sprawka tych porywaczy?

Dziwne, ale nie wyobrażałam sobie Hansa i Douga w roli morderców, zwłaszcza, że ofiarami byli nadnaturalni. Rzadko który gatunek magicznych dawał sobie odebrać życie bez uprzedniej krwawej walki.

— Dwóch innych drabów, ich współników — odparła, szybko ocierając jedną, zagubioną łzę spływającą po brudnym policzku. — Ci dwaj złapali mnie, gdy próbowałam zadzwonić po policję. Wpadli do domu, uspili mnie, a potem wywieźli. Cały czas gadali o tym, jacy to tamci byli nieostrożni i niepotrzebnie zabili moją rodzinę. Przecież można ich było wziąć do niewoli tak jak mnie — sarknęła z nienawiścią buzującą w głosie. — Mordercy wynieśli się do innej siedziby w Chicago. Mnie ci zamknęli tutaj.

Na brzmienie słowa „Chicago” dostałam gęziej skórki, ale nie dałam nic po sobie poznać. *Kilka miesięcy to długo*, pomyślałam, przypominając sobie rany na ciele dziewczyny oraz niedawno okaleczone plecy. Hans i Doug musieli pokiereszować je na krótko przed tym, jak schwytali mnie. Przez te kilka miesięcy Sonya była zdana na ich zapędy sadystyczne oraz broń ze srebra, która tak samo jak w moim przypadku uszkadzała ciało i jednocześnie nie pozwalała na szybką regenerację. Torturowali ją, ale w jakim celu?

Wystarczy, że się zmienisz, paskudny kundlu, a nic ci nie zrobimy. Przemiana, nic więcej. To jest nasz jedyny warunek. I to chyba niewielka cena za uratowanie życia, co?

Hans chciał, bym się przemieniła, ale po co? Pomijając fakt, że zmiana postaci była dla mnie w pewnym sensie samobójstwem (kolce w kajdanach z łatwością rozerwałyby mi ścięgna, mięśnie i żyły za jednym zamachem),

to srebrne obręcze miały mnie przed nią powstrzymać, prawda?

— Cokolwiek ci powiedzą, nie zmieniaj się — odezwała się Sonya, przerywając raptownie moje rozmyślenia.

— Dlaczego to dla nich takie ważne?

— Oni sprzedają skóry — mruknęła, spoglądając na kraty nad naszymi głowami. — Jeśli tylko zmuszą cię do przemiany, natychmiast zaaplikują ci ten sam narkotyk, którym wcześniej cię uspili. Nie będziesz mogła wrócić do ludzkiej postaci, a oni osiągną swój główny cel. Skończysz jako dywan lub część garderoby.

Większej ilości szczegółów tej ponurej opowieści mogłam się domyśleć — porywacze zerwaliby mi z grzbietu skórę żywcem, potem dla pewności, że szybko umrę zaaplikowaliby mi kulkę między oczy, a potem pozbyli się ciała gdzieś w górach, zostawiając je na pastę dzikich, wygłodniałych zwierząt, które natychmiast zwabiłby świeży zapach krwi.

— Dlatego cię torturowali? — zapytałam. — Bo nie chciałaś się przemienić? — Gdy kiwnęła głową twierdząco, parsknęłam pod nosem. — Przecież okaleczenie cię równa się obniżeniu jakości towaru.

Brzmiałam bezdusznie, to był niezaprzeczalny fakt, ale chciałam dokładnie wiedzieć, o co w tym wszystkim chodziło.

— Na początku zadawali drobne rany, najwięcej na nogach, rękach i brzuchu. Gdy nie zmieniałam nastawienia, zaczęli torturować mnie coraz częściej i z większym skutkiem. Zdaje się, że w pewnym momencie zaczęło im to sprawiać przyjemność. — Przełknęła ślinę. — A raz ich poniosło. Stąd ta rana na plecach. Już nie nadaje się do wygarbowania, więc prawdopodobnie mnie zabiją.

Powiedziała to bezbarwnym głosem, lecz wyczułam, że bała się tego, co prawdopodobnie ją czekało. Oprócz śmierci pozostawała także opcja, aby sprzedać ją jakiemuś alfonsovi, który zatroszczyłby się, by Sonya wykorzystała swoje ciało i zarobiła na swoje utrzymanie. Nawet okaleczone dziewczęta, a zwłaszcza nie będące ludźmi, brano pod uwagę jako kolejne młodociane prostytutki, szczególnie dla wampirów lubujących się w wysysaniu swoich panienek podczas seksu, czasami nawet do ostatniej kropli. Nie powiedziałam tego na głos — nic by to nie zmieniło, a już na pewno nie pomogło.

Ponownie skupiłam się na częściach skradzionego długopisu w swoich dłoniach. Kto mógł wiedzieć, kiedy ci dwaj idioci zrozumieją, że długopis zniknął? Czy w ogóle to zauważą i czy się tym przejmą? Takie typy miały w nosie takie drobiazgi, lecz liczyłam się z tym, że w każdym momencie mogła czekać nas kolejna wizyta z ich strony, coś w rodzaju rewizji. *Pewnie będą chcieli po raz kolejny mnie uspić. Niedoczekanie wasze*, warknęłam w myślach, zasługując na aprobatę milczącej dotychczas Banshee. Jej brutalna siła i chęć mordy nie mogła nas uwolnić, więc wilczyca, z pewną niechęcią, wcześniej oddała wszystkie stery w moje dłonie.

— Jak masz zamiar nas uwolnić z pomocą zwykłego długopisu? — Sceptyczny ton Sonyi podkreślała zmarszczka formująca się między ciemnymi brwiami. — Skoro nie napiszemy tym listu pożegnalnego, to może pozew sądowy?

Nie odpowiedziałam, docierając do niewielkiej sprężynki owiniętej wokół wkładu. Z uśmiechem na ustach wzięłam ją w palce, a resztę elementów schowałam do kieszeni płaszcza. Końcówka wkładu mogła idealnie posłużyć jako broń — dźgnięcie w oko mogło unieruchomić przeciwnika na kilka sekund.

Podniosłam kajdany na nadgarstkach do oczu, by dokładnie przyjrzeć się dziurce od klucza. Sonya cały czas mnie obserwowała. W pewnym momencie zza jej pleców po raz kolejny wyłonił się długi, czarny ogon, którego końcówka poruszała się niespokojnie w prawo i lewo niczym u kota.

Zaczęłam prostować sprężynę w palcach, używając swojej nadnaturalnej siły. Gdy w końcu udało mi się uzyskać całkowicie prosty drut, zaczęłam wyginać jego końcówkę tak, by była idealnie dopasowana do zamka w kajdanach. Nauczył mnie tego jeden z bezdomnych elfów z Nowego Jorku — miał on wyjątkowo zręczne dłonie, dzięki którym mógł kraść jedzenie z magazynów na tyłach najróżniejszych restauracji i knajp na obrzeżach miasta, a także drobne przedmioty od nieświadomych niczego turystów. Kiedy znalazł mnie na ulicy jako małe, zagłodzone dziecko, pokazał mi kilka sztuczek, które mogły mi się przydać w dalszym życiu i przetrwaniu. Opuściłam Nowy Jork bogatsza o umiejętności małego włamywacza i dobrego oszusta.

Gdy chciałam wypróbować własnoręczny zrobiony wytrych, do moich uszu dotarły kroki skrzypiące na śniegu. Sonya drgnęła nerwowo. Coś w brzęczeniu metalu w dłoniach człowieka zaniepokoiło ją o wiele bardziej niż wcześniej. Dźwięk wydawał się inny, oprócz narzędzi słyszałam coś innego, znajomego. W momencie, gdy zrozumiałam, co takiego usłyszałam, krata opadła z brzękiem na bok, a na ziemi wylądował jeden nóż, rękawica z ostrzami oraz srebrne kolce, te bardzo przypominające grabie.

Spojrzenie moje i dziewczyny skrzyżowały się na chwilę, póki po drabinie nie zszedł szybkim krokiem Hans. Jego chuda twarz wyglądała jeszcze gorzej w świetle dnia. Uśmiech wykrzywający wąskie wargi zdawał się dwa razy okrutniejszy niż wcześniej.

— Chyba już czas zakończyć zabawę, koteczku — zaświergotał porywacz, pochylając się w kierunku narzędzi u swoich stóp niczym dziecko wybierające zabawki do piaskownicy. — Już na nic nam się nie przydasz. Kiedy z tobą skończę, zajmę się naszym wrednym kundelkiem. — Posłał mi morderczy uśmiech, wsuwając na dłoń rękawicę poplamioną zaschniętą krwią swojego towarzysza.

Już nie nadaję się do wygarbowania, więc prawdopodobnie mnie zabiją.

Tak, Sonya miała rację. Jednak żadna z nas nie przypuszczała, że jej koniec miał nastąpić tak wcześnie. I to na moich oczach.

Zacisnęłam kły, które powoli wysunęły się z dziąseł. Gdy tylko Hans odwrócił się do mnie plecami, szczerząc się do Sonyi, zaczęłam grzebać wytrychem w dziurce od klucza. Z niepokojem obserwowałam, jak człowiek zbliża się do dziewczyny z gotowymi narzędziami do użycia. Zakłęłam cicho, gdy drut złamał się podczas zbyt gwałtownej próby odpięcia kajdan. Odrzuciłam go na bok z gniewem.

Sonya posłała mi na początku spłoszone, a potem pociemniałe, zrezygnowane spojrzenie. Poczulałam burzącą się z gniewu bestię w środku moich trzewi.

Nie pozwolimy jej umrzeć.

Obie dokonałyśmy wyboru — ja i Banshee. Spojrzałam na kolce, które otarły moją skórę na nadgarstkach. Zakłęłam po raz kolejny na myśl o tym, co chciałam zrobić. *Czy ja kompletnie oszalałam? Mam narazić się dla tego dzieciaka?* Ponownie spojrzałam na dziewczynę i jej prześladowcę. Zakłęłam soczyście pod nosem, ale nikt nie zwrócił na to większej uwagi.

Pierwszy raz od dzieciństwa przymknęłam powieki, aby się pomodlić. Chwilę później powoli otworzyłam oczy i to akurat w momencie, gdy pierwszy cios rękawicy Freddy'ego Kruegera[1] powalił Sonyę na bok.

Warknęłam z głębi trzewi tak drapieżnie, jakbym była lwem. Napięłam mięśnie ramion i podniosłam się na nogi, czując kolce powoli wsuwające się pod skórę. Gdy nad moją głową w oddali usłyszałam dziwny, cichy trzepot skrzydeł, wyrwałam łańcuchy ze ściany i rzuciłam się wprost na człowieka.

[1] **Freddy Krueger** — fikcyjna postać, główny bohater z serii horrorów *Koszmar z ulicy Wiązów*. Poparzony morderca zabijał dzieci własnoręcznie skonstruowanym narzędziem zbrodni — rękawicą z ostrzami zamiast palców.

Rozdział IV

~ KIRA ~

Zanim moje kły zatopiły się w miękkim ciele, poczułam ostry ból rozrywanych mięśni. Kolce utkwily głęboko w moich nadgarstkach i kostkach, niemal odbierając mi władzę nad przednimi kończynami. Zdołałam dopaść porywacza w przyływie adrenaliny i przegryźć mu gardło, oswajając się z nieprzyjemnym chrzęstem towarzyszącym pękającemu kruchemu, ludzkiemu kręgosłupowi. Ciało opadło bezwładnie na ziemię. Osunęłam się obok niego na zimny beton, powstrzymując okrzyk bólu.

Uniosłam dłoń do światła i skrzywiłam się, widząc strumyki krwi ściekające po jasnej skórze i wsiąkające w materiał płaszcza. Zaciśniłam zęby, czując srebro niemal palące żywe tkanki. Szarpnęłam kajdanami, pogarszając ból, ale jednocześnie uwalniając się od nich. Zebrałam siłę, by dokonać tego ze wszystkimi łańcuchami, a potem oparłam się o ścianę, skupiając energię w zranionych miejscach.

Leczenie uszkodzonych mięśni byłoby prostsze bez srebra zebranego na brzegach rany, jednak po długich minutach siedzenia bez ruchu szczypanie i agonia towarzyszące regeneracji zmniejszyły się, przechodząc w swędzenie i dziwne uczucie dyskomfortu. Uniosłam głowę, by ocenić pozostałe szkody. Dłonie były do połowy zagojone, ale na szczęście krew przestała płynąć, dzięki czemu uniknęłam wykrwawienia się. Nogi wyglądały o wiele lepiej — twarde kości wytrzymały nacisk i zatrzymały kolce na dosyć płytkiej głębokości.

Odetchnęłam głęboko, przywołując do porządku szybko bijące serce. Ciało Hansa jeszcze drgało, jednak rana na szyi była śmiertelna. Podniosłam się powoli, sprawdzając sprawność swoich nóg. Wytrzymały one obciążenie, więc ominęłam kałużę krwi oraz trupa i podeszłam do Sonyi. Była nieprzytomna. Obróciłam delikatnie jej głowę, oglądając obrażenia. Uderzenie Hansa było mocne na tyle, że ostrza w rękawicy przecięły policzek w trzech miejscach — rany były długie, sięgały od ust aż do kącika oczu, jednak nie uszkodziły gałki ocznej ani powieki. Korzystając z okazji, okrążyłam ją i zerknęłam na jej plecy. Syknęłam na widok kilkunastu świeżych szram na łopatkach oraz dolnej partii skóry. Na jednej z łydek dziewczyny odkryłam poważne, głębokie nacięcie, pewnie od noża, biegnące wzdłuż całego mięśnia i niemalże naruszające kość. Na pewno nie była to chirurgiczna precyzja. Rana była poważna i już zagnieździła się w niej poważna infekcja. Spojrzałam na nieprzytomną twarz nastolatki. Byłam ciekawa, czy tak dobrze ukrywała ból, czy może tkanka była na tyle uszkodzona, że naderwano połączenia nerwowe, odpowiedzialne za przekazywanie impulsów do mózgu. Być może adrenalina utrzymywała ją w pełnej świadomości i pozwalała walczyć

z infekcją oraz cierpieniem. Teraz jednak potrzebowała pomocy.

Pomyślałam o drugim porywaczu i poczułam wściekłość. Z oddali nasilał się dźwięk, który zarejestrowałam wcześniej w pośpiechu — trzepot skrzydeł zbliżający się w szybkim tempie. Moje serce zabiło tak mocno, że poczułam ból w piersi. Zerknęłam w stronę Sonyi i ruszyłam w stronę drabiny. Nadal niezagojone dłonie na moment odmówiły posłuszeństwa, ale zapałam się i po chwili byłam już na zewnątrz.

Powiew mroźnego powietrza otrzeźwił mnie i rozjaśnił umysł. Poplamiony płaszcz załopotał na wietrze. Czułam zapach płynący prosto z gór — woń zamarzniętych strumieni i iglastych lasów. Gdy moje oczy przywykły do otaczającej mnie bieli, około kilkunastu metrów od celi ukazał się niewielki, drewniany dom przypominający bardziej starą szopę niż budynek mieszkalny. Z niewielkiego komina sączyła się wąska struga dymu, co podpowiedziało mi wyraźnie, że to tam ukrywali się porywacze. Teraz został tam jedynie ranny Doug, któremu szczerze życzyłam, by był przygotowany na moją wizytę.

Do moich uszu dotarł już nie tylko szum skrzydeł, ale także wycie silnika. Obejrzałam się na prowizoryczną, wąską ścieżkę, którą jako jedyną można było uznać za drogę, którą mógł poruszać się jakikolwiek samochód. Zmrużyłam powieki, oddychając głęboko świeżym powietrzem. Zanim na horyzoncie pojawił się znajomy wóz, westchnęłam ciężko pod nosem. Na niebie rysowała się ogromna, ciemna sylwetka wyprzedzająca samochód o dobre dwadzieścia metrów.

Flesh wylądował kawałek ode mnie. Jego demoniczna postać wydawała się ciemna niczym atrament pośród śniegu — po chwili zrozumiałam, że otaczał się ciemną aurą, która wypływała spod skóry niczym dym. Rogi załśniły w słońcu, na moment mnie oślepiając. Złożył potężne skrzydła, oddychając szybko pod nosem, zupełnie jak po długim biegu. Wpatrywał się we mnie nieruchomo, tak samo jak ja w niego, zanim porwał mnie w ramiona i pocałował, wciskając język w moje usta. Poczułam ciepło rozlewające się po kościach, jakbym połknęła płomyk Świętego Ognia.

Ledwie zarejestrowałam, że za plecami Flesha zatrzymał się mój samochód. Ze środka wysiadł Frederic, Charlotta, Amelia i Silvyr. Wszyscy wpatrzyli się w naszą dwójkę, głównie z ulgą na mój widok. Odsunęłam się od demona z nikłym uśmiechem na ustach, czując bolesne pulsowanie w nadgarstkach i kostkach nóg. Rany nie mogły się szybko zagoić, co odczuwałam coraz mocniej z każdą minutą.

— Miło was widzieć — rzuciłam donośnie, szczerząc kły. — Jeszcze trochę, a musiałabym wracać do domu piechotą.

Amelia uściskała mnie otwarcie, śmiejąc się pod nosem.

— Spodziewaliśmy się krwawej łaźni, a tutaj cisza i spokój — zamruczał udawanie rozczarowanym głosem Frederic, zagryzając papierosa w zębach.

— Skoro o tym mowa, mam...

Nie dokończyłam zdania, gdy w twarz uderzył mnie ostry podmuch wiatru. Wszyscy skuliliśmy się, chroniąc nasze twarze przed odłamkami lodu i śniegu. Ponownie usłyszałam trzepot skrzydeł, tym razem potężniejszy i niebezpiecznie bliski. Flesh objął mnie ramieniem, starając się zasłonić mnie przed zimnem. Uniosłam głowę, próbując odnaleźć źródło hałasu.

— Pojawił się na czas — zamruczał Frederic obok mnie, prostując się.

Wyglądało na to, że tylko czarodziej wiedział, co dokładnie się działo. W polu widzenia zamajaczyła mi czyjaś sylwetka. Pomiędzy podmuchami wiatru dostrzegłam mężczyznę stojącego blisko linii lasu. Nie musiałam zbytnio wysilać wzroku, by zobaczyć jego ogromne, białe skrzydła, o wiele większe od tych posiadanych przez Flesha. Jego twarz o wyrazistych, norweskich rysach wykrzywiał uśmiech. Miał skórę jasną niczym śnieg, podczas gdy włosy lśniły srebrem niczym tarcza księżycy — były zaledwie o dwa tony ciemniejsze od moich własnych. Na jego widok poczułam dreszcze biegnące po plecach niczym przestraszone stado mrówek.

— Widzę, że nie przegapiłem imprezy — zaintonował nieznajomy, idąc swobodnie w naszym kierunku.

Miał ten sam płynny krok co Flesh, jednak w ruchach jego bioder oraz ramion było coś o wiele bardziej pierwotnego i zwierzęcego, jakbym patrzyła na prawdziwą bestię w ludzkiej skórze traktowanej jedynie jako swego rodzaju kostium. Z bliska jego oczy miały barwę płynnego metalu i lśniły niepokojąco. Gdy był zaledwie kilka kroków od nas, poczułam bijącą od niego magię. To było jak cios w żołądek — w przeciwieństwie do energii Flesha, ta aura była lodowata niczym śmierć i tchnęła niesamowitym poziomem mocy. Bez problemu rozpoznałam w nim kolejnego demona.

— Poznajcie proszę Sorena — mruknął Frederic. — Wybaczcie jego niespodziewaną wizytę, ale wezwałem go do pomocy.

Zwróciłam na obcego demona spojrzenie zirytowanej wilczycy, czując tężającą w żyłach krew.

— Czy wam się znudziło siedzenie we własnym wymiarze? — zachnęłam się głośno, przykuwając zdziwione spojrzenia swoich towarzyszy. — Przez całe życie nie widziałam na oczy demona, a potem nagle spotykam dwa w przeciagu jednego miesiąca. — Parsknęłam pod nosem. — Cyrk na kółkach!

Soren nie wydawał się zrażony moim gadaniem, za to posłał mi szeroki, zawadiacki uśmiech. Krótko ścięte, jasne włosy wydobywały z jego rysów coś królewskiego, starego, mimo że ludzka powłoka mogła uchodzić za trzydziestolatka w pełni swoich sił. Czułam od niego woń papirusu, ognia, ale także lodu, zupełnie jakby krył w sobie niewyobrażalny chłód zakorzeniony głęboko w jestestwie.

— Chcesz nam pomóc? — zapytałam po chwili, uspokajając nerwy.

Uniósł wysoko brew.

— Mam u Frederica dług, więc kiedy mnie wezwał, natychmiast przybyłem z odsieczą. — Powoli rozejrzał się dookoła. — Chociaż trudno o jakąkolwiek dobrą zabawę na takim lodowym pustkowiu.

— Mamy coraz mniej czasu — zamruczała groźnie Charlotta, bezceremonialnie mu przerywając.

Spojrzałam w tym samym kierunku co i ona. Na niebie zbierały się ołowiane, ciężkie chmury przysłaniające nikłe, zimowe słońce. Ich groźba wisiała nad nami niczym topór kata. Moja wilczyca poruszyła się niespokojnie, złościąc pazurami w moim umyśle.

— Nadchodzi burza. — Głos Charlotty ociekał powagą. — I to potężna. Jeśli się nie pośpieszymy, możemy się z nią spotkać.

Nie klóciłam się z tym ponurym stwierdzeniem. Spojrzałam na Sorena otwarcie, gotowa podjąć wszelkie ryzyko.

— Nie znam cię, ale powierzę ci ważne zadanie. Jeśli coś schrzanisz, demon czy nie, będziesz martwy, zanim zdołasz mrugnąć powieką — warknęłam z głębi trzewi, zbliżając się do niego powoli. — Zrozumiałeś?

Ani drgnął, widząc moją stanowczość, za to jego oczy stały się poważniejsze. Zniknął zabarwiony kpiną uśmiezek. Nie bał się mnie, wiedziałam to na pewno, jednak wyczuł, że należy się ze mną liczyć. W pewien sposób mnie to zadowoliło.

— Słyszałem o tym, że masz charakterek — rzucił pod nosem. — Co mam robić, wilczyco?

— Niedaleko tego domu jest podziemna cela. Jest tam jedno ludzkie ciało i nieprzytomna magiczna. Spal truchło, a dziewczynę zabierz daleko stąd, najlepiej do mojego mieszkania i chroń ją za wszelką cenę. Frederic wytłumaczy ci, jak dolecieć do miasta. — Spojrzałam krótko na czarodzieja, tak naprawdę nie oczekując od niego niczego oprócz krótkiego kiwnięcia głową, które mi zaserwował. — Charlotta, będziesz tam potrzebna, więc zabierz samochód i wracaj razem z nimi. Tutaj nie ma już co zbierać. A raczej nie będzie, tylko dajcie mi kilkanaście minut. — Zerknęłam na Amelię i Silvyra. — Ich też zabierz ze sobą.

— A co z tobą? — zapytała natychmiast wróżka.

— Mam tutaj jeszcze coś do zrobienia — powiedziałam, obnażając czubki zębów. — Flesh pomoże mi wrócić.

Przyjrzała mi się dokładnie wprawnym okiem, bezbłędnie celując jasnym spojrzeniem w moje poranione, na wpół zagojone dłonie. Schowałam je pod przykryciem płaszcza, dając spojrzeniem wróżce wyraźny znak, by milczała. Moje rany dało się wyleczyć później, teraz najbardziej obawiałam się o Sonyę.

Kiedy po raz pierwszy podjęłam decyzję, by jej pomóc? Przed czy po tym, jak opowiedziała mi, w jakich okolicznościach trafiła do niewoli? Może w momencie,

gdy zrozumiałam ogrom bólu, który dopadł ją tutaj, w tej celi, sam na sam z dwoma ludzkimi łowcami, rządnyimi jej zwierzęcej skóry? Nie, odpowiedź była o wiele prostsza. Zabierałam ją ze sobą niczym zagubione kocie głównie dlatego, że była hybrydą, tak samo jak ja. To przesądziło sprawę szybciej niż jakikolwiek inny aspekt tej sprawy.

Charlotta bez słowa wsiadła do samochodu razem z wampirzycą i Silvyrem. Ta dwójka także nie protestowała przeciwko moim rozkazom. Frederic rzucił niedopałek prosto w śnieg i przydeptał go czubkiem buta. Przeszył mnie uważnym, ciemnym spojrzeniem.

— Spotkamy się u ciebie w domu. Zdaje się, że masz nam sporo do opowiedzenia — mruknął, wodząc wzrokiem po okolicy.

Odwrócił się do Sorena i zaczął rozmawiać z nim przyciszonym głosem. Wytłumaczył mu jak dotrzeć do miasta i mojego domu, a potem szybko zniknął we wnętrzu samochodu. Gdy tylko wóz odjechał, niktąc powoli w mroku drzew, odwróciłam się i ruszyłam do niewielkiego domku. Flesh szedł powoli za mną, łypiąc jednym okiem na Sorena. Wydawał się spięty niczym struna od gitary — szedł wyprostowany i czujny. Drugi demon całkowicie go zignorował, szybkim krokiem okrążył celę, znajdując ją pośród grubej warstwy śniegu i zanurkował do środka, niemal frunąc po metalowej drabinie.

— Znacie się? — zapytałam po krótkiej chwili, nie patrząc w kierunku swojego partnera.

— Można tak powiedzieć — odpowiedział cicho Flesh, przenosząc spojrzenie na mnie. — Mogą być z nim poważne kłopoty — stwierdził spiętym głosem.

— Z wami, demonami, nigdy nie ma sielanki — zaśmiałam się krótko pod nosem i przystanąłam przed drzwiami chaty.

Zapach ludzkiej krwi oraz strachu przenikał przez drewniane ściany niczym trujący kwas. Oblizalam wargi, czując tępe pulsowanie w naruszonych mięśniach nadgarstków i nóg. Ponownie poczułam trwożę, która towarzyszyła porywaczowi w chwili, gdy zacisnęłam wilcze szczęki na jego przedramieniu, niemal wrywając je ze stawu. Rana musiała być poważna i jeśli jego kumpel od brudnej roboty nie zatrzymał dobrze krwotoku, nie spodziewałam się zastać w środku swojej ofiary całkowicie żywej.

— Co teraz? — W oczach Flesha zalśnił piekielny, szafirowy ogień.

— Powyrywamy kilka nówek wyjątkowo niepokornemu owadowi — odezwałam się śpiewnym tonem, szczerząc w pełnej okazałości zwierzęce zęby. — Nawarzył sobie sporo piwa, więc teraz się nim zadławi.

~ SOREN ~

Cela tonęła w półmroku mimo kręgu miękkiego, dziennego światła

sączącego się z góry przez uchyloną klapę. Rozejrzałem się dookoła, zatrzymując na chwilę spojrzenie na martwym człowieku u moich stóp. Leżał na brzuchu w kałuży własnej krwi z wprawnie rozerwanym gardłem, skąd przez szkarłat przebijała ostra biel kości i szpiku. W powietrzu unosiła się wyraźna woń gniewu wymieszanego ze strachem oraz ostrym bólem towarzyszącym nagłej śmierci.

Jednym, szybkim ruchem ręki sprawiłem, że truchło stanęło w błękitnych płomieniach Świętego Ognia, zmieniając się w garstkę popiołu w przeciągu zaledwie kilku sekund. Patrzenie na to ludzkie ścierwo wzbudzało we mnie obrzydzenie.

Schowałem skrzydła, by nie zajmować więcej przestrzeni niewielkiego lochu niż to było konieczne, a potem zlustrowałem celę uważnym wzrokiem. Najpierw dostrzegłem w zasięgu światła otwarte kajdany oraz przymocowane do nich kolce, całe tonące we krwi. Ukucnąłem, przesuwając opuszką palca po połyskującym metalu. Krew była ciepła, wręcz gorąca, jakby dopiero co wytrysnęła prosto z żył na srebrne pęta. Posmakowałem jej, wdychając do płuc słodki, nieco metaliczny zapach. Rozpoznałem woń tamtej białowłosej wilczycy i wyprostowałem się z kucek z nikłym uśmiechem migającym na twarzy. Jej krew była słodka jak miód.

Wcześniej wyczuwałem od niej pokłady mocy nad wyraz wielkiej jak na wilkołaka. *Nie*, warknęła cicho moja podświadomość, *ona nie jest wilkołakiem*. Owszem, wyczuwałem w niej wewnętrznego wilka ukrytego płytko pod skórą, jednak była czymś o wiele więcej. W ciągu swojego długiego życia spotkałem wiele stworzeń, jednak Kira Santiago, o której kiedyś wspomniał mi Frederic, a którą nareszcie poznałem, nie była niczym, z czym miałem dotychczas do czynienia. To było fascynujące i niepokojące zarazem.

Mój nos powiódł mnie w drugi kąt celi, podążając za nikłą, słodką nutą, którą niemal do końca maskował zapach ludzkiej i magicznej krwi oraz burzliwych emocji. Skulona sylwetka leżąca na gołej ziemi przyciągnęła mój wzrok. Ukucnąłem ponownie, wyciągając dłoń. Gdy tylko odgarnąłem z twarzy dziewczyny pukle ciemnych, skołtunionych włosów, ujrzałem twarz równie bladą co górski śnieg i ciemne, długie rzęsy rzucające nikły cień na poszarpany, krwawiący policzek. Trzy podłużne szramy były świeże. Obejrzałem dziewczynę od stóp do głów, uważnie lustrując poranione plecy, liczne siniaki oraz stłuczenia, spuchniętą od infekcji nogę oraz wychudzone ciało. Została potraktowana dużą ilością srebra, głodzili ją i okaleczali, raz za razem.

W trakcie moich milczących oględzin powieki dziewczyny minimalnie drgnęły. Spojrzałem jej w twarz, spodziewając się paniki na mój widok. Jednak wzrok, który mi posłała, na poły nieprzytomny, nie był naznaczony strachem. Miała oczy barwy lodu, w których lśniła nie tylko magia, ale i ślad zwierzęcia. To właśnie ono patrzyło na mnie przez kilka długich sekund, póki powieki nie

zatrzepotały niczym skrzydła motyla i ponownie opadły.

Dotknąłem kajdan pętających jej nogi i ręce. Święty Ogień z łatwością załatwiłby sprawę, jednak mogłem przy tym zranić także ją. Przysunąłem się i złapałem pętle zębami. Potężne, twarde kły nie mieszczące się w ustach zacisnęły się mocno, krusząc surowiec łatwo niczym skorupę orzecha. Uwolniłem dziewczynę, a potem ostrożnie wsunąłem dłonie pod jej plecy i kolana, żeby ją unieść. Była niewiarygodnie lekka. Jej głowa opadła bezwładnie na moje ramię. W porównaniu do mojego chłodnego ciała jej skóra niemal płonęła gorączką.

Rozwinałem skrzydła na tyle, na ile pozwalały mi ciasne ściany celi, a potem wystrzeliłem w górę, prosto w niebo. Ołowiane chmury niemal sine na tle mglistego błękitu sunęły powoli znad gór i okalały wszystko cieniem oraz mrozem. Pierwsze płatki śniegu natychmiast stopiły się na skórze dziewczyny, tworząc na jej twarzy krople wody.

Zamachałem skrzydłami, burząc nieruchome niemal zamarznięte powietrze. Sylwetka Kiry oraz towarzyszącego jej demona odcinały się wyraźne na tle wszechobecnego, białego puchu. Istota na moich rękach nie poruszała się, oddychając płytko.

Ruszyłem ponad ciemnymi koronami drzew, ani razu nie oglądając się za siebie. Kira nakazała mi nie popełnić żadnego błędu, a na pewno byłoby nim czekanie, aż dziewczyna umrze w moich ramionach. Przyśpieszyłem, mijając mającący w dole samochód z Fredericem za kierownicą, który próbował wyrównać koła na wyboistej, gruntowej drodze, a potem zniknąłem wśród chmur.

~ KIRA ~

Otworzyłam drzwi domku z impetem, pozwalając im uderzyć o ścianę. Huk rozszedł się po cichym pomieszczeniu niczym wystrzał. Zlustrowałam wzrokiem kominek z dogasającym ogniem, dwa krzesła samotnie ustawione w kącie, prowizoryczną kuchenkę na gaz, a także starą, wyświechtaną kanapę, na której leżał ciemny, skulony kształt. Na widok Douga poczułam przemożną chęć mordy, którą z pełnym entuzjazmem podzielała także moja wilczyca.

— Zostaw mnie! — wrzasnął spanikowany człowiek, wijąc się na posłaniu niczym piskorz. — Zostaw mnie w spokoju! Nie chcę umierać — jęknął żałośnie, patrząc na mnie oczyma okrągłymi z przerażenia.

— Dziwne, bo aż się o to prosisz — zaświergotałam głosem podobnym do śpiewu słowika. — Po zabawie w Boga chyba nadszedł czas na twoje ostateczne dokonanie nędznego żywota, nieprawdaż? Bardzo obrazowo i nad wyraz plastycznie pokażę ci, co znaczy pojęcie „morderstwo w afekcie”. Twój kolega miał już swój pokaz w pierwszym rzędzie, specjalnie dla VIP-ów. — Mój głos ociekał słodyczą. — Teraz twoja kolej.

Za moimi plecami czał się Flesh w swojej pełnej, demonicznej formie. Gdy

wszedł za próg domu, w środku zrobiło się o wiele goręcej. Powietrze stało się ciężkie od aury otaczającej jego sylwetkę niczym kokon. Wokół jego skrzyconych rogów widziałam światło przypominające blask płomieni, a w źrenicach odbijały się piekielne ogniki. Na jego widok porywacz szarpnął się do tyłu, aż w oczach stanęły mu łzy bólu. Spojrzałam na jego rękę i poczułam cichą satysfakcję — prowizoryczny opatrunek był czerwony od krwi i ledwie mieścił się na opuchniętej kończynie. Gdybym pozwoliła mu żyć, na pewno straciłby całe przedramię lub umarł po wdaniu się infekcji, która już atakowała otwartą ranę.

Flesh stanął u mojego boku ze skrzydłami złożonymi po bokach, a mimo to zajmował niemal połowę wolnej przestrzeni. Doug wpatrywał się w niego kilka sekund, a potem we mnie, wodząc wytrzeszczonymi oczyma między naszą dwójką, jakby nie wiedział dokładnie, z której strony padnie pierwszy, a z której ostateczny cios.

Podeszłam do tego człowieka i pochyliłam się nad nim tak nisko, że poczułam w nosie smród jego strachu drażniący niczym pieprz. Oparłam się o zagłówek kanapy i wbiłam zimne spojrzenie w przerażone oblicze mojego niedoszłego oprawcy. Zastanawiałam się, jakby to wyglądało, gdyby to właśnie on siedział przykuty w zimnej celi zdany całkowicie na moją łaskę. Byłby niczym zapędzone w róg, zaszczute zwierzę, które należałoby jedynie dobić. Poczułam w ustach posmak żółci.

— Zanim przejdę do tej zabawnej części naszego ostatniego spotkania — zamruczałam pod nosem — powiesz mi dokładnie, kto nasłał na mnie ciebie i twojego sympatycznego kumpla. — Uśmiechnęłam się, jednak nie był to uśmiech ani ciepły, ani sympatyczny, a nawet niezbyt ludzki. — I nie wmawiaj mi, że tego nie wiesz, bo przysięgam, że dokończę to, co zaczęłam wcześniej — warknęłam ostrzegawczo, spoglądając wymownie na zmiażdżone ramię, które kurczowo trzymał swoją zdrową dłońią. — I od razu wyczuję, gdy spróbujesz kłamać, więc nie marnuj czasu, ani mojego, ani swojego.

Próbował się odsunąć, jednak nie miał żadnego pola do manewru. Spoglądałam na niego nieugięcie, obserwując wstępujące na jego czoło krople zimnego potu oraz dreszcze przechodzące przez całe ciało.

— Powiedział nam jedynie, że jest biznesmenem i w jego interesie leży dobro miasta. — Ledwie powstrzymał prychnięcie, na moment zapominając o strachu przede mną oraz Fleshem. — Dał nam cynk na ciebie. On miał sprowadzić cię pod tamten klub, a my mieliśmy załatwić całą resztę.

Przetrawiłam te informacje, milcząc przez moment.

— Jakim środkiem mnie uspiliście? — Mój głos był niemal grobowy.

— To jakaś nowa formuła, z nas dwóch to Hans się tym zajmował. Receptę podał nam ten tajemniczy zleceniodawca. Zapewniał, że podziała idealnie, nawet na kogoś takiego jak ty.

Zacisnęłam zęby tak mocno, że zgrzytnęły, jakbym gryzła nimi piach.

— Zatem wracam do mojego pierwszego pytania: kim jest wasz zleceniodawca? — Każde słowo zaakcentowałam wyraźnie z osobna, coraz bardziej wytrącona z równowagi.

— Przedstawił się jako Q — wymamrotał poblądły na widok mojego gniewu Doug, ledwie poruszając ustami. — To wszystko, co wiem. Przysięgam...

Ostatnie słowa utonęły w trzasku dogasających polan w kominku. Odwróciłam się na tyle, by spojrzeć na Flesha. Na jego twarzy nie wyczytałam zaskoczenia, jedynie prawdziwą wściekłość na wieść o tym wszystkim. Obydwoje już wiedzieliśmy, kto stał za całym tym porwaniem, a dzięki tajemniczej formule miałam być uległa i nieszkodliwa, a nawet gdyby to nie zadziałało, Quentin liczył, że moja bestia weźmie górę i mimo zagrożenia przyjmę swoją zwierzęcą formę. Jeden zastrzyk wystarczyłby, bym utknęła w formie wilka, którego Doug oraz Hans z przyjemnością obdarliby żywcem ze skóry.

— A co wiesz o waszych dwóch wspólnikach? — zapytałam, przypominając sobie bezbarwną, zabiedzoną twarz Sonyi. — Tych, którzy byli odpowiedzialni za porwanie tamtej dziewczyny?

— Oddali nam ją, a potem wyjechali do Chicago. — Pogodzony ze swoim marnym losem, Doug śpiewało ochoczo niczym ptaszek. — Mamy tam niewielką bazę. Mieliśmy zająć się tobą i tą dziewczyną, a potem do nich dołączyć.

— Podaj mi konkretny adres — warknęłam niezbyt uprzejmie.

Zapamiętałam adres, który strachliwie wyjąkał porywacz, a potem odsunęłam się na odległość jednego kroku. Przyjrzałam się rannemu okiem zabójcy, rozważając najlepszą opcję ukrócenia jego nędznego żywota. Flesh obserwował mnie z boku, co jakiś czas łypiąc okiem na Douga. W nikłym blasku płomieni z kominka włosy demona lśniły szafirem, podczas gdy oczy miały barwę pełnej tarczy księżyca.

— Flesh, urządz tutaj czystkę — powiedziałam cicho, stojąc na tyle blisko, by poczuć jego magię głaszczącą mnie po twarzy. — Już z nim skończyłam.

Odwróciłam się i wymaszerowałam na zewnątrz. Miałam dość smaku ludzkiej krwi na jeden dzień. Odetchnęłam głęboko zimnym powietrzem, czując nadchodzącą śnieżycę. Odeszłam na bezpieczną odległość, ruszając w kierunku celi. Zajrzałam do środka, pochylając się do przodu. Pustka oraz popioły ścielące beton upewniły mnie, że Soren wypełnił zadanie, które mu powierzyłam.

Mój wzrok z powrotem padł na dom. Przez moment trwała całkowita cisza, którą nagle przerwał huk wybuchu. Drewniane ściany oraz dach stanęły w płomieniach, wznosząc ku ołowianym chmurom ciemny, ciężki dym. Fala ciepłego powietrza poruszyła moimi włosami i nakazała zmrużyć na moment powieki. Flesh wyłonił się z płomieni, rozkładając swobodnie cieniste skrzydła. Na jego jasnym torsie nie pozostała żadna smuga sadzy czy popiołu, tak samo jak na

włosach czy spodniach. Podeszedł do mnie powoli luźnym i swobodnym krokiem. Nadal patrzyłam na ogień ponad jego ramieniem. Nie odezwał się, póki delikatnym, ale stanowczym gestem podniósł jedną z moich dłoni i podwinął rękaw płaszcza. Nie zaprotestowałam. Na widok w połowie zagojonych ścięgien jego twarz się ściągnęła i spochmurniała.

— Powinniśmy wracać. Charlotta się tobą zajmie — zamruczał pod nosem, przejeżdżając kciukiem po bliznowatej, wrażliwej skórze.

— To przez srebro — powiedziałam cicho, śledząc wzrokiem ruch jego palców. — Bardziej martwię się o tamtą dziewczynę. Mieli ją w swoich łapach o wiele dłużej niż mnie. Brakowało jej mojego ducha oraz siły, by uchronić się przed tymi wszystkimi torturami, jakie jej zaserwowali. Pozostanie jej wiele blizn.

Flesh wymruczał coś w nieznanym mi języku, czego nie zrozumiałam, ale mogłam się założyć, że było to coś gorszego niż jakiegokolwiek znane mi przekleństwo. Zaciśnęłam palce na jego dłoni w milczeniu. Nie mogłam powiedzieć nic, co ukołoby jego nerwy zszargane przez te dwa dni niepewności.

— Jestem pewna, że Quentin nie przemyślał dokładnie swojego szatańskiego planu, gdzie to dwoje ludzi zabija mnie i usuwa ze sceny na dobre. — Mój głos pobrzmiwał cichym warkotem wilka. — Albo nie zna mnie tak dobrze, jak myślał przez te lata. Potrzeba o wiele więcej niż podejrzanego narkotyku i dwóch ludzkich łowców skór, by mnie ostatecznie wykończyć.

Na ustach demona zamigotał błądy uśmiech.

— Chyba nie docenił upartości z jaką trzymasz się życia. — Przynął się bliżej. — Nie docenił także mojej cierpliwości. Jestem poza systemem waszego wymiaru i bez oglądania się na prawa oraz zasady mogę skrócić go o głowę.

— To byłoby idealne wyjście, by zapobiec kolejnym posunięciom tego nieśmiertelnego szaleńca, jednak wykonanie na nim wyroku spowodowałoby o wiele więcej kłopotów niż korzyści.

— Nie zmienia to faktu, że mam ochotę posmakować jego krwi.

— Nie tylko ty tego pragniesz — zapewniłam go z żarem w głosie.

Ten pocałunek także był pełen pasji, ale i subtelności. Poczulałam na języku smak słodkiego, czerwonego wina i mimowolnie zachichotałam pod nosem.

— Misje ratunkowe powinno się prowadzić na trzeźwo, zwłaszcza, gdy jesteś lotnikiem. — Rzuciłam wymowne spojrzenie w kierunku jego potężnych skrzydeł.

— Tylko ty potrafisz doprowadzić demona do alkoholizmu — zaśmiał się, odzyskując swobodniejszą postawę. — I z chęcią pokazałbym ci, że nawet po kieliszku dobrego wina potrafisz idealnie sterować, jednak musimy się zdać na mój inny sposób podróżowania, nieco mniej komfortowy dla ciebie. — Podniósł głowę i spojrzał na coraz ciemniejsze niebo. — To będzie potężna burza, której nie chciałbym pokonywać w powietrzu, zwłaszcza w towarzystwie.

Podzielałam jego niepokój — w powietrzu gromadziła się energia, która mówiła wyraźnie, że znad gór nie napływały zwykle opady śniegu, tak jak do tej pory, od kiedy zaczęła się zima. Czekala nas silna śnieżycyca, którą chciałam przeczekać w domu, wśród bezpiecznych, ciepłych czterech ścian.

Mimo wzmocnionego organizmu, podwyższonej temperatury ciała oraz masy futra ani ja, ani Banshee nie lubiliśmy zimna.

Rozdział V

~ KIRA ~

Podróż do domu trwała zaledwie minutę. Opuszczenie lodowego pustkowia głęboko w górach i znalezienie się na własnym podwórku zaliczyłam do jednej z pięciu najlepszych chwil w moim życiu. Zamiast Bruno zza domu wyskoczył Duch i niczym jasna strzała pognał w naszym kierunku. Machanie ogonem oraz ciepłe spojrzenie błękitnych oczu przekonały mnie, że zwierzak wita mnie z pełną radością.

Flesh zaprowadził mnie do środka. Burza nie zdołała jeszcze bezpośrednio zawisnąć nad miastem, jednak na horyzoncie szybowwały już ciężkie, sine chmury, gotowe wypluć z siebie w każdej chwili prawdziwy huragan. Zamknęłam drzwi, przepuszczając Ducha w wąskim korytarzu.

Przyjrzałam się tłumowi zebranemu w moim salonie i mimowolnie poczułam, że moje ciało opuszcza chłód. Amelia, Silvyr, Frederic i Charlotta oraz Flesh stojący za moimi plecami tworzyli ekipę, której widok uświadomił mi, jak bardzo to myśl o nich wszystkich pozwoliła mi uwolnić się od ludzkich zabójców.

— Co z dziewczyną? — skierowałam pytanie do Charlotty, jednocześnie szukając podejrzliwym wzrokiem Sorena, drugiego demona, na którego imię Flesh zareagował głośnym zgrzytaniem zębów.

Wróżka wytarła dłonie w ręcznik i odwróciła się do mnie. Cały materiał, niegdyś biały, pokrywały naloty z krwi.

— Większość obrażeń zdołałam wyleczyć za pomocą magii i ziół, jednak rozcięcie na nodze wygląda paskudnie i równie paskudnie się goi. — Westchnęła ciężko, ocierając pot z czoła. — Do rany dorwała się poważna infekcja. Zbiłam gorączkę i naprawiłam większość tkanek, jednak przez najbliższe dni dziewczyna musi odpocząć i zdać się na siły własnego organizmu.

Wiedziałam, że to nie wszystko — mina Charlotty wyraźnie zapowiadała jeszcze gorsze nowiny. W przekazaniu ich mnie wyręczył ją Frederic oparty o okno i spoglądający na podwórko za domem.

— Srebro uszkodziło układ nerwowy oraz kości. Obrażeniami nie zajmowano się wystarczająco długo, by rana się zainfekowała i osłabiła cały organizm. — Skierował na mnie ciemne spojrzenie. — Jeśli jej układ odpornościowy sobie poradzi, tkanka się odbuduje, jednak istnieje spore ryzyko, że będzie powracał ból, a noga pozostanie słabsza. Amputacja nie jest konieczna, jednak uszkodzenie nerwów nigdy nie zagoi się do końca.

Przełknęłam gorzką pigułkę, która utknęła mi w gardle. Ponownie poczułam gniew wlewający się do krwi — gniew na myśl, co wycierpiała Sonya przez te długie miesiące, zanim zdołałam ją uwolnić.

— Gdzie ona jest?

— Położyliśmy ją w twojej sypialni. Jest nieprzytomna, teraz odpoczywa — odparła Charlotta z pewnym spięciem w głosie. — Zabiegi, które na niej przeprowadziłam, może i były skuteczne, ale na pewno nie należały do przyjemnych.

— Czego mi nie mówisz? — zapytałam, obserwując mars uformowany na jej czole między błękitnymi brwiami.

Amelia chrząknęła cicho, spoglądając na mnie kątem oka.

— Soren siedzi tam z nią, od kiedy tylko obydwójce pojawili się w domu. I nie chce się wynieść.

Flesh spał mięśnie, tak samo jak ja. Wbiłam wzrok we Frederica, który zdawał się nie być zaniepokojony takim stanem rzeczy. Uniosłam lekko ciemną brew.

— Ufasz mu? — zapytałam krótko, patrząc na niego intensywnie.

— Tak, ufam mu — odrzekł natychmiast bez zastanowienia i żadnego wahania, odpowiadając na moje spojrzenie uśmiechem. — Nie jesteśmy może kumplami od drinków, jednak Soren to honorowy demon. Ma u mnie stary dług, który teraz spłaca. Zapewne siedzi tam dlatego, gdyż rozkazałaś mu chronić tę dziewczynę. — Poszerzył nieco zawadiacki uśmiech. — I będzie to robił, póki nie uzna, że zakończył swoje zadanie.

— Jakim cudem mój dom zmienił się w hotel dla wszelkiej maści istot magicznych? — zapytałam głośno, spoglądając na tłum zebrany dookoła. — Nie mam zamiaru trzymać pod dachem kolejnego lokatora, Frederic.

— On nie potrzebuje wiele miejsca — odparł z niewinną miną.

Wymamrotałam pod nosem soczyste przekleństwo.

— Muszę wziąć prysznic i ubrać się we własne ubrania — powiedziałam głośno, wzdychając ciężko. — Rewelacje z ostatnich dwóch dni mogą poczekać — dodałam, widząc, że towarzysze chcą zabrać głos. — Wypocznijcie i wróćcie tu jutro, najlepiej po zmroku. Porozmawiamy i ustalimy, co zrobić z tym całym głównem dalej.

Nie czekając na ogólny protest, ruszyłam na schody, a potem na górę. Usłyszałam za sobą kroki, ale zwolniłam dopiero pod drzwiami łazienki. Amelia stanęła obok mnie, otulając się ramionami.

— Zanim Charlotta zajęła się tą dziewczyną w twoim pokoju, przygotowałam ci ubrania, leżą przy zlewie. Pomyślałam, że będzie ci to potrzebne.

Kiwnęłam krótko głową, czując nagle wielkie zmęczenie.

— Dziękuję — odpowiedziałam, trzymając dłoń na klamce.

Amelia wahała się przez moment, a potem odetchnęła głęboko, jakby podjęła jakąś decyzję.

— Dlaczego ją uratowałaś? — zapytała szybko, jakby zaraz miałyby się

rozmyślić. — Przyznam, że przebywanie w jej obecności dziwnie na mnie wpływa. Nie wiem, jak dokładnie to nazwać, ale jej energia jest inna, podobnie jak... jak u ciebie — dokończyła niepewna mojej reakcji na swoje słowa.

— Jest podobna do mnie nie tylko w tym względzie — powiedziałam stonowanym głosem. — Widziała więcej niż powinna w tak młodym wieku. Chcę jej pomóc. Poza tym, ona nie ma gdzie się podziać. Już raz ją złapali, a nie chcę, by doszło do tego ponownie. Nie jest w stanie uciekać.

Odwróciłam się, oficjalnie kończąc naszą rozmowę.

— Frederic i Charlotta pojechali do miasta, a Silvyr czeka na mnie na zewnątrz. — Oparła się o balustradę schodów. — Zostanę z nim w hotelu na kilka dni. Będziesz miała więcej przestrzeni dla siebie. Flesh zapewnił mnie, że się tobą zajmie. Zdaje mi się także, że nie chce zostawiać cię samej z Sorenem w jednym domu.

Wiedziałam, co miała na myśli, bo sama widziałam niechęć malującą się na twarzy Flesh'a, gdy tylko mowa była o nieznanym demonie. Podziękowałam Amelii ponownie, kazałam jej na siebie uważać i weszłam do łazienki, zamykając za sobą drzwi. Już w środku z wielką przyjemnością ściągnęłam z siebie brudny, zakurzony płaszcz, rzuciłam go na podłogę, a potem oparłam się rękoma o umywalkę. Moje włosy były splątane i brudne, opadały ciężką kaskadą na ramiona. Siniaki zdobyte podczas podróży samochodem porywaczy znikły całkowicie już kilka godzin po zamknięciu w celi, jednak nabiłam sobie kilka nowych, gdy rzuciłam się z kajdan prosto na Hansa — teraz mieniły się fioletem na moich udach oraz przedramionach. Rany na dłoniach nadal się goiły, a ja zapomniałam o nich wspomnieć kochanej, leczniczej wróżce. Świeże blizny na kostkach lśniły bielą niewiele jaśniejszą od mojej skóry, ślad po uderzeniu przez porywacza na mojej twarzy zbladł, teraz był ledwie widoczny, a pęknięta wtedy warga całkowicie się zasklepiła.

Nie przypomielałam kwitnącego kwiatu, jednak mogło być o wiele gorzej. Moje dwukolorowe oczy odbijały sztuczne światło płynące od żarówki, podkreślając kontrastujące ze sobą odcienie. Niemal mechanicznym ruchem rozczesałam długie kosmyki grzebieniem, wyczesując z nich nikłe ślady krwi, mojej oraz ludzkiej. Ciało wołało o pomstę i pulsowało niemal boleśnie, domagając się odrobiny uwagi. Weszłam pod prysznic, błogosławiąc dotyk chłodnych płytek podłogi pod swoimi stopami zamiast zimnego betonu oraz ciepłej wody obmywającej skórę zamiast ciekącej z wilczego pyska krwi atakującego mnie człowieka.

Zmyłam z siebie powierzchniowy brud oraz wszelkie cudze zapachy ulubionym, aksamitnym płynem do kąpieli. Nadgarstki traktowałam ze szczególną ostrożnością, nie naruszając ich procesu regeneracji. Nie byłam uczulona na srebro tak mocno jak wilkołaki czystej krwi, jednak surowiec ten utrudniał leczenie ran

oraz powodował powstawanie nowych blizn.

Skrzywiłam się, przeciągając się tak, by rozluźnić napięty kręgosłup. Spędzenie dwóch dni w pozycji siedzącej nie służyło mojemu wytrenowanemu ciału, które przyzwyczajone było niemalże do ciągłego ruchu.

Powiew chłodu na moich plecach mnie zaniepokoił — można to przypisać niedawnym, nieco traumatycznym doświadczeniom. Odwróciłam się, gotowa wyrwać z siebie bestię. Natychmiast schowałam kły i rozluźniłam się, gdy za zasloną prysznicową dostrzegłam znajomą, ciemną sylwetkę. Gdy Flesh odsunął kurtynę, przez woń mydła oraz szamponu dotarła do mnie charakterystyczna woń jego ciała. Wdychałam ją niczym narkotyk, upajając się poczuciem świeżo odzyskanego bezpieczeństwa.

Wpakował się pod prysznic bez zbędnego zaproszenia. Pierwszy raz widziałam go nago i nie mogłam powiedzieć, by cokolwiek mnie rozczarowało. Miał silne, umięśnione barki oraz tors swojej demonicznej formy, których nie próbował już maskować pod ludzką powłoką. Przesuwałam dłońmi po śliskiej od wody, gładkiej skórze w kolorze jasnego marmuru. Jego mokre włosy opadały na oczy, więc odgarnął je niedbałym ruchem ręki. Gdy przycisnął mnie do ściany i przytrzymał rękoma, miał w sobie wiele z lwa, który zalśnił w jego szafirowych oczach. Moja Banshee obudziła się, pobudzona i gotowa do tego, co praktycznie planowała od samego początku naszej znajomości.

Flesh wodził rękoma po moich ramionach, obnażonych piersiach i biodrach, czerpiąc satysfakcję z pocałunków wilgotnymi ustami po delikatnych miejscach na mojej szyi, obojczyku i za uchem. Jego zaloty dostarczały mi niesamowitej przyjemności i nie pozostawałam mu dłużna. Gdy moje palce zawędrowały w odległe rejony poniżej linii bioder, demon zaśmiał mi się do ucha niskim, ochryplym głosem, jednak mnie nie powstrzymał. Chwyciłam jego męskość w dłoń, jednocześnie skubiąc jego dolną wargę wilczymi kłami. Nie zdziwiłam się na widok ostrych zębów wychylających się z jego ust, a nawet ciemnych, zakręconych rogów, które wyrosły nagle w podmuchu ciepła, niemal parując w zetknięciu z wodą.

Gdy syknęłam, wykonując zbyt gwałtownym ruch ręką, Flesh zatrzymał się w pół ruchu i spojrzał na mnie spod ciemnych, mokrych włosów.

— Nie dałaś ich uleczyć? — zapytał, patrząc na delikatną skórę nadgarstków.

— Mogę to zrobić jutro — odparłam, maskując chwilowy ból delikatnym wygięciem warg. — Regenerują się, chociaż wolno.

Demon trzymał moje dłonie w swoich, przyglądając się zablizniającej się tkance. Poczulałam gęsią skórę na ramionach, gdy przyłożył usta do jednej z ran i posłał w jej kierunku mały krąg Świętego Ognia — to były zaledwie iskry w porównaniu do płomieni, którymi spalił chatę w górach, jednak mimo

to poczułam, że włoski na karku stanęły mi dęba. Powtórzył zabieg także drugi raz i odsunął się, szczerząc zęby. Przyjrzałam się skórze, odsuwając się poza zasięg wodospadu ciepłej wody. Nadgarstki były całkowicie zagojone, a po ranach pozostały jedynie małe, zgrubiałe blizny, niewielkie okręgi okalające moje dłonie niczym bransolety.

— Święty Ogień potrafi ranić — odparł Flesh cicho — jednak potrafi także leczyć. Nie jestem najlepszy w leczniczej magii, nie tak jak niektóre demony z mojego wymiaru, jednak wiem o niej podstawowe rzeczy, które mogą pomagać.

Pocałowałam go, by uciąć rozmowę. To, co zrobił, że użyczył mi swojej magii, było znakiem dla mnie i Banshee. Znakiem, na który czekałam, by uczynić go moim.

Śledziłam palcami ścieżki każdej z blizn na jego ciele — na plecach, biodrach, jedna mieściła się na piersi, kilka centymetrów od serca, a jedną odnalazłam na ramieniu, niewiększą niż kilka milimetrów. Potem uniosłam dłoń i przejechałam opuszkami po jego powiece oraz jasnej bliźnie, która ją przecinała. *Później zapytam, skąd ją ma, pomyślałam. Później, na pewno nie teraz.*

Nasze oddechy się mieszały, ginąc w szumie odkręconego prysznicza. Ocierałam się o niego w uniesieniu, wydobywając z jego płuc zadowolony, lwi pomruk. Wbiłam paznokcie w jego ramiona niemal do krwi i oplotałam go nogami, czując za plecami zimne kafelki. Flesh posiadł mnie szybko, bez zbędnych przedłużeń, wyduszając z moich płuc całe powietrze. Miałam wrażenie, że moja skóra płonęła w miejscu, gdzie mnie dotykał. Poruszaliśmy się we własnym rytmie, równie dzikim i pierwotnym jak żądze, które pchnęły nas ku sobie. *Kiedy poczułam do niego pierwsze uklucie pożądania? Podczas pierwszego spotkania, a może nieco później?*

Długo po tym, jak odsunęliśmy się od siebie na tyle, na ile było to możliwe w ciasnej kabinie, nadal drżałam, cały czas czując smak jego języka na swoich zębach oraz zapach jego skóry na swoim ciele. Gdybym wydobyła z gardła ten triumfalny skowyt, który w głowie serwowała mi Banshee, połowa miasta wiedziałaby, co właśnie zrobiliśmy, wołałam się więc powstrzymać.

Zakręciłam wodę. Staliśmy naprzeciwko siebie zdyszani, póki z gardła Flesh'a nie wydobył się najprawdziwszy, głęboki śmiech, prosto z trzewi. Jego ostre zęby niczym u piranii nie zniknęły, tak samo jak rogi, więc widok był co najmniej fascynujący. Przetarłam twarz rękoma, czując dziwne ciepło w okolicach żołądka.

— Tak bardzo się cieszę, że jesteś cała — powiedział nadal z uśmiechem, opierając głowę o drzwi kabiny.

Spojrzałam na niego najpierw zdziwiona, a potem zasłoniłam oczy przedramieniem, raz po raz delikatnie stukając tyłem głowy w ścianę. Po niecałych kilku sekundach poczułam dłonie demona na moich policzkach, mokrych teraz nie tylko od wody kapiącej mi z włosów. Zmusił mnie, bym spojrzała mu prosto

w oczy. Jego źrenice miały barwę oszlifowanego szafiru. Były spokojne niczym morze po burzy. Zobaczyłam w nich swoje odbicie, co dziwnie obciążało moje płuca. Trudniej było mi oddychać. Przycisnął moją głowę do swojego ramienia i przyłożył wargi do mojego czoła. Kiedyś stawiałabym się takiemu gestowi czułości ze strony kogokolwiek, jednak teraz po prostu zamknęłam oczy, otaczając jego talię ramionami.

Przypomniałam sobie naszą kłótnię pod hotelem, gdy zarzuciłam mu, że zależy mu tylko na Ogarze — legendzie, którą karmił się od dłuższego czasu. Sądziłam wtedy, że to właśnie obietnica pomocy łączyła mnie z jego osobą, nic więcej. Banshee zaczęła ocierać się o granice mojego umysłu, tak jak chciałyby to zrobić w stosunku do Flesha. Nie, nie tylko obietnica nas ze sobą łączyła. Nawet nie chodziło o seks, to było coś więcej, na poziomie zarówno naszych mocy, tak jak i umysłów.

Flesh bez zbędnych słów wyprowadził mnie spod prysznic, a potem otulił ręcznikiem. Przyglądałam mu się w milczeniu, nie protestując, gdy zaczął czesać mi włosy. Myśl o demonie bawiącym się w niańkę była zabawna, jednak w tym momencie nie potrafiłam zdobyć się na uśmiech. Uczucie, kiedy jego męskie ręce przesuwają się po mokrych kosmykach, delikatnie je rozplątując, by potem wygładzić je szczotką, było tak miłe, że powieki same mi się zamknęły. To mogło trwać minutę albo nawet godzinę, a ja całkowicie straciłam poczucie czasu. Ocuciło mnie, gdy Flesh przesunął wargami po moim ramieniu.

— Należy ci się porządny odpoczynek. — Spojrzał na moje odbicie w lustrze. — Jesteś wykończona.

Nie zaprzeczyłam. Byłam już między snem a jawą, kiedy prowadził mnie do gościnnej sypialni. Bezceremonialnie wpakował mnie do łóżka, a potem zasłonił okna. Na zewnątrz słyszałam już nasilające się wycie wiatru oraz grudki lodu uderzające o szyby. Charlotta miała rację, nadchodziła groźna burza. Była już tuż, tuż za rogiem.

Wpatrywałam się w szafkę nocną, póki pola widzenia nie zasłonił mi demon. Położył się obok, wyciągnął długie ciało na pościeli i przygarnął mnie do siebie ramieniem.

— Musimy kiedyś to powtórzyć — wymamrotałam już z zamkniętymi oczyma.

Cały materac się zatrząsł, gdy Flesh zdusił śmiech.

— Mówisz o czesaniu twoich włosów, czy może o sesji pod prysznicem?

— O obydwóch opcjach — zamruczałam, wkopując się głębiej w pierzynę.

Zasypiając, modliłam się, by umysł nie podsyłał mi żadnych snów. Miałam nieprzyjemne przeczucie, że byłby w nich człowiek ze srebrnym nożem w dłoniach pragnący mojej śmierci.

Obudziłam się kilka godzin później, gdy na zewnątrz w pełni szalała śnieżycą. Wstałam, odsłoniłam zasłony i patrzyłam. Chmury były niemal czarne i wypluwały z siebie nie tylko śnieg, ale i kule lodu uderzające z całą mocą w szyby. Przyglądałam się pogodzie za oknem jedynie kilka sekund, potem z całą stanowczością zasłoniłam je z powrotem.

Flesh przez cały czas leżał wyłożony na łóżku, śpiąc snem sprawiedliwego. Głowę miał odchyłoną na bok, szafirowe włosy były rozsypane na poduszce, a męskie, w pełni nagie ciało wychylało się spod kołdry, której jedynie niewielki skrawek zdołał skryć pod sobą skarby kryjące się poniżej pasa. Uśmiechnęłam się leniwie pod nosem, spacerując po pokoju tak cicho, by go nie obudzić.

Owinęłam ciało jedwabnym szlafrokiem, który znalazłam powieszony na haczyku w łazience, a potem podreptałam na parter, nasłuchując ciszy panującej w całym domu. Znalazłam się na progu salonu, pamiętając, że za drzwiami mojej sypialni znajdowała się Sonya. Nie wiedziałam, w jakim teraz była stanie i wołałam na razie jej nie niepokoić swoją obecnością.

Widok Sorena stojącego przy oknie balkonowym mnie nie zaskoczył, jednak mechanicznie spięłam mięśnie ramion. Banshee była bardzo terytorialna, wiedziałam to, a jednak nawet na Flesha nie zareagowała tak ostro jak na tego demona — szarpnęła się w mojej podświadomości tak nagle, że poczułam skurcz wszystkich wnętrzości. Powściągnęłam jej złość, jednak mierzyłam intruza podejrzliwym, chłodnym spojrzeniem z rękoma założonymi na piersi.

Soren był co najmniej kilka centymetrów wyższy od Flesha i nawet bez demonicznej formy jego sylwetka przypominała ciało wikinga. Stał wyprostowany, swobodny, nie wyczułam od niego żadnego napięcia, mimo że był na zupełnie obcym terytorium. Srebrzyste włosy lśniły w półmroku okalającym pokój tak samo jak jasne, drapieżne oczy. Ich źrenice były zwężone, na pewno nieludzkie. Wpatrywał się nimi nieruchomo w okno, zachmurzone niebo oraz żywioł szalejący za warstwą szkła.

— Wyglądasz, jakbyś chciał znaleźć się na zewnątrz — powiedziałam przytłumionym głosem, opierając się o ścianę, ale nie przekraczając progu salonu.

Uśmiechnął się pod nosem, nie patrząc w moim kierunku.

— Narodziłem się z lodu i kryształu, wilczyco i znane mi są burze o wiele gorsze niż ta. — Nadal był odwrócony do mnie profilem, ale dostrzegłam błysk w jego oku.

— Wypełniłeś już swoje zadanie. — Moje słowa zabrzmiały niemal nagłaco. — Czy sprawił to dług u Frederica czy nie, jestem ci bardzo wdzięczna.

— Wyczuwam twoją niechęć i nie dziwię się jej — wyznał szczerze demon. — Moi pobratymcy wszelkiej maści rzadko są mile widziani w waszym wymiarze. Chociaż widać, że księżę przypadł ci do gustu — odparł po chwili,

delikatnie kiwając głową w kierunku sufitu, gdzie mieściła się gościnna sypialnia.

Zmarszczyłam lekko brwi.

— Książę? — zapytałam pozornie obojętnym tonem, jednak wewnątrz odczuwałam piekącą ciekawość.

Soren uśmiechnął się ponownie, tym razem z nutką kpiny. Odwrócił się lekko w moją stronę, nie opuszczając swojej pozycji przy oknie.

— Zdaje się, że nawet on zapomniał o swoim pochodzeniu i statusie — zamruczał niskim głosem. — Lub wołał ci o nich nie wspominać. Nie interesuję się demoniczną polityką, jednak o tym, jak Flesh obrał drogę z daleka od swojego dziedzictwa, słyszałem z wielu plotek, które krążą po innych wymiarach. Niemal zamieszkał w ludzkim świecie, odizolował się od swych pobratymców, własnej rodziny i korzeni. Nie potępiam go, bo byłbym hipokrytą. — Wyszczrzył kły długie i cienkie niczym u węża. — Obydwoje idziemy własnymi ścieżkami, nie oglądając się na innych.

To niewiele mi wyjaśniało, ale nie spodziewałam się od Sorena konkretnej odpowiedzi. Musiałam poczekać, by móc wypytać o te kwestie Flesha osobiście. Nie spuszczałam z demona wzroku, rejestrując nawet najmniejszy ruch. Nie przeszkadzała mu moja nieufność ani nawet fakt, że energia wilka wibrowała mi pod skórą złotą falą.

— Jak ona się czuje? — zapytałam, kiwając głową w kierunku sypialni.

Soren ponownie wbił wzrok w burzę za oknem, bardziej w zamyśleniu, niż żeby uciec od mojego taksującego spojrzenia. Wydawał się namyślać nad odpowiedzią, chociaż w wyrazie jego twarzy było coś, co mnie zaciekawiło.

— Aktualnie śpi. Gorączka opadła, ale nadal jest osłabiona. — Przymknął lekko powieki. — Wróżka poradziła sobie dobrze z opatrywaniem jej ran i miała rację, dalej już organizm dziewczyny musi poradzić sobie sam.

— Nie musisz jej pilnować — powiedziałam, ledwie ukrywając chęć wyrzucenia go za próg mojego domu. — Spłaciłeś swój dług.

— O tym może zdecydować jedynie Frederic — odparł spokojnie Soren. — Nie przejmuj się mną, wilczyco. Nie zagrażam ani tobie, ani nikomu z twoich bliskich.

— Nie ufam demonom, na pewno nie kilka godzin po pierwszym spotkaniu. — Mój głos był zimny, ale opanowany. — Flesh zasłużył sobie na moje zaufanie. I zawarł ze mną umowę.

— A gdybym i ja to zrobił, zaufałybyś mi?

— W pewnym stopniu — odparłam, wyszukując oznak kpiny w głosie Sorena.

— Fascynuje mnie twoja aura — powiedział, gładko nakierowując rozmowę na nowy tor. — Nie chodzi tylko o twoje mieszane pochodzenie, chodzi o coś, co pochodzi od ciebie samej. Masz energię i moc, którą mógłbym spokojnie uznać za

potężną. — Na jego twarzy malowało się nagle zafascynowanie. — W niej także coś jest — rzucił ciszej. — Coś wyjątkowego, mimo że to dopiero zalążek potęgi.

Nie musiałam pytać, o kim teraz mówił. Spojrzałam odruchowo na zamknięty pokój, gdzie w środku leżała wyczerpana Sonya. W celi wyczuwałam od niej pewne wibracje, oznaki mocy. Była hybrydą, to nie ulegało wątpliwości, lecz innego rodzaju niż ja. Nosila w sobie magię o czystszej postaci niż mój wilk, bardziej płynną i naturalną.

— To ona cię tutaj trzyma? — zapytałam Sorena. — Ciekawi cię?

— Jestem bardzo stary, łowczyni — stwierdził spokojnie demon. — Bardzo, bardzo stary. Nie potrafisz sobie tego wyobrazić. Niewiele istnieje rzeczy w waszym czy moim świecie, które mnie ciekawią. Widziałem istoty oraz wydarzenia, które nigdy nie zostały utrwalone w księgach, a już niewielu o nich pamięta. Nie użyłbym twojego określenia, że ona mnie „ciekawi”. Raczej pobudziła mój instynkt poznawczy, dawno nieaktywny. — Wyszczерzył kły, wsuwając dłonie do kieszeni spodni wiszących nisko na biodrach. — Zostanę, póki będzie mi to na rękę lub się nie znudzę. Twoja decyzja, czy zawiązać ze mną sojusz, będzie decydowała jedynie o tym, czy będziemy żyć w koegzystencji, czy raczej w atmosferze nadchodzącego pojedynku.

Decyzja nie była prosta. Coś w jego mocy, coś więcej niż demoniczna aura, ostrzegało mnie oraz mojego wilka. Był stary, wiedziałam to bez jego mocnego zapewnienia. Czaiła się w jego duszy cząstka tak pierwotna, że mogłaby widzieć początki całego świata i wszelkiego życia. Może właśnie tak było. Może te nieludzkie oczy widziały, jak świat narodził się z ciemności i początki życia? Banshee nadal przypominała mi, że zagrażał naszemu terytorium, ale już z mniejszą złością.

Uniosłam spojrzenie na jego twarz. Cierpliwie czekał ze swobodnym uśmiechem, jakby nie obchodziło o to, co ostatecznie postanowię. Westchnęłam cicho, myśląc o kolejnym demonie dyszącym mi w kark. Plusem całej tej sprawy był fakt, że Sonya uzyskała ochronę, o której mogła jedynie pomarzyć — nic, ani nikt kogo znałam, nie byłby w stanie pokonać demona, zwłaszcza tak potężnego jak Soren.

— Opiekuj się nią dalej, gadzie — rzuciłam pod nosem, jednak z dozą niechęci. — Frederic ci ufa, co przemawia na twoją korzyść. Nie sprawiaj kłopotów, a na pewno później rozstaniemy się w pokoju.

KSIEGA II
PEŁNIA

Rozdział VI

~ KIRA ~

Ciepły stek, który usmażyłam na oleju z przyprawami, skutecznie zapełnił mój żołądek i rozwiął niemiłe wspomnienie zimnego, niemal zamrożonego kawałka mięsa, który zaserwowali mi porywacze, a który był moim jedynym posiłkiem od dwóch dni.

Siedziałam w kuchni na krześle barowym, mrużąc oczy od światła lampy nad moją głową, gdy dołączył do mnie Duch. Pies przywędrował do kuchni za zapachem jedzenia i bezceremonialnie usiadł przy mojej nodze, oblizując pysk i posyłając mi spojrzenie smutnego szczeniaka. Rzuciłam mu spory kawałek mojego dania, patrząc z zadowoleniem, jak pałaszuje doprawione mięso, brudząc sosem swój ciemny nos. Zadzwoiłam wcześniej do Amelii i zapewniłam o swoim lepszym samopoczuciu. Nie powiedziałam tego na głos, ale byłam wdzięczna, że wampirzyca zostawiła swojego psiego kompana w moim domu — czułam się dzięki niemu rozluźniona i swobodna.

Soren, po naszej otwartej rozmowie, wrócił do roli osobistego stróża naszego zbłąkanego kotka. Ze swojego miejsca miałam na widoku kawałek korytarzyka, cały salon i wejście do sypialni. Flesh nadal spał smacznie na górze, a reszta domu tchnęła pustką i ciszą.

Siedziałam sama, zastanawiając się na spokojnie nad kilkoma aspektami misji ratunkowej zorganizowanej przez moich towarzyszy. *Jak mnie odnaleźli?* To pytanie było najważniejsze spośród innych i nurtowało mnie od momentu, gdy wykaraskałam się z łóżka, uleczona i wypoczęta, po szczęśliwych godzinach snu bez jakichkolwiek snów, dobrych czy złych. Co jakiś czas moje rozmyślania zakłócały wspomnienia Flesh'a oraz mnie podczas namiętnej sesji pod prysznicem. Do teraz miałam wrażenie, że czuję dotyk demona na swojej szyi, ramionach oraz piersiach — wszędzie, gdzie zapędziły się jego seksowne wargi. Częściowo była to wina Banshee, która zadowolona podsyłała mi najpikantniejsze momenty naszego sparowania.

Jednak zadowolona twarz Quentina przysłoniła wszystko, nawet miłe wspomnienia z ostatnich godzin. Zacisnęłam zęby tak mocno, że przegryzłam wargę — poczułam w ustach tępy, metaliczny smak własnej krwi. Za to, że wydał mnie w ręce tamtych ludzi, powinnam była zabić go teraz, bez wahania i litości. Wyobraziłam sobie jak rozrywam mu ciało kłami i pazurami, zdzierając z twarzy zarozumiały uśmiech oraz pozbawiając go kpiącego wzroku, którym cały czas mnie karmił. Wizja była tak prawdziwa i kusząca, że musiałam zacisnąć dłonie w pięści, wbijając pazury w skórę, by odwieść się od tego pomysłu. Zemsta w tym momencie nie dałaby mi nic oprócz pustej satysfakcji, a nastęrczyłaby sporo

problemów z chmarą już po fakcie.

Pieprzony wampir. To, że Quentin, wyznający cześć starodawnym formom rozwiązywania porachunków za pomocą własnej siły oraz broni, było jedynie wyraźnym dowodem, że po prostu stchórzył i wybrał prostszy, wyjątkowo podstępny sposób, by się mnie pozbyć. Nie wziął pod uwagę faktu, że moi towarzysze mnie odszukają, co cofało mnie ponownie do punktu wyjścia. *Jak oni znaleźli mnie na tym pustkowiu? Wątpię czy doprowadził ich do mnie GPS,* zażartowałam w duchu, kryjąc złość za sarkazmem. Gniew powoli wyparowywał, dzięki czemu mogłam ponownie się rozluźnić. Zimny spokój spłynął na mnie niczym woda z górskiego wodospadu. *Zemszczę się, w swoim czasie. Teraz muszę wy badać, co takiego teraz planuje Quentin.*

— Zapasy srebra — wymruczałam do siebie pod nosem, ze zgrzytem rysując widelcem niezrozumiałe wzory na brudnym talerzu. — W półciązarówce pozostała jedna pusta skrzynia, jednak w klubie musi być tego więcej niż jedna działka. Felicity widziała samochody dostawcze od paru tygodni, więc zapas musiał nieźle się powiększyć. Po co mu tyle srebra?

Wątpiłam, by Quentin nagle zaangażował się w przemysł jubilerski. Odwróciłam głowę, słysząc, jak Duch wierci się na starym posłaniu Bruno. Metalowe zapięcie jego obroży zabłysło na chwilę w świetle lampy. Zmrużyłam powieki, czując, że po plecach biegnie mi dreszcz niczym mokry, zimny robak. Oczy psa uchyliły się i spojrzały na mnie sennie.

Srebro. Wilk. Śmierć. Wyprostowałam się gwałtownie, czując ból w skroniach, jakbym dostała obuchem w głowę. Przypomniałam sobie moment, gdy tłumaczyłam Fleshowi podstawy konfliktu między wampirami a wilkołakami. Pokój między tymi dwoma rasami był względnie stabilny, zwłaszcza od momentu, gdy watahę przejął Samuel. John opowiadał mi kiedyś o poprzednim Alfie, bardzo młodym i porywczym, który piastował swoją pozycję krótki czas, głównie przez podburzanie wampirów, prowadzące do zaostrzających się konfliktów. Samuel odebrał władzę rywalowi, a potem zajął się naprawą stosunków z Nocnymi Wędrowcami. Powiedziałam Fleshowi, że wampiry oraz wilkołaki są zawzięci na swoje terytorium, szczególnie krwiopijcy pragnący coraz to nowych ziem.

Jeśli Quentin skupuje srebro, to chodzi mu o wilkołaki. Żadna inna rasa nie jest tak uczulona na srebro jak wilki, pomyślałam ponuro. *Skoro właśnie to robi Mistrz, zdaje się, że pragnie wojny.* Banshee wyświetliła w mojej głowie nieco chaotyczny obraz pełen śmierci, krwi i bólu. W naturze, wśród zwierząt, nie istniało słowo „wojna”. Moja wilczyca nauczyła się tego pojęcia dzięki światowi ludzi, dzięki moim przeżyciom i wiedzy. Dla niej brzmiało to obco, a jednak wywoływało niepokój, tak samo jak u mnie.

Moje rozmyślania przerwały ciche kroki. Uniosłam głowę, spodziewając się Flesha, jednak w progu pojawił się Soren. Oparł się swobodnie o próg kuchni,

spoglądając na mnie srebrzystymi oczyma — skrzyły się niczym szron zalegający na szybach.

— Obudziła się? — zapytałam, wstając i odstawiając brudny talerz do zlewu.

— Jak tylko się obudzi, zaraz ponownie odpływa — stwierdził spokojnie. — Organizm walczy kłami i pazurami, jednak potrzeba mu czasu. Jak długo była torturowana? — zapytał wprost, nie zmieniając swojego tonu, jednak wyczułam w nim zimną nutę.

Oparłam pośladki o krawędź blatu i założyłam ramiona na piersi.

— Podejrzewam, że około dwóch miesięcy, może trochę więcej. Powiedziała mi, że w celi łatwo straciła rachubę czasu. — Spojrzałam w bok, przypominając sobie jej posiniaczoną, bladą twarz oraz zachrypnięty głos, jakby długo nie używała go do niczego innego jak krzyk. — Wiele przeszła.

— Jej aura nie jest słaba, a ciało, mimo terazniejszych obrażeń, także nie jest cherlawe. Jakim cudem dała się złapać?

Mimo, że wwiercił we mnie spojrzenie, nie odpowiedziałam na to pytanie. Jeśli Sonya chciałaby z kimkolwiek więcej podzielić się historią o swoich zamordowanych rodzicach oraz bracie, na pewno by to zrobiła. Soren musiał poczekać, aż dziewczyna się obudzi i zapytać ją o przeszłość osobiście.

— Co takiego w niej zauważyłeś? — zapytałam, gładko zmieniając temat. — Co takiego kazało ci myśleć, że jest wyjątkowa?

Uśmiechnął się do mnie tajemniczo, wyginając jeden kącik ust. Jego źrenice na moment wydały mi się wąskie i pionowe, niczym u podstępного węża.

— Iskrę — odpowiedział krótko jedwabistym, stonowanym głosem — która kiedyś może zmienić się w prawdziwy płomień.

Po tych słowach bezceremonialnie podszedł do lodówki i otworzył drzwiczki, by spenetrować jej zawartość. Wpatrywałam się w jego plecy, intensywnie myśląc o jego słowach. Wyjął z chłodziarki małą butelkę wody, a potem wszedł w mrok salonu bez żadnego słowa. Po chwili dało się słyszeć odgłos otwieranych, a potem zamykanych drzwi.

Banshee, dotychczas milcząca, zamruczała nisko w moim umyśle skonfundowana tak samo jak ja. Przed oczyma stanął mi obraz kobry z obnażonym kołnierzem, a potem grzechotnik skryty za kamieniem, skąd dobywał się ostrzegawczy grzechot.

Może i nie wygląda jak wąż, ale to z pewnością gad.

W tym momencie nie mogłam się z nią nie zgodzić.

Siedziałam w kuchni tak długo, aż przez okno nie zaczęło sączyć się miękkie, brzoskwiniowe światło poranka. Spoglądałam w okno całkowicie nieobecna, obserwując mglistą lunę w barwie szkarłatu wykwitającą na horyzoncie. Śnieżycą minęła jakiś czas temu, a wiatr rozwiął ołowiane chmury wiszące nad miastem. Ten widok zajął mnie na tyle, że nie ruszyłam się, gdy Duch zamruczał na swoim posłaniu i obrócił się na plecy, niemal przytulając się bokiem do ściany.

Po wcześniejszych, ponurych rozmyślaniach oraz wnioskach z nich wychodzących nawet nie pomyślałam, by spróbować zasnąć na gorze razem z nagim Fleshem w łóżku, lecz zastygłam niczym rzeźba, cierpliwie wyczekując ranka.

Flesh zjawił się w kuchni około szóstej całkowicie wyspany z nisko wsuniętymi na biodra spodniami. Wchodząc do kuchni, przeczesywał palcami już i tak rozwichrzony włosy. Spojrzał na mnie, stojąc w progu i unosząc ciemną brew. Zerknęłam na niego krótko, a potem ponownie wbiłam spojrzenie w okno.

— A już myślałam, że zerwałaś się o poranku, by przygotować mi śniadanie do łóżka — zaśmiał się demon, opierając dłonie o krawędzie kuchennej wypsy.

Nie odpowiedziałam uśmiechem, dopiero co wyrrywając się z pajęczyny niepokojących myśli. Wyprostowałam się, krzywiąc usta, gdy zeszywniałe kręgi przeskoczyły na właściwie miejsce z cichym trzaskiem. Demon pojął, że coś jest na rzeczy i niemal natychmiast zmienił wyraz twarzy.

— Kiedy wstałaś?

— Nie mogłam spać — odpowiedziałam po prostu. — Zdaje się, że dwa dni siedzenia na tyłku pobudziły mnie wystarczająco do ruchu. Mam niezmierną ochotę pobiegać. Nie poszłam tylko dlatego, że natychmiast ruszyłbyś za mną.

— Od razu po porwaniu... — zaczął stanowczym głosem.

Przerwałam mu jednym ruchem ręki.

— W porządku, rozumiem, że zapuszczanie się teraz samotnie na otwartą przestrzeń jest ryzykowne. Quentin nadal nie wie, że żyję, jednak instynkt mi mówi, żebym się pilnowała i tępi nieco moje zapędy do polowania.

W jego oczach zaślnęła chęć mordu skierowana do porywaczy.

— Tylko nie zachowuj się teraz, jakbym była jajkiem o kruchej skorupce — powiedziałam, ledwie powstrzymując irytację. — Dałam się zaskoczyć, pierwszy raz od dawna, to prawda. Jednak teraz prędzej zginę, niż dam ponownie skuć się niczym cyrkowe zwierzę.

W moim głosie musiało zabrzmieć wystarczająco dużo chęci mordu oraz determinacji, bo na ustach demona wykwitł delikatny uśmiech. Niepokój się

rozwiął, a w oczach wymalowała się pewność.

Gdy parzył sobie kawę, leniwie kręcąc się za moimi plecami, nadal siedziałam w tym samym miejscu. Utrzymałam swobodną, leniwą pozę, a twarz wypraną z emocji nawet wtedy, gdy Flesh niemal podskoczył na dźwięk mojego głosu.

— Jak mnie znaleźliście?

Pytanie było zadane wyważonym, niemalże sennym głosem, jakby odpowiedź niewiele mnie obchodziła. Mimo wszystko demon musiał wyczuć stalową nutę w moim tonie, gdyż odstawił kubek na blat ostrożnie i z namysłem, zachowując milczenie. Czekałam kilka minut, zanim z ust Flesha wyrwało się urwane westchnienie.

— Zaprowadziłem ekipę po twoim tropie.

Nie poruszyłam się, chociaż moja wilczyca pragnęła skierować moje stalowe spojrzenie na jego twarz. Coś w mowie jego ciała podpowiadało mi, że dalsza część szczerzej odpowiedzi nie miała mi się spodobać. Gdy tylko zmusił się do mówienia, utwierdziłam się w tym przekonaniu.

— Jedynym sposobem, by cię odnaleźć, było poddać się pewnemu rytuałowi. Zaufałem Fredericowi, mimo możliwego ryzyka. To był najszybszy sposób.

Wiedziałam, o jakim rytuale była mowa. Może nie kształciłam się magicznie niczym magowie, ale wiele widziałam i słyszałam wiele, wędrując po świecie.

— I wybrałaś najszybszy sposób, zamiast zastanowić się nad tym, co może się stać, jeśli zakłęcie zawiedzie? — Podniosłam się powoli z krzesła, czując napływającą furię. — Czy w ogóle przeszło ci przez myśl, że mogłaś umrzeć?

Milczał przez kilka sekund.

— Tak.

Zacisnęłam zęby, niemal nimi zgrzytając. Flesh stał na mną odwrócony do mnie plecami. Modliłam się o spokój, chociaż wiedziałam, że i tak nic by to nie dało.

— Nigdy nie prosiłam wprost, by ktokolwiek ryzykował dla mnie życie. Nawet wtedy, gdy sprowadziłam Frederica, Charlotte i Silvyra do miasta, by pomogli mi z nowonarodzonymi wampirami i całym tym kramem. — Zacisnęłam palce w pięści, ledwie panując nad swoim głosem. — Chcę rozegrać wszystko tak, by nikt nie ucierpiał, oprócz mnie. A ty tak po prostu poddajesz się jakiemuś rytuałowi, wbrew wszelkim zastrzeżeniom. Czy ty w ogóle myślałaś? — wrzasnęłam, odwracając się w jego kierunku. — Co by się stało, gdybyś nie przeżyła? Co by się stało, gdybym sama się uwolniła, a po powrocie usłyszałabym, że umarłaś, chcąc mnie uratować? Przeszło ci to przez myśl?!

Nie mogłam się powstrzymać — chciałam krzyczeć, chciałam się wściekać, chciałam kogoś zranić. Gniew, narastający we mnie od momentu, gdy obudziłam

się w celi, skuta i otumaniona narkotykiem, teraz wylewał się ze mnie niczym gorąca magma z przebudzonego wulkanu. Musiałam się wyżyć — niegdyś wybrałabym do tego celu ćwiczenia fizyczne, polowanie w lesie lub rozerwanie czegoś na drobne kawałki. Teraz miałam możliwość jedynie ostrej, niepohamowanej kłótni, którą otwarcie wykorzystałam.

— Jedyne, o czym myślałam, to ty — warknął demon, zwracając ku mnie oczy niebezpiecznie lśniące srebrem. — Odnalezienie ciebie było priorytetem, nie tylko moim, ale i wszystkich.

— To nie był żaden powód — powiedziałam zimno, kręcąc głową na boki. — Niezależnie od tego, gdzie byłam i co się ze mną działo, nie powinienś być poddawać się temu zakłębciu.

— Nie jestem słabą, kruchą istotą, którą można łatwo zgładzić za pomocą magicznej pieczęci — wysyczał mi Flesh prosto w twarz. — Nie jestem także kimś, komu możesz rozkazywać, zupełnie jakbym był twoim pieskiem wieszającym się wiernie u nogi. Może powinienem założyć obrożę i kaganiec? — Nachylił się w moim kierunku. — Nie jestem Bruno.

Słowa, wypowiedziane podświadomie czy nie, ugodziły mnie w serce niczym włócznia unurzana w żrącym kwasie. Wcześniej zagryziona warga ponownie zaczęła krwawić, gdy przecięłam ją kłębem. Mimo cisnących się na usta przekleństw, które i tak nie uśmierzyłyby duchowego bólu, spojrzałam demonowi prosto w oczy. To, co zobaczył w moich, musiało go poruszyć, bo momentalnie w jego źrenicach zamigotała złość, ale już nie skierowana na mnie.

— Nigdy więcej nie wymawiaj jego imienia — wyszemrałam, sama się sobie dziwiąc, że głos mi nie zadrżał, lecz stał się przerażająco obojętny. — Nigdy — podkreśliłam, ignorując niewielką strużkę krwi cieknącą mi po brodzie.

— Kira...

Głos Flesha dobiegł do mnie niczym spod wody, zniekształcony i głuchy, jak echo w podziemnym tunelu. Odwróciłam się na pięcie. Ból pulsował mi w piersi, mimo że na niego zasłużyłam — wywołałam kłótnię głównie dlatego, że potrzebowałam ujścia dla zebranych w sobie negatywnych emocji i nie dziwiłam się, że Flesh się bronił.

Byłam w połowie salonu, gdy zobaczyłam Sorena wychylającego się z sypialni. Spojrzał na mnie z ciekawionym i nieco zaskoczonym, ale nic nie powiedziałam, jedyne przemknęłam obok, kierując się na górę. Złota energia mojej wilczycy lśniła wokół mnie, zmieniając mnie na podobieństwo dwustuwatowej żarówki.

Zamknęłam się na cztery spusty w pokoju treningowym, niezbyt delikatnie zatrzaskując za sobą drzwi. Rozejrzałam się nieco skołowana po jasno oświetlonym pomieszczeniu, a potem stanowczym ruchem zerwałam z siebie szlafrok. Przyglądałam się swojej przemianie w licznych lustrach, dysząc ciężko. Zmiana

skóry pomogła mi w połowie pozbyć się złości oraz żalu, jednak nadal chciałam coś zrobić z kłębką emocji, który dławił mnie w gardle.

Rzuciłam się na jeden z niebieskich materacy, wgrzyzając się w niego niczym pies w nową zabawkę. Szarpałam łbem tak mocno, że już za drugim razem gruby materiał ustąpił, a biała pianka posypała się na podłogę niczym wypatroszone wnętrzności ofiary. Warczałam jak opętana, targałam matę po szerokości całej sali, obnażając kły i widząc jedynie swoje odbicie w lustrze zasłonięte czerwoną mgiełką. Brutalnym ruchem rzuciłam zniszczony materac na mini lodówkę, która zachwiała się niebezpiecznie i cudem nie przewróciła się na bok.

Przystanąłam, oddychając ciężko i rozglądając się, bez skutku szukając czegoś jeszcze — jakiegoś przedmiotu, który mogłam zniszczyć. Sztuczny, niemal gorzki posmak materiału stłumił moje emocje, wypalając je niczym świecę.

Oklapałam na podłogę zmęczona jak po całodniowym biegu i zaczęłam przyglądać się sobie w lustrze. Złote oczy wilka ustąpiły powoli, pozwalając na pojawienie się ponownie pojedynczej srebrnej tęczęwki. Banshee, odcięta na moment wybuchu, nadal milczała.

Za oknem wstawał powoli poranek. Słońce wlewało do pokoju pomarańczowy blask, dzięki czemu rozwiął się półmrok, mimo tego, że nie pomyślałam o zapaleniu światła. Po kilku długich minutach bezruchu, gdy już nie mogłam znieść swojego widoku, po prostu przymknęłam oczy i niemal natychmiast zasnęłam.

~ SOREN ~

Przez minutę gapiłem się na schody, na których moment wcześniej zniknęła Kira, a potem zerknąłem w stronę kuchni. Flesh nadal stał w tej samej pozycji, sztywny i nieruchomy niczym posąg z jasnego marmuru.

Wsadziłem jedną dłoń do kieszeni spodni, nadal mając przed oczyma obraz łowczyni, zupełnie jakby jej złota aura wypaliła mi się pod powiekami. Energia wypływająca z jej ciała przyprawiła mnie o dreszcz i kazała instynktowi odsunąć się na bezpieczną odległość. Może gdybym sam nie był drapieżnikiem, zrobiłbym to bez wahania.

Poszedłem do kuchni, trzymając w ręku pustą, małą butelkę. Minąłem bez słowa milczącego Flesha i nalałem do naczynia wody prosto z kranu — chemiczny posmak chloru mi nie przeszkadzał. Upiłem łyk, stojąc bokiem do drugiego demona. Wiercił wzrokiem dziurę w podłodze, ledwie rejestrując moją obecność.

— Taktu nie masz za grosz — odparłem pogodnym tonem, ocierając mokre wargi. — Kobiety powinno się traktować z szacunkiem, zwłaszcza takie, które wiedzą, jak zrobić pożytek z broni.

Szafirowe tęczęwki Flesha lśniły gniewem, gdy skierował na mnie spojrzenie. Widok budzącego się w nim lwa wywołał uśmiech na mojej twarzy.

— Dawno nie widziałem cię tak wzburzonego, Książę. Nigdy nie byłeś typem o gorącej krwi, a teraz niemal płoniesz. — Upiłem kolejny łyk wody, czując narastające w powietrzu napięcie.

— Co ty tutaj robisz, Soren? — Głos demona zmienił się niemal w warkot.

Byłem pewien, że nie chodziło mu konkretnie o moją obecność w kuchni w domu Kiry. Uśmiech nie zniknął z moich warg mimo nieskrywanej wrogości, którą kierował do mnie Flesh. Gdy na górze rozległ się równomierny łomot oraz stukanie, podobne do stukania wilczych łap po posadzce, niemal się roześmiałem.

— Odpowiedź na to pytanie raczej nie powinna cię interesować, Flesh. — Podkreśliłem jego imię, specjalnie przeciągając głoski. — Zdaje się, że masz ważniejsze sprawy, które zaprzatają ci teraz głowę — mruknąłem, wskazując palcem sufit; krótko po tym rozległ się kolejny łomot, głośniejszy niż poprzednie.

Flesh spochmurniał na twarzy jeszcze bardziej, przywdziewając niemal demoniczne rysy. Zacisnął szczękę, głośno zgrzytając zębami. Odwróciłem się i ruszyłem wolnym krokiem do wyjścia, gdy demon zawołał mnie po imieniu. Zerknąłem na niego obojętnie przez ramię.

— Nie nazywaj mnie Księciem.

Uśmiechnąłem się szeroko, wysuwając spomiędzy warg ostre, wąskie kły. Zobaczyłem swoje odbicie w oknie. Mina Flesha wyrażała jedynie niezadowolenie.

Mój głos stał się miękki i jedwabisty, niczym śpiew węża kuszącego ofiarę.

— Jak sobie życzysz, wasza wysokość.

~ KIRA ~

Wymknęłam się z pokoju treningowego dopiero późnym popołudniem. W domu panowała grobowa cisza, nigdzie nie było widać ani Flesha, ani Sorena.

Spojrzałam na zegarek, a potem ruszyłam do kuchni. Napiłam się zimnej wody, a potem odetchnęłam głęboko jak podczas wykorzystywania techniki relaksacyjnej. Czułam, jakbym przygotowywała się do walki, a tymczasem czekałam na moich towarzyszy, by omówić z nimi wszelkie wątpliwości dotyczące mojego porwania. Oparłam dłonie na krawędzi blatu twarzą do okna i lekko zgiętym ciałem.

Charlotta zjawiała się jako pierwsza — o dziwo, sama, inaczej niż zazwyczaj. Spojrzałam na nią, stojąc w korytarzu i opierając dłoń na klamce. Jej niebieska brew się uniosła, jakby czekała na jakiegokolwiek pytanie z mojej strony. Nie odezwałam się. Wpuściłam ją do środka, wędrując za wrózką do części kuchennej. Niemal od razu zajęła się parzeniem ziołowej herbaty, którą magicznie wyczarowała z jednej z moich szafek wiszących przy lodówce. Byłam pewna, że poila się nimi podczas mojej nieobecności — zioła były dla niej lekarstwem niemal na wszystko, a zwłaszcza na stres.

Nie zapytałam, mimo ciekawości, czemu nie przyjechała razem

z Fredericem. Gdyby tylko zechciała, powiedziała by mi o tym. Jak na razie miałam ochotę skrócić czarodziejowi kark za zakłęcie, którego użył na Fleshu. Nie miałam pojęcia, na czym dokładnie polegało, ale znałam jego moc oraz skutki i byłam pewna, że zmuszę go do mówienia dzisiaj wieczorem.

Gorzkie przypomnienie o kłótni z demonem stanęło mi w gardle niczym trucizna. Musiałam mieć to wypisane na twarzy, bo Charlotta zerknęła na mnie z zaciekawieniem, wyczekując, aż zaparzy się woda na herbatę. Przełknęłam ślinę, a potem oparłam się o wyspę w udawanej, wyluzowanej pozie. Jedynie spięte mięśnie ramion zdradzały, że wcale nie czułam się spokojna.

— Wiem, że się denerwujesz — zaczęła ostrożnie Charlotta — jednak chcemy po prostu poznać prawdę.

— Powinniście wiedzieć, co się działo i czego się dowiedziałam — rzuciłam ponurym głosem. — Może to nie dotyczy bezpośrednio Quentina, jednak jest ważne dla nas, nadnaturalnych.

— Co masz dokładnie na myśli?

— Ja i Sonya nie byłyśmy jedyne — mruknęłam cicho. — Było więcej porwanych.

Zobaczyłam jak wróżka spina plecy i zaciska palce na czajniku.

— Jesteś tego pewna, Kira? — Gdy potaknęłam, spochmurniała jeszcze bardziej. — Tutaj, w okolicy?

— Wiem o innej siedzibie porywaczy. Dwaj wspólnicy, którzy pracowali razem z ludźmi, których zabiłam, przenieśli się tuż po tym, jak przekazano ich kumplom Sonyę oraz pojawił się cynk dotyczący mnie. — W moim głosie zabrzmiała nuta, która ją zaalarmowała.

Nie zdążyłam powiedzieć wróżce o Chicago, gdy usłyszałam pukanie do drzwi. Poszłam wpuścić do domu kolejnego gościa — tym razem był nim Silvyr razem z Amelią. Obydwoje spojrzeli na mnie z niepokojem i zaciekawieniem jednocześnie. Opanowałam się na tyle, by wpuścić ich do środka i spokojnie odprowadzić do Charlotty. Cała trójka zajęła swoje miejsca w salonie, wygodnie rozkładając się na kanapie.

Flesha nadal nie było, gdy pojawił się Frederic. Stałam oparta o kominek, gdy czarodziej po prostu wszedł do pokoju. Charlotta zignorowała go, nagle skupiając całą swoją uwagę na kubku pełnym gorącej herbaty rozwiewającej dookoła zapach mięty. Frederic westchnął na ten widok, trzymając dłonie w kieszeniach czerwonego, skórzanego płaszcza. Po ostatnim stroju bojowym nie było już śladu — oprócz płaszcza powróciły wysokie buty, ciemna koszula oraz spodnie. Gdy tylko skierował na mnie wzrok, posłałam mu zimne, wilcze spojrzenie, które sprawiło, że zahamował w połowie kroku, niemal się przewracając.

— Mamy sobie nieco do wyjaśnienia — zamruczałam niskim głosem, nie

ruszając się ze swojego miejsca.

Napięcie wyraźnie wisiało w powietrzu. Nie przerwało go nawet pojawienie się Sorena, który cicho zamknął za sobą drzwi mojej sypialni.

— Charlotta, powinnaś zobaczyć co z Sonyą — powiedziałam cicho, nie spuszczać oka z czarodzieja.

Wydawała się pocieszona moimi słowami, jakby perspektywa opuszczenia salonu była teraz jej największym pragnieniem. W milczeniu zniknęła w pokoju obok, z którego przed chwilą wyszedł Soren.

Demon przyjrzał mi się uważnie, potem magowi oraz innym zebranym. Jego uśmiech przypominał mi o kocie z Cheshire. Wymruczał pod nosem coś w stylu „To może być ciekawe” i rozsiadł się na fotelu niczym leniwy kocur. Nie zaszczyliłam go nawet jednym spojrzeniem.

Flesh zjawił się dopiero kilka minut później. Stąpał swobodnym krokiem, jednak na mój widok jego mina momentalnie stężała. Zerknęłam na niego równie nieprzychylnie jak na maga.

— No cóż, zacznijmy od pewnej nie cierpiącej zwłoki kwestii — niemal zaśpiewałam melodyjnym, sarkastycznym głosem. — Nie wiem, któremu z was najpierw urwać łeb, więc najpierw wyjaśnij mi, Fredericu, jakiego dokładnie zaklęcia użyłeś na Fleshu?

Mina demona się nie zmieniła, za to czarodziej spojrzał na mnie z rozbawieniem i niedowierzaniem jednocześnie.

— I o to się wściekasz?

Zrobił krok do przodu, wtedy właśnie Banshee uwolniła część swojej złości — wychyliła się na powierzchnię, szczerząc ostrzegawczo kły w milczącym ostrzeżeniu. Żadnego warkotu czy kłapanięcia, jedynie bojowa postawa. Czarodziej westchnął ciężko, ledwie rejestrując powrót Charlotty.

— Zachowujesz się równie irracjonalnie, tak samo jak i Charlotta.

— Doprawdy? — Stonowany, podejrzenie spokojny głos wróżki ociekał chłodem.

— Pieczęć służyła temu, by wyostrzyć ludzkie oraz magiczne zmysły — odezwał się donośnie Flesh, uciszając tym wszystkich, łącznie ze mną. — Twój trop urywał się zaledwie przecnicę od *Mrocznego Irysa*, więc odnalezienie cię wydawało się niemożliwe. Zaklęcie było ryzykowne, przyznaję, jednak zadziałało jak chcieliśmy.

— Trzeba było znaleźć inny sposób — powiedziałam cicho, stojąc nieruchomo z rękoma założonymi na piersi. — Lub mnie tam zostawić — dodałam, na co niemal wszyscy wstrzymali oddech.

Soren patrzył na mnie zafascynowany niczym widz będący w kinie na wyjątkowo ciekawym seansie filmowym. Flesh za to zmierzył mnie ostrym spojrzeniem.

— Mieliśmy siedzieć na tyłkach i pozwolić ci tkwić w łapach tych ludzi?
Milczałam zaledwie kilka sekund.

— Nie jestem małym szczeniakiem, którego trzeba ratować z opresji — zawarczałam. — Od dziewiątego roku życia dbałam o swój tyłek samodzielnie. Wychodziłam z gorszych opresji niż porwanie. Poza tym, żaden człowiek nie dałby rady Ogarowi.

Zapadło ciężkie milczenie. Charlotta mierzyła mnie wzrokiem spokojnym, ze zrozumieniem, inaczej niż reszta.

— Ona ma rację — szepnęła, ale i tak wszyscy ją usłyszeli.

— Nie oznacza to jednak, że nie jestem wam wdzięczna za misję ratunkową — dodałam, gdy oburzony demon chciał się odezwać. — Bez was nie uratowałabym Sonyi i pewnie wróciłabym do domu dopiero po kilku dniach pieszej wędrówki. Zatrucie srebrem spowolniłoby marsz. — Spojrzałam mimowolnie na dwie blizny na nadgarstkach.

Flesh także na nie spojrział i nieco złagodniał na twarzy. Złość powoli ulatywała, oczyszczając atmosferę.

— Nie zebraliśmy się jednak tutaj, by omawiać działania Frederica — odparłam, z westchnieniem wypuszczając całe powietrze z płuc. — Powinnam wam opowiedzieć, co dokładnie się działo po moim porwaniu...

— Albo zacząć od tego, JAK cię porwali — mruknął ponuro Silvyr. — Wiem z doświadczenia, że wcale nie tak łatwo cię dorwać.

Przytaknęłam lekko, szykując się na trudną opowieść. Nawet samo wspomnienie porywaczy, środka usypiającego krążącego w żyłach i srebrnych łańcuchów przyprawiło żołądek o przejażdżkę rollercoasterem. Przypomniałam sobie wszystkie szczegóły, a kiedy opowiadałam, moje ciało zrobiło się zimne niczym kawał lodu. Ponownie tam byłam — w ciemnej ciężarówce, a potem podziemnej celi, gdzie jedyny kawałek nieba widziałam nad sobą, za masywnymi kratami. Usłyszałam cichy szelest kajdanów, poczułam w ustach żelazisty smak mrożonego mięsa, poczułam ból rozrywanych mięśni. Blizny na nadgarstkach paliły żywym ogniem, a w nozdrzach unosił się zapach krwi.

Zamilkłam, kończąc swoją opowieść. Zorientowałam się dopiero po minucie, że w salonie zapanowała kompletna cisza, a oczy wszystkich zwrócone były na mnie. Czułam się jak pacjent wybudzający się ze śpiączki — nieprzyjemne uczucie, podobne do wynurzania się spod wody.

— Nie byliśmy jedynymi ofiarami, ja i Sonya — powiedziałam, przerywając ogólne milczenie. — Byli jeszcze dwaj współnicy, którzy zmyli się do innej bazy, jeszcze zanim mnie pochwycono. — Przełknęłam ślinę, zanim kontynuowałam. — Podobno zaszyli się gdzieś w Chicago. Mam ich adres.

Na słowo „Chicago” zareagowała jedynie Charlotta, posyłając mi pociemniałe spojrzenie. Nikt z obecnych oprócz wróżki nie wiedział o mojej

przeszłości na tyle, by wiedzieć, jak bardzo nienawidziłam tego miasta. Na razie nie wdawałam się w szczegóły, zwłaszcza, że mieliśmy więcej problemów niż moje ponure dzieciństwo.

— Wiesz, że nie możemy pomóc porwanym, póki nie załatwimy sprawy z Quentinem — odezwał się cicho Flesh, lustrując mnie przenikliwym spojrzeniem szafirowych oczu. — Tutejszy konflikt może mieć tragiczne skutki, jeśli czegoś z nim nie zrobimy.

Jego słowa były gorzkie, a jednak prawdziwe. Wyprostowałam się lekko, przypominając sobie istotną rzecz, którą miałam przekazać reszcie. Banshee poruszyła się niespokojnie w moim wnętrzu.

— Prawie na pewno wiem, co takiego knuje Quentin — odezwałam się pewnym głosem, wędrując spojrzeniem po każdej twarzy w pokoju.

Amelia wyglądała, jakby chciała zerwać się z miejsca. Frederic, Charlotta i Flesh drgnęli niespokojnie, Silvyr mierzył mnie wzrokiem z kamienną twarzą, a Soren siedział wygodnie na fotelu, z nikłym zainteresowaniem śledząc tok naszego zebrania. Nie wiedział nic o kłopotach w mieście, a ja nie miałam zamiaru wprowadzać go teraz w szczegóły. Jego jedynym zadaniem było ochranianie Sonyi, co idealnie mu pasowało. Mimo sojuszu nie ufałam mu na tyle, by wprowadzić go w całą aferę — od młodych, szalonych wampirów, które zabijały ludzi w mieście, po kłopoty z wilkołakami i na szalonych planach Mistrza kończąc.

Opowiedziałam na głos o skrzyniach, które dostarczano do *Mrocznego Irysa* w nieoznakowanych samochodach, tych samych, o których informowała nas Felicity, wilczyca z miejscowego stada, córka mojej znajomej fryzjerki i największa plotkara w promieniu stu kilometrów. Na wzmiankę o srebrze wśród zebranych usłyszałam ciche przekleństwa. Mimowolnie wspomniałam także o tajemniczym narkotyku, którym uśpili mnie porywacze i uwzględniłam, że to od Quentina te dwa ludzkie ścierwa zdobyli na niego formułę.

— Quentin najwidoczniej planuje wojnę. Srebro w tak dużych ilościach można różnorodnie wykorzystać: wykuć z nich broń, zrobić śmiertelne naboje, nawet naszpikować nim odpowiednio organizm, aby w razie wszelkich obrażeń zadanych ze strony wilków, alergen dostał się do krwioobiegu napastnika i zabił go w przeciągu kilkunastu sekund.

— O co mu chodzi? O władzę? — zapytał Frederic. — Przecież może zdobyć nowe terytoria w inny sposób, bardziej pokojowy. Wampiry od wielu setek lat próbują żyć obok wilkołaków bez wzniesienia niepotrzebnych walk, za wiele na tym tracą. A przecież sam wynik wojny jest nie do przewidzenia...

— Jeśli Quentin odpowiednio użyje nagromadzonego srebra, wynik potyczki jest łatwy do odgadnięcia — przerwałam mu, nie mogąc powstrzymać złości gotującej się w gardle. — Mistrz sądzi, że pozbył się największego zagrożenia,

czyli mnie. Wiedział doskonale, że moje dobre stosunki z chmarą zależały jedynie od naszej dalszej współpracy. Postawił wszystko na jedną kartę i jeszcze nie wie, że przeżyłam i jestem gotowa za wszelką cenę przeszkodzić mu w wywołaniu rzeźni wśród magicznych.

— A co będzie, jeśli jednak dojdzie do wojny? — Silvyr miał zimny, szorstki głos. — Jeśli się wtrącimy, sytuacja karze nam wybrać, po której stronie stanąć. Od zawsze byliśmy neutralni, zabijaliśmy na zlecenie, żyliśmy w przyjaźni, jednak każdy dbał o siebie. — W jego oczach pojawiła się nikła iskra. — Opowiedzenie się po stronie wilkołaków lub wampirów będzie zaprzeczeniem tego, co dotychczas robiliśmy. Niech walczą ze sobą, jeśli trzeba. Co się może stać gorszego niż to, że terytorium krwiopijców się powiększy, choćby kosztem wilków?

Jego słowa mnie rozłościły.

— Wojna niesie ze sobą zniszczenie i śmierć. Jeśli wampiry pod dowództwem Quentina zwyciężą, zajmą wszystkie ziemie wilkołaków pod rozkazami Samuela, a te będą musiały opuścić miasto, wysiedlić się. Każdy z wilków ma tutaj dom, pracę, własne rodziny. — Natychmiast pomyślałam o ciężarnej Katherine, Omedze stada, a także partnerce obecnego Alfego. — Zachwianie równowagą wśród magicznych oraz zabicie wilków tylko dla przejęcia ziemi będzie miało katastrofalne następstwa. To nie średniowiecze, żyjemy we współczesnym świecie. Nie myślę nawet o magicznej policji, która potrafi partaczyć wiele spraw, ale ich interwencja w trakcie wojny będzie nieunikniona. Nie chodzi już tylko o to jedno miasto. Myślisz, że po swoim zwycięstwie Quentin poprzestanie jedynie na ziemiach Samuela? Ruszy dalej, znajdzie zwolenników w innych miejscach i zmusi wampiry do przeciwstawienia się wilkołakom. Z jednej walki może powstać wojna, która obejmie wszystkie chmary w kraju, a może i poza nim.

Moje oczy lśniły gniewem i pasją, tak samo jak wszystkich magicznych zebranych w salonie. W lazurowych oczach Charlotty objawiła się część dziedzictwa należąca do elfów — to właśnie one były zaprawione w boju, w przeciwieństwie do pokojowo nastawionych wrózek, po których odziedziczyła leczniczą magię oraz znajomość ziół. Amelia miała dzikie oczy wampirzycy, a w ciemnych źrenicach Frederica widziałam kolorowe iskry wyrażające buzujące w nim emocje. Zerknęłam na Flesha, któremu także udzieliło się moje podniecenie — spojrzenie jego srebrnych oczu demona zdawało się niemal parzyć. Nadal jedynym opanowanym osobnikiem był Soren, chociaż i w jego jasnych tęczęwkach widziałam trudny do zinterpretowania błysk.

— Nie karzę wam wybierać — odparłam, starając się opanować wzburzenie. — Prosiłam was o pomoc w rozwiązaniu śledztwa i nijako dobrnęliśmy do jego końca. Wiemy już, kto stał za tworzeniem nowonarodzonych.

Sprawa wyjaśniona.

Frederic uniósł brew, wpatrując się we mnie uważnie.

— Jeśli teraz pokazałabyś nam palcem wyjście, byłoby to o wiele bardziej dyskretne — powiedział z nikłym uśmiechem na ustach. — Silvyr ma rację, zawsze dbaliśmy o siebie i nie opowiadaliśmy się po żadnej ze stron, jednak chyba nie sądzisz, że zostawimy na twojej głowie nadchodzącą wojnę, szalonego wampira u władzy zasadzającego się na twoje życie i szajkę porywaczy obrywających swoje ofiary ze skóry? — Przeczesał włosy ręką. — Rany, mamy tutaj więcej zabawy niż na świątecznym jarmarku.

Nic nie odpowiedziałam.

— Jesteśmy z tobą, dobrze o tym wiesz — stwierdziła Charlotta, posyłając mi uśmiech. — Kiedy my potrzebujemy wsparcia, nawet się nie zastanawiasz, tylko od razu ruszasz na ratunek. Gnasz ile sił w łapach, aby nam pomóc, niezależnie od stopnia ryzyka. Czas się za to odwdziaczyć.

Spojrzałam uważnie na Silvyra. Amelia także na niego zerknęła, ale żadna z nas nie powiedziała ani słowa.

— Otaczają mnie psychopaci — westchnął, masując skroń. — Nie zostawię was samych, bo wpakujecie się w jeszcze gorsze bagno.

— Nie wiedziałam, że może być gorzej — stwierdziłam z sarkazmem, ale i pewną ulgą, od której niemal zmiękły mi kolana. — W każdej chwili będziecie mogli się wycofać.

— Dajże już z tym spokój — zachnęła się Amelia, zaskakując tym wszystkich. — Masz nasze poparcie, więc przestań się zachowywać, jakbyśmy mieli opuścić statek w razie kłopotów niczym strachliwe szczury.

Wszyscy się zaśmiali, łącznie ze mną. Jednak śmiech utkwiał mi w gardle, gdy spojrzałam na milczącego Flesha. Patrzył na mnie nieruchomo z trudnym do zrozumienia wyrazem twarzy. Czekałam. Czy nasza umowa nadal była aktualna? Czy nie padło za dużo słów podczas ostatniej kłótni?

Nagle uśmiechnął się zawadiacko, puszczając do mnie oko. Napięcie między nami rozplynęło się niczym mgła. Odetchnęłam. Błysk w jego oczach powiedział mi więcej niż słowna deklaracja — nadal pracowaliśmy razem, bez względu na ryzyko.

Rozdział VII

~ KIRA ~

Gdy całe towarzystwo po zakończeniu narady rozpoczęło zabawę z pełnymi butelkami wina, które Frederic sprowadził ze sobą, ktoś zapukał do drzwi. Było po dwudziestej drugiej, powietrze było niemal zamrożone po wielkiej śnieżycy, a za oknem co chwila słyszałam odległe hałasy pługów odśnieżających główne ulice miasta. Kto mógł się tutaj pojawić o tej porze i w takich warunkach pogodowych? Zostawiłam chichoczące i rozmawiające donośnie towarzystwo, i posłam przyjąć niespodziewanego gościa.

Na widok wilkołaka po drugiej stronie drzwi poczułam w żołądku mocny ucisk. Przypomniałam sobie, że ostatnio rozstaliśmy się w niezbyt dobrych humorach, a teraz John stał naprzeciwko mnie, wciskając dłonie głęboko w kieszenie zimowej kurtki. Na jego twarzy zobaczyłam poczucie winy i to zabolalo mnie jeszcze mocniej.

— Nie chciałem w niczym przeszkodzić — powiedział, słysząc dochodzące zza moich pleców dudniące śmiechy i dźwięki uderzania kieliszków o kieliszki rozlegające się w głębi domu. — Wróciłem godzinę temu do miasta. Chciałem przeprosić za to, co się stało ostatnim razem. Trochę mnie poniosło.

— Trochę? — wymamrotałam pod nosem, wpatrując się w niego intensywnie.

Chciał coś powiedzieć, ale obok mojej nogi przepchnął się Duch, zaciekawiony nieznanym zamarzającym na schodach. Pies wysunął głowę do przodu, wężąc w powietrzu. John na ten widok wykrzywił wargi w uśmiechu. Wyglądał, jakby chciał powiedzieć „To pies tej wampirzycy”, jednak jego nastawienie zmiękczyło zaciekawione spojrzenie Ducha oraz radośnie machający ogon.

— Cześć, psiaku — odezwał się, dając psu dłoń do powąchania. — A gdzie Bruno?

Na dźwięk imienia mojego pupila odwróciłam spojrzenie, wbijając je w stos śniegu obok schodów. Nie miałam siły ani ochoty teraz spojrzeć Johnowi w twarz. Tępy skurcz przyprawił moje serce o ból. Żal po stracie nieco zelżał, jednak nadal trudno było mi o tym mówić.

— Bruno nie żyje — powiedziałam beznamiętnym, chłodnym głosem.

John zbladł na twarzy, przybierając barwę niewiele różniącą się od śniegu otaczającego go dookoła. W jego oczach zobaczyłam niedowierzanie.

— Jak to się stało? — zapytał po dłuższej chwili, ledwie powstrzymując bolesć brzmiącą w głosie.

Przed oczyma stanęła mi twarz Edwarda, jeszcze plującego krwią i drżącego

w ostatnich, przedśmiertnych drgawkach. Zobaczyłam ponownie przygnębione, zmęczone spojrzenie Samuela patrzącego na martwego brata. Potem pojawiło się wspomnienie Bruno — ciemna, skulona sylwetka, otwarte oczy, krew rozbryźnięta na dywanie i gzysie kominka. Otrząsnęłam się z trudem, zastanawiając się, co powinnam powiedzieć.

— Ktoś włamał się do domu — powiedziałam, nie do końca mijając się z prawdą. — Chciał pewnie okraść posesję i trafił na Bruno. Złodziej go zastrzelił — dokończyłam, gładko przelękając kłamstwo.

John oceniał mnie oraz moje słowa, stojąc nieruchomo w niewielkiej plamie światła padającej zza moich pleców na jego twarz. Nagle radosne okrzyki moich towarzyszy wydały się niesamowicie odległe, niemal nieprawdziwe, niczym fatamorgana wabiąca wędrowców na gorącej pustyni. Po kilku minutach namysłu wilkołak po prostu kiwnął głową, godząc się ze smutnym faktem. Nie zapytał, gdzie byłam wtedy, gdy zabito Bruno, gdzie go pogrzebałam, cokolwiek. Po prostu mi uwierzył. Właśnie dlatego poczułam się jak kompletna idiotka oszukująca przyjaciela. Chciałam go trzymać od tego wszystkiego z daleka.

— Masz gości — stwierdził, nie zapytał i odsunął się o krok. — Nie będę ci przeszkadzał. Chciałem tylko przeprosić za to, co wcześniej powiedziałem. Nie powinienem wyklócać się o to, kogo zapraszasz do swojego domu. — Kiwnął jeszcze raz głową. — Sama decydujesz o własnym życiu.

— Wiem, że się o mnie martwisz, bardziej niż się do tego przyznajesz — powiedziałam cicho. — Dzieje się teraz kilka rzeczy, którymi muszę się zająć. Gdy już wszystko załatwię — postarałam się nie myśleć w kategoriach „jeśli wszystko załatwię...” — wtedy wybierzemy się na piwo. Obiecuję. Ja stawiam.

John uśmiechnął się delikatnie, ale smutek nie zniknął z jego oczu.

— Będę czekał.

Odprowadzałam go wzrokiem, póki nie zniknął z widoku. Stałam na schodach przez kilka minut, wpatrując się w ciemność. Z moich ust wydobywały się obłoczki pary, a ciekawski Duch wędrował po śniegu, brodząc łapami w białych zaspach. Obserwowałam go nieobecny wzrokiem przez jakiś czas, póki czyjeś ręce nie otoczyły mojej talii od tyłu. Prawie podskoczyłam, wyrwana z zamyślenia, jednak po chwili po prostu cieszyłam się ciepłem drugiego ciała blisko mnie.

— Kto to był? — Cichy głos Flesha wibrował koło mojego ucha.

Westchnęłam pod nosem.

— Znajomy. — Wbiłam wzrok w puste, ciemne niebo. — Powiedziałam mu o śmierci Bruno.

Demon przesunął wargami po mojej szyi, zanim oparł brodę na czubku mojej głowy. W jego ruchach nie było namiętnych podtekstów, jedynie chęć przebywania razem. Nie wiedziałam, co dokładnie miałam o tym myśleć.

— To, co ci powiedziałem — zaczął pewnym głosem — było

niewłaściwie. Nie powinienem był tego mówić, w żadnych okolicznościach.

— Jednak to prawda — stwierdziłam spokojnie. — Traktowałam cię zaborczo, zupełnie jak swojego wiernego psa. Zapomniałam, kim jesteś. Zapomniałam, kim ja jestem, na chwilę, ale to i tak było za długo. — Odwróciłam się do niego twarzą. — Pomożesz mi zapobiec tej gównianej wojnie?

— Powtarzam ci po raz kolejny, że nie opuszczę cię, póki nie wypełnię naszej umowy.

— Umowa się skończyła. Miałeś pomóc mi tylko w śledztwie.

— Wojna jest częścią tego śledztwa. — Założył zbłąkany kosmyk moich włosów za ucho. — Trzeba będzie ostrzec wilkołaki przed tym, co planuje Quentin. Muszą wiedzieć, co ich czeka, jeśli nie uda się go powstrzymać.

— Z Mistrzem nie da się pertraktować — stwierdziłam z lekkim prychnięciem. — Wątpię, czy da się zatrzymać machinę, którą już uruchomił.

— Co masz na myśli? — Flesh zmarszczył lekko brwi nad nosem.

— Trzeba porozmawiać z Samuelem — stwierdziłam tonem wyjaśnienia. — Im szybciej, tym lepiej. Przekonam go, by przegrupował swoje wilki i przygotował się na ewentualny atak ze strony Quentina.

— Myślisz, że wampiry z jego chmary podążą na wojnę? Założę się, że większość z nich popiera sojusz z wilkami, który utrzymuje pokój między obydwoma rasami już od wielu lat.

— Nie wiem, skąd Quentin weźmie dla siebie armię i sojuszników, ale na pewno nie będzie to dziecinna zabawa w policjantów i złodziei.

Demon westchnął, jakby liczył na inne słowa z mojej strony.

— Na razie powinnaś się rozluźnić — powiedział, odrywając mnie od ponurych myśli. — Chodź, zobaczymy, czy Frederic i reszta zostawili nam trochę wina. Piją duszkiem, jakby to była woda.

Gdy chciał wejść do środka, pociągnęłam go w swoim kierunku i pocałowałam. Był zaskoczony tylko przez moment, a potem odwzajemnił pocałunek z pasją, która zawibrowała we mnie aż po czubki palców. Na wspomnienie naszych igraszek pod prysznicem poczułam miłe dreszcze oraz gorąco ogarniające całe ciało.

— A może zostawimy to rozwrzeszczane towarzystwo samemu sobie i zamkniemy się na górze?

Uśmiech Flesha, który rozciągnął jego wargi, był iście diabelski.

Z samego rana wymknęłam się z gościnnej sypialni, zostawiając w łóżku zakopanego w pościeli Flesha. Po całonocnym, namiętym sparingu z nocy pozostało nam zaledwie kilka godzin przeznaczonych na sen.

Zamknęłam cicho drzwi i podreptałam na dół, ostrożnie stawiając kroki.

Całe towarzystwo, uznając imprezę za zakończoną dopiero po ostatnich kroplach alkoholu na dnie butelki, powoli porozeżdżało się do hoteli, kiedy zegar wybił północ. W salonie znalazłam brudne kieliszki po winie, talerze po przekąskach (na pewno przygotowanych przez Amelię) oraz kubek pachnący miętą po herbacie, którą na początku spotkania sączyła Charlotta, zanim rzuciła się w wir alkoholowych zabaw tak jak reszta towarzystwa.

Posprzątałam salon, nakarmiłam Ducha, a potem poprawiłam pasek szlafroka na biodrach i skierowałam się do drzwi swojej sypialni. Sorena tam nie było, jednak pozostał po nim jego charakterystyczny zapach.

Weszłam do środka. Dywan stłumił kroki moich bosych stóp. Sonya leżała na łóżku przykryta pościelą niewiele jaśniejszą od jej bladej twarzy. Siniaki poznikały z jej skóry, jednak szramy, które zadał jej porywacz srebrnymi ostrzami, pozostawiły po sobie trzy, podłużne blizny na miękkim policzku. Jej ranna noga była odsłonięta na tyle, że mogłam przyjrzeć się ranie obłożonej przezroczystą maścią, pachnącą nieznanymi mi ziołami. Brzegi poszarpanej tkanki były zaczerwienione od niedawnej infekcji, jednak rozcięcie goiło się powoli, tworząc grubą, wypukłą bliznę wzdłuż łydki. Twarz dziewczyny była spokojna, zupełnie jakby leżała tutaj pogrążona w przyjemnym, długim śnie.

Usiadłam na krześle obok łóżka, tam, gdzie zapewne musiał przesiadywać Soren. Przyglądałam się delikatnym rysom nastolatki, jej zgrabnemu, chudemu ciału oraz poszarpanemu ubraniu, w którym Soren przyniósł ją do mojego domu. Ciemna koszulka oraz džinsy do kolan były nie tylko dziurawe, ale i brudne.

Siedziałam tam może kilkanaście minut, zanim powieki Sonyi drgnęły, a po kilku sekundach spojrzały na mnie oczy jasne niczym dwa kamienie księżycowe. Gorączka już jej nie dręczyła, nadal jednak była osłabiona. Przyjrzała mi się uważnie.

— Gdzie ja jestem? — zapytała ochryplym, cichym głosem, wpatrując się w moją twarz. — Co się dokładnie stało?

— Uwolniłam cię — odpowiedziałam spokojnie. — Ja i moi przyjaciele.

Przełknęła ślinę, lekko podciągając się na poduszkach. Chciałam jej pomóc, jednak Sonya dała radę oprzeć się na łokciu, a potem usiąść. Mimo tortur, jakie przeszła przez ludzi oraz wychudzeniu organizmu, jej siły regenerowały się dość szybko. Skrzywiła się, gdy poruszyła ranną nogą, a potem oparła plecy o ramę łóżka.

— Opowiedz mi wszystko. — Poprawiła pościel okrywającą nogi. — Jak długo byłam nieprzytomna?

Odpowiedziałam jej na to pytanie, tak samo jak na kilka innych. Na wieść, że była w moim domu, lekko pochyliła głowę niczym uległy wilk. Rozejrzała się po ciemnym pokoju, aż w końcu powróciła spojrzeniem do mojej twarzy.

— Widziałam tutaj mężczyznę — powiedziała cicho, jakby do siebie.

— Nazywa się Soren — odparłam, obserwując błysk w jej oczach. — Pilnował cię przez cały czas, od kiedy tutaj jesteś. Moja znajoma za to wyleczyła większość twoich ran. — Zauważyłam, że uważnie ogląda swoje ramiona oraz dotyka twarzy.

Czując pod palcami trzy blizny na policzku, skrzywiła się i odsunęła dłoń. Ból fizyczny niemal zniknął, pozostał jednak ślad psychiczny. Wiedziałam z własnego doświadczenia, że te blizny będą przypominać Sonyi o wszystkim, czego doświadczyła z rąk porywaczy. Będą momenty, gdy przypomni sobie każdy siniak, każdą ranę, każdą kroplę krwi, którą z niej utoczyli i każdą łzę, którą uroniła z bólu i rozpacz.

— Zostaniesz tutaj, póki nie wyzdrowiejesz. — Oparłam łokcie na kolanach, obserwując ją. — A potem zdecydujesz, co zrobić dalej. Nie wyrzucam cię, jednak dzieje się teraz wiele rzeczy, które mogą wpakować cię w większe kłopoty niż porwanie.

Spojrzała na mnie, ale bez zaskoczenia, strachu czy niepewności, których się po niej spodziewałam. Miała spojrzenie starej, wiekowej wróżbitki, która pracowała w Kalifornii, a którą spotkałam przypadkiem na ulicy. Kobieta zaczęła mnie i nieobecny spojrzeniem wodziła po mojej twarzy. Jej głos był gładki niczym szkło i równie chłodny, obcy, gdy powiedziała: „Czeka cię wiele wyzwań.” Po wielu latach przekonałam się, że miała rację. Teraz Sonya patrzyła na mnie tym samym spojrzeniem, jakby widziała we mnie coś, czego ja nie mogłam dostrzec.

— Wiem, że borykasz się z problemami — odparła spokojnie, otulając się ramionami. — Dziękuję, że mi pomogłaś. Nie ma rzeczy, która spłaciłaby mój dług wobec ciebie.

Odgarnęła do tyłu długie, ciemne włosy, opadające strąkami na ramiona. Nie chciałam interpretować jej wcześniejszego zachowania — włoski na karku nadal sterczały mi prosto, niczym z zimna.

— Jeśli czujesz się na siłach, możesz skorzystać z łazienki na parterze — zaproponowałam. — Gorący prysznic powinien dobrze ci zrobić. Potem zajmę się twoją nogą.

Sonya kiwnęła głową, a potem jak w transie odsunęła całkowicie prześcieradło i przyjrzała się ranie. Odwróciłam wzrok, czekając na jej reakcję. Przymknęła na moment powieki i wydmuchała powietrze nosem, niemal z rezygnacją wypisaną na zmęczonej twarzy.

— Jak bardzo jest źle? — wyszeptała, zaciskając palce na prześcieradle.

Nie mogłam jej okłamać.

— Wróżka, która cię leczyła, twierdzi, że rana zagoi się po pewnym czasie. Zioła przyspieszą regenerację i pozwolą wydalić ci srebro z organizmu. — Odetchnęłam głęboko. — Rana była poważna i mocno zainfekowana. Jest duża możliwość, że nawet po całkowitym ozdrowieniu, ból będzie powracał. Nerwy

zostały uszkodzone i jest nikła szansa, że zrosną się do końca — wyznałam szczerze, wolnym i zrównoważonym tonem, nie zdradzając żadnych emocji.

Sonya wydała się pogodzona z losem, choć w jej jasnych oczach lśnił lęk. Nie wykonałam żadnego gestu w jej kierunku, by jej nie spłoszyć — wydawała się równie krucha co młoda, niewinna dziewczynka, zagubiona w wielkim świecie.

— Z chęcią skorzystam z prysznicza, jeśli mi pozwolisz — stwierdziła po zastanowieniu, uśmiechając się lekko, z niewielkim przekonaniem. — Poczuję się wtedy o wiele lepiej.

Pomogłam jej wstać. Noga nie utrzymywała do końca jej ciężaru, więc całą drogę do łazienki Sonya musiała trzymać mnie za ramię. Gdy tylko dotknęła mojej odsłoniętej skóry, wzdrygnęła się. Nie skomentowałam tego, mimo że sama poczułam, jak zjeżyły mi się włoski na rękach. Nasza energia na chwilę się zetknęła, powodując lekkie spięcie.

— Przyniosę ci ręczniki — powiedziałam, gdy oparła się o umywalkę. — Dam ci też kilka moich rzeczy, żebyś mogła się przebrać.

Weszłam z powrotem do sypialni. Wyjęłam z jednej szafy czyste ręczniki, a z drugiej zabrałam luźny, ciemny podkoszulek i krótkie, bawełniane spodnie w kolorze żywej czerwieni. Wzięłam ze sobą wszystko i wróciłam do Sonyi. Przyglądała się sobie w lustrze, ledwie rejestrując moją obecność. Dałam jej chwilę, zanim odłożyłam rzeczy na blat obok umywalki. Odwróciła się do mnie.

— Dziękuję — powiedziała, krzywiąc usta. — Zdaje się, że jeszcze wiele razy ci to powiem.

— Przygotuję ci coś do jedzenia. — Udawałam, że nie zobaczyłam ponurego błysku w jej jasnych oczach. — Gdybyś czegoś potrzebowała, daj mi znać.

Zostawiłam ją samą pewna, że sobie poradzi. W lodówce znalazłam pełno składników i podziękowałam za to w duchu Amelii. Sonya była wychudzona, a organizm nie mógł wyleczyć rany, nie mając do tego energii. Ja ostatnio nie miałam szansy, ani głowy do tego, żeby zrobić porządne zakupy.

Zajęłam się przygotowaniem jedzenia — soczystego steku, takiego samego, który i mnie postawił na nogi po kilku dniach głodowania — gdy obok pojawił się Soren. Pojawił się, nie przyszedł. Wyciągnęłam w jego kierunku nóż, na którym zaciskałam dłoń. To był instynktowny odruch, jednak nie zrezygnowałam z niego nawet wtedy, gdy już zorientowałam się, w czyje serce celowałam.

— Czy demony nie umieją pukać? — wymamrotałam złośliwie, po kilku sekundach opuszczając ostrze powolnym gestem.

Soren nie skomentował moich słów, jedynie uniósł brew. Stał obok zlewu, opierając się o niego biodrem. Jego jasna skóra oraz srebrne włosy odbijały światło lampy niczym powierzchnia lustra.

— Wyszedłem na moment. Musiałem rozprostować nogi — stwierdził po

prostu, obserwując mnie z odległości zaledwie jednego, krótkiego kroku.

Nie zapytałam, gdzie był, ani co dokładnie robił. Nie miałam prawa go kontrolować ani żądać raportów.

— Sonya się obudziła — powiedziała, skupiając wzrok na mięsie skwierczącym na patelni. — Właśnie bierze prysznic. Zdaje się, że organizm poradził sobie z gorączką, a rana wygląda na czystą. Trzeba będzie ponownie ją opatrzyć, jak tylko wyjdzie z łazienki...

— Zajmę się tym — przerwał mi demon.

Tym razem ja uniosłam brew, ale nic nie powiedziałam.

— Wczorajsze spotkanie było interesujące — zamruczał z lekkim uśmiechem. — Ciekawie dobierasz sobie towarzyszy, w przeciwieństwie do innych ras. One wolą trzymać się raczej ze swoimi pobratymcami.

— Ja nie pasuję do żadnej rasy — odparłam spokojnie. — Poza tym, ufam swoim towarzyszom nie ze względu na ich przynależność magiczną czy rasową.

Pokiwał głową w zamyśleniu, trawiając moje słowa. Zgasiłam ogień na kuchence i przełożyłam mięso na talerz, wymijając Sorena po drodze. Demon ponownie zaczął śledzić moje ruchy czujnym wzrokiem. Barwa jego tęczywek przypominała teraz płynne srebro.

— Jesteście do siebie podobne — stwierdził cicho, w połowie zwracając się do mnie, w połowie do samego siebie.

— Co masz na myśli? — zapytałam, nie patrząc w jego kierunku.

— Doskonale wiesz, co mam na myśli — odparł opanowanym tonem.

Już bez żadnego słowa powędrował do salonu.

Nasłuchiwałam dochodzącego z łazienki szumu prysznic. Po Sorenie pozostał ślad energii, ciągnący się za nim wyblakłym tropem niczym cienka, pajęcza nić. Dotknęłam jej mentalnie i ponownie poczułam się, jakbym przebywała w pobliżu wielkiego węża.

To gad — ponownie stwierdziła Banshee cichym szeptem w głębi mojej głowy. — *Zimnokrwisty, niebezpieczny gad.*

Nie mogłam się z nią nie zgodzić, chociaż miałam wrażenie, że demon był czymś o wiele starszym i potężniejszym niż zwykły wąż. Patrzyłam za nim przez moment, a potem odwróciłam wzrok. Zniosłam jedzenie do salonu i postawiłam je na stoliku do kawy. Byłam tutaj sama — Soren musiał zamknąć się w pustej sypialni.

Na górze rozległy się kroki. Uśmiechnęłam się lekko pod nosem i zerknęłam w kierunku łazienki. Nie wiedziałam, czy zostawienie Sonyi sam na sam

z Sorenem było dobrym pomysłem. Przypomniałam sobie jego spojrzenie, gdy mówił, że zajmie się jej ochroną, a potem ledwie skrytą zaborczość i entuzjazm, gdy wspomniałam o czymś tak błahym jak nałożenie opatrunku.

Pomasowałam skroń, a potem poprawiłam szlafrok na sobie i wróciłam na górę. Już na schodach usłyszałam cichy głos Flesha. Mamrotał coś pod nosem, gdy weszłam do sypialni. Właśnie wyplątywał się z pościeli, kiedy mnie spostrzegł. Jego wargi rozciągnęły się powoli, ukazując drapieżne zęby.

— Po południu wybieram się na miasto — powiedziałam, specjalnie przeciągając głoski. — Do tego czasu mam ochotę jeszcze trochę poleniuchować.

Błysk w oczach Flesha nadał im srebrny poblask w półmroku.

— Południe to taka piękna pora dnia — zamruczał zadowolony. — I dzieli nas od niego jeszcze kilka godzin.

W odpowiedzi jedynie uśmiechnęłam się szerzej.

~ SOREN ~

Usłyszałem kroki Kiry na schodach i dopiero wtedy wszedłem do salonu. Zapach wilczycy nadal unosił się w powietrzu niespotykaną, lekko ziemistą nutą. Spojrzałem na gorące jedzenie na stole, a potem skierowałem wzrok na drzwi od łazienki, w której paliło się światło. Rozsiadłem się na jednym krańcu kanapy, patrząc się prosto przed siebie.

Szum prysznicza ucichł dopiero po dziesięciu minutach. Napiąłem lekko mięśnie, nasłuchując cichych, nierównych kroków. Wcześniejszy lot nad lasami nieco rozjaśnił mi umysł i pozwolił na nabranie odrobiny dystansu do całej sprawy.

Zanim Frederic wezwał mnie do pomocy, siedziałem w niewielkim, górskim miasteczku, niecałe dwieście kilometrów dalej, próbując taniej whiskey i przesiadując w niewielkim, zadymionym barze. Mój dom, a raczej rezydencja z kamienia, cała obrosnięta bluszczem, znajdowała się na kompletnym odludziu w otoczeniu gór, z daleka od najbliższych zabudowań. Lubilem samotność. I rozkoszowałem się nią do momentu, gdy w komórce nie usłyszałem głosu czarodzieja.

Frederic był moim sojusznikiem, u którego niegdyś zaciągnąłem dług. Nie widzieliśmy się z magiem niemal od dziesięciu lat, jednak nigdy nie zapomniałem o przysłudze, którą byłem mu winny. Kiedy poprosił, bym zjawił się na miejscu i mu pomógł, nie wahałem się. A teraz, z własnej woli, zrezygnowałem z powrotu do siebie, a to dla dziewczyny, którą sprowadziłem do domu Kiry na własnych rękach. Czy to sprawiła jej niezwykła aura, a może po prostu potrzebowałem rozrywki?

Wzruszyłem ramionami sam do siebie, uśmiechając się lekko pod nosem. *Nawet stary demon, a może ZWŁASZCZA stary demon, taki jak ja, potrzebuje od czasu do czasu innego zajęcia niż picie i trzymanie nosa w starych księgach.* Moje

rozmyślania przerwały kroki, a potem szczęknięcie klamki. Wbiłem spojrzenie w drzwi łazienki, które właśnie się uchylily.

Sonya wyglądała zdrowiej niż wtedy, gdy prawie trzy dni temu sprowadziłem ją tutaj. Pod warstwą krwi i brudu ukrywała się twarz o delikatnych, regularnych rysach. Mokre, ciemne włosy spływały prostą kaskadą na ramiona i plecy — ich barwa przypominała węgiel. Na jasnym policzku lśniły trzy blizny przecinające skórę od ucha aż do kącika oczu. Ich widok mimowolnie sprawił, że moje kły samoistnie wysunęły się z dziąseł.

Gdy spojrzenie jej jasnych oczu spoczęło na mnie, Sonya zatrzymała się gwałtownie, niemal się przewracając. Złapała się framugi, powoli opierając słabszą nogę na podłodze. Przyglądała mi się przez niemal minutę, ale w jej oczach nie było strachu, raczej ciekawość.

— Gdzie jest Kira? — zapytała, nie odwracając wzroku.

— Jest zajęta — odpowiedziałem, nasłuchując dźwięków dobiegających z góry. — Z tego co słyszę, wynika, że jej partner również.

Zrozumiała aluzję i kiwnęła głową, przesuwając spojrzenie na dywan, a potem na ściany. Rozglądała się dookoła z nikłym zaciekawieniem, podczas gdy ja obserwowałem jej ciało. Koszulka wisiała na niej luźno, tak samo jak spodenki, lecz mimo spadku wagi nie straciła krągłości, które sprawiały, że jej sylwetka, zamiast kościstej, była smukła i kobieca. Była o wiele młodsza od Kiry, ledwie wyszła z wieku nastoletniego, jednak jej wzrok zaprzeczał urodzie młodej panny — te jasne oczy, hipnotyzujące niczym księżyc w pełni, były inteligentne, przenikliwe, niemal stare, ale także naznaczone tragedią i nie chodziło jedynie o tortury, które jeszcze niedawno znosiła.

W końcu jej wzrok powędrował do talerza i ciepłego jedzenia. Bez problemu zauważyłem błysk głodu w jej oczach. Podniosłem się powoli, zwracając na siebie jej uwagę. Podszedłem i pozwoliłem jej oprzeć się o moje ramię. Mimo bólu skrzywiła się tylko, po czym zdołała usiąść, wzdychając z ulgą.

— Jesteś Soren — stwierdziła neutralnym tonem, nabijając na widelec pierwszy kawałek mięsa. — Kira wspomniała o tobie. — Zaczęła przeżuwać z widoczną przyjemnością wymalowaną w oczach. — Wybacz, nie poznaliśmy się jeszcze. Nie bezpośrednio — powiedziała, wyciągając do mnie dłoń. — Mam na imię Sonya.

Ująłem jej palce w rękę. Zorientowałem się, że drgnęła niespodziewanie i lekko zmarszczyła brwi. Obserwowałem zmianę na jej twarzy, nie przerywając dotyku. Wydawała się nieobecna przez kilka chwil, póki jej oczy ponownie się nie rozjaśniły. Wolno zabrała rękę z nieodgadnioną miną. Nie pytałem, co właśnie zaszło, a ona tego nie skomentowała.

Zaczęła jeść z jeszcze większym entuzjazmem, pochłaniając jedzenie niemal na jednym wdechu. Gdy prawie skończyła, przyniosłem z sypialni zwój bandażu

oraz maść z ziół, którą zostawiła mi Charlotta. Sonya odłożył na stolik widelec, przeciągając językiem po wargach. Zadowolenie w jej oczach zabłysło na chwilę. Kiedy odwróciła na mnie spojrzenie, jasne oczy ponownie były poważne, opanowane, jakby ukryła uczucia pod kloszem niczym niesforenego motyla w słoiku.

W milczeniu nasmarowałem, a potem zawinałem ranę na jej łydce. Sonya obserwowała ruchy moich rąk z intensywnością drapieżnika, jakby w każdej chwili spodziewała się ataku. Rozluźniła się całkowicie dopiero wtedy, gdy odsunęłam się na odległość kroku, podarowując jej własną przestrzeń. Nie zapytałem, czy chce wrócić do pokoju — wyglądała przez okno zaciekawiona, ale i zamyślona, pocierając jedno ramię dłonią.

Długi czas jej jedynym widokiem były ściany tamtej celi, ciasnej i ciemnej, przypominającej norę. Była zakuta w kajdany, torturowana i głodzona, zaszczuta niczym zwierz, a jednak to nie te wydarzenia odbiły widoczne piętno w jej oczach, mimo młodego wieku tak poważnych i chłodnych, twardych niczym górskie kryształ. Wyglądało to, jakby w ciele dziewczyny została zaklęta istota o wyjątkowo starej duszy, zmęczona i zrezygnowana.

— Za każdym razem, gdy się budziłam trawiona gorączką, myślałam, że nadal leżę w tej celi, brudna od własnej krwi — odezwała się, jakby odgadła tor, jakim kierowały się moje myśli. — Gdyby nie pomoc Kiry, nie przeżyłabym już niczego, co zgotowaliby mi tamci ludzie. I tak skazali mnie na śmierć, bo byłam już bezużyteczna. — Uśmiechnęła się krzywo, z goryczą tak wyraźną, że niemal wyczuwalną na języku. — Dziękuję, że mnie pilnowałeś, gdy byłam nieprzytomna.

Nie wiedziałem dokładnie, czy to Kira powiedziała jej o mnie, czy może jednak sama zapamiętała moją twarz, którą widziała podczas krótkich chwil przytomności w czasie gorączki. Nic nie odpowiedziałem, jedynie kiwnąłem głową. Nawet nie patrząc w moim kierunku, uśmiechnęła się ponownie, tym razem delikatniej, z pewną nutką melancholii.

Usiadłem na fotelu, pozwalając jej wyprostować nogi na kanapie i wbiłem spojrzenie w zaszronione okno. Siedzieliśmy w milczeniu dłuższy czas, zanim Sonya przymknęła powieki i oparła głowę o poduszkę. Niedługo po tym jej oddech wyrównał się, a ciało rozluźniło całkowicie, zapadając w sen. Nie zaniósłem jej do pokoju — nie poruszyłem się w ogóle, obserwując ją uważnie. Wsłuchałem się w rytm jej oddechu. Znowu czuwałem.

Rozdział VIII

~ KIRA ~

Po południu razem z Fleshem zaczęliśmy szykować się do wyjścia. Po spędzeniu leniwych godzin w łóżku rozpierała mnie energia, mimo kilku naprawdę wyczerpujących serii pieszczot, którymi demon niemal pozbawił mnie oddechu. Zerknęłam na niego raz czy dwa, gdy zakładał na siebie spodnie i przyłapaną na tym, uśmiechnęłam się radośnie pod nosem.

Zeszłam po schodach, by zabrać z sypialni czyste ubranie, gdy w progu salonu zatrzymałam się kompletnie zaskoczona. Soren zerknął na mnie przelotnie, jednak nic nie powiedział, ani się nie poruszył. Sonya spała na kanapie, oddychając miarowo. Talerz po jej posiłku stał na stole i był pusty, niemal wylizany do czysta, co nijako wprawiło mnie w zadowolenie.

Minęłam tę dwójkę i poszłam się ubrać, planując rozkład dnia. Musiałam odwiedzić na mieście kilkoro znajomych, których wtajemniczenie w obecne sprawy z Quentinem były sprawą konieczną, a potem zaplanowałam złożyć wizytę klientom klubu *Moonwalk*. O tej porze niewiele wilkołaków pojawiało się w lokalu na drinka, jednak mnie interesował tylko jeden z nich, który na pewno przesiadywał w niewielkim mieszkaniu wynajmowanym tuż nad barem. Podejrzewałam, że jego entuzjazm na mój widok na pewno nie sięgnie zenitu, jednak miałam w nosie kontakty towarzyskie i czułe słówka. W końcu czekała nas wojna.

Staralam się nie myśleć o rozmowie z Samuelem, którą musiałam odbyć w najbliższym czasie. Poinformowanie Alfy o planowanym zamachu na jego stado nie było czymś, o czym myślałam z radością. Nie mówiąc już o naszych relacjach, które ochłodziły się po tym, jak zabiłam jego brata, wilka Beta, na oczach całej watahy. Samuel doskonale wiedział, że tak musiało być po tym, jak Edward zabił Bruno, jednak żał po stracie krewnego tkwił w nim niczym kolec w łapie. Wilkołaki, niczym prawdziwe wilki, ceniły sobie przywiązanie, rodzinę oraz wspólnotę, którą tworzyło całe stado. Strata jednego ze swoich towarzyszy była bolesna sama w sobie i bez więzi zawiązanych poprzez krew.

Wsunęłam na siebie dopasowaną, ciemną podkoszulkę oraz jasne dzinsy. Zabrałam ze sobą dwa srebrne noże, jeden przymocowany do stanika między piersiami, drugi miałam wsunąć przed wyjściem do cholewy buta. Wyszłam z sypialni, trzymając w zębach ostrze, a rękoma plotąc warkocz z jasnych, rozczochranych włosów. Soren nie zmienił swojej pozycji, ale po raz kolejny zerknął na mnie przelotnie.

— Jedziesz zabawić się na mieście? — zapytał, spoglądając krótko na sztylet w moich ustach.

Związałam włosy, a potem wzięłam ostrze do ręki.

— Muszę załatwić kilka drażliwych spraw z miejscowymi wilkołakami i chcę być przygotowana na ewentualne sprzeczki i różnice w poglądach — odpowiedziałam spokojnie, poprawiając bluzkę na piersiach. — Wrócę dopiero wieczorem.

— Zabierasz ze sobą Flesha?

— Będzie pilnował tyłów. — Uniosłam lekko kolczykowaną brew. — Nie muszę ci przypominać, że masz ją chronić? Poza tym, pamiętaj, że to mój dom i ma wyglądać tak samo czysto jak teraz, kiedy tutaj wrócę. Jeśli będą jacyś niespodziewani goście, którzy niekoniecznie wpadli tylko na drinka i miłe wspominki, wyprowadź ich na zewnątrz, żeby tylko nie zaplamili mi dywanu. — Moje wargi rozciągnął uśmiech. — Rozumiemy się?

— Nie mogłaś wyrazić się jaśniej — odparł demon, łypiąc na mnie gadzimi oczyma. — Twoi kumple mają zamiar dzisiaj wpaść?

— Jak na razie zajmują się swoimi sprawami — mruknęłam, bawiąc się kolczykiem w wardze. — Powiedziałabym, żebyś się pilnował, ale tobie to niepotrzebne, nieprawdaż? — rzuciłam swobodnym tonem, badając jego reakcję.

Zmierzył mnie uważnym spojrzeniem, a potem zasalutował żartobliwie.

— Nie musisz się o mnie martwić, łowczyni.

— Nie będę — odparłam zgodnie z prawdą.

Spotkałam Flesha przy wyjściu. Demon był zwarty i gotowy w swoim bojowym, skórzanym płaszczu. Po śladach mojej krwi na materiale nie było najmniejszego śladu, zniknął także jej zapach.

Zawiązałam na nogach glany, a potem wsunęłam drugi sztylet do cholewy. Sprawdziłam swobodę ruchów i odetchnęłam z zadowoleniem. Włożyłam na ramiona skórzaną kurtkę, poklepałam się po kieszeni wypukłej od komórki i w końcu poprawiłam jasny warkocz na plecach. Byłam gotowa.

Zimne powietrze oblepiło mnie niczym mgła. Podjazd, tak samo jak i mój samochód, był odśnieżony za sprawą Frederica, więc mogliśmy swobodnie wyjechać na główną ulicę. Słodki smak niedawno rzuconego czaru pozostawił ślad na języku, a lekki zapach dymu nadal wirował w pobliżu — zaklęcie, którego użył mag, było proste, skuteczne i zaoszczędziło mnie oraz demonowi nieco czasu, które spędzilibyśmy na usuwaniu grubych warstw śniegu sprzed domu.

— Najpierw odwiedzimy *Moonwalk*, bar po drugiej stronie miasta. W przeciwieństwie do *Mrocznego Irysa* jest on z dala od centrum, jak najdalej od głównych siedzib wampirów. Od roku nad barem mieszka niejaki Darius Hole, samotny wilk i dorywczy pracownik lokalu. Nie ma wiele wspólnego ze stadem Samuela, jednak posiada informacje, którą mogą w pewien sposób pomóc w zorganizowaniu stada przed atakiem ze strony Quentina.

— To wojownik? — domyślił się demon.

— Pracował niegdyś w magicznej policji — odparłam spokojnie. — Oddziały specjalne są szkolone w odizolowanych ośrodkach rozsypanych po całym kraju. Zwykli pracownicy potrafią wiele spartaczyć, jednak sekcja Strażników, do której to należał Darius, jest bardzo dobrze wyszkolona i zna się na swojej robocie. Kawał z nich skurwysynów, jednak potrafią walczyć. Cenią sobie swoją siłę oraz powierzone zadania.

— Czym dokładnie się zajmują? — Flesh rozparł się na fotelu pasażera, spoglądając na mnie i co jakiś czas wyglądając przez okno na mijane ulice.

— Są wyszkoleni do specjalnych zadań, jednak większość pracuje na co dzień w normalnych ośrodkach: szpitalach, remizach strażackich, małomiasteczkowych komisariatach. Czasami zdarzają się niebezpieczne zadania, takie jak ochrona jednego z ważnych przywódców ze świata magicznych, a czasami trafiają im się niemal misje samobójcze. Na przykład, złapanie kogoś takiego jak ja.

Poczułam na sobie jego spojrzenie.

— Polowali na ciebie?

— Wiele razy straszono mnie jednostką specjalną, jednak póki magiczna policja nie zdobędzie namacalnych dowodów moich win, może jedynie nasyłać na mnie podrzędnych łowców, tak jak robiła to do tej pory. — Zerknęłam w tylne lustro i włączyłam tylne wycieraczki, by pozbyć się z szyby drobnych kryształków lodu. — Wiedzą doskonale, czym się zajmuję i mają urazę, że załatwiam robotę, która powinna należeć do nich i to dość nieprzepisowo. Nie wszyscy są tacy, jednak zawsze znajdzie się ktoś, kto chciałby widzieć moją głowę na srebrnej tacy.

Flesh milczał, trawiąc moje słowa. Wjechałam do centrum, zjeżdżając na niewielkie rondo. O tej porze ruch był umiarkowany, jednak ze względu na śliskie drogi, mimo odśnieżania oraz wysypanego piachu, każdy kierowca manewrował kierownicą ostrożnie i z rozwagą.

Moonwalk znajdował się blisko wyjazdu z miasta, wśród kilku niewielkich sklepów oraz małej księgarni o żółtych, wyblakłych ścianach, przycupniętej na końcu ulicy niczym duży pisklak. Na parkingu po przeciwnej stronie baru stał tylko jeden samochód. Zaparkowałam obok niego i schowałam kluczyki do wolnej kieszeni spodni.

Błękitny szyld *Moonwalk* wisiał wysoko nad wejściem. Spojrzałam na niego, parskając na widok księżyca w pełni, którym zastąpiono jedną z liter „o”. Nazwa napisana była zawijanymi, niemal eleganckimi literami, które zwykło widzieć się na ręcznie redagowanych listach. Sam budynek przypominał niewielką spelunę ze swoimi szarymi, ceglanyimi ścianami i małym metrażem.

W środku panowała kompletna cisza. Z boku rozciągał się kącik barmana, większość pozostałej przestrzeni zajmowało osiem okrągłych stolików,

mieszczących nie więcej niż pięć osób. Ściany miały barwę jasnego brązu, drewniana podłoga była wylakierowana i czysta, a z doniczek na ścianach zwieszały się pędy zielonego bluszczu. W przeciwieństwie do krzykliwego *Mrocznego Irysa*, stworzonego do zabawy, tańca i alkoholu, tutaj można było poczuć pewną swojską nutę wirującą w powietrzu.

Naszego przybycia nie zapowiedział żaden dzwonek, a jednak po minucie na zapleczu rozległy się głośnie kroki. Zza drzwi wychynęła kobieca twarz o łagodnych rysach, otoczona kaskadą rudych włosów. Katherine, miejscowa Omega i partnerka Samuela, spojrzała na naszą dwójkę zaskoczona. Jej pokaźny, ciężowy brzuch był miękko okryty fałdami bawełnianej, niebieskiej bluzki, która podkreślała żywy kolor włosów oraz błękitną barwę oczu.

Na jej widok poczułam nieprzyjemny ucisk w żołądku. Na moment żal oraz smutek, odbicie uczuć z naszego ostatniego spotkania, wymalowały się w jej źrenicach. Nie mogłam zapomnieć, jak Katherine trzymała dłoń Samuela, pocieszając go w milczeniu po śmierci brata. W przeciwieństwie do swojego partnera, zbrodnie Edwarda napawały ją złością, ale także rozczarowaniem. Omega miał wzgląd w uczucia członków stada, była kimś w rodzaju duchowego przewodnika watahy, łączyła wszystkie wilki mimo przeciwności oraz wzajemnych niedomówień.

Wcześniej pozwoliłam Katherine wejrzeć w mój umysł, by przekonała Samuela co do słuszności moich oskarżeń, jakoby to właśnie Edward włamał się do mojego domu i zabił Bruno.

— Witaj, Katherine — powiedziałam, czując w ustach posmak żółci. — Nie spodziewałam się, że cię tutaj zastanę.

— Mogłabym to samo powiedzieć o tobie — odparła z lekkim uśmiechem. — Wpadłam jedynie na godzinę, by zorganizować jedzenie na wieczór. Felicity planuje wyjazd do przyjaciółki za miastem, więc zaproponowałam, że coś ugotuję.

Felicity nie tylko była największą plotkarą w mieście, ale i pracowała w barze jako kucharka. Wilczyca zajmowała się zaopatrzeniem wieczornych klientów *Moonwalk* w ciepłe potrawy oraz desery, z których była znana. Wiele razy Felicity opowiadała w towarzystwie, że czeka tylko na okazję, by założyć własny interes — jej marzeniem był catering.

— Wpadliśmy tylko na chwilę — mruknęłam na głos, wskazując Flesha stojącego obok. — Dariusz jest u siebie?

Wzrok Katherine powędrował na moment ku sufitowi.

— Zaczyna zmianę przy barze dopiero za trzy godziny, więc powinien być na górze. — Wskazała wąskie schody na końcu pomieszczenia, ukryte w najgłębszym cieniu. — Zajrzyjcie do niego, jeśli chcecie.

Kiwnęłam głową z podziękowaniem, tak samo jak Flesh. Przeszliśmy obok

Katherine w milczeniu. Zerknęłam na nią kątem oka. Spojrzenie wilczycy było łagodne i ciepłe, jednak czaił się w nim pewien niepokój. Głaskała okrągły brzuch wierzchem dłoni, niemal automatycznie, odprowadzając nas wzrokiem. Niepokój u Omegi, nawet ten nieuzasadniony, zazwyczaj oznaczał nadchodzące kłopoty.

Odwróciłam głowę pewna, że Katherine potrafiłaby wyczytać z mojej twarzy wszystkie uczucia, które kłębiły się w środku od czasu porwania. Świadomość, że musiałam potem porozmawiać z Samuelem, zapewne w obecności jego partnerki, napawała mnie zdenerwowaniem.

Drzwi do mieszkania były uchylone. Ze środka wypadało chłodne powietrze wraz z zapachem wilka. Piżmowa woń utrzymywała się jeszcze po pełni, dając mocne doznania mojemu powonieniu. Flesh także poczuł ostrą woń, bo lekko zmarszczył nos.

Zapukałam we framugę, zachowując podstawy uprzejmości. Ze środka wydobyło się niewyraźne mruczenie, które po kilku sekundach umilkło. Uniosłam brew i pchnęłam drzwi ręką, by otworzyć je na oścież.

Wilk był wielkości dorosłego doga niemieckiego. Wysłuzona kanapa, na której leżał, ledwie mieściła jego masywne cielsko obrośnięte masą długiego, ciemnorudego futra. Zwierzę leżało na boku, oddychając głęboko we śnie. Spod jego zawiniętej wargi sterczał biały kieł, a łapy zwisały częściowo nad ziemią, poza wąskim meblem. Przypatrzyłam się wilkołakowi z daleka z nijaką ciekawością.

Oprócz kanapy w pokoju stał niewielki telewizor, miękki fotel, a na podłodze leżał wyściełany, brązowy dywan. Z boku, po obydwu stronach telewizora, widziałam dwie pary drzwi. Ściany pomalowane były na jasny, kremowy kolor, przybrudzony i niemal szary po wielu latach. Mieszkanie stanowiło prawie że klitkę, przypominającą siedzibę biednego, zapracowanego studenta. Jednak wilkołak leżący na kanapie nie był studentem, lecz wyszkolonym komandosem na własnowolnej emeryturze, silnym i umięśnionym, a mimo to podczas snu, na zbyt małym legowisku w stosunku do wielkiego cielska, przypominał szczeniaka.

— Darius! — Mój donośny głos bez problemu poniósł się w małej przestrzeni.

Oko wilka otworzyło się i wpatrzyło w moją twarz. W świetle zimowego dnia jego tęczówka miała odcień karmelu. Przećwiczenie nagłego przejścia z głębokiego snu do rozbudzenia w sekundę musiało zająć mu sporo czasu. Ja potrafiłam to tylko dlatego, że wiele razy ta sztuka ratowała mi życie, gdy jeszcze mieszkałam na ulicy jako dziecko.

— Przyszliśmy porozmawiać — wyjaśniłam krótko, nadal stojąc w progu.

Wilkołak zsunął łapy na podłogę i stanął na nogach, patrząc na nas nieprzerwanie. Wyciągnął się, przyciskając brzuch do ziemi i jednocześnie wypinając zad do góry, by rozciągnąć zastygłe mięśnie. Gdy ziewnął, zobaczyłam

pełny arsenał jego wilczych kłów oraz jasnoróżowy język. Jasne oczy znowu spoczęły na mnie, potem na Fleshu, jakby zastanawiał się, kto z naszej dwójki najbardziej zasługuje na jego zainteresowanie.

Dariusz podreptał wolnym krokiem do drugich drzwi, nie oglądając się na nas. Po kilku minutach wyszedł zza nich jako człowiek, nieogolony i roztrzepany po śnie. Jego długie, rude włosy opadały lokami na ramiona, a szczękę pokrywał dwudniowy zarost. Kratowana, bawełniana koszula była rozciągnięta i niezapięta opadała bezwładnie na jego wytrenowany, żyłasty tors. Pasek przytrzymywał luźne, sprane spodnie na jego biodrach, niegdyś pewnie czarne, teraz ciemnoszare. Stopy miał bose.

Przystanął przy uchylonym na oścież oknie i zapalił papierosa, opierając się dłonią o parapet. Rozpięta koszula odsłaniała fragment tatuażu na jego piersi — wzór przypominał napis, jednak nie potrafiłam dokładnie go odczytać.

Wilkołak popatrzył na mnie z nikłym zainteresowaniem, wodząc po mojej twarzy uważnym, na pozór spokojnym spojrzeniem. Wiedziałam, że pod maską obojętności krył się komandos, w każdej chwili gotowy do obrony swojego terytorium oraz życia.

— Nie spodziewałem się gości — powiedział Dariusz lekko chropawym głosem. — Gdybym wiedział, na pewno lepiej bym się przygotował.

— Musimy porozmawiać — rzuciłam, przerywając udawane grzeczności. — To dość ważne, więc radzę, żebyś posłuchał. Nie będę się powtarzać.

Zmrużył lekko powieki, zaciągając się dymem. Wydychał go nosem przez okno, wolną ręką przeczesując puszyste włosy zaledwie o ton jaśniejsze od własnego, wilczego futra. Wskazał dłonią miejsce na kanapie, gdzie przed kilkoma minutami spał snem sprawiedliwego. Flesh rozsiadł się na fotelu, za to jaostałam na nogach, opierając się ramieniem o próg mieszkania z rękoma założonymi na piersi.

— O czym chcesz porozmawiać? — Wilkołak od razu przeszedł do rzeczy.

Zamknęłam drzwi do mieszkania i oparłam się o nie plecami.

— Chcę, żebyś mi pomógł.

Zaskoczenie w oczach Dariusa było niemalże zabawne. Flesh także spojrział na mnie zdezorientowany. Demon w końcu nie do końca był poinformowany, dlatego dokładnie chciałam porozmawiać z tym gościem.

— No, no — zamruczał pod nosem wilkołak, strzepując popiół z papierosa za okno. — Musisz mieć naprawdę wielkie kłopoty, skoro zwracasz się do mnie po pomoc.

— To nie ja mam kłopoty, lecz stado — odparłam, mierząc go chłodnym spojrzeniem. — Miejscowy Mistrz chmary chce narobić w nim sporego zamieszania.

Dariusz słuchał uważnie, gdy opowiadałam o nowonarodzonych wampirach,

potem wynajęciu Edwarda, by przeszukał mój dom, kruczym szpiegu obserwującym mój teren, a także nieoznakowanych samochodach dostawczych i skrzyniach pełnych srebra. Z czasem oczy wilkołaka pociemniały i przybrały barwę przybrudzonego złota.

— Quentin prawdopodobnie chce wywołać wojnę — powiedziałam głośno. — Chciał mnie wyeliminować, bo doskonale wie, że w walce prędzej pomogłabym Samuelowi, a nie jemu.

— Jeśli twoje podejrzenia są słuszne — mruknął Darius — to szykuje się niezła rzeź. Wataha nie cofnie się przed niczym, nawet zabójczym srebrem, aby obronić swoje terytorium. Prędzej zgina, niż dadzą się wypędzić niczym zdziczałe psy.

— O to właśnie chodzi. Muszę porozmawiać dzisiaj z Samuelem, by ostrzec go przed Quentinem. Zaoferuję także pomoc, ale nie wiem, czy ją przyjmie. — Pomyślałam o jego zmarłym bracie. — Jeśli tylko stado zgodzi się na moje wsparcie, należy zacząć trening. Wśród wilkołaków jest teraz wiele szczeniaków i żółtodziobów, które staną się łatwym celem dla wampirów. Poza tym, walka z wrogiem, który dysponuje zabójczą bronią, nie jest łatwe. Będzie wiele ofiar, jeśli ktoś nie nauczy Samuela oraz jego wilków, jak się walczy.

— Czego ode mnie oczekujesz?

— Oczekuję, że pomożesz mi ich wyszkolić. — Czułam adrenalinę cicho wkradającą się w moje żyły. — Masz doświadczenie bojowe, nauczyłeś się wielu przydatnych sztuczek, które mogą ocalić życie.

— Dobrze wiesz, że jestem neutralny — odezwał się Darius, gasząc papierosa o parapet okna. — Jestem samotnym wilkiem.

— Pieprzę twoją neutralność — warknęłam. — Tu nie chodzi tylko o stado Samuela, lecz o wszystkie stada w okolicy. Quentin pragnie ziemi, a gdy tylko ją zdobędzie, jego głód wzrośnie. On ma sojuszników i wampiry pod swoją władzą. Rozpęta wojny w całym kraju. Walki dotrą nawet do ciebie, gdziekolwiek byś był, a krwio pijcy pokąsają ci tyłek. Nie proszę, żebyś uczestniczył w walce. Proszę cię, byś pomógł wilkom obronić życie swoje oraz ich rodzin.

Darius milczał przez chwilę, a potem spojrzał na mnie z błyskiem w oku.

— Od kiedy to Kira Santiago angażuje się w politykę międzyrasową?

— Od kiedy sprawia ona, że umierają moi towarzysze — odparłam zimno. — I od kiedy wilkołak zabił mojego psa, a mnie porwano z rozkazu stukniętego, wysoko postawionego wampira, który uważa, że odebranie ziemi tutejszemu stadu to niemal priorytet i nie zważa na to, że wywoła wojnę.

W pokoju zaległa cisza. Patrzyłam na Dariusza nieruchomo, czekając na jego decyzję. Wiele od niej zależało — pomoc wilkołaka była potrzebna, by złagodzić efekt potyczki, która czekała tuż za rogiem. Nie wiedziałam, kiedy Quentin planował uderzyć, więc czas liczył się teraz najbardziej.

— Pogadaj najpierw z Samuelem — odezwał się w końcu Darius, wzdychając ciężko. — Jeśli załatwisz z nim sprawę, pomogę ci. Wolę nie zadzierać z tutejszym Alfą — dodał ciszej. — Jednak teraz nie będzie mnie w mieście przez tydzień. Sprawy osobiste. Kiedy wrócę, powiesz mi, jak ci poszło.

Nie spodobało mi się to, ale nic nie powiedziałam. Obydwoje z Fleshem wyszliśmy bez słowa. W zamyśleniu zesłam po schodach, spodziewając się pustego baru. Zastaliśmy Katherine za kontuarem, gdzie z marszem na czole stuknęła się długopisem w dolną wargę i wbijała spojrzenie w gęsto zapisany zeszyt. Słyszając nasze kroki, oderwała się od zapisków.

— Szybko wam poszło — stwierdziła z uśmiechem. — Skusicie się może na trochę gulaszu? Jest gorący, świeżo zrobiony.

Posłałam Fleshowi znaczące spojrzenie i obserwowałam, jak wychodzi na zewnątrz. Odwróciłam się twarzą do Katherine, biorąc głęboki oddech. Wyczytała coś z mojej twarzy i spochmurniała.

— Co się dzieje? — zapytała z niepokojem w głosie.

— Mam prośbę — rzuciłam szybko. — Muszę koniecznie porozmawiać z tobą i Samuelem, bez towarzystwa watahy. Najlepiej dziś wieczorem, jeśli to możliwe.

— Dziś wieczorem Samuel miał wpaść tutaj. — Zmarszczyła brwi. — Powiem mu, żebyśmy podjechali do twojego domu.

— Nie, moje terytorium nie jest teraz najlepszym miejscem na rozmowę — powiedziałam, przerywając jej. — To ważne. A co z gruzowiskiem? — Pomyślałam o ruinach starej fabryki poza miastem, gdzie stado często urządzało zbiorowe spotkania.

— To nie problem. — Zmierzyła mnie uważnym spojrzeniem. — Czy rozmowa dotyczy ostatnich wydarzeń?

Przed oczyma stanęła mi martwa twarz Edwarda. Potaknęłam.

— Mniej więcej.

Umówiliśmy się na dwudziestą, krótko i rzeczowo. Wychodząc z baru, miałam wrażenie, że część kłopotu mam za sobą — Katherine łatwo potrafiła przekonać Samuela do spotkania ze mną twarzą w twarz. Kwestia, czy Alfa powoli mi wyjaśni wszystko na temat wampirów, to zupełnie inna sprawa. Musiałam zdać się na siebie i swoją wilczycę, by przekonać Samuela do zawarcia, choćby chwilowego, paktu. Byłam silnym sojusznikiem, jeśli chodziło o walki z wampirami. Zabijałam je już wiele lat i znałam ich najsłabsze punkty, a wiedza o nich znaczyła wiele dla wrogów Nocnych Wędrowców.

Flesh czekał na mnie obok samochodu oparty o maskę. Stałam przy drzwiach kierowcy i spojrzałam na jego profil uważnie. Coś w jego oczach mnie zaalarmowało, mimo że twarz miał spokojną.

— Co jest? — zapytałam szeptem, udając, że intensywnie szukam

kluczyków we wszystkich kieszeniach spodni.

— Szpieg — odparł równie cicho demon, ledwie poruszając ustami. — Wampir.

Nie zmieniałam wyrazu twarzy, mimo że z moich wnętrzności wyrывała się Banshee gotowa rozprawić się z kolejnym szpiegiem naruszającym naszą prywatność. Poskromiłam ją na tyle, by móc przyjrzeć się intruzowi z daleka. Wampir, na oko dwadzieścia kilka lat, złote loki, piękna twarz. Rozpoznając osobistego służącego Quentina, zacisnęłam palce na kluczykach tak mocno, że zaboląły mnie stawy. Miałam ochotę zabić tego żółtodzioba, podrzucić jego truchło pod drzwi *Mrocznego Irysa* i cieszyć się tym aktem przemocy. Jednak zabijanie dla samego zabijania nie było tym, czym się kierowałam. Już nie. Nie mogłam wpaść w wir nienawiści i gniewu, bo potem nie poznałabym sama siebie. Tak jak kiedyś.

Otworzyłam drzwi i wsiadłam. Flesh zrobił to samo po dłuższej chwili, nie spuszczać wzroku z wampira. Odpaliłam silnik i ruszyłam drogą z powrotem do centrum. Gdy wyjechałam z za zakrętu, szpiega już nie było. Zacisnęłam zęby, a potem odetchnęłam przez nos, ledwie tłumiąc złość.

— Jeszcze dzisiaj Quentin dowie się, że przeżyłam — powiedziałam twardym głosem. — Skończą się podchody i zacznie prawdziwa gra. Będzie chciał mnie wykończyć, zanim wprowadzi w życie swój ostateczny plan. — Poprawiłam się na siedzeniu. — Katherine załatwi spotkanie z Samuelem dzisiaj wieczorem, ale zanim tam pojedę, musimy spotkać się z kimś jeszcze.

Demon milczał jakiś czas. Odezwał się dopiero wtedy, gdy skręciłam w drogę za centrum handlowym, w stronę szeregu niewielkich, jednorodzinnych domków tam, gdzie w okolicy stał dom Amelii.

— Do kogo jedziemy tym razem?

Uśmiechnęłam się krzywo pod nosem, udając, że nie słyszę podejrzliwości w jego głosie.

— Zobaczysz.

Dalsza droga nie zajęła nam więcej niż kilka minut. Zaparkowałam samochód po drugiej stronie ulicy, obserwując ośnieżone trawniki, puste chodniki i okna domu, w którym, jako jedynym, paliły się światła. Zanim wysiadłam, zabrałam ze sobą pokrowiec z kataną schowany wcześniej pod tylnym siedzeniem. Flesh powędrował za mną. Na horyzoncie szare niebo barwiło się odcieniami złota, czerwieni i różu — wyraźna oznaka nadchodzącego zmierzchu.

Zapukałam do niewielkiego, parterowego domku o jasnozielonych ścianach, o tonę ciemniejszych okiennicach i pustych, obsypanych śniegiem doniczkach poustawianych na parapetach, obumarłych na okres surowej zimy. Na podwórku, blisko drzwi wejściowych, tkwił przysypany Święty Mikołaj, którego uśmiech w nadchodzącym półmroku wyglądał niemal złośliwie. Budynek pozostał cichy. Zapukałam ponownie, uderzając miarowo kostkami rąk w drewno. Katana w mojej

dłoni była lekka niczym piórko, a mimo to poprawiłam na niej ucisk palców, jakby miała zaraz wypaść mi z ręki.

Z domu doszły nas odgłosy pośpiesznych kroków oraz wołania, usłyszałam także śmiechy co najmniej dwóch osób. Zmrużyłam lekko powieki. Flesh stał obok mnie, obserwując okolicę. Jego oczy śledziły każdy ruch w najbliższym otoczeniu, czy był to daleki przechodeń, czy wrona przycupnięta na gałęziach najbliższego drzewa. Czułam, jak moje mięśnie lekko się napinają, gdy moje uszy popieścił trzask otwieranego zamka. W uchylonych drzwiach stanął mężczyzna po trzydziestce ze zmierzwionymi, ciemnoblond włosami i brodą przyprószającą szczękę oraz boki twarzy o pospolitych, regularnych rysach. Czerwony sweter opinał się na klatce piersiowej, nadając śniadej twarzy dziwny, pomarańczowy odcień. Zielono-popielate oczy spoczęły na mojej twarzy najpierw radosne, a potem z każdą sekundą coraz bardziej przerażone. Palce na klamce zacisnęły się stopniowo, jakby gospodarz chciał zatrzasać drzwi przed nosami nieproszonych gości.

Jednym ruchem wyciągnęłam miecz i wycelowałam czubek ostrza w brzuch mężczyzny bez mrugnięcia okiem. Przywołałam na usta lekki, chłodny uśmiech.

— Kopę lat, Rico. Kopę i jeszcze trochę — dodałam cichym, mrużącym głosem. — Jest bardzo zimno. Nie zaprosisz starej znajomej i jej przyjaciela do środka?

Rico, wpatrzony we mnie nieruchomo, zlustrował spojrzeniem kataną w mojej dłoni, a potem Flesha czuwającego obok niczym milczący, groźny posąg. Po minucie zostaliśmy wpuszczeni, chociaż bez wielkiej radości. Z kuchni dolatywały do nas zapachy kolacji, tak samo jak dwa głosy. Uniosłam wysoko brew, gdy zza drzwi wysunęła się wysoka, smukła sylwetka.

— Kto przyszedł? — zapytała kobieta i zaraz urwała, widząc mnie stojącą pośrodku swojego salonu.

Wyglądała, jakby dostała obuchem w głowę. Jej twarz, bardzo podobna do twarzy brata, zrobiła się bledsza. Długie, jasnobrązowe włosy związała w koński ogon na plecach, niepomalowane oczy miały barwę butelkowej zieleni. Czarna bluzka oraz brązowe spodnie nadawały jej poważniejszego wyrazu, gdzie jedynym, radosnym elementem była złota spinka tkwiąca w lśniących kosmykach włosów.

— Co ty tutaj robisz? — zapytała kobieta, spoglądając na mnie z nieskrywaną niechęcią.

— Odwiedzam starych dłużników — odparłam swobodnym tonem, kiwając się na piętach. — Dawno się nie widziałyśmy, musiały to przecież nadrobić.

Zacisnęła usta, milcząc. Rico podszedł do niej tyłem, jakby nie chciał stracić mnie z widoku. Znał dobrze zasadę, że do zabójcy nie odwraca się plecami, chyba że pragniesz mieć ostrze między żebrami. Jednak nie przyszedł do nich w celu uśmiercania kogokolwiek, wręcz przeciwnie.

Z kuchni wyłoniła się kolejna głowa, tym razem zaledwie na wysokości moich kolan. Duże, niewinne oczy patrzyły na mnie z odległości kilku metrów — ich kolor przywodził na myśl wrzosowiska o poranku. Dookoła szczupłej, ładnej buzi wykwitwały kręcone, ciemne włosy, a różowe usteczka były lekko otwarte, niemal zdziwione. Dziewczynka miała pięć lat i obserwowała mnie uważnie. Przykucnąłam, nie wypuszczając katany z dłoni. Rico i jego siostra Katarina obserwowali mnie z niechęcią wypisaną na twarzach.

Dziecko podbiegło do mnie w podskokach i rzuciło mi się na szyję. Na widok otwartej sympatii dziewczynki, jej opiekunowie zrobili groźne miny. Poglaskałam małą po włosach — niektóre loczki owinęły mi się wokół palców niczym bluszcz. Odsunęłam ją na odległość ramienia, by spojrzeć jej w oczy.

— Cześć, maleńka — zaszczebiotałam, uśmiechając się bez wysiłku.

— Ciocia Kira. — Zamrugła i odpowiedziała uśmiechem, tuląc w ramionkach pluszowego, różowego króliczka. — Robimy kolację — zawołała dziewczynka radośnie, nie przejmując się minami Rico oraz Katariny.

Kobieta wysunęła się naprzód, chwytając małą za dłoń.

— Julia, musimy umyć ręczki przed jedzeniem — powiedziała, nie patrząc w moim kierunku.

Odprowadziła dziecko do łazienki. Po chwili dało się słyszeć szum wody. Flesh spoglądał na mnie z błyskiem w oku, którego nie potrafiłam i nie miałam czasu interpretować. Rico marszczył lekko brwi, nie spuszczać ze mnie wzroku.

— Czego od nas chcesz?

— Krótkiej rozmowy — odparłam nieurazona jego agresywnym tonem. — To wszystko.

— I po to potrzebna ci broń? — zapytał suchym głosem.

Wsunęłam miecz do pokrowca i zaczęłam pasek na ramieniu, jakby chodziło o torebkę, a nie groźną broń. Uniosłam lekko dłonie w geście pokoju, mimo że nawet bez ostrza byłam niebezpieczniejsza niż przyczajona tarantula.

— Dobrze wiesz, że gdybym była tutaj w sprawie Julii, nie byłabym taka miła. Chodzi o coś innego, o dług, który zaciągnąłeś u mnie przed laty.

— Co masz na myśli? — Jego powieki zmieniły się w szparki, ale napięcie nieco zelżało, jakbym odroczyła mu karę śmierci. — Czego dokładnie chcesz?

Mój uśmiech był równie chłodny jak wiatr za oknem.

— Chcę, byś śledził dla mnie pewnego wampira.

Rozdział IX

~ KIRA ~

Niecałe dwa lata wcześniej Rico oraz jego siostra zajmowali się nielegalnymi, brudnymi interesami w świecie mrocznego hazardu. Walki nadnaturalnych były opłacalnym biznesem, jednak cholernie niebezpiecznym — magiczna policja węszyła wszędzie za osobami zamieszanymi w zakłady w całym kraju, w każdym mieście, w każdej norze czy mysiej dziurze. Rodzeństwo zamieszało się w interes na tyle poważnie, by przepuścić wszelkie oszczędności na ryzykowne zakłady. Katarina miała na wychowaniu córkę i dyszącego w kark niewiernego, brutalnego męża, który wciągał ją w kryminalistyczne bagno coraz głębiej, aż na samo nędzne dno.

Pytanie zasadnicze: A gdzie tutaj wkraczam ja? Cóż, jeden z agentów magicznej policji, który współpracował ze mną przy kilku okazjach (tak, nie wszyscy z nich chcą mnie zabić), zapłacił mi za wytropienie szefa podziemnej szajki odpowiedzialnej za walki na terenach miasta i jego okolic. No więc, banknoty w kieszeń, a broń do ręki. Odnalezienie wielkiego bossa nie było trudne, wystarczyło jedynie pogrozić mieczem kilku odpowiednim łachudrom, którzy za cenę własnego życia sprzedaliby własną matkę. Dopadłam szefa, zaprowadziłam pod odpowiedni sąd i rozwiązałam problem nielegalnych interesów.

Mimo tego wszystkiego, Rico oraz Katarina stracili wszystkie oszczędności, a mąż kobiety, tyran i złośliwiec (wredny typ, nigdy nie chcielibyście poznać drania) obwiniał o to wszystko żonę oraz szwagra. Wyżywał się fizycznie na Katarinie, ale także dziecku — maleńkiej córce. Zainterweniowałam w odpowiednim czasie i podstawiłam pod próg policji tego parszywego kata. Wiele mnie kosztowało samokontroli, by nie ubić go na miejscu jak wściekłego psa.

Ocaliłam rodzinę, a przede wszystkim dziewczynkę. Katarina i Rico, mimo swej wdzięczności, pałali do mnie obrzydzeniem. Sprawiała to nie tylko moja profesja, lecz także mieszana krew wywołująca skrajne reakcje u różnych osób, które spotykałam. Przysięgłam, że będę pilnować Julii z dystansu i zrobię wszystko, byleby nie doznała więcej krzywd z niczyjej ręki. Dodałam także, że kiedyś upomnę się o dług, które rodzeństwo u mnie zaciągnęło. W końcu, dzięki mojemu wsparciu, zyskali szansę na nowe życie. Obecna sytuacja z Quentinem oraz groźbą zamieszek wśród wampirów i wilkołaków zdawała się idealnym momentem, gdzie Rico oraz jego siostra mogliby mi pomóc, tak samo jak ja pomogłam im kilka lat wcześniej.

Zlustrowałam spiętego mężczyznę na fotelu z zaciekawieniem. Przesunęłam wzrokiem po czerwonym golfie, wiedząc, że długie rękawy kryły nie tylko więzienne tatuaże, ale także drobne, jasne blizny po wielokrotnym dawaniu sobie

w żyłę. Rico miał burzliwą przeszłość, która sięgała czasów jeszcze przed niefortunnym małżeństwem jego siostry oraz walkami w podziemiach. Miałam go w szachu, co uruchamiało w nim teraz ukryte pokłady złości.

— Mów, po co tutaj przyszedłeś. Tylko żadnych gier — dodał stanowczo.

— W mieście źle się dzieje — powiedziałam spokojnie, wodząc oczyma po salonie. — Zbliży się coś, co może zagrozić całej społeczności, a ja jestem w to zamieszana. Potrzebuję szpiega, który z łatwością będzie podążał za jednym z najważniejszych wampirów w mieście bez zbędnego hałasu, cicho niczym mysz. — Mój zimny wzrok sprawił, że Rico wzdrygnął się, jakby na jego ramię wspiął się jadowity wąż. — Jako zmiennokształtny masz możliwość wykonania zadania łatwo i przyjemnie.

— Śledzenie wampira i to ważnego w tym mieście? — Oczy Rico niezdrowo zaświeciły. — Ktoś musiał ci nieźle zależeć za skórę. Takie sztuczki są poza twoim zwyczajnym repertuarem. — Zmrużył powieki jeszcze bardziej. — Nie możesz go po prostu zabić?

W moich płucach wezbrał lodowaty, głośny śmiech, który wypuściłam z siebie niczym wilcze wycie. Na ten odgłos stojąca w drzwiach kuchni Katarina skuliła ramiona i wbiła we mnie płonące ślepie.

— Nawet nie wiesz, jaką mam ochotę wbić ostrze mojego miecza w jego serce — zamruczałam na głos, pochylając się do przodu. — Jednak potrzebuję informacji, którą posiada jedynie on. Kiedy już ją zdobędę, zajmę się przygotowaniem stosownego pogrzebu, zapewniam cię. — Mój uśmiech nie był ani odrobinę serdeczny. — Robota nie jest bezpieczna, ale opłacalna. Zniwelujesz dług, a po wykonanym zadaniu dostaniesz sporą sumę, która zapewni całej waszej trójce szczęśliwy Nowy Rok.

Po minie Rico wywnioskowałam, że niezależnie jak dużą sumę bym mu podała, dalej bardzo chciał mi odmówić.

— Jak długo miałbym go śledzić? — zapytał ponurym głosem.

— Tak długo, aż zdobędziesz potrzebne dla mnie informacje. Muszę znać lokalizację pewnego bardzo niebezpiecznego towaru — mruknęłam ciszej. — Znajdziesz ją i podasz mi adres, a nie zobaczysz mnie przez bardzo długi czas.

— Przecież mówiłaś, że jeśli to zrobię, nasz dług zniknie. — W oczach Rico wymalowała się złość. — Skoro tak, zrobię to, a ty zostawisz nas w spokoju. Na zawsze.

Podniosłam się powoli z kanapy, nie spuszczać z niego oka. Moje ruchy były precyzyjne i powolne, zupełnie jakbym szykowałam się do skoku. Oparłam dłonie na blacie stolika do kawy i oblizałam wargi.

— Nie uwolnicie się ode mnie, póki Julia nie osiągnie pełnoletniości — powiedziałam rzeczowym, opanowanym głosem. — Powiedziałam wam to raz trzy lata temu i powtarzam to raz jeszcze. Dziewczynka jest pod moją ochroną do czasu,

gdy osiągnie wiek, w którym będzie sama odpowiadać za siebie. Zanim się pojawiłam i posprzątałam wasze posrane życie, to dziecko było bite i zastraszane. Wmieszaliście się w interesy, które mogły ściągnąć wam na głowę nie tylko magiczną policję, ale i zabójców, którzy z chęcią obcieliby wam to i owo za długi, których sporo nagromadziliście w bardzo krótkim czasie. Wam, a także temu niewinnemu dziecku.

— On nas zmuszał — powiedziała cicho Katarina, obnażając przy tym zęby niczym dzikie zwierzę. — Zmusił nas do hazardu. Był tyranem.

— Gdyby którekolwiek z was poszukało pomocy wcześniej, wiele złych rzeczy by się nie wydarzyło. Twoja rodzina miała wpływy i mogła rozwiązać sprawę szybko i bezboleśnie. Byłaś zbyt dumna, by prosić o pomoc swojego ojca. Nie wmawiaj mi, że winę za wszystko ponosi twój były mąż — syknęłam, mrużąc powieki.

Katarina zamilkła, ale jej twarz zmieniła się w maskę gniewu i nienawiści. Ze złością zniknęła w kuchni, głośno tupiąc nogami. Rico zmierzył mnie ostrym spojrzeniem, zaciskając palce w pięści.

— Chcemy dla Julii jak najlepiej, obydwójce. Nie skrzywdzimy jej.

— Wiem o tym. Właśnie tego pilnuję — odparłam, nadal spięta. — Nie chodzi o moje prywatne sprawy, lecz o bezpieczeństwo całego miasta. Rośnie konflikt, którego skutki mogą być tragiczne dla wszystkich. Jeśli ziści się najgorszy scenariusz, nikt już nie będzie tutaj bezpieczny, a zwłaszcza takie dziecko jak Julia — dokończyłam szeptem, patrząc na strugę światła sącząca się zza uchylonych drzwi do kuchni.

Rico wydawał się jednocześnie zaskoczony i zaniepokojony moimi słowami. Nie powiedziałam tego jedynie po to, żeby go przestraszyć. Gdyby doszło do wojny wampirów i wilkołaków, ewentualne zwycięstwo krwiopijców zachwiałoby równowagę wśród innych ras. Po bezprawnym zagarnięciu ziem wilków, Quentin zrobiłby się chciwy i niedługo potem upatrzyłby sobie kolejne terytoria, tym razem podlegające zmiennokształtnym, magom, elfom, a także, już w ostatecznym rozrachunku, także mnie. Mój teren był wisienką na torcie, którą zostawiłby sobie na sam koniec. Chciał, bym patrzyła, jak to miasto upada. *Kiedy dowie się, że przeżyłam, będzie chciał zabić mnie osobiście, powoli i w męczarniach.* Quentin nie był typem, który zabijał szybko, o nie — on lubił patrzeć, jak jego ofiara cierpi i wije się u jego stóp niczym nędzny robak.

Zmiennokształtny wyprostował się nagle, jakby podjął ważną decyzję. Oczy, które ku mnie zwrócił, aż płonęły determinacją.

— Na czym polega moje zadanie?

Mimo pewności siebie, którą sypałam od momentu wejścia do domu, nagle poczułam ulgę, która rozluźniła część moich spiętych mięśni. Siedzący obok mnie Flesh nie odzywał się od początku, a jego mina była nieprzenikniona, jednak

wyczułam na niej zmianę — czy już domyślił się, co dokładnie planowałam i odczuł takie samo zadowolenie teraz, gdy Rico był gotów mi pomóc? Tego nie wiedziałam.

— Powtarzam, musisz śledzić pewnego wampira, póki nie zdołasz się dowiedzieć, w której kryjówce schował towar. — Pochyliłam się do przodu, jeszcze bardziej zniżając głos. — To skrzynie wypełnione srebrem. Nie wiem jednak, w jakiej formie jest surowiec.

— Srebro? — Twarz mężczyzny zbladła gwałtownie i zrobiła się biała jak płótno. — Skrzynie pełna srebra? — Zamilkł na dłuższy moment, jakby te trzy słowa utknęły mu boleśnie w gardle. — W co ty się pakujesz, Kira? W co ty pakujesz nas wszystkich?

— Zajmij się tym i przekazuj najważniejsze informacje do mnie lub do Flesha. — Wskazałam demona siedzącego obok ruchem głowy. — Masz tylko śledzić, nie działać. Nie rób nic, co mogłoby cię zdradzić i narazić twoje życie.

— Kogo mam śledzić?

— Quentina.

Nie musiałam tłumaczyć Rico, kim był wampir o tym imieniu. Zmiennokształtny miał na twarzy wypisane przerażenie, które zniekształciło jego rysy. Zrobił się niemal zielony, jakbym przyłożyła mu nóż do krtani. Jego zielone oczy wytrzeszczyły się, odsłaniając białka, niczym u spłoszonego konia.

— Zwariowałaś — wychrypiał Rico. — Jeśli on mnie przyłapie, zabije mnie bez pytań czy litości.

— O to właśnie chodzi — powiedziałam suchym tonem. — NIE MOŻESZ dać się złapać. Czy to jasne?

— Czemu sama tego nie zrobisz? Czemu sama nie narazisz się na jego gniew? — Spod warstwy przerażenia zaczął wypęłzać gniew i oskarżenie.

— Gdyby nie pewien parszywy szpieg, Quentin do teraz nie wiedziałby, że jeszcze żyję. Długo by tłumaczyć — rzuciłam, gdy Rico chciał zapytać o tą kwestię. — W każdym razie, słudzy Mistrza szybko by mnie przyłapali. Jestem zabójcą, a nie szpiegiem. Nie mam predyspozycji, by spełnić zadanie, a skrzynie TRZEBA odnaleźć.

— Chcesz mnie posłać na śmierć — niemal wykrzyknął Rico, wystrzeliwując z fotela i oskarżycielsko pokazując mi palcem. — Chcesz, żebym zginął zamiast ciebie. To chore! Nie masz do tego prawa, nawet po tym, co dla nas zrobiłaś!

Krzyczał na mnie z twarzą czerwoną od nabiegłej krwi, lśnącymi oczyma i napiętymi mięśniami. Flesh wpatrywał się w niego zimno z demonicznym błyskiem w oku. Powstrzymałam go, kładąc mu dłoń na udzie, ale nie spuszczałam wzroku z Rico.

Zmiennokształtny podnosił głos coraz bardziej, wykrzykując coraz to nowe

przekleństwa. Kątem oka zauważyłam sylwetkę dziecka w progu. Zacisnęłam zęby i również się podniosłam, kierując energię wilka bezpośrednio do żył niczym mocny narkotyk. Moja katana leżała na kanapie obok mnie, jednak nie wzięłam jej do ręki.

— Nie waż się mnie oskarżać — warknęłam cicho, jednak to wystarczyło, by go uciszyć. — Staram się ratować sytuację, mimo że od lat zarzekam się o swojej neutralności. Większość magicznych uważa mnie za sadystkę i morderczynię, która zabija, bo sprawia jej to przyjemność. Nikt nie dostrzega tego, że wykańczam prawdziwych morderców, przestępców i agresorów, którzy mogą stanowić prawdziwe zagrożenie. Nikt tego nie dostrzega, póki jeden z takich morderców nie zawita na próg jego domu i wymorduje mu bliskich, zanim zdolam go powstrzymać. — Wyszczrzyłam wilcze kły, całkowicie tracąc cierpliwość. — Nigdy nie prosiłam o laury i sławę, bo nie to jest moim priorytetem. Wszystko, czego chcę, to szacunek, którego brak właśnie mi okazujesz. Ocaliłam was, a mimo to mnie nienawidzicie, ty i Katarina. Jedyłą osobą w tym domu, która jest mi wdzięczna, jest Julia. Mimo tego, że ma tylko pięć lat, rozumie to, co zrobiłam i akceptuje to, bo dzięki temu jest dzisiaj cała i zdrowa.

Rico spuścił głowę, ale nie zdołał ukryć rumieńca wstydu malującego policzki czerwienią zamiast gniewu. Wyglądał jak zbity pies, którego właściciel potraktował batem. Spuściłam nieco z tonu, robiąc kilka głębokich wdechów.

— Nie powierzam ci tego zadania, bo chcę, żebyś zginął, Rico. Chcę, byś pomógł mi wysledzić te skrzynie i tym samym pomógł zatrzymać narastający konflikt. Wiem, że masz wszelkie talenty i doświadczenie, które pomogą ci wykonać misję całkowicie bezpiecznie. Posłałabym tam kogoś innego, gdybym go miała — zapewniłam, patrząc na Rico stanowczym wzrokiem.

Mężczyzna stał przez chwilę nieruchomo, a potem potarł policzki dłońmi i ukrył w nich twarz. Tkwił w tej pozycji co najmniej kilka długich minut, zanim opuścił ramiona wzdłuż ciała. W jego oczach tkwił płomień, który natychmiast rozgrzał mi trzewia.

— Kiedy mam zacząć?

Wychodząc z domu Rico, natrafiłam na Katarinę obserwującą mnie z kuchni. Julia stała za nią, czepiając się nogi matki niczym mała małpka. Dziecko pomachało do mnie nieśmiało drobną rączką. Nigdzie nie widziałam jej ulubionego, różowego króliczka. W oczach Katariny krył się cień oraz złość skierowana na mnie, jednak dostrzegłam w nich coś jeszcze — był to podziw. Kiwnęłam jej krótko głową, przy czym zmiennokształtna odwróciła wzrok. Jej brat siedział dalej w salonie, wpatrując się w przestrzeń pustym wzrokiem.

Wyszłam na zewnątrz bez pożegnania, w całkowitej ciszy. Flesh dreptał za

mną niczym cień, niosąc w rękach moją kataną. Na zewnątrz panował przenikliwy, wieczorny chłód. Latarnie wyrastające z betonu po drugiej stronie ulicy zapaliły się, tworząc w powietrzu jasnożółty blask. Niebo zasnuwane było chmurami, spomiędzy których wyzierała granatowa czerń oraz nieliczne gwiazdy. Oprócz mojego samochodu na chodniku stały zaparkowane inne wozy, pewnie należące do sąsiadów. Wszyscy wrócili z pracy prosto do ciepłych, bezpiecznych domów.

Jak łatwo Quentin mógłby zniszczyć ten spokój, zamruczałam w myślach. Wystarczyłoby, że wygrałby bitwę i wygnał stąd wilkołaki. Wampiry przejęłyby władzę w mieście i zaprowadziły własne rządy. Mistrz chmury jest nieobliczalny i nie wiadomo, kto byłby bezpieczny pod jego okiem. Najpierw pokonałby wilkołaki, a potem dobrałby się do mnie oraz moich towarzyszy — do wszystkich, którzy są i kiedykolwiek byli po mojej stronie. Jestem zagrożeniem, którego Quentin nie może w żaden sposób zignorować.

— Ta dziewczynka cię kocha. — Łagodny głos Flesha przedarł się wolno przez moje ponure rozmyślenia.

Spojrzałam na niego — na szlachetne rysy twarzy zalane żółtym światłem ulicznych lamp oraz lśniąca szafirowe oczy.

— Troszczę się o Julię, od kiedy wybawiłam jej matkę oraz jej brata od bardzo poważnych kłopotów trzy lata temu. Traktuję ją wyjątkowo, ale mało kto o tym wie. Powiedziałam Rico prawdę, że większość magicznych postrzega mnie jako morderczynię, sadystkę, ewentualnie socjopatkę. Jest wiele teorii na ten temat.

— Wszystko przez to, że jesteś zabójczynią? — Flesh bawił się końcówką mojego warkocza, obserwując jego jasne pasma w półmroku. — Przez to, że robisz to, co robisz?

— Głównie przez to. Po części także z powodu mojego pochodzenia. Nie każdy wie dokładnie, kim byli moi rodzice, jednak każdy nadnaturalny doskonale wie, że ktoś taki jak ja nie może być czystej krwi. Jestem nowym gatunkiem, owocem grzechu wampira i wilkołaka. Ogarem — dodałam cicho, wodząc oczyma po najbliższym domach, wyłapując niewielkie plamy światła w ciemnościach.

Demon owinął sobie mój warkocz wokół nadgarstka i przyciągnął mnie do siebie. Trzymana w ręku katana uderzyła ze szczęknięciem o jego udo. Spojrzałam mu w twarz, wypuszczając z ust niewielkie kłęby pary. Mróz niemal szczyptał w policzki, a chłodny wiatr porywał do tańca połę mojej rozpiętej, skórzanej kurtki. Czułam, że Flesh chciał coś powiedzieć, ale jedynie przesunął palcem po moich ustach zamyślony.

— Powinniśmy wracać — zamruczał cicho. — Rico cały czas nas obserwuje.

Uśmiechnęłam się lekko pod nosem, odwrócona tyłem do drzwi domu.

— Wiem o tym, zawsze to robi po moich krótkich, przyjacielskich wizytach. Zupełnie jakbym miała zaraz zmienić zdanie i wrócić, aby zabić jego, a także

Katarinę i zabrać Julię daleko stąd.

Flesh na moment zwrócił spojrzenie na okno ponad moim ramieniem.

— On myśli, że chcesz mu zabrać dziewczynkę?

— Już dawno zrozumiałam, że dosyć podejrzliwie przyjmuje moje przywiązanie do niej. A także to, że mała je odwzajemnia. — Odetchnęłam głęboko, próbując rozjaśnić umysł. — Masz rację, powinniśmy wracać. Podwieźć cię do hotelu? — Spojrzałam na niego pytająco.

Zastanawiał się przez jakiś czas. Niedługo miałam spotkać się z Samuelem i Katherine, a musiałam jeszcze się przygotować, więc niecierpliwie czekałam na jego decyzję. Demon w końcu westchnął pod nosem i skinął potakująco głową.

Usiadłam za kierownicą i odpaliłam silnik. Zanim Flesh wszedł do wozu, zobaczyłam kątem oka dom Rico i niewielki ruch w oknie. Na widok małej, ciemnej główki Julii poczułam lekki ucisk w żebrach. Mała pomachała mi, kiedy wyjeżdżałam z chodnika. Nie odmachalam jej, jedynie odwróciłam wzrok, wbijając go w przednią szybę.

— Jesteś pewna, że nie powinienem iść tam z tobą? — zapytał Flesh, gdy włączyliśmy się w ruch drogowy na głównej ulicy.

— Moje stosunki z Samuelem są teraz... bardzo delikatne — stwierdziłam. — Powinnam sama poinformować go o planach Quentina.

— Wspomnisz o twoim porwaniu?

Mimowolnie mój wzrok padł na blizny zdobiące nadgarstki wystające spod rękawów kurtki. Zacisnęłam lekko zęby, nadal spokojnie manewrując kierownicą. Mój towarzysz nie spuszczał ze mnie wzroku.

— Jeśli nie będzie innego wyjścia — mruknęłam niższym, nieco spiętym głosem. — Jeśli nie będzie innego wyjścia, na pewno o tym wspomnę.

Zostawiłam demona pod hotelem i ruszyłam z powrotem do domu. Po drodze zastanawiałam się nad nadchodzącym spotkaniem z Alfą. Nie widziałam Samuela od dnia, w którym wykonałam wyrok śmierci na jego bracie. Katherine potraktowała mnie w *Moonwalk* łagodnie, pokojowo, lecz nie wiedziałam, czego mogłam się spodziewać po jej partnerze, przywódcy miejscowego stada.

Rico miał rozpocząć swoje zadanie jutro wieczorem, a wszelkie przydatne informacje podawać mi przez komórkę. Do czasu, gdy będę musiała zająć się zapasami srebra, miałam przekonać Samuela do współpracy i przygotować trening dla całej watahy. Darius miał mi w tym pomóc pod warunkiem, że w czasie jego krótkiej nieobecności w mieście dogadam się z Alfą.

Wyszkolenie wilków należało do zadań priorytetowych, zanim pierwsze oznaki wojny miałyby wypłynąć na powierzchnię. Zacisnęłam palce na kierownicy, przypominając sobie członków stada, których widziałam w mieście, a także na ostatnim zbiorowisku, gdzie oskarżyłam Edwarda, wilka Beta, o włamanie na moje terytorium oraz morderstwo mojego psa.

Zajeżdżając pod dom, miałam zaledwie godzinę do wyznaczonego spotkania. Szybko weszłam do środka, a potem powędrowałam na górę, nie patrząc w kierunku salonu, gdzie od mojego wyjścia paliło się światło. Po cichych głosach, które dobiegły mnie w połowie drogi na piętro, szybko wywnioskowałam, że Soren i Sonya nadal spędzali razem czas.

Wzięłam szybki prysznic, zmywając z długich włosów oraz skóry zapach zmiennokształtnych, Dariusa oraz Flesha. Wyszorowałam ciało tak mocno, że piekł mnie każdy kawałek skóry, a potem już w szlafroku szybkim krokiem poszłam do sypialni. Minęłam Sonyę oraz Sorena w pośpiechu, niemal na nich nie patrząc. Nie przywitali się ze mną. Sonya spojrzała na mnie, odrywając swój wzrok od demona. Jej długie, ciemne włosy dawno wyschły po prysznicu i teraz opadały ciężką kotarą po bokach jej twarzy, podkreślając bladość skóry oraz jasny, niesamowity kolor oczu. Nie zapytała o nic, jedynie odprowadziła mnie wzrokiem, tak samo jak milczący Soren.

Ubrałam na siebie czarny golf i ciemne, dopasowane spodnie. Włosy, jeszcze mokre, zaplotłam w warkocz. Już w korytarzu narzuciłam na ramiona skórzaną kurtkę. Gdy wsuwałam na stopy ciężkie buty, obok mnie przystanął demon. Oparł się swobodnie o ścianę z rękoma wsuniętymi w kieszenie dżinsów. Jego skóra zdawała się fosforyzować, tak samo jak srebrzyste włosy i zaciekawione, szare oczy.

— Nie będzie mnie jakiś czas. — Poprawiłam ubrania i sprawdziłam, czy zabrałam ze sobą komórkę. — Gdyby coś się działo, dzwoń do mnie lub Flesha. — Rozejrzałam się dookoła, a potem pognałam do kuchni, by na kartce z notatnika napisać numery komórkowe. — Będziecie sami, Flesh wrócił do hotelu.

Podaliśmy mu kartkę. Przyjrzał się zapisanym cyfrom całkowicie obojętnie i ponownie zwrócił na mnie wzrok.

— Jakoś sobie poradzimy — zapewnił spokojnym, wyważonym głosem. — Czyżbyś wybierała się na polowanie?

Ogarnął wzrokiem moje ciemne ubrania oraz terenowe buty, jak gdybym potrzebowała wskazówki, żeby pojąć jego tok myślenia. Uniosłam wysoko brew, patrząc na niego beznamiętnie. Nie miałam zamiaru szczegółowo się tłumaczyć.

— Mam spotkanie na mieście — rzuciłam pokrótce. — Nie chcę dzisiaj rozlewu krwi, ale nie ręczę za to, że właśnie tak może się to skończyć. Ktoś także może pojawić się tutaj, mam ostatnio kilku wrogów na karku. Właśnie dlatego zostawiłam ci numery alarmowe — podkreśliłam stanowczo, wskazując palcem kartkę, którą nadal miał w rękę. — Powinnam wrócić dość późno. Zajmij się Sonyą i pilnuj terenu, tylko o to proszę.

— Ty o coś prosisz? — zapytał z nutką sarkazmu, ale bez złośliwości.

Wyczuwałam na sobie wzrok Sonyi, więc zerknęłam w jej kierunku. Nadal siedziała w salonie. Jej jasne oczy wpatrywały się we mnie uważnie, nieruchomo.

Poczułam ciarki, tak jak wcześniej, gdy doszłam do wniosku, że w jej spojrzeniu kryło się coś mistycznego, niemalże nieuchwytnego. Szybko odchrząknęłam pod nosem, zrywając krótki kontakt wzrokowy.

— Muszę już iść. — Minęłam Sorena i podeszłam do drzwi. — Pilnuj jej — powtórzyłam samym ruchem warg, patrząc na demona surowo.

Nie czekając na jego odpowiedź czy reakcję, wyszłam na zewnątrz i podreptałam szybko do samochodu. Na tylnym siedzeniu nadal leżał pokrowiec z moimi katanami, a między moimi piersiami, przymocowany do specjalnego zapięcia między miseczkami stanika, wisiał sztylet. Wsunęłam dłoń pod materiał swetra i szarpnięciem pozbyłam się tej podręcznej broni. Katanę schowałam pod tylne siedzenie i dorzuciłam do niej nóż.

Odetchnęłam głębiej dla spokoju, a potem odpaliłam silnik. Dojechałam na wyznaczone miejsce punktualnie. Zaparkowałam samochód na poboczu drogi, a potem ruszyłam piechotą wiejską, nierówną drogą prosto na gruzowisko. Niewielki sierp księżycy obrysowywał bladą poświatą stosy kamieni oraz resztki dawnych zabudowań, pomagając mi dotrzeć tam bez żadnych trudności. Miałam dobry wzrok po zmroku, jednak ta błękitnawa poświata dodawała terenowi niesamowitego uroku oraz magii.

Bestia kotłowała się niespokojnie pod moimi żebrami, wprawiając żołądek w ruch. Pomysł spotkania z Samuelem na jego terytorium i to bez broni pod ręką, oczywiście zabranej tylko na wszelki wypadek, w ogóle jej się nie podobał i nie mogłam jej uspokoić. Będąc już wystarczająco blisko ruin, poczułam nikły zapach wilka mieszanego z zimnym, wieczornym powietrzem.

Sylwetka Alfya była oświetlona nikłym blaskiem księżycy oraz niewielkich lamp, które wilkołaki poustawiały dookoła, by dawały im światło podczas licznych spotkań. Katherine stała w niewielkiej odległości od Samuela, wpatrując się w półmrok w skupieniu. Gdy mnie ujrzała, na jej twarzy odmalował się niepokój. Oblicze jej ukochanego było nieprzeniknione, ale czułam bijące od niego fale niezadowolenia — czy wynikały one z ostatnich wydarzeń, czy może z faktu, że zniszczyłam jego dzisiejsze plany, kto to wiedział? Może nawet chodziło o te dwa fakty jednocześnie. Mogłam zgadywać, bo na taką szczerą z jego strony nie mogłam liczyć. Nie byłam kumplem, z którym miał pogawędzić przy butelce zimnego piwa. Chociaż, musiałam przyznać, miałam wielką ochotę na porządną dawkę alkoholu.

Kiwnęłam im obojgu głową, ale nie pokazałam odsłoniętego karku, tak jak w innym przypadku zrobiłby to uległy wilk. Byłam na ich terytorium, ale nie należałam do stada i nie miałam zamiaru kłaniać się Alfie. Byłam dominantem tak samo jak on i obydwójce zdawaliśmy sobie sprawę, że uznawałam jedynie swoje własne przywództwo. Samuel już dawno, za pośrednictwem moich wyraźnych sygnałów, zdał sobie sprawę, że nigdy nie będę sługą pod jego pantoflem.

— Dziękuję, że umożliwiliście mi to nieplanowane spotkanie — powiedziałam na głos, przerywając ciężkie milczenie. — Nie prosiłabym o nie, gdyby nie chodziło o coś naprawdę ważnego.

— Wiemy o tym. Oboje — dodała Katherine, gdy Samuel uparcie milczał.

Zwróciłam spojrzeniem wprost na Alfę. Jego postawa nie świadczyła o radości na mój widok. Widziałam zaciśnięte szczęki oraz drżące palce, które usilnie powstrzymywał, by nie zacisnęły się w pięści lub na moim gardle. W duchu byłam mu wdzięczna za tą powściągliwość. Bójka między nami była niewskazana i niepożądana. Mogłaby nam poważnie przeszkodzić w rozmowie.

— Mów zatem, po co się z nami spotkałeś? — Głos wilkołaka był uprzejmy, ale niepomiernie chłodny. — Nie chcę spędzać w twoim towarzystwie więcej czasu, niż jest to naprawdę konieczne.

Musiałam też przyznać, że był bardzo szczery i nie bawił się w półsłówka. Dobrze, tak było prościej niż wzajemnie zamydlać sobie oczy udawanymi uprzejmościami, chociaż na pewno nie milej.

— Chodzi o twoje stado... — zaczęłam ostrożnie.

Spiął się widocznie na te słowa. Rozpoczął serię ostrych pytań, nie czekając na dalszy ciąg moich słów. Zirykowało mnie to, ale powstrzymałam się od uwagi. Rozumiałam jego niepokój oraz strach.

— Zmieniłaś zdanie? Chcesz cofnąć swoją łaskę dla mojego stada? Wycofać nasz sojusz?

Pokręciłam stanowczo głową, przerywając jego błędny tok myślowy.

— Daj mi mówić, Samuelu. Chodzi o twoje stado, gdyż grozi mu niebezpieczeństwo. — Poczułam na sobie niespokojne spojrzenie Katherine. — I to poważne. Ale zapewniam, że przyjdzie ono z mojej strony.

— A z czyjej?

— Od wampirów.

Zdawało się, że Samuel nie przejął się moimi słowami, jedynie uśmiechnął się pod nosem z wyraźną kpina, wypinając wyzywająco pierś. Jego niepokój osłabł, stłumiony fałszywym poczuciem wyższości.

— Zawarliśmy z Nocnymi Wędrowcami porozumienie, które od dawna, po dziś dzień utrzymuje nasze klany w zgodzie. Trzymamy je na dystans i skutecznie pilnujemy porządku na swoim terytorium. Nic nam nie grozi z ich frontu, Łowczyni. — Skrzywiłam się na dźwięk tego oficjalnego tytułu. — Potrafimy sobie z nimi radzić i to od bardzo dawna.

Butność oraz pewność w jego głosie rozłościły mnie. Wcześniejsze zdenerwowanie na myśl o spotkaniu wyparowało w oka mgnieniu, zastąpione za to przez ogień płonący w żyłach niczym tysiące świec.

— Tu nie chodzi o zwykłe zaostrenie stosunków lub pojedyncze wampiry zakradające się na twoje terytorium. Myślisz, że ostrzegałabym cię osobiście

o takich błahostkach? Mam wystarczająco mało czasu osobistego, by bawić się w takie głupoty. Chodzi o coś o wiele poważniejszego. — W moim głosie dało się słyszeć warkot, niczym pogłos nadchodzącej burzy. — Uwierz w to, do diabła!

Samuel chciał mi przerwać, ale Katherine chwyciła go za dłoń i mocno ścisnęła. Bez problemu to zauważyłam. Mimo drobniejszej postury oraz niższej rangi w stadzie, jednym spojrzeniem uspokoiła rozsierzonego wilka. Między nimi nie chodziło o fizyczną przewagę, ani nawet o psychologiczne sztuczki. Katherine była Omegą, ale nie to się liczyło — tutaj chodziło o jej kojący wpływ oraz uczucie, którym darzyła męża. W oczach Samuela widziałam bezgraniczną miłość, zwłaszcza wtedy, gdy na kilka sekund, niemal nieświadomie, dotknął okrągłego, ciężarnego brzucha wilczycy. Było w tym wiele czułości, tak wiele, że na moment musiałam odwrócić wzrok od tej pary. Czułam, jakbym była nieproszonym świadkiem czegoś bardzo intymnego, co nie dotyczyło mnie w żadnym stopniu. I tak rzeczywiście było.

— Powiedz nam wszystko, od początku. Chcę wiedzieć, jeśli coś się dzieje na moich terenach. — Głos Alfya nadal był nasrożony, ale zmieniła się jego postawa, a gniew i uraza się wyciszyły.

Wzięłam głęboki oddech, by związać własnego wilka na smyczy i zaczęłam mówić. Rozpoczęłam monolog od sprawy morderstw dokonanych przez młode wampiry, której rozwiązaniem się zajęłam, a skończyłam na odkryciu, co przewoziły tajemnicze wozy wprost do *Mrocznego Irysa*. Na wspomnienie skrzyń pełnych czystego srebra, Samuel poczerwieniał i ledwie powstrzymał agresywny warkot.

— Quentin jest nieobliczalny — powiedziałam, kończąc swoje rewelacje i patrząc na Katherine oraz Samuela zimnym i zdeterminowanym wzrokiem. — Jeśli szykuje się do walki, by zdobyć twoje terytorium, sprawa jest poważna. Niestety, wszystko właśnie na to wskazuje.

— Myślałam, że jest rozsądnym przywódcą swej rasy — zamruczała cichym głosem Katherine, skubiąc rąbek swojej błękitnej bluzki. — Kiedyś zapewniał, że pokój między klanami jest dla niego ważny, tak samo jak dla nas.

— Czemu nas przed nim ostrzegasz? — Samuel zwrócił na mnie swoje pociemniałe od gniewu i urazy oczy. — Jesteś zabójczynią, neutralną na gruncie międzyrasowym. Nikogo nie wspierasz, nawet z własnych pobudek. Nie należysz do żadnego klanu, rządzisz się własnymi prawami. Zawsze tak było. Czemu teraz ostrzegasz mnie i moje stado, skoro mogłabyś równie dobrze pomóc Quentinowi w obaleniu watahy? Zapewne zapłaciłby ci za to sporą sumę i dał ci władzę w mieście.

Poczułam gorycz w ustach, formującą się na języku niczym żółć. Byłam łowczynią i nigdy nie opowiadałam się za żadną ze stron, to prawda. Brak wiary w moje dobre intencje nie bolała, jednak odczułam ją niczym drzazgę w mózgu.

Pomysł, że pomogłabym Quentinowi za pieniądze i przywileje, które odebrałby siłą innym nadnaturalnym, zakotłował mi się we wnętrznościach i skręcił je boleśnie, zwłaszcza po tym, co przeżyłam po porwaniu zleconym przez tego nędznego krwiopijcę.

— Quentin przekroczył ostateczną granicę — powiedziałam suchym, twardym tonem. — Nie ma takiej sumy pieniędzy czy obietnic, które skłoniłyby mnie do sprzymierzenia się z nim. Ani teraz, ani nigdy.

Obydwoje musieli usłyszeć w moim głosie stanowczość i coś jeszcze, co zmusiło ich do milczenia i nie zadawania żadnych pytań. Samuel zaczął chodzić w tę i z powrotem. Katherine założyła ramiona na piersi i wpatrzyła się w przestrzeń, po raz kolejny zamyślona. Stałam kilka metrów od nich z rękoma wsadzonymi w kieszenie kurtki, zimna niczym posąg i czekałam.

— Jeśli dojdzie do walki, pomogę wam — powiedziałam, przerywając w końcu ponure milczenie. — Póki co chcę, żeby wszyscy byli przygotowani na to, co może nadejść ze strony wampirów. Mam szpiega, który od jutra zajmie się wytropieniem kryjówki, gdzie Quentin mógł schować te zapasy srebra. Jeśli dowiem się, gdzie je trzyma, postaram się je zniszczyć, zanim użyje ich do wyrobu jakiegokolwiek broni skierowanej przeciwko stadu. Rozmawiałam dzisiaj także z Dariusem.

Na dźwięk imienia samotnego wilka, Samuel przystanął i spojrzał mi w twarz.

— Co on ma z tym wszystkim wspólnego? To samotnik, ma pozwolenie przebywania na terytorium stada.

— Poprosiłam go, by razem ze mną przeprowadził szkolenie bojowe wśród twoich wilków. Umiecie walczyć, jednak tutaj nie chodzi o zwykłe, uliczne bijatyki. Razem z Dariusem możemy nauczyć stado wielu sztuczek, które uratują im życie w starciu z sojusznikami Quentina.

— Część stada stanowią dzieciaki, większość z nich nie skończyła nawet szkoły. — W oczach Samuela coś błysnęło. — Trzeba ich zabezpieczyć.

— Ci, którzy mogą, będą walczyć. Potrzebujemy jak najwięcej wilków, które będą w stanie stanąć naprzeciwko wroga. Reszta pozostanie w ukryciu.

— Kiedy miałyby się odbywać te treningi? — zapytała Katherine rzeczowym tonem.

Ledwie powstrzymałam uśmiezek. Wszystko, jak na razie, szło całkiem nieźle.

— Najlepiej od jutra. Trening przed zmrokiem, najlepiej na otwartym terenie, z daleka od miasta. Reszta moich towarzyszy także wam pomoże, jeśli wyrazicie zgodę na ich obecność bezpośrednio na waszym terytorium.

Samuel przyjrzał mi się uważnie.

— To zabójcy, tak jak ty?

Uniosłam wysoko brew.

— Wykwalifikowani i bardzo utalentowani — potwierdziłam niemal radośnie. — Wśród moich przyjaciół jest także pewna wampirzyca. — Udałam elegancko, że nie usłyszałam warknięcia ze strony Alfy. — To Amelia, pracowała kiedyś w *Mrocznym Irysie*. Jest teraz wampirem spoza chmary. Odcięła się całkowicie od polityki Quentina, a także od jego osobistych wpływów. Od pewnego czasu mi pomaga. Ona także jest wojowniczką i jestem pewna, że pomoże stadu w razie kłopotów. Ufam jej — dodałam twardo.

— Pamiętam ją. Kiedyś oficjalnie reprezentowała chmarę razem z Quentinem — zamruczał w pewnym zamyśleniu i zaskoczeniu. — Dobrze, zgadzam się na wszystko — odparł stanowczo Samuel. — Jednak jeśli ten twój szpieg znajdzie srebro, dasz mi o tym znać — dodał, wskazując mnie palcem.

Zjeżyłam się lekko, ale moja twarz ani drgnęła. Przytaknęłam jedynie, nie mówiąc ani słowa, by oszczędzić mu kłamstw. Samuel nie musiał wiedzieć, że nie miałam zamiaru nikomu mówić o położeniu srebra. Surowiec musiał zostać zniszczony lub ukryty przed Quentinem, zanim ten zdołałby go wykorzystać i miałam zamiar sama się tym zająć. *Jeśli dostanę cynk, wyruszę od razu, ale samotnie.*

~ SOREN ~

Zimny prysznic podziałał naprawdę kojąco. Wystawiłem twarz pod strumień wody i stałem tak nieruchomo niemal dziesięć minut. Zostawiłem Sonyę w salonie, kiedy po raz kolejny przysnęła na kanapie. Wcześniej rozmawialiśmy jakiś czas o banalnych tematach, jednak dziewczyna czasami milczała długie minuty, wbijając wzrok w okno i niemalże zapominała o mojej obecności. Gdy tylko wyczułem stosowną okazję, zamknąłem się w łazience, nawet nie zapalając dla siebie światła.

Miękki półmrok panujący w pomieszczeniu pozwolił mi nieco uspokoić myśli. Westchnąłem cicho z zamkniętymi oczyma, tonąc w atramentowych ciemnościach — to był stary nawyk, który nabyłem w swojej posiadłości przez wiele lat... może nawet stuleci. Od dawna gubiłem się w pojęciu czasu.

Zakręciłem wodę, ale nadal stałem pod prysznicem, pozwalając spływać kroplom z włosów prosto na twarz. Wszedłem z kabiny dopiero po kilku minutach cicho jak cień i wsunąłem na biodra dzinsy. Przystanąłem na moment pośrodku łazienki, nasłuchując dźwięków dobiegających z salonu. Do moich uszu dobiegł cichy oddech, wdech i wydech w równym, spokojnym tempie. Przysłuchiwałem się temu przez kilka chwil, zanim zarejestrowałem nowe dźwięki, od których lekko zmarszczyłem czoło — szuranie, ledwie słyszalny klekot podeszew na podłodze i towarzyszący temu szelest ubrań. Spiałem mięśnie, ale nadal tkwiłem nieruchomo w miejscu. *Niech przyjdzie, niech będzie jeszcze nieco bliżej.*

Przez drzwi nie mogłem wyczuć zapachu intruza, ale ktokolwiek to był, miałem zamiar się go pozbyć. I to bardzo skutecznie. Oddech Sonyi urwał się nagle, a serce przyspieszyło. Usłyszałem, jak porusza się na sofie, a potem z salonu dotarło do mnie głośne, przeciągłe warczenie, niskie i ponure niczym pomruk burzy. Nie brzmiało jak warczenie psa czy wilka, a raczej dużego, egzotycznego kota.

Wpadłem do pokoju akurat w momencie, gdy intruz rzucił się w kierunku kanapy. Dopadł do Sonyi i złapał ją za szyję, ledwie umykając jej ostrym, groźnie wyszczerzonym kłom oraz pazurami. Pewnie by sobie poradziła, jednak ranna noga utrudniała jej samoobronę. Złapałem więc delikwenta za kark niczym niepokornego szczeniaka i rzuciłem na podłogę, delektując się solidnym łomotem, który rozległ się przy spotkaniu czaszki z twardym podłożem. Jak przez mgłę dotarło do mnie, że Sonya zakasłała, biorąc głęboki haust powietrza. Poczułem złość gorącą niczym lawa, pełznącą z żołądka prosto do gardła.

Intruz był wampirem, poznałem to po jego zapachu. Szarpał się i wił pod moim uciskiem niczym robak na uwięzi. Wysunęłam długi, gadzi język, smakując powietrze jak wąż — wyraźna woń bólu oraz strachu mieszała się z determinacją i słabnącą żądzą mordy. Kimkolwiek był ten krwiopijca, chciał kogoś zabić. I nie musiałem się zbytnio wysilać, aby domyślić się, kto był jego celem.

Uniosłem jedną dłoń z rozcapierzonymi palcami, czując, jak paznokcie wydłużają się i ostrzą niczym sztylety. Drugą dłonią bez wysiłku przytrzymałem wampira za gardło, tak jak on wcześniej zrobił to Sonyi. Oblizałem wargi, szczerząc drapieżne zęby, ledwie mieszczące się w ludzkiej szczęce. Napastnik począł z większą pasją walczyć o wolność — w całej tej szarpaninie poczułem kilka celnych ciosów w brzuch i żebra nogami, a także w szczękę i ramiona wymierzone młócającymi dłońmi. Czułem coraz większą wściekłość. Warknąłem przez zęby, czując jak żar, który rozpałił się w moich trzewiach, nabiera coraz większej mocy. Miałem ochotę zmienić tego wampira w popiół — tutaj, teraz. Zaraz.

— Soren! — krzyk Sonyi poniósł się po salonie, docierając gwałtownie do moich uszu. — Nie zabijaj go. Kira będzie chciała go przesłuchać — dodała ochrypłym głosem, aczkolwiek stanowczym i opanowanym. — Zostaw go — powtórzyła, gdy nie zareagowałem w pierwszej chwili.

Powoli wyciszyłem umysł, tak jak wcześniej pod strumieniem zimnej wody spod prysznica. Zacisnęłam palce na szyi wampira mocniej, aby potem, niezbyt delikatnie, jednym ciosem pięści pozbawić go przytomności. Ciało opadło nieruchomo niczym całkowicie martwe. Oczy intruza cofnęły się w tył czaszki, błyskając białkami. Puściłem go z obrzydzeniem i wstałem na nogi zwinnie niczym jaszczurka.

Sonya siedziała skulona na kanapie, wpatrując się w oszołomionego

wampira. Podeszedłem do niej stanowczym krokiem i uniosłem jej twarz za brodę. Spojrzała na mnie rozszerzonymi oczyma, jakbym ja także miał zamiar zrobić jej krzywdę. To sprawiło, że wcześniejsza wściekłość zmieniła się w złość palącą mi płuca. Obróciłem jej głowę profilem, przyglądając się siniakom uformowanym w ślady palców, które powoli bladły na tle jasnej skóry. Zacisnąłem mocno szczękę, aż zęby zazgrzytały niczym otarte o beton.

— Będzie nieprzytomny przez jakiś czas. Póki Kira nie wróci, lepiej będzie dla niego, jeśli szybko się nie obudzi — zamruczałem spokojnym, lecz bardzo złowróżbnym tonem. — Zadzwońię do niej, ale nie ręczę, że zjawi się szybko.

Wyciągnąłem telefon z kieszeni spodni i wykręciłem numer, który łowczyni zanotowała mi na kartce. Odebrała dopiero po piątym sygnale. Miała chłodny, jednak spokojny głos, więc spotkanie musiało jak na razie iść po jej myśli. A przynajmniej do tej pory nie było żadnych zamieszek czy trupów. Opowiedziałem pokrótce, nie bawiąc się w powitania, co przed chwilą stało się w jej domu. Zamilkła na moment, a potem warknęła, że postara się wrócić jak najszybciej.

— Zabiłeś go? — zapytała głosem pulsującym złością.

— Modelem już nie zostanie, ale jeszcze dycha — odparłem niemal rozbawiony, trącając nogą nieruchome, wampirze ciało rozłożone na podłodze.

Rozłączyła się bez pożegnania, na co poczułem, że moje usta, mimo ponurego humoru, wyginają mi się w krzywym uśmiechu równie mroźnym co ośnieżone szczyty gór.

— Kira niedługo do nas wróci — zamruczałem, odwracając spojrzenie od wampira i kierując je w bok, aby mieć widok na sylwetkę skuloną na kanapie. — Zwiążę go zaklęciem. Może powinnaś wyjść — dodałem cicho, nie patrząc na Sonyę.

Dziewczyna zwróciła jasne, poważne oczy na mój profil. Miałem wrażenie, że przewiercała mnie tym spojrzeniem na wylot. Oblizwała zasuszone wargi, cały czas masując obolałe gardło zbielełymi palcami.

— Skrzywdzisz mnie?

— Nie — odpowiedziałem bez wahania niemal swobodnym tonem, podczas gdy złość kielkująca w płucach wzrosła.

— Więc zostanę — rzuciła stanowczo, przenosząc dłoń z szyi na ranną nogę owiniętą bandażem.

Nie protestowałem, a także nie kazałem jej wyjść. Moja magia wypłynęła spod skóry jasną, chłodną wstęgą niczym morską falą. Była zimna, śliska niczym polerowany lód, ale nie tak krucha. Wypowiedziałem kilka słów w ojczystym języku moich dawnych przodków i spętałem nogi oraz ręce wampira czystą, demoniczną energią. Syknął nadal nieprzytomny, a potem znieruchomiał jeszcze bardziej niczym zmrożony. Odetchnąłem, chowając światło magii w kokonie pod

sercem twardym niczym skorupa smoczego jaja.

Odwróciłem się i oczyma nadal jaśniejącymi srebrem spojrzałem na twarz Sonyi. Wydawała się zdumiona, ale także nieobecna. Jej oczy, wcześniej lodowato-błękitne, teraz miały barwę oceanu podczas sztormu. Powiększone źrenice przypominały dwie otchłanie, przepastne i bezkresne. Podeszedłem do niej i wyciągnąłem dłoń z zamiarem potrząśnięcia nią, ale szarpnęła się do tyłu, zanim zdołałem jej dotknąć. Mętny wzrok się rozjaśnił, powróciła także świadomość.

— Nie dotykaj mnie — niemal krzyknęła, odsuwając się jeszcze bardziej.

Nie powiedziała tego ze strachem, a przynajmniej nie strachem wywołanym dotykaniem mojej magii. Widziałem na jej twarzy, że to nie ja ją przerażałem. *Zupełnie, jakby przez moment była zupełnie gdzie indziej*, pomyślałem, przyglądając się jej. *Co takiego zobaczyła?*

Chciałem wypowiedzieć swoje pytanie na głos, kiedy zobaczyłem rdzawą plamę rozkwitającą na białym bandażu owiniętym wokół jej łydki. Dziewczyna drżała, spoglądając prosto przed siebie. Do moich nozdrzy trafiła słodka nuta jej krwi.

— Opatrzę ci nogę, zanim wróci Kira. — Mój niski, cichy głos musiał wyrwać ją z zamyślenia, aż drgnęła całym ciałem. — A potem dowiemy się, dlaczego ten wampir próbował cię zabić.

Rozdział X

~ KIRA ~

— Kolejny intruz wchodzi na moje terytorium niczym na swój prywatny plac zabaw — warknęłam, gniewnie wystukując butem jakiś chaotyczny rytm o podłogę. — Zdaje się, że straciłam szacunek u niektórych gatunków magicznych, ba!, chyba u nich wszystkich — stwierdziłam niemal radośnie. — Wilkołaki, wampiry, nawet ludzie! — Wyrzuciłam ramiona w powietrze, dając upust części swojej dotychczas kumulowanej złości. — Nie mam aż tyle cierpliwości.

— Nigdy z niej nie słynełaś — mruknął pod nosem Frederic, umykając przed moim złowróżbnym wzrokiem rozsierdzonej wilczycy.

W powietrzu było gęsto od magii, której użył Soren, a by utrzymać nieprzytomnego wampira w miejscu bez zbędnej wymiany ciosów — kolejnej wymiany ciosów, sądząc po stanie intruza. Przyglądałam się zwojom mocy na rękach i nogach intruza z pewnym zadowoleniem, lecz energia tego czaru podchodziła mi także żółcią do gardła jak na widok zmasakrowanych zwłok.

W salonie wokół zeszywniałego wampira zebrali się Frederic, Soren i ja. Czarodziej był mi potrzebny do przesłuchania delikwenta, a obecność Flesha i Charlotty nie była niezbędna. Miałam zamiar poinformować demona o zaistniałej sytuacji po fakcie, gdy już zdecyduję, co zrobić z intruzem już po wydobyciu z niego cennych dla mnie informacji. Charlotta na pewno już wiedziała o wszystkim od Frederica, jednak zgodnie z tym, że nie została oficjalnie wezwana do mojego domu, nie przyjechała. Doceniałam ten wyraz zaufania, który tym pokazała. Sonya została przeze mnie oddelegowana do sypialni po tym, jak Soren opatrzył jej nogę. Rana w wyniku szarpaniny otworzyła się i zaczęła krwawić. Zapach krwi działał pobudzająco, co mogło być problemem, gdy miało się w domu związanego i nastawionego na mord krwiopijcę.

Patrzyłam na ciało wampira z niesmakiem. Miał na sobie ciemny kombinezon, a twarz zasłaniała maska — wykrzywiona w szerokim uśmiechu biała czaszka wyrzeźbiona w drewnie. Ten element stroju rozsierdził mnie najbardziej, zupełnie jakby wampir chciał sobie ze mnie zażartować, włamując się na moje terytorium i próbując zabić jednego z moich towarzyszy przebrany niczym na obchody Dia de los Muertos[1]. Brakowało mu tylko długiej, białej szaty[2], żeby cała sytuacja nabrała bardzo groteskowego, zabawnego charakteru. Miałam ochotę udusić go gołymi rękoma, podczas gdy Frederic przyjrzał się masce z radosnym uśmiechem wypisanym na wargach.

— Dawno nie byłem w Meksyku...

— Skup się! — warknęłam, przerywając mu w pół słowa. — Dobrze wiem, że nasłał go Quentin, bo któżby inny byłby na tyle głupi, jednak nie wiem, po co?.

Skoro miał zabić Sonyę zamiast mnie, mam mętlik w głowie. Skąd Mistrz dowiedział się o jej istnieniu? I dlaczego chce, żeby zniknęła?

— Zaraz się tego dowiemy — zamruczał Soren pod nosem. — Za pomocą czarów lub bardziej tradycyjnych metod.

— Jakim cudem go nie zabiłeś? — zapytałam, słysząc odpowiednio lodowaty ton w jego głosie.

Skrzywił się minimalnie.

— Sonya mnie powstrzymała. — Skrzyżował ramiona na piersi tak, że mimo potężnej sylwetki, demon przypominał teraz naburmuszone dziecko. — Uznała, że będziesz chciała go przesłuchać.

— Mądra dziewczynka. — Ponownie skierowałam spojrzenie na wampira. — Zanim jednak zabierzemy się do wybudzania go z tego słodkiego snu, zabierzemy to. — Wysunęłam dłoń do przodu, gotowa zdjąć drewnianą czaszkę z twarzy intruza, która wyglądała, jakby cały czas się ze mnie naśmiewała. — Lubię wiedzieć, kto narusza moje terytorium.

Szarpnęłam brutalnie maską, zrywając ją z twarzy wampira. Obejrzałam ją z każdej strony, jednak nie było w niej nic niezwykłego oprócz malowidła rozbawionej czaszki. Zwróciłam wzrok na twarz nieprzytomnego delikwenta i wciągnęłam powietrze do płuc z głośnym świstem. Teraz Frederic z większym zainteresowaniem przyjrzał się wampirowi.

— Znasz go — stwierdził, nie patrząc w moim kierunku.

— Owszem, znam go — odparłam, wolno przeciągając głoski. — Niestety.

Ciemnoskóra twarz Benjamina, ochroniarza pracującego w *Mrocznym Irysie* była spokojna zupełnie jak we śnie, pomijając sylwetkę wygiętą i spętaną demoniczną magią. Niegdyś krótkie, ciemne włosy były teraz ścięte tuż przy skórze niczym u żołnierza, a z ucha zniknął diamentowy kolczyk. Obróciłam jego głowę niezbyt delikatnie, by przyjrzeć się mu dokładnie. Natrafiłam na świeży, niewielki tatuaż krzyczący szkarłatem na karku. Widząc miecze skrzyżowane nad magicznym wirem, poczułam lodowy szpikulec wbijający się między żebra — to był symbol Mistrza, znak Quentina, nie do pomylenia nawet dla istot spoza szeregów wampirzej chmary.

Odsunęłam się, jakbym trafiła na syczącego, jadowitego węża dotychczas ukrywającego się za kamieniem. Zacisnęłam mocno palce trzymające maskę, tak bardzo, że drewno zatrzeszczało ostrzegawczo. Wszyscy zgromadzeni w pokoju wpatrywali się we mnie z mieszaniną niepokoju i ciekawości, jakbym była tykającą bombą, której włączył się samozapłon. Uspokoilałam oddech i rozluźniłam chwyt dłoni.

— Mieszkając w tym mieście, stałam się co najmniej naiwna — powiedziała już spokojnie. — Zabójca powinien ufać jedynie sobie i darować sobie przyjaźnie z potencjalnymi ofiarami, a raczej wrogami, jak widzę na

załączonym obrazku. — Westchnęłam krótko pod nosem. — Obudź go, Frederic.

— Może zaproponujemy mu krzesło? — zapytał, tylko na poły sarkastycznie, podwijając rękawy swojego czerwonego płaszcza.

— Niech pełza — zasyczał gdzieś z boku Soren. — Jak robak.

Ten pierwszy raz w pełni się z nim zgadzałam.

Frederic stanął nad wampirem, uniósł dłonie grzbietami do góry i wypowiedział krótkie zaklęcie. W powietrzu uniósł się ostry zapach podobny do woni pieprzu i papryki. Wampir na podłodze niemrawo drgnął, ale po kilku sekundach, gdy już myślałam, że mam omamy, jego zamknięte powieki wystrzeliły do góry, a ciało, nadal związane czarem Sorena, zaczęło się miotać niczym ryba wyrzucona na brzeg.

Gdy spojrzenie Benjamina spoczęło na mnie, znieruchomiał natychmiast. Najpierw jego twarz wydawała się kompletnie pozbawiona wyrazu, a potem wykrzywiła się w ponurym uśmiechu, który, nie wiadomo czemu, rozżłościł mnie jeszcze bardziej, o ile było to możliwe w tej sytuacji.

— Mam przesrane — westchnął wampir, pozwalając głowie opaść na chwilę na podłogę z cichym stuknięciem.

— Tylko nie proś o aplauz za ten prosty, jakże prawdziwy wniosek — zamruczałam z taką słodyczą, że Frederic i Soren skrzywili się nieprzyjemnie. — Może domyślisz się także, co chcę teraz z tobą zrobić, zanim rzeczywiście zabiorę się do ręcznej roboty? — warknęłam sarkastycznie, powoli kucając na ugiętych nogach.

— Słuchaj, to nie jest tak...

— ...jak myślę? Włamałeś się na moje terytorium, do mojego domu, próbowałeś zabić jednego z moich gości i na dodatek wszczepiłeś sobie w kark znak Quentina niczym posłuszny pies gotowy na każde zawołanie — wyliczałam, nie spuszczając z niego wzroku. — Sądzę, że jest dokładnie tak, jak ja myślę. A już to, co myśli moja wilczyca, to dwie różne sprawy. Ona nie jest taka uprzejma jak ja. Przynajmniej od dziesięciu minut wrzeszczy, bym cię podziurawiła i zrobiła sobie z twoich bebechów konewkę. Gdy nadejdzie wiosna, trzeba będzie porządnie zająć się ogródkiem.

Na ten wyjątkowo kolorowy obrazek wszyscy w pokoju drgnęli. Frederic kręcił delikatnie głową niczym nad wyjątkowo kłopotliwym dzieciakiem, podczas gdy Soren poprzestał jedynie na krótkim błysku w srebrnych oczach, który sugerował, że byłby gotów poprzeć mnie w moich, jakże ambitnych, planach ogrodniczych.

Wampir szarpnął rękoma, ale czar więził go lepiej niż jakkolwiek dobrze wyważone, złote kajdany. Brązowe oczy Benjamina usilnie starały nie skrzyżować ze mną wzroku mimo tego, że jeszcze nie pozwoliłam wychynąć na zewnątrz nawet cząstce Banshee, która ryła pazurami w mojej głowie, domagając się wolnej

ręki w wymierzaniu kary zdradzieckiemu krwiopijcy. Staralam się nie przysłuchiwać szeregom gróźb, które ciskała raz po raz w stronę wampira, jednak zdołałam zorientować się, że często występowało w nich słowo „krew” i „śmierć”. Nawet bardzo często.

— Pewnie powinnam darować sobie przemowę na temat zdradzonego zaufania i poświęcenia pokojowych stosunków, a nawet śmiałabym rzec przyjaźni między nami i od razu przejść do boleśniejszej dla ciebie części tego uroczego spotkania? — Moje oczy były dobre kilkanaście centymetrów nad głową Benjamina, więc bez problemu patrzyłam na niego z góry.

— Przecież przyszedłem zabić tamtą dziewczynę, nie ciebie — warknął wampir, ponownie próbując uwolnić dłonie oraz nogi z magicznych pęt.

Przekręciłam głowę wilczym gestem, udając bardzo zdziwioną. *Czy ona naprawdę jest aż tak głupi? A może udaje tępego?*

— Więc fakt, że chciałeś zamordować kogoś, kogo ugościłam pod swoim dachem, nie jest czymś, co zasługuje na miano zdrady? Nadal jesteśmy przyjaciółmi! — wykrzyknęłam z fałszywą radością, niemal podskakując w miejscu. — A więc dam ci przyjacielską radę, Benjamin: stul pysk albo zaszyję ci usta złotym łańcuszkiem — syknęłam, z zadowoleniem obserwując strach wkraczający w jego ciemne oczy. — Robiłam to już kiedyś, więc nie wątp w moje nadzwyczajne umiejętności krawieckie.

— Ach, już pamiętam! — powiedział Frederic z nagłym ożywieniem i błogością malującą się w oczach, wtrącając się do całej rozmowy. — Miałaś takie szybkie, ostre ruchy, a takie precyzyjne! Niczym chirurg — dodał nieco ciszej i w zamyśleniu czarodziej, wywołując u spętanego wampira kolejny odruch ucieczki, który sprawił, że z magicznych kajdanów posypały się drobne, jasne iskry.

— Do tego trzeba mieć wrodzony talent — odparłam nieskromnie, zgniatając klatkę piersiową wampira glanem, jakby w ogóle nie obchodziła mnie obecność żeber pod jego ciemną skórą. — A na nieszczęście naszego gościa, posiadam go od dnia narodzin.

Benjamin wydał zduszony jęk, ale szybko zagryzł wargi, aby go uciszyć. Lekko zmarszczyłam brwi, jakby jego stękanie przynosiło mi przyjemność, której właśnie mnie pozbawił. Docisnęłam mocniej but, czując, jak jedno z żeber pęka niczym zapałka. Na czoło wampira wstąpiły krople zimnego potu, ale zdusił w sobie krzyk, piorunując mnie pociemniałym wzrokiem. Soren ruszył do przodu, gotowy potraktować naszego gościa mniej wyrozumiale niż ja, jednak Frederic wyciągnął w bok ramię, tym samym powstrzymując go w pół kroku. Pokręcił delikatnie głową, łypiąc okiem w moim kierunku. Tak, czarodziej doskonale wiedział, że potrafiłam prowadzić przesłuchania sama. Kolejny mój talent. Poza tym, Benjamin zasłużył na zemstę bezpośrednio z mojej ręki.

— A teraz powiesz nam, mój drogi, dlaczego Quentin chce śmierci jednego z domowników, żebym mogła spokojnie oddelegować cię do świata zmarłych — zamruczałam nisko niczym kot, opierając łokieć na kolanie nogi spoczywającej na ciele wampira. — Nie karz mi cię torturować. Wiem, jak to robić, abyś nie umarł przez długi, długi czas, a cierpiał tak mocno, żebyś zaczął błagać o szybkie zejście.

— Jesteś zabójczynią, nic nie wiesz o torturach — rzucił wyzywająco Benjamin, opluwając moje skórzane buty śliną i krwią z przegryzionych ust. — Potrafisz jedynie wykańczać łatwo i szybko, żeby nie ubrudzić sobie ubrań, paniusiu!

Pochyliłam się jeszcze mocniej pewna tego, że z moich oczu wyziera pustka, którą czułam już w całym ciele. Energia Banshee przedostała się przez skórę, zalewając mnie delikatną falą. Mimo jej ciepła, czułam się zimna niczym trup.

— Znam się na nich lepiej niż ty czy jakiś inny pieprzony wampir z szeregów Quentina — powiedziałam głosem całkowicie wypranym z emocji, lodowatym niczym śnieżyca i niskim niczym mruczenie błyskawicy. — Wielu waszych lubiło niegdyś znęcać się nad pewnym bezdomnym, zagubionym dzieckiem, błędzącym po mieście niczym zagubione kocię. Mała dziewczynka, nieważne jak bardzo silna dzięki mieszanej krwi, nie miała szans z wygłodniałymi wampirami, które lubiły pobawić się ofiarą przed właściwym posiłkiem.

Usłyszałam jak przez mgłę, że Frederic zaklął cicho pod nosem, ale całkowicie to zignorowałam, patrząc Benjaminowi w twarz. Obserwowałam, jak gwałtownie odpływają z jego ciemnej twarzy wszelkie kolory, skóra robi się szarawa niczym w chorobie, a źrenice rozszerzają się ze strachu. W połowie była to reakcja na moje słowa, w połowie na to, jakim tonem je wypowiadałam — jakbym zdawała suchy reportaż w roli obserwatora, a nie uczestnika.

— Skalpowanie. Mówi ci to coś? Nie mówiąc o biciu, łamaniu kości czy upuszczaniu krwi. Jej zapach unosił się w powietrzu niczym mgła. Odgłosy ssania, złośliwe śmiechy, błysk kłów. — Przerwałam na moment. — A wśród tego głośny, rozpaczliwy krzyk niewinnego dziecka. Wydaje się znajomego, wampirze?

Tym razem czarodziej zaklął o wiele głośniejsze i dobitniejsze, a Soren skwitował moje słowa czymś pomiędzy drapieżnym sykiem, a warknięciem. Wsunęłam dłoń w dekolt i wyciągnęłam spomiędzy piersi sztylet, który po powrocie do domu ponownie przymocowałam do stanika.

— Mam cię potraktować łagodnie? — Machałam nożem nad gardłem Benjaminą w prawo i lewo niczym wahadłem. — Opowiedz nam o planach Quentina, wszystko co wiesz, a ukróczę ci mękę. — Złapałam rękojęść sztyletu w dłoń i przyłożyłam ostrze do jego gardła. — Mów!

Benjamin oblizwał krew spływającą po wardze. Wpatrywał się we mnie cały zeszywniały, intensywnie myśląc — niemal słyszałam trybiki pracujące w jego głowie. Dałam mu czas do namysłu i w międzyczasie podniosłam się z przykłąku.

Podeszłam do Frederica i odciągnęłam go na bok. Soren nie próbował dołączyć, za to obserwował wampira skulonego na podłodze twardym wzrokiem stróżującego psa gotowego rozszarpać intruza na strzępy, gdyby ten próbował uciekać, albo choćby drgnął mocniej niż było to dozwolone.

— Spotkałam się dzisiaj z Samuelem i Katherine, Omegą stada — powiedziałam szeptem, patrząc magowi w oczy. — Od jutra zaczynam trenować tutejsze wilkołaki do walki. Pomoże mi były Strażnik, kiedy już wróci z kilkudniowej podróży. Chciałabym abyś ty i Charlotta także tam byli. Zwerbuję też Amelię i Silvyra. Wszyscy umiemy dobrze walczyć, każdy na swój własny sposób. Warto pokazać wilkom jak najwięcej sztuczek, zanim Quentin podejmie jakiegokolwiek działania wojenne przeciwko nim.

— Samuel zgodził się, byś trenowała jego stado? — zapytał ostrożnie z dozą zaskoczenia. — Nie robił żadnych problemów?

Pomyślałam o tym, jak Alfa próbował przekonać mnie, że świetnie poradzi sobie z wszelkimi problemami stada samemu, bez pomocy zabójczynie, której nie można ufać, gdyż jest lojalna jedynie wobec tego, kto zapłaci najwięcej. Niemal nazwał mnie przekupną dziwką i niemal dostał wrzodów, kiedy wyjaśniłam mu, jak poważna jest sytuacja, a on musiał się zgodzić na pomoc. Ale wszystko to stanęło na etapie „niemal”.

Frederic czekał na odpowiedź. Wzruszyłam lekko ramionami.

— Był w wyjątkowo dobrym nastroju — rzuciłam pod nosem.

— Kłamczucha — mruknął cicho mag. — Z resztą szczegóły omówimy potem. Teraz należałoby zająć się naszym aktualnym gościem — powiedział, wskazując ruchem głowy spętanego wampira. — Soren ma wzrok, który sugeruje, że krwiopijca może nie dożyć prawdziwego przesłuchania, jeśli przeciągniemy naszą konspiracyjną rozmowę.

Miał rację, demon przypominał przyczajoną na gałęzi sowę, która wypatrzyła w trawie bezbronną, polną mysz. Ponownie stanęłam nad wampirem. Zsunęłam z ramion kurtkę niczym doktor zrzucający lekarski kitel przed operacją, a potem podałam ją Fredericowi. Bez słowa ją zabrał i umieścił na kanapie. Benjamin wpatrywał się w tę scenę pociemniałym wzrokiem, łypiąc oczyma na mnie i maga, instynktownie omijając nim milczącego demona.

— Soren, mógłbyś przynieść jedno krzesło z mojej sypialni? — zapytałam cicho. — Czyszczenie fotela byłoby cholernie drogie.

Wampir gwałtownie zbladł.

Demon pokiwał lekko głową i po minucie wrócił z krzesłem biurowym pod pachą. Niósł mebel z taką łatwością, jakby to był mały kociak, a potem postawił go z impetem na podłodze zaledwie kilka centymetrów od głowy Benjamin, niemal rozkwaszając ją niczym karalucha. Powrócił na swoje miejsce przy kominku z beznamiętną miną.

Szarpnięciem poderwałam więźnia z podłogi na równe nogi, a potem bezceremonialnie pchnęłam go na siedzenie.

— Powiesz nam to, co chcemy wiedzieć? — zapytałam, przyglądając się blaskowi lampy odbitemu w ostrzu sztyletu.

Benjamin, patrząc na nas już z wyższej perspektywy, najwidoczniej odzyskał część swojej lichej brawury i syknął na mnie z lśniącymi oczyma, odsłaniając śnieżnobiałe kły. Jego tęczówki pojaśniały, nabierając jasnego, neonowego odcienia charakteryzującego wampira w najwyższej gotowości bojowej. Uniosłam brew, czując rozbawienie łaskoczące mnie w gardło.

— Chyba dotychczas byłam dla ciebie zbyt uprzejma — zamruczałam niskim głosem ponownie wezbrany sztuczną słodyczą.

Wypowiedziałam cichą inkantację, na dźwięk której Frederic przybrał uśmiech kota z Cheshire. Ostrze sztyletu, magicznie zaprawione, zaczęło się nagrzewać w mojej dłoni. Srebrzysty metal zaczął zmieniać swój kształt, wydłużając się niczym żądło, a potem oblał się złotym blaskiem. Gdy światło zgasło, cały nóż wykuty był ze złota. Nigdy nie używałam tego magicznego aspektu, który kiedyś zafundował mi mag, jednak dzisiaj była na to wymarzona okazja. W ogóle rzadko używałam magii, wołałam rękoczyń i siłę staromodnej, białej broni. Nie miałam tak naturalnego talentu do zaklęć jak Charlotta czy Frederic, ale potrafiłam co nieco. Tylko nieliczni o tym wiedzieli, a większość z nich już dawno nie żyła.

Na widok złotego błysku ostrza Benjamin szarpnął się tak bardzo, że krzesło niechybnie upadłoby na podłogę, gdybym nie podtrzymała go dłonią. Przesunęłam palcem po broni, napawając się kroplami zimnego potu zraszającymi czoło wampira i szaleńczym błyskiem w oczach, który zastąpił wcześniejszą żądzę zabijania. Zniknęła buta, pojawiła się panika.

Wysunęłam pazury i jednym ruchem ręki zerwałam materiał ubrania na jego piersi. Przytknęłam czubek sztyletu do ciemnej, gładkiej skóry i wbiłam go na ponad centymetr. Wampir syknął, ale po chwili zasznurował usta. Zrobiłam dwie prostopadłe linie nad żebrami po prawej i wyprostowałam się. Strużka ciemnej krwi spłynęła łagodnie po ostrzu. Rana wypełniła się osoczem spływającym swobodnie po skórze i wsiąkającym w pozostałości ciemnego swetra.

— Będziesz mówił? — zapytałam tonem używanym podczas pogawędki przy herbacie i ciastkach.

— Pieprz się! — warknął rozeźlony wampir.

Wzruszyłam ramionami i ponownie pochyliłam się nad jego piersią. Obok poprzednich nacięć zrobiłam długą, pionową ranę, głębszą niż poprzednie, niemal zgrzytając metalem o kość mostka. Z usta wampira wyrwał się jęk bardzo przypominający cichy krzyk. Napawałam się strachem i bólem emanującym z więźnia. Wytarłam sztylet o jego spodnie, by nie zachłapać podłogi.

— Skąd Quentin wiedział o istnieniu Sonyi? — Mój głos zlodowaciał, lecz pozostał spokojny. — Skąd wiedział o dziewczynie, którą zlecił ci zabić? — zapytałam, by mieć pewność, że wampir wie, o czym dokładnie mówię.

— Od tych idiotów — wysapał Benjamin — którzy mieli cię porwać i zabić.

— Sami powiedzieli mu o dziewczynie? — W moim głosie zadźwięczało niedowierzanie. — Wytłumacz to.

— Myśleli, że Mistrz będzie zainteresowany jej kupnem. — Wampir oblizwał wargi, które ponownie przegryzł do krwi. — Mogła być jego niewolnicą, dostarczać mu swoją krew lub zaspokajać jego inne... potrzeby.

Skrzywiłam się na to określenie — dobrze wiedziałam, że Quentin mógł wykorzystać zniewoloną Sonyę do swoich zachcianek seksualnych. Zgwałcenie jej byłoby wliczone w cenę, jaką zapłaciłby porywaczom.

— Quentin jej nie chciał — stwierdziłam fakt.

— Mówił, że jest bezwartościowa — zamruczał Benjamin. — Obrzydliwa ze względu na mieszaną krew.

— Skąd Quentin wiedział, że ją uratowałam?

— Nie wiedział. Gdy widziano cię, jak wyjeżdżałaś z miasta na teren wilkołaków, Mistrz kazał mi sprawdzić dom, a potem zabić dziewczynę, jeśli okazałoby się, że uwolniłaś także ją z rąk porywaczy. — Splunął mi pod nogi śliną zabarwioną krwią. — Obie powinniście umrzeć z ich rąk.

Zacisnęłam palce na sztylcie, ale nie użyłam go. Jeszcze moment...

— Szpieg Quentina przekazał mu, że żyję, więc Mistrz chciał pozbyć się Sonyi, by zniwelować zagrożenie, że pomoże mi ona w zabiciu go lub przeszkodzeniu w ataku na wilkołaki. — Bawiłam się ostrzem, wpatrując się w wampira i rozmyślając na głos. — Co dokładnie zamierza zrobić Quentin w związku ze stadem? Wypędzić wszystkie wilki i żyć w ciągłym przeczuciu, że mogą wrócić do miasta, a potem odzyskać swoje ziemie?

Benjamin pochylił się do przodu i wykrzywił twarz w ohydny grymasie, jakbym wspomniała o czymś wyjątkowo paskudnym.

— Te bestie powinny oddać terytorium chmarze już dawno — warknął. — Gdy Mistrz i jego armia będą gotowi, zetrą te psy z powierzchni ziemi!

Zesztywniałam, pojmując sens jego słów.

— Armia?

Benjamin ponownie oparł się o krzesło, jakby właśnie zdał sobie sprawę, że zdradził za dużo informacji. Gdy nie zareagował na kolejne pytania z mojej strony, wycięłam na jego piersi kolejne rany. Dopiero wtedy zaczął mówić ponownie. Wyrzucał z siebie słowa niczym karabin, na jednym wdechu — o tym, jak to Quentin tworzy armię wampirów, która ma zabić całe stado oraz o tym, że Mistrz trzyma wszystko w tajemnicy przed Radą oraz cywilnymi wampirami z jego chmary.

— Gdzie stacjonuje jego armia?

— Nie wiem. Nikomu tego nie zdradził — syknął Benjamin.

Nie poddałam w wątpliwość jego słów, chociaż miałam na to wielką ochotę.

— Gdzie Quentin trzyma skrzynie ze srebrem? — zapytałam twardym, zimnym głosem, równie przerażającym co wichura, która nawiedziła miasto po moim powrocie z gór. — I nie waż się mówić, że nie wiesz, co mam na myśli.

— Tego też nie wiem — powiedział wampir, ale jego krótkie wahanie powiedziało mi wyraźnie, że skłamał.

— Gdzie one są? — Zbliżyłam się do niego wolno, trzymając w dłoniach złoty nóż zabarwiony jego własną krwią.

— Nie wiem — odparł ponownie, tym razem z większym naciskiem.

Zacisnęłam palce na jego gardle, a wolną ręką zaczęłam wycinać kolejne rany nad jego żebrami. Ostatni symbol był tak głęboki, że wampir broczył krwią niczym zarzynane prosię. Przypatrzyłam się słowu uformowanemu na jego piersi z nieskrywanym zadowoleniem i drapieżnym uśmiechem formującym się na ustach.

L I A R

(k ł a m c a)

Wysunęłam pazury, nadal trzymając Benjamina za gardło. Rozciąłam mu skórę, czując pod palcami jego szalejący puls. Obnażyłam wysuwające się wilcze kły, a potem oblizawałam wargi. Ciemne oczy więźnia śledziły każdy mój ruch z napięciem w oczekiwaniu na ostateczny cios.

— Na co czekasz? — zapytał w końcu drżącym, niespokojnym głosem, gdy przedłużałam milczenie. — Wyssij mnie, suko.

Zmarszczyłam brwi w udawanym zaskoczeniu, poprawiając uchwyt na rękojeści sztyletu. Widziałam odbicie swoich złotych tęczówek w oczach Benjamina i wiedziałam już, że był to ostatni widok wampira przed śmiercią.

Niepostrzeżenie przysunęłam uzbrojone ramię do siebie, wyczekując odpowiedniej chwili. Spojrzałam na tętniącą aortę, jakbym rzeczywiście łaknęła słodkiego osocza płynącego pod ciemną skórą, oszukując tym wampira — widziałam po wyzwaniu w jego oczach, że czekał, aż wgryzę się w niego niczym pasożyt, którym on sam był przez całe swoje życie. Liczył na to, że było we mnie więcej wampira, niż to przyznawałam.

Moja dłoń wystrzeliła niczym z procy i uderzyła. Zaskoczenie, ból oraz niedowierzanie na twarzy Benjamina niemal kuło mnie w oczy. Otworzył szeroko usta, jakby chciał krzyknąć, ale z jego gardła wydobył się tylko cichy skrzek. Poczulałam wilgoć na palcach zaciskających się na sztylecie, który wbiłam w jego

serce aż po samą rękę. Wyszarpnęłam ostrze dopiero wtedy, gdy ciało wampira całkowicie zwiotczało, a głowa opadła ciężko i bezwładnie do tyłu. Odsunęłam się powoli, zaciskając dłoń na zakrwawionej broni.

Ani Frederic, ani Soren nie przerwali ciszy, która zapadła. Otarłam sztylet o spodnie trupa, a potem schowałam go z powrotem pod bluzkę. Gdy jego krawędź musnęła moją skórę, drgnęłam niemal jak rażona piorunem — złoto było ciepłe od ciała, w którym tkwiło jeszcze kilka sekund wcześniej.

— Gdy nadejdzie świt, wystawimy jego ciało na zewnątrz. Słońce zrobi swoje. — Mój głos zabrzmiał niemal jak przerażające echo w cichym pokoju.

— Wystawmy go teraz — zaproponował Frederic. — Nikt go raczej nie zobaczy, ale na wszelki wypadek rzucę zaklęcie ukrywające.

Kiwnęłam głową na znak zgody. Ani ja, ani czarodziej nie paliliśmy się do wyniesienia ciała, więc Soren w milczeniu wysunął się do przodu, minął mnie bez słowa i wymówił słowa w nieznanym mi języku. Poczułam w ustach smak miedzi, gdy magia demona zniknęła, a uwolnione od zaklęcia ręce i dłonie martwego wampira opadły bezwładnie. Ten widok przyprawił mnie o lekki dreszcz.

Soren chwycił trupa za kark niczym królika, a potem wytaszczył go balkonowymi drzwiami na zewnątrz. Położył go na ziemi za najgęściej rosnącymi drzewami, które częściowo ukrywały widok ciała. Wrócił do środka i zasunął drzwi z opanowaniem, bez najmniejszego grymasu na beznamiętnej twarzy. Jego rysy nie wyrażały uczuć, ale w spojrzeniu, gdy zerknął na mnie, zobaczyłam błysk aprobaty. Odwróciłam głowę. Niewiele pocieszał mnie teraz fakt, że uzyskałam kolejny plus u starego demona.

Soren powędrował na górę. Nie pytałam, dokąd idzie, a on nie musiał mi mówić. Zniknął na górze w sypialni, w której od początku przesłuchania siedziała zamknięta Sonya.

— Poinformujemy resztę o wszystkim z samego rana. — Westchnęłam pod nosem, nagle czując ogromne zmęczenie. — Jedziesz teraz do miasta?

Frederic w odpowiedzi skinął głową.

— Charlotta nadal jest naburmuszona po zaklęciu, którego użyłam na Fleshu — mruknął pod nosem — ale myślę, że po dzisiejszych rewelacjach trochę mi odpuści. Musimy przygotować się do jutrzejszego spotkania z wilkołakami. Gdzie dokładnie ma się odbyć pierwszy trening?

Podaliśmy mu najdokładniejsze wskazówki jak dotrzeć na gruzowisko, jakimi dysponowałam, a potem patrzyłam, jak czarodziej kieruje się do wyjścia. Żadnego komentarza, żadnej pogardy czy dezaprobaty, ani jednego wymownego spojrzenia. Kompletnie nic. Nie wiem, na co dokładnie liczyłam po tym, co zrobiłam Benjaminowi na oczach maga, skoro on także był zabójcą, a także znał mnie od wielu lat, więc moje mordercze zapędy oraz metody nie były dla niego żadną niespodzianką.

Posiadanie takich przyjaciół jest cholernym szczęściem, pomyślałam z nikłym uśmiechem na ustach, a potem sapnęłam na widok jasnej, krwawej plamy na dywanie pod moimi stopami w miejscu, gdzie wcześniej splunął Benjamin, celując w moje buty. Podrapałam się po głowie.

— Naprawdę nienawidzę po sobie sprzątać — mruknęłam pod nosem, a potem poszłam poszukać czegoś, co pomogłoby mi pozbyć się bałaganu.

Ucieszyłam się, że nie byłam zwolenniczką dywanów. Spranie krwi z drogiego dywanu byłoby niemal niemożliwe, a po co kupować tani, żeby potem wyrzucić go po kolejnej „wpadce” z konsekwencją w postaci trupa leżącego w ogrodzie? Nie będę marnować pieniędzy na dywan, który wyrzucę po splamieniu krwią — musiałabym robić to co najmniej kilka razy w miesiącu. Staralam się jak najwięcej takich spraw rozwiązywać poza domem, jednak, cóż mogę powiedzieć... Nie zawsze wychodzi nam to, co sobie planujemy, zwłaszcza gdy ‘karma’, wyjątkowo złośliwa suka według mojej opinii, ma dla nas całkiem inny repertuar misternie ułożony na poczekaniu.

[1] **Dzień Zmarłych** (hiszp. *Día de los Muertos*) ma w Meksyku formę wesołej zabawy. Na cześć zmarłych układa się zabawne rymowanki, a symbolem całego święta jest czaszka — nosi się maski w kształcie czaszek, można także wtedy kupić czekoladowe czaszki i inne słodczyce w kształcie czaszek.

[2] W Meksyku śmierć czczona jest jako Santa Muerte (Święta Śmierć) i przedstawiana jest jako szkielet, najczęściej ubrany w długą, białą szatę.

Rozdział XI

~ KIRA ~

Flesh, dzięki Bogu, nie był obraźliwym demonem i na wieść o niespodziewanym ataku na Sonyę oraz relacji na temat przesłuchania oraz zabicia Benjamina, zamiast zdenerwować się za brak wcześniejszego kontaktu, czego się po nim spodziewałam w skrytości ducha, wyraził jedynie aprobatę, że zajęłam się sprawą na miejscu i zdobyłam nowe, przydatne dla wszystkich informacje. Ukryłam zaskoczenie jego zadowoleniem, kiedy przekazałam mu wieści o planach Quentina, a potem planowanym treningu z wilkołakami. W oczach Flesha zapalił się srebrny błysk, który w zestawieniu z uśmiechem błakającym się na ustach powiedział mi, że demon liczył na odrobinę rozrywki podczas sparingu z wilkami.

Frederic miał rację — Charlotta, poinformowana już o bieżących sprawach, zmniejszyła swój poziom wkurzenia na niego i Flesha, jednak nadal zwracała się do nich z lekkim chłodem niczym monarchini do swych paziów. Jednak zauważalne było, że już swobodnie patrzyła w twarz magowi i przestała iskrzyć niczym śnieżka w słońcu, co konkretnie poinformowało wszystkich dookoła, że wróżka się opanowała. Frederic, gdy ta akurat nie patrzyła, zerknął na mnie wymownie i przyłożył dłoń do serca w geście ulgi. Na ten gest pokręciłam głową z rozbawieniem.

Silvyr i Amelia przyjechali razem z Duchem. Kiedy przyjrzałam się im uważniej, wyczułam pozytywne wibracje między nimi oraz nikielne iskierki, które mówiły mi, że ich relacje idą w całkiem dobrym kierunku. Przyglądałam się im kątem oka, chłonąc ten widok z zadowoleniem. *W tych ponurych czasach potrzebna jest nam odrobina światła*, pomyślałam z lekką melancholią, na co Banshee zamruczała z aprobatą.

Łowca przywiózł ze sobą stary, marynarski worek pełen narzędzi bojowych i najróżniejszych, magicznych zabawek nekromanty, na widok których miałam ochotę się cofnąć. Nigdy nie przepadałam za magią nie tyle dotyczącą śmierci, co i żadnego rodzaju. Magia często przeszkadzała mi w robocie, a polowanie, gdy niedoszła ofiara rzuca w ciebie kulami ognia i tworzy pole siłowe odcinające ci drogę pościgu, najczęściej nie kończyło się owocnie, przynajmniej dla mnie. Zawartość worka pozostała w ukryciu na moją wyraźną prośbę. Silvyr uśmiechnął się niczym pirania, a potem lekko wzruszył ramionami, nie protestując przeciwko moim słowom.

Soren siedział na kanapie razem z Sonyą skuloną w kącie mebla, z chorą nogą wyciągniętą przed siebie. Obserwowała wszystkich zebranych uważnym wzrokiem, jakby analizowała każdy ruch i najcichszy oddech. Jej niebieskie oczy w sztucznym, jasnym świetle lampy wyglądały na niemal przezroczyste, dzięki

czemu zmniejszone, ciemne źrenice przypominały drobne krople atramentu rozlane na zamrożonym kryształ. Demon u jej boku sączył piwo z butelki, wędrując leniwie spojrzeniem ode mnie do maga, wróżki, łowcy i wampirzycy, a potem ostatecznie do Flesha.

— Ile wilków dokładnie trzeba wyedukować? — zapytał Silvyr z drugiego końca salonu, podnosząc głos, by dotarł on do mnie przez liczne głowy i szepty.

— Co najmniej dwadzieścia młodzików, plus trzydziestu starszych.

Frederic jęknął pod nosem, patrząc na mnie z niedowierzaniem.

— Serio? Więcej ich matka w swym gnieździe nie miała?

— Miała, tylko do walki nie zaprzęgniesz niemowlaków i kobiet w ciąży — odparłam z sarkazmem, ucinając jego marudzenie. — Samuel będzie obecny by nadzorować trening, jednak nie tylko. On także musi nauczyć się paru sztuczek, zanim poprowadzi swoje stado do walki. — Powiodłam spojrzeniem po towarzyszach. — Mam dla was kilka porad, jeśli nie chcecie wywoływać kłopotów z mysiej nory. — *A raczej wilczej pieczary.* — Ty Frederic masz zakaz używania Świętego Ognia i wszelkich zaklęć, które nie są konieczne potrzebne do ćwiczeń. To samo dotyczy ciebie, Flesh.

Mag spojrział na mnie z uniesioną brwią i oczyma lśnącymi niczym chiński lampion, ale nie odezwał się słowem. Przyjęłam to jako akceptację. Demon także nie skomentował mojej decyzji.

— Amelia, Samuel nie jest zachwycony faktem, że tam będziesz — powiedziałam szczerze, widząc kątem oka, jak wampirzyca napina mięśnie ramion. — Przekonałam go, że jesteś po mojej i jego stronie, jednak radzę się nie wychylać. Żadnego wspomnienia o Quentinie ani układach panujących w chmarze, nawet jeśli ktoś cię o to zapyta.

Kiwnęła sztywno głową. Skierowałam spojrzenie na Charlotte.

— Będziesz pomagala Fredericowi. W razie jakichkolwiek poważnych ran czy złamań, co jest prawdopodobne, gdy ma się na głowie całe stado wilkołaków, ulecz ich. Nie wiemy, kiedy nadejdzie armia i nie możemy sobie pozwolić, by którykolwiek wilk był ranny czy osłabiony. Zostaw w spokoju tylko drobne siniaki i stłuczenia. Trochę bólu pozwoli im zapamiętać lekcje o wiele lepiej.

— Zajmę się tym — odparła wróżka, posyłając mi pewne spojrzenie.

— Nie wątpię — rzuciłam z uśmiechem. — Silvyr, daruj sobie używania szamańskiej magii. Wilkołaki niezbyt lubią nekromantów.

— Jak większość nadnaturalnych — odparł swobodnym tonem oparty o próg salonu, z Amelią u swego boku.

— Flesh. — Zbliżyłam się do niego niemal zmysłowym krokiem i zobaczyłam błysk w jego źrenicach. — Nie waż się wspomnieć nikomu, że jesteś demonem, nie używaj swojej magii i najlepiej zrezygnuj ze wszystkiego, co może cię zdradzić. Trzymaj się walki wręcz, a może zdołamy przeżyć ten trening. —

Klepnęłam go w ramię.

Sprawdziłam, czy mam przy sobie sztylet między piersiami, katany przywleczone do pleców oraz pistolet ze złotymi kulami na wypadek nieproszonych gości wsadzony za pasek dzinsów.

— Każdy ma gotowy transport? — zapytałam, wodząc wzrokiem po zebranych.

Wszyscy pokiwali twierdząco głowami. Frederic z Charlottą niezmiennie jechali motorem, a Silvyr i Amelia zabierali się razem ze mną oraz Fleshem samochodem. Zanim wyjechaliśmy, upewniłam się, że Soren nadal ma mój numer kontaktowy, a po namyśle dopisałam na kartce także numery reszty tego zbiorowiska, żeby w razie kłopotów mógł skontaktować się z kimkolwiek z nas.

Dotarliśmy na miejsce w ciągu kilkunastu minut. Było jeszcze trochę czasu, który chciałam wykorzystać na równi z moimi przyjaciółmi do przygotowania się na zajęcia. Czułam się, jakbym ponownie zaczęła pomagać w treningach ludzkich nastolatków na siłowni, gdzie właścicielem i głównym nauczycielem był John, wilk samotnik i jeden z niewielu moich bardzo bliskich znajomych, z którymi utrzymywałam kontakt w tym mieście. A raczej był nim do niedawna. Nasze relacje ostatnio się ochłodziły, a zaczęło się to w momencie, gdy w pobliżu zaczęły grasować mordercze wampiry tworzone przez Quentina, a potem było już tylko gorzej.

Samuel oraz Katherine już czekali na naszą grupę przy gruzowisku. Samiec Alfa zmrużył powieki, lustrując nas uważnym spojrzeniem. Jego partnerka była jak zwykle opanowana i ciepła niczym wiosenny wiatr, dzięki czemu napięta atmosfera nie dokuczała bardziej niż mróz na otwartej przestrzeni wśród rozciągających się białych pól oraz dalekiej, ciemnej linii lasu na widoku.

Każdy z nas rozkładał własne zabawki, będąc pod czujnym okiem Alfego. Ignorowałam bardziej mroczne spojrzenia skierowane na mnie oraz Flesha, którego Samuel na pewno zapamiętał z tamtego wieczoru, gdy przybyłam z demonem u swego boku na zebranie stada, aby zgładzić Edwarda, brata Alfego, który zdradził swoje stado i naraził się na mój gniew.

Pierwsze wilkołaki przybyły w momencie, gdy wyjmowałam z pokrowców naostrzone katany. Na widok mojej osoby i to z ostrzami w dłoni, co najmniej pięciu samców zatrzymało się gwałtownie, wpatrując się we mnie gniewnie. Testosteron zawisł w powietrzu razem z ciężką wonią wilczych hormonów. Nie uczyniłam żadnego ruchu, ledwie na nich zerkając. Skupiłam się na katanie w mojej dłoni, którą zaczęłam ze skupieniem pielęgnować jedwabną szmatką do polerowania. Samuel musiał uczynić jakiś gest lub znak, gdyż rozgniewane wilki minęły mnie szerokim łukiem bez wzniecania bójki i odeszły nieco na bok.

— Niewiele brakowało — mruknął Flesh, podchodząc do mnie z prawej. — Atmosfera zrobi się gorętsza, kiedy już zjawi się reszta towarzystwa.

— Samuel weźmie ich w garby albo ja to zrobię za niego — powiedziałam spokojnym, zimnym głosem, nie spuszczać wzroku z broni trzymanej w ręku. — Nie mam zamiaru bawić się w pojedynki stadne, podczas gdy Quentin szykuje się do ataku na watahę i zgładzenia całego klanu.

— A co z trzymaniem się z dala od kłopotów? — Na ustach demona wykwitł rozbawiony uśmieszek.

— To ich problem, jeśli mnie wkurzą — rzuciłam ze wzruszeniem ramion.

Kolejne wilkołaki obu płci zjawiały się w coraz większych grupach i każda z osobna omijała nas łukiem. Samuel pilnował porządku wśród stada, chociaż nie mógł zapobiec wszystkim krzywym spojrzeniom, cichym obelgom czy wyzwiskom rzuconym w kierunku moich towarzyszy, ale przede wszystkim mnie. Słyszałam równie barwne epitety i bluźnierstwa co „cholerna hybryda”, „mieszaniec” i „wyrzutek”. Jednak dopiero na dźwięk słów „wampirza dziwka” obróciłam się, nakierowując spojrzenie na winowajcę, z którego ust wypełzła ta obrzydliwa obelga. Wilkołak miał co najmniej dwadzieścia lat — był młody, wysportowany, jednak bardziej jako biegacz niż siłacz. Jego złociste włosy były w artystycznym nieładzie, a niebieskie oczy ciskały we mnie pioruny. Luźny, biały podkoszulek opadał na jego klatkę piersiową, odsłaniając opalone ramiona, a nisko nasunięte, ciemne, sportowe spodenki podkreślały szczupłe, silne nogi. Trzymał dłonie w kieszeniach spodni i stał w wyluzowanej pozycji wśród swych wilczych rówieśników, uśmiechając się złośliwie.

Z przesadną ostrożnością odłożyłam katanę do pokrowca i przekazałam go Fredericowi. Spojrzał na mnie zaskoczony, odprowadzając mnie wzrokiem, gdy szłam w kierunku szczeniaka leniwym, niemal spacerowym krokiem. Młode wilki, mimo instynktu stadnego i poczucia hierarchii, często ignorowały sygnały, które mogły uchronić je przed gniewem wyższego rangą wilkołaka — chodziło o sytuację, gdy nastolatki zagryzały języki, by nie palnąć głupstwa pod adresem silniejszego samca, w najgorszym razie przywódcy. Nie byłam częścią stada, jednak bezsprzecznie byłam dominantem, kimś na równi siłą oraz rangą co Alfa, a mimo to szczeniak zignorował ten fakt, narażając się.

Banshee warczała głucho niczym rój szerszeni tuż pod moimi żebrami. Zniewaga tego żółtodzioba była wykroczeniem, którego w żadnym razie nie mogłam zignorować. Samuel zobaczył mnie, brnącą przez tłum i wykonał ruch, jakby chciał interweniować, ale powstrzymał go dotyk dłoni Katherine na ramieniu. Znak Omegi był jasny: sama musiałam się tym zająć.

— Czego chcesz? — zapytał znudzonym tonem chłopak, patrząc na mnie z kpinią wymalowaną w oczach.

Jego koledzy, równie młodzi i głupi, uśmiechnęli się pogardliwie, niemal chichocząc pod nosami. Patrzyłam na nich nieruchomo, bez żadnych emocji na twarzy, a potem powoli, z rozmysłem wyciągnęłam usta w uśmiechu. Był

to uśmiech mówiący wyraźnie, w połączeniu z zimnym spojrzeniem dwukolorowych oczu: „*Wiem, kiedy umrzesz. To może być już całkiem niedługo.*”. Zobaczyłam wkradający się niepokój do swobodnej, chojrackiej postawy tych szczeniaków, ale to nie wystarczyło. Pozwoliłam Banshee wypuścić wici świadomości — złote nitki wirujące w powietrzu niczym złoty pył. Oplotłam nimi kłębki umysłów tych młodych wilków z łatwością meduzy, pozwalając bestii działać.

Nie wiecie, szczytle, co to znaczy słowo ‘szacunek’?

Zimny, cichy głos Banshee zmusił szczeniaki do cofnięcia się ze strachem wymalowanym na twarzy. Mój drapieżny uśmiech nadal nie znikał.

Polowałam na waszych pobratymców i wszystkie inne rasy magicznych w czasach, gdy natura jeszcze nie myślała o stworzeniu was w łonach matek. Zabijałam istoty słabsze, ale także potężniejsze ode mnie. Widziałam i zasmakowałam więcej krwi, niż wy kiedykolwiek zobaczycie na oczy. Jeszcze raz znieważycie mój autorytet, a pozwolę wam posmakować bólu, od którego nie uratuje was ani wasze stado, ani nawet sam Alfa.

Pozwoliłam Banshee powrócić do mojego umysłu, nie spuszczać oka z młodzików. Ich twarze wykrzywił strach, który zakradł się także do oczu. Widziałam, jak drżą, wpatrując się we mnie rozszerzonymi źrenicami.

— Jak masz na imię? — zapytałam zwyczajnym, niemalże przyjaznym tonem wilka, który rzucił w moim kierunku obelgę.

Drgnął na dźwięk mojego głosu, jakbym smagnęła go batem. Nie odpowiedział.

— Nie karz mi powtarzać pytania — mruknęłam ostrzegawczo.

— Dawid — odpowiedział, ledwie powstrzymując jęk. — Mam na imię Dawid.

— A więc, Dawidzie — zaczęłam, zbliżając się o jeden krok bliżej — jeśli chcesz dożyć bezpiecznie najbliższych tygodni, radzę ci nie wychodzić przed szereg. Popisy przed kolegami nie są warte twojej przedwczesnej śmierci.

Odsunęłam się, by mogli odejść. Niemal biegli w kierunku pozostałych członków stada, nie odwracając się ani razu w moim kierunku. Zawróciłam i skierowałam kroki do Frederica, czując na sobie wzrok Samuela oraz większości

zaniepokojonych, spiętych wilków. Żadne z nich nie rozumiało, co przed chwilą się wydarzyło i co zrobiłam szczeniakom.

Odebrałam z rąk czarodzieja katany. Wyczytałam w jego wzroku, że domyślił się, jakiej sztuczki użyłam na tych małych chojrakach.

— Powinnaś pozwolić mi... — Nie musiał dokańczać, bo wiedziałam, co takiego chciał mi powiedzieć.

— Nie będziemy teraz o tym rozmawiać — stwierdziłam cicho, odbierając od niego broń. — Sprawa mojej magii nie jest w żadnym stopniu tak nagląca jak to, co nas teraz czeka. Zajmijmy się treningiem.

— Dobrze wiesz, że twoja magia przydałaby się w walce z wampirami — zamruczał, wbijające we mnie lśniące spojrzenie ciemnych, przenikliwych oczu. — Zastanów się nad tym dobrze. I byle szybko — dodał cicho. — Nie wiadomo, kiedy skończy nam się czas na krótkie lekcje zaklęć.

Obrócił się i wrócił do przygotowywania własnych narzędzi pracy. Przyglądałam się przez moment jego plecom, zanim zacisnęłam palce na pokrowcu katany i rozejrzałam się dookoła. Wilkołaki zbiły się w dużą grupę, niemal depcząc sobie po palcach. Młode szczeniaki chowały się z boku, z dala ode mnie — Dawid z kompanami oraz ich rówieśnicy. Widziałam ponad tłumem Samuela oraz Katherine, a także kilka dorosłych wilków, które im towarzyszyły.

Umościłam miecze na plecach i wskoczyłam na wysoki, kamienny postument, by górować nad zebraniem tłumem. Wilki wywoływały szum, rozmawiały ze sobą głośno, a czasami przekrzykiwały nawzajem. Spojrzałam wymownie na Alfę, jednak w jego wzroku zobaczyłam wyzwanie — musiałam sama uciszyć ten hałas. Poczulałam irytację pełznącą po plecach i postanowiłam, że po całym treningu będę musiała porozmawiać z Samuelem sam na sam na temat porządku i wspólnym działaniu.

Flesh bezgłośnie znalazł się obok postumentu, głową sięgając mi do uda. Spojrzał na mnie nieco rozbawiony z rękoma w kieszeniach ciemnego płaszcza. Ukucnęłam, by chociaż trochę wyrównać tę różnicę poziomów.

— Znasz sztuczkę, która łatwo i przyjemnie wyciszyłaby ten szumiący tłumek? — zapytałam, spoglądając na ścianę wilkołaków z lekko zmarszczonymi brwiami.

— Myślałem, że mam się nie zdradzić — zamruczał ze śmiechem wibrującym w płucach. — Znam kilka sztuczek, jednak żadna nie jest zbyt dyskretna.

— Pieprzyć to, wybierz najlepszą opcję — warknęłam pod nosem. — Nie można pracować w takich warunkach.

Potrafiłam wzniecać bójki oraz podburzać tłum, ale na pewno nie doprowadzać go do porządku. Demon najwyraźniej odgadł to po mojej minie i trzasnął palcami niczym magik przez swoim wielkim pokazem. Przyglądałam się

jego twarzy, gdy zmieniała rysy, wyostrzała się, aż w końcu z głębin jego gardła wydarł się potężny, lwi ryk, który zatrzęsł ziemią i niebem. Cały tłum wilków skulił się w pozycji obronnej i zwrócił się w naszym kierunku jak za dotknięciem magicznej różdżki, szczerząc kły w ludzkich ustach i marszcząc gniewnie ludzkie twarze. Na moich ustach zadrgał uśmiech — ryk Flesha sprawił, że moja krew głośno zaśpiewała, a ciało zdrząło niczym jeden z kamieni leżących bezwładnie dookoła pod naporem wibracji.

Cisza zapadła jak makiem zasiał. Moi towarzysze spoglądali na nas z równą dezorientacją co i zebrane dookoła wilki. Zapomniałam, że nikt oprócz mnie nie wiedział, że Flesh posiadał zdolność przemiany. Pamiętałam, gdy spotkałam go po raz pierwszy, gdy był w swojej zwierzęcej formie — wielki, muskularny lew o czarnej, lśniącej sierści i oczach barwy szafirów był piękny, zachwycający niczym bóg wszystkich zwierząt.

Wstałam i rozejrzałam się po nieruchomym tłumie z zadowoleniem. Twarz Flesha ponownie stała się normalna, całkowicie ludzka i nie wyrażała żadnych emocji pod naporem spojrzeń co najmniej pięćdziesięciu wilkołaków.

— Skoro już ucichliście — zaczęłam, opierając dłonie na biodrach — pozwólcie, że powiem kilka słów. Nie muszę się wam przedstawiać, każdy z was darzy mnie równie wielką niechęcią, jaką czuje się do naturalnego wroga. — Mój spokojny i niemalże pogodny głos niósł się po gruzowisku. — Jestem pewna, że wasz Alfa poinformował was o czyhającym zagrożeniu. Jestem tutaj, tak samo moi przyjaciele, by nauczyć was, jak ochronić włochate tyłki przed wampirami. Umiecie z nimi walczyć, tego jestem pewna, a przynajmniej większość z was — rzuciłam, spoglądając krótko na grupę młodzików. — Potrzeba wam jednak dodatkowych umiejętności, by pokonać armię, którą rzekomo Quentin chce nasłać na wasze ziemie.

— Skoro uważasz, że potrafimy walczyć, to czego chcesz nas jeszcze nauczyć?

Głos o śpiewnym, irlandzkim akcencie poniósł się w nagle zapadłej ciszy. Kilkanaście wilków zwróciło wzrok na jego właściciela i kiwnęło z aprobatą głowami. Zmrużyłam powieki, wyławiając z tłumy mężczyznę, który zadał to pytanie. Opierał się potężnym ramieniem o skruszoną, kamienną półściankę i patrzył na mnie z wysoko uniesionym podbródkiem. Miał męskie, gładkie rysy, skórę o karmelowym odcieniu i kasztanowe włosy, opadające na zielono-złote oczy. Był wytrenowany i silny, a także wyjątkowo pewny siebie, co niewątpliwie wskazywało na dominującego wilka. Biło od niego wyzwanie, którego zapach czułam nawet ze sporej odległości, mimo że oddzielała nas cała wataha.

— Gdybyś dał mi dokończyć, dowiedziałbyś się tego — odparłam nadal opanowanym głosem, nie przejmując się faktem, że mi przerwano. — Więc zamknij się i daj mi mówić.

Zmrużył lekko powieki, ale nie odezwał się ponownie. Sposób, w jaki stał i to tuż obok Samuela, ponad innymi wilkami, dał mi do myślenia. Przekręciłam lekko głowę, ledwie zauważalnie wydychając powietrze nosem.

To nowy wilk Beta — zamruczała Banshee niskim głosem, analizując zapach nieznanego.

Flesh także przyglądał się wilkołakowi, jednak z zimną obojętnością. Kiedy już domyśliłam się, kim jest obcy samiec, uśmiechnęłam się krzywo pod nosem. Przypuszczałam, że szykowały się kłopoty i komplikacje w związku z nowym Beta, który na pewno znał los swojego poprzednika, jednak nie zamierzałam zaprzepaścić ćwiczeń bojowych tylko dlatego, że musiałam poradzić sobie ze „świeżym towarem”.

— Podczas nadchodzącej bitwy myślenie jak wilkołak nie wystarczy — powiedziałam, ponownie zwracając na siebie uwagę stada. — Nauczę was czegoś nowego, co może utrzyma was przy życiu: nauczę was myśleć jak prawdziwy zabójca.

Rozdzieliłam stado na grupy, gdzie każda z nich została przydzielona do innego nauczyciela. Frederic uczył młode wilkołaki od piętnastu do dwudziestu lat, Charlotta wzięła pod skrzydła najmłodsze szczeniaki, Silvyr i Amelia wzięli na siebie połowę dorosłych wilków, a ja wzięłam ich drugą część. Każdy z moich towarzyszy nauczał tego, na czym najlepiej się znał, a co mogło pomóc podczas walki — Frederic uczył samokontroli, w razie gdyby wampiry próbowały psychicznej magii podczas ataku, a Silvyr i Amelia uczyli władania bronią palną i robili wykład na temat najsłabszych punktów wampirzej anatomii: gdzie strzelać, by najszybciej zabić. Flesh zdecydował przyglądać się z boku moim zajęciom, by nie ściągać na siebie zbyt dużej uwagi.

Kilkunastu dorosłych wilkołaków obu płci stanęło przede mną niedaleko gruzowiska. Mieliśmy pełno przestrzeni z daleka od miasta, ale na tyle blisko lasu, by móc się w nim ukryć w razie jakichkolwiek problemów. Opierałam się na pokrowcu katany wetkniętej w śnieg i przyglądałam się swojej grupie. Wśród uczniów był Samuel oraz nowy wilk Beta, który wcześniej zwrócił moją uwagę. Katherine została w centrum gruzowiska, obserwując szkolenie z daleka — w razie ataku i tak nie brałaby udziału w walce.

— Jaki jest najsłabszy punkt wampira? — zapytałam głośno swobodnym tonem.

— Serce — odpowiedział Samuel, wpatrując się we mnie nieruchomo tak samo jak połowa innych wilków.

Powstrzymałam westchnięcie. Alfa nie zastanawiała się nad odpowiedzią nawet przez sekundę, wierząc, że jego wiedza jest nieomylna.

— Zapytam inaczej: jaki jest najsłabszy punkt, który liczy się dla wilka? — rzuciłam pozornie znudzona.

Grupa patrzyła na mnie w milczeniu. Rozległo się kilka gorączkowych szmerów, ale nikt się nie odezwał. Beta przypatrywał mi się z nikłym zaciekawieniem w oczach z rękoma założonymi na nagiej piersi.

— W wilczej formie na nic zda wam się serce wampira — powiedziałam, spacerując kilka kroków w prawo, a potem kilka kroków w lewo. — Krwiopijcy będą go bronić najzacieklej, ponieważ ataku na niego spodziewają się z waszej strony najbardziej. Potrzebujecie słabego punktu, który zapewni wam zwycięstwo w walce. W co celujecie, mając do dyspozycji swoje kły i pazury oraz niepohamowaną siłę?

— Głowa — rzucił donośnym głosem Beta, ledwie poruszając ustami.

Przejechałam po nim spojrzeniem i uśmiechnęłam się lekko.

— Owszem, głowa. Złamanie karku zabije wampira i uniemożliwi regenerację, jednak zabieg musi być precyzyjny niczym u chirurga. — Zaplotłam dłonie za plecami niczym profesor podczas wykładu, nadal ściskając w nich katany. — Musicie wiedzieć, jak skrócić kark, by uśmiercić krwiopijcę na amen. Jeden niewłaściwy ruch, a wampir zostanie jedynie unieruchomiony na jakiś czas.

— Pokaż nam odpowiedni ruch — warknął złośliwie jeden z samców, stojący nie dalej jak trzy metry ode mnie. — Najlepiej na sobie.

Ponownie poczułam irytację oraz gniew. Odłożyłam ostrza na ziemię z nadmierną ostrożnością i wyprostowałam się, wzdychając ciężko pod nosem. Od początku spodziewałam się, że trenowanie stada nie będzie łatwe i przyjemne, jednak to nie oznaczało, że miałam zamiar godzić się na kolejne obelgi oraz oskarżenia rzucone w moim kierunku.

— Słuchajcie mnie teraz uważnie. — Spojrzałam po wszystkich stalowym wzrokiem, utrzymując kamienną maskę na twarzy. — Sama zaoferowałam pomoc w wyszkoleniu was, więc równie dobrze mogę zostawić was teraz samych i odejść. Skoro mnie nie potrzebujecie, to nie mam po co wysłuchiwać waszych złośliwych uwag. — Zakolysałam się na piętach z pozorną swobodą. — Gwarantuję, że Quentin oraz jego słudzy nie oszczędzą nikogo: zabiją was, a potem kobiety i dzieci, które zostawicie w domach. Wytropią każdego z was w każdej dziurze, niczym same ogary piekielne. Zabiją wszystkich — powtórzyłam — a potem zabiorą wasze ziemie, kawałek po kawałku.

Zapadła gwałtowna, głucha cisza.

— Quentin pragnie także twojej śmierci.

Skierowałam wzrok na Betę, mrużąc powieki. Jego spojrzenie było zimne, a twarz całkowicie beznamiętna. Podczas mojej tyrady z tylnych rzędów

przepchnął się na sam przód, przed wszystkich swoich pobratymców. Obserwując go, doszłam do wniosku, że Samuel dobrze wybrał zastępcę za swojego zdradzieckiego brata.

Prawdziwy wilk Beta.

Zgodziłam się z Banshee — ten samiec był przeciwieństwem słabego, niemoralnego Edwarda, brata Samuela, którego zabiłam w zemście za Bruno, mojego psa, którego wilkołak bezlitośnie zabił zaraz po tym, jak wkradł się na mój teren. Brak kręgosłupa moralnego oraz chciwość ciągnęły go w dół, aż w końcu dostał nauczkę i zapłacił życiem za swoje zbrodnie.

— To stado jest priorytetem Mistrza — odparłam ciszej, zwracając się do Bety. — Porażka stada to także moja porażka. Jeśli dojdzie do zwycięstwa wampirów, wyniosę się z miasta, kiedy Quentin będzie was wykańczał, zanim wyruszy po mnie.

— Nie sądziłem, że Kira Santiago ucieka przed swoimi wrogami.

Moje spojrzenie było zimniejsze niż wiatr wyjący w górach.

— Nie jestem tchórzem, ale także nie wariatką. Uciekam, kiedy trzeba. I ucieknę, jeśli rzuci się na mnie horda wyszkolonych wampirów — warknęłam. — Nikt nie pokona ich w pojedynkę.

— Nawet Boski Ogar? — Jego głos nabrzmiał głosem wilka.

Obnażyłam kły. Zdawało się, że wszyscy dookoła zamarli, obserwując mój rosnący gniew. Beta przyglądał mi się tak uważnie, że zdołałam zobaczyć w jego oczach odbicie moich złotych tęczy. Poczulałam siłę Banshee w mięśniach śpiewającą w mojej głowie o krwi i śmierci.

— Nie używaj określeń, których nie rozumiesz. — Zmierzyłam go wolnym, drapieżnym spojrzeniem. — Trzymaj się szeregu albo odejdz.

— Jestem Betą — odparł, jakby to wszystko zmieniało.

Powiedz mi coś, czego nie wiem. Prychnęłam pod nosem, czym rozeźliłam go jeszcze bardziej.

— Mam w nosie kim, a raczej czym jesteś. Poza tym, czy twoja pozycja nie powinna iść w parze z rozsądkiem? — Uniosłam brew, błyskając kłami. — A uwierz, że drażnienie mnie nie ma nic wspólnego z rozsądkiem.

Wyglądał, jakby szykował się do złośliwej odpowiedzi, jednak z tłumu wyłonił się Samuel. Jego twarz była ściągnięta gniewem, jednak nie byłam pewna czy skierowanym do mnie, czy raczej do jego zwierzchnika.

— Aidan, wracaj do grupy.

Głos Samuela miał w sobie siłę oraz nieprzejednanie, które cechowało

potężnego Alfę i stawiało do pionu nawet najstarsze wilki. Patrząc na wewnętrzny upór, z którym Aidan usilnie walczył, by zmusić się do powrotu na tyły, wywnioskowałam, że mógł być niezłą konkurencją dla obecnego przewodnika stada. Obserwowałam spięcie między mężczyznami z zainteresowaniem, póki Aidan ponownie nie stanął na swoim poprzednim miejscu, nie bez uporu.

Przez kolejną godzinę uczyłam teorii, tłumaczyłam cierpliwie wszystko, co mogło być niezrozumiałe. Pokazałam kilka wilczych chwytów, gwarantujących natychmiastowe i śmiertelne złamanie karku wampira, o którym mówiłam przed dyskusją z Aidanem.

Samuel około dwudziestej drugiej zarządził przerwę na polowanie. Stado wilkołaków pobiegło w stronę lasu, by upolować kolację dla wszystkich wilków. Moi towarzysze zebrali się razem i dyskutowali po cichu, z daleka od watahy. Kiedy już pozbierałam swoje katany, ruszyłam w ich kierunku, aby dołączyć do rozmowy, ale drogę nagle zastąpił mi Aidan. Przysięgam, że zaczynał być niczym wrzód na moim tyłku, mimo że poznałam go dopiero kilka godzin temu. Flesh stojący niedaleko nas zrobił krok w naszym kierunku, ale pokręciłam głową. Zmierzył wilkołaka pociemniałym wzrokiem, a potem minął nas niewielkim łukiem, by w końcu przystanąć u boku Frederica. Obserwował nas z daleka — czułam to i byłam pewna, że Beta czuł to samo. Z bliska jego oczy były zielone niczym trawa, upstrzone wieloma złotymi plamkami wokół ciemnych źrenic.

— Stajesz się uciążliwy — mruknęłam ze skrzywieniem. — Odsuń się.

— To nietypowe, by samica miała na tyle wiele mocy, by trzymać w szachu Alfę. I to w dodatku samica spoza stada.

Jego głos był słodki niczym miód i jedwabisty niczym letni wiatr, jednak nie dałam się temu zwieść. Patrzyłam na niego z rezerwą niczym na wygłodniałego węża, który próbuje uwieść ofiarę swą śmiertelną kołysanką. Irlandzki akcent potrafił czynić cuda ze swoim śpiewnym przeciąganiem głosek, który w przypadku Aidana nie kaleczył angielskich słów i dało się go zrozumieć. W półmroku jego kasztanowe włosy wydawały się czarne, a niejedna samica w stadzie dałaby się pokroić za jego ciało ze skórą koloru topionego karmelu. Oblizałam wargi czubkiem języka, by zwrócić jego uwagę na moje usta — podziałało idealnie.

— Nie trzymam w szachu Samuela — powiedziałam cicho, patrząc mu prosto w oczy. — On po prostu wie, co jest najlepsze dla niego i jego stada.

— To także moje stado — odpowiedział natychmiast. — Słyszałem opowieści o tobie, znam także plotki i zapewniam, że nie wiem, w jaki sposób miałabyś zagrozić członkom watahy.

— Więc słyszałeś złe opowieści i fałszywe plotki o wielkiej, złej wilczy — odparłam ze wzruszeniem ramion. — To bajeczki, niewiele mają wspólnego z rzeczywistością. Ona jest o wiele gorsza — mruknęłam z lekkim uśmiechem. — Być może powinieneś ostrożniej wybierać swoich informatorów.

— A może powinienem zobaczyć wszystko na własne oczy — zamruczał, zbliżając się o krok i przybliżając twarz do mojej. — Miałbym wtedy możliwość ocenić samemu, które opowieści są prawdziwe.

Prowokacja z jego strony miała słodko-kwaśny posmak. Poczułam go w ustach, kiedy energia Bety dotarła do mojego ciała niczym promień laserowy — miałam wrażenie, że włożyłam palec do gniazdka elektrycznego. Także się przysunęłam, więc w ostatecznym rozrachunku byliśmy tak blisko, że dzieliło nas jedynie kilka centymetrów. Nasze oddechy się mieszały, tworząc kłęby pary w mroźnym, zimowym powietrzu.

— A więc mam cię zabić na oczach tych wszystkich wilków? O to mnie prosisz? — zapytałam uprzejmym, miłym głosem, od którego każdemu włos zjeżyłby się na głowie. — A może mam zabić jednego z tych wilków, żebyś mógł sobie popatrzeć i przekonać się, że ze mną nie ma żartów? Nie wciągaj mnie w swoje gierki stadne, bo ja nie jestem wilkołakiem — zamruczałam, patrząc mu w twarz. — Jestem czymś więcej. A teraz: Odsuń. Się.

Stał nieruchomo niczym posąg i spięty jak drut pod napięciem. Nie wykonał żadnego ruchu i kiedy już myślałam, że nie odpuści, odsunął się w bok, pozwalając mi przejść — najwidoczniej dostrzegł w mojej twarzy coś, co przekonało go o powadze sytuacji. Minęłam go rozmyślnie powolnym krokiem. Nie umknęło mojej uwadze, że odprowadzał mnie wzrokiem do momentu, gdy znalazłam się w większym kręgu światła lamp, blisko swoich przyjaciół. Zerknęłam przez ramię, by przekonać się, że Aidan już zniknął w cieniu.

— Czuję testosteron wiszący w powietrzu — powiedziała Amelia na powitanie, powracając od swojej grupy szkoleniowej i kiwnęła mi głową. — Czego chciał ten wilk?

— Sprowokować mnie — odpowiedziałam szczerze. — Miałam ochotę zamachać mu ogonem przed nosem.

— A może powinnaś? — Uśmiech wampirzycy był przekorny niczym u psotnego chochlika. — Skoro już teraz sprawia problemy, na pewno będzie niepokornym uczniem w najbliższej przyszłości, mogę cię o tym zapewnić.

— To nowy wilk Beta — mruknęłam. — Przejął stanowisko po Edwardzie. Po moich słowach zapadła cisza. Mina Amelii nieco zrzędała.

— Nagabuje cię, bo zabiłaś jego poprzednika? — Frederic uniósł brew, poprawiając czerwono-czarne kosmyki włosów nad czołem.

— Powinien być ci wdzięczny — zaśmiał się Silvyr pod nosem, pojawiając się obok cicho niczym cień. — W końcu pomogłaś mu objąć całkiem wysoki urząd.

— Zdaje się, że chodzi mu o coś więcej niż o pozycję w stadzie — odpowiedziałam. — Uważa, że to dziwne, iż jako kobieta trzymam w szachu Alfę jego stada i nie wierzy, że mogę być zagrożeniem dla miejscowych wilków.

Połowa towarzystwa parsknęła niepohamowanym, szczerym śmiechem, będącym ukoronowaniem głupoty słów Aidana. Niemal sama się zaśmiałam.

— Niegrzeczny z niego wilczek. — Uśmiech Frederica lśnił niczym księżyc w pełni. — Może jednak powinnaś nauczyć go manier? Będzie się naprzykrzał aż do skutku. Przyśpiesz bieg wydarzeń — kusił mnie niczym diabeł.

— Trening to idealna okazja, by utrzyć mu nosa — odparła Amelia, przesuwając palcem po dolnej wardze w zamyśleniu. — Może złam mu to i owo w ramach indywidualnego sparingu.

Wykrzywiłam usta w uśmiechu. Podczas, gdy reszta rozwodziła się nad różnymi metodami, których mogłabym użyć na Aidanie, mój wzrok powędrował prosto do Flesha. Jego szafirowe oczy uważnie śledziły kogoś w mroku. Poszłam śladem jego wzroku i natrafiłam na niewyraźną, ciemną sylwetkę Bety wśród innych wilków. Demon wbijał spojrzenie w jego plecy niczym sokół czający się na ofiarę. Wzięłam go za rękę, tym samym przywracając do rzeczywistości. Spojrzał na mnie, lekko unosząc ciemną brew.

— Nadal mam się nie wychylać?

— Czyżbyś był zazdrosny? — odparłam, naśladując jego wesołość.

W odpowiedzi zaczął bawić się moim warkoczem. Odwróciłam głowę, zerkając ponownie na Aidana. Rozmawiał z innymi wilkołakami oddalony od nas o kilkanaście metrów. Lustrowałam wzrokiem po kolei każdego członka stada, od młodzików po dorosłych. Najmłodsze pociechy biegały wszędzie gdzie tylko mogły, goniąc się wzorem wilczych szczeniaków. Dostrzegłam gdzieś w tłumie Dawida oraz jego kumpli, którzy natychmiast odwrócili głowy, gdy tylko zorientowali się, że ich obserwuję.

Przymknęłam powieki, nasłuchując wycia wiatru z pobliskiego pola. Jego podmuchy świstały w lesie daleko przed nami, ślizgając się między czarnymi pniami, szumiąc w nagich gałęziach drzew. Gdzieś niedaleko przechadzał się jelen — czułam jego zapach oraz słyszałam zgrzytanie śniegu pod jego racicami. Przez moje powieki sączył się nikły blask lampy oraz tarczy księżycy.

Poczułam, że Flesh się poruszył. Otworzyłam powieki. Demon pociągnął mnie w bok, poza lunę światła. Zostawiliśmy resztę towarzystwa i ruszyliśmy razem ścieżką. Zatrzymaliśmy się po kilku krokach. Flesh przyciągnął mnie do siebie stanowczym ruchem, a ja nie zaprotestowałam. Czułam przez materiał jego płaszcza i własnych ubrań ciepło naszych ciał, gdy otarliśmy się o siebie. Owinął sobie mój warkocz wokół nadgarstka, aby odchylić mi głowę do tyłu. Wsunął język między moje wargi, jednocześnie wolną ręką penetrując nagą skórę pod swetrem. Gdy poczułam jego palce bawiące się moim sutkiem, wygięłam się w lekki łuk i zamruczałam prosto w jego usta. Uśmiechnął się niczym kocur, jednocześnie nie przerywając pieszczot. Chłód nocy owionął mi dół pleców, drażniąc zmysły. Odsunął się ode mnie dopiero po kilku minutach. Wysunął dłoń spod moich ubrań

i na koniec przesunął nią po mojej szyi. Popatrzyłam na niego z leniwym uśmiechem na ustach.

— Polecę do twojego domu i sprawdzę, jak trzyma się Soren i Sonya — zamruczał cicho, nie wypuszczając z uścisku mojego warkocza. — O której mogę się spodziewać twojego powrotu?

— Czy teraz wpadasz do swojego pokoju hotelowego tylko po to, by się przebrać? — zapytałam żartem, wsuwając rękę pod jego płaszcz, a potem koszulę, po czym zaczęłam głaskać go paznokciami go nagiej, gorącej skórze.

Uciszył mnie kolejnym pocałunkiem.

— Będę za godzinę — wymruczałam, gdy tylko ponownie się odsunął.

Mrugnął do mnie i niechętnie wypuścił z palców splot moich jasnych włosów. Obserwowałam go, gdy szedł ścieżką, aż w końcu zniknął w gęstych ciemnościach.

Obróciłam się, trzymając dłonie w kieszeniach spodni, by wrócić z powrotem na gruzowisko. Podniosłam wzrok z ziemi i drgnęłam. Zatrzymałam się wolno nadal oddalona od obozu treningowego. Aidan nadal stał obok swoich towarzyszy, jednak nie udawał już, że słucha ich toczącej się rozmowy — stał odwrócony w moim kierunku i obserwował, jak Flesh znika na ścieżce. Potem przesunął wzrok na mnie. Wytrzymałam jego spojrzenie, a potem wznowiłam spacer.

Będą z nim kłopoty, powiedziałam do siebie w myślach. Banshee poruszyła się ukryta, ale czujna. Jej odpowiedź, wymruczana niskim, niemal sennym głosem, dała mi do myślenia:

Przyjaciół trzymaj blisko, a wrogów jeszcze bliżej.

Rozdział XII

~ FREDERIC ~

— Śmierdę jak mokry pies — mruknęła marudnie pod nosem Charlotta, przyglądając się krytycznie odbiciu swojej twarzy w małym, podręcznym lusterku.

Pomalowała usta brzoskwiowym błyszczkiem i sprawdziła warstwę czarnego tuszu na rzęsach, który ukrył ich nietypową, niebieską barwę. Jej błękitne włosy były lekko nastroszone, mimo że od kilku minut próbowała wygładzić je palcami.

Najmłodsze szczeniaki w stadzie, którymi zajmowała się Charlotta dzisiejszego wieczora, bardzo szybko ją polubiły, zwłaszcza wtedy, gdy dla ich uciechy zaczęła sypać z palców błękitnymi, delikatnymi iskierkami przypominającymi kruche kryształki lodu eksplodujące w mroźnym powietrzu. Niemal lśniła w blasku księżyca i dzieci wpatrywały się w nią całkowicie urzeczone. Uczyła ich podstaw ziołarstwa — tłumaczyła im, jakie zioła działały leczniczo, a które uśmierzały ból. Te szczeniaki nie mogły brać udziału w walce, jednak dzięki nauce miały szansę pomóc innym po bitwie, gdy już przyjdzie czas na opatrywanie rannych. Nie wątpiłem, że będą ranni w tej nadchodzącej wojnie — wampiry, zwłaszcza łase na czyjeś terytorium, nigdy nie bawiły się w półśrodku. *Będzie też sporo ofiar, którym już nikt nie zdoła pomóc*, pomyślałem, ale nie powiedziałem tego na głos.

Weszliśmy do hotelu cicho niczym duchy, omijając pustą recepcję i drepcząc szybko ciemnym przejściem. Nasz pokój mieścił się na samym końcu korytarza. Charlotta wysunęła z kieszeni klucz do pokoju, a potem w ciągu kilku sekund wpuściła nas do środka. Wsunąłem się za nią do sypialni z westchnieniem ulgi.

— Te młodziaki to prawdziwe pasożyty energetyczne — jęknąłem, poruszając ramionami, by rozluźnić zeszywniałe mięśnie pleców. — Tłumaczenie im podstaw samoobrony to prawdziwa męczarnia.

— Spróbuj spędzić kilka godzin w otoczeniu szczeniaków, gdzie najstarszy z nich okazał się ośmioletnią dziewczynką, która cały czas wypytywała mnie o mój ulubiony kolor, ulubione zwierzątko, ulubiony owoc... — Podczas wyliczania kręciła głową na boki, masując skórę głowy palcami.

Śmiała się pod nosem przez kilka chwil, a potem bezwiednie opuściła ramiona wzdłuż ciała, tracąc całkowicie dobry humor. Dostrzegłem nagłą zmianę w jej oczach, gdy wpatrzyła się w pustą przestrzeń.

— Niemal zrobiła mi test na osobowość — mruknęła — a potem zapytała, czy już niedługo wszyscy umrzemy.

Wzdrygnąłem się lekko. Usłyszeć takie pytanie z ust małej dziewczynki było czymś, co sprawiało, że serce przez moment biło szybciej, o wiele bardziej

nerwowo. Starsze wilkołaki nie pytały, one znały całe zagrożenie i miały świadomość, że wiele z nich może polec w trakcie walki z wampirami. *Co odpowiedzieć małemu szczeniakowi na pytanie, czy wszyscy zginą?*

— Odpowiedziałam, że nie wiem. — Ponury głos Charlotty momentalnie przebił się przez moje rozmyślenia. — Może powinnam była skłamać? Może powinnam była powiedzieć, że wszystko będzie dobrze i nikomu nic się nie stanie?

Odwróciła się bokiem, patrząc na mnie spod rzęs. Widziałem wiele i przeżyłem wiele, tak samo jak ona, krążąc po świecie jako zabójca, a jednak, słysząc jej szczerze pytanie, nie potrafiłem na nie odpowiedzieć. Znałem widok, zapach i smak krwi, a także widok martwych ciał, a to pytanie małego dziecka, tak prawdziwe i bolesne, wprawiło mnie w odrętwienie.

— Cała ta groźba wojny rzuca na stado cień — powiedziałem, wymigując się od odpowiedzi. — Pierwszy raz spotykam się z tak realnym zagrożeniem ze strony wampirów. Wiedziałem, że to wredne sukinsyny, ale nigdy otwarcie nie narażały się na konflikt z innymi rasami, a zwłaszcza z wilkołakami.

— Być może Mistrz postradał zmysły — gdybała otwarcie, wydymając lekko usta w zamyśleniu. — Dobrze wiemy, że najstarsze wampiry często popadają w kryzys egzystencjalny i zatapiają się w szaleństwie. Rada powinna odebrać władzę Quentinowi, zanim zrobiłby coś, co zagroziłoby chmarze. Czemu tego nie zrobiła?

— Quentin jest idealnym aktorem — stwierdziłem gorzko. — Oszukał wszystkich.

— Nawet Kirę.

Zsunąłem z ramion płaszcz, a potem przewiesiłem go przez oparcie krzesła. Moja koszula przesiąknięta była zapachami kilkudziesięciu wilkołaków, co dawało efekt, jakbym spędził kilka godzin w schronisku dla zwierząt.

— Ta kobieta doprowadza mnie do pasji — mruknąłem pod nosem, opadając na krawędź materaca.

Charlotta przyjrzała mi się spod przymrużonych powiek.

— Znowu do niej uderzałeś?

— To idealny czas, by w końcu przyjęła moją propozycję — odparłem lekko urażonym tonem. — Liczy się każdy punkt przewagi nad wrogiem, a tego wampiry się nie spodziewają, a zwłaszcza Quentin.

— Nie mydl mi oczu. Wcale nie chodzi tylko o całą tę wojnę — odparła z irytacją, machając dłonią, jakby odpędzała natrętną muchę. — Namawiasz ją do tego już od dawna, ale cały czas upiera się przy swoim. Nie interesuje ją edukacja magiczna, więc daruj sobie wreszcie. — Westchnęła. — I tak po tym wszystkim, co się ostatnio stało, ma dosyć stresu. Najpierw śmierć Bruno, potem porwanie, a teraz cała ta sprawa z wojną i wampirami. Wiele się na nią zważyło w ostatnim czasie.

— Jest twarda, poradzi sobie — uznałem pewnym głosem.

— Owszem, nie wątpię w to, jednak nawet ona nie jest niezniszczalna, mimo że taką udaje. — Usiadła na drugim łóżku, wpatrując się w sufit. — Ale jedno to martwienie się o jej psychikę, a drugie to obawianie się o Banshee.

Na dźwięk tego imienia uniosłem brew i popatrzyłem na nią, zakładając dłonie za głowę w miarę swobodnej pozycji. Charlotta nie lubiła nazywać wilczycy Kiry po imieniu, jakby była oddzielnym bytem, a nie częścią samej Łowczyni. A była, z czym wróżka nie do końca potrafiła się pogodzić.

— Co masz na myśli? — zapytałem cichym głosem zabarwionym zmęczeniem.

— Banshee kiedyś przejmowała nad nią kontrolę. Teraz, po egzekucji Edwarda, zdawało mi się, że robi to ponownie, pierwszy raz od kilku lat. Ostrzegłam Flesha i najwidoczniej postarał się, by bestia nie wypłynęła na powierzchnię. — Przymknęła powieki. — Jednak ostatnio mam wrażenie, że im bliżej nam do walki, tym bardziej Kira zwierzęca się staje.

Przed moimi oczami pojawiła się twarz Kiry podczas przesłuchania Benjaminą, a potem wyraz jej oczu tuż po tym, gdy wbiła mu sztylet w serce.

— Banshee to część Kiry i nie jest jej wrogiem. Ani naszym — dodałem, widząc, że chciała mi przerwać. — To instynkt i siła Banshee pozwoliły Kirze przetrwać ciężkie dzieciństwo, a potem wszystko to, co tylko czyha na łowców takich jak ona. Zwłaszcza jak ona — podkreśliłem. — Tak potężna hybryda nie ma łatwego życia.

— Nie wydaje ci się, że wilczyca postanowi kiedyś całkowicie przejść stery? — Charlotta nadal nie patrzyła w moim kierunku. — Że kiedyś znudzi jej się dzielenie się władzą i ciałem?

Wzruszyłem lekko ramionami.

— Jeśli kiedykolwiek to postanowi, tylko Kira będzie mogła utrzymać ją w ryzach, dobrze o tym wiesz. My nic na to nie poradzimy, choćbyśmy bardzo tego chcieli.

~ KIRA ~

Wróciłam zmęczona prosto do domu. Na ganku paliło się światło, tak samo jak w oknie kuchennym. Weszłam do środka, zdjęłam buty oraz kurtkę i powlekłam się w głąb pokoi. W salonie ułożona na kanapie drzemała Sonya, a Soren czuwał samotnie przy oknie. Wpatrywał się w ciemność za domem tak intensywnie, jakby widział tam skradające się stado wilków. Lub zgraję wampirów.

Zostawiłam ich samych bez słowa, a potem powędrowałam na górę do pokoju gościnnego. Amelia i Silvyr pojechali do hotelu, więc nadal zajmowałam ich kwaterę. W środku zastałam Flesha pochrapującego cicho na łóżku. Oparłam się o framugę z lekkim uśmiechem na ustach, przyglądając się mu, a potem

ruszyłam korytarzem prosto do łazienki.

Gdy tylko zamknęłam za sobą drzwi, zadzwoniła komórka w mojej kieszeni. Spojrzałam zaskoczona na wyświetlacz.

— Santiago — rzuciłam, szybko odbierając połączenie.

— Śledziłem go. — W słuchawce rozległ się cichy głos Rico, od którego po plecach przebiegł mi dreszcz. — Niemal codziennie znika w górach, najwidoczniej tam jest kryjówka wampirów wcielonych w jego armię. Jutro polecę za nim aż do celu i dam ci znać o dokładnej lokalizacji.

— Dobrze. Pamiętaj, że jeśli zrobi się gorąco, masz się stamtąd zmywać, niezależnie od wszystkiego. — Mój głos był stanowczy. — Jeśli ktoś cię wykryje, UCIEKAJ.

Rozłączyłam się i powoli odłożyłam komórkę na blat obok lustra. Przez chwilę oddychałam spokojnie, wpatrując się w przestrzeń, a potem rozebrałam się i wsunęłam pod prysznic. Gorąca woda zmyła ze mnie gamę zapachów wilczego stada, ziemi, potu i krwi. Telefon od Rico jednak pozostawił po sobie nutkę niepokoju, której nie udało mi się pozbyć pod gorącym prysznicem. Rozmyślałam nad tym, że mój kruczy szpieg jutro odnajdzie kryjówkę wampirzej armii samego Mistrza — armii, która ma stawić czoło stadzie wilkołaków i utorować swemu panu drogę do władzy nad terytorium wroga ciałami, krwią i łzami.

Mój plan polegał na tym, by odnaleźć kryjówkę, gdzie Quentin ukrył swoje siły, a potem ją zniszczyć. To tylko brzmiało prosto, jednak w rzeczywistości było cholernie trudne. *Jak można zniszczyć kompleks, w którym może ukrywać się kilkadziesiąt uzbrojonych, wyszkolonych wampirów i masę srebra?* Spochmurniałam.

Wytarłam się ręcznikiem, potem owinęłam go nad piersiami i zaczęłam rozczesywać mokre włosy, patrząc na swoje odbicie. Miałam zamiar sama ruszyć na armię Quentina, by móc spróbować zdobyć przewagę dla wilkołaków. Gdyby udało mi się pozbyć chociaż połowy armii, wataha wygrałaby bez większych problemów. Nie mogłam powiedzieć o tym planie nikomu, a zwłaszcza Fleshowi — każdy z moich kompanów próbowałby mnie powstrzymać, ale to Flesh podpaliłby świat, aby wybić mi tę misję z głowy. To było samobójstwo... lub jego próba. Mimo swojej siły, mocy zmysłów i wieloletniego doświadczenia miałam nikłe szanse na powodzenie misji, a tym bardziej na powrót w jednym kawałku. Jednak miałam asa w rękawie, który mógł dać mi jakkolwiek przewagę — znałam góry. Polowałam na ich terenie wiele razy, zapuszczałam się dalej niż wiodą ludzkie szlaki, odkryłam niemal każdy zakątek gęstych lasów, zasypanych śniegiem szczytów i skalistych wzniesień. Mogłam wyprowadzić wampiry w pole. Mogłam spróbować osiągnąć sukces i uciec... lub ewentualnie zginąć w walce.

Zaplotłam wilgotne włosy w warkocz i zakończyłam swoje ponure

myśli. *Nie mogę niczego zdradzić mową ciała, bo Flesh domyśli się, że coś kombinuję. Ma intuicję niczym kot.*

Demon nadal spał rozwalony po jednej stronie łóżka. Wsunęłam się naga pod pierzynę obok niego i zamknęłam oczy. Obydwoje byliśmy zmęczeni, potrzebowaliśmy odpoczynku. Jednak po kilku sekundach ramię Flesha oplotło moją talię niczym bluszcz, a ja poczułam jego wilgotny język na szyi, a potem piersiach. Wygięłam się w łuk, drżąc pod jego gorącym oddechem. Skutecznie rozwiął resztkę moich ponurych myśli, nawet nie będąc tego świadomym.

Z samego rana siedząc przy kubku gorącej, owocowej herbaty rozmyślałam nad tym, kiedy Quentin planował zaatakować stado. Ta myśl naszła mnie zaraz po przebudzeniu, gdy opuściłam ciepłe łóżko i uwolniłam się z uścisku potężnego ciała Flesha, do którego przytuliłam się w środku nocy i którego ramiona tuliły mnie do rana. Teraz wgapiałam się samotnie w blat kuchenny, nasłuchując spokojnych oddechów innych domowników dochodzących zza ścian i rozważałam najróżniejsze momenty, w których Mistrz mógłby przypuścić natarcie na watahę.

Gdybym tylko miała szpiega w jego szeregach, mogłabym dowiedzieć się więcej o jego taktyce, pomyślałam, nieświadomie obgryzając skórki wokół kciuka. Gdybym tylko mogła odpytać kogokolwiek z chmary, nie wzbudzając podejrzeń samego Quentina...

Wyprostowałam się nagle, niemal przewracając kubek z herbatą. Miałam kogoś, kto mógł wy badać atmosferę w chmarze. Kogoś, kto należał do jej środowiska i nie zwracał na siebie uwagi wampirów z wyższych sfer. Szybko, niemal się nie zastanawiając, wystukałam na komórce numer Josepha i odczekałam pięć sygnałów, zanim zaklęłam i zakończyłam połączenie. Spróbowałam jeszcze raz, ale po dłuższym oczekiwaniu włączyła się automatyczna sekretarka. Zmarszczyłam czoło, a potem napisałam do niego wiadomość.

Nie wiedziałam, czy Joseph nadal mieszkał w swojej starej rezydencji, do której przyjechał po swoje najnowsze obrazy dla jakiegoś nieznanego mi kupca. Wampir często wyjeżdżał i urzędował w wielkich metropoliach, co jakiś czas tylko odwiedzał posiadłość na obrzeżach miasta — swój bogaty spadek po dalekich krewnych, którzy wyzionęli ducha niemal pół wieku temu.

Była ósma rano. Zabierając kurtkę, buty i kluczyki od samochodu modliłam się, by Joseph nadal przebywał w mieście. Wyjechałam wozem z podjazdu i ruszyłam wolno drogą. Poproszenie Josepha, wyluzowanego artystę, o szpiegowanie we własnej chmarze mogło go przerazić. Prośba byłaby jednocześnie ukrytym pytaniem, czy zechce zdradzić własnego Mistrza oraz innych członków wampirzej wspólnoty dla mnie, moich towarzyszy i dobra wilczego klanu. Mimo tego, że nigdy nie żyłam w prawdziwym stadzie, rozumiałam, że

mogło to być dla niego ciężkie. Miał prawo mi odmówić — nie był mi nic winien, a nasza przyjaźń zawsze była dosyć krucha ze względu na stosunki wszystkich lokalnych wampirów do mojej osoby.

Gdy sunęłam przez senne miasto, mimowolnie pomyślałam o Aidanie — był Beta, przy tym silnym i pewnym siebie mężczyzną stojącym murem za swoim stadem. Gdybym to jego poprosiła kiedykolwiek o zdradę watahy, zapewne nie tylko by odmówił, ale i próbował mnie zabić w uczciwej walce za zniewagę. Był niczym rycerz broniący swego honoru i godności. Uśmiechnęłam się ponuro, wiedząc, że niewiele już istniało takich istot na świecie, które przejmowały się jeszcze takimi przymiotami.

Od momentu, gdy przekonałam się, że Beta nabrał podejrzeń co do tożsamości Flesha — po tym, jak obserwował demona i mnie na wzgórzu w przerwie od treningu bojowego — czułam, że ten wilk nie spuszczał ze mnie oka. Rzucił mi uważne, stalowe spojrzenia podczas nauki, w wolnych momentach między nimi oraz przy każdej innej nadarzającej się okazji. Byłam pewna, że chciał dowiedzieć się o Fleshu jak najwięcej i byłam także pewna tego, iż spróbuje użyć wszelkich sposobów, by mnie przycisnąć, aby zdobyć potrzebne lub jakiegokolwiek istotne informacje.

Wróciłam do rzeczywistości, skupiając się na czekającym mnie zadaniu. Jak miałam przekonać Josepha do współpracy? Poznanie faktów na temat planowanego ataku, jakichkolwiek skrawków informacji byłoby nieocenione i pomogłoby mnie oraz moim towarzyszom na przygotowanie strategii, zanim rozpocznie się właściwa walka. Element zaskoczenia dawał Quentinowi przewagę, która mogła się okazać przeważająca dla wampirów. Musiałam poznać taktykę krwiopijców, by nie dopuścić do ich zwycięstwa nad watahą.

Wjechałam na poboczną dróżkę prowadzącą na niewielkie wzgórze. Jadąc pod górę, dostrzegłam wśród porannej, mlecznej mgły rezydencję Josepha. Budynek był wysoki na trzy piętra wybudowany na wzór średniowiecznych zamczysk. Rezydencja z szarego, szorstkiego kamienia wyrastała ze wzniesienia niczym spróchniały ząb. Otoczona była licznymi, gęstymi lasami oddalonymi od murów o niecały kilometr. Żwirowany podjazd był przysypany cienką warstwą śniegu, na którym zostawiłam długie ślady opon. Spojrzałam zza szyby na wiekową budowlę, czując niepokój pełznący po szyi. Z nieznanych mi powodów ten dom zawsze przyprawiał mnie o ciarki.

Wysiadłam z samochodu i powędrowałam pod drzwi — grube, wyciosane w metalu z potężną, okrągłą klamką. Usłyszałam w środku puste, grzmiące echo mojego pukania, gdy uniosłam dłoń i zastukałam. Wyjęłam z kieszeni komórkę, przycisnęłam ją do ucha i wybrałam numer Josepha, jednocześnie napierając dłonią na klamkę. Nasłuchując sygnału komórki, popatrzyłam nieruchomym wzrokiem na powoli uchylające się drzwi.

Nie mogłam się poruszyć. Ze środka domu, ciemnego i cichego, dobiegła mnie melodia, a w półmroku grubych czterech ścian dostrzegłam niewielki kwadrat jasnego światła. Weszłam do środka, wzdrygając się na dźwięk stukania moich butów odbijającego się echem niczym w jaskini. Stałam nad plamą światła i nie rozłączając się, odsunęłam komórkę od ucha. Telefon Josepha leżał na zimnej, kamiennej posadzce niedaleko drzwi i mimo pękniętej szybki nadal działał. Melodia dzwonka ucichła, gdy nacisnęłam odpowiedni przycisk na swoim urządzeniu. Podniosłam się z klęczek, kątem oka dostrzegając ikonkę wiadomości na ekraniku i nieodebrane połączenia — wszystkie ode mnie.

Szłam wielkim, szerokim korytarzem wprost do schodów prowadzących na górę i zatrzymałam się u ich podnóża. Nie słyszałam niczego, co mogło wskazywać na to, że ktoś był w domu. Zapach kurzu unosił się w powietrzu. W środku było chłodno — polana w ogromnym, starym kominku już dawno wygasła, a po ogniu nie pozostał nawet żar.

Rezydencja miała wiele pokoi i przeszukanie ich zajęłoby mi zbyt dużo czasu. Myślałam gorączkowo, czując coraz większy niepokój. *Coś się tutaj stało*, pomyślałam. *Coś bardzo złego*. Sięgnęłam do głębi umysłu, gdzie cicho urzędowała Banshee. Przebudziła się na moje wezwanie i potrząsnęła łbem, pozbywając się resztek snu. Pozwoliłam jej złotej energii wypłynąć poza ciało i skierować się ku głuchym ścianom rezydencji. Wilczyca przesuwiała się w swej duchowej postaci po ścianach, podłodze i drzwiach, węsząc w poszukiwaniu śladów życia. Bez niej poczułam się pusta, zrobiło mi się zimno mimo skórzanej kurtki na grzbiecie. To było zimno głębsze niż te, które niosło ze sobą zimowe powietrze sączące się do środka przez uchylone drzwi wejściowe za moimi plecami.

W końcu, po długich minutach, poczułam drgnięcie, a potem ciepło zalewające moje ciało. Banshee powróciła, niosąc ze sobą zapach krwi oraz bólu, który sprawił, że niemal zgięłam się w pół. Wilczyca poprowadziła mnie ku niewielkiemu korytarzykowi po prawej prowadzącemu do dalszych części domu. Zatrzymałam się na moment, widząc ślady krwi na podłodze — szkarłatne, zakrzepłe smugi, jakby ranną ofiarę ciągnięto po kamiennej posadzce przez całą długość pomieszczenia. Ruszyłam dalej, czując desperację napędzającą mięśnie całego ciała niczym paliwo. Ślady wyraźnie prowadziły do niewielkich, wąskich drzwi obok wejścia do kuchni. Po nikłej woni stęchlizny i wilgoci rozpoznałam, że musiały prowadzić do piwnicy. Otworzyłam je cicho, skradając się niczym zwierzę. Ciemność na schodach była gęsta niczym dym i moje oczy miały problem z jej przeniknięciem. Użyczyłam wilczego wzroku, przeczesując mrok uważnym spojrzeniem.

Zeszłam po stopniach na sam dół. Ogromna piwnica, niegdyś służąca do przechowywania wina oraz zapasów jedzenia, jak niegdyś tłumaczył mi Joseph,

pachniała wyraźnie starym kurzem, wilgocią i suszonymi ziołami zawieszonymi na drewnianych stropach. Oprócz tych zapachów czułam woń osocza, wyraźną i ostrą, a także woń strachu oraz śmierci. Zanim zapaliłam światło, wstrzymałam oddech głęboko w płucach i nie wypuściłam go nawet mimo bólu, jaki poczułam w klatce piersiowej.

Gdy tylko niewielki blask żarówki rozjaśnił nieco pomieszczenie, cofnęłam się do tyłu, wpadłam plecami na ścianę i nieomal krzyknęłam, czując potężny ucisk w gardle. Stłumiony dźwięk, który wydostał się z moich ust, nie przypominał ludzkiego głosu, a raczej jęk rannego zwierzęcia połączony z okrzykiem szoku i przerażenia. Poczułam się, jakbym znowu patrzyła na martwe, bezwładne ciało Bruno leżące w kałuży krwi i bezdenne, nieruchome oczy zwrócone ku mnie z wypisaną w nich winą.

Ciało podwieszane pod sufitem za nadgarstki było całkowicie nieruchome i zimne. Krew kapiąca z ran powoli sączyła się wzdłuż nagiego torsu, wsiąkała w materiał porwanych spodni, a potem opadała cicho na ziemię ciemnym strumykiem. W świetle żarówki widziałam liczne rany klute przebijające skórę na piersi, brzuchu, dłoniach, a nawet twarzy. Zakryłam usta dłonią, przyglądając się temu z niemy przerażeniem. Dostrzegłam zwoje złotego łańcucha, które oplatały nadgarstki nieszczęśnika wysoko pod sufitem tak, że mięśnie napisały się mocno, wzmacniając upływ krwi. Błada skóra Josepha była niemal sina, lśniącą niczym roztopiony воск. Jasne włosy wiły się na czole niemal całe umaczane we krwi.

Podeszłam bliżej na sztywnych nogach pewna, że patrzę na trupa. Gdy tylko wsłuchałam się w przerażającą ciszę, usłyszałam cichy szmer. Posłuchałam uważniej, myśląc, że może napastnicy nadal byli w domu i właśnie przygotowują pułapkę. Dopiero po kilkunastu sekundach zidentyfikowałam prawdziwe źródło tego cichego, niespokojnego dźwięku — to było bicie serca, niewiarygodnie słabe jak trzepot skrzydeł umierającego ptaka, który walczył ostatkami sił o gasnącą iskierkę życia w swojej piersi.

Otoczyłam twarz Josepha dłońmi, czując rodzącą się nadzieję, która rozgrzała moje zmarzłe kończyny. Policzki wampira były zimne niczym kamień i mokre od krwi, tak samo jak reszta ciała. Głębokie rany przecinały jego kości policzkowe, czoło oraz usta, czyniąc z nich coś na podobieństwo zniszczonego, niegdyś pięknego płótna.

— Joseph. — Przemawiałam cichym, ciepłym głosem, próbując go ocucić. — Joseph, słyszysz mnie? Joseph, obudź się — mój głos nabrał mocy i stanowczości.

Wampir ani drgnął, ale jego serce nie przestało bić. Odnalazłam stare, zabytkowe krzesło z brokatowym obiciem w kącie piwnicy, całe oblepione kurzem i pajęczynami. Postawiłam je obok, by móc dosięgnąć łańcuchów. Ostrożnie wyplątałam nadgarstki Josepha z okowów, krzywiąc się na widok sinych bruzd na

skórze i złapałam go pod pachami, by nie upadł bezwładnie na podłogę. Nieruchome ciało ułożyłam delikatnie na ziemi, starając się nie sprawić mu jeszcze większego bólu. Był nieprzytomny.

Patrząc na jego rany byłam pewna, że zadano je za pomocą złota. Skóra wokół nich była posiniaczona i napuchnięta, a krew sączyła się nadal, pozbawiając go sił z każdą minutą. Cucenie go nie dawało żadnych efektów. Rozejrzałam się dookoła, ale wątpiłam, by wampir miał w domu zapas krwi, który mógłby pomóc mu w regeneracji. Poczułam ucisk w piersi, myśląc nad tym, jak blisko śmierci był teraz Joseph. Gdybym znalazła go choćby godzinę później, prawdopodobnie byłby już całkowicie martwy, a ja nie miałabym innego wyjścia, jak tylko zapewnić mu pochówek.

Musimy mu jakoś pomóc. — Skierowałam te słowa do Banshee, uzasadniając tym pomysł, który szybko zrodził się w mojej głowie. — *To ryzykowne i nie wiem, co dokładnie się stanie.*

Wilczyca myślała nad tym tylko przez moment, zanim mi odpowiedziała.

On umiera.

Obydwie wiedziałyśmy o tym aż za dobrze.

Musimy to zrobić. — Byłam stanowcza i zdeterminowana, trzymając dłonie na zimnej, nieruchomej twarzy wampira. — *Nie pozwolimy mu umrzeć. Na pewno nie w ten sposób...*

Zdjęłam kurtkę, a potem szybko podwinęłam rękaw koszulki. Odsłoniłam nadgarstek i wilczymi kłami rozdarłam delikatną skórę. Moja własna krew smakowała żelazem. Przyłożyłam ranę do ust wampira i siłą rozwarłam jego nieruchome szczęki, by potem zacisnąć je na swojej dłoni. Oblizawałam spękane usta gestem zabarwionym paniką, a potem czekałam. Osocze spływało gardłem wampira prosto do żołądka, ale odruch przełykania, słaby i bardziej przypominający skurcz, pojawił się dopiero po dłuższej minucie. Widząc poruszające się usta Josepha oraz jego lekko drgające powieki, odetchnęłam głośno

z niesłychaną ulgą.

Krew uruchomiła regenerację, lecz i tak działała ona bardzo wolno. Twarz wampira drgnęła, jakby chciał otworzyć oczy, ale nie miał na to dość siły. Zaczepiłam swojej wilczej siły, a potem uniosłam Josepha na rękach i wyniosłam z ciemnej piwnicy niczym małe, bezbronne dziecko. Nie znałam układu domu na tyle dobrze, by odnaleźć sypialnię z wygodnym łóżkiem, więc ułożyłam wampira na miękkiej kanapie w korytarzu blisko zabytkowego, kamiennego kominka.

Upewniłam się, że regeneracja wciąż działa i serce Josepha zaczęło bić mocniej, a potem poszłam rozpalić ogień. Płomienie buchnęły jasno, rozjaśniając nieco ponure pomieszczenie. Zabrałam komórkę wampira z posadzki. Podeszłam do nieprzytomnego Josepha, by odgarnąć sklezione krwią włosy z jego twarzy. Wyglądał nieco lepiej, jednak rany były bardzo poważne. Moja krew ożywiła jego organizm, jednak nie starczyła, by odtruć go z tej ilości złota, jaką wchłonął podczas swoich katuszy. Ktokolwiek go torturował, a nie wątpiłam, że tak właśnie było, zostawił go w tej piwnicy na pewną śmierć.

Zioła Charlotty oraz lecznicza magia powinny pomóc, pomyślałam, przyglądając się kluciom na torsie wampira. Trzeba ją tutaj sprowadzić. Joseph jest za słaby na podróż samochodem. Możemy nie zdążyć go uratować.

Uniosłam wzrok, głaszcząc go po twarzy. Wydawało się, że skóra nabrała żywszego odcienia i lekko się ociepliła. Jego klatka piersiowa unosiła się nieco energiczniej niż wcześniej, pompując tlen do płuc, potrzebował jednak natychmiastowej pomocy.

Przejrzałam swoje kontakty w telefonie. Ktoś musiał pilnować wampira, podczas gdy ja pojechałabym po uzdrowicielkę. Nie mogłam ryzykować, zostawiając wampira w tym stanie samego, całkowicie bezbronnego i łatwego do zabicia. Oprawcy mogli tutaj wrócić, aby sprawdzić, czy wampir na pewno umarł. Charlotta nie знаła drogi do rezydencji i na pewno musiała zebrać odpowiednie zioła, by uleczyć rany Josepha.

Mój wzrok padł na nowo zapisany numer w pamięci telefonu, który dostałam od Samuela. Zapomniałam o nim. Miałam wątpliwości, ogromne wątpliwości. Mogłam wezwać na miejsce Flesha albo Amelię, jednak nie mogłam się do tego zmusić. Coś mi na to nie pozwalało.

A jeśli on go skrzywdzi? — Głos Banshee zadźwięczał w mojej głowie cichym pomrukiem. — Nie znamy jego intencji.

Zadawałam sobie to pytanie raz po raz, nawiązując połączenie. Czekałam

kilka sygnałów, wbijając spojrzenie w posadzkę.

— Halo?

Głos wilkołaka nie brzmiał zbyt przyjaźnie, ale nie przejęłam się tym. W tym momencie jego irlandzki akcent zdawał się nieść nadzieję, której potrzebowałam.

— Potrzebuję od ciebie przysługi, wilku Beta.

Aidan momentalnie zamilkł jak zaklęty, słysząc moje słowa. Odezwał się dopiero po krótkiej przerwie.

— Nie sądziłem, że kiedykolwiek zwrócisz się do mnie w potrzebie. A co z twoim partnerem? On nie może ci pomóc?

Miał na myśli Flesha, poznałam to po jego głosie. Odetchnęłam głęboko, czując spływającą na mnie falę spokoju.

— Potrzebuję pomocy od ciebie, Aidan. Możesz mnie nie tolerować, jednak to ważna sprawa, chociaż raz zrób wyjątek. — Zastanawiałam się, ile powinnam mu powiedzieć, zanim dotrze on do rezydencji. — Jeden z moich przyjaciół padł ofiarą Mistrza. Ten pieprzony psychopata torturował go w jego własnym domu i zostawił na pewną śmierć w zatęchłej piwnicy. Pomogłam mu, jak tylko mogłam, jednak muszę sprowadzić tutaj Charlotte. Jej magia pomoże go uleczyć, jednak ktoś musi go przypilnować, póki do niego nie wrócę.

— Czemu Mistrz go torturował? — zapytał spokojnie, jednak w jego głosie wyczułam nową, zimną nutę, jednak już nie skierowaną ku mnie.

Przypomniałam sobie, jak wcześniej porównywałam go do honorowego rycerza. *Mistrz skrzywdził niewinnego, tak jak chce w przyszłości skrzywdzić jego stado.* Teraz byłam pewna, że wilkołak na pewno mi pomoże.

— Nie wiem, dlaczego to zrobił. Być może dowiedział się, że ten przyjaźni się ze mną i podejrzewał go o zdradę. A może zrobił to z czystej złości, nie mam pojęcia. — Odetchnęłam głęboko. — Mój przyjaciel to wampir z jego chmary, Aidan. Quentin torturował członka swojej wspólnoty, chcąc zadać ból mnie. Przyznam, że mu się to udało — dodałam nieco ciszej, przypominając sobie pierwsze chwile grozy, gdy zobaczyłam Josepha półmartwego w mrocznej piwnicy podwieszonoego pod sufitem niczym świniaka przeznaczonego na rzeź. — Chcę mu pomóc. Nic nie wiedział o planowanej bitwie, a także o planach swojego Mistrza, nawet o nowonarodzonych wampirach, które wcześniej zabijały w mieście. On jest niewinny.

Czekałam długie sekundy, zanim wilkołak mi odpowiedział.

— Powiedz, gdzie jesteście. Dotrę tam najszybciej, jak się tylko da.

Podaliśmy mu adres i nawet opisałam drogę, jednak Beta wyjaśnił mi, że nie potrzebuje tego, bo zna dobrze miasto i jego okolice. Czekać na niego, czuwałam przy nieprzytomnym wampirze. Póki miałam czas, podałam mu jeszcze trochę własnej krwi, widząc widoczną poprawę. Słuchałam bicia jego coraz silniejszego serca.

Quentin dotarł do niego przede mną i niemal go zabił. Ta myśl była mi cierniem w łapie, bolesnym i wyjątkowo paskudnym.

Zapłaci nam za to. Zasmakujemy jego krwi. I to już niedługo.

Warczenie Banshee rozgrzało mi serce i nieco podniosło na duchu. Dorzuciłam polan do kominka, gdy usłyszałam za plecami cichy szelest. Odwróciłam się w momencie, gdy powieki Josepha wzorem motyli skrzydeł załopotwały i odsłoniły zamglone, jasne oczy barwy chmurnego nieba.

Podeszłam do niego z lekkim uśmiechem na ustach, który na pewno zabarwiony był smutkiem i strachem.

— Jak się czujesz?

Zamrugął boleśnie powoli, próbując skupić na mnie swój mętny wzrok.

— Kira...

Jego głos był ochrypliwy i cichy, mówił niemal szeptem. Jego twarz wykrzywił nagły ból, gdy próbował się poruszyć. Przytrzymałam go stanowczo, lękliwie zauważając, jak niewiele potrzebowałam do tego siły. Może nie był bardzo starym wampirem, jednak posiadał siłę, którą zdobył przez kilka wieków. A teraz był taki słaby...

— Nie ruszaj się. Niedługo sprowadzę kogoś, kto cię uleczy.

Zanim skończyłam mówić, Joseph ponownie stracił przytomność. Podniosłam się i podeszłam do drzwi. Uchyliłam je lekko, wpuszczając do środka podmuch zimnego powietrza. We mgle wypatrywałam Aidana, albo jakiegokolwiek śladu samochodu. Gdy zobaczyłam w białości ciemną sylwetkę, sapnęłam lekko pod nosem.

Ciembrazowy wilk z jaśniejszym pasmem sierści na grzbiecie pędził drogą, wydychając obłoczki ciepłego powietrza. U jego szyi zwieszał się metalowy nieśmiertelnik, zupełnie jakby Aidan przemienił się w pośpiechu i zapomniał o tej ozdobie. Wilk zatrzymał się niedaleko drzwi i spojrzał na mnie uważnie. Wywiesił język, dysząc w chłodnej mgle. Bez słowa wpuściłam go do środka.

Wilkołak zamarł w holu, czując wyraźny zapach krwi unoszący się wszędzie, a potem spojrzał na nieruchomego Josepha i nisko pochylił łeb. Pochyliłam się nad nim, wyczuwając od niego zapach sierści oraz mrozu.

— Pilnuj go. Nie wiem, czy ktoś nie czai się w okolicy. Sprowadzę Charlotte i wrócę najszybciej, jak się tylko da. Obiecuję.

Wilk machnął łbem ludzkim gestem, jakby ją zbywał i ułożył się pod kanapą jak najbliżej wampira niczym stróżujący pies. Jego głowa była wysoko czujnie

uniesiona, tak samo jak spiczaste uszy wylapujace nawet najdrobniejsze dzwieki. W jednej chwili z wilka Beta stal sie straznikiem.

— Mam u ciebie ogromny dlug — mruknelam juz w prog.

Aidan tylko machnal ogonem na potwierdzenie tych slow i odwrócił wzrok.

Wyszlam na zewnatrz i natychmiast wyruszyłam samochodem w mgle z powrotem do miasta, jednoczesnie wykręcając na telefonie numer Charlotty. Opuściłam teren rezydencji niespokojna z zamiarem szybkiego powrotu.

On żyje, powtarzałam sobie w duchu, aby uspokoić dziko bijące serce. Uratowałam go. Mistrz po niego nie wróci, skoro wcześniej zostawił go na pewną śmierć. Nie wiedziałam, ile prawdy było w tym rozumowaniu, ale teraz tylko ta myśl mnie uspokajała, gdy ciemna, wysoka sylwetka rezydencji znikła w oparach mgły.

Rozdział XIII

~ KIRA ~

— Co się stało?

Zaniepokojone oczy Charlotty wpatrywały się we mnie spod rozczochranej, lazururowej grzywki. Była w krótkiej, białej koszuli nocnej, jeszcze półprzytomna po śnie. Zadzwoiłam do niej wcześniej i szybkim tempem dotarłam do hotelu w przeciągu dziesięciu minut. Pewnie po drodze złamałam co najmniej dwadzieścia przepisów ruchu drogowego, ale miałam to w głębokim poważaniu. Sytuacja była poważna.

Wróżka obserwowała mnie, całkowicie zdezorientowana. Niemal trzęsłam się ze zdenerwowania, stojąc na korytarzu.

— Potrzebuję twoich mocy leczniczych — sapnęłam na jednym wdechu, czując pot spływający po plecach. — Jednego z moich znajomych dorwał Quentin.

Jej twarz zmieniła się w maskę szoku, a potem czystego gniewu.

— Co takiego? — W jej głosie słychać było oburzenie i złość. — Ten wampir zaczyna mi poważnie działać na nerwy. — Na jej ramionach pojawił się szron, zdradzający jej zdenerwowanie. — Opowiedz mi wszystko, a ja w tym czasie przygotowuję odpowiednie zioła.

Weszłam za nią do pokoju. Frederic musiał być w łazience, skąd dochodził głośny szum prysznic. Charlotta, nie przejmując się swoim wyglądem, wyciągnęła spod łóżka walizkę z ubraniami i odpięła jedną z bocznych kieszonek. Jej duża saszetka była pełna suszonych ziół, flakoników z wywarami, truciznami oraz wszelkimi rodzajami naturalnych składników, których używała na co dzień i potrzebowała do swej magii. Zaczęła wyciągać potrzebne przedmioty, słuchając moich rewelacji z odnalezienia Josepha. Gdy opisałam jej aktualny stan wampira, zacisnęła mocniej szczękę.

— Nie wiem, czy zdążę mu pomóc, Kira — powiedziała łagodnie, nie przestając się pakować. — Takie obrażenia...

— Zdążymy — mruknęłam stanowczo, przerywając jej. — Gdybym nie była tego pewna, nie prosiłabym cię o wsparcie.

Wróżka zmierzyła mnie uważnym spojrzeniem, ale potem powróciła do przygotowań.

— Prosiłabyś. Nie poddałabyś się bez walki o jego życie — zamruczała cicho, jednak idealnie ją usłyszałam.

Nic nie odpowiedziałam. Gdy jej sprzęt był gotowy, szybko ubrała się w szary, bawełniany kostium przepasany srebrnym paskiem w talii, a na nogi wsunęła czarne, zimowe kozaki. Frederic wyszedł z łazienki w momencie, gdy zbierałyśmy się do wyjścia. Obydwie zrelacjonowałyśmy mu pokrótce przebieg

porannych zdarzeń i obiecałyśmy zadzwonić, gdy tylko opanujemy całą sytuację. Mag puścił nas wolno, wiedząc, że dodatkowe pytania tylko skrócą nasz czas potrzebny na dotarcie do wampira i akcję ratunkową.

W drodze do rezydencji Charlotta wpatrywała się nieruchomo w przednią szybę zatopiona we własnych myślach. Wspomniałam jej o Aidanie, którego wezwałam do pilnowania wampira. Przyjrzała mi się krótko, a potem odwróciła wzrok.

— Ten wilkołak cię niepokoi — odezwała się spokojnie, a ja nie zaprzeczyłam jej słowom. — Nie dziwię ci się. Jest dumny, pewny siebie, ale i butny, a już zwłaszcza, kiedy chodzi o ciebie. Stał się Beta, bo na to zasłużył, w przeciwieństwie do jego poprzednika, a teraz stadu zagraża niebezpieczeństwo i to ty jesteś jedyną osobą, która może mu pomóc wygrać nadchodzące starcie. Gdyby nie ty, nawet nie wiedziałby o groźbie ze strony wampirów. To go irytuje.

— Jestem dla niego cierniem w łapie — mruknęłam pod nosem. — Wiem o tym. Niepokoi mnie to, że uważa mnie za wroga. Toleruje mnie jedynie dlatego, że na razie istnieje ktoś groźniejszy ode mnie, kto może zagrozić jego watasze. Jak to wszystko się skończy, na pewno zwróci się przeciwko mnie.

— Nie możesz być tego taka pewna — zaprotestowała Charlotta. — Będzie miał u ciebie dług.

— Teraz to ja mam dług u niego — odpowiedziałam. — Poprosiłam go o pomoc, a on odpowiedział. Nie wiem, czego zażąda potem w zamian. Jednak jestem wdzięczna, że mimo niechęci, przybył na moje wezwanie.

— Pomagacie sobie nawzajem. Jak dla mnie wygląda to na swego rodzaju sojusz. Jednak nurtuje mnie, dlaczego wezwałeś jego, a nie Flesha?

Mnie także to zastanawiało. Poprawiłam się na siedzeniu.

— Powiedzmy, że miałam... przeczucie.

Wróżka jedynie pokiwała głową bez zbędnych pytań. Kto taki jak nie wróżka wiedział dokładnie, że instynkt potrafił powiedzieć nam więcej niż sesja u jasnowidza?

Milczałam. Skręcałyśmy już w stronę rezydencji. Mgła, zamiast się przerzedzić, jeszcze mocniej zgęstniała niemal do ostatniej minuty ukrywając potężną, ponurą sylwetkę domu. Wsiadłyśmy z samochodu jednocześnie. Poleciałam Charlotcie wejść do środka, podczas gdy sama przemieniłam się i przeszłam się dookoła posesji.

Żwir chrząścił mi pod łapami, póki nie zesłam ze wzgórza prosto ku linii lasu. Węszyłam z nosem przy ziemi, wypatrując jakichkolwiek śladów napastników. Woń Quentina była słaba, ale natrafiłam na nią blisko murów rezydencji. Musiał wyjść kilka godzin wcześniej, inaczej zapach pozostałby wyraźny niczym linia narysowana kredą.

Warknęłam pod nosem, szczerząc kły. Złość zjeżyła mi futro na karku

i zagotowała krew w żyłach. Powstrzymałam jednak emocje, pędząc z powrotem ku rezydencji. Zmieniłam się w samochodzie i z powrotem wsunęłam na siebie ubranie. Zanim weszłam do domu, odetchnęłam głęboko kilka razy, by uspokoić tętno i przygotować się na to, co mogła powiedzieć mi Charlotta.

Na mój widok Aidan uniósł łeb i zastrzygł uszami. Spacerował od lewej do prawej, zasłaniając sobą przykucniętą przy wampirze Charlottę. Wilkołak wycofał się w bok, gdy podeszłam bliżej, by przyjrzeć się Josephowi. Wampir wyglądał tak samo jak wtedy, gdy zostawiłam go tutaj pod opieką Aidana. Wróżka mieszała zioła oraz mikstury z niewielkich flakoników, nie zwracając na mnie uwagi — była całkowicie skupiona na przygotowaniu odpowiedniego wywaru.

Podłożyłam polano do kominka i przykucnęłam przy ogniu plecami do Charlotty i Josepha. Stukanie pazurów Aidana odbijało się cichym echem wśród ścian. Wgapiłam się w płomień nieruchomo, spinając mięśnie ramion oraz pleców.

Banshee siedziała płytko pod moją skórą, tak samo jak ja wzburzona wyczynem Quentina. Byłam gotowa, bardziej niż kiedykolwiek, rozerwać mu gardło własnymi, wilczymi szczękami. Wiedziałam, jak uśmiercić wampira powoli, zadając jak najwięcej bólu. Chciałam torturować Mistrza tak długo, aż błagałby o śmierć i płaszczył się przede mną pozbawiony całej swej pychy oraz chciwości, które popychały go do zabijania oraz okaleczania moich sprzymierzeńców. Gdy tknął Josepha, posunął się wystarczająco daleko.

Musimy dostać się do jego górskiej kryjówki — warknęłam w myślach, przemawiając nie tylko do Banshee, ale i wewnętrznej pustki, która sprawiała, iż miałam wrażenie, jakby moje kości pokrywała warstwa lodu. — Zniszczę tyle, ile się da, choćby kosztem siebie samej. On nie może zwyciężyć, ani teraz, ani nigdy. Jeśli pozwolę mu pokonać wilkołaki, zginie nie tylko całe stado, w tym kobiety i dzieci, ale i wszyscy, którzy pomagali mu w walce. Quentin zabije Amelię, Silvyra, Charlottę, Frederica, a także Sonyę i na pewno spróbuje dorwać także Flesha oraz Sorena. Zabicie demona nie jest niemożliwe, jednak wątpię, by ci dwaj dali się wziąć żywcem. Są starzy, a zwłaszcza Soren. Na samym końcu Mistrz ruszy po mnie, upojony swym triumfem i pewny swojego ostatecznego zwycięstwa. — Myśli szemrały w mojej głowie niczym stado niespokojnych os. — Wyprawa w góry musi się powieść. I to za wszelką cenę.

— Gotowe.

Głos Charlotty dotarł do mnie niczym zza grubej szyby i powoli wyrwał z ponurego transu. Odwróciłam się, powoli prostując plecy. Wróżka poprawiała

ostatnie zwoje bandaża owijającego niemal całe ciało wampira. Aidan zatrzymał się, by przyjrzeć się opatrunkom. Wyczuwając zapach ziół, zmarszczył nos i ponownie odszedł na bok.

— Wyzdrowieje? — Mój głos nawet dla mnie brzmiał niewiarygodnie płasko.

Charlotta, nawet jeśli to zauważyła, nic nie powiedziała. Przypatrzyła się twarzy wampira oddychającego spokojnie, jakby w głębokim śnie.

— Rany były poważne, a stężenie złota ogromne, praktycznie śmiertelne — odezwała się z namysłem. — Jednak, jak na takie obrażenia, był w dość stabilnym stanie, zanim ja się nim zajęłam.

Milczałam, lustrując nieruchomego Josepha uważnym spojrzeniem. Wróżka położyła mi dłoń na ramieniu. Aidan także zatrzymał się blisko, nasłuchując zainteresowany kierunkiem, w jaki toczyła się ta rozmowa.

— Co mu zrobiłaś, Kira? — Charlotta była niewiarygodnie łagodna, ale wyczuwałam w jej aurze determinację i chłód.

— To, co było trzeba — odparłam beznamiętnie. — Potrzebował pomocy natychmiast. Gdybym zwlekała, nie przeżyłby.

— Nie znamy wszystkich konsekwencji twojego czynu. — Jej głos był twardy, ale nie wyczułam w nim dezaprobaty. — Twoja krew ma wyjątkowy skład ze względu na mieszane pochodzenie. Jednak, cokolwiek z tego wyniknie później, na razie podanie osocza uratowało mu życie. Będzie potrzebował rehabilitacji jeszcze przez jakiś czas, ale największe niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

Nie pytałam, skąd domyśliła się, czego dokonałam, by go uratować. Charlotta miała wiele talentów, ale przede wszystkim dobrze mnie знаła.

— On nie może tutaj zostać — mruknęłam stanowczo. — Skoro Amelia koczuje u Silvyra, a Soren zajmuje moją sypialnię razem z Sonyą, ulokuję Josepha w pokoju gościnnym.

— A ty gdzie będziesz spała?

— Nie wiem, czy od teraz będę miała w ogóle czas na sen — odpowiedziałam tylko na wpół żartem. — Zawsze pozostaje kanapa w salonie lub pokój hotelowy Flesha. Będzie musiał z powrotem się do niego przenieść razem ze swoim seksownym zadkiem, jeśli mam pomieścić wszystkich dotychczasowych gości w moim domu.

Wróżka uśmiechnęła się krótko.

— Trzeba go przenieść do samochodu.

— Zabiorę go. — Podeszłam do kanapy. — Weź kluczyki i otwórz wóz. Odstawimy go do domu.

Gdy już Joseph wylądował bezpiecznie na tylnym siedzeniu i szykowałam się, by porozmawiać z Aidanem, wtedy zadzwoniła moja komórka. Odeszłam na bok i spojrzałam na ekran. Widząc imię Rico, moja krew zawrzała — było to miłe

wrzenie wprawiające serce w mocniejsze bicie.

— Dowiedziałeś się czegoś?

— Znam dokładną lokalizację — odpowiedział szybko cichym głosem. — Wyślę ci wskazówki, jak się tam dostać. Jeśli chcesz się w to wpakować, lepiej uważaj. Ochrona tego terenu jest niewiarygodna: co najmniej dwadzieścia wampirów pilnuje granic, a w środku tkwi cała armia nowonarodzonych. Zdołałem wkraść się do budynku na kilka minut, zanim przyjechał tutaj Quentin.

Zamarłam natychmiast. Ponownie odtworzyłam w myślach słowa zmiennokształtnego.

— Czy ty właśnie powiedziałaś: armia nowonarodzonych?

Z komórki dobiegł mnie krótki trzask.

— Owszem. Naliczyłem co najmniej setkę, ale może ich być więcej. Miałem niewiele czasu na bardziej szczegółowe oględziny.

Powstrzymałam kłębiące się we mnie gwałtowne emocje.

— Wyślij mi wszystko co potrzebne i znikaj stamtąd jak najszybciej.

Rozłączyłam się. Charlotta już siedziała w samochodzie. Aidan warował blisko wozu, wyraźnie na mnie czekając. Podeszłam bliżej, ledwie powstrzymując się od rozmyślenia o planowanej misji.

— Dziękuję, że się zjawiłeś — powiedziałam, patrząc mu w oczy. — Porozmawiamy dzisiaj wieczorem na treningu.

Wilk przyglądał mi się przez moment, a potem odwrócił się i ruszył biegiem w kierunku miasta. Czekałam, aż zniknie pośród gęstej mgły, a potem wsiadłam do wozu i odpaliłam silnik. Chciałam teraz upewnić się, że Joseph będzie wygodnie odpoczywał w moim domu, całkowicie bezpieczny i odizolowany od Quentina oraz jego ochroniarzy.

Nowonarodzeni... Nikt nie przypuszczał, że armia Quentina to sami nowonarodzeni.

Zbyłam myśli Banshee milczeniem. Na razie nie mogłam rozmyślać o tych informacjach.

Nowonarodzeni byli groźniejszymi wrogami od zwykłych wampirów, a przede wszystkim zgromadzeni w jednej armii. Dlaczego? Byli silniejsi od swych starszych pobratymców i mieli niepokonowaną żądzę krwi. Pili ją od każdego, kogo tylko zdołali dorwać. Czy był to człowiek, wilkołak, wróżka czy ktokolwiek inny. Zdarzały się także przypadki nowonarodzonych żerujących na własnych pobratymców.

Pili krew od każdego, niezależnie od gatunku, wieku, mocy. Byli porywcy,

brutalni i ślepi na wszelkie niebezpieczeństwo. Prawdziwe marionetki.

Aidan pojawił się w moim progu niecałą godzinę po tym, jak razem z Charlottą umieściliśmy Josepha na piętrze w pokoju gościnnym. Wilkołak był już w ludzkiej postaci otulony grubym, zimowym płaszczem. Wciskał dłonie w kieszenie i spokojnie czekał na schodach, aż otworzę mu drzwi. Niezaskoczona zbytnio jego wizytą, bez słowa wpuściłam go do środka. Zostawił w korytarzu swoje okrycie, a także zdjął buty. Zaprowadziłam go do kuchni i zaproponowałam coś gorącego do picia. Kulturalnie odmówił.

Flesh, który właśnie wyszedł z łazienki po gorącym prysznicu, zmierzył gościa nieprzychylnym wzrokiem spod przymrużonych powiek. Wilk nawet na niego nie spojrzał, skupiając się całkowicie na mnie. Demon się nie odezwał, jedynie odwrócił się i poszedł przebrać na górę. Odprowadziłam go wzrokiem.

Usiadłam na krześle naprzeciwko Aidana. Oddzielała nas lada kuchennej wyspy. Światło spod sufitu nadawało twarzy wilkołaka ostrzejszego wyrazu. Spodziewałam się, że przyjdzie porozmawiać o zaistniałej sytuacji, jednak nie spodziewałam się go aż tak szybko. Widocznie chciał dokładnie wiedzieć, co takiego stało się z moim zaprzyjaźnionym wampirem i nie mógł czekać do wieczora na trening watahy.

— Przyznam, że zdziwiła mnie twoja prośba o pomoc — powiedział Aidan, opierając łokcie o blat. — Jak czuje się ten wampir?

— Ma na imię Joseph — mruknęłam mechanicznie, popijając gorącą herbatę. — Charlotta zajęła się jego ranami. Oczywiście moja krew zrobiła swoje, dzięki czemu dożył momentu, w którym leczenie miało jeszcze jakiś sens.

Wilkołak na moment odwrócił wzrok. Prychnęłam pod nosem niemal wypompowana z sił życiowych. Walka o utrzymanie Josepha przy życiu kosztowała mnie niemal wszystkie nerwy.

— Nie udawaj, iż nas nie podsłuchiwałaś — powiedziałam, wstawiając opróżniony kubek do zlewu.

— Nie udaję — odparł po chwili. — Po prostu nie wiem, co o tym myśleć. Nie dość, że przyjaźnisz się z wampirem, to jeszcze oddałaś mu swoją krew, aby mógł przeżyć. — Pokręcił głową na boki. — To dość... niezwykle.

Nie mogłam nie usłyszeć kwaśnej nuty, która wkradła się w jego słowa.

— Myślałaś, że ich nienawidzę? Że nienawidzę wampirów i nie zrobię nic, by jednego z nich uratować?

Zastanawiał się tak długo, że obróciłam się plecami do zlewu, chcąc zobaczyć jego wyraz twarzy. Malowało się na niej skupienie, jakby próbował w głowie połączyć ze sobą niezbyt dobrane elementy puzzli.

— Myślałem, że nie uznajesz żadnej rasy prócz swojej — powiedział

w końcu, patrząc mi prosto w oczy. — Że uważasz wszystkich tylko za potencjalne cele.

Usiadłam z powrotem na krześle, wzdychając cicho. Jego szczerość, niepodsztyta żadną osobistą awersją, trafiła we mnie celnie niczym zatruta strzała. Czy czułabym się lepiej, gdyby uważał tak ze względu na jakiegokolwiek osobiste niesnaski dotyczące mnie? Chyba tak. Ale on po prostu stwierdzał coś, co wywnioskował z plotek i obserwacji innych.

— Krążą o mnie różne plotki: że zabijam dla przyjemności, a także bo mam chorą ambicję, żeby bawić się w Boga. — Nie mogłam powstrzymać irytacji. — Jestem zabójczynią, nie psychopatką. Zabijam tych, którzy zagrażają innym, nie tykam niewinnych. Cokolwiek jednak myślą o mnie wszyscy magiczni, nie mam zamiaru ich słuchać. W przeciwieństwie do wielu z nich, ja nie zabiegam o tytuły, przynależność do społeczeństwa czy szacunek, często i tak fałszywy. Mogę być outsiderem do końca życia, jeśli to umożliwi mi wykonywanie swojej roboty.

— Rozumiem to, jednak nurtuje mnie jedno... Czemu pomogłaś Josephowi? — Aidan pochylił się do przodu z błyskiem w oku. — Dlaczego oddałaś mu swoją krew? Żaden wilkołak szanujący swoją istotę nie oddałby jej wampirowi...

— Nie jestem wilkołakiem! — Wstałam gwałtownie, opierając dłonie na blacie. — Nigdy nie byłam i nie będę. Jestem hybrydą, skazaną na życie wśród nadnaturalnej społeczności jako zabójca i wróg numer jeden. Nie mam swojego stada, nie należę do nikogo i niczego. I nigdy się nie przyporządkowuje. W przeciwieństwie do was, wilkołaków, nie potrzebuję swojej pozycji w hierarchii, by pozostać przy zdrowych zmysłach. A pomogłam Josephowi, bo jest moim przyjacielem, bez względu na przynależność do jakiegokolwiek rasy. Oddałam mu swoją krew, bo tego wymagała zaistniała sytuacja. Stawką było jego życie. Pomogło mu to? — Uniosłam brew, nie czekając na odpowiedź z jego strony. — Pomogło, więc zrobiłam właśnie to, co należało!

Okrążyłam blat i podeszłam do Aidana na tyle blisko, by mógł wyczuć furię mojej Banshee. Wilczyca kotłowała się pod skórą niczym rozeźlona bestia pragnąca jedynie wyrwać się do przodu.

— Nigdy więcej nie praw mi morałów. Zajmij się swoim stadem i tym, by przeżyło ono starcie z wampirami. — Zacisnęłam zęby, by kły nie wysunęły się na wierzch. — Jestem ci winna przysługę, więc jeśli czegoś ode mnie chcesz, powiedz to teraz. Bo po to właśnie przyszedłeś, prawda? Żeby kazać mi spłacić dług.

Cisza, która zapadła w pokoju, zdawała się niesamowicie głucha. Aidan siedział nieruchomo, wpatrując się w moją twarz. Na progu ujrzałam Flesha przyglądającego się całej tej scenie w milczeniu. Zignorowałam jego obecność.

— Nie przyszedłem, abyś teraz spłaciła swój dług — odparł wilkołak. —

Chciałem tylko zaspokoić swoją ciekawość, to wszystko. Oprócz tego, zastanawiał mnie stan Josepha.

Uspokoiliam się nieco i odsunęłam do tyłu. Przez moment wpatrywałam się w okno, aby udobruchać rozeźloną Banshee.

— Co jeszcze chcesz wiedzieć?

— Dlaczego właśnie MNIE wezwałaś? — zapytał wolno, w zupełności świadomy obecności Flesha za jego plecami. — Dlaczego to właśnie MNIE poprosiłaś dzisiaj o pomoc?

To było pytanie, którego skrycie się obawiałam. Flesh, dotychczas bierny, wszedł do kuchni i przystanął przy wyspie, obserwując mnie. Miał napięte mięśnie, lecz jego twarz była niczym kamienna maska — zimna i całkowicie nieruchoma.

— Zadałeś dobre pytanie. — Ton Flesha nabrzmiał demoniczną magią. — Dlaczego właśnie ON? — zawrócił się do mnie głosem pełnym oskarżenia.

Spojrzałam na niego oczyma wilczycy, czując bijącą od niego złość. Obydwaj byli w moim domu, na moim terytorium i właśnie nadużywali mojej cierpliwości. Oskarżenie w głosie demona niemal przelało tę czarę gorzkości. Skrzyżowałam ramiona na piersi, niewzruszenie odpowiadając na zimny wzrok Flesha.

— Nie wiem, dlaczego akurat on — odparłam zgodnie z prawdą bez śladu wstydu czy skruchy. — Mój instynkt podpowiedział mi, bym wezwała właśnie jego, więc to zrobiłam. Nie było czasu na rozważanie tej decyzji.

— Nie ufasz mu, dobrze o tym wiem — syknął Flesh. — Zaufałaś instynktowi, mimo że podsunął ci kogoś, kogo nie darzysz zaufaniem? I to w obliczu zagrożenia życia jednego z twoich przyjaciół?

— Joseph umierał — warknęłam zimno — jak sam zauważyłeś. Zrobiłam to, co należało. Aidan mi pomógł i należy mu się za to moje zaufanie. Zaufałam mu, bo przyszedł, by mnie wesprzeć. Wiem, że pomógłbyś mi bez względu na wszystko i dlatego nie do ciebie zadzwoniłam. — Spojrzałam teraz na wilkołaka. — Musiałam sprawdzić, czy bez względu na uprzedzenia do mnie, zjawiłbyś się, gdybym potrzebowała twojej pomocy. Nie wiem, czy zrobiłeś to ze względu na to, że pomagam stadu przygotować się do bitwy, jednak i tak jestem ci wdzięczna. Może właśnie to chciał zrobić mój instynkt: sprawdzić cię.

Flesh nic nie powiedział, a jedynie obserwował. Nadal był zły, jednak zdawało się, że dotarły do niego moje argumenty. Podeszłam do Aidana i wyciągnęłam do niego dłoń. Wstał z siedzenia, nie spuszczać ze mnie wzroku. Po kilku sekundach ujął moje palce i ścisnął, przypieczętowując nasz niepisany pokój.

Czy zapomni o tym, co widział podczas treningu? Czy przestanie szukać odpowiedzi na to, kim jest Flesh? Zadałam sobie te pytania w tym samym momencie, kiedy sama sobie na nie odpowiedziałam. Na pewno nie, to nie w jego

stylu. Jest uparty i nie odpuści, może jedynie na krótki czas.

— Czy Joseph już się obudził? — zapytał niespodziewanie Aidan, swobodnie puszczając moją dłoń.

Przyjrzałam mu się z lekko uniesioną brwią.

— Budzi się co jakiś czas. Potrzebuje dużo odpoczynku, żeby dojść do siebie. Chcesz do niego zajrzeć? — Kiwnęłam głową w stronę schodów na górę.

Spojrzał na mnie zaskoczony. Pierwszy raz od naszego poznania widziałam go zdekoncentrowanym. Pokręcił głową stanowczo za wolno, jakby decyzja przychodziła mu z pewnym oporem.

— Muszę już iść — odpowiedział. — Ale jeśli poczuje się dostatecznie dobrze, możesz zabrać go na trening naszej watahy. Może dowiemy się od niego czegoś ciekawego o działaniu chmary i Quentina — dodał po chwili, gdy otworzyłam usta, by coś powiedzieć. — Porozmawiam o tym z Samuelem, uprzedzę go.

Nie zatrzymałam go, gdy po raz kolejny zapewnił, że musi wyjść i szybko zniknął na zewnątrz. Byłam zaintrygowana, jednak nie miałam pojęcia, co takiego wykurzyło Aidana z mojego domu, jakby jego ogon się palił.

Flesh nadal stał w tym samym miejscu, jednak o wiele spokojniejszy niż wcześniej. Widziałam w jego oczach cieplejszy blask.

— Zdaje się, że jestem zbyt porywczy, jeśli chodzi o tego wilkołaka.

Rozluźniłam mięśnie, wiedząc, że nie zacznie kolejnej kłótni.

— Wiem, co czujesz — odparłam. — Sama miałam do niego taki stosunek, aż do dzisiaj. Zyskał w moich oczach.

Demon przecesał dłonią włosy, wznosząc twarz ku sufitowi.

— Mam ochotę osobiście wyciągnąć Quentina z jego ciemnej nory — mruknął ponuro pod nosem. — Znam Josepha dość krótko, ale to porządny wampir. Nie zasłużył na to, co zgotował mu jego własny Mistrz. Nikt nie zasługuje na coś takiego.

— Chyba, że sam Quentin — odparłam cicho. — Myślałam, że on nie żyje, Flesh. — Łzy, które powstrzymałam w domu Josepha, teraz pragnęły popłynąć po policzkach jeszcze bardziej. — Póki nie usłyszałam tego słabego, drżącego tętna byłam przekonana, że patrzę na zarżniętego, martwego przyjaciela. Kolejnego.

Ramiona Flesha otoczyły mnie ciepłą opoką. Jego uścisk przynosił ulgę mojemu sercu i rozluźnił skurcz w piersi. Poczułam jego wargi we włosach, a potem na czole. Zacisnęłam palce na jego koszuli, wdychając zapach ciała oraz woń mydła. Jego włosy nadal były wilgotne po prysznicu, gdy zanurzyłam w nich palce.

— Już niedługo mu się odpłacisz — zamruczał do mojego ucha, nie wypuszczając mnie ze swoich objęć. — Odpłacisz mu się po trzykroć.

Ten przeklęty wampir nawet nie wie, jak szybko będę miała ku temu okazję,

pomyślałam mimowolnie, zaciskając powieki. Ponownie usłyszałam w głowie głos Rico i jego zapewnienie, że wyśle mi wskazówki prowadzące do kryjówki Quentina oraz jego armii. Wcześniej pragnęłam tego bardziej niż cegokolwiek, czułam adrenalinę napędzającą mnie do działania, a teraz, w bezpiecznych ramionach Flesha, poczułam jedynie rezygnację i żal. Mogłam zginąć, było to bardzo prawdopodobne. Demon miał nigdy nie dowiedzieć się, co dokładnie się ze mną stało i dlaczego poszłam tam sama. Nie mogłam go w to wciągnąć — musiał zostać, by zamiast mnie przygotować wilki do ostatecznego starcia. Tak samo było z innymi moimi towarzyszami. Byli potrzebni tutaj, ja mogłam poradzić sobie sama.

Odsunęłam się i otarłam mokre policzki. Pogłaskałam kości policzkowe Flesha, nie pozwalając moim prawdziwym emocjom wymalować się na twarzy.

— Złamię ci serce — powiedziałam, nie mogąc się powstrzymać.

W jego szafirowych oczach załśnił płomień, który poczułam po chwili na swoich wargach. Jego pocałunek był pełen sprzeczności — łagodny i namiętny, gorący i chłodny, beznamiętny, a jednocześnie pełen pasji. Ten pocałunek smakował niczym trujący kwiat, który pod słodkością jadu ukrywa swoje zabójcze właściwości. W mojej piersi ponownie pojawił się ucisk, jakby wargi Flesha wsączyły do mojego serca zamrożony cyjanek.

— Złamiesz mi serce? — Jego uśmiech był diabelski. — Posklejam je — odparł cicho, odsuwając się ode mnie zaledwie na centymetr. — A po tym wszystkim będzie biło już tylko dla ciebie.

Zacisnęłam zęby, aby powstrzymać jęk. Nie wiedział, jak bardzo te słowa bolały. Ofiarowywał mi uczucie, którego nie doświadczyłam przez całe swoje życie, a ja, mimo pragnienia przyjęcia go, mogłam je stracić równie łatwo, jak je otrzymałam. Miałam ochotę ponownie się rozplakać.

— Uważaj, czego pragniesz, demonie — powiedziałam, siłą woli malując na swoich ustach uśmiezek. — To, czego chcemy, często nie spełnia naszych oczekiwań, gdy już to dostaniemy.

— Pragnę cię od momentu, gdy spotkałem cię tamtego chłodnego, śnieżnego wieczoru — odszepnął z mocą, która z łatwością zamknęła mi usta. — Znam cię o wiele dłużej niż sądzisz i wiem że to, co możesz mi ofiarować, wystarczy mi na całą wieczność. — Ponownie pocałował mnie w czoło. — Zawsze powtarzasz, że nie masz własnego stada. A kimże ja jestem dla ciebie? Kim dla ciebie jest Silvyr, Frederic, Charlotta i Amelia? A Joseph? Nawet Sonya? — Zacisnął ramiona wokół mnie. — Wszyscy tworzymy twoje stado, chociaż ty tego nie dostrzegasz.

Nawet nie wiesz, że zrozumiałam to o wiele wcześniej, pomyślałam z westchnieniem, które głośno wyrwało mi się z piersi. Wiem, że jesteście moim stadem.

A stado poluje w grupie. Wilk nigdy nie idzie na łowy samotnie, jeśli tylko ma własne stado u swego boku.

Wahanie czające się w głosie Banshee zaskoczyło mnie i przez chwilę dało do myślenia.

Mam ich narazić? Mam poprowadzić ich na pewną śmierć, nie wiedząc, czy misja w jakimkolwiek stopniu się powiedzie i pomoże wilkołakom pokonać wampiry?

Wilczyca wyrzuciła z siebie ni to prychnięcie, ni to warknięcie.

Po prostu zastanów się nad tym, Kira.

Zostawiła mnie z tymi słowami, wycofując się w mrok. Nasłuchiwałam ciszy, która zapadła w moim wnętrzu niczym cisza przed burzą. Odsunęłam się od Flesha ponownie, tym razem wypłatając się z jego uścisku. Miałam suche policzki, jednak oczy nadal piekły od łez.

— Powinam zajrzeć do Josepha, a potem do Sonyi — powiedziałam, odgarniając do tyłu rozczochrane, jasne włosy. — Soren nadal czuwa?

— Wybrał się poza twoje terytorium z samego rana — odparł Flesh, bawiąc się białym, zagubionym kosmykiem na moim ramieniu. — Z każdym dniem coraz bardziej widzę jego przywiązanie do tej dziewczyny. Soren to bardzo stary demon. — W jego głosie pojawiła się nutka zastanowienia. — Nie sądziłem, że tak łatwo kiedykolwiek nawiąże więź z jakąkolwiek istotą z tego wymiaru.

— Bo im jesteście starsi, tym mniej obchodzi was nasz świat?

— To nie tak. — Lekko pokręcił głową. — Im jesteśmy starsi, tym bardziej pragniemy samotności. Wiele demonów powraca do naszego wymiaru, gdy zaczynają odczuwać brzemień wieczności na swoich barkach.

— Ty go jeszcze nie czujesz? — zapytałam mimowolnie, spoglądając mu w oczy.

Uśmiechnął się, odsłaniając ostre, perłowe zęby.

— Mimo wszystko jestem względnie młodym przedstawicielem własnej rasy. Przeżyję jeszcze wiele wieków, zanim poczuję, że naprawdę jestem

nieśmiertelny. To pojawia się z czasem i napiera na nas niczym do nastolatka po kilku latach hulaszczego życia dociera świadomość, że kiedyś naprawdę umrze. I że czas przecieka mu przez palce niczym piasek.

Otuliłam się ramionami, nagle czując chłód. Odsunął się, puszczając moje włosy. Z tymi słowami zostawił mnie samą, znikając w salonie, a potem w drzwiach balkonowych. Usłyszałam daleki trzepot skrzydeł. Gdy tylko ucichł, ruszyłam powoli na górę cały czas zadumana.

Flesh jest demonem, nieśmiertelną istotą z innego wymiaru, najpotężniejszym ogniwem w moim świecie. Ma moc, której boją się żywe stworzenia i której jednocześnie pragną dla siebie. Obserwował ten świat latami niczym widz podczas teatru kukielkowego, aż nagle wkroczył na scenę i zmienił bieg wydarzeń. I po co? Dla mnie...

Zatrzymałam się przed drzwiami pokoju gościnnego zmarznięta do szpiku kości. To był specyficzny rodzaj zimna — pełznący po kościach niczym obślizgły wąż.

Kiedy tak naprawdę zapomniałam, czym jest Flesh? I jak wyobrażałam sobie, po tych wszystkich słowach, które mi dzisiaj podarował, zostawić go samego? Chciałam wyruszyć na samobójczą misję sama, by go ochronić. A jeśli przez to, zamiast go ochronić, zranię go bardziej niż potrafiłby to zrobić Quentin i jego słudzy?

Byłam sama od najmłodszych lat i nie wiedziałam, jak troszczyć się o osoby, które kocham. Miłość przyszła niedawno, gdy pojęłam swoje prawdziwe przywiązanie do Charlotty, Frederica i Silvyra — starych kompanów po fachu — oraz Amelii, Josepha, a także Flesha. Chciałam zadbać o nich wszystkich, nie wiedząc nic o pielęgnowaniu uczuć, które do nich żywiłam. *Jestem niczym świeżo upieczona matka, która nie wie nic o rodzicielstwie*, zaśmiałam się ponuro w myślach.

Odsunęłam myśli na bok i zapukałam do drzwi. Odpowiedziała mi głucha cisza. Delikatnie nacisnęłam klamkę i weszłam do środka, wsuwając głowę do sypialni. Joseph leżał wygodnie na plecach, owinięty bandażami, przykryty kołdrą i wsparty na poduszce. Cięcia na jego twarzy goiły się szybciej niż inne poważniejsze urazy ciała, więc mogłam ponownie dostrzec jego miękkie rysy. Razem z Charlottą usunęłyśmy krew z jego włosów, przez co jasne kosmyki ponownie zawinęły się w zdrowe, lśniące loki. Miałam ochotę zanurzyć w nich palce, dotknąć zdrowiejącej skóry, usłyszeć buzowanie krwi w żyłach. Chciałam się upewnić, że ten wampir naprawdę leży tutaj żywy i całkowicie bezpieczny.

Przysunęłam sobie krzesło obok łóżka i usiadłam, przyglądając się spokojnemu, śpiącemu obliczu Josepha. Trwało to zaledwie kilka minut, zanim jego powieki drgnęły, a spod nich wychyliły się jasne, zamglone oczy. Wampir popatrzył na moją twarz, lekko wzdychając.

— Zdaje się, że jeszcze żyję — zamruczał cicho, ledwie otwierając popękane usta.

Pragnienie uściśnięcia go pojawiło się i zniknęło równie szybko, gdy tylko skrzywił się przy mocniejszym ruchu obolałego ciała. Odwrócił głowę bardziej w moją stronę, mrugając kilka razy, jakby z chęcią odpędzenia z powiek resztek snu.

— Jak źle ze mną było? — zapytał, obserwując mnie.

Przełknęłam ślinę, żeby zwilżyć gardło, zanim w końcu odpowiedziałam.

— Krytycznie — odparłam zgodnie z prawdą, ściskając jego dłoń. — Ale zdaje się, że to jeszcze nie twój czas, wampirze. Wyzdrowiejesz, głównie dzięki lekom Charlotty, mojej przyjaciółki i uzdrowicielki. Zioła usuną złoto z twojego organizmu.

— Wydaje mi się, że to nie zioła mnie uratowały. — Jego głos był mocniejszy i już nie przypominał szeptu umierającego. — Nakarmiłaś mnie, prawda?

Zamarłam na kilka sekund niczym posąg, a potem spuściłam lekko wzrok. W jego głosie nie było złości, po prostu stwierdził fakt i to zaskakująco łagodnym tonem.

— Kira, powiedz mi — poprosił, mrugając powiekami. — Proszę.

— Zrobiłam to, żeby utrzymać cię przy życiu. Nie będę za to przepraszać. — Moje słowa były niemal buntownicze, jak u naburmuszonej nastolatki rzucającej wyzwania rodzicowi.

— Ale ja nie proszę, żebyś się przede mną kajała. — Zaśmiał się lekko, wyginając usta w uśmiešku, który tak dobrze znałam. — Twoja krew mi pomogła i chyba nie tylko. Mam wrażenie, jakbym... ‘zmienił się’ w pewien sposób.

Przyjrzałam mu się uważnie, jednak wyglądał tak samo jak kiedyś, nie licząc blednących siniaków oraz drobnych blizn na twarzy, które już zaczynały zniknąć.

— Nie chodzi mi o wygląd zewnętrzny, Kira — odparł, widząc, że mu się przyglądam. — Nie wiem, jak dokładnie to opisać. Pewnie odkryjemy konkretne zmiany, kiedy tylko całkowicie wyzdrowieję.

— Na razie najważniejsze jest, abyś solidnie odpoczął. Konsekwencjami mojego czynu będziemy przejmować się potem — rzuciłam stanowczo.

Jak miałam mu powiedzieć o Quentinie, jego planach dotyczących wilkołaków i przede wszystkim planowanej misji, z której mogłam już nie powrócić? Problem ten rozwiązał się sam, przynajmniej w połowie, gdy niebieskie oczy Josepha, poważniejsze i smutniejsze niż kiedykolwiek wcześniej, spojrzały prosto w moje własne.

— Opowiedział mi o wszystkim — zamruczał, nie odwracając wzroku nawet na sekundę. — Kiedy tylko łapałam oddech między kolejnymi ciosami... — przerwał na moment, by się pozbierać — ...opowiadał mi o tym, jak to przejmie

ziemie wilkołaków, a potem zajmie się tobą. — Wzdrygnęłam się na te słowa. — Torturował mnie, cały czas powtarzając, że ucierpi każdy, kto ma zamiar ci pomóc. Chciał mnie zabić, bo powiedziałem, że nie zasługujesz na śmierć z ręki jego czy kogokolwiek innego — dodał ciszej. — Już uznawał mnie za trupa, więc nie było ważne, że zaznajomił mnie ze swoimi planami. Śpiewał jak z nut.

Przypatrywałam się w milczeniu i kompletnym osłupieniu, jak Joseph przerywa całkowicie i zamyka oczy. Ten wampir, zawsze znany mi jako wyluzowany, samotny artysta spędzający swoje długowieczne życie na zabawach i przyjemnościach, bronił mnie przed swoim Mistrzem — Joseph naraził się Quentinowi, bo wierzył, że nie zasługuję, aby umrzeć z powodu czyjejś szalonej, nieuzasadnionej zachcianki.

Wampir zasnął wyczerpany, jednak nie puściłam jego dłoni jeszcze przez dłuższy czas. W moim wnętrzu przelewał się smutek, poczucie winy, a także złość paląca niczym żywy ogień. Ukryłam twarz w wolnej dłoni, drugą trzymając się Josepha niczym swojej osobistej kotwicy.

Wstałam po wielu minutach letargu, odstawiłam krzesło pod okno i bezszelestnie wymknęłam się z pokoju na jasno oświetlony korytarzyk. Oparłam się o zamknięte drzwi, przymykając powieki. Czułam moralny ciężar na moich ramionach, który osiadł na mnie podczas rozmowy z Fleshem, a teraz powoli odrywał się w górę niczym ptak szykujący się do lotu.

Podjęłaś ostateczną decyzję — zamruczała Banshee z lekką nutą żalu w głosie.

Nie odpowiedziałam, powoli otwierając powieki. Wpatrzyłam się w sufit, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu. Powinnam była teraz iść do Sonyi, jednak nogi wydawały mi się ciężkie niczym ołów. Wbiłam więc wzrok w podłogę, oddychając wolno przez nos. Ciszę w domu przerywało jedynie tykanie zegara zawieszzonego na parterze. Tik, tak. Tik, tak.

Niczym mój czas, który powoli nikał w nicości.

Tak, podjęłam decyzję — odpowiedziałam w końcu, odrywając się od drzwi. — *Nikt już nie będzie raniony, ani nie będzie ginąć z mojego powodu. Powróćmy do czasów samotności, Banshee, gdy same przyjmowałyśmy na siebie wszystkie ciosy. Czas, by poświęcić się dla wszystkich, którzy są nam bliscy.*

Usłyszałam dźwięk przychodzącej wiadomości w kieszeni spodni. Wyjęłam komórkę zwolnionym ruchem ręki, wiedząc, co mnie czeka. Gdy moim oczom ukazało się zawiadomienie od Rico, wiedziałam, że pozostało mi zaledwie kilka dni do ostatecznej podróży. Odczytałam wiadomość, dopiero po kilku sekundach w pełni pojmując jej sens:

Mapa jest na twojej poczcie elektronicznej. Są w niej wskazówki i ogólny plan budynku. Liczba strażników mogła się zmienić — codziennie na miejsce przybywają nowe wampiry.

PS. Nie daj się zabić.

Rozdział XIV

~ KIRA ~

Wizyta u Sonyi przyszła mi o wiele trudniej niż sądziłam.

Zapukałam do drzwi i niemal natychmiast zostałam zaproszona do środka. Dziewczyna stała przy oknie z rękoma założonymi na piersiach. Workowaty dres oraz długie, bawełniane spodnie, które jej podarowałam dawały wrażenie, że jest jeszcze kruchsza niż w rzeczywistości. Od momentu, gdy trafiła do mojego domu, szybko przybrała na wadze i powróciła do zdrowia. Jej ranna noga nadal była owinięta bandażami, jednak po ranie pozostała już tylko zaczerwieniona, gruba blizna, która miała przypominać Sonyi do końca życia to, co zrobili jej tamci ludzie. Fakt, że zginęli, nie pocieszał nikogo: ani jej, ani mnie.

Na mój widok jej jasne oczy nieco się rozszerzyły, ale zaskoczenie szybko minęło — widocznie spodziewała się kogoś innego. Odwróciła się w moim kierunku. Gdy podeszła do łóżka, zauważyłam, że lekko utykała. Po rozmowie z Charlottą wiedziałam, że to najlepsze, co mogło czekać ją po tak poważnym urazie.

— Spodziewałaś się Sorena — stwierdziłam otwarcie, zamykając za sobą drzwi.

Kiwnęła lekko głową, przysiadając na krawędzi materaca. Nawet nie próbowała zaprzeczać.

— To nie znaczy, że nie cieszy mnie twoja wizyta. Szczerze mówiąc — Uniosła na mnie wzrok — chciałam z tobą o czymś porozmawiać.

Przyjrzałam się uważniej jej poważnej minie i nieco nerwowym ruchom. Byłam pewna, że stresowała się tym, co miała mi powiedzieć, więc bez zbędnych komentarzy usiadłam obok niej na łóżku, aby jej wysłuchać. Przez moment Sonya jedynie bawiła się rękawami dresu, a potem odetchnęła głęboko, szykując się do rozmowy.

— Jestem ci niezmiernie wdzięczna, że mnie uratowałaś — powiedziała. — Potem jeszcze przyjęłaś mnie pod swój dach i wyleczyłaś. To o wiele więcej niż się spodziewałam. Nie znasz mnie i równie dobrze mogłaś mnie zostawić albo wyrzucić tuż po tym, jak opatrzyłaś moje rany. Albo nawet nie...

— Nie gadaj głupstw — przerwałam jej spokojnym, mocnym głosem. — Nikt z magicznych nie powinien zostać tak okaleczony i zamęczony jak ty przez tamtych ludzi. — Spojrzałam na nią. — Może ktoś inny by się tobą nie przejął, ale na pewno nie ja.

Kiwnęła powoli głową, jakby spodziewała się, że coś takiego powiem.

— Może nie wiem o tobie dużo, jednak jestem pewna, że nie zostawiłabyś nikogo w tamtym miejscu, nawet nie magicznej istoty. — Obliznęła wargi, szukając

dalszych słów. — Tak czy owak, za dużo czasu zabawiłam u ciebie. Zdaje się, że powinnam teraz, już po odzyskaniu zdrowia, wyruszyć w drogę.

— Pragniesz mi powiedzieć, że chcesz odejść — stwierdziłam, powstrzymując nutkę smutku, która chciała wkraść się do mojego głosu.

Świadomość, że Sonya chciała opuścić miasto, była przytłaczająca. Gdy tylko odkryłam, że jest podobna do mnie, niemal mechanicznie podpięłam ją do mojego światła, do garstki ludzi, którzy się dla mnie liczyli. Jej rodzice nie żyli, została porwana i wywieziona z miasta, w którym żyła przez te wszystkie lata. Nie zostało jej nic, tak jak mnie, kiedy byłam mała. Jednak mimo tego, chciała odnaleźć własną drogę, odszukać to, czego pragnęła, mimo że nie potrafiła tego nazwać konkretnymi słowami. Rozumiałam to całkowicie.

— Muszę... — Zamilkła, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów.

— Wiem. — Uśmiechnęłam się lekko, dodając jej otuchy. — Pomogę ci spakować wszystko co niezbędne. Dam ci także trochę pieniędzy, żebyś mogła o siebie zadbać, zanim dotrzesz tam, gdzie pragniesz.

Otworzyła szerzej oczy, wpatrując się we mnie zaskoczona.

— Ale... — zająknęła się. — Nie jesteś zła? Myślałam, że...

— Rozumiem, dlaczego chcesz odejść — odparłam, przerywając jej. — Nie jestem zła. Pomogę ci najlepiej, jak potrafię do momentu, gdy wyruszysz przed siebie. Do tego czasu proś mnie o to, co mogę ci zapewnić.

Spojrzała na mnie z taką wdzięcznością, że niemal poczułam ją na skórze. Dłoń Sonyi powędrowała do mojej w życzliwym geście. Miała na twarzy ciepły uśmiech, lecz kiedy dotknęła mojej ręki, natychmiast znikł. Chwyciła mnie za nadgarstek z ogromną siłą, mając wyraz twarzy tak bolesny, jakbym zraniła ją nożem. Jej tęczyki zajaśniały bielą, a usta otworzyły się szeroko, jakby chciała chwycić oddech, ale nie mogła. Zaciśnęła powieki i puściła mnie równie nagle, jak mnie chwyciła. Odsunęła się nieco, sapiąc niczym po długim biegu. Obserwowałam ją zaniepokojona. Uspokoila się po kilkunastu sekundach, jednak pozostała blada jak ściana. Moja skóra w miejscu gdzie mnie dotknęła była zimna jak lód.

Jej spojrzenie spoczęło na mojej twarzy. W jej oczach malował się taki żal, że na moment mimowolnie wstrzymałam oddech.

— Podjęłaś już ostateczną decyzję, prawda? — zapytała bardzo bliska łez.

Przez chwilę nie mogłam pojąć, co takiego miała na myśli. Gdy zorientowałam się, o czym dokładnie mówiła, niemal zachłysnęłam się powietrzem. Poczułam się sztywna i bez życia, niczym tekturowa podobizna samej siebie.

— Skąd o tym wiesz?

Odwróciła wzrok.

— Mój ojciec był zmiennokształtnym — odparła cicho. — Odziedziczyłam

po nim wiele, jednak matka także coś mi podarowała. — Potarła zaczerwienione oczy. — Była elfem.

Dopiero teraz zrozumiałam. Tak mieszane dziedzictwo nie było spotykane lub było niezwykle rzadkie. Fakt, że Sonya odziedziczyła nie tylko zwierzęcą postać, ale także dar widzenia, było jeszcze bardziej niezwykle. Jednak myśl, że dziewczyna dowiedziała się o moim planie napadu na bazę Quentina oraz jego armii była bardzo niepokojąca.

— Co dokładnie widziałaś?

Zmrużyła powieki, wysilając swoją pamięć.

— Moje wizje nie są silne tak jak u mojej matki, mam za mało doświadczenia oraz mocy. Widziałam coś, ale nic wyraźnego. — Wzdrygnęła się mocno, jakby przeszyta lodem. — Ale wiem, że jeśli tam pójdziesz... zginiesz.

Ponownie zwróciła na mnie bolesne spojrzenie. Nie wiem dlaczego, ale poczułam głęboki spokój, jakby jej słowa były falą, która zmyła ze mnie cały niepokój oraz strach. Już wiedziałam, co takiego mnie czekało. Nie musiałam czekać na odpowiedź, bo Sonya właśnie mi ją podarowała.

— Wybrałam to, co uważam za słuszne. — Chwyciłam jej dłoń, tak jak ona chciała to wcześniej zrobić względem mnie. — Nie zmieniaj swoich planów. Poczekam ze swoimi zamiarami, aż ruszysz w podróż. I nie mów nic moim towarzyszom — poprosiłam, patrząc jej w oczy. — Musisz mi obiecać, że nic im nie powiesz. Nie mogą za mną pójść.

Wahała się, przyglądając się mojej twarzy.

— Obiecuję — wyszeptała cichym głosem. — Jednak nie myśl, że będzie to dla mnie łatwe.

Tym razem łzy popłynęły po jej policzkach. Przytuliłam ją, tłumiąc własne emocje. Od teraz musiałam być spokojna, panować nad sobą. Nikt nie mógł się domyśleć, że coś planowałam. Byłam pewna, że Sonya dotrzyma danego mi słowa.

— Chcesz iść z nami na trening watahy? — zapytałam spontanicznie, uśmiechem dodając jej otuchy.

Otarła mokre policzki i spojrzała na mnie zdziwiona, ale i zaciekawiona. Zmiana tematu oderwała jej myśli od ponurej wizji.

— Jesteś pewna, że mogę?

— Tak. Jeden z wilków zaproponował, bym przyprowadziła swoich przyjaciół. — Przełknęłam to drobne kłamstwo i pokiwałam głową. — Na górze mam rannego przyjaciela i chcę, żeby także z nami poszedł, ale nie wiem, czy da radę. Pójdę do niego i sprawdzę dokładnie, jak się czuje. Wyjedziemy około osiemnastej. Ubierz się ciepło. Zrobię dla nas jakieś jedzenie, posiedzimy tam kilka godzin.

— Wilkołaki nie przygotowują jakiegoś poczęstunku? — zapytała. — Powinni coś zapewnić, skoro to dla nich się tam pojawiacie.

— Cóż, one wolą świeże jedzenie — powiedziałam, lekko wzruszając ramionami. — Jeśli oczywiście rozumiesz, co takiego mam na myśli.

Błysnęłam złotymi oczami wilka. Kiwnęła głową, szybko pojmując aluzję. Nie musiałam jej opisywać, jak wilki w przerwie od treningu biegną do lasu, by zapolować na świeże mięso. I nie musiałam także dodawać, jak bardzo za każdym razem miałam ochotę zrobić to samo co one.

Zostawiłam ją samą i z powrotem poszłam do pokoju Josepha. Przebudził się minutę po tym, jak pojawiłam się obok — zupełnie jak wcześniej. Jakby wyczuwał mnie nawet wtedy, gdy spał. Spojrzał na mnie spod ciężkich powiek.

— Podarowałam ci to raz i podaruję znowu — wyszeptałam, podwijając rękaw i odsłaniając bladą skórę. — To ci pomoże szybciej stanąć na nogi. Chcę cię z kimś poznać dziś wieczorem i musisz mieć na to wystarczająco sił.

Wampir przyjrzał się mojemu nadgarstkowi z błyskiem w oku, ale nie uczynił żadnego, nawet najmniejszego ruchu w moim kierunku.

— Jesteś tego pewna? — Słyszałam w jego głosie wahanie, ale także ledwie skrywany głód. — Wcześniej podarowałaś mi krew, bo umierałem. Ale teraz... nie masz potrzeby...

— Chcę to zrobić, Joseph — przerwałam mu, gdy w moim głosie zagrzmiała także Banshee, nadając mu basowego wydźwięku. — Obydwe tego chcemy. Po prostu pij.

Podsunęłam mu nadgarstek pod sam nos. Jego kły błysnęły w półmroku, a potem wgrzyły się z cichym mlaśnięciem w miękką, jędrną skórę. Z każdym wyraźnym przełknięciem podnosił się na poduszkach, aż w końcu bez problemu usiadł i otoczył moją rękę palcami po obydwu stronach rany. Pozwoliłam mu pić przez chwilę i już chciałam go odsunąć, jednak niespodziewanie sam uniósł głowę, odrywając się od swojego posiłku.

Jego oczy lśniły srebrem, a jasne wargi lśniły świeżą krwią. Oblizwał je powoli, wpatrując się we mnie i powoli uspokajając szybki oddech. Jego ciało odzyskało siły w zaskakującym tempie, a w oczach pojawił się przytomniejszy, czysty i inteligentny blask, który pozostawał dotychczas przytłumiony przez ból.

Zabrałam dłoń z jego uścisku i przyjrzałam się jego bandażom. Jeszcze było za wcześnie, by się ich pozbyć, chociaż rany na twarzy zaczęły zanikać, aż jego policzki ponownie były gładkie i blade.

— Dlaczego? — zapytał cicho, nie spuszczać ze mnie wzroku.

Jego lekko ochrypty głos, nienaturalnie spokojny, w pewien sposób mnie ukoił. Teraz, gdy był bardziej skupiony, powtórzyłam mu powody, dla których chciałam, by dzisiaj miał siły, by samodzielnie stać na nogach.

— Chcę cię dzisiaj gdzieś zabrać — odparłam, otaczając ranę od kłów palcami i zakrywając krew. — Jest pewien wilkołak, który pilnował cię w rezydencji, gdy ja pojechałam po pomoc. Dzisiaj będziesz miał szansę mu za

to podziękować. Osobiście.

Wstałam z łóżka. Wampir uniósł brwi w zdziwieniu, słysząc moje oświadczenie.

— Wilkołak pomagający wampirovi? — W jego głosie słyszałam nutkę niedowierzania, ale także i humoru. — To się raczej rzadko zdarza, zwłaszcza w tym mieście i w tych okolicznościach.

— Przyszedł na moje wezwanie, mimo istotnego faktu, że mi nie ufał.

— A teraz ci ufa?

Odwróciłam na moment wzrok.

— Przekonamy się o tym, prędzej czy później. Wstawaj — powiedziałam, wyciągając do niego swoją nienaruszoną dłoń. — Ruszamy już niedługo. Przed tym chcę cię komuś przedstawić.

— Dość dużo dzisiaj osób do poznania — zamruczał wampir z uśmiechem, jednocześnie mocno chwytając moje palce. — Mam nadzieję, że zdołam utrzymać się na nogach na tyle długo, żeby dopełnić wszelkiej etykiety.

Podciągnął się na materacu i postawił stopy na dywanie. Zachwiał się lekko, jednak bardziej niczym żrebak uczący się chodzić niż ktoś, kto nie dalej jak kilka godzin wcześniej był na granicy śmierci. A raczej jedną nogą po drugiej stronie i brakowało susa, by przeniósł się do zaświatów w przeciągu chwili. Podtrzymałam jego ramię, lecz po minucie zdołał ustać sam. Był w zaskakującej formie i to zaledwie po jednej, świeżej dawce mojej krwi. Zmiana była tak szybka i doskonale widoczna, że przypatrywałam się Josephowi z pewną konsternacją. Wampir sam był zdziwiony i poruszał palcami, ramionami oraz szyją z podnieceniem błyskającym w oczach. Skrzywił się lekko, gdy bandaże naciągnęły się na gojących się ranach, jednak szybko się pozbierał. Jego ciało nadal było poobijane i sponiewierane, jednak nie wyglądał źle.

— Kiedy moja krew przestanie działać, ktoś z moich towarzyszy zabierze cię z powrotem do domu — powiedziałam, obserwując go uważnie. — Jeśli osłabiesz, natychmiast mnie zawiadom. Jeśli twoje rany ponownie się otworzą, twój stan znowu się pogorszy, a tego nie chcę.

— Powiem, jeśli poczuję się gorzej — zapewnił, przeciągając się lekko, by nie uszkodzić opatrunków. — Rozumiem, że mam pójść w takim stanie?

Przyjrzałam się jego nagiemu torsowi w bandażach oraz zakrwawionym spodniom, w których znalazłam go w piwnicy rezydencji.

— Pomyślałam o tym. — Wskazałam mu niewielki stos ubrań w rogu pokoju. — Flesh wrócił do twojego domu i zabrał trochę twoich rzeczy. Nie możesz przedstawić się miejscowej watasze wilkołaków półnagi i we krwi, prawda?

Odwróciłam się, ale nie na tyle szybko, by nie zobaczyć blednącej twarzy Josepha. Uśmiechnęłam się pod nosem tak, by tego nie zobaczył.

— Wataha? Mam się pojawić przy całej watasze? — Wampir poruszył się, jakby chciał za mną ruszyć. — Zwariowałaś, Kira? Sytuacja w mieście jest na tyle napięta, że wilki na pewno będą chciały zjeść mnie na przystawkę. Uratowałaś mnie po to, żeby podać mnie wilkołakom na srebrnej tacy?

— Nowy wilk Beta sam zaproponował, bym przyprowadziła cię na zebranie stada. Wraz z moimi towarzyszami trenuję wilkołaki przed walką z armią Quentina. Zabiorę cię na wieczorne ćwiczenia. Nie martw się, nie stanie ci się nic złego z ręki żadnego miejscowego wilka, zapewniam cię.

— Nowy wilka Beta? — Joseph zmarszczył lekko jasne brwi. — Co się stało z poprzednim, bratem Samuela?

Patrzyłam na niego nieruchomo przez kilkanaście długich sekund, zanim na moich ustach pojawił się zimny, beznamiętny uśmiezek.

— Z Edwardem? — Zaśmiałam się pod nosem. — Sporo cię ominęło, wampirze. Edward nie żyje. To ja go zabiłam.

Rozdział XV

~ KIRA ~

Droga na gruzowisko ciągnęła się w ciszy. Siedzący na tylnym siedzeniu Joseph oraz Sonya wlepiali wzrok w okna i milczeli, Amelia na siedzeniu pasażera wsłuchiwała się w grające cicho radio, a na pace na zewnątrz tkwił Flesh oraz Silvyr, także pogrążeni w ciszy i szumie wiatru. Frederic i Charlotta mieli dojechać na miejsce motorem, tak jak zawsze.

Zapoznanie Sonyi z Josephem przebiegło ciekawie — dziewczyna ponownie miała wizję, poznałam to po wzroku, jaki miała w momencie, gdy wampir podał jej dłoń. Uścisnęła ją z nieobecnym wyrazem twarzy, a potem posłała mu uśmiech okraszony iskrami lśniącymi w jasnych oczach. Cokolwiek zobaczyła w jego przyszłości, było to coś pozytywnego. Korciło mnie zapytać o szczegóły.

Zawiadomiłam Aidana telefonicznie, że przyprowadzę na trening Josepha oraz Sonyę, moją podopieczną. Wilkołak jedynie zamruczał do słuchawki i zapewnił, że Alfa nie będzie robił problemów. Jakkolwiek Beta załatwił tę sprawę z Samuelem, miał pewność, że samiec zaakceptuje obecność kolejnych obcych na treningu watahy. Cieszyło mnie, że nie będę musiała klócić się z Alfą o taką drobnostkę.

Na gruzowisku zebrało się już niemal całe stado i hałasowało wniebogłose. Maluchy biegały dookoła i goniły się po całym terenie w obrębie dorosłych, dokazując głośno, śmiejąc się oraz wyjąc niczym młode szczeniaki. Dawid oraz inne nastolatki zebrały się nieco z boku, dyskutując o czymś zawzięcie. Samuel, Katherine oraz Aidan wraz z innymi starszymi wilkami stali w pobliżu światła, rozmawiając między sobą. Gdy tylko zbliżyłam się wraz z towarzyszami, Alfa skierował na mnie swoje spojrzenie. Aidan także to zrobił, chociaż jego wzrok szybko powędrował ze mnie wprost na Josepha i zmierzył go od stóp do głów. Wampir, ubrany w ciemne dresy, wyglądał na bladego i mizernego, ale trzymał się w pionie, co rusz przeczesując jasne loki palcami.

Katherine spojrzała na Sonyę oraz Josepha i uśmiechnęła się ciepło — jej twarz rozjaśniła się niczym okraszona płomieniem świecy, otulając młodych ciepłem.

— Witajcie, moi drodzy. — Dotknęłam ich ramion niezwykle energicznie. — Przysiadźcie z boku, kiedy reszta będzie trenować. Przyda mi się towarzystwo, samemu można się zanudzić. — Poglaskała się po wydatnym brzuchu i wskazała miejsce z boku.

Sonya powędrowała za nią, rzucając mi przez ramię nieco nerwowe spojrzenie. Joseph oraz Aidan zmierzyl się wzrokiem. Nie wyczułam między nimi agresji ani zdenerwowania, raczej chęć poznania. Pchnęłam wampira ramieniem na

tyle lekko, by wyglądało to jedynie na przypadek. Spojrzałam mu w twarz kątem oka.

— Porozmawiajcie na osobności, w spokoju. Reszta stada będzie zajęta, więc nie będzie wam przeszkadzać.

— Ale... — Wampir znowu zerknął w kierunku Aidana. — Ja...

— Idź do niego. Zajmę się swoją grupą, a moi koledzy także przystąpią do działania. Macie czas dla siebie. Tylko pamiętaj, Joseph — Uniosłam ostrzegawczo palec — że jeśli poczujesz się gorzej, masz mi o tym powiedzieć. Zrozumiano?

Pokiwał twierdząco głową. Gdy odeszłam, ruszył w kierunku wilkołaka. Obydwaj, jakby zsynchronizowani, podążyli w cień drzew z daleka od gwaru watahy. Uśmiechnęłam się pod nosem i ruszyłam z katanami w rękach do swojej grupy.

Nie wiedziałam, o czym Beta chciał porozmawiać z Josephem i mimo ogromnej chęci, aby podsłuchać ich chociaż przez moment, powstrzymałam się przed tym. Sonya siedziała w towarzystwie Katherine pogodna i rozluźniona, jednak zauważyłam ukradkowe spojrzenia, które rzucali jej młodzi członkowie stada, w tym także pyskaty Dawid. Młode samce okazywali zainteresowanie jedynie z daleka, krążąc w pobliżu i popisując się między sobą. Jeśli Sonya zauważyła, że chłopcy prężą się przed nią, by się popisać niczym pawie rozkładające barwne ogony, nie zareagowała w żaden sposób. Te szczeniackie zaloty wydawały mi się wyjątkowo zabawne.

Wilkołaki ćwiczyły właśnie w parach sparingi, kiedy ja przykucnęłam z boku, aby pogrążyć się w myślach. Wpatrywałam się w walczące wilki, jednak przed oczyma miałam jedynie mapę, którą Rico wysłał na moją pocztę. Czułam się, jakbym ponownie wbijała wzrok w plan ogromnego kompleksu ukrytego w górach, gdzie w środku niczym w norze pająka, czekała zabójcza armia nowonarodzonych wampirów trzymana w ukryciu przed światem. Armia, która miała wyruszyć na wilkołaki już niedługo, jeśli ktoś jej nie powstrzyma.

Mój plan był całkiem prosty, a jednocześnie piekielnie trudny — musiałam dostać się w pobliże kryjówki, zabić strażników, a potem zostawić w środku kompleksu zabójczą niespodziankę dla wampirów. Miałam sposób, by zdobyć ładunek wybuchowy idealny do zniszczenia kryjówki, jednak wniesienie bomby do betonowego labiryntu pełnego nowonarodzonych było planowanym samobójstwem. Szanse na to, że miałam wrócić na zewnątrz cała w czas, by uciec z terenu narażonego na zniszczenie i to przed tym, jak dobiorą się do mnie krwiopijcy, były nikłe lub raczej zerowe.

Zupełnie, jakby czytała w moich myślach, Sonya skierowała na mnie spojrzenie swoich lodowych oczu. Odwzajemniłam je, jednak tylko przez kilka sekund. Byłam pewna, że dziewczyna nie wyda mnie przyjacielom, jednak obawa pozostawała w głębi umysłu, głęboko na dnie podświadomości.

Kiedy ucichły odgłosy szarpania i siłowania się, natychmiast wybudziłam się z transu. Uniosłam głowę i zerknęłam w kierunku swojej grupy wilkołaków, które gwałtownie przerwały swój trening. Wszystkie głowy zwróciły się w kierunku drogi prowadzącej na gruzowisko.

Podniosłam się na nogi. Moi towarzysze oderwali się od swoich zajęć i spojrzeli na mnie zaniepokojeni. Poczułam w gardle gulę, która ścisnęła mi tchawicę. *Czyżby atak się zaczął?*, pomyślałam mimowolnie. *Nie, to niemożliwe. Wyczułabym zbliżającą się armię.*

Wpatrzyłam się w mrok. W powietrzu uniósł się trzepot skrzydeł, a także lodowaty podmuch, który wywołał wśród wilkołaków niewyobrażalny szum oraz gwar. Szczeniaki kryły się za rodzicami szykującymi się do obrony stada. Samuel wyszedł naprzód, oczekując wroga. Z boku widziałam Aidana zasłaniającego ramieniem pobladłego Josepha opierającego się o pień drzewa. Przypuszczałam, że dawka mojej krwi, którą napiłam go przed wyjściem z domu, traciła już swoją moc, ale musiałam się tym zająć później.

Soren wyłonił się z ciemności niczym duch. Jego ogromne, skórzaste skrzydła zamłóciły w powietrzu, gdy wylądował tuż przede mną w podmuchu lodowatego wiatru. Wilki na jego widok warknęły przeciągle, szczerząc groźnie kły. Niektóre wilkołaki zmieniały formę, starając się okrążyć mnie oraz intruza szerokim kołem niczym podczas polowania. Demon to zignorował i wbił we mnie pociemniałe spojrzenie.

— Zdaje się, że impreza odbywa się beze mnie — zamruczał pod nosem, nadal nie zwracając uwagi na coraz bardziej rozeźlone stado.

— Co ty wyprawiasz, do cholery? — warknęłam cicho, kątem oka śledząc krążące wokół wilki, w tym także samego Alfę.

— Zabrałaś ją spod mojego nosa i nawet nie raczyłaś mnie o tym powiadomić — wysyczał z beznamiętną miną, choć w jego oczach czaiła się złość.

Musiałam zastanowić się nad jego słowami, zanim zrozumiałam. Spojrzałam na niego z niedowierzaniem, powstrzymując śmiech, który cisnął mi się na usta jednocześnie z najróżniejszymi przekleństwami, którymi chciałam go obsypać.

— Robisz całe to widowisko z powodu Sonyi? — zapytałam na tyle cicho, by żaden z moich towarzyszy, w tym także sama dziewczyna mnie nie usłyszeli. — Właśnie narażasz nas wszystkich, w tym także ją, pojawiając się tutaj niczym anioł zemsty. Stado jest podenerwowane i bez tego. — Odetchnęłam głęboko. — Poza tym, nie musisz ci się meldować.

— Ona jest pod moją ochroną — wymruczał zimnym głosem, zbliżając się do mnie. — Powinnaś była zawiadomić mnie o tej wycieczce na zgromadzenie wilków.

Przyjrzałam mu się w milczeniu. U mojego boku nagle pojawił się Flesh. Skrzydła Sorena minimalnie drgnęły, jednak nie zaszczyił on mojego towarzysza

ani jednym spojrzeniem. Warkot stada stopniowo narastał, tak samo jak zmniejszał się dystans między nim, a nami. Musiałam to przerwać, wyjaśnić całą sytuację.

Aidan nie ruszał się ze swojego miejsca, osłaniając swoim ciałem Josepha, jednak widziałam w jego oczach chęć walki. *Uwierzył, że umyślnie sprowadziłam na stado niebezpieczeństwo*, pomyślałam nagle olśniona. Z Bety wyrwał się wilk, jednak nie chciał opuścić osłabionego wampira.

Poczułam ukłucie złości. Spojrzałam na Sorena zimnym, drapieżnym wzrokiem. Banshee nie miała pytań ani najmniejszej ochoty na rozmowy — była gotowa do ataku.

— Narażasz moje stosunki ze stadem — zasyczałam przez zaciśnięte zęby. — Zbyt rozpanoszyłeś się na moim terytorium, Soren. Pozwoliłam ci zostać i zawarłam z tobą niepisany sojusz, ale nie będę tolerować takich wyskoków.

— Nie boję się ciebie, wilczyco — odparł demon, wbijając we mnie wzrok. — To ty tutaj zawiniłaś i naraziłaś nasz sojusz. A poza tym, w gwoli ciekawości, to raczej już nie jest twoje terytorium, zgadza się?

Kątem oka za żywą ścianą przemienionych wilków, zauważyłam Sonyę. Wysunęła się do przodu, jednak wilkołaki uniemożliwiały jej przejście. Rzuciła mi nerwowe spojrzenie, jednak w jej oczach załśniło także coś oprócz strachu.

Banshee zawyla pod moją skórą. Jej energia ociepliła powietrze dookoła. Przemiana dokonała się tak szybko, że Flesh oraz Soren odskoczyli na boki. Moje ubranie opadło w strzępach na śnieg. Szarpnęłam się, by pozbyć się z grzbietu resztek porwanego materiału. Łapy zapadły mi się w płytkim śniegu, gdy zwróciłam potężny łeb ku intruzowi. Obnażyłam kły, wpatrując się w niego złotymi oczyma.

Zdawało się, że całe stado wstrzymało oddech, tak samo jak Sonya oraz moi towarzysze. Aidan pobladł, mierzając spojrzeniem moją wilczą formę. Soren rozłożył skrzydła na boki, lustrując mnie wzrokiem. W jego oczach coś błysnęło, po czym zgasło tak szybko, że nie zdołałam tego w żaden sposób zinterpretować. Gdy zrobiłam krok do przodu, wilkołaki rozpierzchły się niczym spłoszone owce, jednak nie odpuściły całkowicie bojowego szyku. Samuel krążył najbliżej mnie, jakby chciał w razie otwartego ataku ochronić swoim ciałem resztę wilków.

— Radzę ci opuścić ten teren — odezwał się Flesh, zbliżając się do mnie z boku bez cienia strachu. — Narobiłeś wystarczająco dużo zamieszania.

Soren uśmiechnął się krzywo i poruszył ramionami, jakby szykował się do walki. Warknęłam przeciągle, nie wysilając się, by ostrzec go po raz kolejny. Zaryłam pazurami w zamarznętej ziemi, tworząc w nim bruzdy niczym niedźwiedź.

— Przestańcie, proszę! — Głos Sonyi ledwie przebił się przez warkot watahy oraz mój własny. — Soren, nic mi nie jest. Nie powinieneś być tutaj

przychodzić.

Nie spojrział na nią, jednak na dźwięk jej głosu jego głowa drgnęła, pozostał jednak niewzruszony.

— Odejdę, kiedy zechcę.

Chciałam się odezwać, ale właśnie wtedy Sonya opadła na kolana, chwytając się za głowę. Stojąca obok niej Katherine podbiegła do niej, ale nie dotknęła jej. Coś w wyrazie jej twarzy powiedziało mi, że się przestraszyła. Czułam fale energii płynące od dziewczyny, te same, które poczułam w domu, gdy złapała mnie za rękę i zobaczyła moją przyszłość. Sonya miała kolejną wizję.

Soren wyglądał, jakby chciał do niej podbiec, ale powstrzymałam go, tarasując mu drogę. Chciał zaprotestować, a może nawet usunąć mnie z drogi siłą, jednak powstrzymał go dotyk Flesha. Mój towarzysz był zaniepokojony, ale panował nad emocjami. Soren nie poruszył się, ale niemalże rwał się do działania.

Wilki przepuściły mnie, robiąc mi przejście między sobą. Znalazłam się przy Sonyi i Katherine. Samica Omega uniosła wzrok i spojrzała na mnie ze strachem w oczach, jednak była to oznaka troski o dziewczynę, a nie obawy przede mną. Usiadłam na ziemi, a potem położyłam się na brzuchu tak, by móc spojrzeniem dosięgnąć twarzy dziewczyny. Kaskada jej ciemnych włosów uniemożliwiła mi ujrzanie jej oczu.

W pewnym momencie Sonya chwyciła palcami futro na mojej szyi tak gwałtownie, że niemalże podskoczyłam, wbijając pazury w śnieg. Żrenice dziewczyny były ogromne, a twarz jedną maską przerażenia. Bijąca od niej moc elektryzowała mi futro i sprawiała, że czułam mrowienie w kończynach.

— Co się stało? — zapytałam wilczym głosem. — Co zobaczyłaś?

Jeśli przestraszyła się mojego tonu płynącego z wilczego gardła, nie okazała tego. Wbiła we mnie spojrzenie jaśniejących oczu. Jej ciało drżało z bólu.

— Wiem, kiedy to się zacznie — wyszeptała tak cicho, że musiałam zastrzyc wilczym uchem. — Wiem, kiedy rozpocznie się ostateczna bitwa.

Soren, już bez dalszych kłótni i dyskusji, zabrał Sonyę z powrotem do mojego domu. Wilki, nieco uspokojone, zażądały wyjaśnień zaistniałej sytuacji. Wytlumaczyłam, że znam tego, który zakłócił spokój na ich terytorium i że nie ma czego się obawiać. Musiałam zapewnić, że nie był to sługa Quentina ani żaden zabójca, którego wynajęłam, by zajął się szeregami watahy. Samuel mi uwierzył, jednak patrzył na mnie mniej przychylnym okiem niż wcześniej. Przeklinałam demona w myślach.

— Porozmawiam z Sonyą, kiedy skończymy trening — powiedziałam towarzyszom. — Powinna odpocząć. Poproszę ją potem, by opowiedziała mi swoją wizję. Jeśli wie, kiedy rozpocznie się atak wampirów, dowiem się tego.

— To nam pomoże przygotować się do walki — mruknął Silvyr. — Armia Mistrza nas nie zaskoczy, jeśli poznamy dzień planowanego ataku.

Pokiwałam twierdząco głową. Zostawiłam znajomych samych i powędrowałam w stronę Josepha. Wampir siedział od dziesięciu minut na ziemi tyłem oparty o pień drzewa i oddychał głęboko z zamkniętymi oczyma. Aidan stał przy nim niczym strażnik. Na mój widok Beta uniósł wzrok i wbił go we mnie niczym sztylet. Zignorowałam jego niechęć.

Ukucnęłam przed wampirem.

— Joseph? — Usłyszał mnie i otworzył oczy. — Zabiorę cię do domu. Powinieneś odpocząć.

Spojrzał na mnie spod jasnych rzęs. Jego oczy były zamglone od bólu, ale przytomne i czyste.

— Masz sporo pracy — odparł pod nosem, uśmiechając się blado. — Nie przejmuj się mną. Dam sobie radę.

— Myślisz, że w ten sposób zostawię cię w spokoju? — Uniosłam brew. — Jesteś ranny i powinieneś już wrócić. Dawka mojej krwi przestała działać i twoje rany mogą ponownie się otworzyć. Charlotta wiele się napracowała, żeby poskładać cię w całość. Chcesz to zniweczyć?

— Nic mi nie jest.

— Kłamiesz — odparłam swobodnie. — Poczekaj tutaj. Flesh odstawi cię do domu, a ja porozmawiam z Alfą.

Na dźwięk imienia demona Aidan drgnął. Joseph pokiwał potulnie głową i ponownie przymknął powieki. Odgarnęłam mu z czoła złociste loki, a potem wstałam z klęczek. Czułam emanującą od Bety energię wilka.

Odwróciłam się i ruszyłam z powrotem do moich przyjaciół. W połowie drogi palce Aidana zacisnęły się na moim ramieniu niczym stalowe kleszcze. Zatrzymałam się i odwróciłam głowę, aby na niego spojrzeć.

— Puść mnie, Aidan.

— Czym oni są? — zapytał cicho głosem drżącym od gniewu. — Co to za bestie?

Wiedziałam doskonale, o czym mówił, a raczej o kim. Nie poruszyłam się, ani nie odwróciłam wzroku od jego wzburzonej twarzy.

— To nie jest odpowiedni czas, ani miejsce, żeby o tym rozmawiać.

— Jesteś mi winna wyjaśnienie — warknął. — Mnie oraz całemu stadu. Narażasz nas na niebezpieczeństwo, przyprowadzając na nasze terytorium te potwory.

— Potwory? — Obróciłam się przodem do niego, bez problemu uwalniając ramię z uścisku jego palców. — Nie masz prawa tak ich nazywać, nie w mojej obecności. Flesh i Soren, niezależnie od swojego pochodzenia, są po mojej stronie. Flesh pomaga stadu tak samo jak ja. Zważaj na słowa, bo obrażasz teraz swoich

sojuszników.

— Nie będę przepraszać za swoje słowa — odparł gniewnie Aidan. — Nie możesz wiecznie ukrywać tego, czym oni są.

— Nie mam takiego zamiaru — rzuciłam. — Wyjaśnię wszystko, ale nie teraz. Teraz najważniejsza jest nadchodząca bitwa. Sonya, moja podopieczna, zobaczyła w swojej wizji czas walki, więc muszę teraz zadbać, aby wszyscy, którzy muszą, poznali dokładną datę ataku. Wtedy lepiej przygotujemy się do starcia i nie damy się zaskoczyć.

Odsunęłam się o od niego o krok.

— Nadal pragniesz pokazu mojej siły? — zapytałam ze złośliwym uśmiechem drapieźnie rozciągającym usta. — A może moje wcześniejsze wystąpienie, niestety nieprzewidziane w repertuarze, zupełnie ci wystarczy?

Zacisnął zęby tak mocno, że usłyszałam ich nieprzyjemny zgrzyt. Uśmiechnęłam się jeszcze szerzej, obróciłam się i już nie niepokoiona przez nikogo zostawiłam go samego.

Poprosiłam Flesha, żeby zajął się przetransportowaniem Josepha do domu. Demon pokiwał głową i ruszył, żeby spełnić zadanie. Dałam mu kluczyki od mojego samochodu. Reszta moich towarzyszy toczyła cichą rozmowę, czując na sobie spojrzenia watahy. Wilki obserwowały wszystkich, tak samo i mnie. Samuel stał obok Katherine niemal czerwony na twarzy. Na mój widok zmarszczył brwi, jednak nie odezwał się uspokojony obecnością swej partnerki. Musiałam kiedyś zafundować Katherine czekoladki i bukiet kwiatów za to, że wiele razy powstrzymała męża od wybuchu z mojego powodu. Samica rzuciła mi chmurne spojrzenie, ściskając Alfę za dłoń.

— Wybaczcie wtargnięcie tego idioty. — Nazwanie potężnego, starożytnego demona idiotą nie było rozsądne, ale miałam nadzieję, że nikt o tym nie doniesie Sorenowi. — Nie zaprosiłam go tutaj, ani nie naslałam, żeby zaatakował stado, wbrew wszelkim podejrzeniom. — Niemalże pozwoliłam spojrzeniu powędrować ku Aidanowi obserwującemu nas z daleka. — To była niespodziewana wizyta. Dla nas wszystkich.

Alfa zmrużył powieki, taksując mnie wzrokiem.

— Trzymaj wszystkich swoich nowych znajomych z daleka od stada. Ci, którzy nie biorą udziału w treningu, niech nie naruszają naszego terytorium.

— Osobiście zajmę się tym, żeby to się nie powtórzyło — zapewniłam. — Wynikła z tego jedna dobra rzecz. Moja podopieczna miała wizję, w której zobaczyła dzień rozpoczęcia bitwy. Zapytam ją o to i dowiem się dokładnie, kiedy wampiry będą chciały zaatakować watahę.

Na te słowa Alfie błysnęły oczy.

— Ruszaj więc. Dość na dzisiaj treningu dla wilków. Spotkamy się jutro wieczorem. Przekazesz wszystkim datę planowanej walki.

— Ja? — Spojrzałam na niego zaskoczona. — Sądzę, że ty powinieneś to zrobić. Wataha nie pała do mnie sympatią. Ty jesteś ich przywódcą i to ty musisz przekazać im te ważną informację.

— Nie obchodzi mnie, czy moje wilki cię lubią — powiedział stanowczym głosem. — Pomagasz nam i dzisiaj udowodniłaś mi, że jesteś po naszej stronie.

— A co takiego zrobiłam?

— Stałaś murem za stadem — odpowiedział, łagodniejąc. — Nie każdy potrafi to docenić, ale ja na pewno. A to moje słowo jest tutaj najważniejsze.

Przesunęłam wzrok z niego na Katherine. Samica Omega uśmiechnęła się otwarcie, kiwając lekko głową. Zobaczyłam w ich oczach akceptację, której się nie spodziewałam. Usłyszałam lekki szum w uszach. Banshee podniosła łeb równie zaskoczona co i ja. Przełknęłam ślinę. Miałam ochotę skłonić głowę na znak szacunku — tak zrobiłby inny wilk na moim miejscu. Uległy wilk. Jednak ja tak nie potrafiłam. Nie chodziło o moje poczucie władzy, a raczej o misję, którą musiałam wypełnić przed planowaną datą rozpoczęcia walki. Nie mogłam teraz nieoficjalnie stać się prawdziwym sojusznikiem stada, a może nawet jego częścią. Po prostu nie mogłam.

— Rozumiem — mruknęłam pod nosem. — Wybaczcie, ale muszę już ruszać.

Katherine i Samuel zdziwieni moim nagłym chłodem odprowadzali mnie wzrokiem. Minęłam moich towarzyszy w milczeniu, zdając sobie sprawę, że chcieli ze mną porozmawiać. Ruszyłam ścieżką w stronę głównej drogi. Wiatr powiewał połami płaszcza, którego użyczył mi Flesh po niespodziewanej przemianie, która niekiedy przyczyniła się do zniszczenia moich ubrań.

Za osłoną drzewa zrzuciłam odzienie i zmieniłam się. Ostatni raz obejrzałam się za siebie w stronę obozowiska wilkołaków. Z daleka mogłam dostrzec sylwetkę Aidana obserwującego mnie z cienia. Zawrzał we mnie gniew.

Pomagam jego stadu i narażam przy tym własne życie, a on ma jeszcze wątpliwości co do mojej lojalności — warknęłam w myślach. — Przeklęty samiec!

W przypiływie wściekłości wyszczerzyłam kły i uniosłam łeb. Moje wycie przebiło powietrze niczym stal miecza — głos mego wilka był wysoki, triumfalny, niespodziewanie ostry i donośny, emanujący siłą. Widziałam wyraźnie jak Aidan zbladł na twarzy i cofnął się do tyłu, nie mogąc ukryć nagłego strachu, który zmył z jego twarzy buńczuczność oraz wyzwanie, które tak usilnie starał się mi rzucić.

Posłałam mu ostatni, wilczy uśmiech, chwyciłam porzucony na śniegu ciemny płaszcz w zęby, a potem ruszyłam biegiem w stronę miasta, nie szcędząc

swoich sił.

Rozdział XVI

~ KIRA ~

Dom był niezwykle cichy i ciemny. Drzwi były uchylone, ale nie przejęłam się tym, gdy na korytarzu zamigotał cień Sorena. Demon kręcił się po kuchni, gdy zdejmowałam w korytarzu buty i kurtkę. Zerknął na mnie, gdy kierowałam się do salonu, a potem sypialni, jednak nie odwzajemniłam tego spojrzenia — nadal byłam wściekła po tym, jak wtargnął na teren wilkołaków i dał im pretekst do jeszcze większej nieufności względem mojej osoby oraz moich towarzyszy. Zdawało się, że Soren nie uważał, by było za co przepraszać.

Wyczułam wyraźny zapach Sonyi emanujący od drzwi pokoju. Zapukałam krótko, a potem weszłam do środka, nie oczekując zaproszenia. Dziewczyna siedziała na łóżku i miętoszyła w dłoniach kawałek pościeli. Nie poruszyła się, gdy minęłam ją powoli, a potem przystanąłam przy oknie. Musiała wcześniej słyszeć moje kroki — nie wydawała się zaskoczona moim nagłym wejściem. Skrzyżowałam ramiona na piersi, a potem głęboko odetchnęłam.

— Musisz mi powiedzieć, co zobaczyłaś — odezwałam się spokojnym, niezbyt donośnym głosem. — Wiem, że to może być dla ciebie niezbyt przyjemne.

Szelest pościeli umilkł.

— To była krótka wizja. Widziałam elektroniczny zegar zawieszony w jakimś budynku. Duża hala, ruchome schody, szklane drzwi... Była tam też spore drzewko sosnowe — powiedziała Sonya, lekko marszcząc brwi. — Ozdobione.

— To centrum handlowe — mruknęłam. — Widziałaś zegar zawieszony w centrum handlowym. Zobaczyłaś na nim godzinę i datę?

— Tak.

— To wszystko?

Pokiwała lekko głową. Odwróciłam się w jej stronę, nadal krzyżując dłonie na piersi. Przyjrzałam się jej nieruchomym wzrokiem. Odczuwałam dziwny, chłodny spokój.

— Skąd więc wiesz, że to była data ostatecznej bitwy?

Zwróciła na mnie dotychczas opuszczone spojrzenie. Jej jasne oczy odbiły światło z za okna i nabrały barwy księżycowego kryształu. Były niemal przezroczyste, o barwie lodu, gdy przełknęła ślinę i wyprostowała plecy, jakby wspomnienie istotnego szczegółu wizji było dla niej niczym wbicie kolca w serce.

— Słyszałam bębny. A także widziałam cienie wędrujące po ścianach, jakby ktoś przemykał obok budynku. Echo wielu kroków, mknąca karawana wojowników. — Zamrugła. — To były wampiry, dobrze to wiem.

— Jaka jest data?

Dziewczyna uniosła szybko głowę, kierując na mnie swoje spojrzenie zabarwione zaskoczeniem.

— Wierzysz mi?

— Tak — odparłam bez wahania. — Nie widzę w twoich oczach kłamstwa. Poza tym, moja wilczyca wyczułaby, gdybyś próbowała mnie oszukać.

Przez moment trwała bez ruchu, a potem rozluźniła mięśnie.

— Data jest wyznaczona na pierwszego stycznia. Dokładnie o północy.

Przymknęłam na moment powieki, zapisując tę datę w pamięci.

W ten oto dzień staniemy obok wilkołaków i naprzeciw ich wrogowi. — Banshee poruszyła się, drażniąc mój umysł swoją obecnością. — W ten oto dzień narażą życie nasi przyjaciele oraz kompani. Armia Quentina nadal rośnie w siłę, a my jesteśmy tutaj i bezmyślnie marnujemy czas.

Musiałam przyznać jej rację. Otworzyłam oczy i odkryłam, że Sonya siedzi na krawędzi materaca naprzeciwko mnie i wpatruje się we mnie przeszywającym wzrokiem. Ileż wiedzy oraz bólu było w tych źrenicach... Była młoda, jednak doświadczyła wiele cierpienia oraz straty. Nosiła w sobie magię mieszańca z dwóch rodów, która mogła stać się jej mocą lub przekleństwem — musiała nad nią zapanować i pochodzić się z jej istnieniem.

Przypomniałam sobie o tym, że chciała odejść. Przykucnęłam przed nią i odwzajemniłam jej spojrzenie.

— Powinnaś opuścić miasto, zanim rozgorzeje bitwa. — Wzięłam jej chłodną dłoń w swoją. — Zapewnię ci wszystko, co potrzebne ci będzie do podróży. Musisz sama wybrać drogę, którą chcesz pójść.

— Nie wiem, dokąd pójdę, ani co będę robić — odparła Sonya niepewnym głosem. — Moja rodzina nie żyje, a krewni z żadnego z dwóch rodów nie przyjmą mnie do siebie. Jestem mieszańcem, co jest im bardzo nie w smak. To właśnie powtarzała mi mama.

— Mieszkańcy są wyrzutkami — powiedziałam szczerze. — Rozerwani między chęcią przynależenia do konkretnej społeczności, a poczuciem wolności od zasad oraz praw wyznaczonych przez wszystkich magicznych. Ty nie należysz ani do zmiennokształtnych, ani do elfów. Rodzice zostawili ci dziedzictwo, ale swoje przeznaczenie musisz odnaleźć samotnie.

— To jest twoja... teoria hybrydy, tak? — zaśmiała się Sonya, lecz w jej głosie pobrzmiwał smutek.

— Wyruszysz, kiedy będziesz chciała. — Podniosłam się na nogi. — Nie wiem, jakie są twoje stosunki z Sorenem, jednak powinnaś mu powiedzieć, co

zamierzasz. — Odwróciłam się już w progu i posłałam jej lekki uśmiech. — Jest twoim strażnikiem. Chyba, że postanowisz inaczej. Pójdzie z tobą lub odejdzie. Przemyśl to i porozmawiaj z nim.

— Wracasz do stada?

— Muszę powiedzieć im o dacie bitwy. Potem wyruszę na polowanie.

W oczach Sonyi zapalił się ogień, który przypomniał mi, iż rozmawiałam z nią o swojej misji. Odwróciłam wzrok.

— Dziękuję, że powiedziałaś mi o swojej wizji.

— Czemu mam wrażenie, że nie chodzi ci o dzisiejszą wizję?

Melancholia na twarzy dziewczyny dodała jej lat — wyglądała na starszą niż była w rzeczywistości niczym panna, która dorosła za szybko. Miałam wrażenie, że widzę w jej źrenicach odbicie tykającego zegara wyznaczającego koniec naszego wspólnego czasu. Niedługo miałam wyruszyć w góry, prosto do siedziby wampirzej armii. Wyruszyć prosto w śmierć, którą wcześniej mi przepowiedziała.

— Dziękuję ci za wszystko, kociaku. I do zobaczenia. W tym życiu lub w kolejnym.

Darius wrócił do miasta i zgodnie z tym, co mi obiecał wcześniej, zadeklarował, że pomoże mi w trenowaniu watahy. Przez telefon w jego głosie brzmiała niska nutka zdumienia, że Samuel pozwolił mi uczyć jego wilki, ale po chwili zmienił ton i na zimno ustalił ze mną kolejny termin treningu, gdzie miał się pojawić we własnej osobie, żeby stanąć u mego boku jako kolejny instruktor.

Tego samego dnia, nadal nabuzowana po wczorajszym buncie Sorena, zamknęłam się w sali treningowej, ignorując krążącego po salonie Flesha i moich towarzyszy dyskutujących o całym zajściu, jednocześnie manewrujących między kuchnią, a pokojem. Po zapachach poznałam, że szykowali się do dłuższego posiedzenia przy talerzach pełnych jedzenia. Zanim wyszłam, do moich uszu doleciało także stukanie butelek z piwem. Nie miałam najmniejszej ochoty na towarzystwo, więc zniknęłam na górze.

Zaczęłam trening ostro, bez żadnej rozgrzewki. Wywijałam mieczami z taką energią, że w moich uszach narastał świst coraz szybciej śmigających ostrzy. Widziałam swoje odbicie w lustrach — moja twarz była ściągnięta gniewem, a całe ciało niemal wibrowało od rozpierającej go energii. Spinałam mięśnie, przez co moje ruchy były szybsze i mocniejsze, niebezpiecznie śmiertelne. Cały czas w mojej głowie kołatały się chaotyczne myśli — nie o Sorenie i jego głupim wybryku, a o misji, którą sobie przydzieliłam. Plany budynku, w którym Quentin chował swoją nowonarodzoną armię, czekały na mnie cierpliwie na karcie telefonu zabezpieczone hasłem. Mapa górskiej twierdzy już wyryła mi się w pamięci niczym wypalona gorącym żelazem.

Musiałam wszystko zaplanować, a potem zrealizować każdy punkt swojej misji od początku do samego końca. Od jej wyników zależało życie nie tylko wielu wilków, ale także i moich towarzyszy. Nie łatwo było ich zabić, jednak nie miałam pojęcia, do jakich nieczystych zagrań mógł posunąć się Mistrz chmary. Na samo wspomnienie tego wampirzego pomiotu moja dłoń zwiększył prędkość i ostrze katany ze świstem przecięło krawędź jednego z materacy. Skrzywienie materiału i dźwięk wypruwanej gąbki przywrócił mi rozsądek.

Quentin planował przemarsz swoich wojsk przez miasto. Nawet w najbardziej ponurych myślach nie podejrzewałam, że może narazić na śmierć także niewinnych ludzi, którzy żyli w nieświadomości, że w ogóle istniejemy.

Odłożyłam miecze na bok, a potem, zalana ciepłym potem i całkowicie pobudzona, poczęłam krążyć po pomieszczeniu niczym zaszczute zwierzę. W moim umyśle tkwiła cicho Banshee niezaangażowana w moje zmartwienia i zdenerwowanie. Byłam teraz zbyt nabuzowana, by jej próby odciążenia mnie od samobójczej misji mogły osiągnąć jakiegokolwiek efekt. W pewnym momencie przystanęłam i popatrzyłam na swoje odbicie, jakbym widziała kompletnie obcą osobę. Moje długie, rozczochrane i pofalowane włosy związane były niedbale w koński ogon, dwukolorowe oczy lśniły wewnętrznym szalem, a prężne ciało drgało niczym pod napięciem. Byłam tak wzburzona, że ledwie mogłam ustać w miejscu.

Muszę komuś opowiedzieć o swoim planie, pomyślałam nagle. *Muszę się komuś zwierzyć. Komuś, komu mogę zaufać i kto nie zdradzi moich planów...* W moich żrenicach pojawił się błysk. Chwilę później chwyciłam za telefon, żeby wyszukać w kontaktach odpowiedni numer. Zwierzenie się akurat jej było ryzykowne w minimalnym stopniu, jednak było to lepsze niż nic. Przyłożyłam telefon do ucha i czekałam na sygnał.

Odebrała po dwóch sygnałach. Poczułam jednocześnie ulgę i zdenerwowanie.

— Słucham? — Jej delikatny, łagodny głos częściowo ukoił moje nerwy.

— Muszę się z tobą spotkać — rzuciłam spontanicznie, starając się ukryć desperację pobrzmiewającą w głosie. — Najlepiej jeszcze dzisiaj.

Moja nagła propozycja była podejrzana i doskonale to wiedziałam. Katherine milczała przez bardzo długi czas, zanim po drugiej stronie słuchawki rozległo się jej westchnięcie. Wyczuła, że chodziło mi o coś poważnego, wiedziałam to.

— Chyba zdołam się wyrwać z domu — odparła cichym głosem. — Samuel zaplanował na dzisiaj patrol całego terytorium z przybocznymi wilkami.

Aidan będzie w terenie, tak samo jak Samuel, pomyślałam mimowolnie. *Idealnie. Nie przeszkodzą nam.*

— Nie mów im, że spotykasz się ze mną. Proszę, to ważne.

— Rozumiem. — Kobieta ponownie westchnęła. — Gdzie chcesz się

spotkać?

O tym wcześniej nie pomyślałam i teraz zamilkłam zdekoncentrowana. Zastanawiałam się przez kilka minut, zanim odpowiedziałam.

— Spotkajmy się w kościele — rzuciłam do słuchawki, oblizując suche, słone wargi. — Będę tam za kilkanaście minut.

— Wezmę samochód Samuela i przyjadę najszybciej jak się da — odparła Katherine. — Czekać na mnie.

Po zakończeniu rozmowy przez moment wpatrywałam się w telefon. Ścisnęłam urządzenie w dłoni, a potem wypadłam z sali i ruszyłam się przebrać. Na dźwięk moich szybkich kroków dudniących na schodach wszyscy zgromadzeni w salonie odwrócili się w moim kierunku. Fleshowi zabłyśły oczy, ale minęłam go bez słowa.

Szybko przebrałam przeпоczone ubranie i wyciągnęłam spod łóżka skórzane kozaki na płaskim obcasie. Właśnie zapinałam je pod kolanem, gdy do sypialni wszedł Flesh. Przez moment chłonał mój widok z nogą opartą o łóżko, a potem przeniósł wzrok bezpośrednio na moją twarz.

— Wychodzę — rzuciłam beznamiętnie. — Dopilnuj, żeby towarzystwo za bardzo się nie rozhukało.

— Gdzie się wybierasz?

Postawiłam nogę z powrotem na podłodze i wyprostowałam się, wysuwając buntowniczo podbródek. Z mojej twarzy można było wyczytać złość.

— Muszę się z kimś spotkać. Wrócę, zanim nastanie ranek.

Gdy chciałam go minąć, chwycił mnie za ramię. Jego tęczyówki pojaśniały, rażąc mnie bielą jasną niczym tarcza księżycy. Wyczuwałam jego wzburzenie niemal równe mojemu.

— Pojadę z tobą.

— Nie. — Wyrwałam ramię z jego uścisku. — To osobista sprawa. Zostań tutaj.

— Kira, nie zbywaj mnie. — Pokręcił powoli głową, kipiąc demoniczną energią. — Ostatnim razem puściłem się samą i dobrze wiesz, jak to się skończyło.

Próbował ponownie mnie chwycić, ale wtedy moja głowa przekształciła się w wilczy łeb, a ostre, długie zęby kłapnęły szaleńczo centymetr od jego jasnej, odsłoniętej skóry. Odsunął się gwałtownie o krok, podczas gdy z mojego pyska wydobył się niski, przeciągły warkot. To było wyraźne ostrzeżenie. Po chwili wycofałam swoją wilczą część i wtedy powróciła ludzka twarz, jednak oczy nadal lśniły dzikim złotem.

— Zostajesz. To nie podlega dyskusji. Jeśli spróbujesz mnie śledzić, wyczuję to. Nie radzę ci próbować — wycharczałam ze złością, mocno zaciskając zęby. — Nie chcę zrobić ci krzywdy, jednak zrobię to, jeśli nie pozostawisz mi wyboru.

Gdy wyszłam z sypialni, już nie próbował mnie powstrzymać. Spojrzenie kilku par oczu moich towarzyszy przekonało mnie, że każdy zgromadzony w salonie słyszał naszą wymianę zdań. Wszyscy patrzyli na mnie odważnie, z wyjątkiem Sonyi i Amelii. Minęłam ich energicznym krokiem, w biegu złapałam z korytarza skórzaną kurtkę, a potem rzuciłam się w zimną, ciemną noc, pędząc do samochodu. Miałam ochotę biec przed siebie w wilczej formie, poczuć wiatr targający sierścią na grzbiecie i wolność pulsującą w żyłach. Zamiast tego wsiadłam na siedzenie kierowcy i przekręciłam kluczyk w stacyjce, czując gorycz na języku. Mojego humoru nie poprawił fakt, że w progu drzwi wyjściowych stał Flesh i śledził wzrokiem samochód, gdy ruszyłam szybko w stronę miasta.

Kościół św. Franciszka był starym, aczkolwiek majestatycznym budynkiem wybudowanym w drewnie z pięknymi, witrażowymi oknami teraz tonącymi w mroku i mosiężnymi, kutymi drzwiami przypominającymi bramę królewską. Dwie wieżyczki, jedna wyższa z lśniącym w środku dzwonem, górowały nad większością dachów zwykłych, ludzkich domostw rozsianych po bokach świątyni wzdłuż ulicy. Dookoła panowała głucha cisza przerywana jedynie hałasem rzadko przejeżdżających samochodów i dudniącym echem muzyki z nocnych klubów położonych kilka przecznic dalej.

Przyjrzałam się prostej fasadzie kościoła, a potem pchnęłam ciężkie wrota do środka. Wiedziałam, że świątynia była otwarta dla wiernych przez cały czas, jednak nie pozostawała bez nadzoru. Ksiądz, a jednocześnie jeden z wilkołaków z watahy Samuela, pilnował kościoła niczym oczka w głowie — nie było kamer ani alarmu, jednak na wszelkie oznaki rumoru zjawiał się sam pasterz pod swą zwierzęcą postacią. Przeganianie potencjalnych rozbójników oraz złodziei było jego zadaniem, gdyby nie zadziałało zaklęcie, za które parafia słono zapłaciła miejscowemu rodowi czarownic. Magia kobiet z rodziny Burns była potężna i precyzyjna, więc próba zdewastowania kościoła mogła nie skończyć się tylko paroma siniakami, a porządnym pogrzebem.

Przy ołtarzu świecił się rząd świeczek ustawiony pod figurą Matki Boskiej. Łagodna, kobieca twarz o delikatnym uśmiechu była upiornie oświetlona od dołu żółtawym, intensywnym światłem, a mroczne cienie na jej szacie nadawały jej strasznego charakteru. Wykrzywiłam lekko usta, a potem powędrowałam kawałek dalej, stukając butami o kamienną posadzkę. W środku panował półmrok. Przez witraże w oknach przeświecał słabo blask ulicznych latarni. Spodziewałam się znaku lub sygnału, które zawsze wyczuwałam w miejscu obleczonym drutem magicznej sieci, jednak tutaj nic nie poczułam. Zmarszczyłam lekko brwi, jednak w powietrzu nie znalazłam ani drobiny magii. Albo zaklęcie było tak dobre, że nawet ja nie potrafiłam go zlokalizować, albo coś było nie tak.

Stałam w przejściu pomiędzy rzędami drewnianych ław i wpatrywałam się w ołtarz, kiedy poczułam powiew chłodnego powietrza za plecami. Odwróciłam się na tyle, by zobaczyć sylwetkę Katherine wsuwającą się za wrota kościoła. Po wejściu uklękła i przeżegnała się. Obserwowałam ten pobożny gest z nikłym zafascynowaniem. Lśniące światło tabernakulum przeszywało mnie niczym laser. Moją jedyną reakcją było sarkastyczne wygięcie warg. Nie wierzyłam ani w Boga, ani w Diabła. W żadnego z nich.

Katherine, stukając butami, stanęła za mną. Obróciłam się plecami do ołtarza.

— To musi być coś naprawdę ważnego, Kira, skoro chciałaś się spotkać teraz... W dodatku tutaj. — Jej oczy zalśniły w półmroku.

— To jedyne ustronne miejsce, w którym nikt nie będzie mnie szukał — odparłam spokojnie i wskazałam jedną z ostatnich ławek. — Usiądziesz? Ta rozmowa może chwilę potrwać.

Kobieta kiwnęła lekko głową i wsunęła się na siedzenie, otulając rękoma duży brzuch wyraźnie rysujący się pod zimową kurtką. Usiadłam obok niej w odległości kilkunastu centymetrów, zachowując lekki dystans. Wpatrywałam się w swoje dłonie leżące na kolanie, układając w głowie słowa niczym puzzle. Katherine mnie nie poganiała — siedziała w ciszy i miałam wrażenie, że się modli, wykorzystując chwilę mojej zadumy.

— Chcę ci powierzyć tajemnicę, której nie możesz zdradzić ani Samuelowi, ani nikomu innemu — wymruczałam, wbijając wzrok w pustą przestrzeń i przemawiając płaskim, chłodnym tonem. — Musisz mi to obiecać. Jeśli nie chcesz, najlepiej żebyśmy zakończyły to spotkanie już teraz.

Katherine odgarnęła kosmyk rudych włosów z twarzy i z rozmysłem odwróciła głowę w moim kierunku. Spokój od niej bijący był kojący dla moich skołatanych nerwów oraz myśli. Drganie ciała, które nie ustępowało od gwałtownej wymiany zdań z Sorenem, teraz powoli zanikało. Mogłam na moment odetchnąć.

— Nikomu nie zdradzę tego, co mi powiesz. Obiecuję — powiedziała Omega łagodnym głosem. — Powinnaś to wiedzieć od momentu, gdy zgodziłam się na to niespodziewane spotkanie.

— Musiałam się upewnić — stwierdziłam. — To dość delikatna sprawa.

To ujęcie całej sprawy rozbawiło mnie, jednak uśmiech na mojej twarzy miał wyjątkowo gorzki wyraz.

— O co chodzi?

Miałam wrażenie, że Madonna otoczona świecami naśmiewa się ze mnie. Banshee miała najeżoną sierść i lekko wysunięte kły — siedziała w cieniu mojego umysłu jak wściekły jeżozwierz.

— Mam zamiar wyruszyć w góry — zaczęłam powoli, ostrożnie dobierając słowa. — Jest tam coś, czego zniszczenie przechyli szalę zwycięstwa na stronę

twojego stada. Muszę to zrobić sama, żeby nie narazić życia nikogo z moich towarzyszy lub twoich wilków. Planuję zniknąć jutro, jak najszybciej. I właściwie nie przewiduję stamtąd wrócić.

Prosto. Konkretnie. Na temat. Siedziałam w milczeniu wśród przedłużającej się ciszy przez kilka minut, zanim spojrzałam na Katherine. Wpatrywała się nieruchomo w Madonnę przy ołtarzu, mając na twarzy wymalowaną zadumę. W jej oczach czaiło się zmartwienie. Wiedziałam już, że poprosiłam o coś okropnego — zachowanie w tajemnicy mojego samobójstwa.

Moje wizje nie są silne tak jak u mojej matki, mam za mało doświadczenia oraz mocy. Widziałam coś, ale nic wyraźnego. Ale wiem, że jeśli tam pójdziesz... zginiesz.

Wzdrygnęłam się lekko, ale nie przez lęk przed śmiercią.

— Prosisz mnie o wiele, Kira — odezwała się cicho Katherine, patrząc na mnie z bólem wyraźnie rysującym się w żrenicach. — O bardzo wiele.

— Wiem — odparłam, niemalże zła na samą siebie. — Musiałam się komuś wygadać. Kiedy minie kilka dni, powiedz o wszystkim moich towarzyszom. Może zdołają znaleźć mnie w górach... — ...zanim zjedzą mnie dzikie zwierzęta, dokończyłam w myślach.

— Jesteś prawdziwą wojowniczką — rzuciła z zapałem i desperacją Katherine. — Jestem pewna, że sobie poradzisz i wrócisz...

— Nie! — przerwałam jej brutalnie, aż mój głos poniósł się echem po całym kościele. — Nie wrócę. Utrzymanie się w jednym kawałku przy tym zadaniu przewyższa nawet Ogara. — Posłałam jej ponury, smutny uśmiech. — Może kiedyś opowiesz o mnie swojemu dziecku.

W oczach wilczycy załśniły łzy wielkie jak ziarna grochu. Chwyciłam jej zimną dłoń. Po chwili pociągnęła mnie za nadgarstek i niespodziewanie przyłożyła rękę do swojego dużego brzucha. Nawet przez ubrania czułam bicie małego serca, a potem silne kopnięcie. Mimowolnie poczułam ukłucie pod powiekami, jednak łzy nie popłynęły — nie mogłam sobie na to pozwolić.

W kieszeni moich spodni niespodziewanie zawibrowała komórka. Odsunęłam się od Katherine, wyłuskałam urządzenie i zacisnęłam na nim palce. Na ekranie wyświetlał się numer Flesha. Odebrałam.

— Flesh, nie mam teraz czasu na kłótnie...

Jednak to nie krzyk Flesha usłyszałam w słuchawce. Ten głos, pełen przerażenia i łez, zmroził mi krew w żyłach i zatrzymał serce na kilka sekund.

— Kira! — Sonya wrzeszczała do telefonu, ledwie powstrzymując szloch

rozrywający płuca. — Uciekaj stamtąd! Szybko, błagam! Kościół...

Jej kolejne słowa zagłuszył potężny huk. Zdołałam rzucić telefon na bok, nie przerywając połączenia, a potem przemienić się w przeciągu chwili, zanim z nieba runął na mnie i Katherine deszcz cegieł, dachówek i drewnianego stropu — dach kościoła zawalił się, grzebiąc pod gruzami w ciągu sekund nas obie.

~ SONYA ~

Kurczowo zaciskałam palce na telefonie, w którym po głośnym huku, od którego niemal pękły mi bębenki, zapadła głucha, przerażająca cisza. Łzy spływające po moich policzkach były gorące i palące jak kwas. Tuż po tym jak dopadła mnie wizja, zabrałam od Flesha komórkę i zadzwoniła do Kiry, żeby ją ostrzec. Za późno. Spóźniłam się.

Kuliłam się na podłodze na klęczkach, podczas gdy demon bez pytań wypadł na zewnątrz, rozwijając skrzydła. Reszta przyjaciół łowczynie ruszyła za nim po kilku minutach. Na zewnątrz zagrzmiał silnik dwóch motorów. Drżałam na całym ciele i wszystkie dźwięki dochodziły do mnie jak spod wody.

Soren pojawił się nie wiadomo skąd, jakby cały czas siedział w salonie i otoczył mnie ramionami. Wzdrygnęłam się lekko, ale byłam tak odrętwiała, że nie mogłam wykonać większego ruchu. Demon pomógł mi wstać, a potem otarł łzy i odłożył na stół komórkę, którą wciąż ścisiskałam w palcach. Pozostawiła czerwone ślady na wewnętrznej stronie mojej dłoni.

— Co masz zamiar zrobić? — zapytał Soren cichym, stanowczym głosem, otaczając rękoma moje policzki.

Uniosłam na niego pusty wzrok, w który stopniowo powracała świadomość. Rozpacz na mojej twarzy zmieniła się w wyraz determinacji. Demon przyglądał mi się uważnie, gdy odsunęłam się, a potem zacisnęłam palce w pięści.

Rozpięłam wprawnymi ruchami jasną koszulę na moich ramionach, zrzuciłam ją na podłogę, a potem zdjęłam spodnie. Nie poprosiłam Sorena, żeby się odwrócił — nie miało znaczenia, czy na mnie patrzy. Gdy moje nagie ciało owiało zimne powietrze z korytarza, pozostałam nieporuszona. Spojrzałam na uchylone drzwi sypialni, a potem przez okno i mrok na dworze. Zaczął sypać śnieg, pokrywając drobnymi płatkami ogród.

Przemiana była tak naturalna i szybka, jakbym nie spędziła kilku miesięcy na stanowczym odmawianiu jej sobie, żeby pozostać żywą. Czarna sierść porosła moje ciało, a kręgosłup wygiął się w łuk. Opadłam na cztery łapy z głuchym łoskotem. Otrząsnęłam się, a potem, nie patrząc na demona, pognałam na zewnątrz. Jeszcze nie do końca zagojona noga sprawiała mi ból, jednak nie powstrzymał mnie on od szybkiego, zawrotnego tempa, w jakim pokonywałam drogę do miasta. Kryłam się w cieniu z dala od latarni, przy czym moja ciemna sierść idealnie mnie maskowała. Napędzała mnie adrenalina, a gula strachu rosła w gardle i niczym

drewniany kołek dusiła oddech. Spomiędzy moich warg i długich, jasnych kłów wydobył się dziki ryk, którym chciałam zmotywować się do dalszej drogi bez wahania. Nade mną szybował Soren — wyczuwałam jego obecność oraz czułam wiatr spod poruszających się skrzydeł mierzwiący mi futro na karku.

Noc była zimna, a mróz skrzypiał pod łapami. Niemal zarysowałam asfalt, mknąc niczym czarna strzała z wysuniętymi pazurami ostrymi niczym sztylety. Dyszałam ciężko, czując rwanie w łapie, ale nie przestawałam biec. Huk, który rozległ się wcześniej w słuchawce, do teraz szumiał mi w uszach. Przyśpieszyłam jeszcze bardziej, wyciągając ciało niczym sprężynę. Nie znałam dokładnie drogi i kiedy znalazłam się w centrum miasta, zatrzymałam się nagle. Uniosłam pysk i spojrzałam w ciemne niebo, gdzie leciał Soren — niczym jasna zjawa na tle gwiazd. Skierowałam się tam gdzie on. Prowadził mnie w odpowiednim kierunku.

Nie minęło kilka minut, jak na horyzoncie pojawił się cel mojej podróży. Zatrzymałam się ponownie, tym razem tak gwałtownie, że zostawiłam ślady na powierzchni oszronionej drogi. Dyszałam tak szybko, że powietrze wokół mojej głowy zmieniło się w chmurę mlecznej mgły. Poczułam, jakby mój mózg i serce w jednym momencie rozpadały się na kawałki. Wpatrywałam się wytrzeszczonymi ślepiami w widowisko przede mną sztywna niczym posąg.

Kościół wyglądał tak jak w mojej wizji, jednak teraz majestatyczną sylwetkę budynku otaczał tłumek sylwetek. Rozpoznałam Charlotte oraz Frederica, a także Amelię i Silvyra. Moje oko dostrzegło także Flesha, który przeskakiwał po gruzach zawałonego dachu ze złożonymi skrzydłami, najwidoczniej szukając Kiry. Otrząsnęłam się z szoku, a potem ruszyłam w kierunku świątyni. Z boku widowiska wyczułam i zobaczyłam wilkołaka, jednak nie znałam go z treningu, na który zaprowadziła mnie łowczyni. W ludzkiej formie był szczupłym, bladym mężczyzną o krótkich włosach w barwie wyblakłej czerni i oczach zielonych jak wiosenna trawa. Na mój widok otworzył szerzej oczy, a potem wyszczerzył kły, mimo to nie przemienił się. Rozmawiał z kimś przez telefon — domyśliłam się, że wzywał policję oraz karetkę.

Wpadłam pomiędzy znajomych łowczyni niczym strzała, przez co odsunęli się na boki całkowicie zaskoczeni. Ledwie uszłam kilka kroków, stawiając łapy na klepisku z cegieł, kiedy naprzeciwko mnie pojawiła się czarna, potężna sylwetka. Zjeżyłam sierść, gdy przede mną stanął ogromny, czarny lew, groźnie szczerząc kły. Jego srebrzyste oczy z pewnością nie należały do zmiennokształtnego — nie bez zdziwienia rozpoznałam na jego ciele zapach Flesha. Zawarczałam i zamruczałam groźnie, wiedząc, że kierował nim dziki szok. Rozpoznał mnie dopiero po minucie. Głuchy pomruk w jego piersi zamilkł, a oczy powoli złagodniały, jakby obudził się z koszmaru.

Przebiegłam obok niego, skacząc po gruzowisku o wiele zgrabniej niż on. Byłam czarnym leopardem potrafiącym skoczyć na kilka metrów i wspinać się po

najwyższych drzewach oraz skałach. Wędrowałam wśród cegieł, intensywnie szukając najmniejszego choćby śladu zapachu Kiry. Niuchałam w powietrzu, nieraz stając na tylnych łapach, żeby unieść nos poza jeszcze unoszący się pył. Słyszałam głosy zebranych u stóp zawalonego dachu, jednak ignorowałam je, szukając oznak życia wśród resztek stropu.

Wykonywałam kolejny skok, kiedy kawałek ode mnie poruszył się stos cegieł. Zaskoczona niemal zsunęłam się na dół, jednak po chwili wróciłam i zaczęłam odgarniać pazurami gruzy. Czułam coraz wyraźniejszy zapach Kiry oraz inny, delikatniejszy, niemal ludzki, jednak mający w sobie nutkę wilka. Kopałam tak długo, aż uwięziona łowczyni wybiła się na powierzchnię, odrzucając mnie gwałtownie na bok.

Jej czarno-siwa sierść była pokryta pyłem i krwią, w ranach na rozoranych łopatkach lśniła biała kość, a z pyska wyzierał warkot, który mógł równie dobrze należeć do samego Fenrira[1]. Wpatrywałam się w nią przez moment, zanim zrozumiałam, na czym zaciskała potężne szczęki. W zębach ciągnęła ludzkie ciało, całkowicie bezwładne. Była delikatna i ostrożna, jakby niosła jajko. Kobieta oddychała, jednak była nieprzytomna i poza zadrapaniami na twarzy nie było widać u niej żadnych poważniejszych obrażeń.

Charlotta wdrapała się na górę i zajęła się sprawdzaniem stanu nieprzytomnej. Rozpoznałam w tej twarzy coś znajomego — to była wilczyca, którą poznałam na treningu wśród wilkołaków. Pod jej kurtką odznaczał się duży, ciężowy brzuch. Powąchałam go z cichym pomrukiem, który bardzo przypominał bolesny jęk.

— Nic jej nie jest — odezwała się wróżka z ulgą pobrzmiwającą w głosie. — Kira ją uratowała. Zasłoniła ją swoim ciałem.

Uśmiech na twarzy Charlotty zamarł, gdy wilczyca zachwiała się, a potem runęła na bok, uderzając bokiem o cegły. Wróżka dopadła do niej i zanurzyła drobne dłonie w gęstym futrze. Jej palce natychmiast zboczyły we krwi oblepiającej futro Kiry. Z uchylonego pyska zwisał jasnoróżowy język, a klatka piersiowa unosiła się ledwie wyraźnie.

— Traci za dużo krwi! — wrzasnęła Charlotta, odwracając się do towarzyszy. — Flesh, musisz ją stąd zabrać i to natychmiast. Zabierz ją na teren wilkołaków. Szybko, zaraz zjawi się tutaj ludzka policja!

Demonowi nie trzeba było powtarzać drugi raz — wskoczył na górę już w ludzkiej postaci. Pochylił się nad nieruchomym ciałem wilczycy i złapał delikatnie sierść na jej karku. Spojrzał na mnie kątem oka tak zimno, że skuliłam się niczym przestraszony, dachowy kocur. Po chwili poczułam wirowanie w powietrzu, chłodny powiew ślizgający się po kościach, aż Flesh oraz Kira zniknęli w oparach rzadkiego, ciemnego dymu. Rozejrzałam się zdezorientowana, a potem opadłam na zad. Adrenalina powoli odpływała z moich żył i ranna noga

zaczynała coraz mocniej rwać.

— Zadzwoń do Samuela — wykrzyknęła Charlotta do księdza cały czas stojącego z boku z telefonem w ręku, a potem zwróciła się do mnie. — Sonya? — W jej wzroku nie czaił się strach, lecz niepokój. — Opatrzę twoją nogę w domu, jednak dopiero wtedy, gdy zajmę się Kirą. Rozumiesz? — Poczekała, aż lekko kiwnę łąbem. — Musisz wrócić do domu w ludzkiej postaci. Kolejne obciążenie nogi tylko pogorszy sprawę.

Soren, dotychczas pozostający niedaleko, teraz wylądował tuż obok mnie. Odskokczyłam z warkotem. Gdy zorientowałam się, kto się pojawił, zamilkłam, jednak nie schowałam kłów. Demon spojrzał na wrózkę z góry.

— Zabiorę ją do domu Kiry. Bez dyskusji — rzucił w moim kierunku, kiedy zgromiłam go lodowatym wzrokiem.

W odpowiedzi zamruczałam z głębin klatki piersiowej. Jego oczy błysnęły demonicznym srebrem, ale mimo lęku nie cofnęłam się i nie porzuciłam także bojowej postawy. Gdy podszedł bliżej jedynie mocniej najeżyłam ciemne futro. Zatrzymał się.

— Leć z nim — wymamrotała przez zaciśnięte zęby Charlotta. — Idź, zanim dotrze tu policja. Lepiej żeby nikt cię nie widział.

Patrzyłam na nią przez moment, a potem po prostu pokuśtykałam do Sorena i przysiadłam obok niego zwrócona bokiem. Moja obrażona pozycja najwidoczniej go rozbawiła, bo zobaczyłam na jego wargach lekki uśmiesz. W zwierzęcej formie sięgałam mu nieco powyżej pasa, ale nie miałam tak imponujących rozmiarów jak Kira pomimo swej mieszanej krwi. Mimo to nadal byłam groźnym drapieżnikiem.

Poczułam palce demona na swoim karku. Drgnęłam, ale pozostałam niewzruszona, gdy zacisnął palce na futrze. Poczułam drobne dreszcze przebiegające przez ciało, a potem otoczyła nas ciemna mgła, taka sama w której wcześniej zniknął Flesh wraz z Kirą. Rozejrzałam się nerwowo, ale mocniejszy dotyk Sorena zmusił mnie do bezruchu. Zamknęłam oczy, czując lekkie mdłości. Gdy otworzyłam powieki kilkanaście sekund później, siedziałam w ciemnym salonie w domu łowczyni. Na stole stały kieliszki napełnione winem, a niektóre szampanem oraz półmiski i talerze napełnione niedokończonym jedzeniem. Wszystko było opuszczone w pośpiechu.

Wstałam i zwinnym skokiem oddaliłam się od Sorena. Odwróciłam głowę i spojrzałam na niego kocim wejrzeniem. Stał nieruchomo, obserwując mnie jasnymi oczyma. Jego ramiona zwisały bezwładnie po bokach ciała. Wyglądał częściowo na zrezygnowanego. Zamachałam końcówką ogona niepewna jego intencji. Przekręcił lekko głowę zwierzęcym gestem, ale nie odezwał się, póki nie stanęłam naprzeciwko niego z lekko pochylonym łąbem, wyczekując jakichkolwiek słów.

Przykucnął powoli, żeby zrównać się ze mną wzrokiem i posłał mi delikatny

uśmiech, tym razem pozbawiony sarkazmu czy rozbawienia. To było łagodne wygięcie warg, które narobiło mi mętliku w głowie.

— Dobrze się spisałaś, Sonya — odezwał się falującym, hipnotyzującym głosem. — Naprawdę sobie poradziłaś.

Nawet będąc w zwierzęcej formie poczułam znajome ukłucie pod powiekami. Machnęłam końcówką ogona nieco łagodniej, jeszcze bardziej pochyliłam łeb, a potem postąpiłam krok do przodu. Soren drgnął, jakby zaskoczony moim ruchem, ale potem znieruchomiał. Znalazłam się zaledwie pół metra od niego. Ugięłam nogi, a potem położyłam brzuch na podłodze, potem ułożyłam łeb na łapach, cały czas na niego patrząc. Lustrował mnie wzrokiem przez parę sekund, a potem powoli wyciągnął jasną dłoń. Położyłam uszy po sobie, ale nie w geście agresji. Poczułam, jak palce Sorena głaszczą skórę na mojej głowie. Przymknęłam powieki.

— Musisz się stąd wynieść — wymruczał nade mną Soren. — Zanim stanie ci się krzywda, kociaku.

Nie otworzyłam oczu, ale w duchu przyznałam mu częściowo rację. *Muszę tylko upewnić się, że Kira przeżyje. Potem opuszczę to miasto najszybciej jak się tylko da.*

[1] **Fenrir** (in. Fenris) — w mitologii skandynawskiej ogromny wilk, jedno z trójki dzieci, jakie Loki miał z olbrzymką Angerbodą. Charakterystyczne było u niego to, że z racji jego rozmiarów podczas ziewania szczęka dotykała nieba, a żuchwa ziemi.

Rozdział XVII

~ AMELIA ~

Katherine była blada i wstrząśnięta, ale poza wieloma sinikami i niewinnie rozciętym policzkiem nic jej nie było, dziecku także. Siedziała na białej kozetce szpitalnej w gabinecie zabiegowym, podczas gdy lekarz wycierał jej brzuch z zimnego, przezroczystego żelu. Po raz pierwszy widziałam na USG ludzkie dziecko i słyszałam przez urządzenie równe, mocne bicie maleńkiego serduszka. Przez kilka minut stałam całkowicie oszołomiona, wpatrując się w zamazane kontury przyszłego potomka samca Alfa oraz prawdopodobnego następcy swojego ojca. U wilków narodziny pierworodnego syna były świętem celebrowanym przez wiele tygodni. Dzisiejszej nocy istniało ryzyko, że wypadek mógł pozbawić przyszłych rodziców powodu do tej wielkiej radości, nic więc dziwnego, że Katherine była biała niczym płótno, a dłońią cały czas masowała zaokrąglony brzuch. Z każdym drobnym hałasem zasłaniała go rękoma, jakby w obronie przed kolejnym niebezpieczeństwem.

— Dobrze, że nic ci nie jest — zagadnęłam, patrząc na wilczycę z troską malującą się w oczach, ale i pewną rezerwą. — Co właściwie stało się w tamtym kościele? I co tam w ogóle robiłaś?

Katherine uniosła wzrok i spojrzała na mnie szklistymi oczami.

— Dach po prostu się zawalił — powiedziała drżącym głosem. — Niespodziewanie, jakby to była jakaś...

Przyjrzałam się jej, stojąc całkowicie nieruchomo, gdy tamta szukała odpowiedniego słowa.

— Jakby to była.. magia? — zapytałam cichym głosem, nasłuchując kroków lekarzy i pielęgniarek na korytarzu.

Katherine chciała coś odpowiedzieć, ale wtedy do pomieszczenia wpadł intruz. Cofnęłam się gwałtownie pchnięta w kierunku wózka z narzędziami lekarskimi. Upadłabym, gdyby nie wampirzy refleks i siła. Spojrzałam w stronę kobiety, gdzie obok kozetki stał nastroszony i wściekły Samuel, szczerzący śnieżnobiałe kły. Z oburzenia ledwie panował nad przemianą, a jego wilk buzował tuż pod skórą, strosząc groźnie sierść. Kłapnął zębami w moim kierunku, a ja nie byłam mu dłużna — syknęłam przez kły, przyjmując pozycję bojową w razie ataku.

— Przestań! — warknęłam Katherine tak stanowczo, że nie tylko ja, ale i jej partner stanęliśmy jak wryci, a warkot w naszych płucach osłabł. — To nie jest czas na szczeniackie spory, mężu!

— Czuję na tobie zapach wampira — burknął groźnie Samael. — Pewnie ten pomiot brał w tym wszystkim udział.

Poczułam się dotknięta i zarazem wściekła. Ponownie obnażyłam kły, czekając niczym jadowita kobra. *Niech tylko się zbliży, niech tylko zrobi jeden zgubny krok...* Wilk nie zdołał wykonać żadnego ruchu, kiedy do jego gardła przystawiono srebrny nóż. Spojrzałam zaskoczona, jednak szybko poznałam tę broń — srebrny sztylet oprószony złotem na samym czubku ostrza, zabójczy zarówno dla wampira i wilkołaka. Silvyr wyłonił twarz z mroku, lecz jego ręka zaciskająca palce na sztylcie ani drgnęła. Jego oczy były zimne niczym dwa kamienie, szczęka tworzyła ostre kanty, a zęby zgrzytały gniewnie. Posłał mi krótkie, badawcze spojrzenie, a potem zbliżył usta do ucha samca Alfa.

— Spróbuj się ruszyć, a na oczach twojej żony posadzka spłynie posoką, ty parszywy kundlu...

Dziki warkot Samuela wrywał się z płuc niczym lawa z buzującego wulkanu, jednak wilkołak nie poruszył się, obawiając się zabójczego ostrza. Katherine patrzyła na nich ze zgrozą nawet blejsza niż wcześniej. Musiałam coś zrobić, dla dobra wszystkich, zwłaszcza ciężarnej i jej dziecka.

— Silvyr, odłóż broń — powiedziałam wolnym, spokojnym głosem, podchodząc o krok bliżej. — Samuelu, cokolwiek o mnie myślisz, teraz ważniejsze jest, żebyś pomyślał o swojej żonie i dziecku. Zajmij się nią, zamiast wzniecać bójki. — Przystanąłam, patrząc na łowcę oraz wilka z przyganą. — Nie przyłożyłam ręki do wydarzeń dzisiejszej nocy. Ani ja, ani nikt inny z druhów Kiry.

Silvyr wycofał się powoli, podczas gdy Samael, nadal nieufny, przystanął u boku swojej żony. Mrużył powieki i przenosił wzrok zarówno na mnie, jak i na łowcę. Wydawał się nieufny, ale poziom agresji znacznie zmalał — zaczął rozważać sytuację i odpowiednio reagować na naszą obecność.

— Co się dzieje z Kirą? — zapytała Katherine, drżąc na całym ciele. — Czy wszystko z nią w porządku? Uratowała mnie... ja... Muszę wiedzieć...

Spojrzałam na Silvyra, a ten to odwzajemnił. Spomiędzy moich warg niekontrolowanie wyrwało się ciężkie, drżące westchnienie.

— Sami chcielibyśmy wiedzieć.

~ KIRA ~

Szum w mojej głowie był tak przytłaczający, że musiałam zakryć uszy. Skrzywiłam się, czując pulsujący ból w całym ciele. Czułam, że leżę na wilgotnej ziemi, a dookoła panuje ciemność — przez moje powieki do oczu nie docierał nawet ślad światła. Otworzyłam oczy i spojrzałam w pustkę. W jednej chwili leżałam w pozycji embrionalnej, a w drugiej już stałam na równych nogach, dotykając butami gładkiej, śliskiej powierzchni czarnej jak smoła i lśniącej niczym wypolerowane szkło. Rozglądałam się zdezorientowana dookoła, ale nie było tutaj niczego oprócz ciemności. Mimo braku widocznego źródła światła bez problemu

widziałam siebie, swoje czyste i schludne ubranie, wypastowane buty i końce uczesanych, jasnych włosów. Wszystko to było podejrzone. Wydawało mi się, że powinnam być gdzie indziej, czuć się inaczej, wyglądać inaczej... Każda myśl umykała niczym liść gnany jesiennym wiatrem.

Postąpiłam krok do przodu, żeby sprawdzić stabilność tego dziwnego gruntu — ziemia była twarda niczym kamień. Stukanie moich butów zostało wchłonięte przez ciszę. Czułam się, jakbym wylądowała w próżni albo czarnej dziurze.

Bardziej wyczułam niż usłyszałam, że ktoś przybył. Odwróciłam się i ujrzałam masywną, jasną sylwetkę nie dalej jak kilkanaście metrów ode mnie. Stała dumnie na wyprostowanych łapach, patrząc na mnie uważnie i chytrze złotymi oczyma dzikiego zwierza. Była majestatyczna niczym królowa, a jej biała sierść lśniła wśród mroku niczym pełna tarcza księżycy. Jej pazury, czarne i zakrzywione, przypominały harpuny, a smukły pysk kierował się w moją stronę. Czujna, ale całkowicie spokojna czekała, aż to ja podejmę pierwszy ruch.

Pierwszy raz była taka materialna, taka... prawdziwa. Poza głosem w mojej głowie zawsze wydawała mi się tylko duchem, drugą połową mnie, która siedziała głęboko w odmętach mojej duszy. Teraz stała tutaj żywa, z krwi i kości.

Tchnęła mnie nagła myśl, która powinna wywołać strach, ale poczułam jedynie zaniepokojenie.

— Czy ja umarłam? — Posłałam to pytanie prosto w próżnię, mając wrażenie, że wilczyca nie ma zamiaru mi odpowiedzieć.

I nie odpowiedziała. Wpatrywała się we mnie nieruchomo niczym posąg.

— Nic nie pamiętam. Każdy chciałby taką spokojną śmierć. — Mój głos nawet dla mnie wydawał się pusty i żałosny. — Przez tyle lat nigdy nie spotkałyśmy się twarzą w... pysk — zażartowałam, ale nie wywołało to odpowiedniego efektu. — A teraz, kiedy mamy okazję, może w nieco ponurych okolicznościach, nie masz zamiaru się odezwać?

Wiedziała, że potrafiła mówić — swoim własnym, melodyjnym i dzikim głosem, jednak potrafiła. Na moje słowa zastrzygła uszami, ale poza tym jej muskularne, umięśnione ciało nie wykonało żadnego ruchu.

— Ty nie umarłaś. — Głos Banshee przeniknął mnie aż do kości, niemal wywołując fizyczny ból i zimne dreszcze. — Jeszcze nie.

Zabrzmiało to złowieszczo, ale raczej był to efekt zamierzony.

— Gdzie my jesteśmy? — Okręciłam się dookoła, pokazując szeroko rozłożonymi ramionami czarną pustkę wokół. — Co to za miejsce?

Banshee usiadła na zadzie. Nawet w tej pozycji, z gabarytami i wzrostem Ogara, przypominała groźnego niedźwiedzia bardziej niż wilka.

— Trudno nazwać to miejsce, ale chyba słowo „próżnia” najlepiej oddaje jego charakter — odparła wilczyca, krzyżując przednie łapy. — Tkwisz teraz

w próżni, Kira. W miejscu, w którym musisz zdecydować, co się stanie dalej.

— Co masz na myśli?

Wilczyca zamilkła na długi czas, jakby zastanawiała się nad odpowiedzią. Obserwowałam ją z dystansu, cały czas zafascynowana. Oczy Banshee lśniły złotem niczym dwie płonące gwiazdy w oprawie smukłego pyska zakończonego czarnym jak węgiel nosem. Jej sierść była nieskazitelnie biała bez żadnych odcieni szarości. Gdy oblizwała wargi automatycznym ruchem, na widoku pojawiły się jej długie, ostre kły przypominające sztylety.

— Pamiętasz, co się stało?

Ponownie próbowałam sobie przypomnieć, jednak w mojej głowie pojawił się tylko jakiś odległy ból niczym echo dalekiej tragedii.

— Muszę więc opowiedzieć ci, co stało się, zanim tutaj trafiłaś — zamruczała Banshee z westchnieniem, jakby nie miała najmniejszej ochoty mówić. — Więc...

Stopniowo z każdym słowem wilczycy przypominałam sobie kolejne wydarzenia — kłótnię z Fleshem, przyjazd do kościoła, rozmowę z Katherine, niebezpieczeństwo pojawiające się znikąd, a potem... ciemność. Ciemność i ból.

— Czy ja umarłam? — zapytałam ponownie niskim, drewnianym głosem, wpatrując się w Banshee z lekko zmrużonymi powiekami.

Jej puszysty, długi ogon na moment się poruszył, jakby ucieszyła się z mojego bezpośredniego pytania.

— Nie umarłaś. Ale za to utknęłaś między śmiercią, a życiem — odparła spokojnym, wyważonym tonem. — Jesteś poważnie ranna. Z tego co wiem, Charlotte stara się poskładać cię w całość, ale to jej trochę zajmie. Mamy więc trochę czasu sam na sam, moja droga.

— O jakim wyborze mówiłaś? Jaką mam podjąć decyzję?

— Masz zdecydować... — Banshee podniosła się na nogi, teraz przewyższając mnie wzrostem — ...czy umrzesz, czy przeżyjesz.

Wilczyca odwróciła się i jak gdyby nigdy nic zaczęła odchodzić. Nie wiedziałam, co robić. W pewnym momencie Banshee zatrzymała się, obróciła głowę w moim kierunku i poczęła obserwować mnie złotymi oczyma. Miała w nich wypisaną piekielną inteligencję przewyższającą pojmowanie ludzkiej istoty.

— Chodź za mną.

Bez pytań ruszyłam w ślad za nią. Stąpałyśmy w ciemności bez żadnego dźwięku niczym w próżni. Rozglądałam się, ale nie widziałam niczego oprócz czerni i wędrującej przede mną Banshee przypominającej białą gwiazdę na wieczornym niebie. Wspomnienia minionej nocy napawały mnie dreszczem. *Kto zaatakował mnie i Katherine? Czy z nią wszystko w porządku? Jak tylko znajdę tego, kto jest odpowiedzialny za ten bałagan, zabiję go, zdecydowałam w myślach.* Banshee wyszczerzyła kły w diabelskim, wilczym uśmiechu, jakby

usłyszała moje wewnętrzne wywody. *A może rzeczywiście usłyszała?*

— Owszem, słyszę wszystko — rzuciła z wesołą nutą w głosie wilczyca, machając raz ogonem. — To miejsce jest połączeniem twojej jaźni i mojej. Nie ukryjesz tutaj swoich myśli i uczuć.

— Gdzie dokładnie mnie prowadzisz?

— Chcę ci coś pokazać. — Oczy wilczycy zapłonęły jaśniej. — Zapomnij na moment o swoich towarzyszach, o wampirach, wilkołakach i zbliżającej się krwawej wojnie. Zapomnij o tym, że umierasz. To, co ci pokażę, będzie związane z twoją przeszłością. Żeby dobrze zdecydować, co chcesz zrobić, musisz poznać pewne fakty, o których nie wiedziałaś przez całe swoje życie.

Szła dalej, a ja obserwowałam jej plecy świdrującym spojrzeniem. Czułam jej zapach — wilgotnej ziemi, piżmową nutę wilka i coś słodkiego, metalicznego, jakby krew krążąca w jej żyłach miała własną nutę. Dzieliłam z nią ciało i umysł przez całe życie, jednak nigdy nie wydawała mi się tak bliska, a jednocześnie tak odległa jak teraz w tych ciemnościach bez końca.

Zawsze wiedziałam, że Banshee musi być czymś więcej niż częścią mnie — była czymś... innym, potężnym i starym, a jednak nigdy nie zdradzała jakichkolwiek oznak, że istniała nie tylko jako moja wilcza strona. Była moim wilkiem, a jednocześnie nim nie była. Dopiero w tym momencie zaczęło mnie to nurtować na poważnie. Dotychczas korzystałam z jej mocy i sprytu, nie zważając na nic. A ona nie miała nic przeciwko.

Wilczyca się zatrzymała. Postawiła uszy na sztorc i wpatrywała się w coś przed sobą, nisko obniżając łeb. Zmarszczyłam brwi i skierowałam wzrok na to, co tak zafascynowało Banshee. Przez moment widziałam w mroku jedynie pustkę, ale potem wyłoniły się z niej dwie, mgliste postacie. Wyglądały jak zjawy za warstwą mgły, falujące i niewyraźne, ale po chwili obraz się wyostrzył, jakby ktoś rzucił odpowiednie zaklęcie. Przez kilka sekund nie mogłam zrozumieć, na kogo właściwie patrzę, a gdy już zrozumiałam, zabrakło mi tchu w płucach.

Kobieta wpatrująca się we mnie z łagodnym uśmiechem na twarzy w kształcie serca miała falujące pukle ciemnobrązowych włosów opadających na ramiona niczym kasztanowy wodospad. Jej skóra była jasna jak porcelana, sylwetka smukła i zgrabna niczym brzoza otulona ciemną suknią. Jej dłonie miały długie, delikatne palce o długich, migdałowatych paznokciach. Usta lśniły karmazynową czerwień, wśród której co moment pojawiał się błysk jasnych, prostych zębów. Mężczyzna stojący obok niej był postawny, dobrze zbudowany, dostojny niczym hrabia. Ciemny garnitur okalał jego szerokie barki, wąskie biodra oraz długie nogi biegacza. Miał gęste, czarne włosy lśniące niczym skrzydła kruka, twarz o kwadratowej szczęce, pełnych wargach i srogich rysach, które łagodził ciepły blask w błękitnych oczach. Na jego policzku widniała długa, poszarpana blizna, która jednak zamiast szpecić, dodawała mu charyzmy i uroku. Trzymał

dłoń na plecach kobiety opiekuńczym gestem, ale jego wzrok także zwrócony był na mnie.

Banshee lekko kiwnęła łbem, jakby pozdrawiała te dwojkę. Wpatrywałam się w nich urzeczona, nie mogąc wydobyć z gardła żadnego słowa. Kobieta uśmiechnęła się jeszcze szerzej, jakby wielce radował ją mój widok. Patrzyła na mnie oczami barwy srebra — moimi oczyma.

— Nigdy nie było ci dane poznać swoich rodziców — zamruczała Banshee, przysiadając na zadzie bokiem do mnie. — Zginęli, zanim wyszłaś z okresu niemowlęstwa. Matka zginęła pierwsza, broniąc cię. Ojciec zdołał cię zabrać i uciec, jednak ścigali go. Zabrał cię do Skalzara i Monique, twoich opiekunów. Ich już pamiętasz.

— Kto zabił moich rodziców? — zapytałam, niemal warcząc.

Wilczyca milczała przez moment i westchnęła, zanim odpowiedziała.

— Stado twojej matki.

Zamarłam niczym posąg. Uśmiech mojej matki stał się smutniejszy, ale w jej oczach nadal widziałam ciepły blask.

— Wilkołaki nie mogły pogodzić się z faktem, że twoja matka wdała się w zakazany romans, tym samym hańbiąc swoje stado. Gdy usłyszeli o twoich narodzinach, wściekli się jeszcze bardziej. Wódz stada zarządził, by wataha wytropiła ciebie oraz twoich rodziców i zabiła was pod osłoną nocy. Nie było litości. Nie było sprawiedliwości. Tylko czysta agresja, krew i łzy. Wrzask twojej matki nadal grzmi mi w uszach. — Przekręciła lekko głowę, jakby w tej chwili nasłuchiwała echa tamtego morderstwa. — Uratowała cię, a ojciec ukrył cię przed stadem, zanim sam zginął. Skalzar i Monique byli wyklętymi wilkami, bez swojego stada, żyjącymi wspólnie w głębi lasu. Opiekowali się tobą przez lata, zanim wilczy szpieg nie odnalazł twojej kryjówki i nie nasłał na twoich opiekunów sforę. Zabili ich, jednak ty uciekłaś.

Twarze Monique oraz Skalzara, moich opiekunów, zamigotały mi przed oczyma. Byli dla mnie dobrzy, mili, opiekuńczy. Nigdy nie patrzyli na mnie jak na potwora, za którego uważali mnie inni magiczni. Wychowywali mnie jak własną córkę, dopóty nie dopadły ich tamte wilkołaki. Wygłodniałe krwi, agresywne i szybkie niczym błyskawica, nie dały żadnej szansy na ucieczkę. Zabili obydwójce na moich oczach. Uciekłam tylko dlatego, że udało mi się wyjść oknem z chaty i pognać w stronę rzeki. Od małego uczyłam się, jak sprawić, by łowcy zgubili mój trop. Kluczyłam wśród drzew tak długo i takim pędem, aż zgubiłam zabójców. Ocalałam swoje życie, ale byłam sama. Kompletnie sama.

— Kim jesteś, Banshee? — zapytałam odrętwiała, patrząc na widmo moich rodziców. — Kim jesteś i dlaczego żyłaś ze mną taki długi czas?

Wilczyca spojrzała na mnie złotymi ślepiami, w których jarzyło cię coś, czego nie mogłam zinterpretować.

— Żyłam na długo przed twoimi narodzinami, jednak nigdy nie widziałam gorszego okrucieństwa niż to, jakiego dopuściło się tamto stado. Zabili niewinnych, opętani szalem czystości swej rasy. — Jej kły zabłyśły groźnie. — Byłam już zjawą, zaledwie mgnieniem dawnej swej chwały, gdy twoi rodzice poprosili pewnego szamana, by wprowadził mojego ducha do twego ciała. Miałam cię strzec, pomagać ci przetrwać. Twoi rodzice spodziewali się, że stado ich odnajdzie. Chcieli, byś mogła żyć dalej, zamiast umrzeć jako niemowlę.

— Duchem? — zapytałam z niedowierzaniem. — Ty... jesteś duchem?

— Duszą, jeśli mamy mówić konkretnie. Duszą starej wilczycy, postrachu wszystkich wilkołaków, który żył wśród gór wiele stuleci temu. Zgodziłam się na dalszy byt w twoim ciele, gdyż widziałam, jak wiele miłości twoi rodzice do ciebie żywili. Nigdy nie popierałam tępienia niewinnych, a taka właśnie była twoja biedna matka i ojciec. Zostali ukarani za swój romans oraz uczucie, którym darzyli siebie oraz ciebie. Zginęli, ale zadbali, abyś ty nie padła ofiarą tej wilczej inkwizycji.

Poczułam ucisk w głowie. Pomasowałam skroń, ignorując zatroskane spojrzenie widma mojej matki. Nie mogłam na nią spojrzeć. Nie miałam odwagi.

— Za dużo informacji naraz — zamruczałam pod nosem. — Dlaczego mówisz mi to wszystko teraz? Dlaczego akurat teraz, skoro ukrywałaś to przez tyle lat?

Wilczyca obróciła się do mnie przodem i machnąwszy ogonem, łypnęła na mnie złocistymi oczyma. Czająca się w nich wiedza zmroziła mi krew, ale szybko się otrząsnęłam.

— Nadszedł już czas, byś poznała prawdę — oznajmiła Banshee. — Nadchodzi wojna, w której możemy polec. Ty i ja. Przez te lata stałam się częścią twojej duszy i mój byt zależy od ciebie. Jeśli zginiesz, zginę razem z tobą. — Wyszczrzyła na moment kły. — Jeśli przeżyjemy wojnę, pomogę ci odnaleźć zabójców rodziców, jeśli tego zechcesz. Jesteś już na tyle silna, by móc stawić czoło swojej przeszłości. Decyzja należy do ciebie. Wyłącznie do ciebie. Nie możesz polegać na innych, słuchać ich rad. Musisz sama wybrać, którą drogą pójdziesz. Ja podążę za tobą, cokolwiek postanowisz.

Przełamałam własny opór i spojrzałam ponownie na widmo rodziców. Mój ojciec uniósł głowę na wpół buntowniczym gestem, tak jak ja to robiłam od dzieciństwa. Jego oczy błysnęły, a usta matki wygięły się w drżącym uśmiechu, gdy zrobiłam kilka kroków do przodu, zmniejszając dystans między nami. Poczułam zapach kwiecistych perfum pomieszanych z wonią wilczycy. Metaliczny zapach wampira był delikatny na tyle, że nie atakował mojego powonienia. Zanim pomyślałam, co właściwie robię, moje ramiona otoczyły szyję duchów i zacisnęły się. Przytuliłam ich oboje, wtulając twarz w ich szyje. Odwzajemnili ten gest. Poczułam ich ciepło, jakby wciąż żyli i byli tuż obok mnie.

— To są oni, Kira, spleceni z moich i twoich odległych wspomnień. — Głos

Banshee dotarł do mnie niczym zza gęstej mgły. — Kochałaś ich jako niemowlę i choć ich nie pamiętałaś, kochałaś ich przez całe życie. Kochasz ich także teraz, może nawet mocniej niż przedtem.

Odsunęłam się, gdy matka dotknęła mojego ramienia. Z bliska jej srebrne oczy wydawały się niesamowicie jasne, jakby odbijały w sobie niewielki blask księżycowego światła. Była piękna w inny sposób niż ja. Widziałam w sobie cechy zarówno jej, jak i ojca. Byłam ich dzieckiem, połączeniem dwóch bytów. Dwóch gatunków. Dwóch odmiennych mocy.

Ręka wampira wysunęła się do przodu i odgarnęła z mojej twarzy kosmyk jasnych włosów. Byłam od nich tak różna, a jednocześnie tak podobna, że wydawało mi się to niemożliwe. Po chwili ich sylwetki zaczęły blaknąć niczym stara fotografia z biegiem lat tracąca wyrazistość. Mina mojej matki wydawała się radosna i smutna jednocześnie, podczas gdy twarz ojca promieniowała dumą i siłą. Rozpływali się coraz szybciej, aż w końcu zniknęli zupełnie jak tajemniczy sen. Długi czas wpatrywałam się w pustą przestrzeń, aż poczułam obecność Banshee tuż obok siebie. Wilczyca emanowała siłą, ale wyczułam w jej nastroju nutę żalu.

Gdy tylko opuściło mnie odrętwienie, wnetrzości zalał mi gniewny żar. Czułam, jak moja krew pulsuje w rytm szybko bijącego serca. Jeśli Banshee odczuła mój gniew, nie dała nic po sobie poznać. Jedynie jedno z jej spiczastych uszu skierowało się w moją stronę. Byłam tak wściekła, że poczułam zawrót głowy. Przed oczyma zatańczyły mi kolorowe plamki.

— Chcesz się zemścić? — Wilczyca zerknęła na mnie kątem oka.

— Nigdy nie pragnęłam czegoś tak mocno — odparłam cicho. — Jednak najpierw, żeby tego dokonać, muszę się stąd wydostać i dokończyć to, co zaczęłam.

— A więc chcesz żyć. — Uśmiech Banshee był drapieżny niczym błysk noża. — Chcesz żyć, by móc się zemścić.

Podniosła się na cztery łapy. Była potężna, o sierści białej jak śnieg i gęstszej niż futro jakiegokolwiek innego zwierzęcia.

— Nie, nie taka jest prawda — odparłam silnym głosem. — Chcę żyć, by móc wziąć udział w wojnie i pomóc wilkołakom pokonać armię Quentina, i uratować swoich towarzyszy. Jeśli przeżyję, zostanę Aniołem Sprawiedliwości i pomszczę rodzinę. Wtedy i tylko wtedy.

Mimo faktu, że wilczyca przewyższała mnie wzrostem, miałam wrażenie, że to ja patrzę na nią z góry. Banshee poruszyła się energicznie, ale wyraz moich oczu zatrzymał ją w miejscu. Obserwowała mnie z nisko pochylonym łbem, jakby mnie sprawdzała. Gdy nie zmieniłam swojej postawy, nagle zadarła głowę do góry i zawyła w pustkę, wypełniając tym przenikliwym, głośnym dźwiękiem całą przestrzeń. Podskakiwała i opadała na ziemię, nie przestając hałasować. Zatkiałam uszy, gdy podeszła jeszcze bliżej, niemal wyjąc mi prosto w twarz.

— Obudź się, Kira! — Głos Banshee powoli zmienił barwę i wysokość. — Obudź się! Kira!...

Zerwałam się do góry, warcząc i wymachując łbem na oślep. Do moich uszu jak spod wody dotarły zaskoczone okrzyki — rozpoznałam zarówno damskie i męskie głosy. Gdzieś blisko doszedł do mnie też inny dźwięk, coś jak trzepot skrzydeł. Miałam zamglone spojrzenie, a przy każdym ruchu szarpał mną ból zranionego ciała, jednak czułam się przy tym bezbronna i atakowałam bez namysłu. W końcu przystanęłam nieruchomo niczym posąg, słysząc znajomy, melodyjny głos.

— Spokojnie, Kira — zawołała Charlotta. — To ja, skarbie. Znasz mnie. Spokojnie, wilczyco...

Zamrugłam powiekami — drobne, wilcze rzęsy miałam sklezione od krwi. Moje futro pokrywał szkarłat zasychający i krzepnący na barkach, łbie oraz łapach. Każdy mięsień był napięty z bólu, więc przy każdym ruchu mimowolnie pokazywałam w milczeniu długie, białe kły. Gdy mój wzrok nieco się wyostrzył, najpierw dojrzałam przed sobą Charlottę. Krótkie, niebieskie włosy w różki sterczały na wszystkie strony i widać było w pojedynczych pasmach krew, która pokrywała także jej jasne, drobne dłonie. Obok niej na ziemi leżała jej lekarska teczka, z której korzystała, kiedy ktoś potrzebował jej leczniczych umiejętności. W oczach miała iskrę strachu i wyciągała przed siebie dłonie, jakby chciała uspokoić rozszalałe zwierzę. Stała nieruchomo, tak samo jak Amelia za jej plecami i Frederic. Silvyr obejmował palcami rękę sztyletu u swego pasa, jakby szykował się do obrony. Gdzieś w niedalekiej odległości wypatrzyłam kolejną sylwetkę. Flesh otaczał się skrzydłami niczym czarną peleryną. Zza nich wycierała blada, marmurowa twarz o demonicznych rysach i lśniących, srebrnych oczach. Ich wyraz tak mnie zafascynował i przeraził jednocześnie, że przekręciłam lekko łeb w geście niepewności. Gdy tylko demon wyprostował plecy i odsunął jedno skrzydło, niemal cofnęłam się do tyłu. Jego koszula była rozdarta, a pośrodku piersi biegły trzy głębokie szramy, w których już powoli zastygała sącząca się krew. Spojrzałam w dół jak otumaniona — pomiędzy moimi pazurami tkwiły jeszcze resztki poszarpanego, ciemnego materiału.

Mój mózg pracował na wolniejszych obrotach i opanowywały go zupełnie nieludzkie myśli. Czułam się, jakby świadomość Banshee, dzikiego górskiego wilka, spychała moją własną na drugi plan. Obróciłam pysk i spojrzałam na swój rozszarpany bark. Krwawiące ochłapy skóry zostały profesjonalnie i ciasno zszyte czarnymi nićmi, które lśniły w blasku księżyca niczym strumyki ropy. Zawarczałam na nie, a potem kłapnęłam zębami tak głośno, że moi towarzysze aż się wzdrygnęli. Kiedy niemal zdołała zahaczyć kłem o wiązanie szwów, Charlotta

podeszła bliżej szybkim susem. Warknęłam na nią instynktownie, a potem nadstawiłam uszu. Wróżka spojrzała na mnie z dołu.

— Jeśli nie zostawisz szwów, ponownie zaczniesz krwawić — powiedziała łagodnym głosem, który miło popieścił moje uszy. — Straciłaś już dużo krwi. Nie możemy ryzykować.

Wpatrywałam się w nią przez kilka długich sekund, a potem lekko opuściłam pysk. Żadne z moich towarzyszy nie spędziło długiego czasu na studiowaniu i obserwowaniu takich gestów wśród wilkołaków, więc nadal patrzyli na mnie podejrzliwie, z lękiem. Gdy pierwszy szok po odzyskaniu przytomności minął, a adrenalina opadła, poczułam słabość w łapach i zawrót głowy. Cofnęłam się chwiejnie, a potem przysiadłam na zadzie. Charlotta zerknęła na mnie z niepokojem, oglądając z dystansu ranę na moich barkach.

— Nie wiem, kto spowodował zawalenie się kościoła — zaczęła z narastającą wściekłością — ale jeśli go znajdę, długo nie pożyje.

Silvyr skwitował jej słowa lekkim, ostrym uśmiechem, zabójczym niczym ostrze jego sztyletu.

Moje ciało od licznych ran opanowywała gorączka, więc wywiesiłam długi język, by schłodzić ciało. Uszy obracały się ku pojedynczym osobom. Zawiesiłam wzrok na Fleshu. Wydawał się zaniepokojony w równym stopniu co inni, ale utrzymywał o wiele dalszy dystans. Rana na jego piersi powoli się zasklepiiała. Wlepiałam w niego złote ślepie, aż jego sylwetka zaczęła się rozmazywać. Na jego miejscu ponownie zobaczyłam dostojną sylwetkę mojego ojca i drobną figurę matki. Przypominałam sobie wszystkie informacje, które zrzuciła mi na głowę mityczna wilczyca nawiedzająca moje ciało od dnia narodzin. Od dnia, gdy moi rodzice zaczęli uciekać przez morderczą watahą. Udało im się uratować mnie, ale nie siebie.

Świadomość Banshee powoli się wycofała i powróciła na swoje stałe miejsce. Mgielka zasnuwająca mój umysł opadła niczym kotara zawieszona na cienkich sznurkach, które ktoś przeciął. Powoli podniosłam się na łapy, ignorując tkwiącą w nich słabość, a potem otrząsnęłam się, mimo bólu w licznych ranach na ciele. Moi towarzysze skupili na mnie całą uwagę, wyczuwając zmianę nastroju.

Próbowałam wydusić z siebie słowa, tak jak potrafiłam do tej pory w wilczej formie, jednak wydawało się to teraz jak nauka chodzenia dla sparaliżowanego człowieka. Gardło zaciskało się i rozkurczało, ale nie wydobyłam z siebie dźwięku przypominającego chociaż trochę ludzką mowę. Próbowałam się skupić, ale nawet to dało tylko minimalny efekt. Czułam się, jakbym próbowała wydostać z gardła kawałki szkła.

— Zabierzcie... — Mój głos był schrypnięty i tylko w niewielkim stopniu ludzki. — ...mnie... do... domu...

Wykrztusiłam to z siebie niczym kołek tkwiący w płucach, a potem

zacharczałam, czując ucisk w gardle. Charlotta podeszła jeszcze bliżej. Wyglądała, jakby chciała położyć mi dłoń na łbie, ale się powstrzymała.

— Flesh zabierze cię do domu — powiedziała łagodnie i cicho niczym do usypiającego, zmęczonego dziecka. — Niedługo was dogonimy, skarbie.

Spojrzałam na demona i na ślady na jego piersi. Wyczuwałam w jego postawie coś mrocznego — to nie była niechęć, raczej wyjątkowo mroczna wściekłość. Najciekawsze było to, że ta wściekłość nie była wymierzona we mnie. Gdy na mnie spojrzał, w jego oczach pojawiły się szafirowe przeblyski. Jego buty zagrzechotały na zamarznętej ziemi, gdy do mnie podszedł. Chciał coś powiedzieć, ale przerwałam mu, odsuwając łeb. Puściłam złote nici swojej świadomości do wszystkich towarzyszy, a potem obejrzałam się na nich.

Co się stało z Katherine? — Mój głos rozniósł się po ich głowach melodyjnym echem. — Co z nią i dzieckiem?

Najpierw patrzyli po mnie zaskoczeni, lecz po chwili na ich twarze powróciły poprzednie emocje.

Amelia była z nią w szpitalu. Samuel chciał ją zaatakować — dodała Charlotta po chwili niepewnie, jakby nie wiedziała do końca, czy podawanie mi tej informacji jest w tej chwili dobrym pomysłem.

Warknęłam, kłapiąc zębami. Moja krew zawrzała z gniewu. *Czyżby Alfa chciał zniszczyć nasz sojusz?*

Amelia wysunęła się lekko do przodu. Nie umknęło mojej uwadze, że Silvyr trzymał jej dłoń, podczas gdy druga nie dotykała już broni. Kiwnął mi lekko głową, co u niego oznaczało ciche przeprosiny. Odpowiedziałam na to szybkim machnięciem łba.

Samuel był oszalały z niepokoju o swoją samicę — zamruczała w mojej głowie Amelia. — Rzucił się na mnie w emocjach, nie panując nad sobą. Każdy z nas wie, jeszcze nie mając dowodów, że nad zamachem stoją wampiry. To one są teraz największym wrogiem zarówno chmary, jak i twoim. Chcieli cię zabić.

A gdyby im się udało, zabiliby także Katherine. Samuel mi nie ufa.

Co z nią? — powtórzyłam pytanie, niecierpliwie czekając na konkretną odpowiedź. — *Co z Katherine?*

Jest posiniaczona, ale ani jej, ani dziecku nic nie grozi. — Błysk w oczach Amelii był łagodny i ciepły niczym płomyk świecy. — *Uratowałaś jej życie.*

Gdy zdałam sobie sprawę, że odetchnęłam z ulgą, niemalże nie zdołałam powstrzymać zdziwienia. Tak wiele istot niedawno dla mnie nieważnych, teraz stało się dla mnie częścią stada.

Zakęcie ochronne rzucone na kościół nie zadziało — stwierdziłam lodowatym tonem. — *Ktoś musiał się go pozbyć. A nie mogło to być zadanie dla niedoświadczonego żółtodzioba, skoro ten czar był dziełem jednej z wiedź Burns. Kto jest na tyle potężny, by zdjąć taki czar?*

Zapadła długa cisza. Wszyscy patrzyli na mnie z zamyśleniem, szukając w głowie odpowiedzi. Pytanie było ważne. Mimo krótkiego czasu spędzonego w mieście, moi towarzysze znali już większość najpotężniejszych stworzeń mieszkających w okolicy. *Które z nich jednak byłoby na tyle mocne i zarazem głupie, by zniszczyć czar wiedźm Burns po to, by mnie zabić? Jaka istota byłaby na tyle głupia, by paktować z wampirami przeciwko mnie?*

Kto jest na tyle potężny, by zdjąć czar jednej z wiedźm Burns? — powtórzyłam pytanie.

Amelia spojrzała na mnie, krzyżując ramiona na piersi. Jej oczy wydawały się ciemne i skupione.

Wiedźmy Burns.

Jej odpowiedź rzucona niemal bez zastanowienia sprawiła, że poczułam futro jeżące się na karku. Jeśli kiedykolwiek istniał niepisany sojusz między mną, a kobietami z rodu Burns, właśnie zmierzał do nieuniknionego końca.

Dlaczego którakolwiek z wiedź miałaby spiskować z Quentinem? — Charlotta zmarszczyła brwi nad błękitnymi oczyma skrzącymi się niczym kawałki kryształu.

To rozsądne kobiety — zapewniłam zimnym głosem. *— Nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dlaczego miałyby pomagać wampirom. Zawsze stawały na neutralnym gruncie w konfliktach między rasami. Nigdy nie wychodziły przed szereg. Pomagały klanom, które potrzebowały ich usług, jednak nigdy nie mieszały się w ich porachunki. Co mogło skłonić jedną z wiedźm, żeby złamała tak potężny czar?*

Spojrzenie Silvyra owiało moje ciało potężnym chłodem. Jego szmaragdowe oczy rozbłysły w półmroku.

Tortury.

Zduśliłam warkot, obnażając czubki zębów. Charlotta i Amelia wymieniły ze sobą zaniepokojone spojrzenia, a Frederic i Flesh zacisnęli zęby. Widziałam, że każdy z zebranych odczuwa to samo.

Torturowanie wiedźmy to bardzo nieroztropne posunięcie — stwierdziłam, ostrożnie dobierając słowa. *— Wiedźmy Burns tworzą jedną z najpotężniejszych rodzin czarodziejskich w kraju. Porwanie i torturowanie jednej z przedstawicielek rodu może się skończyć dla jej kata śmiercią i to w mękach. Surowa magia potrafi nie tylko miażdżyć kości, ale i serca oraz umysły. Zemsta wiedźmy, jak i jej rodziny, byłaby potężna.*

Może jest inne wytłumaczenie? — zapytała Amelia, wodząc oczyma na

każdego po kolei. — *Może nikt nie torturuje żadnej z wiedź Burns. Może istnieje inny powód, dla którego zniosły swój czar.*

Postawiłam uszy na sztorc, przysłuchując się temu z zainteresowaniem. Teoria o torturach była niemal niemożliwa, więc nie dawałam jej wiary. Ale, w takim razie, co innego...?

Ksiądz jest wilkołakiem — stwierdziła Charlotta. --- *Może jakoś naraził się wiedźmom Burns i za karę zniosły one czar ochraniający kościół?*

To zastanawiające — zamruczałam, podnosząc się na łapy; tym razem były mocne i pozbawione wszelkiej słabości. — *Musimy sprawdzić tę teorię. A kto, jak nie sam ksiądz, powie nam, czy nasza teoria jest słuszna?*

— Jesteś teraz za słaba, by wdawać się w kolejne bójki — stwierdziła na głos z protestem Charlotta, widząc mój wilczy uśmiech.

Przekręciłam łeb i spojrzałam na nią spokojnie. Banshee w moim wnętrzu zakotłowała się i warknęła, demonstrując swoją siłę. Tak, powróciła jej buntownicza natura. Jak miło ponownie było doświadczyć jej wzburzenia.

Nawet rannego Ogara nie pokona byle wilkołak — warknęłam, jeżąc sierść. — *Jeśli ksiądz będzie współpracował, na pewno nie skończy się na bójce. W końcu jest jednym z wilków Samuela, więc wolalabym uniknąć rękoczynów. Jeśli to nie ksiądz wyjawi nam prawdę, zrobią to same wiedźmy Burns.*

KSIEGA III
ZAĆMIENIE

Rozdział XVIII

~ KIRA ~

Bieg wśród nocnej martwoty i ciszy sprawiał mi radość. Nawet ból w zranionym barku mnie nie spowalniał, kiedy pędziłam przez białe pustkowia na obrzeżach miasta, by dotrzeć z powrotem do centrum. Frederic i Charlotta ruszyli pierwsi motorem, a za nimi Amelia i Silvyr drugim podobnym pojazdem. Flesh leciał tuż nad moją głową, rzucając upiorny cień na drogę. Co moment zerkałam na niego kątem oka, próbując dostrzec wśród trzepoczących skrzydeł jego twarz. Od momentu mojego przebudzenia nie odezwał się ani razu, nawet podczas ogólnej dyskusji. To mnie bardzo niepokoiło.

W moim wnętrzu zawisł gniew, palący i duszący niczym dym osiadły na płucach. Chociaż nie byłam wierząca, nigdy nie zabijałam duchownych — to była jedna z moich zasad. Jednak jeśli ten ksiądz miał coś wspólnego z wampirami, które chciały mnie pogrzebać żywcem, mógł nie dożyć poranka. Podejrzewałam, że jedynie naraził się wiedźmom Burns, przez co zdjęły one czar ochronny z kościoła, przez co wampiry zdobyły idealną okazję do zabicia mnie. Nie mogły wiedzieć, że spotkam się z Katherine w świątyni, jednak szpiedzy Quentina mogli mnie śledzić. Być może obserwowali mnie i odnaleźli sposobność, by usunąć mnie z tego świata w przeciągu jednego ataku.

Na myśl, że najprawdopodobniej będę musiała porozmawiać o tym wszystkim z wiedźmami Burns, mój żołądek skręcał się w konwulsjach. Wiedźmy z tego rodu były neutralne i zachowywały ze mną sojusz, póki nie stanowiłam zagrożenia dla ich rodziny, jednak kto wie, co mogło się zmienić od czasu, gdy zaczęłam polować na młode wampiry, a skończyłam teraz na zagrożeniu wojną między dwoma klanami. Ktoś mógł je przekonać, że jestem teraz niebezpieczna dla każdego nadnaturalnego — na przykład wysłannicy Quentina lub wilkołaki, które nienawidziły mnie mimo tego, że pomagałam stadu przygotować się do ostatecznej walki. Od wielu tygodni traciłam sojuszników i przyjaciół, a zyskiwałam kolejnych wrogów.

Już z daleka poczułam zapach dymu i usłyszałam sygnał karetki. Światła policyjne migotały w oddali, ale wozy już oddalały się z miejsca wybuchu. Połowa kościoła była całkowicie zniszczona, wszędzie leżały gruzy spośród których wystawały niczym kołki kawałki drewnianych ław. Na jednej z nich niedawno siedziałam z Katherine.

Gdy tylko ostatni radiowóz zniknął za rogiem ulicy, wybiegłam z cienia i w wilczej formie ruszyłam na ruiny, wspinając się po nich niczym po usypanym grobowcu. Czulałam tutaj zapach własnej krwi, widziałam jej szkarłatne kwiaty na szczątkach zniszczonego dachu, spod których wydostałam siebie oraz

nieprzytomną Omegę. Warknęłam pod nosem, bo poczułam też inną woń. Woń znajomą, a jednocześnie inną niż wcześniej. Słodką, nieco metaliczną... zwierzęcą.

Co tutaj robiła Sonya? — rzuciłam w stronę Flesha, który przypatrywał mi się z pewnej odległości.

Kiedy już sądziłam, że nie odpowie na moje pytanie, skierował spojrzenie bezpośrednio na moją twarz. W jego srebrnych oczach dostrzegłam lodowaty błysk.

Sama tutaj przybiegła. Wyczuła twoją woń pod gruzami i próbowała cię wydostać. Była w swojej... drugiej formie — zawahał się na moment przy tych słowach, ale nie stracił zimnej iskry w swoich źrenicach. — *Byłem... bardzo zdenerwowany. I zdezorientowany. Prawie ją zaatakowałem.*

Widziałam na jego twarzy malującą się skruchę. Odwróciłam ponownie łeb, wężąc pośród gruzów. Zapach Sonyi był podobny do mojego, jednak miał w sobie łagodniejszą nutę. Pachniała lasem.

Czarny leopard — zamruczał w moich myślach Flesh. — *Wyjątkowo rzadki z niej okaz. Tak samo jak jesteś nim ty.*

Zignorowałam jego słowa. Zachodnia część kościoła z ołtarzem była niemal nienaruszona, pomijając kilka pęknięć na pozostałościach dachu. Spojrzałam prosto w oczy figurce Matki Boskiej, a potem zastrzygłam uchem. Z bocznego wejścia wychynęła ciemna sylwetka. Obniżyłam łeb, prężąc mięśnie nóg. Ksiądz pojawił się obok ołtarza, patrząc bezpośrednio na mnie z pociemniałą twarzą. Czulałam w jego woni wilczą nutkę i z daleka widziałam żarzące się, zwierzęce oczy.

Ksiądz Jonathan Quinn był z pochodzenia Irlandczykiem i po swoich przodkach odziedziczył nie tylko melodyjny akcent, ale także oczy zielone niczym soczysta trawa pokrywająca wzgórza jego ojczyzny. Jego ciemne włosy były krótko ścięte, a pospolita twarz o regularnych rysach była blada jak porcelana. Miał mocne, żyłaste dłonie oraz rozbudowaną sylwetkę, którą posiadała połowa wilkołaków spędzających aktywnie czas na łowach.

— Nie powinnaś była tutaj przychodzić — rzucił ostrym głosem ksiądz, stając za ołtarzem tak szybko, że poły jego sutanny zafurgotały w zimnym, nocnym powietrzu. — Skalałaś to święte miejsce. Widzisz, co narobiłaś?!

Prychnęłam pod nosem, a potem zeskoczyłam ze stosu cegieł, żeby podejść do ołtarza. Słyszałam kroki Flesh za swoimi plecami, a w oddali pomruk silnika motoru. Obejrzałam się. Mój samochód zaparkował przed kościołem w miejscu, gdzie kilkanaście minut temu stał kordon radiowozów. Wysiadł z niego Silvyr i Amelia, ale nie podeszli bliżej, stojąc na czatach. Widocznie zdążyli wrócić do mojego domu i zmienić transport. Charlotta i Frederic zaparkowali obok wozu, ale także pozostali w tyle, dając mi wolne pole do przesłuchania.

Przed moimi oczyma tańczył płomień świeczki przy figurce Świętej Dziewicy. Oświetlił on mój pysk, uwydatnił złoto dzikich oczu i czającą się w nich iskrę gniewu. Prychnęłam, wypuszczając powietrze ze świstem. Ostatni płomyk zgasł.

— Powiedz mi, klecho, jak na spowiedzi — zamruczałam ludzkim głosem tak samo łatwo jak kiedyś — co takiego zrobiłaś, że wiedźmy Burns cofnęły swoje ochronne zaklęcie?

Ksiądz zeszywniał jak rażony gromem, a potem spiorunował mnie wzrokiem.

— Nie wiem, o czym mówisz, hybrydo — odwarknął z gniewem. — Wkroczyłaś tutaj i to przez ciebie ta wspiana świątynia obróciła się w perzynę.

— Jak dla mnie jej część nadal stoi — powiedziałam melodyjnym, słodkim głosem — ale, ku twojej rozpaczy zapewne, beze mnie zakopanej pod gruzami. A świątynia została zniszczona, bo nie chroniło jej zaklęcie. Zostało cofnięte.

Zmarszczyłam wargi, gdy duchowny z impetem oparł dłonie na ołtarzu. Upiorne światło ulicznych latarni wdzierające się do kościoła oświetlało nikłym blaskiem jego pobladłą twarz i odsłonięte zęby. Wyglądał zupełnie tak, jakby oszalał.

— Skalałaś to święte miejsce! — wrzeszczał na głos, aż jego słowa odbijały się echem wśród pozostałości ścian. — Jesteś potworem bez duszy, który wtargnął do tej świątyni i sprowadził na nią nieszczęście! Powinnaś była umrzeć, by spłacić swą brudną krwią grzech własnego stworzenia! Grzech rodziców, którzy wydali na świat taką plugawą istotę półkrwi! — Jego twarz wykrzywiła się w obrzydzeniu.

Na wzmiankę o rodzicach zjeżyłam sierść i kłapnęłam zębami tak głośno, jakbym zgniatała między kłami ludzką czaszkę. Ksiądz podczas swego monologu pluł i warczał półludzko, z czego nie zdawał sobie sprawy. Jego krótkie włosy stanęły dęba niczym wilcze futro, a paznokcie zmieniły się w pazury, którymi rysował powierzchnię marmurowego ołtarza. Zdziwiłam się, że figurka Marii, która stała blisko tego psychopatycznego fanatyka, nie patrzyła na swego wyznawcę i nie płakała krwią. Ksiądz zupełnie oszalał i słowny atak na mnie był

tego prawdziwym dowodem.

Flesh wysunął się do przodu w pełnej swej demonicznej krasie ze złożonymi skrzydłami na plecach, rogami lśniącymi wśród ciemnych włosów i oczyma błyszczącymi palącym srebrem. Jego nieludzkie rysy obrysowane przez nikłe światło wydawały się obliczem prawdziwego jeźdźca nazwanego Śmierć[1]. Czyżbym to ja była Otchłanią?

Ksiądz na widok Flesha cofnął się, zrzucając na ziemię zgaszone świece i biały obrus, którym przykryty był ołtarz. Pobladł jeszcze bardziej i wytrzeszczył oczy. Wskazał palcem mojego towarzysza, niemal tocząc pianę z ust.

— Demon! Szatańskie nasienie! — Jego głos był schrypnięty i zduszony, pełen strachu i pogardy. — Ujrzałem zło na świętej ziemi! Plugawe istoty, na imię Chrystusa, odejdźcie!

Patrzyłam na niego niczym na aktora grającego w operze mydlanej. Flesh uniósł brew i twardo powstrzymywał krzywy uśmiech, który uparcie wpełzał mu na twarz.

Powinniśmy go uciszyć? — zapytałam w myślach Banshee, ale także Flesha, nie przysłuchując się dalszym obłąkanym okrzykom klechy.

Banshee poruszyła się i ze smakiem oblizwała kły. Jej cichy pomruk niczym pieśń zwiastująca śmierć sprawił, że po grzbiecie przebiegł mi dreszcz. Demon rzucił mi rozbawione spojrzenie.

A myślisz, że powie nam coś pożytecznego?

Szczerze w to wątpię — odparłam bez wahania.

Więc do dzieła.

Oblizyłam zęby, a potem zaczęłam zbliżać się do duchownego drapieżnym, wolnym krokiem. Nie mogłam go zabić, ale mogłam go ogłuszyć, żeby przestał robić raban. Już stawiałam swe kroki na kamiennych stopniach, kiedy ksiądz zaczął cofać się w przeciwnym kierunku. Warknęłam cicho, gdy jego twarz zaczęło pokrywać futro. *Czy on wie, na co się porywa?*, zapytałam moją wilczycę

w myślach. Walka ze mną, nawet w wilczej formie, była dla tego wilkołaka wyrokiem śmierci. Gdyby trzeźwo myślał, na pewno także doszedłby do tego wniosku. *Tak samo bezmyślny jak Edward*, warknęłam w duchu. *I na pewno nie walczy lepiej od niego.*

Już czułam oddech tego klechy na swoim rozdziawionym pysku, gdy z boku uderzył mnie mocny, gorący wiatr na tyle silny, że uderzyłam żebrami o krawędź ołtarza. Odwróciłam łeb, żeby warknąć na intruza, jednak głos zamarł mi w piersi, kiedy zobaczyłam, kto pojawił się progu zniszczonego kościoła. Flesh także się obejrzał, jednak widok tej postaci nie zrobił na nim większego wrażenia.

Kobieta była wysoka i to nawet bez swoich czarnych szpilek wciśniętych teraz na stopy. Jej czarna, ołówkowa spódnica podkreślała krągłość bioder oraz talię osy. Jasna, koszulowa bluzka dodawała jej szyku tak samo jak krótki sznur rzadkich, różowych pereł wiszący na łabędziej szyi. Pełne, czerwone usta nie były wygięte w uśmiechu, twarz piękna jak u porcelanowej lalki pozostawała nieruchoma, a fiołkowe oczy zimne niczym stal. Wokół jej postaci wirowało ciepłe powietrze, wprawiając w ruch kosmyki ciemnokasztanowych, kręconych włosów.

— Kira Santiago postawiła nogę na pobłogosławionej ziemi. — Głos kobiety był wyjątkowo miękki i gładki. — Zdawało mi się, że rzadko odwiedzasz kościoły? A może tylko mi się zdawało?

Uniosła ciemną brew, spoglądając szybko na Flesha. Na widok oszalałego, skulonego z boku księdza skrzywiła kształtne usta i machnęła niedbale dłonią. Gorący powiew musnął moją sierść, ale jego pełna moc trafiła w duchownego, który najpierw uderzył z impetem o ścianę, a potem opadł na podłogę nieprzytomny.

— Wydaje mi się, że musimy poważnie porozmawiać, łowczyni — zamruczała pod nosem kobieta, patrząc na mnie stanowczo. — A Jonathana Quinna powinnaś potem zawlec prosto do jego Alfy. Zasłużył na porządny osąd swego stada.

Zarzuciłam złotą nić swego umysłu, łącząc się z jej myślami, a ona mi to pozwoliła. Gdyby chciała, nie mogłabym tego uczynić od tak.

Może ty rzucisz nieco światła na ostatnie wydarzenia? — powiedziałam chłodnym głosem, czując jej aurę tężejącą w zimowym powietrzu.

Kobieta uśmiechnęła się szeroko, aż spomiędzy jej karminowych warg wyjrzały równe, perłowobiałe zęby. To nie była oznaka radości ani zadowolenia. Raczej przypominało to ludzki odpowiednik drapieżnego uśmiechu wilka, gdy wyczuje on ofiarę w pobliżu swego gniazda.

— Musimy porozmawiać — powtórzyła, machając dłonią po raz kolejny. — Ale nie tutaj. Ostatnio niemal każda ściana, sufit lub okno ma uszy, a zwłaszcza tam, gdzie przebywasz ty. Wiele wampirów śledzi twoje poczynania, kręcąc się w cieniu niczym wygłodniałe nietoperze czekające na soczysty żer.

A jednak... Cały czas mnie śledzono.

— Zapraszam cię do mojego domu, moja droga. Ciebie — rzuciła kolejne spojrzenie Fleshowi — oraz twojego interesującego towarzysza.

— Kim jesteś? — zapytał Flesh, odwracając się w jej kierunku z podejrzliwością wypisaną w oczach.

Powoli przemieniłam się w człowieka, nie spuszczać wzroku z tej kobiety. Nawet w ludzkiej formie czułam wyraźnie zapach jej kwiatowych perfum oraz woń przypominającą powiew gorąca na środku pustyni. Moje włosy opadły na nagie piersi łaskotane dotykiem magii. Czułam ją niczym elektryczny impuls ślizgający się po odsłoniętej skórze.

— To osoba, która pomoże nam rozwikłać, kto próbował mnie zabić. Tym razem. — Posłałam tej kobiecie dumne, twarde spojrzenie, wysuwając podbródek do przodu. — Flesh, poznaj proszę Walentinę Burns, właścicielkę tutejszego biura prawniczego, wyjątkowo zdolną bizneswoman i najmłodszą wiedźmę ze znakomitego rodu Burns.

Rezydencja wiedź Burns stała blisko centrum miasta, jednak na ogromnym, prywatnym terenie w większej części porośniętym ogrodem pełnym ziół, kwiatów oraz drzew owocowych. Sam budynek był trzypiętrowy i wznosił się majestatycznie wśród lodowego ogrodu pozostającego martwym aż do wiosny. Walentyna zaparkowała swoje srebrne Porsche Panamera obok nieczynnej fontanny, a potem wysiadła, by poczekać na mnie i na Flesha. Demon ponownie oddał mi swój ciemny płaszcz, a potem podwiózł nas moim wozem pod same schody rezydencji. Charlotta i Frederic wrócili do swojego hotelu, żeby nieco odpocząć, a Amelia i Silvyr ruszyli do mojego domu, by upewnić się, że z Sonyą wszystko jest w porządku.

Weszliśmy za Walentiną do domu i przystanęliśmy w korytarzu. W rezydencji panowała cisza, jednak wątpiłam, by nikogo w niej nie było oprócz naszej trójki. Rozejrzałam się dookoła i gdy zainteresowałam się czerwonymi pąkami róż ustawionymi na dębowej komodzie w gładkim, szklanym wazonie, Walentyna zmieniła szpilki na wygodne, czarne baletki i machnęła na nas dłonią. Zaprowadziła nas do salonu. Jasne ściany i skromny wystrój nadawał temu pokojowi smaku. Jedynym intensywnym kontrastem kolorystycznym wśród szarości, bieli i czerni była intensywnie czerwona kanapa i dwa fotele, które przypominały barwą trzy krople krwi na jasnym marmurze. Usiadłam na kanapie

razem z Fleshem, a Walentina rozsiadła się na jednym z foteli. Założyła nogę na nogę, a potem wpatrzyła się w naszą dwójkę z zaciekawieniem.

Flesh był już w całkowicie ludzkiej formie — pozbył się z widoku rogów, skrzydeł i demonicznych oczu. Mimo wszystko ta wiedźma widziała w kościele jego prawdziwą naturę. I nie przejęła się tym zanadto. Być może wiedźmy były obeznane z ciemnymi zakątkami nadnaturalnego świata i innych wymiarów o wiele lepiej niż sądziłam dotychczas.

— Czy ksiądz na pewno się nie obudzi? — zapytałam, przerywając ciszę. — Wołałabym nie mieć wściekłego, oszalałego wilkołaka na pace swojego samochodu.

Walentina posłała mi słodki uśmiech.

— Moje zaklęcie będzie działało jeszcze godzinę. Obudzi się dopiero, gdy skończymy naszą słodką pogawędkę. Będiesz mogła wtedy zaprowadzić go przed samo oblicze jego Alfya.

Nie byłam pewna, czy rozmowa z Samuelem tuż po tym, jak jego ciężarna żona niemal nie zginęła pod walącym się dachem kościoła razem ze mną, jest dobrym pomysłem. Tym bardziej, że kolejny wilk z jego stada miał coś na sumieniu i musiałam postawić go przed stadem w roli oskarżonego. Westchnęłam pod nosem. *To będzie ciężkie kilka godzin.*

— Możesz mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? — Czułam wściekłość i zbliżający się ból głowy. — Co takiego zrobił ten psychopatyczny klecha, że usunęłaś zaklęcie chroniące kościół?

Walentina zrobiła zaskoczoną minę, a potem uśmiechnęła się ponuro.

— Co zrobił? Jedyne co zrobił, to rozkazał mi zniszczyć to zaklęcie kilka dni temu. Sprowadził mnie do świątyni i zażądał cofnięcia zaklęcia ochronnego, za które niegdyś bardzo słono zapłacił. Takie zaklęcia są niezwykle potężne i skuteczne, a nikt nie założyłby jednego z nich lepiej niż ktoś z mojej rodziny. Byłam wielce zdziwiona i podejrzliwa, ale klient nasz pan. — Wzruszyła lekko ramionami. — Nie miałam pojęcia, dlaczego tego chciał. Póki nie doszły mnie wieści o dzisiejszym... wypadku i o tym, że znalazłaś się pod gruzami.

— Jakim cudem ten wilk wiedział, że zjawię się w kościele i będzie okazja, by mnie zabić? — Wyprostowałam się na siedzeniu, ledwie rejestrując, że Flesh kładzie mi dłoń na ramieniu. — Spotkanie w kościele nie było planowane. Wybrałam to miejsce spontanicznie, do cholery. Ale skoro chciał zniszczenia zaklęcia kilka dni wcześniej, musiał jakoś wiedzieć o... Musiał coś wiedzieć.

Walentina lekko skrzywiła usta.

— Wypytałam moje krewne, czy wiedzą coś na temat tego księdza. — Poprawiła się lekko na siedzeniu. — Z tego co się dowiedziałam, tuż przed zniszczeniem przeze mnie zaklęcia, wilkołak złożył wizytę mojej babce i zapłacił jej za przepowiedzenie przyszłości.

Zamarłam w miejscu, a potem zakłęłam siarczyście. *Oczywiście, wróżenie przyszłości u Sereny Burns*. Serena Burns była jedną z najstarszych przedstawicielek rodu i posiadała potężny dar jasnowidzenia. Jej wizje zawsze się sprawdzały, tyle wiedziałam z plotek okolicznych nadnaturalnych oraz obcokrajowców, którzy zlatywali do miasta jedynie po to, by spotkać się z wiedźmą osobiście i poznać swoją przyszłość. Nigdy nie spotkałam się z Sereną twarzą w twarz, jednak słyszałam o niej bardzo wiele.

— Zobaczyła w swojej wizji, że spotkasz się z kimś w kościele — wymruczała ściszym tonem Walentina. — Nie знаła dokładnej daty, jedynie przeczuwała, że zdarzy się to niedługo. Tuż po tym wilkołak wezwał mnie do siebie i rozkazał zdjąć zakłęcie. Chciał dać pole do manewru tym, którzy chcieli cię zabić. Nie wiem jednak, kto mógłby...

— Wampiry — warknęłam pod nosem, co zabrzmiało jak syk wściekłego węża, którego ktoś niedelikatnie dźgnął kijem. — To wampiry się na mnie zasadziły. Śledziły mnie, a potem zastawiły pułapkę. Wyczuwałam, że coś jest nie tak z zakłęciem ochronnym, jednak nie sądziłam, że zostało całkowicie usunięte. — Teraz wściekłość niemal gotowała mi krew.

— Dlaczego wampiry cię śledzą? — Głos Walentyny ociekał ciekawością. — Czyżbyś złamała pakt z Mistrzem chmary?

Podniosłam na nią dziki wzrok. W bliznach na nadgarstkach napromieniował przeszły ból, a w moim gardle utkwiał gniewny pomruk. Zaciśnęłam palce tak mocno, że paznokciami niemal przebiłam skórę do krwi. Wstałam powoli z mięśniami naprężonymi do granic możliwości. Walentina śledziła mnie wzrokiem. Jej oczy pociemniały na widok emocji palących się w moich źrenicach.

— To Quentin złamał pakt, gdy zlecił dwóm plugawym mordercom i handlarzom futer porwanie mnie, a potem obdarcie ze skóry. Więzili mnie, chcieli torturować, doszczętnie mnie zniszczyć, by sprzedać mój grzbiet na czarnym rynku. To Quentin złamał pakt, gdy wysłał swoich posłańców, by napadli na moich towarzyszy. To Quentin złamał pakt, spiskując ze zdrazieckim wilkołakiem, który wtargnął na moje terytorium i zbrukał je niewinną krwią. — Czułam, jak w moich mięśniach buzuje siła Banshee. — Ten cholerny krwiopijca złamał porozumienie, a teraz próbował mnie zabić. Kolejny wilk spiskował z tą pijawką, by mnie dorwać. Wampiry szykują armię, by powybijać wilkołaki do nogi, ale przedtem chciały pozbyć się mnie.

— Zaraz, zaraz, poczekaj! — zawołała Walentina, unosząc dłonie do góry. — Opowiedz mi wszystko od początku. Chronologicznie. Chcę być dokładnie poinformowana, żeby wszystko poukładać sobie w głowie.

Więc jej opowiedziałam. Flesh dopowiadał za mnie boleśniejsze części historii, na przykład te o zabójstwie Bruno lub porwaniu przez ludzi. Nie pominęliśmy niczego. Walentina słuchała nas z uwagą, nie odzywając się i nie

przerywając. Z każdym elementem tej ponurej układanki jej twarz nabierała surowego, twardego wyrazu. Wyglądała niczym wojownicza bogini wykuta w marmurze gotowa strzelić piorunem w swych wrogów.

— Quentin nie tylko złamał porozumienie z tobą i chce wybić klan wilkołaków, ale jest także odpowiedzialny za śmierć niewinnych ludzi. — Głos wiedźmy pobrzmiwał magią, która smakowała na moim języku niczym ozon. — Jego zachowanie jest niedopuszczalne, tak samo jak i czyny. Wiedźmy Burns od wieków były neutralnym rodem i nie pomagały żadnej ze stron w wojnach, jednak chyba pora to zmienić. — Powstała i zrównała się ze mną wzrokiem. — Porozmawiam z moimi krewnymi, Łowczyni. Zapewniam cię, że im także nie spodoba się postępowanie tego wampira. Gdy tylko zapadnie wspólna decyzja, poinformuję cię o tym.

— Wasza pomoc byłaby nieoceniona — stwierdziłam cicho. — Dziękuję.

Walentina posłała mi lekki uśmiech.

— Zawsze obserwowałam cię i podziwiałam z daleka, Kiro. Czas, byśmy splotły swoje losy. — Podała mi dłoń. — Nawet jeśli moja rodzina nie weźmie udziału w starciu, ja na pewno postaram ci się jakoś pomóc. Trudno będzie nakłonić do zaangażowania się w wojnę klanowi wiedźm, które pozostawały poza konfliktami przez tysiące lat. Zabierz księdza przed oblicze jego Alfego. Chcesz zapewne, tak samo jak ja, żeby poniósł stosowną karę za swoje knowania. Splamił reputację mojej rodziny, wciągając naszą magię do swojego planu. Gdy tylko ukarze go jego Alfa, ja się nim zajmę.

Błysk w oku wiedźmy mówił dużo — wiedziałam, że gdy tylko Walentina Burns wprowadzi swoją zemstę w życie, z Jonathana Quinna niewiele zostanie. Jak mówiłam, zemsta wiedźmy potrafi być naprawdę straszliwa. Zwłaszcza ród Burns, który ceni sobie honor, potrafi zrobić wiele, by ten który splamił ten honor, zgnił w piekle.

Gdy wraz z Fleshem wychodziliśmy z rezydencji, czułam na plecach wzrok Walentyny. Obróciłam się na moment, by zobaczyć jej elegancką sylwetkę opartą o jedną z ozdobnych kolumn. Podziwiałam ją — zarówno jej siłę, jak i postawę moralną. Była potężna, nie tylko kiedy chodziło o magię, ale i charakter.

Tak jak zapowiedziała wiedźma, Jonathan obudził się dopiero teraz i leżał na pace samochodu, walcząc z więzami na rękach, nogach i kneblem w ustach. Spiorunował mnie wzrokiem i zaczął się mocniej szarpać. Pochyliłam się na tyle blisko, by poczuł mój oddech na swojej twarzy.

— Czas na małe spotkanie ze stadem, ty plugawa, zdradziecka zmijo — zamruczałam, wbijając w niego zimne spojrzenie. — Zobaczymy, jak przyjmie cię w swoje ramiona Samuel, gdy opowiem mu historyjkę o złym wilku, który poświęcił wiele pieniędzy, szacowną świątynię oraz własny honor, by spiskować z wampirami. Na pewno będzie ucieszony.

Na moje słowa Jonathan szarpnął się jeszcze mocniej, a w jego oczach załśniły łzy wściekłości. Wyczułam w jego zapachu strach i uśmiechnęłam się drapieżnie, odsłaniając zęby.

Wsiadłam za kierownicę i poczekałam, aż Flesh ulokuje się na miejscu pasażera. Kiedy silnik zamruczał, poczułam dreszcze biegnące po plecach. Już powoli zaczynało świtać, więc ulice miasta stopniowo zapełniały się samochodami. Wybrałam okrężną drogę poza granicami mieszkalnymi, by nikt nie zauważył naszego pakunku z tyłu samochodu. Ksiądz tak obijał się o pakę, że miałam ochotę go ogłuszyć.

— W ogóle się do mnie nie odzywasz — wyrzuciłam z siebie, przerywając ciszę panującą w samochodzie. — Jeśli chodzi ci o mój atak na ciebie, dobrze wiesz, że nie było to zamierzone. — Zerknęłam w kierunku jego poszarpanej koszuli.

Rzucił mi krótkie spojrzenie.

— Nie chodzi o to, Kira. — Jego głos wibrował w mojej głowie niczym muzyka. — Porozmawiamy o tym później, na spokojnie.

— Teraz mamy czas — odparłam zirytowana jego chłodnym tonem. — Czemu nie chcesz...

— Porozmawiamy w domu — warknął ostro, przerywając mi. — Skup się teraz na drodze.

Wyczuwałam bijącą od niego złość. Zaskoczona jego tonem i na wpół rozgniewana, nadepnęłam energicznie na pedał gazu. Samochód wystrzelił do przodu, aż ciało Jonathana z hukiem poleciało na tył naszej kabiny. Zignorowałam to, tak samo jak bolesny jęk wilkołaka stłumiony kneblem i dalej jechałam prosto przed siebie, nie zwalniając nawet trochę. Flesh nie skomentował tego w żaden sposób — powiedział swoje, obrócił się twarzą do okna i zamilkł ponownie, siedząc nieruchomo jak kamienny posąg.

Oprócz tej krótkiej wymiany zdań, podróż na tereny wilkołaków minęła w całkowitym milczeniu, które wydawało się równie ciężkie co zwalisko cegieł, które przygniotło mnie podczas wybuchu w kościele. Rana na plecach goiła się wolniej, gdy byłam w ludzkiej formie, jednak ciągłe manewrowanie między zmianą postaci mogło zniszczyć szwy, które Charlotta założyła z chirurgiczną precyzją. Mogłam się założyć, że nie zostanie po tej ranie nawet malutka blizna.

Gdy tylko zobaczyłam z daleka ścieżkę prowadzącą do ruin starej fabryki, wjechałam na nią z ostrym zakrętem, aż Flesh wpadł na drzwi samochodu. Posłał mi gniewne spojrzenie, a ja odpowiedziałam mu tym samym. Zaparkowałam dopiero niedaleko licznych lamp, które oświetlały blaskiem zebrane na miejscu wilkołaki. W światłach mojego wozu widziałam stężałe, chłodne twarze członków stada, w tym także Samuela, który na mój widok momentalnie zmrużył powieki. Obok niego stał Aidan napięty jak struna ze wzrokiem wbitym prosto we mnie. Nie

był zadowolony, że widzi mnie żywą. Tak samo z resztą jak większość tutaj obecnych.

Szłam w kierunku Alfy spokojna i opanowana. Kilka par szczęk kłapnęło blisko mnie na tyle, bym rozejrzała się po twarzach wilków. Samuel nie zareagował, jednak jego mina jeszcze bardziej się zachmurzyła. Stałam przed nim, dyskretnie szukając wśród zebranych Katherine, jednak jej nie odnalazłam. Miałam ochotę zobaczyć ją na własne oczy i upewnić się, że nic jej się nie stało. Upewnić się, że naprawdę żyje.

— To była ciężka noc, Samuelu. — Spojrzałam mu prosto w oczy. — Jak się miewa Katherine?

Na wspomnienie żony, ku mojemu zdziwieniu, spojrzenie Samuela natychmiast złagodniało i niemalże zasnuło się łzami. Większość wilków ze stada zawyło, a potem warknęło na mnie. W nocnym powietrzu świstały zęby i dało się słyszeć chóralne kłapanie zębami.

— Dość! — Donośny głos Alfy poniósł się po równinie niczym grzmot. — Przestańcie, druhowie! Powinniście szczerzyć kły na naszego wroga, a nie sojusznika. Kira Santiago uratowała dzisiaj Omegę naszego stada! Uratowała moją żonę — powiedział ciszej, kierując na mnie jaśniejsze spojrzenie. — Uratowałeś Katherine oraz nasze nienarodzone dziecko. Nawet nie wiesz, jak wielka jest moja wdzięczność.

Zamilkł, tak samo jak całe stado. Obejrzałam się zaskoczona, a potem ponownie spojrzałam na Samuela. I natychmiast odwróciłam wzrok, gdy w jego oczach ujrzałam ślady łez. Ściskanie w żołądku niemal pozbawiło mnie tchu. Zawsze uważana w oczach tych wilkołaków za potencjalnego wroga, teraz widziałam wzruszenie i wdzięczność ich przywódcy. W jedną noc zdobyłam to, czego wilki nie potrafiły mi dać nawet wtedy, gdy zaoferowałam im pomoc w przygotowaniu się do wojny z wampirami — zaufanie. Wprawdzie większość stada nadal patrzyła na mnie wrogo, jednak mi ufali. Bo uratowałam Omegę. Uratowałam Katherine.

Poczułam palące łzy zbierające się pod powiekami. Oprócz zaskoczenia i niedowierzania pojawił się także gniew. Banshee podsyciła go, gotowa do wzniecenia kłótni.

— Nigdy nie usłyszałabym od ciebie o wdzięczności, gdyby nie dzisiejsza noc, prawda? — Uniosłam głowę, wbijając ostre jak brzytwa spojrzenie w zdziwionego i zbitego z tropu Samuela. — Gdybym nie uratowała Katherine, nadal nie byłabym godna twego zaufania i wdzięczności. Nawet wtedy, gdy ostrzegłam cię przed spiskiem Quentina, chociaż wcale nie musiałam. Nawet wtedy, gdy postanowiłam pomóc twemu stadu w wojnie z wampirami. Gdyby nie zamach w kościele, gdy osłoniłam twoją żonę własnym ciałem, nigdy byś mi nie zaufał.

Samuel słuchał moich słów najpierw z zaskoczeniem, a potem ponurym potwierdzeniem. Wiedziałam, co oznaczała iskra w jego źrenicach — wszystko, co przed chwilą powiedziałam, było prawdą. Nie protestował, nie tłumaczył się, tylko milczał. Aidan patrzył to na niego to na mnie, próbując ustalić, o co właściwie chodzi naszej dwójce.

— Chyba nie oczekiwałaś, że od razu ci zaufam, Łowczyni? — powiedział po krótkiej przerwie Samuel chłodnym głosem bez śladu poprzedniego wzruszenia. — Od kiedy pojawiłaś się w tych okolicach kilka lat temu, codziennie ja i moje stado żyliśmy w niepokojach. Byłaś drapieżnikiem, którego nie mogliśmy zignorować. Zawarłaś z nami sojusz, jednak i tak stanowiłaś zagrożenie. Dla wszystkich. Owszem, ostrzegłaś nas przed wampirami i pomogłaś w treningu, jednak twoje intencje nadal były samolubne. Chciałaś pomóc nam tylko dlatego, by Quentin nie mógł zwyciężyć. Zrobiłaś to, ponieważ nienawidzisz Mistrza i chcesz, by zginął. Nie możesz zabić go oficjalnie, inaczej stałabyś się celem jego ludu, więc postanowiłaś wysłużyć się nami. Nie wmawiaj mi, że pomogłaś stadu z dobrej woli i szlachetnych pobudek. Pomogłaś stadu, gdyż chciałaś, by stało się środkiem do osiągnięcia twojego celu.

Stałam przed nim zupełnie zeszywniała. Aidan wbił spojrzenie w profil swojego przywódcy. Iskra niedowierzania w jego oczach dała mi do myślenia, jednak odłożyłam to na bok. Słowa Samuela mnie zabolowały mimo faktu, że nigdy nie był mi tak bliski jak moi towarzysze z dawnych lat. W ciągu ostatnich tygodni nabrałam do niego sympatii, która jednak teraz rozwiała się niczym obłok pary w porannym powietrzu. Nie byłam już częścią stada Samuela. Ponownie byłam Kirą Santiago, Łowczynią, Ogarem Boga. Postrachem nadnaturalnych. Morderczynią. Wyrzutkiem.

Moje spojrzenie stało się puste, tak samo jak twarz. Flesh stojący za moimi plecami zacisnął pięści i zrobił krok w stronę Alfego. Powstrzymałam go krótkim uniesieniem dłoni w całkowitym milczeniu. Stałam nieruchomo przez kilkanaście sekund, czując chłód pełzający po ciele. Aż w końcu uniosłam podbródek i spojrzałam na Samuela wzrokiem zimniejszym niż północny wiatr, który przesypuje perłowobiałe zasy pył śniegu na szczytach gór. Na ten widok Alfa mimowolnie drgnął, jakby wsadził palec do gniazdka elektrycznego. Moje oczy pozostały ludzkie, jednak kłębiący się w nich mord był czysto zwierzęcy, dziki i pierwotny niczym duchy lasu. Nawet Banshee, wyczuwając moje emocje, skuliła się w sobie.

— Zdaje się, że już wszystko sobie wyjaśniliśmy — zamruczałam powoli cichym, łagodnym głosem, śpiewnym niczym szum wodospadu. — A teraz, jeśli pozwolisz, zajmiemy się czymś innym. Otóż przyprowadziłam ci gościa, Samuelu. — Na dźwięk swojego imienia twarz Alfego stężała w ponurym wyrazie.

Podeszłam do samochodu, a potem jednym ruchem ręki wyciągnęłam z paki

Jonathana, jakby był lżejszy od worka pełnego ptasiego puchu. Jego plecy grzmotnęły o ziemię. Złapałam go za kark, uniosłam na nogi, a potem poprowadziłam wprost przed oblicze Alfego, nie zwracając uwagi na jego skrępowane nogi. Ksiądz kulił się przed moim mocnym dotykiem i jęknął przez knebel, gdy rzuciłam go pod nogi przywódcy niczym ochłap zgniłego mięsa.

Wsadziłam dłonie do kieszeni płaszcza i spojrzałam na wilkołaka u swych stóp z nieukrywaną pogardą i gniewem.

— Co to ma znaczyć? — warknął Samuel, wpatrując się w Jonathana z niedowierzaniem. — Jak śmiesz więzić jednego z moich wilków?

— Więzić? — Mój głos był słodki i zatroskany niczym u pięcioletniej, niewinnej dziewczynki. — Ja tylko zaprosiłam go przed twoje oblicze. Uważam, że powinniście odbyć ze sobą szczerą rozmowę. Twój wilczek powinien się porządnie wypowiadać ze swoich małych i wielkich grzeszków.

Po policzkach Jonathana popłynęły łzy strachu i wściekłości. Miałam ochotę wymierzyć mu porządnego kopniaka, który zapewne pogruchotałby mu kilka żeber, jednak powstrzymałam się od tego.

— Wytłumacz to, Łowczyń — niemal wrzasnął Samuel.

— Ostatnim razem, gdy przyprowadziłam członka twojego stada przed twoje oblicze, nie skończyło się to dobrze. — Uśmiechnęłam się promiennie. — Tej sprawie także nie wróżę happy endu.

Policzki Samuela nabiegły krwią.

— Wytłumacz to i to natychmiast!

— Twój zacny wilczek, jakże wspaniały duchowny, na którego spłynęła łaska Boża, rozkazał jednej z wiedźm Burns, by zniszczyła zaklęcie ochronne założone w kościele po to, by wampiry miały okazję mnie zabić. — Nie mogąc dłużej się powstrzymać, kopnęłam Jonathana w bok. — Wcześniej najstarsza z rodu Burns przepowiedziała mu przyszłość, dzięki czemu dowiedział się o moim spotkaniu z twoją żoną zanim w ogóle wpadłam na pomysł, by je zorganizować. Spiskował z Quentinem, by pogrążyć mnie pod gruzami własnej świątyni. — Złapałam księdza za włosy i boleśnie odchyliłam jego głowę do tyłu. — Nie taki z ciebie święty, zapchlony kundlu.

— Dość! Puść go, do cholery! — wrzasnął na mnie Samuel.

Powoli puściłam włosy Jonathana i spojrzałam na Alfego z wyższością i znudzeniem. Wilkołak był wściekły.

— Osądź go tak, jak uważasz, że zasłużył — powiedziałam spokojnym tonem. — Wbrew moim osobistym zasadom nie zabiję go za to, że spiskował przeciwko mnie. Zostawiam go tobie. Jednakże... — Podniosłam palec do ust i uśmiechnęłam się, jakbym miała słodki sekret, którym bardzo chcę się podzielić — ...pragnę cię ostrzec, że jedna z wiedźm Burns ostrzy sobie na niego zębki. Radzę nie wchodzić jej w drogę. Zapach sierści przypalanej magią jest

wyjatkowo obrzydliwy i trudno się go pozbyć.

Roześmiałam się pod nosem niczym z dobrego kawału, a potem obróciłam się tyłem gotowa odejść do samochodu. Najpierw usłyszałam trzask pękających ubrań, a potem dziki warkot unoszący się w mroźnym, zimowym powietrzu. Wykrzywiłam usta i z reflekssem prawdziwego drapieżnika obróciłam się przodem do atakującego wilka. Powaliłam go na ziemię gołymi rękami, a potem zrzuciłam płaszcz, by móc się przemienić. Moja potężna sylwetka zasłoniła cieniem kłapiące szczęki Samuela, a także jego rozszalałe oczy. Pochyliłam się nad nim szczerząc zęby. Wystarczył jeden ruch paszczy, by urwać mu głowę niczym plastikowej lalce. Oblizawałam wargi, pozwalając na to, by kapka ciepłej śliny spłynęła po dziąsłach prosto na futro Samuela. Warknął z głębin gardła, wiercąc się w uwięzi pomiędzy moimi łapami.

— Jeden fałszywy ruch, a stracisz trochę kłaków — zamruczałam półludzkim głosem tuż przy uchu Alfy. — Dzisiaj udowodniłeś, że nasza współpraca była tylko plastikową powłóczką. Pozorami. Uznałeś, że ty i twoje stado już dosyć się ode mnie nauczyliście i czas zrzucić maskę uprzejmości, co? — Wyszczrzyłam kły. — Nie będę rujnować twojego zamysłu. Atak na mnie to gruby błąd, Samuelu. — Zaczęłam szeptać. — Nim właśnie przypieczętowałeś swój los. Swój oraz swojego stada. Sojusz uważam oficjalnie za zerwany. — Widziałam, jak w wilczych oczach wilkołaka lśni strach. — Od dzisiaj nie spodziewaj się, że będę szukać pokojowych rozwiązań. Uraź mnie jednym słowem, zabiję. Wydarzy się to także, jeśli urazi mnie któryś z twoich wilków. — Rozejrzałam się po tłumie zgromadzonego w pobliżu stada obserwującego całą scenę z przerażeniem i gotowością do walki. — Wezmę udział w bitwie, jednak moim celem będzie tylko Quentin. Reszta tych krwiopicców należy do ciebie.

Odsunęłam się, a potem kłapnęłam zębami na boki, odganiając z daleka mężczyzn oraz kobiety, które drżały na widok mego gniewu. Aidan stał w tym samym miejscu, przyglądając się wszystkiemu z kamienną twarzą. Wyraz jego oczu mnie zaniepokoił.

— Przyjrzyj się temu, samcze Beta — powiedziałam, strzygąc w jego kierunku uszami. — Na twoim miejscu porządnie bym się zastanowiła czy Alfa, który atakuje swego sojusznika od tyłu, jest godny twej szlachetnej lojalności.

Aidan nie odpowiedział na moje słowa, jednak sztywność jego ciała oraz chłód w oczach, gdy rzucił spojrzenie swemu Alfemu, mówiło więcej niż słowa. Obróciłam się z powrotem w kierunku Samuela, który zdążył już podnieść się na cztery łapy. Obnażał kły, jednak w ciszy. Zniżyłam łeb, by móc zrównać się z nim wzrokiem.

Właśnie straciłeś swego najpotężniejszego sprzymierzeńca. Jeśli teraz

wiedzmy Burns nie zechcą pomóc ci w bitwie, przewiduję, że czeka cię rychła śmierć. Ciebie oraz twoją watahę — powiedziałam twardym głosem, oplatając nimi świadomości jego umysł; bronił się, jednak byłam zbyt silna.

Puściłam jego myśli po minucie, dając mu wyraźnie do zrozumienia, że tylko dzięki mojej woli pozbył się mego wilka ze swojego umysłu. Kolejna słabość, którą posiadał, mierząc się ze mną.

Ominęłam Alfę z pełną pogardy obojętnością, przemieniłam się i nasadziłam na nagie ramiona płaszcz Flesha, wcześniej odrzucony na bok. Sam demon stał w pobliżu podczas potyczki, a teraz bez słowa usiadł na kierownicę mojego samochodu. Nie zaprotestowałam. Gdy chciałam wejść do środka, poczułam na swoich plecach wzrok Aidana. Obróciłam się powoli, by na niego spojrzeć. W jego oczach widziałam bitwę, którą toczył wewnątrz siebie. Prawy rycerz, który zobaczył skazę w swoim ukochanym stadzie i u swego przywódcy, któremu był wierny i oddany. Gotów za nich zginąć. Pierwszy raz od kiedy zrozumiałam, jak szlachetny był ten wilkołak, było mi go szczerze żal.

— W tym świecie nie ma miejsca dla rycerzy — powiedziałam na głos, wiedząc, że doskonale mnie usłyszał. — W tym świecie nie uratuje cię prawość i nie uszlachetni lojalność. Lojalność to nakładanie sobie samemu kagańca i służenie komuś, kto na to nie zasługuje. — Rzuciłam pogardliwe spojrzenie w stronę Samuela. — Bądź lojalny tylko wobec siebie, a wierny swym najbliższym towarzyszom. Tylko wtedy zdołasz przeżyć, ciesząc się prawdziwą wolnością.

[1] Odwołanie do jednego z czterech Jeźdźców Apokalipsy z *Apokalipsy św. Jana*. *Apokalipsa* wymienia z imienia tylko czwartego jeźdźca — **Śmierć** i jego towarzyszkę **Otchłań**.

Rozdział XIX

~ FLESH ~

Jechałem powoli w stronę miasta, gdy Kira wreszcie przerwała milczenie. Przez ostatnie kilka minut siedziała nieruchomo wpatrzona w boczną szybę i ośnieżone pola oraz las w blasku wschodzącego, mglistego słońca, które nie dawało ciepła, jednak oświetlało pograżony w ciszy zimowego poranka krajobraz.

— Wjedź do lasu, Flesh — powiedziała cicho, nie patrząc w moim kierunku i nie zmieniając pozycji nawet o milimetr.

Najpierw uważnie przyjrzałem się jej profilowi, jednocześnie bez problemu manewrując kierownicą, a potem zjechałem w bok na drogę prowadzącą między gęste, ciemne drzewa oblane szkarłatnym blaskiem porannego, zimowego słońca. Kira minimalnie przekręciła głowę i spojrzała w ścianę świerków. Chciałem wiedzieć, o czym myślała w tamtym momencie, ale nie mogłem liczyć na to, że mi to powie. Zmieniła się — gdy tylko wybudziła się wtedy, gdy Charlotta skończyła zszywać ranę, przez moment... nie była sobą. W jej oczach nie widziałem ludzkiego błysku, który zawsze towarzyszył przemianie w bestię. Była zwierzęciem — w czystej postaci. Nawet jej zapach się zmienił. Zmieniła się jej energia, na ten jeden krótki moment. Ale gdy tylko dzikość i ta obcość zniknęła z jej wzroku, ponownie stała się Kirą. A jednak niezupełnie sobą. Incydent z Samuelem mnie w tym utwierdził. Wystarczył impuls ze strony wilka, by pojawiło się w Kirze coś, co nigdy nie można by nazwać ludzkim. W jej oczach lśniła wyłącznie natura wilka. Była Ogarem, o którym tak wiele czytałem w księgach swych pobratymców. Boskim Ogarem, który w opowieściach był potężniejszy od samego Lucyfera. Ogarem Boga, prawdziwym Aniołem Śmierci.

„Prawdziwa bestia, potężniejsza od swych pobratymców, których krew ją zrodziła — potężniejsza od wilkołaków, wampirów, a nawet równa potężniejszemu rodowi Nas, demonów — dzieci Piekieł zrodzonych z ognia, dymu i smoły.”

Co wywołało w niej tak diametralną zmianę? Podejrzewałem tylko jedno — najwidoczniej została zdradzona i upokorzona o jeden raz za dużo.

Zaparkowałem tuż przed rzędem drzew i odpiąłem pasy. Gdy się obejrzałem, Kira była już na zewnątrz. Zostawiła otwarte drzwi. Wyszedłem za nią, przeczuwając w powietrzu kłopoty. Właściwie przeczuwałem je od momentu, gdy Kira wynurzyła się z oparów mroku i ożyła, niemal rozszarpując na ślepo gardło Charlottcie i reszcie zebranego towarzystwa.

Łowczyni przeszła kilkanaście kroków, zanim przystanęła. Widziałem tylko jej plecy, unoszące się pod płaszczem, gdy głęboko wdychała powietrze. Nie przeszkadzało jej, że po swojej nagłej przemianie została bez butów i teraz stała po kostki w zimnym śniegu.

— Czy rozsądnie jest zrywać pakt z watahą tuż przed bitwą? — zapytałem, wpatrując się w nią intensywnie, jakby wzrok mógł przeświecić kości, mięśnie i krew, aby dotrzeć do najciemniejszych zakamarków umysłu. — Miałas pomóc im w bitwie. Co jeśli...

— Samuel ma wyszczekaną mordę — powiedziała głośno, przerywając mi. — Skoro uważa, że zdoła pokonać wampiry już teraz, niech to zrobi. Z wielką chęcią popatrzę na to z boku, sącząc swojego ulubionego drinka.

Zmarszczyłem brwi. Jej głos był twardy, a jednocześnie obojętny i chłodny.

— Chcesz patrzeć, jak umierają? — W moim tonie pobrzmiwał gniew.

Jej głowa obróciła się o kilka stopni, aż zza zmierzwionych kosmyków włosów ujrzałem złote oko lśniące niczym płynne złoto. Drugie oko błyskało srebrem niczym ostrze noża. Spojrzenie miała puste i równie nieczułe co głos wypowiadający kolejne słowa.

— Samuel czerpałby radość, patrząc, jak umieram ja, a potem moi towarzysze. Od początku uważał ich za morderców i kryminalistów. A ja? — Posłała mi krzywy uśmiech tak lodowaty, że piekło mogło od niego zamarznąć. — Ogar Boga zawsze był, jest i będzie potępianą przez wszystkich bestią, uważaną za nic niewarte ścierwo. Morduję, by utrzymać porządek w mieście, ale nikt o tym nie pamięta. Wszyscy myślą tylko o tym, że jestem na szczycie łańcucha pokarmowego, a oni nie mogą tego zmienić. To jest jak kurtyna, która zasłania im fakty, które mają tuż przed swoimi oczyma. Nigdy nie zabiłam niewinnego człowieka, ani nikogo takiego z nadnaturalnej społeczności. Nigdy nie zabiłam dla przyjemności. Nigdy nie zabiłam po to, by po prostu zabić. — Jej twarz ani drgnęła, przeobrażając się w maskę. — Przez lata starałam się zdusić w sobie człowieczeństwo. Stłamsić najmniejsze choćby oznaki słabości i emocji, które mogłyby sprawić, że moja ręka dzierżąca dłoń zadrżałaby w najważniejszym momencie. A teraz, gdy przez ostatnie tygodnie dopuściłam do siebie współczucie oraz chęć niesienia bezinteresownej pomocy niczym matka Teresa... Jak na tym wyszłam? — Rozłożyła ramiona, jakby rzuciła to pytanie prosto w twarz Boga. — Co na tym zyskałam?!

Jej głos poniósł się echem wśród drzew. Z koron świerków uleciały przestraszone ptaki, a w oddali wyłapałem szaleńczy bieg spłoszonego jelenia.

— Zyskałaś wiele w oczach nie tylko swych przyjaciół, ale i innych — powiedziałem, zbliżając się do niej powoli. — Gdyby nie twoja dobroć i poświęcenie, nie uratowałabyś Josepha. Gdyby nie twoje współczucie, nie uratowałabyś Sonyi z tego piekła, które zgotowali jej tamci ludzie. Gdyby nie twój

altruizm, wilkołaki byłyby niemal bezbronne w obliczu nadchodzącej armii wroga.

W głuchej ciszy usłyszałem jej śmiech. Najpierw cichy chichot, który po kilku sekundach narastał, aż zmienił się w głośny, ochrypły śmiech, który zmroził mi krew w żyłach. To nie był ludzki śmiech, ani zwierzęcy — to był śmiech szaleńca. Opuściła ramiona powoli, a potem obróciła się do mnie przodem. Jej twarz ponownie wygięta była w promiennym uśmiechu, który widziałem podczas rozmowy z Samuelem. W jej oczach nie widziałem żadnych emocji.

— Dobroć, poświęcenie, współczucie, altruizm — wymieniała śpiewnym tonem, jakby to była dziecięca wyliczanka. — Wszystko to zawsze było czymś, co przeszkadzało mi w przeżyciu. Gdyby nie fakt, że chciałam upodobnić się do człowieka, nigdy nie stałabym się tak łatwym celem dla Quentina. Nadal byłabym drapieżcą, którego bali się wszyscy wrogowie, jak i neutralni obserwatorzy. Oraz potencjalne ofiary. — Spojrzała na mnie. — Pojawiłeś się ty i dołożyłeś do tych wszystkich słabostek swoje pięć centów. Dołożyłeś przywiązanie, które bardzo chciałam przekuć w coś więcej. Ale nie zrobię tego. Wręcz przeciwnie... Zduszę to uczucie w zarodku, zanim jeszcze bardziej zmąci mi umysł.

Poczułem się pusty w środku niczym wydrążona dynia na Halloween. Popatrzyłem na nią z niedowierzaniem, ale miała twarz nieruchomą niczym woskowy manekin. Miałem ochotę chwycić ją za ramiona i potrząsnąć, ale nie mogłem się poruszyć. Czuję się, jakbym miał ciało odlane z ołowiu. Jakby ktoś przywiązał mnie do płonącego stosu — czułem płomień wspinający się od stóp prosto do serca, które chciały spopielić je do cna.

— Chcesz zabić w sobie emocje tylko dlatego, że Samuel nie okazał się godny twego zaufania? — Żal powoli zmieniał się w nieokiełznany gniew. — Chcesz zmienić się w robota i porzucić uczucie, które do mnie żywisz, bo uważasz je za słabość? — Mój głos niemal zmienił się w głośny ryk. — Czy ty nie słyszysz, co mówisz? Nie widzisz, co ze sobą robisz?

Nadal była niewzruszona.

— Wiem doskonale, co mówię i robię, Flesh. Pierwszy raz od dawna wiem to tak jasno. — Moje imię w jej ustach zabrzmiało pusto i płasko. — I chcę, być wrócił do swojego świata tam, gdzie przynależysz i gdzie jest twoje miejsce. Nie mam zamiaru ani chęci odpowiadać na kolejne pytania z twojego żalosego wywiadu z Ogarem. Wracaj do swojego wymiaru, żebyś nie musiała czuć twojego oddechu na karku, gdy będę blisko dobrania się do Quentina.

— Mój oddech nie przeszkadzał ci, gdy się z tobą pieprzyłem — warknąłem agresywnie, obnażając zęby.

W jej oczach coś błysło, ale znikło za szybko, bym mógł odczytać z tego jakkolwiek emocję.

— Doskonale się bawiłeś, pieprząc się z legendą ze starych ksiąg, które tak namiętnie studiowałeś przez tyle wieków. — Była zimna i opanowana. — Teraz

czas, byś powrócił do tych legend i opowieści, bo ja nie chcę cię już widzieć na oczy. Wynoś się. Wracaj do domu, gdzie będziesz mógł dopisać do osobistych notatek, jak to jest dymać Boskiego Ogara.

Byłem wściekły. Moja magia wystrzeliła na boki niczym gorąca para. Oczy Kiry załśniły, a potem zabarwiły się na wilcze złoto w odpowiedzi na moją energię. Miałem wielką ochotę zrobić jej krzywdę za to wszystko, co powiedziała. Za to, co rzuciła mi prosto w twarz. Za to, że sprowadziła do parteru naszą więź i uczucie, traktując to wszystko tylko jako prosty, brudny seks.

Zanim zdołałem się opanować, moja ludzka zasłona całkowicie opadła. Rogi pojawiły się na widoku, tak samo jak skrzydła. Moje tęczęwki załśniły srebrem, a palce zacisnęły się w pięści. Stała nadal nieruchomo, lecz w jej źrenicach widziałem bojowy błysk. *Czyżby sądziła, że naprawdę ją skrzywdzę? Że chcę walczyć?* Te myśli bolały jeszcze bardziej niż jej poprzednie, jadowite słowa.

— Nie chcesz mnie widzieć, więc usunę się w cień. Ale nie zniknę całkowicie, o nie — zasyczałem, dając krok do tyłu. — Obiecałem, że zostanę, póki nie rozstrzygnie się wojna. I tak właśnie zrobię. Poza tym, mimo wszystko chcę pomóc twoim towarzyszom w walce. A ty zrobisz to, co uważasz za słuszne.

Wzniosłem się w powietrze szybko niczym jastrzęb, by nie zdążyła odpowiedzieć. Czułem jej wzrok na sobie, gdy znikalem wśród gęstych chmur, które już zbierały się na niebie, aby zasłonić słońce. Gdy zaczął padać drobny śnieg, pędziłem ponad lasami daleko... jak najdalej od tej przeklętej wilczycy, którą tak bardzo pokochałem.

~ KIRA ~

Coś ty zrobiła, Kira? — Oskarżycielski głos Banshee zadźwięczał mi w głowie niczym uderzenie pioruna.

Stałam nieruchomo, wpatrując się w horyzont, na którym sylwetka Flesha była już tylko niewielkim, czarnym punktem, który każdy mógł wziąć za odległy cień szybującego w pośpiechu kruka. W mojej klatce piersiowej serce tak mocno obijało się o żebra, że musiałam zacisnąć zęby z bólu. Przykucnęłam i schowałam twarz w dłoniach, lekko kołysząc się w przód i tył. Nie mogłam uwierzyć, że potrafiłam to wszystko powiedzieć tak zimnym, niewzruszonym tonem. Wszystkie słowa, które rzuciłam Fleshowi w twarz, teraz podchodziły mi do gardła niczym trucizna wymieszana z sokami żołądkowymi. Drżałam niczym liść na jesiennym wietrze, a na skórze pojawiła się gęsia skórka. Odgarnęłam włosy z twarzy, wymiotowałam na śnieg wszystko, co zjadłam w ciągu doby, a potem otarłam usta wierzchem dłoni.

Musiałam to zrobić — odparłam na pogardliwe pytanie wilczycy, zbierając się do pionu na drżących nogach, a potem powtórzyłam: *Musiałam to zrobić. Jeśli zapamięta mnie jako zimną, bezduszną sukę, łatwiej będzie mu się pogodzić z moją śmiercią.*

Scenariusz, który planowałam w samochodzie, a który odegrałam w wymienieniu, był okrutny i bolesny, a jednak skuteczny. Teraz, gdy wyjaśniłam dokładnie stosunki z Samuelem i wiedziałam, kiedy zaczyna się bitwa, mogłam zrealizować swoją misję samobójczą.

Nadal chcesz to zrobić?

Zignorowałam pytanie Banshee i wdrapałam się do samochodu. Nadal drżałam pod wpływem emocji i czułam łzy cisnące się pod powieki. Potarłam oczy palcami, ale to i tak nie pomogło. Nie mogłam się teraz załamać. Nie teraz, gdy miałam do wykonania zadanie, które mogło ocalić życia moich przyjaciół oraz członków watahy. A przynajmniej większości z nich.

Odpaliłam silnik, a potem ruszyłam w stronę swojego domu. Jechałam powoli, planując w głowie całą operację. Po długim czasie, gdy mój wóz wtoczył się do miasta, mój plan opierał się na trzech (względnie) prostych krokach:

- 1 — Wejść niezauważenie do górskiej siedziby Quentina
- 2 — Podłożyć odpowiednio przygotowany ładunek wybuchowy
- 3 — Podziwiać śmierć nowonarodzonej armii wampirzego Mistrza

Wydaje się dziecinnie łatwe, prawda? Gówno prawda. Zajechałam na swój podjazd i zgasłam silnik. Okna domu były ciemne i zasłonięte, a parking pusty. W środku nie było zatem nikogo oprócz Sonyi i zapewne także Sorena. Instynkt podpowiadał mi, że po sprawie ze zniszczonym kościołem, Sonya będzie chciała jak najszybciej opuścić miasto, tak jak wcześniej planowała. Jednak ten instynkt także mówił mi, że nie zrobi tego, zanim się ze mną nie pożegna.

Wysiadłam z wozu i skierowałam swoje kroki do środka. Już w momencie, gdy otworzyłam drzwi wejściowe, wyczułam bliską obecność Sorena. Spokojnie zdjęłam buty w korytarzu, kątem oka widząc jego sylwetkę w progu salonu. Czekał

na mnie, to nie podlegało żadnej wątpliwości.

— Wreszcie się pojawiłaś, wilczyco — powitał mnie chłodnym tonem demon, obserwując uważnie, jak poprawiam na sobie zapięcie płaszcza.

— Czekasz na mnie w konkretnym celu, Soren? — zapytałam obojętnie, przechodząc obok niego w drodze do kuchni. — Może chcesz zapytać, jak się czuję po wylezieniu spod gruzowiska?

Prychnął pod nosem, co dokładnie powiedziało mi, co myśli o stanie mojego zdrowia i jak bardzo się nim przejmuje.

— Sonya cię oczekuje. — W jego głosie zabrzmiała nowa nuta, której dotąd u niego nie słyszałam. — Jest spakowana i gotowa do drogi. Chce z tobą porozmawiać.

Powoli wyjęłam kubek z szafki, a potem odłożyłam go na blat kuchenny. *A więc miałam rację, pomyślałam z pewną goryczą. Grunt pali jej się pod łapami. Sytuacja z wampirami i wilkołakami nabrała bardzo niebezpiecznego tempa. Chce zniknąć. Rozpocząć wszystko od nowa już teraz, zaraz.*

Obróciłam głowę i spojrzałam na demona pobieżnie.

— Jest w mojej sypialni?

Tylko kiwnął głową na potwierdzenie. Westchnęłam cicho pod nosem, a potem ruszyłam do pokoju. Soren odprowadzał mnie wzrokiem tak samo chłodnym jak wcześniej.

Zapukałam do drzwi i czekałam, aż ze środka dobiegnie mnie pozwolenie. Sonya siedziała na łóżku ze zdrową nogą podwiniętą pod siebie. Obok niej na idealnie złożonej pościeli leżał duży, ciemnozielony plecak, który dałam jej po naszej szczerzej rozmowie na temat jej odejścia. W środku było kilka tysięcy dolarów w gotówce, nowy telefon z moim numerem komórki zapisanym w podręcznej pamięci, mały pistolet idealnie mieszczący się w kobiecej dłoni, trochę ubrań i myśliwski sztylet. Dziewczyna wtedy tylko spojrzała na niego krótko z winą wypisaną na twarzy.

Czekałam tylko chwilę. Po kilku sekundach od mojego wejścia, ku mojemu wielkiemu zdumieniu, Sonya szybko zerwała się z łóżka i otuliła moją szyję ramionami niczym mała dziewczynka. Przez kilka sekund stałam nieruchomo niczym posąg, a potem ostrożnie odwzajemniłam uścisk. Gdy Sonya cofnęła się do tyłu, jej oczy lśniły radośnie jak dwa kryształki lodu.

— Cieszę się, że nic ci nie jest — powiedziała cicho, a potem odchrząknęła. — Musiałam się upewnić, że żyjesz, zanim... odejdę. Nie chcę już dłużej czekać.

— Rozumiem cię — odparłam, patrząc jej w oczy. — Możesz wyruszyć poza miasto jutro z samego rana. Chcę, byś dzisiaj jeszcze spotkała się z Charlottą i wzięła od niej trochę ziół. Twoja noga będzie jeszcze jakiś czas potrzebować czegoś, co uśmierzy ból.

Sonya pokiwała głową, dając znak, że rozumie. Nawet pod materiałem grubych, ciemnych spodni widziałam wyraźną wypukłość bandaża owiniętego wokół łydki. Wydawała się czymś zmartwiona i przypuszczałam, że nie niedaleką wizją podróży w nieznanne. Nie, tu chodziło o coś zupełnie innego...

— Nadal wybierasz się na bitwę, prawda?

Miałam ochotę wykrzywić wargi. Zrozumiałam, że rozmyślała o swojej mglistej wizji, w której pojawiła się moja śmierć. Spojrzałam na jej młodą twarz o smutnych, starych oczach i cerze bladej jak pierwszy śnieg. Była świeża, piękna i miała wiele przed sobą. A ja nie.

Położyłam jej dłoń na ramieniu pocieszającym gestem, ale nie wiedziałam, co miałam jej powiedzieć. *Nie idę na wojnę, ponieważ wcześniej wyruszam samotnie na samobójczą misję? Nie, prawda nie zawsze mogła ukoić czyjeś nerwy. A zwłaszcza w tej sytuacji.*

— Muszę pomóc wilkołakom, a także moim towarzyszom najlepiej jak potrafię — powiedziałam na głos, starając się, aby mój głos nie zdradzał przy tych słowach. — A potrafię walczyć. I zginę bez mrugnięcia okiem, jeśli to uniemożliwi wampirom odebranie nam zwycięstwa.

— Rozumiem twoje podejście — odparła cicho Sonya, wpatrując się w odległy punkt ponad moim ramieniem. — Dlatego wyjadę jutro. I tak cię nie przekonam do zmiany zdania, a... Nie chcę patrzeć, jak umierasz.

Jej szczerość wprowadziła mnie w zdziwienie, ale i dumę. Tym razem to ja zainicjowałam uścisk, który nastolatka odwzajemniła bez wahania. Jej włosy pachniały moim szamponem, a ubrania znajomym płynem do płukania tkanin. Przymknęłam powieki, zapamiętując te szczegóły, jak i indywidualny, słodki zapach jej ciała, wiedząc doskonale, że szansa na to, że spotkamy się w niedalekiej przyszłości, jest znikoma. Niemal zerowa. Czułam się tak, jakbym musiała pogodzić się z odejściem własnego szczenięcia, które wyrusza, by poznać świat i odnaleźć własną ścieżkę życia.

Sonya miała łzy w oczach, ale dzielnie je ukrywała, tak samo jak ja ukrywałam swoje. Patrzyłyśmy na siebie przez krótki moment, zanim odwróciłam się w stronę drzwi. Nasze rozmowy zawsze były krótkie i rzeczowe, ale żadna z nich poprzednio nie nosiła w sobie tyle emocji co ta jedna, ta ostatnia.

— Zapamiętaj, kociaku — zaczęłam spokojnym głosem — by nie pakować łap tam, gdzie możesz stracić kilka palców. Jeśli kiedykolwiek pomyślisz o zemście na ludziach, którzy zlecili porwanie cię i są pośrednio odpowiedzialni za śmierć twojej rodziny, nigdy nie próbuj dopełnić sprawiedliwości sama. Na takie misje nigdy nie chodzi się samemu. — Uchyliłam drzwi. — Wezwij kogokolwiek z moich towarzyszy, jeśli zdecydujesz się na taki agresywny krok. Dopiszę do mojego numeru także kontakty do nich wszystkich.

— A czy mogę wezwać ciebie? — zapytała, kierując spojrzenie na moje

plecy. — Czy odpowiesz na moje wezwanie?

Obejrzałam się na nią, czując smutek przygniatający płuca i serce. Równie dobrze mogła zapytać mnie, czy naprawdę niedługo zginę. Stała pośrodku pokoju niczym krucha, niewinna istota i pytała mnie o wsparcie, wiedząc doskonale w głębi duszy, że nie przeżyję wydarzeń najbliższych tygodni. To właśnie widziała w swojej wizji, czemu cały czas chciała zaprzeczać. Na moich ustach pojawił się melancholijny, żalony uśmiech jak u smutnego klauna.

— Odpowiem na twoje wezwanie, słodki kociaku — rzuciłam głośno, nie zmieniając swojego wyrazu twarzy. — Choćby i zza grobu.

Spakowałam myśliwski nóż, pistolet oraz zapasowe ubrania do niewielkiego, czarnego tobołka i położyłam na pościeli pokrowce z mieczami. Wysunęłam ostrza, wzięłam po kolei każde z nich i wypolerowałam na błysk. Nie musiałam ich ostrzyć, były wystarczająco śmiertelne. Wpatrywałam się w nie oraz we własne, zniekształcone odbicie widniejące na powierzchni stali i rozmyślałam. Przed moimi oczyma raz po raz stawała wściekła i zraniona twarz Flesha. Ponownie poczułam burzę emocji, która targała mną wewnątrz podczas naszej kłótni.

Ponownie spojrzałam na mapę przysланą mi przez Rico na ekranie telefonu i wpatrywałam się w nią tak długo, aż niemalże wypaliła mi się pod powiekami. Zostawiłam komórkę na stoliku nocnym. Specjalna bomba wykonana na zamówienie w ciągu kilku godzin u jednego ze zmiennokształtnych parającego się piromanią była wielkości niewielkiej książki. Dorzuciłam ją do pozostałego sprzętu. Wybuchnie tylko wtedy, gdy wpiszę odpowiedni kod.

Joseph, któremu udostępniłam łóżko na piętrze, teraz stał na parkingu i palił papierosa. Po ostatniej dawce mojej krwi jego rany niemal całkowicie zniknęły, powoli też odzyskiwał dawne siły, a nawet nabierał ich nieco więcej. Cieszyło mnie to. Wampir nie mógł wrócić teraz do swojego domu, więc pomieszkiwał u mnie, tak samo jak Sonya.

Nie pożegnałam się z nikim. Ani z Charlottą, Fredericem, Silvyrem, Amelią, także Josephem. Nawet z Fleshem. Nie mogli wiedzieć, że dzisiejszego wieczoru zniknę na zawsze z ich życia. Sonya była w niewielkim stopniu świadoma, że groziła mi śmierć, ale nie miała pojęcia o mojej wyprawie w góry prosto ku kryjówece wampirzej armii Quentina. Nikt nie wiedział, oprócz Katherine, której zwierzyłam się w kościele, zanim zdarzył się tamten feralny wypadek.

Zrzuciłam ubrania, a potem narzuciłam na ramiona płaszcz Flesha. Nadal

wyczuwałam na jego materiale zapach demona i wciągałam go w nozdrza z uciskiem w żołądku. Wyciągnęłam specjalną uprząż na katany, a potem chwyciłam wszystko i ruszyłam do okna. Wyskoczyłam i w ostatniej chwili chwyciłam się parapetu okna na parterze. Postawiłam nogi bez szelestu na zamrożonej ziemi, nasłuchując uważnie. Słyszałam ciche echo spokojnych kroków Josepha na parkingu — lubił spacerować podczas palenia. Po niecałej minucie dotarł do mnie szcęk klamki, a potem trzaśnięcie drzwi. Gdy upewniłam się, że wampir schował się w środku, ruszyłam spacerem w stronę drogi, chowając się w cieniu. Wolałam nie ryzykować, że któryś z aktualnych domowników przypadkiem wyrzy przez okno i ujrzy mnie z daleka.

W odległości stu metrów od podwórka obejrzałam się i spojrzałam na sylwetkę domu z pewną nostalgią. Widziałam światło palące się w salonie. Po chwili jasna luna rozjaśniła także okno w sypialni na piętrze, w której ulokował się Joseph. Zakamuflowałam się wśród drzew na poboczu, gdy wampir wysunął głowę przez okno. Jego oddech zmieniał się w obłoczki pary na zimnie, a światło padające zza niego rozjaśniało jego złote loki wijące się na głowie w artystycznym nieładzie. Wiedziałam, że wypatrywał czegoś w mroku i przez moment miałam wrażenie, że spogląda prosto na mnie, więc wsunęłam się jeszcze głębiej w zarośla. Po kilkunastu sekundach Joseph wsunął głowę z powrotem do pokoju, a okno się zamknęło.

Czym prędzej ruszyłam piechotą poboczem. Musiałam rozpocząć swoją misję teraz, pod osłoną nocy, chociaż wątpiłam, że późna pora chociaż trochę uspiła czujność wampirów ukrytych w górach. Jednak w ciemnościach łatwiej się ukryć lub zgubić pogoń. Bomba ukryta w tobołku ciążyła mi niczym kamień, ale pomimo tego czułam się niesamowicie lekka. Na samą myśl, że to cudo natury wybuchowej mogło zmieść z powierzchni ziemi armię nowonarodzonych wampirów, a może nawet samego Quentina, czułam ogromne podniecenie. Chciałam widzieć tego krwiopijcę martwego, a najlepiej w wielu drobnych, krwawych kawałkach. Osobiste rozszarpanie go na strzępy spełniłoby moje ukryte marzenie, ale musiałam sobie tego odmówić. Gdyby nie stała za nim armia młodych wampirów, wtedy wyzwałabym go na pojedynek. Jednak w tej sytuacji musiałam posłużyć się podstępem.

Wędrowka w ludzkiej postaci była mozolna, a dotarcie do bazy, której lokalizację doskonale znałam dzięki Rico, w pojęciu praktycznym było niewykonalne. W połowie drogi, gdy po godzinie dotarłam do jaskini, w której niegdyś schroniłam się pod wieczornym polowaniem, musiałam zmienić postać. Zdjęłam, a potem zwinęłam płaszcz, który potem z trudem wcisnęłam do niemal zapełnionego tobołka. Jako wilk mogłam swobodniej wspinać się po skalnych półkach, chociaż to zadanie dla kogoś tak dużych gabarytów jak ja, nawet o wielkiej sile i zwinności, było trudne. Gdy dotarłam do połowy szczytu, ujrzałam

głębokie doliny górskie w połowie ukryte pod wiszącą nisko wilgotną mgłą. Stałam przez kilka długich minut nad tymi obłokami, zagarniając wzrokiem rozległe równiny pogrążone w martwej, wszechogarniającej ciszy. Wyżyny wznosiły się wysoko, tworząc w dole niemal zamknięty krater o górkowatym terenie. Droga w dół była stroma i najeżona wystającymi z boków góry skałami, więc zaczęłam ślizgać się w dół powoli, omijając przeszkody. Śnieg utrudniał utrzymanie się na łapach, więc ryłam pazurami jak najgłębiej, by nie stoczyć się gwałtownie na samo dno niczym kamień.

Mozolne schodzenie w dół kosztowało mnie niemal godzinę, jednak dałam radę w końcu postawić łapy na poziomym gruncie. Rozejrzałam się uważnie. Widziałam w ciemnościach nocy pagórki okryte delikatnym blaskiem księżyca, jednak resztę światła pochłaniały otaczające głęboką dolinę szczyty. Dookoła brakowało zwierząt i ptaków, a wszystko trwało w przerażającej ciszy. Sierść na moim ciele zjeżyła się, ale w końcu ruszyłam przed siebie ostrożnie, przypominając sobie dokładne położenie celu. Forteca w górach była idealnie ulokowana, chroniona przed oczyma wszystkich żywych istot, a zwłaszcza przede mną. Do tej nocy.

„Przeszłam kilometr, kiedy ciszę przerwał cichy łopot skrzydeł. Nadstawiłam uważnie uszu, jednocześnie przykucając i brodząc brzuchem w zaspach śniegu. Wyszczrzyłam w milczeniu kły, gdy w powietrzu przed sobą dostrzegłam ciemną, małą sylwetkę lecącą prosto z kierunku, w którym zmierzałam. *Tam jest kryjówka wampirów. Czy to ich szpieg? A może zmiennokształtny zwiadowca?* Nie miałam zamiaru czekać na dalszy rozwój wydarzeń. W chwili, gdy stworzenie znalazło się o kilka kroków ode mnie, wyskoczyłam z zasy z groźnym warkotem, celując prosto w intruza. Kłapnęłam zębami i poczułam, że złapałam za coś miękkiego. Odsunęłam się zaskoczona, gdy dosłyszałam wściekle, przerażone krakanie obok ucha. Przyjrzałam się dokładnie ptakowi, który przysiadł na śniegu, gniewnie bijąc skrzydłami. W mroku skrzyły się małe, paciorkowate oczy. Powęszyłam trochę i prychnęłam przez nos.

Rico, do jasnej cholery! ... Jak się tutaj znalazłeś?

Ptaszysko zakrakało jeszcze głośniejsze. Zorientowałam się, że w pysku trzymam kilka czarnych piór wyrwanych z ogona. Wyplułam je z niesmakiem, a potem warknęłam na zmiennokształtnego z jadem. Moje oczy błysnęły złowieszczo, gdy pochyliłam łeb na wysokość jego oczu.

Co ty tu robisz? Mów szybko, albo wyrwę ci jeszcze kilka piór.

Wysunęłam złote macki swojej mocy i oplotłam nimi umysł Rico. Skierowałam do niego słowa niecierpliwym, wściekłym głosem, niemal przyprawiając go o atak serca. Odskoczył do tyłu, uderzając mnie w pysk skrzydłem.

Tryskasz dzisiaj humorem, panienko — odparował w moich myślach Rico, przechylając głowę ptasim gestem. — *Aż mi wszystkie piórka stanęły dęba, gdy wyskoczyłaś z tej zasy. Uważaj, w kogo celujesz.*

Nie truj, Rico. Gadaj, co tutaj robisz? Zakończyłeś zadanie, które ci powierzyłam. Po co się narażasz i wracasz w to miejsce? Wampiry mogą cię wytropić.

Chciałem się upewnić, że wampiry nadal tu są — mruknął naburmuszony. — *Poza tym, ciekawiło mnie, czy liczebność nowonarodzonych zmieniła się od mojej ostatniej wizyty.*

A zmieniła się? — spytałam, niecierpliwie czekając na okazję, by przegonić zmiennokształtnego z powrotem do miasta.

Wzrosła — odparł krótko. — *Wybrałaś się na przechadzkę?*

Nie twój interes — zamruczałam groźnie, obnażając kły. — *Masz rodzinę, która się o ciebie martwi, więc wracaj do niej, natychmiast.*

Odwróciłam się do niego tyłem z zamiarem maszerowania dalej do celu podróży. Kruk jednak nie ruszył się z miejsca i obserwował mnie w ciemnościach.

Rozumiem, że twoja kompania towarzyszy kryje się gdzieś w pobliżu,

żebyście mogli zaatakować obóz wampirów, tak?

Zatrzymałam się i tyłem do niego westchnęłam pod nosem. W powietrze wzbił się obłoczek pary.

Wracaj do swojej rodziny, Rico — odparłam cichym, melodyjnym głosem, w którym wbrew mej woli pojawiła się nutka smutku. — *Ciesz się wszystkimi chwilami, które spędzisz w jej towarzystwie. I nigdy tu nie wracaj, cokolwiek by się stało.*

W oczach ptaka zamigotała iskra. Skrzeknął raz, żałośnie i smutno, aż moje gardło ścisnęło się boleśnie. Poczułam, jak do mojej głowy napływają obrazy towarzyszy — ich twarze i uśmiechy, a w uszach brzmia ich głosy. Otrząsnęłam się szybko, a potem kłapnęłam szczękami tak blisko kruka, że ten wzbił się w powietrze z paniką.

Uciekaj stąd, głupcze! Uciekaj! — wrzeszczałam, póki kruk nie zniknął z pola widzenia, ale także później, gdy już zerwałam z nim więź umysłów i nie mógł mnie usłyszeć.

Banshee poruszyła się w moim wnętrzu, reagując na mój smutek. Obydwie czułyśmy tchnienie nieuniknionej śmierci, które przylatywało do nas wraz z lekkim wiatrem szumiącym wśród czubków wzniesień. Byłyśmy niedaleko. Nasze przeznaczenie miało dopełnić się właśnie dzisiaj. Z daleka od przyjaciół, sojuszników i znajomych twarzy. W ciemności, na mrozie. Moje ciało legnie w zaspach śniegu i utonie w białym puchu, póki czas nie zmieni go w proch. *A może tutaj nigdy nie zniknie, zamrożone i zmumifikowane przez górski lód?* Wizja mojego skostniałego, wilczego ciała leżącego pośrodku samotnej doliny w jakiś sposób zapewniła mi spokój. Zniknął poprzedni strach, tęsknota, żal, chęć zawrócenia. Byłam gotowa na wszystko, nawet na śmierć.

Ponownie ruszyłam przed siebie, lecz tym razem krok miałam raźniejszy, a krew w moich żyłach śpiewała i wrzała, kiedy wizja przyszłej walki oraz zniszczenia oddziałów wampirów zaświtała w mojej głowie. Parłam przed siebie, nie zważając na wilgotną mgłę i osadzające się na sierści kropelki wody, które po kilku sekundach zamieniały się w lśniące kryształki lodu. Czułam

w płucach mroźne powietrze płynące z gór, a przed sobą obserwowałam lodowe pustkowia sprawiające wrażenie wymarłego.

Podróż zajęła mi kolejną godzinę, jednak po tym czasie dojrzałam w ciemności błysk światła — niczym złudny świetlik w mroku prowadzący na zgubę. Ukryłam się pomiędzy skałami i spojrzałam na zarys budynku majaczący w nikłym blasku księżyca. Prosty, kanciasty, betonowy bunkier miał wielkość centrum handlowego. Widziałam małe, ciemne okna na trzech poziomach. Dookoła wzniesiono ogrodzenie z drutu kolczastego, a po słabo oświetlonym terenie poza nim wędrowali pojedynczy strażnicy. Byli ubrani w czarne, proste mundury, a na ramionach opierali dalekosiężne dubeltówki. U ich boku spacerowały psy, węsząc w śniegu i czujnie obserwując najbliższą okolicę. Światło paliło się tylko na zewnątrz, w środku budynku panowała nieprzenikniona, atramentowa ciemność.

Wyczuwałam pomieszane wonie wampirów i zwierząt stróżujących, jednak nic poza tym. Zmarszczyłam czoło, a potem syknęłam cicho, gdy jeden z psów podszedł bezpośrednio do ogrodzenia i wbił wzrok w ciemność, jeżąc sierść. Delikatny wiatr powiał zza moich pleców, nieuchronnie niosąc moją wilczą woń w kierunku budynku. Owczarek powęszył w powietrzu, a potem z jego gardła wydobył się głośny warkot. Zdawało mi się, że zwierzak zauważył mnie w ciemnościach mimo dobrej kryjówki. Cofnął się ze strachem, ale nie przestał warczeć. Po kilku sekundach zaczął alarmująco ujadać. Dwóch strażników stanęło za psem i rozejrzało się po lodowej pustce za ogrodzeniem, wypatrując intruzów. Ich broń lśniła niebezpiecznie w świetle lampy. Przyjrzałam się jej uważnie, badając rozmiar lufy, jej długość, budowę. *Strzałki nasenne*. Broń nie służyła do zabijania, lecz usypiania wszelakich wrogów, którzy mogli znaleźć się na tym terenie. Co oznaczało, że nie ginęli od razu — najpierw byli przesłuchiwani.

Wiedziałam, że jedna strzałka nie mogła mnie uśpić, jedynie lekko zdekoncentrować, a nawet w takim wypadku byłam śmiertelnie niebezpiecznym przeciwnikiem. Wiedziałam też jednak, że gdyby strażnicy wpakowali we mnie kilka strzałek ze swojej broni, końska dawka narkotyku uśpiłaby mnie niemal natychmiast. Nie wiedziałam, czym dokładnie nasączone były pociski. *A może tym nowym narkotykiem, który Quentin przekazał ludzkim porywaczom?* Na samą myśl wyszczerzyłam kły w całkowitej ciszy.

Zastanawiałam się, co powinnam zrobić, gdy brama do wnętrza ogrodzenia otworzyła się, a strażnicy puścili psy swobodnie, by wskazały im drogę. Patrzyłam z odległości dziesięciu metrów, jak trzy owczarki węszą po śniegu i nieuchronnie kierują swoje chaotyczne kroki ku mnie. Strażnicy pozostawali blisko bramy, jednak uważnie obserwowali psy w oczekiwaniu na wynik zwiadu. Czy to był fałszywy alarm, a może jednak ktoś podkradł się do obozu?

Nie znałam sposobu, by ukryć swój zapach, jednak znałam sposób, by uniknąć całkowitego wykrycia. Wypuściłam macki ze swojego umysłu, kierując

je wprost na zwierzęta. Ich myśli były proste, nieskomplikowane, więc prosto mogłam nimi manipulować. Nawet wtedy, gdy jeden z psów minął mnie obok skał, nie zobaczył mnie. Dzięki iluzji widziały wszystko oprócz mnie. Po minucie bezowocnych poszukiwań powróciły do strażników spokojne, bez żadnych oznak zdenerwowania. Mężczyźni rozejrzeli się tylko pobieżnie, a potem wrócili za bramę, która zamknęła się z łoskotem.

Odetchnęłam z ulgą, jednak przedwcześnie. Gdy tylko wyjrzałam zza skał, poczułam grad strzałek świszczący mi nad głową. Dotychczas ukryty strażnik wychynął zza krawędzi dachu i wycelował we mnie bronią, ponownie wypuszczając deszcz pocisków. Warknęłam donośnie, a potem zaczęłam uskakiwać zwinnie, opuszczając swoją dotychczasową kryjówkę.

Plan A nie wypalił — zamruczałam w umyśle wprost do Banshee, na co ta parsknęła niecierpliwie.

Od początku było wiadomo, że nie wypali.

Więc czas na plan B.

Nie podoba mi się to — warknęła wilczyca, ale więcej nie protestowała.

Psy ponownie zaczęły ujadać, a brama otworzyła się ze zgrzytem zawiasów. Kierowałam się na tyły obozu, licząc na to, że tamtędy dotrę do niewielkich wzgórz odległych od budynku, wśród których mogłabym się skryć i pomyśleć, jak mogę dostać się do środka gniazda wampirów, już niestety nie niezauważenie.

Za zakrętem skupiłam się na oddalającym się ujadaniu psów i nie zauważyłam kolejnego strażnika, który niespodziewanie wyłonił się zza węgła. W mój bok trafiły trzy strzałki, wbijając się w skórę naciągniętą na żebrach. Kłapnęłam kłami i rozpaczliwie biegłam dalej, jednak szybko opanowała mnie słabość. Zawirowało mi w głowie, w ustach poczułam smak żółci, a całe ciało zdrętwiało. Opadłam na śnieg jeszcze w rozpędzie. Mój łeb utkwiał w śniegu, gdy zamarłam bezwładnie wśród zasp. Ujadanie psów było teraz coraz bliżej, tak samo kilkanaście par stóp, pod którymi chrzęścił biały puch. Zamknęłam powieki i zapadłam się w głęboką, nieprzeniknioną ciemność.

Rozdział XX

~ SONYA ~

Wyczułam zbliżający się ranek. Przeleżałam całą noc bez zmrużenia oka, wpatrując się w zasłonięte okno. Leżałam tak długo, aż instynkt nie wypowiedział mi, że nadchodzi wschód słońca. Wysunęłam się spod nagrzanego pościeli i wyjrzałam zza zasłony na podwórko. Ponad drzewami pojawiła się nikła łuna pomarańczowego światła jutrzeńki. Z cichym westchnieniem ubrałam się w ciemny sweter, dzinsy i buty do wspinaczki górskiej, które zostawiła mi pod łóżkiem Kira. Były ciepłe i nie przepuszczały wilgoci, więc idealnie nadawały się na dłuższą wędrówkę. Była zaledwie szósta rano, gdy zabrałam plecak i wyszłam z sypialni.

Soren siedział na kanapie w swobodnej pozycji i wpatrywał się w przestrzeń, opierając twarz na dłoni. Wyglądało na to, że on także nie spał całą noc. Miał na sobie to samo ubranie co wczoraj, teraz nieco wygniecione. Mimo braku snu na jego twarzy nie widziałam oznak zmęczenia. Jego oczy zaśniły krótko, gdy skierowały spojrzenie na moją twarz.

— A więc naprawdę wyjeżdżasz — rzekł bez większego zaskoczenia w głosie i powoli podniósł się z kanapy, nie spuszczać ze mnie wzroku. — Dokąd się wybierzesz?

Obserwowałam go w milczeniu. Od momentu naszego ostatniego kontaktu, gdy przemawiał do mojej zwierzęcej postaci, czułam się przy nim skrępowana. Jakby naruszył granicę, o której nawet istnieniu dotychczas nie wiedziałam.

— Nie wiem, dokąd się udam — odparłam prosto i szczerze, przelękając się. — Ale muszę odejść. Muszę... znaleźć własną drogę.

Przytaknął, jakby wiedział, o czym dokładnie mówię, mimo że sama nie mogłam sprecyzować swoich myśli. Na moment odłożyłam plecak na fotel. Przyglądał się mojej twarzy dłuższy moment, jakby myślał nad tym, co chce powiedzieć.

— Powinnaś ruszyć w kierunku... — Soren zaczął mówić, ale jego głos powoli milkł wśród piskliwego szumu, który wypełnił mi uszy.

Poczułam mrówki w całym ciele i lodowate ukłucie w okolicy serca. Soren mówił dalej, ale nie mogłam skupić się na jego twarzy. Oparłam się dłonią o krawędź fotela, niemal tracąc równowagę. Moje oczy zasnuła mgła, a po chwili ujrzałam połacie bieli naszpikowane ostrymi skałami zalanyymi księżycowym blaskiem. W nieruchomym powietrzu wznosiło się agresywne ujadanie psów, a po chwili wysoki, niebezpieczny warkot, na pewno nie należący do jednego z czworonogów. Zgrzyt metalu, świst kul, a potem wszechogarniający ból, który powoli zanikł w odrętwieniu. Oczy zalała atramentowa ciemność.

Ocknęłam się powoli. Mój wzrok był zamazany, jednak potrafiłam dostrzec

Sorena, który dotykał mojego ramienia ze skupionym wyrazem twarzy. Szok po wizji jeszcze nie minął, dodatkowo w mojej piersi nadal tkwił warkot, jakbym to ja go wydawała. W instynktownym odruchu, który mnie przeraził, wyszczerzyłam kocie kły i zaryczałam wściekła, klapiąc szczęką. Demon odskoczył zwinnie do tyłu. Jego ręka, którą przed chwilą trzymał na moim ramieniu, krwawiła. Widocznie musiałam go trafić. Nie poczułam odnośnie tego jednak wyrzutów sumienia, a zwłaszcza w momencie, gdy rana zabliźniła się w ciągu kilku sekund, aż na zdrowej skórze pozostał tylko świeży ślad krwi. Soren zlizął ją z lodowatym błyskiem w jasnych oczach.

— Nie mogę wyjechać od razu. Teraz muszę skontaktować się ze wszystkimi i zwołać ich tutaj — zamruczałam cicho, a potem powtórzyłam to głośniej. — Kira ma spore kłopoty.

Silvyr i Amelia pojawili się jako pierwsi. Gdy tylko wpadli do salonu, ich oczy skupiły się na mnie, mrużąc się groźnie. Kilka minut po nich przybył Frederic, potem Charlotta. Nie miałam kontaktu do Flesha, więc demon nie zjawił się na spotkaniu.

— O co chodzi, kocie? — zapytała otwarcie Charlotta, wychodząc do przodu. — Po co nas wezwałaś w takim pośpiechu?

— Miałam kolejną wizję dotyczącą Kiry — powiedziałam głośno, by każdy z zebranych dokładnie usłyszał każde słowo. — Ma poważne kłopoty, ale to jest bardzo łagodnie powiedziane. Przypuszczam, że ją pojmano. Wszystko na to wskazuje.

Amelia syknęła, obnażając wampirze kły. Poczułam dreszcze na plecach, patrząc w jej srebrne, drapieżne oczy. Miałam ochotę zmarszczyć wargi i warknąć na nią w odpowiedzi, jednak powstrzymałam odruch. Reszta jej towarzyszy wydawała się wstrząśnięta, wściekła i zmartwiona jednocześnie.

— Spuścić ją na moment z oka i już wpada po same uszy w bagno — syknęła pod nosem Charlotta, aż jej ramiona pokryła lśniąca warstewka świeżego szronu. — Powiedz nam dokładnie, co takiego widziałaś, dziecko — zamruczała w moim kierunku, patrząc mi prosto w twarz.

Chciałam zaprotestować na dźwięk słowa „dziecko”, lecz spojrzenie jej lazurowych oczu zmroziło mnie do kości, jakby moje płuca wypełnił lód. Opowiedziałam wszystkim wszystkie szczegóły wizji, patrząc w podłogę. Podczas tego czasu Soren stał za moimi plecami, wpatrując się w ścianę, jakby nudziło go to spotkanie.

— Zatlukę ją — powiedziała wróżka, kiedy skończyłam swoją relację. — Powiedziałaś jednak, że to kolejna wizja dotycząca Kiry... — Na dźwięk chłodu w jej głosie poczułam mimowolny strach. — Jak wyglądała poprzednia?

Przełknęłam ślinę, przypominając sobie, jak obiecałam Kirze, że nikomu nie powiem o tamtej wizji. Poczułam gulę w gardle i odwróciłam wzrok. Silvyr zmrużył powieki, wpatrując się we mnie nieprzerwanie. Frederic robił to samo. Charlotta niemal drżała z gniewu, a Amelia nadal szczyrzyła kły. *Powinnam im powiedzieć*, mruknęłam w myślach, gdy w moim umyśle panował całkowity chaos. *Obiecałam, że tego nie zrobię, ale... Nie chcę, żeby umarła.*

— Widziałam jak... — zająknęłam się i odchrząknęłam. — W pierwszej wizji widziałam, jak Kira umiera.

W salonie zapadła martwa cisza. Obejrzałam się na wszystkich — na ich twarzach wyrażony był szok lub niedowierzanie, albo wszystko naraz. Zdawało się, że temperatura powietrza spadła do zera.

— Obiecałam Kirze, że nie zdradzę wam treści tej wizji... — powiedziałam, ale wzrok Charlotty nakazał mi milczenie i sprawił, że urwałam w pół zdania.

— Kira wiedziała o tej wizji? — Wróżka z niedowierzaniem pokręciła głową. — Jak to możliwe, że wiedziała o tej wizji i niczym się przed nami nie zdradziła? Przepowiedziałaś jej śmierć, do cholery, a ona nie pisnęła ani słowa żadnemu z nas! Z resztą, to do niej podobne...

Poczułam ukłucie w sercu.

— Wydawała się pogodzona ze swym losem — odparłam chłodnym tonem, nie zdradzając na twarzy swoich prawdziwych emocji.

Rozgorzała nagła dyskusja przypominająca nagły wybuch wulkanu. Wycofałam się, stosownie omijając nieruchomego Sorena. Nie zaangażował się do rozmowy, jednak śledził mnie kątem oka. Głosy czarodzieja, wróżki, łowcy i wampirzycy mieszały się ze sobą w jeden zdesperowany chór. Nikt nie wiedział dokładnie, gdzie powiedziała się Kira — góry były rozległe i zdradzieckie, niemal każda połać śniegu wyglądała tak samo. Co do odpowiedzialnych za porwanie, wszyscy byli jednogłośni, że to Quentin i jego słudzy stoją za wszystkim.

— Porwali ją z jej terenu — powiedział Silvyr z zimnym błyskiem w oku. — Jak to możliwe, że to nam umknęło? Że udało im się ją podejść, kiedy byliśmy tak blisko? Że w ogóle dała się podejść i to po raz drugi?

— Nie była na swoim terytorium.

Miękki, znużony głos dobiegł zza moich pleców. Odwróciłam się. Joseph, ten młody wampir, stał w połowie schodów i wpatrywał się w zebranych z ponurą rezygnacją. Masa jego jasnych loków opadała w nieładzie na twarz, jakby dopiero wygrzebał się z łóżka. Nie miał koszuli, więc na torsie nie dało się nie zauważyć blizn powstałych na skutek tortur. Wyzdrowiał, jednak blizny miały mu pozostać do końca życia. Coś o tym wiedziałam.

Amelia powoli wysunęła się do przodu z drapieżnym błyskiem w oku.

— Miałeś z tym coś wspólnego...? — Nazwała wampira słowem, które nie brzmiało, jakby pochodziło z jakiegokolwiek ludzkiego języka. — Może zdradziłeś

Kirę i postawiłeś ją na srebrnej tacy wprost na stole Quentina?

W ułamku sekundy obydwaj wampiry stanęły naprzeciwko siebie i z przeraźliwym sykiem wyszczerzyły szeroko kły ostre niczym szpilki i lśniące krwiożerczo. Widocznie miały ochotę na walkę między sobą. Wykorzystałam siłę swojego zwierzęcego głosu i zmarszczyłam gniewnie brwi.

— Przestańcie natychmiast! — krzyknęłam donośnie, aż mój głos zabrzmiał ostro niczym ryk dzikiego zwierzęcia. — Oskarżając się nawzajem, nie pomożecie Kirze!

— Ona ma rację — odparł zimno Silvyr. — Amelia...

— Nigdy nie zdradziłbym Kiry — warknął Joseph jako pierwszy chowając kły i wycofując się ze starcia. — Ocaliła mi życie, więc jestem jej dłużnikiem. Wolałbym zginąć, niż skazać ją na uwięzienie w rękach Quentina.

Wydawało się, że Amelia dopiero teraz przypomniała sobie o tym, co Mistrz zrobił Josephowi i spojrzała na jego blizny zdobiące większość klatki piersiowej i ramion. Wycofała się, jednak błysk w jej oku nie przygasł.

— Jesteś bardzo zdolna — szepnął mi do ucha Soren.

Wzdrygnęłam się i spiorunowałam go zimnym, nieruchomym wzrokiem. Odsunął się z powrotem z lekkim skrzywieniem warg. Ponownie spojrzałam na zebrane towarzystwo.

— Joseph, co dokładnie miałeś na myśli, mówiąc, że Kira nie była na swoim terytorium w chwili porwania?

— Dokładnie to, co powiedziałem. — Na jego twarzy wymalowało się ponure potwierdzenie jego słów. — Widziałem cię przemykającego wczoraj wśród drzew w okolicy domu. Przypuszczam... Wiem, że to była Kira — poprawił się szybko. — Myślałem, że idzie na łowy, więc jej nie powstrzymałem.

— Musimy jej pomóc — rzuciła Amelia.

— Jak? — Charlotta wzniosła oczy do sufitu jeszcze bardziej zła niż na początku spotkania. — Nie wiemy nawet, gdzie dokładnie jest.

Zapadła cisza.

— Wy nie, ale ja tak — odpowiedział ponury, złowieszczy głos.

Wszyscy jednocześnie zwrócili oczy na nowoprzybyłego. Flesh stał w wejściu. Jego ubranie było usiane drobinkami padającego śniegu, a w ciemnych włosach lśniły zamrożone krople wody. Wyglądał wyjątkowo przerażająco — po bokach jego głowy widać było hebanowe rogi, oczy lśniły srebrem jaśniejszym od księżyca w pełni, a skóra miała odcień jasnego marmuru. Wokół jego sylwetki wibrowała aura, której muśnięcie odczułam niczym cios w żołądek. Odwróciłam wzrok, drżąc na ciele.

— Kira wynajęła szpiega, który miał odnaleźć położenie kryjówki Quentina, a raczej jego armii nowonarodzonych — warknął ponurym głosem Flesh nieruchomy niczym posąg. — Właśnie od niego wracam. Dowiedziałem się, że już

jakiś czas temu przekazał Kirze położenie kryjówki. Nie zająknęła się słowem.

Jego wściekłość wibrowała w aurze niczym gorące powietrze. Obejrzałam się na niego. Moje zdolności wizji były tylko częścią dziedzictwa ze strony matki i jej elfiej krwi. Moje oczy napełnione magią przejrzały na wylot jego uczucia. Był... bardzo zraniony. I wściekły. Jego serce krwawiło niczym zwierzę potraktowane dobrze wycelowaną strzałą wprawnego łucznika. Cokolwiek zrobiła wcześniej lub powiedziała Kira, wyrządziła mu krzywdę. Wycofałam swoje zdolności, gdy wzrok demona skierował się na mnie.

— Skoro wiesz, gdzie ją trzymają, nie ma chwili do stracenia — warknęła Charlotta. — Każdy zabiera tylko to co niezbędne. Ruszamy w góry.

Wokół Flesha zawirowały cienie, które na chwilę uformowały się w kształt ogromnych, czarnych skrzydeł. Patrzyłam na to zafascynowana, ale i z przestachem w sercu. Nikt nigdy otwarcie w mojej obecności nie powiedział, że Flesh jest demonem tak samo jak Soren, jednak mogłam to bez problemu wywnioskować z wnikliwej obserwacji. Poza tym, jego aura sama za siebie mówiła, że Flesh jest osobnikiem wyjątkowym, może nawet spoza wymiaru, który znałam.

Kiedy cała ekipa rozbiegła się, by pojechać po potrzebny sprzęt do akcji ratunkowej, Flesh wpatrzył się we mnie zimnym, mrocznym wzrokiem kipiąc gniewem i żalem. Wiedziałam, że te negatywne emocje nie dotyczyły mnie, jednak widok jego srebrnych oczu sprawił, że czułam zimno przeszywające kości na wylot. Soren stał blisko za moimi plecami, obserwując Flesha bez ani jednego, choćby drobnego mrugnięcia okiem, jakby już przeczuwał kłopoty.

— Chciałabym zobaczyć, jak to się skończy, jednak powinnam już odejść — powiedziałam opanowanym, beznamiętnym tonem, nakładając plecak na ramię. — Chociaż i tak jestem pewna, że zdołacie zmienić przyszłość.

Flesh ani drgnął, słuchając moich słów.

— Gdybyś nie zdradziła nam prawdy o widzeniach i nie złamała danego słowa, zapewne przekonanie całej tej ekipy, żeby poszli ze mną w góry, potrwałoby na tyle długo, że śmierć Kiry przestałaby być jedynie mglistym obrazem w twojej wizji.

Czyżby on próbował mnie pocieszyć... lub podtrzymać na duchu?

— To była trudna decyzja, ale mam nadzieję, że słuszna i pomoże wam dotrzeć do niej na czas — odparłam, nie wiedząc, co innego mogłabym powiedzieć. — Mam też nadzieję, że nie będzie miała mi za złe mojego czynu.

Na ustach Flesha rozkwitł lekki, krzywy uśmiech niczym cień, który szybko zniknął.

— Na pewno nie będzie zła. — Spojrzał na mój bagaż, krótko zerknął na Sorena i kiwnął lekko głową. — Też muszę się... przygotować. Bywaj, czarna kotko. — W jego słowach zabrzmiał humor, gdy kłaniał mi się niczym

szlachciance. — Uważaj na siebie. I wybacz mi moje zachowanie pod kościołem. Nie byłem do końca sobą. — Słyszałam w jego głosie prawdziwą skruchę. — Coś mi mówi, że jeszcze kiedyś się spotkamy. — Posłał mi koci uśmiech, mrugnął i wyszedł, zostawiając mnie z Sorenem sam na sam.

Poczułam dziwny ucisk w okolicy żołądka. Odwróciłam się bokiem do demona — bałam się spojrzeć mu prosto w oczy. Milczeliśmy kilka długich minut, po czym żadne nie miało ochoty zacząć pożegnania. Opiekował się mną, gdy byłam ranna i podczas dalszego leczenia, mimo że nie musiał. Podobno przysiągł, że mnie ochroni, jednak mimo tego nikt nie nakazał mu tak długo nade mną czuwać. *Co go do tego skłoniło? Dlaczego to zrobił?* Nie mogłam zadać tych pytań na głos.

— Dziękuję za twoje piecze nade mną — odezwałam się w końcu, tym samym przerywając ciszę, która wyraźnie zawisła pomiędzy nami. — Nie znam słów, które mogłyby dokładnie wyrazić moją wdzięczność.

— Nie musisz przemawiać z takim patosem, Sonya — przerwał mi demon i uśmiechnął się lekko, jakby z odrobiną smutku starego niczym jego kryształowe oczy. — Zrobiłem to, co musiałem, żeby spłacić dług wobec Frederica. Teraz, gdy odzyskałaś siły, poradzisz sobie sama.

Nie wiadomo dlaczego, ale jego słowa w pewien sposób mnie zabolaly.

— Nawet jeśli zrobiłeś to tylko dla spłacenia długu wobec czarodzieja, dziękuję ci. Dodałam wam wszystkim zmartwień, których i tak wam nie brakowało, zanim się pojawiłam. — Skrzywiłam się pod nosem. — Im szybciej odejdę, tym szybciej będziecie mogli skupić się całkowicie na obecnych... kłopotach. — Nie znałam lepszego słowa do określenia aktualnych wydarzeń i konfliktów, z którymi się zmagali.

— Te „kłopoty” — Oko drgnęło mi na dźwięk sarkazmu tkwiącego w tym jednym słowie — nie dotyczą mojej osoby, więc nie wezmę udziału w całej farsie. Może demoniczny książę ma ochotę bawić się wojnę z wampirami i wilkołakami, ja jednak mam lepsze rzeczy do roboty, przebywając w tym wymiarze.

Zmarszczyłam lekko brwi, słysząc określenie „demoniczny książę” widocznie odnoszące się do Flesha, jednak nie zapytałam, o co dokładnie mu chodziło. A Soren nie uznał za stosowne, by wyjaśnić, co takiego miał na myśli. Chwyciłam plecak, zdecydowanie umieściłam go na ramieniu, a potem odwróciłam się przodem do demona. Soren wbijał wzrok w okno z rękoma skrzyżowanymi na piersi. W jego pozie było coś, co bardzo przypominało samotność i żal. Zanim mogłam zmienić zdanie, objęłam jego szyję rękoma. Demon zeszywniał tak bardzo, że poczułam się, jakbym przytulała zimny, marmurowy posąg. Jednak po kilku długich sekundach rozluźnił mięśnie z trudem, a potem przytulił policzek do moich włosów.

— Uważaj na siebie, *ma'thul* — wyszeptał do mojego ucha z dźwięcznym, nieco szorstkim akcentem, sprawiając, że dreszcz przebiegł po całym moim ciele. — *Der vignum al'est vego, ma'thul. Cen'tul mio was to'um.*

Nie znałam języka, którym się posługiwał, jednak brzmienie obcych słów wydawało się równie dźwięczne i mgliste niczym szum wodospadu, a każda głoska wydawała dźwięk podobny do plusku wody rozbijającej się o skały. Powoli zdjęłam ramiona z szyi Sorena i odsunęłam się, wbijając wzrok w jego twarz. Nie pytałam o znaczenie jego słów — moje gardło ścisnęło się tak mocno, że ledwie mogłam oddychać. Wiedziałam, że życzył mi dobrze.

Niczym spłoszony ptak umknęłam szybkim krokiem do korytarza, a potem wypadłam na zewnątrz. Zimne powietrze uderzyło moje płuca i ukąsiło je niczym żądło osy. Uspokoiliam oddech, a potem skierowałam wzrok w stronę drogi — prowadziła wprost na pustą autostradę, której szara wstęga rozwijała się na horyzoncie niczym język potężnego smoka. Poprawiłam swój bagaż na ramieniu, a potem ruszyłam równym krokiem przed siebie, nie odwracając się ani razu.

Bądź zdrowa, Kira, pomyślałam ciepło, przymykając na moment powieki. *Oby nikt cię nie pokonał, póki nie dorównam ci siłą i odwagą. A kiedy to zrobię, wrócę — wrócę i pokażę ci, że byłam godna życia, które uratowałaś.*

~ SOREN ~

Stałem bez ruchu dobrych kilkanaście minut, zanim usłyszałem kroki na korytarzu. Nie miałem złudzeń, że to była Sonya — energia Flesha promieniowała tak mocno, że niemal ogrzewała powietrze w całym domu. Nie uniosłem wzroku nawet w momencie, gdy księżę przekroczył próg salonu i znieruchomiał tak samo jak ja.

— Obdarowywanie jej przysięgą i błogosławieństwem w Czarnej Mowie nie było rozsądne. — Oczy Flesha zamigotały. — Nie wiesz, czy zdołasz wypełnić obietnicę, o której istnieniu ona nawet nie ma pojęcia. Skąd wiesz, że potrafisz zrobić to, co przysięgłeś?

— To, czy uda mi się to zrobić, zależy tylko ode mnie. Tobie nic do tego, Flesh — odezwałem się głosem zimnym niczym stal. — Cokolwiek planuję odnośnie tej dziewczyny, nie jest to twoją sprawą.

— Masz rację — stwierdził swobodnie Flesh. — Jednak uratowaliśmy ją razem z Kirą i żadne z nas nie chciałoby, by przez ciebie stała jej się krzywda.

— Ja też tego nie chcę — warknąłem pod nosem. — Czy może chcesz zasugerować, że to ja mogę ją skrzywdzić? Lub zabić.

— Doskonale wiesz, że wszędzie tam, gdzie pojawia się choćby jeden demon, pojawiają się także kłopoty.

— Najwidoczniej — odpowiedziałem z ponurym, drapieżnym uśmiechem wykrzywającym twarz. — Spójrz, w co wdepnęła Kira, gdy ty trwałeś u jej boku.

Z gardła Flesh wyrwał się groźny, ostrzegawczy pomruk zabarwiony gniewem. Jego włosy uniosły się niczym naelektryzowane, a siła jego aury pozostawiła na moim języku metaliczny posmak.

— Zważaj na swoje słowa, Soren — zamruczał. — Twoja wysoka pozycja pośród naszej rasy nie sprawia, że jesteś całkowicie nietykalny.

— Ależ oczywiście, że nie — odpowiedziałem. — Sprawia to moja siła, wiek i doświadczenie, mój drogi książę.

Wydawało się, że powietrze w salonie wre z gorąca.

— Jesteś silny i wiekowy, jednak nie będę od ciebie słuchał jakichkolwiek uwag czy oskarżeń. — Flesh zacisnął pięści. — Twój dług wobec Frederica został spłacony, więc nie masz już czego szukać w tym mieście. Będzie lepiej, jeśli wrócisz tam, skąd przybyłeś, gdziekolwiek to jest: w tym czy innym wymiarze.

Obserwowałem go spod lekko przymrużonych powiek. Był taki młody, taki energiczny, taki porywczy — prawdziwy drapieżnik w pełni swych sił. Patrzenie na jego gniew było niemalże odświeżające dla moich starych kości.

— Owszem, nie mam tu już czego szukać. — Pokłoniłem się nisko, wysuwając spomiędzy ostrych kłów długi, gadzi język. — Do zobaczenia, młody książę. Niechaj niebo będzie ci przychylne, a ofiary łowne powolne i skazane wyłącznie na twoją łaskę. — Moje słowa wywołały na twarzy demona jedynie ponure skrzywienie. — Odejdę, jednak kiedyś znów się spotkamy. Mogę ci to obiecać.

Minąłem go w drzwiach. Flesh nie poruszył się ani o centymetr, gdy wychodziłem na korytarz, by po chwili zniknąć na zewnątrz. Rozwinąłem skrzydła, a potem wzbiłem się w powietrze z prędkością światła. Czekala na mnie długa podróż. I długie oczekiwanie na kolejne spotkanie z drapieżnym, czarnym kociakiem.

~ KIRA ~

Gdy tylko narkotyk powoli przestał działać, w moje kończyny wkradło się nieznosne mrowienie, a ociężałe powieki uniosły się do góry. Oślepiło mnie sztuczne, mocne światło. Syknęłam, ponownie zamykając oczy. Język miałam suchy i lekko spuchnięty, a gardło piekące. Miałam ochotę wsadzić głowę w zimny strumień górskiej rzeki i wypić ją na jednym wdechu. To ohydne samopoczucie było tak znajome, że niemal zrobiło mi się niedobrze.

Byłam przypięta łańcuchami do kołka białego w ścianę. Wyciągnięte do góry ramiona bolały, unosząc cały ciężar ciała i ocierając się o srebrne kajdany, które okalały moje niedawno zagojone nadgarstki. Miałam na sobie szpitalną koszulę sięgającą połowy ud. Nie wiedziałam, kto mnie ubrał w momencie, gdy krótko po odzyskaniu świadomości zmieniłam formę, ale miałam ochotę zabić bez litości tego wampira, który choćby palcem tknął moje nagie ciało. Gdy tylko

ponownie byłam człowiekiem, dostałam kolejny zastrzyk. I tak oto obudziłam się ponownie.

Gdy tylko zdołałam przywyknąć do zimnego blasku latarni, przyjrzałam się pomieszczeniu, w którym tkwiłam. Betonowe cztery ściany tchnęły zimnem. Kilka metrów ode mnie stał metalowy stół pielęgniarski, na którym zobaczyłam szereg pedantycznie poukładanych narzędzi — obcęgi, skalpele, noże, strzykawki, igły i jeszcze kilka innych zabawek chirurgicznych. Oprócz stołu zauważyłam szereg pustych kajdan wbitych w ściany — naliczyłam ich łącznie około piętnastu par. Zgadywałam, że pomieszczenia tego używano do krępowania ludzi, którzy przechodzili początkowe fazy przemiany.

Przełknęłam ślinę, by nieco zwilżyć bolące gardło. Na ścianie naprzeciwko mnie wisiał prosty, tarczowy zegar. Jego wskazówki pokazywały trzynastą. Zesztywniałam. Byłam nieprzytomna niemal kilkanaście godzin. Albo wampiry podały mi zwiększoną dawkę narkotyku, albo podawano mi dodatkowe porcje w trakcie snu, bylebym nie ocknęła się w nieodpowiednim momencie.

Usłyszałam ciche kroki zza ściany. Po kilkunastu sekundach drzwi, nad którymi zawisł zegar, uchylły się powoli, aż ukazały sylwetkę Quentina stojącego w progu. Wampir był ubrany w zwykłą czarną koszulkę, garniturowe spodnie i ciemne, wypolerowane buty. Jego włosy były schludnie wyczesane i związane na karku, a twarz jak zwykle pozostawała gładka i nieprzenikniona. Jedyne w jego oczach mogłam ujrzeć ślad emocji — załazek podniecenia, zafascynowania i strachu, jakby patrzył na wyjątkowo groźny, ale i egzotyczny gatunek zwierzęcia, na którym chce przeprowadzić swoje chore eksperymenty.

Wampir zamknął za sobą drzwi i powoli przemierzył odległość dzielącą go ode mnie. Przystanął zaledwie metr dalej, patrząc na mnie lśniącymi oczyma barwy przydymionej, seledynowej zieleni. Gdybym nie była przykuta i otumaniona, nigdy nie ośmieliłby się do mnie zbliżyć na taką odległość. Na pewno nie po tym, co zrobił mnie oraz innym nadnaturalnym w tym mieście. Milczałam, tłumiąc gniew napierający na płuca niczym żrący kwas, który miałam ochotę wypluć prosto na jego twarz. Moja mina była nieprzeniknioną, zimną maską, jednak Quentin patrząc na mnie, uśmiechnął się lekko, jakby dostrzegł moje ukryte emocje. Mój gniew widocznie go bawił.

— Nie sądziłem, że kiedykolwiek osobiście ujrzę cię w kajdanach, moja droga — rzekł miękko, łagodnym tonem, jakby przemawiał troskliwie do małego dziecka. — Tak wielu opowiadało o twojej sile i niezwykłej potędze, a jednak jesteś teraz tutaj, w mojej twierdzy, związana niczym szczeniak, który wsadził nos nie tam, gdzie trzeba.

Warknęłam w głębi duszy, jednak mój głos był jedwabisty i czysty, gdy przemówiłam z pełnym spokojem:

— A ja nie sądziłam, że ktoś twego pokroju będzie ukrywał się w takiej

norze niczym parszywy szczur. — Gniewna iskra w jego źrenicach załała moje wnętrze czystym zadowoleniem. — Siedzisz tutaj niczym ściekowy gryzoń gotów wymaszerować ze swoją armią krwiożerczych dzieci na powierzchnię i zagryźć każdego, kto stanie wam na drodze. Prawdziwy Mistrz... Nie, raczej Król Szczurów, o tak. Ten lepiej o wiele lepiej do ciebie pasuje.

Mój zadowolony, prawie radosny głos niemal doprowadził Quentina do furii. W jego oczach zobaczyłam błysk szaleństwa, zanim zamachnął się zakrzywionymi palcami prawej ręki i uderzył mnie w twarz. Jego paznokcie pozostawiły krwawiące bruzdy niczym pazury wściekłego kota. W wyniku uderzenia boleśnie ugryzłam się w język. Splunęłam krwawą śliną, trafiając wampira w pierś. Na widok szkarłatnej piany na delikatnym materiale koszuli jego twarz skrzywiła się w wyrazie pogardy i obrzydzenia.

— Zawsze byłeś kundlem. Bez rodziny, bez tytułu, bez przyszłości. Dokonałeś słusznego wyboru, wybierając stronę w tym konflikcie: twoje sprzymierzenie się z wilkołakami, tymi parszywymi psami, było wręcz idealne. Ciągnie swój do swego.

Warknęłam, głośno kłapiąc szczękami. Łańcuchy zazgrzytały o betonową ścianę, gdy szarpnęłam się do przodu, próbując chwycić kłami wykrzywioną twarz Quentina.

— Spokojnie, dziecino. — Uśmiechnął się do mnie szyderczo. — Już niedługo dowiem się, jak wiele bólu potrafisz znieść, zanim dopadnie cię obłąd. Jak na razie, nie tylko ty przysporzyłaś kłopotu moim strażnikom. — Uniósł dłoń do ucha w groteskowym geście nasłuchiwania, wyraźnie ze mnie drwiąc. — Och, słyszę, że moi podwładni już prowadzą do nas kolejne nieproszone towarzystwo.

Wbiłam wzrok w drzwi, zza których doszły do mnie dźwięki szarpaniny, warkotów i gniewnych krzyków. Po kilku sekundach drzwi uderzyły o ścianę wywarzone mocnym kopnięciem. Do pomieszczenia wparowało bez ostrzeżenia kilkunastu nowonarodzonych wampirów w szarych mundurach prowadzących nieustannie wyrrywających się więźniów. Gdy tylko ich dostrzegłam, zaklęłam w myślach tak ostro, że niemal zabolął mnie mózg. Na przedzie tej chaotycznej karawany szedł Frederic i Silvyr prowadzeni przez kilku strażników. Za nimi popychana była Amelia i Charlotta, a na samym końcu wampiry zawlokły do środka nieprzytomnego Flesha. Ze zgrozą spjrzałam na groty drewnianych strzał wbitych w jego żebra, nogi i ramiona. Miałam ochotę wyć z bólu, który wdarł się do mojego serca niczym trawiąca wnętrze trucizna. Wszystkich moich towarzyszy uwięziono po kolei w kajdanach, ale jak najdalej ode mnie. Patrzyłam na to z wściekłością dorównującą rozpacz szalejącej w głębi duszy. *To nie miało tak być, wyłam w myślach wprost do Banshee. Miało ich tu nie być. Mieli być bezpieczni, z daleka od tego miejsca!*

Quentin przyglądał się całej procesji strażników i więźniów ze spokojem na

twarży. Gdy tylko wszyscy zawiśli w kajdanach, ponowie obrócił się twarżą do mnie.

— Zdaje się, że przybyła ekipa ratunkowa, Kiro.

Wszyscy moi towarzysze — posiniaczeni, mokrzy od śniegu i niemal sini od mrozu — skierowali spojrzenia wprost na mnie. Wyglądałam nie lepiej od nich: włosy miałam potargane i wilgotne, odsłonięte kawałki ciała lśniły ciemnym fioletem w miejscach, gdzie z wielką siłą wbiły się strzałki nasączone narkotykiem, a twarz była szara niczym popiół z szoku na ich widok. Zignorowałam wszystko, wbijając wzrok w zwisającego bezwładnie na uwięzi Flesha. Jego głowa opadła, aż twarz przykryły kosmyki ciemnych włosów. Z ran wypływały drobne strużki krwi, a na pojedynczych granatowych kosmykach lśniły drobinki lodu.

Quentin zacmokał, przerywając moje odrętwienie.

— Proszę, proszę, cóż za urozmaicona widowia. Brawo! — Klasnął w dłonie niczym uradowane dziecko, a potem posłał mi promienny uśmiech. — Zobacz, jakie ciekawe towarzystwo będzie obserwować naszą zabawę, moja droga. Cudownie! — Klasnął po raz kolejny, a potem machnął ręką na strażników grupujących się przy wyjściu. — Wyjdźcie. Wracajcie na swoje stanowiska.

Wampiry bez wahania spełniły rozkaz swego pana. Tuż po ich wyjściu zapanowała cisza. Quentin cicho westchnął.

— Na razie nie mogę się tobą zająć, jednak możesz mnie oczekiwać już niedługo — powiedział cicho w moim kierunku, wpatrując się niewidzącym wzrokiem przed siebie. — Już niedługo...

Wymaszerował powoli z pomieszczenia, stawiając ciche, lekkie kroki. Wpatrywałam się w jego plecy, póki jego sylwetka nie zniknęła za drzwiami. Powstała cisza przedłużała się, aż w końcu Charlotta zaczerpnęła tchu.

— Kira! — Spojrzała na mnie rozżarzonymi, błękitnymi oczyma. — Nic ci nie jest? Jak oni cię złapali?

— Zapewne tak samo jak nas — zamruczał ze skrzywieniem Frederic wiszący obok niej. — Poobijali mnie tak, że nie mogę złapać tchu. I kręci mi się w głowie.

— Odurzyli was narkotykiem — odparłam. — Dostaliście małą dawkę, pewnie dlatego jesteście przytomni. — Znowu skierowałam spojrzenie na Flesha, starając się poskromić panikę. — Co z Fleshem?

— Naszpikowali go strzałami — odparł Silvyr. — Zestrzelili go, kiedy przelatywał nad obozem. One także musiały być nasączone jakimś środkiem odurzającym. Nawet takie rany nie powinny całkowicie obezwładnić demona.

— Nic mu nie będzie?

— Powinno się wyjąć strzały, inaczej rany nie zdołają się zagoić — odparła Charlotta. — Nie mogę nic zrobić, kiedy jestem zakuta w te przeklęte kajdany! — warknęła z irytacją, szarpiąc łańcuchy.

— Sam się nimi zajmie, jak tylko się ocknie — odparła Amelia, mówiąc lekko ochryłym, cichym głosem. — Kira, co ty tutaj robisz, do cholery? Po co wymknęłaś się sama, dybiąc na kryjówkę pełną wampirów? — Wydawała się autentycznie wściekła, jakbym była niedoświadczonym szczeniakiem, który podczas zabawy trącił przypadkiem ul pełen wściekłych szerszeni i mocno się pokaleczył.

Westchnęłam głęboko, co zabrzmiało niezwykle żałośnie. Wszyscy towarzysze spojrzeli na mnie w oczekiwaniu na odpowiedź. Uniosłam wzrok, patrząc na nich zmęczonym, ponurym wzrokiem uwięzionego wilka.

— Miało was tutaj nie być. Tylko mnie mieli schwytać.

— O czym ty mówisz? — wykrzyknął Frederic, patrząc na mnie z niedowierzaniem i zaskoczeniem.

Skierowałam spojrzenie na sufit, nie chcąc widzieć ich min., kiedy powiem im całą prawdę.

— To właśnie był mój plan — powiedziałam zboląłym głosem. — Dałam się pochwyć, by wniknąć do środka obozu. Mielście być bezpieczni, z daleka od tego miejsca, gdy tylko się uwolnię i uaktywnię bombę. Wybuch miał zniszczyć i pogrzebać ten ośrodek: ten ośrodek, a wraz z nim także mnie.

Rozdział XXI

~ KIRA ~

Mimo odwróconego wzroku i tak zdołałam ujrzeć kątem oka szok, strach, a także niewyobrażalny ból oraz poczucie zdrady malujące się na twarzach wszystkich moich towarzyszy. Opuściłam głowę, by twarz zakryły mi splątane włosy.

— Chciałaś się poświęcić, wysadzając wampiry Quentina w powietrze?

Najeżony gniewem głos Charlotty drgał od magii wibrującej w jej kościach. Poczułam jak temperatura powietrza obniża się o kilka stopni, aż mój oddech zaczął zmieniać się w obłoczki pary.

— Jak mogłaś być tak samolubna, żeby samej decydować o misji samobójczej?! — warknęła wróżka, szarpiąc kajdanami tak, jakby chciała się z nich wyrwać i zacisnąć dłonie na mojej szyi w morderczym uścisku. — Jesteśmy twoimi przyjaciółmi, druhami i rodziną, a nie pomocnikami, których możesz rozstawiać po kątach i traktować jak śmieci! Od początku tej całej farsy narażaliśmy nasze zdrowie i życie, byleby ci pomóc. Nie uciekliśmy, gdy usłyszeliśmy o szykującej się wojnie. Dalibyśmy wszystko, byleby pozostawić się przy życiu. Robiliśmy dla ciebie tak wiele z nieprzymuszonej woli, a ty postanowiłaś wyruszyć samotnie do twierdzy wroga, nie informując nas o tym?! Nie informując nas łaskawie, że zamierzasz umrzeć?!

Skuliłam się w sobie pod naporem jej krzyku. Słyszałam w jej głosie złość i rozpacz, a spomiędzy jasnych kosmyków opadających na oczy widziałam łzy ciekące jej po policzkach.

— Postąpiłaś głupio — rzekł Frederic opanowanym, zimnym głosem. — Nie pomyślałaś o tym, że z naszą pomocą mogłabyś zniszczyć obóz Quentina oraz jego armię, nie poświęcając swojego życia, aby misja się powiodła?

— Chciałam was chronić — odparłam. — Prosiłam was o tak wiele przez ten cały czas... Nie miałam sumienia ani prawa prosić was, byście zaryzykowali swoje życie kolejny raz, żeby mi pomóc.

— Nie powinnaś była zakładać, że musiałybyś prosić — odparła Amelia, patrząc na mnie matowymi, niebieskimi oczami. — Wystarczyłoby, że powiedziałybyś nam o swoich planach, a sami poszlibyśmy dla ciebie w ogień, choćby i na śmierć.

Jej spokojne, poważne słowa mnie zszokowały. Uniosłam wzrok i po kolei przyjrzałam się każdemu z nich — moi towarzysze odpowiadali zdecydowanymi spojrzeniami, które mówiły stanowczo, że Amelia nie przesadzała, ani nie kłamała. Poczułam ukłucie w sercu. *Jak mogłam przypuszczać, że nie ruszą za mną, gdy tylko dowiedzą się o tym wszystkim?*

A raczej twoje pytanie raczej powinno brzmieć: Skąd dowiedzieli się o naszym planie? — zamruczała Banshee z głębi mojego umysłu, także poruszona słowami wampirzycy.

Otworzyłam szerzej oczy i zaczęłam gorączkowo myśleć. Przychodziło mi do głowy tylko jedno rozwiązanie, które sprawiło, że zalała mnie fala znużenia.

— Sonya wam powiedziała, prawda? — Uniosłam głowę. — To ona powiedziała wam o tym, co planuję zrobić?

— Miała wizję. Widziała, jak wampiry cię chwytają — odpowiedziała Charlotta nadal wściekła. — A potem wyjawiała, że przewidziała twoją śmierć. Flesh powiedział, że zdobył od twojego zmiennokształtnego szpiega plany kryjówki Quentina ukrytej głęboko w górach.

Staralam się nie patrzeć kierunku nieprzytomnego, krwawiącego demona.

— Rozumiem — odparłam matowym, beznamiętnym głosem. — Rozumiem wszystko. — Uśmiechnęłam się lekko, jednak całkowicie bez humoru. — Rozumiem także decyzję Sonyi. Być może na jej miejscu zrobiłabym to samo, nawet jeśli oznaczałoby to, że muszę złamać obietnicę zachowania sekretu.

— Zrobiła to, by ci pomóc — powiedziała Amelia. — Po to, byśmy my mogli ruszyć ci na pomoc.

— Ostatecznie niekoniecznie nam wyszło — zamruczał sarkastycznie Frederic.

Na szczęście czarodzieja zauważyłam powoli wykwitający siniak wielkości jabłka. Przypuszczałam, że cios zadał mu jeden ze strażników. Skrzywiłam się, wiedząc doskonale, że nowonarodzone wampiry mają nieprzeciętną siłę, której najczęściej nie kontrolowały. Plussem w tej sytuacji był fakt, że Frederic mógł mówić — na jego szczęście nowonarodzony nie złamał mu szczęki.

— Trzeba było siedzieć w domu — powiedziałam pół żartem. — Ale skoro już was złapano, moi drodzy rycerze, muszę nas uwolnić. Tylko tak spłacę dług wobec was.

— Nie masz wobec nas żadnego... — zaczęła zirytowana Charlotta, ale przerwałam jej.

— Mam dług. Po raz kolejny narażaliście życie, by mi pomóc. Muszę się za to odwdziżyć, nawet jeśli misja ratunkowa dała w łeb i skopano wam tyłki.

Naburmuszona wróżka zamilkła. Kątem oka zauważyłam, że Flesh drgnął, a potem poruszył lekko głowę. Moje serce mimowolnie drgnęło w spazmach. Demon potrzebował kilkunastu sekund, żeby odzyskać świadomość. Gdy tylko uniósł głowę i jęknął boleśnie, podziękowałam w duszy wszelkim istniejącym bogom, że wciąż żył.

— Nic ci nie jest? — zapytała Amelia, pochylając się ku niemu na tyle, na

ile pozwalały jej ręce unieruchomione nad głową.

Flesh uniósł ku niej pobladłą twarz.

— Bywało lepiej, ale też gorzej — odpowiedział chrapliwie, zerkając na lotki strzał wystające z jego ciała. — Zaraz się tym zajmę.

Jego magia pojawiła się z trudem. Flesh siłował się ze strzałami siłą woli, aż po dłuższej minucie wszystkie upadły z cichym szcękaniem na podłogę. Wygiął nieco plecy, rozciągając zeszywniałe i obolałe mięśnie. Wtedy jego wzrok padł na mnie. Mimo faktu, że dzieliła nas odległość kilkunastu metrów, poczułam to spojrzenie równie mocno, jakby demon stał tuż przede mną. Siła tego wzroku niemal wypaliła mi dziurę w twarzy.

Flesh bez słowa skupił się na zasklepieniu swoich ran energią. Krew przestała kapać na podłogę, a skóra się zabiłżniła. Skrzywił się, ale nabrał kolorów i wydawał się być w dobrej formie. Obserwowałam go ze swojego miejsca, ignorując obolałe nadgarstki i posiniaczone ciało. Nadgryziony język już się zasklepił, ale nadal czułam w ustach metaliczny, nieco ziemisty posmak własnej krwi. Odczuwałam ogromne pragnienie.

— Wiesz, jak możemy się stąd wydostać? — zapytała wróżka.

Posłałam Charlotte krótkie spojrzenie.

— Nie znam układu budynku i byłam nieprzytomna, kiedy mnie tu przyprowadzili. — Zmrużyłam powieki. — Ale musimy spróbować ucieczki. Po drodze czeka na nas pełno nowonarodzonych, strażników i sam Quentin. Zanim jednak uda nam się uciec, Mistrz chce przetestować na mnie kilka swoich zabawek. — Staralam się nie patrzeć na stół z narzędziami chirurgicznymi ustawiony blisko drzwi. — Przy jego obecności nie mogę się uwolnić. Walka z nim utrudniłaby ucieczkę i dałaby czas strażnikom, by tu dotrzeć.

— Jesteśmy pod powierzchnią ziemi, na samym dole — wymruczała Amelia. — Liczyłam piętra. To czwarty poziom. Cały czas prowadzono nas w dół po betonowych schodach. Po drodze widziałam zamknięte pomieszczenia na każdym piętrze. Na pewno tam są uwięzione nowonarodzone wampiry.

Pokiwałam głową w zamyśleniu.

— Musimy wydostać się niepostrzeżenie, uruchomić bombę w środku budynku, a potem uciec najszybciej jak się da, by uniknąć śmierci. — Skrzywiłam się pod nosem. — Cudowna zabawa. Aż mam ciarki.

— Każdy z nas radził sobie w gorszych opałach. Taki zawód — odparła Charlotta na pytające spojrzenie Amelii. — Nie pamiętasz, Kira, jak radziliśmy sobie z najróżniejszymi wrogami?

— Ale dotychczas nie czekała nas walka z armią nowonarodzonych wampirów, bardzo głodnych krwi i o wiele silniejszych od nas — rzucił ponuro Silvyr, zerkając na wróżkę spod zmarszczonych groźnie brwi. — Dobrze wiesz, że szanse powodzenia są nikłe, jeśli nie zerowe.

Wszyscy zamilkli.

— Dlatego przyszedłam tutaj sama — mruknęłam pod nosem. — Lepiej poświęcić jedno życie, niż życie wszystkich.

— Tak to sobie tłumaczysz? — zapytał Flesh głosem tak mocno wibrującym z wściekłości, iż miałam wrażenie, że ten półszepet był głośniejszy od krzyku. — Tak sobie tłumaczysz ten żaloszny fakt, że wybrałaś się prosto w objęcia śmierci, zostawiając nas w kompletnej niewiedzy?

Odważnie odpowiedziałam na srebrzyste spojrzenie Flesha, nie opierając się jego magii, która otoczyła mnie niczym chmura gryzącego dymu. Mięśnie demona drżały, jakby tylko kruche kajdany powstrzymywały go od skrzywdzenia mnie.

— Daj spokój, Flesh — rzuciła stanowczo Charlotta. — Już wszyscy słyszeli mój monolog pełen oskarżeń i obelg, nie musisz się do niego dokładać.

Ku mojemu ogromnemu zdziwieniu, Flesh całkowicie zamilkł, nadal wwiercając we mnie wściekły wzrok. Obiecałam sobie w duchu, że jeśli przeżyję to wszystko, przeproszę go i wyjaśnię, dlaczego tak mocno go zraniłam. Lecz teraz nie mogłam skupiać się na jego złości, lecz na planie naszej ucieczki.

— Wydostanie się stąd niezauważenie raczej nie jest możliwe — zaczęłam z namysłem — więc musimy skupić się na szybkiej ucieczce, omijając nowonarodzonych. Skonfiskowali mi moje rzeczy. Pakunek z bombą był wśród nich. Jest tak niewielka, że pewnie nie pomyśleli, że tworzy jakiegokolwiek zagrożenie. — Uśmiechnęłam się drapieźnie. — Jednak to specjalna robota znanego mi zmiennokształtnego, którego nawet najmniejsze bomby potrafią narobić hałasu nie gorzej niż ogromne skrzynki wojskowe.

Charlotta oparła głowę o ścianę, wzdychając.

— Gdzie mogą trzymać twoje rzeczy?

Przychodziła mi na myśl jedna prawdopodobna opcja, która niekoniecznie mi się podobała.

— Quentin zapewne trzyma je u siebie.

— Widziałam niewielkie pomieszczenie w sercu budynku — mruknęła Amelia, zagryzając lekko dolną wargę. — Może to gabinet Quentina?

— Serce obozu — zawarczałam cicho. — Tak, to na pewno jego biuro. I na pewno tam są ukryte moje rzeczy. Znając jego naturę i nienawiść do mnie, woli trzymać mój pakunek blisko siebie tak, żebym musiała go wyrwać osobiście z jego pazurów.

Sam pomysł wczesnego starcia z Quentinem nie napawał mnie entuzjazmem — musiałabym go pokonać, inaczej ani ja, ani moi towarzysze nie przeżylibyśmy wybuchu bomby. Oblizawałam wysuszone usta i rozprostowałam palce, które zdrętwiały i nabiegły krwią od długiego uwięzienia w kajdanach. Na nadgarstkach uformowały się czerwone obtarcia boleśnie pulsujące w rytm bicia serca. Przypomniałam sobie, jak wcześniej więzili mnie porywacze w środku gór

i krew zagotowała się we mnie z wściekłości po raz kolejny.

Jestem Ogarem, wolnym drapieżnikiem! — zawarczałam w duszy, aż Banshee podniosła łeb. — *Niech wrogowie, którzy próbują mnie zniewolić, umrą w męczarniach! Już ja pokażę Quentinowi, że nie zadziera się z Łowczynią!*

Banshee zawyła z triumfem, rozkoszując się moim gniewem. Obydwie miałyśmy żądzę krwi śpiewającą w żyłach i pragnęłyśmy zapolować na tych, którzy nas krzywdzili.

Jeśli Quentin zacznie mnie torturować — zamruczałam w duszy — *obejmiesz władzę, Banshee. Znajdziemy odpowiedni moment, by zaatakować. Kajdany nie zdadzą się na nic, kiedy złączymy razem swoje siły. Pokażesz, co naprawdę potrafisz.*

Wilczyca zamruczała w odpowiedzi z aprobatą, oblizując drapieżnie kły. Była gotowa już teraz bronić nas obydwie przed szaleństwem wampirzego Mistrza. Moi rodzice prosili ją, by zaopiekowała się dzieckiem, którym już dawno nie byłam, jednak nadal czuwała nade mną niczym anioł stróż. Byłyśmy jednym i jedno czułyśmy. Banshee pragnęła zemsty i szybkiej śmierci Quentina, jednak ja chciałam pławić się w jego bólu, poczuć smak krwi na języku, zachłysnąć się faktem, że wampir cierpi za to wszystko, co zrobił mnie oraz innym — chciałam pomścić ofiary nowonarodzonych wampirów, które wypuszczał na żer po ulicach miasta, pomścić Bruno, pomścić każdy żywot, który zgasł przez jego chore ambicje i psychiczne wizje władzy całkowitej.

Do dzisiaj w mojej głowie widniało wspomnienie Amelii, gdy mówiła o swojej przyjaciółce — pierwszej ofierze krwawej rozpusty młodych wampirów, jej pobratymców przemienionych wbrew swojej woli. Pamiętałam figurki w domu Amelii, które podarowywała jej przyjaciółka przy najmniejszej okazji jako wyraz przyjaźni. Niemal czułam ból wampirzycy po stracie bliskiej osoby.

Oni wszyscy nie zasłużyli na swój los — wymruczała Banshee, także odczuwając smutek i żal.

Nie byłam pewna, czy miała na myśli ludzi przemienionych wbrew swojej woli, czy może tych brutalnie zamordowanych w ciemnych, ciasnych uliczkach, rozszarpanych przez głodne krwi wampiry niczym zwykłe kawałki mięsa. Obydwie wiedziałyśmy jedno — Quentin wyrządził wiele zła, pośrednio i bezpośrednio, i zasłużył na karę.

W ciągu kolejnych godzin mój żołądek zaczął protestować z głodu, a gardło dalej było suche jak pustynia. Nikt nie przyniósł nam jedzenia ani picia. Wszędzie panowała cisza oprócz cichych kroków na korytarzu, które co jakiś czas dochodziły do nas zza drzwi. Obserwowałam wskazówkę zegara z niecierpliwością, z każdą minutą coraz mocniej drząc z piętrzących się emocji. W każdej chwili mógł przybyć Quentin z pragnieniem spełnienia swojej groźby o torturach.

Flesh razem z Frederic stopniowo osłabiali magicznie kajdany, jednak były one nasączone srebrem — metal ten, oprócz swoich właściwości alergicznych działających na większość ras nadnaturalnych, bardzo trudno było zaczarować lub uszkodzić zaklęciem. Demon mógłby z łatwością wyrwać kajdany z betonu, jednak tylko on zdołałby wtedy zbiec z budynku. Cekał więc razem ze wszystkimi na ten moment, gdy obręcze będą dość słabe, by każdy z uwięzionych mógł bez problemu odzyskać wolność. Z napięciem obserwowałam starania demona oraz czarodzieja, podczas gdy Amelia i Charlotta nasłuchiwały odgłosów z korytarza, by móc zaalarmować wszystkich przedwcześnie o przybyciu Quentina lub strażników. Silvyr dzięki swoim zdolnościom szamańskim badał energię wszystkich stworzeń w budynku, jednak było to utrudnione przez grube, betonowe mury, które upodabniały obozowisko do jednego wielkiego karceru nie tylko dla nas, ale i dla wszystkich oprócz Quentina.

Gdy wybiła siedemnasta, byłam już spięta niczym struna, a przy tym wygłodniała i spragniona. Drżałam w kajdanach niczym zaszczute zwierzę. Napięte miny Frederica i Flesha nie zmieniły się, a ich magia nadal z uporem zmiękczała gruby metal. Po czole czarodzieja spływały pojedyncze krople potu, mimo że w budynku panował ziąb. Na zewnątrz słyszałam skrzypienie śniegu pod nogami strażników, którzy po pojmaniu moich towarzyszy powrócili do patrolowania terenu. Co jakiś czas rozlegało się pojedyncze szczeknięcie jednego z psów towarzyszących przy patrolu, ale poza tym nic szczególnego nie przykuło mojej uwagi.

Sińce po strzałkach usypiających powoli bledły, pozostawiając na skórze jedynie blade, zielone ślady. Wpływ narkotyku na moje zmysły znikł całkowicie dopiero teraz, więc w moim umyśle zrodziło się pytanie: *Jak wielką dawkę narkotyku mi podali? I o ile więcej musieliby mi wstrzyknąć, żebym już nigdy się nie obudziła?* Nie uzyskałam odpowiedzi na to pytanie i wiedziałam, że nie

będzie mi to dane kiedykolwiek. Jediną możliwością, żeby ustalić prawdę, byłoby praktyczne wypróbowanie ogromnej dawki narkotyku. A ja nie miałam zamiaru faszerować się tym świństwem tylko po to, by umrzeć z przedawkowania lub odkryć własną granicę życia i śmierci. Już raz się na niej znajdowałam — wtedy to właśnie Banshee odkryła przede mną niektóre tajemnice dotyczące mojego życia.. a także moich rodziców.

Twarz mojej matki, łagodna i zatroskana, po raz kolejny stanęła mi przed oczyma. Była piękna, a to piękno nabierało głębszego znaczenia, kiedy myślałam o jej ofierze. Ofierze jej i mojego ojca. Zginęli, ratując mnie — swoje małe, niewinne dziecko. Wezwali ducha Banshee, by pozwoliła mi dożyć lat dorosłych. Kochali mnie tak mocno, jak tylko mocno można kochać drugą istotę. Zamordowano ich, bo się w sobie zakochali i chcieli założyć rodzinę. Głupie uprzedzenia i obsesyjny strach przed skażeniem czystości krwi doprowadziły do tragedii. Stado, którego częścią była moja matka, zapolowało na nią i jej kochanka niczym na zwykłe zwierzęta. Te wnioski po raz kolejny doprowadziły do tego, że gniew podszedł mi do gardła żółcią.

Silvyr wzdrygnął się nagle, aż zadzwoniły jego kajdany i wbił we mnie spojrzenie. Wyczuł kogoś, byłam tego pewna. Charlotta i Amelia potwierdziły to, gdy kolory na ich twarzach zbladły. Wszyscy zamarli, łącznie ze mną, słysząc głośne, spokojne kroki na korytarzu, jakby ich właściciel nie śpieszył się donikąd, ale chciał, by na pewno przedwcześnie wiadano o jego przybyciu.

Quentin wkroczył do środka z delikatnym, słodkim uśmiechem na twarzy, jakby zjawił się tutaj, by wypić popołudniową herbatę i przegryźć ją miodowym ciastkiem. Zmienił swoje ciemne ubrania na białą koszulę, ciemnoszare spodnie i proste, jasne buty. Na ramiona narzucił kitel lekarski. Dłonie trzymał w kieszeniach w pozornie leniwym geście. Jego włosy opadały swobodnie na ramiona, lśniące i ciemne niczym pióra dzikiego kruka. *Wydaje mi się, czy bardzo chce upodobnić się do Telewizyjnego Dextera?* Na jego widok moja krew zamarzła, a serce zwolniło niczym sekundę przed zgonem. Czulałam zimne dreszcze pełnzące po plecach, jakby sama śmierć głaskała moją skórę swoim kościstym palcem. Moi towarzysze wbijali najpierw wzrok w wampira, a potem skierowali wzrok na mnie z przerażeniem, oczekiwaniem i desperacją w oczach. Flesh i Frederic schowali swoją magię, teraz z równym skupieniem co reszta lustrując moją twarz. W błękitnych oczach demona dostrzegłam światło, które niemalże rozerwało mi serce i płuca. Poprzez złość za moje poprzednie słowa, stanowiące swego rodzaju okrutne pożegnanie, teraz przebiły się emocje i uczucia, które tak chciałam uchronić. *Nie powinien na to patrzeć*, powiedziałam do siebie w duchu, zwieszając głowę. *Nie powinien być tego świadkiem. Miałam go przed tym uchronić, a jednak...*

Quentin podszedł do stołu przycupniętego obok drzwi i przejechał palcem po

wszystkich lśniących, wypolerowanych narzędziach niczym po klawiszach fortepianu. Delikatnie, jakby dotykał wyjątkowo kruchego kwiatu, ujął w smukłe palce wysublimowanie wygięty w łuk skalpel. Otarł kciukiem krawędź ostrza, aż z jego opuszka wypłynęła kropla ciemnoszkarłatnej krwi. Odsunął dłoń od narzędzia i poczekał kilka sekund, aż ranka się zagoi. Potem oblizał rubinową łzę z bladej skóry i uśmiechnął się szerzej, ukazując pomiędzy wargami czubki swoich perłowo białych kłów.

— Moja droga.. — zaintonował łagodnym, śpiewnym głosem, od którego moje delikatne drżenie kończyn niemal przeszło w gwałtowne drgawki — Czas na naszą małą grę.

Rozdział XXII

~ KIRA ~

Quentin zbliżył się do mnie powoli wystudiowanym krokiem, trzymając w dłoni skalpel niczym kieliszek dobrego wina, którym chciał mnie poczęstować. Zaciśnęłam zęby tak mocno, że niemal wydały z siebie dźwięk podobny do ryku zgniatanego metalu. Wampir był nieskazitelnie czysty i pachniał świeżo jak po długim, gorącym prysznicu. Jego seledynowo zielone oczy lśniły gorączkowo, co kontrastowało z zadowoleniem i spokojem wypisanym na gładkiej, przystojnej twarzy. Skalpel w jego dłoni odbijał światło lampy niczym srebrzysta łza. Skóra mi ścierpła, kiedy Mistrz zatrzymał się przede mną w odległości jednego kroku, a potem spomiędzy jego ust wydobył się cichy śmiech dźwięczny niczym muzyka dzwoneczków trącanych przez wiatr, przez co brzmiał upiornie i groteskowo w moich uszach. Miałam gęsią skórkę.

Widziałam ponad ramieniem Quentina, że Flesh napina mięśnie niczym pies przed rzuceniem się na swoją ofiarę i naciąga łańcuchy kajdan do granic możliwości. Wbiłam w niego ponury, zrezygnowany wzrok, na którego widok niemal sapnął z żalu i zaciśnął zęby, aż mięśnie jego szczęki zaczęły kurczowo drgać. Poczułam nagły dotyk jego energii w swoim umyśle, ciepły niczym płomień i tak znajomy, że w moim gardle rozpoznałam ucisk zwiastujący nadchodzące łzy. Nie dopuściłam go głębiej do swojej świadomości, jednak Banshee zdołała przesłać mu wiadomość w moim imieniu.

Wybacz mi moje poprzednie słowa. Chciałam tylko cię ochronić. Ochronić przed tym...

Nasz kontakt się urwał, gdy szelest lekarskiego kitla przykuł mój wzrok. Quentin przyglądał mi się niczym cennej bryle marmuru, w której chce wykuć swoje najznakomitsze dzieło rzemieślnicze. Spięłam się powoli, podtrzymując żar wściekłości w mej duszy, który przygotował mnie na ból, który ten szaleniec chciał mi zadać. Byłam gotowa na jego okrutne zabawy.

Nie dam się złamać — warknęłam do Banshee, równie zdeterminowanej i gotowej do zniesienia najgorszego cierpienia. — Przeżyję wszystko, co dla mnie przygotował. Wszystko wytrzymam, choćby na granicy obłądu.

Quentin wyciągnął dłoń i przejechał jej grzbietem po moim odsłoniętym udzie. Nie poruszyłam się ani o centymetr, chociaż świadomość jego dotyku i bliskości wywołała u mnie obrzydzenie i wściekłość. Moja świadomość złączyła się z umysłem Banshee i razem byliśmy jednym.

— Jesteś wyjątkowo bezczelny — powiedziałyśmy niskim głosem przypominającym bardziej zwierzęcy pomruk niż głos jakiegokolwiek ludzkiej istoty. — Sprowadziłeś na ten świat wiele cierpienia i tragedii. Może powinieneś więc za to odpowiedzieć?

Jeśli Quentin był zaskoczony pogłosem wilczycy brzmiącej w moim tonie i obcością podwójnego głosu, jedyną tego oznaką był chwilowy przestraszenie w jego żenicach, który równie szybko zniknął, gdy wzrok wampira skierował się na posrebrzone kajdany okalające moje opuchnięte nadgarstki. Uśmiechnął się z pewnością siebie zwykłą dla słabszego przeciwnika, który może napuścić pierś przed swym wrogiem tkwiącym w uwięzi. *Przeklęty oszust i tchórz*, warknęłyśmy wspólnie, patrząc na wampira z nienawiścią lśniąca w złocistych, dzikich oczach.

— Moja słodka, naiwna Kiro — zaśmiał się pod nosem Quentin. — Któż miałby wymierzyć mi karę? Wilkołaki? Twój towarzysz? — Wskazał dłonią więźniów. — A może ty? Jesteś w pułapce niczym uwiązany na łańcuchu pies, który może jedynie odgryźć sobie łapy, żeby się uwolnić. — Jego uśmiech się poszerzył. — A nawet wtedy wystarczy kula w łeb. Nieprawdaż?

Na wspomnienie zastrzelonego w lesie wilka warknęłam tak głośno, że echo mojego głosu zabrzmiało jak grzmot. Banshee wyraziła swoje emocje poprzez obrazy — złociste oczy wilka martwe jak u lalki, krew na śniegu, łapa rozszarpana przez wnyki, pocisk w środku czaszki... Byłyśmy wściekłe. Spomiędzy moich kłów niemal leciała ślina, gdy kłapnęłam szczękami w stronę Quentina. Nie odsunął się. Kajdany krępowały mnie na tyle, że wampira od moich śmiertelnych siekaczy dzieliło zaledwie kilka centymetrów. *Ten wilk już nigdy nie zazna radości polowania* — lamentowała Banshee. — *Nigdy nie zasmakuje wolności. Jest martwy!*

— Twoje współczucie dla tego zwierzęcia jest niezwykle zabawne, moja droga — zaśmiał się Quentin, polerując ostrze skalpela kciukiem i palcem wskazującym. — Litowanie się nad dzikimi zwierzętami jest w twoim stylu. Śpieszysz na pomoc każdemu zbłąkanemu futrzakowi, jaki będzie pełzał u twoich stóp. — Jego głos się ochłodził. — I nie tylko im. Weźmy na przykład takiego Josepha...

Na dźwięk tego imienia zadrżałam z wściekłości. Kolejne wspomnienie, tym razem spętanego i umierającego Josepha w ciemnej piwnicy, nawiedziło mnie i zagotowało krew. Do teraz czułam zapach krwi i kurzu, słabe bicie serca pod bladą skórą wampira, jego chrapliwy oddech, złociste włosy splątane w strąki,

liczne rany, zimny oddech śmierci, od którego go uratowałam. Moja głowa niemal całkowicie przekształciła się w wilczy łeb. Widziałam przerażenie i szok na twarzach moich towarzyszy.

Usłyszałam cichy świst, przed oczyma śmignął mi srebrzysty blask, a potem poczułam ból w policzku. Umilkłam niczym porażona prądem, czując ściekającą z rany strużkę krwi. Quentin trzymał skalpel zdecydowanie — po ostrzu spływał soczysty szkarłat. Wpatrywałam się w niego krótki moment, potem przeniosłam spojrzenie na twarz wampira. Wilczy łeb zniknął, ponownie pojawiła się moja ludzka twarz — całkowicie bez wyrazu. Rozluźniłam mięśnie, przygasiłam gniew. Wszystko zrozumiałam. *Tego właśnie chciał*, stwierdziłam ponuro. *Chciał mnie rozwścieczyć, doprowadzić na skraj prawdziwego gniewu. Ból byłby wtedy dotkliwszy*. Niemał uśmiechnęłam się pod nosem. Moje wargi drgnęły, ale poza tym nie zmieniłam wyrazu twarzy. *Nie ulegniemy jego podstępным sztuczkom, warknęłyśmy wspólnie z wilczycą. Tym razem nie damy się podpuścić. Zamilkłyśmy*.

Quentin lekko skrzywił wargi, widząc moją obojętność. Nie chciał takiego obrotu spraw. Niezadowolony otarł ostrze o fartuch, zostawiając na nieskazitelnie białym materiale czerwony ślad, a potem pokręcił głową niczym nauczyciel rozczarowany swoim uczniem.

— Tak łatwo stracić wolę walki... — W jego głosie pobrzmiwał fałszywy smutek i rozczarowanie, a potem roześmiał się szczerze niskim, złowieszczym głosem. — Przez to będzie jeszcze ciekawiej.

Skalpel świsnął kolejny raz, celując w moją skroń. Nawet się nie poruszyłam, kiedy ostrze prześlizgnęło się gładko po skórze. Rana piekła niczym rozżarzony pręt, a krew zalała mi lewą powiekę. Mimo to nie zareagowałam. Gdy Quentin ponownie się zamachnął, usłyszałam szarpnięcie łańcuchów i ponad ramieniem wampira zobaczyłam Flesha wprost najeżonego z furii. Naciągnął kajdany do granic możliwości, wpatrując się w Quentina z wściekłością jarzącą się w oczach diamentową, demoniczną bielą. Spojrzenie Flesha i moje skrzyżowały się, gdy ostrze po raz kolejny poszło z ruch. Tym razem ból był przeszywający, gdy skalpel wbił się w brzuch, ledwie omijając ważne organy. Zadławiłam się śliną, ale to była moja jedyna reakcja na zadany ból. Krew ściekała po moim udzie i głośno kapiała na podłogę.

Rany wolno się zasklepiały i poprzez falę cierpienia zrozumiałam dlaczego — skalpel był nasycony srebrem. Przełknęłam ślinę, czując ucisk w żołądku. Quentin odłożył starannie wytarte narzędzie na stół i z namysłem godnym malarza wybierającego odpowiedni kolor, który ma nanieść na paletę, przyglądał się po kolei narzędziom chirurgicznym. Nawet ja nie mogłam przeżyć wielu poważnych ran zadanych srebrem. Wiedziałam, że jeśli Quentin zadecyduje, by mnie zabić, miał teraz ku temu okazję. Szarpnęłam łańcuchami, aż metalowe

ogniwa zadźwięczały żałośnie, ocierając się o betonową, surową ścianę. Wampir zerknął na mnie z ukosa z miną sprytnego lisa.

— Czyżbyś już odkryła tę małą, słodką tajemnicę? — Zachichotał niczym dziesięcioletni chłopiec, któremu udał się wyjątkowo wredny psikus. — Pozwoliłem sobie nanieść delikatną warstwę srebra na te piękne ostrza. Żeby nasza zabawa nie stała się zbyt nudna i przedłużyła się, aż stracę zainteresowanie.

Podszedł do mnie powolnym krokiem, trzymając w gładkich, bladech woskowych dłoniach obcęgi. Przeniosłam wzrok z narzędzia na jego właściciela.

— Przez te lata panoszyłaś się w mieście, zakłócając dotychczasowy ład i porządek — zamruczał Quentin głosem przesyconym niezadowoleniem i złością. — Pojawiłaś się znikąd i opanowałaś miasto, zyskując szacunek oraz posłuszeństwo innych strachem i bólem. Masz sojuszników, ale także i wrogów. Myślisz, że utrzymujesz równowagę, wymierzasz sprawiedliwość... — Wampir opluł mnie, przemawiając coraz głośniej i czerwieniejąc na twarzy. — ...ale jesteś tylko nędzną morderczynią i katem bez jakiegokolwiek finezji przy odbieraniu życia.

— Że też poucza mnie taka podstępna pijawka jak ty — warknęłam agresywnie. — Grasz przed wszystkimi dobrego arystokratę kochającego swój lud, a jednak chcesz na niego sprowadzić gniew wilkołaków tylko z powodu swoich egoistycznych zachcianek. Zabijałeś niewinnych ludzi, nie brudząc sobie rąk. Twoje nowonarodzone wampiry przemierzały ulice miasta, polując na każdego, kto znalazł się w nieodpowiednim miejscu i czasie akurat na przekąskę. — Splunęłam na niego niczym żmija, żałując, że moja ślina nie jest śmiertelnym jadem. — Odebrałaś wielu osobom ich bliskich, przyjaciół i znajomych, knułaś z tchórzliwym wilkołakiem, posłużyłaś się człowiekiem niczym lalką, a na dodatek pośrednio tknęłaś kijem gniazdo okolicznych wiedźm. — Na moich ustach wykwił szeroki, drapieżny uśmiech, mimo krwi zalewającej mi oczy i spływającej po zębach. — Powiedz mi, w czym jesteś lepszy od zwykłego parszywego mordercy i kata, za którego uważasz mnie?

Jednym płynnym ruchem wampir pojawił się tuż obok, na wyciągnięcie ręki. Mogłam rozerwać mu tętnicę kłami, jednak jego cios był szybszy. Krótkim chwytem i szarpnięciem złamał mi palec wskazujący prawej ręki. Trzask łamanej kości rozszedł się w ciszy upiornym echem. Zakrztusiłam się z bólu, podczas gdy poza szumem do moich uszu dotarł krzyk moich oburzonych, rozjuszonych sojuszników. Odchyliłam głowę zamroczona, aż dostrzegłam Flesha. Jego twarz była nieruchoma niczym oblicze posągu. Oczy lśniły ognistą bielą tak jasną, że niemal rozświetlała półmrok panujący w całym pomieszczeniu. Skupiona energia tworzyła barierę gorąca i półprzezroczystego, czarnego dymu wijącego się wokół jego ramion wzorem stada dzikich węży.

Quentin nie zwracał uwagi na nic oprócz mojej osoby. Szaleństwo w jego oczach lśniło niczym tysiące gwiazd. Skupiłam swoją energię i zazgrzytałam

zębami, gdy złamana kość wskoczyła na swoje miejsce. Ból się zminimalizował, jednak nadal czułam tępe pulsowanie w zrastających się mięśniach. Zanim zdążyłam odetchnąć, wampir złamał kolejny palec. I kolejny. A potem jeszcze kolejny. Wrzeszczałam z bólu za każdym razem, jednak próbowałam to zdusić — rozgryzłam wargi do krwi, orając zębami miękką tkankę. Ból przeszywał na wskroś dłoń, ramię i płuca, paraliżując wszelkie gwałtowne ruchy. Banshee odczuwała moją agonię i wiła się w mękach. Po obcęgach przyszedł czas na długi na trzydzieści centymetrów sztylet. Jego długa rękojeść lśniła niczym metalowe żądło. Zza pół przymkniętych powiek zarejestrowałam, że Quentin w pierwszej kolejności rozcina ostrzem moje ubranie — szpitalna koszula opadła na podłogę, odsłaniając resztę ciała nietkniętą torturami. Sztylet zawirował w powietrzu niczym tancerz, a potem ugodził mnie w uda. Jasna skóra pękła wśród szaleńczego narastającego śmiechu wampira i fontanny ciepłej, szkarłatnej krwi.

Wyłam i krzyczałam głosami wilka i człowieka, biorąc na siebie cały ten ból. Frederic razem z Silvyrem szaleńczo próbowali wyrwać się z kajdanów, żeby to zakończyć, tak samo jak Amelia o twarzy zalanej łzami i Charlotta o wściekłości malującej oszronione wzory na jej ciele i ścianie za jej plecami.

Banshee, czas na ciebie — rzuciłam w agonii, czując coraz mocniejsze pulsowanie energii pod żebrami. — *Musimy to zakończyć.*

Świadomość wilczyca zalała mnie niczym kojąca fala. Czułam jak wlewa się do każdego skrawka mojego ciała, przejmując kontrolę. Nadal czułam ból, który zadawał mi Quentin, jednak został przytłumiony, jakby moja dusza w jakiś sposób opuszczała ciało. Banshee zepchnęła moją świadomość w najdalszy głęb jestestwa, w ciemność i ciszę, która dawała ukojenie. Poczułam się jak szczenię chroniące się w ciepłym kokonie matczynej futry.

Moja słodka — zamruczała melodyjnie wilczyca, jakby to była kołysanka dla znękanego dziecka. — *Zakończę ten ból i cierpienie, a nasi wrogowie nie zaznają żadnej litości. Śpij, maleństwo. Śpij i pozwól ziemi spłynąć ich krwią.*

Zapadłam się w ciemność niczym w miękkiej pierzynie. Ból był ledwie impulsami, które jeżyły mi włoski na całym ciele. Przymknęłam powieki, szukając ukojenia. I znalazłam je. Zanim zasnęłam, poczułam furię ducha, który przejął moje ciało.

Nadchodził prawdziwy Ogar Boga.

~ FLESH ~

Gdy ostrze sztyletu po raz kolejny śmignęło w powietrzu, wyczułem falę energii zalewającej powietrze. Zrobiło mi się gorąco, poczułem pot spływający po plecach i nie była to konsekwencja mojej budzącej się mocy. Złota aura pulsująca w głębi Kiry rozprzestrzeniła się, okalając ją jasną luną. Głowa spoczywająca bezwładnie na piersi drgnęła, a potem poruszyła się jak u osoby, która budzi się z bardzo długiego snu. Znałem posmak tej energii, znałem jej zapach, znałem jej właścicielkę... jednak to było za mało. Nic nie wiedziałem — uświadomiłem sobie to w tamtej chwili, obserwując ze zjezonymi na karku włoskami, jak Kira się zmienia. Albo raczej jak coś ją zmienia.

Jej ciało wydawało się inne, chociaż to było to samo ciało, którego każdy centymetr poznałem w najbardziej intymny sposób. Skóra była bledsza niż normalnie, zabarwiona szkarłatem wypływającym z odniesionych ran, jednak to było to samo ciało. Im dłużej patrzyłem, tym gorsze przeczucia miałem. Krzyk bóleści Kiry ucichł całkowicie — wisiała bezwładnie w swych kajdanach, nie zwracając uwagi na Quentina, który raz po raz ciął jej nogi, pozostawiając płytkie, ale bolesne rany. Jego fartuch był usiany szkarłatnymi plamami, tak samo jego dłonie oraz buty. Przypominał rzeźnika o uśmiechu szaleńca.

Głowa Kiry uniosła się powoli. Patrzyłem i nie mogłem przestać. Frederic, Silvyr, Amelia i Charlotta zamilkli, jednocześnie przestali się szarpać, także skupiając wzrok na łowczyni zaskoczeni i zaniepokojeni nagłą ciszą, która zapadła. Nawet Quentin wyczuł, że coś się zmieniło, bo odsunął się na odległość kilku kroków, dysząc ciężko jak po maratonie. Jego kły lśniły pomiędzy wargami, gdy przesuwał po nich językiem. Zauważyłem, jak drży mu ręka, w której trzymał broń. Nie wiedział, czego się spodziewać... tak samo jak my wszyscy.

Spomiędzy zakrwawionych ust Kiry uleciał cichy śmiech, który narastał z każdą sekundą, aż wypełnił pomieszczenie ponurym, niskim dźwiękiem. Wargi rozgryzione do żywego wyciągnęły się w szerokim uśmiechu, aż dało się widzieć długie, ostre kły zbrukane czerwienią. Był to uśmiech drapieżnika, który złapał ofiarę w pułapkę — zupełnie jakby jakimś cudem role Kiry i Quentina, ofiary i kata, zamieniły się miejscami. Mistrz wydawał się również myśleć podobnie, bo zmrużył powieki podejrzliwie, a jego kredowobiała twarz wykrzywiła się w niespokojnym grymasie.

— Twoje poczucie sprawiedliwości potrafi być tak mocno zachwiane, że aż przezabawne — wymruczała niskim, gardłowym głosem, który z pewnością nie należał do niej. — Siejesz śmierć, przemieniasz ludzi w atmosferze przymusu, strachu i krwi, tylko po to, by dla ciebie stanęły przeciwko wilkołakom. Wszystkie te nowonarodzone wampiry zginą, zwłaszcza kiedy to ja zatopię w nich swoje kły

i pazury. — Warkot wydobywający się z gardła Kiry wydawał się głosem prawdziwego, dzikiego wilka. — Zabiję wszystkich, którzy ci służą, skąpię się w ich krwi i potem zajmę się tobą, Dziecię Nocy. Odbiorę ci władzę, szacunek ludu i wszystkie siły, a gdy żałośnie będziesz pełzał u moich nóg, pozbawię cię życia i zatańczę na twoim grobie taniec zwycięstwa godzin prawdziwego wojownika u bram triumfu.

Zawyła tak przenikliwie, odchylając głowę do tyłu, że skrzywiłem się pod nosem, nie mogąc zasłonić uszu dłońmi. Quentin cofnął się chwiejnie, jakby nagle opuściły go wszystkie siły. Broń w jego dłoni drżała tak mocno, jakby miał zaraz wypuścić ją ze zdrtwiałych palców. Znałem głos, którego wypowiedziane słowa tak wstrząsnęły wampirem i wiedziałem doskonale, w przeciwieństwie do innych towarzyszy Kiry, sądząc po ich zszokowanych minach, że tego tonu używał ktoś zupełnie inny niż Kira. Słyszałem go raz, tak wyraźnie jak teraz.

Banshee! — zawołałem zaskoczony, posyłając ku niej wiązkę swoich myśli. — *Co ty wyprawiasz?* — Przerażenie i panika nagle ścisnęły mi gardło niczym imadło. — *Czy ty... Gdzie jest Kira?!*

Pomiędzy strach i niedowierzenie wkradła się wściekłość. *Czyżby przejęła kontrolę nad ciałem Kiry, tak jak niegdyś obawiała się tego Charlotta?* Spojrzałem na wróżkę, a ona posłała mi zrozpaczone spojrzenie lazurowych oczu, w których zaczęły zbierać się łzy. Nie mogłem patrzeć na ból i żal malujący się w jej spojrzeniu — ostrzegęła mnie, że kiedyś to może się wydarzyć. Obawiała się, że wilczyca przejmie całkowicie kontrolę nad umysłem Kiry, zawładnie nią bez reszty... I to się właśnie stało.

Banshee skierowała na mnie spojrzenie złoto-srebrnych oczu. Ale to nie były oczy Kiry — spojrzenie miały surowe i twarde niczym kamień. Wydawała się zirytowana, kiedy jej rozszerzone źrenice zdawały się dostrzegać więcej, niż mogłem przypuszczać. Kiedy już myślałem, że nie usłyszała moich myśli, albo po prostu je zignorowała, poczułem jej mocny dotyk w umyśle. Był silny, nieugięty i szorstki. Wyczułem w energii wilczycy starość. Była bardzo stara, starsza od Kiry i jej duszy.

Mówiłam, byś ostrożnie używał mego imienia — odparła z naganą Banshee. — *Kira, słodkie dziecko, zasnęła w mroku. Obudzę ją, gdy tylko wypełnię swój obowiązek.*

Wiedziałem niewiele więcej niż wcześniej, ale urwała kontakt, zanim

mogłem zapytać o szczegóły. Pieszczotliwe określenie odnoszące się do łowczyni było powiedziane tym samym twardym głosem, jednak odnalazłem w nim nutkę ciepłych emocji. Zupełnie jak u surowego rodzica, który chce zadbać o swoje ukochane dziecko. *"Zasnęła w mroku."* Te słowa w pewien sposób zaniepokoiły mnie bardziej niż powinny. Czy aby na pewno Banshee chciała potem przywrócić Kirze władzę nad ciałem? A może tylko kłamała? Wilczyca, jakby domyślała się, o czym dokładnie gorączkowo rozmyślam, uśmiechnęła się promiennie, ukazując skrwawione kły. Quentin przykuł jej uwagę ponownie, podchodząc bliżej z nożem w ręku.

— Nigdy nie przypuszczałem, że masz taki talent aktorski, Kira — wymamrotał wampir, wycierając pot zbierający się na górnej wardze. — Ale twoje sztuczki tylko wzbogacają naszą grę. Myślisz, że cokolwiek zmienisz?

Banshee jeszcze bardziej poszerzyła uśmiech. Przypominała teraz upiora rozbawionego narastającym strachem stojącej naprzeciwko niej ofiary. Pomimo kajdan pętających jej nadgarstki, to właśnie ona była tutaj katem.

— A ty myślisz, że ten śmieszny scyzoryk w twojej dłoni może cię ocalić? — zapytała wesoło, podśmiewając się pod nosem. — Jesteś niczym owad łopoczący bezradnie skrzydłami w pajęczej sieci. — Oblizwała wargi, zlizując z nich krew. — A ja jestem drapieżnikiem, który ci je wyrwie.

W jednej chwili Banshee szarpnęła się w kajdanach tak mocno, że usłyszałem trzask łamanych rąk. Jednocześnie jej siła sprawiła, że okowy wyrwały się ze ściany z głośnym hukiem. Odłamki betonu zaczęły uderzać w podłogę niczym grad. Wilczyca stanęła na prostych nogach. Jej kości wskoczyły na swoje miejsce, a większość ran zadana posrebrzanymi narzędziami zaczęła zasklepiać się w niewiarygodnym tempie.

Quentin, który wcześniej odsunął się gwałtownie, by uniknąć zranienia odłamkami betonu, teraz stał niemal przy drzwiach, wpatrując się w ciało Kiry z przerażeniem otwarcie wymalowanym na twarzy. Jego humor oraz pewność siebie rozplynęły się w jednej sekundzie. Zdał sobie sprawę z beznadziejności sytuacji, gdy wolna Banshee zaczęła zbliżać się do niego krok po kroku. Jej ruchy były elastyczne, płynne jak u zwierzęcia, kontrolowane i ciche niczym skradanie. Na jej twarzy nie widziałem teraz żadnych emocji.

— Zdechniesz w męczarniach nieznanym naszym czasem. — Kłapnęła na wampira kłami, powoli przemieniając swoje ludzkie ciało. — Zapewniam cię, że stanie się to już niedługo.

W jednej chwili stała się wilkiem, przewyższającym wzrostem całą jego sylwetkę, wcześniej wyprostowaną w pysze, a teraz skuloną ze strachu. Nóż w jego dłoni wykonywał szalone drgania, a po twarzy spływał zimny pot. Ciemne futro Kiry powoli pojaśniało, aż zalśniło czystą bielą w odcieniu pierwszego śniegu na szczytach gór. Banshee była teraz sobą w pełnej okazałości. Przejęła ciało Kiry,

a także je zmieniała.

— Frederic, teraz! — wrzasnąłem do czarodzieja, wpatzonego w całą scenę rozszerzonymi oczyma. — Musimy zniszczyć te pieprzone kajdany!

Podczas szybkiego, mocnego niszczenia metalu widziałem kątem oka Banshee oraz Quentina. Wampir cofał się powoli, podczas gdy wilczyca podchodziła do niego pełna spokoju. Jej kły były długie niczym sztylety gotowe rozerwać go na strzępy. Warczała gardłowo, marszcząc gniewnie wargi. Ten dźwięk wydobywający się z jej płuc przypominał bębny zwiastujące nadchodzącą śmierć.

Skoczyła na wampira z szybkością dorównywającą demonowi. Rozmywała się w powietrzu niczym biała zjawa, ścigając Quentina po całym pomieszczeniu niczym szczura w pułapce. Czerpała z tego widoczną przyjemność, bo tylko przeganiała go z kąta w kąt, zamiast wykorzystać przewagę wagi, siły oraz umiejętności, by zaatakować śmiertelnie. W końcu, niczym szczeniak bawiący się żywą myszą, ukąsiła Quentina w ramię czubkami kłów, rozrywając materiał kitla i przy okazji blady kawałek skóry, który zwisał teraz w krwawych strzępach. Wampir zawył boleśnie i zamachnął się sztyletem, który nadal ścisnął w dłoni. Był za wolny, gdyż Banshee bez problemu uniknęła zranienia i ponownie cięła zębami, wrywając ścięgna z jego nogi, o kilka centymetrów mijając tętnicę. Rany nie zdążyły przestać krwawić i się zasklepić, gdy szczeka wilczycy zaciśnęła się lewym ramieniu ofiary, na której wcześniej zostawiła głęboką ranę. Zaciśnęła kły bezlitośnie, łamiąc kości i rwąc mięśnie z łatwością mrozącą krew. Quentin szarpał się w jej ścisłach, gdy jednym ruchem głowy szarpnęła kończynę na bok. Ramię Mistrza poleciało kilka metrów dalej, zanim zatrzymało się pod ścianą, zaledwie krok ode mnie. Krew lała się strumieniem z otwartej rany. Banshee wyrwała ramię całkowicie, nie pozostawiając nawet kawałka kikuta. Wampir opadł na ziemię bezwładnie, wyjąc z bólu niczym dzikie zwierzę. Wił się w konwulsjach pod łapami wilczycy, która oblizywała wargi z krwi i bez emocji przyglądała się cierpiącemu wrogowi niczym ciekawemu gatunkowi owada.

Kajdany moje i Frederica trzasnęły jednocześnie. Stanęliśmy na nogach, rozcierając obolałe nadgarstki. Uwolniliśmy natychmiast Silvyra, Amelię i Charlotte, starając się nie patrzeć w stronę rozgrywającej się obok sceny. Wilczyca, jakby zmęczona wrzaskiem wampira, odrzuciła łbem ranne ciało Quentina, aż odbiło się od przeciwległej ściany niczym szmaciana, zepsuta lalka. Prychnęła pod nosem, marszcząc nos.

Odwróciła pysk w kierunku naszej grupy. Tylko ja dokładnie wiedziałem, na kogo patrzę. Reszta zebranych uważała jedynie, że patrzy na Kirę owładniętą przez jej wilczą naturę. Banshee nie odezwała się, jedynie posłała mi krótkie spojrzenie złotych oczu.

Jego wrzask zapewne zaalarmował jego podwładnych i sługusów. Musicie uruchomić bombę, póki jeszcze nas nie otoczono. Po drodze zabijcie tyle nowonarodzonych, ile tylko zdołacie, byleby wyjść stąd bez szwanku. Mamy niewiele czasu. Ruszajcie, ptaszyny.

Jej słowa były skierowane nie tylko do mnie — po minach pozostałych wyczytałem szok, ale i determinację. Wszyscy zaczęli wychodzić, nie spoglądając na wilczycę. Spojrzałem na krwawy strzęp Quentina leżący pod ścianą w martwej ciszy.

— Nie zabijesz go?

Banshee wyszczerzyła kły w imitacji wilczego uśmiechu, a potem raz machnęła ogonem, niby rozbawiona moim pytaniem. Była tak nieludzka, jak tylko mogło być zwierzę. Używała ludzkich słów, jednak głęboko w środku czułem, że miała w sobie niewiele z człowieka, z którym dzieliła ciało.

Zginie już niedługo. Dajmy mu troszkę czasu, by mógł nacieszyć się swoim kalectwem. — Zachichotała w głębi, przyprawiając mnie o dreszcze. — Jeśli ponownie stanie naprzeciwko nas, wtedy zginie w cierpieniach, które przepowiedziałam mu nie bez zamiaru pokrycia tych słów. A teraz musimy zrezygnować z pogawędki i zająć się czymś innym. — Otrząsnęła się niczym pies po kąpieli, rozbryzgując dookoła kropelki krwi dalej ściekające po jej pysku. — Chyba nadeszła chwila, by Kira powróciła na należne jej miejsce.

Rozdział XXIII

~ KIRA ~

Poczułam mocny dotyk, który oplótł mnie niczym mocna dłoń chwytająca w palce motyla. Przebudziłam się nagle z przyjemnego otępienia i wyrwałam się z ciemności wprost do światła. Nagłe czucie w rękach i nogach mnie otumanilo, aż się zachwiałam. Świadomość Banshee wycofała się na swoje poprzednie miejsce, ocierając się o mnie ciepłymi mackami. Rany po torturach Quentina zagoiły się, nie pozostawiając po sobie żadnych blizn. Nie czułam bólu, jedynie mrowienie w świeżo zagojonych mięśniach i skórze. Czułam się jak niedźwiedź nagle przebudzony z zimowego snu.

Wilczyca ułożona w moim wnętrzu była niezwykle zadowolona ze swoich działań i musiałam teraz ocenić ich moc. Powiodłam wzrokiem po pomieszczeniu, mijając oczyma swoich towarzyszy czekających na korytarzu i Flesha stojącego obok. Na widok zalanej krwią podłogi uniosłam lekko brew. Śledziłam strumień posoki, aż trafiłam na ciemną, skuloną sylwetkę leżącą bezwładnie pod ścianą. Spory kawałek od niej leżała rozszarpana, krwawa masa topiąca się w kałuży szkarłatu. Dzieło Banshee było straszliwe, ale nie mogłam powiedzieć, że Mistrz nie zasłużył sobie na taką karę.

Muszę wziąć się w garść i zniszczyć to miejsce, zamruczałam w myślach, zbierając ponownie siły. *Mamy mało czasu*. Naprzód wystąpiła Charlotta blada na twarzy niczym zjawa. Wpatrywała się we mnie jak w obcą osobę.

— Jak ty... Co tu się w ogóle...?

— Nie mamy teraz na to czasu — warknęłam, przerywając jej. — Wyjaśnię wam wszystko później, jak tylko się stąd wydostaniemy. — Poczułam wyrzuty sumienia, jednak teraz musiałam się skupić na tym, żeby wszyscy wyszli z tej misji żywi. — Ruszajmy wreszcie.

Zanim poszłam przodem, zorientowałam się w swojej nagości. Frederic bez słowa zdjął swój czerwony płaszcz i podał mi, stojąc jak najdalej. Przyjrzałam się jego gestowi z uciskiem w żołądku, zauważając dystans, który specjalnie stworzył. Pokręciłam głową.

— To nie będzie potrzebne. — Spojrzałam kolejno na wszystkich towarzyszy, dłużej zatrzymując wzrok na Fleshu. — Chodźmy.

Gładko zmieniłam formę, otrząsając futro. Cała byłam ochlapana krwią, jednak nie przejmowałam się tym teraz. Miałam ważniejsze rzeczy na głowie. Ruszyłam przodem, wyważając drzwi na korytarz. Trzask rozszedł się po budynku niczym grzmot z armaty. Od razu zauważyłam pędzącego po schodach strażnika z bronią w rękę, poruszającego się w błyskawicznym tempie. To był nowonarodzony wampir, jednak zobaczyłam u niego ślady zaawansowanej

przemiany — powoli tracił cechy młodego krwiopijcy, które tak w nich cenił Quentin. Strażnik wycelował we mnie broń. Uchyliłam się przed pociskiem pewna faktu, że to kolejne strzałki usypiające. Jak wielkie było moje zdziwienie, gdy obok ucha świsnęła mi srebrna kula. Wyprostowałam się z odsłoniętymi kłami, czując, jak sierść jeży mi się na masywnym karku. Skoczyłam i jednym susem złapałam głowę wampira w żelazny uścisk wilczych szczęk. Zacisnęłam je, ignorując głośny trzask łamanej czaszki. Oderwałam głowę od tułowia, a potem szybko wyplułam ją razem z ciemną krwią spływającą po języku i dziąsłach.

Moi towarzysze otwierali po kolei drzwi, w których ukryte były nowonarodzone wampiry. W większości rzucały się agresywnie w złoty kajdanach, którymi były spętane, niczym dzikie kocury. Podążałam do coraz to kolejnych drzwi, słysząc mlaszczące odgłosy i trzaski mówiące, że żadne z zabójców nie wahało się zabić przemienionych. Większość z tych ludzi ukąszonych wbrew woli nadal miała na tyle cech ludzkich, by trząść się ze strachu na mój widok. Takich zabijałam z wahaniem, czując ucisk w piersi. *Gdyby nie Quentin, nie musieliby dzisiaj ginąć.*

W ostatniej celi na najwyższym piętrze wyważyłam drzwi jednym uderzeniem. W celi panował niepodzielny półmrok, żeby światło nie drażniło oczu młodego wampira, który siedział w kącie oparty o ścianę. Podeszłam energicznie, oblizując kły. Kolejna śmierć dodana do kolekcji dzisiejszego dnia. Zbliżyłam się na odległość kroku i przyglądając się wampirowi, zamarłam w miejscu. Rozpoznałam tę twarz, którą kilka razy widywałam na siłowni. Rozpoznałam te oczy, włosy, ręce zgrubiałe od trenowania boksu. Will Cornick patrzył na moją wilczą formę ze zmarszczonymi gniewnie brwiami, obnażając świeżo wyrżnięte kły, jednak nie próbował atakować. W jego wzroku widziałam ciekawość i niepewność, ale także dziwnie obcy gniew.

Wiedziałam, że będą z tobą kłopoty, zamruczałam w myślach, obserwując jego twarz i delikatnie wdychając jego zmieniony zapach. *Twoja taktyka: mało ciosów, dużo uników. I już nigdy tego nie zmienisz.* Banshee podzielała moją melancholię, ale nie mogłam się zawahać, ani wycofać. Rozszerzyłam szczękę, a potem szybko, zanim Will zdążył zareagować, skręciłam mu kark, wbijając zęby w miękką skórę, a potem twarde kości, które pękły niczym skórka orzecha. Ciało opadło w moim uścisku. Miętko położyłam je na ziemi. Widok martwych oczu tego człowieka obudził we mnie jeszcze większą chęć zemsty. Miałam ochotę wrócić do sali tortur i dobić Quentina pełzającego po ziemi niczym owad z urwanym skrzydłem. Powstrzymałam te pragnienie z wielkim trudem, odwróciłam się od ciała i wyszłam z powrotem na korytarz.

Na podłodze leżeli trzej strażnicy, dwóch nowych oprócz tego, którego zabiłam wcześniej. Flesh stał nad ciałami z ciemnym ubraniem nasiąkniętym krwią. Spojrzał na mnie ponad truchłami.

— Reszta przedostała się już na niższe piętra. — Odwrócił wzrok. — Nie mamy czasu na zabicie wszystkich nowonarodzonych sami. Chodźmy za nimi. Przyda im się dodatkowa para... rąk — dokończył z wahaniem, zerkając na moją zwierzęcą postać kątem oka.

Raz kłapnęłam zębami, a potem ruszyłam na schody, ledwie mieszcząc się na stopniach. Przeskakiwałam je kilkoma susami. Niższe piętro było usiane trupami strażników, a z otwartych drzwi cel wypływały strużki krwi. Charlotta i Amelia wyszły z pomieszczeń ochlapane szkarłatem, a z kolejnego wydostał się Frederic. Silvyr krążył po korytarzu wśród ciał, zbierając z nich energię niczym świąteczne cukierki. Spojrzałam na niego z aprobatą, a potem, nie czekając na innych, skierowałam się na parter. Roilo się tam od kolejny stróżów. Naliczyłam razem sześć nowonarodzonych wampirów. W ich dłoniach nie widziałam broni i lekko zmarszczyłam nos — zostawili ją gdzieś, by ułatwić sobie walkę.

Unikać uścisku ramion, celować w głowę i serce — zamruczała Banshee, obliczając nasze szanse. — To młode wampiry, ale utraciły część mocy nowo przemienionych. Nie mają z nami szans!

Ruszyłam na ich zwarty szereg, poruszając się z zawrotną szybkością. Gryzłam, kąsałam, wrywałam kończyny, siałam śmierć i strach. Nie mogłam się zatrzymać, zastanawiając się, kim były te wampiry, zanim dopadł je Quentin. Zanim zamienił ich w potwory nastawione jedynie na wykonywanie rozkazów i zaspokajanie wiecznego głodu. Kiedyś byli ludźmi, mieszkańcami miasta lub turystami przewijającymi się przez pobliskie pensjonaty i wyruszającymi w góry na długie, piesze wycieczki. Chcieli żyć dalej, ale odebrano im wolę i wybór. Musiałam to ukrócić.

Po kilku minutach podłogę pod moimi łapami zasłały trupy. Struga krwi na ziemi wsiąknęła w moją sierść na łapach i tym samym zabarwiła futro. Miałam ślady szkarłatu także na pysku i barkach. Przypominałam wilka w barwach wojennych. Z mojego pyska skapywała z głośnym pluskiem krew wampirów. Po kolejnych sekundach na schodach za moimi plecami zabrzmiały szybkie kroki. Odwróciłam się tylko na tyle, żeby zarejestrować przybycie towarzyszy. Rozejrzałam się dookoła, lustrując wzrokiem szereg zamkniętych drzwi od cel wampirów.

Nie mamy czasu na zabicie całej tej armii. I tak zabiliśmy sporą część. Resztę załatwi bomba.

Zajęłam się drzwiami naprzeciwko schodów. Były pancerne i wypolerowane, nasączone srebrem. Wyważyłam je dwoma uderzeniami tak mocnymi, że metal wgniótł się do środka. Pomieszczenie było niewielkie i skromnie umeblowane — zobaczyłam jedynie proste dębowe biurko, wąską sofę i żarówkę zwieszającą się smętnie z sufitu. Czułam tu wyraźny zapach Quentina i warknęłam, domyślając się, co to za miejsce. Biuro Mistrza miało niewiele mebli, ale w jednej z szuflad biurka odnalazłam swój tobołek, który jeden z wampirów zdjął z mojej szyi, gdy mnie złapano. Wyczułam w środku ciężar bomby, gdy wyciągałam bagaż w zębach. Flesh stał na progu gabinetu, obserwując sytuację na korytarzu.

Musimy ustawić licznik i wynosić się stąd w diabły — wykrzyknęłam do Flesha, zahaczając o jego świadomość. — Bomba zmiecie to miejsce z powierzchni ziemi. Będziemy mieć najwyżej trzy minuty na ucieczkę.

Zrozumiałem — odpowiedział po sekundzie namysłu. — Zwolam wszystkich. Przelaliśmy dzisiaj wystarczająco dużo krwi. Czas się wynosić.

Pobiegł po resztę towarzyszy, kiedy ja położyłam torbę na podłodze przez gabinetem. Demon wrócił po chwili, by pod moim uważnym okiem ustawić licznik. Podawałam mu instrukcje mentalnie, dzięki swojemu wzrostowi bez problemu zaglądając mu przez ramię. Gdy tylko zegar ruszył, obydwoje bez słowa wybiegliśmy z biura. Cała nasza grupa ruszyła na parter w stronę głównego wyjścia. Prowadziłam wszystkich w razie, gdyby skądś jeszcze pojawił się jakiś zagubiony strażnik. Nie spotkaliśmy żadnego z wampirów, kiedy wypadaliśmy na zimne, górskie powietrze. Spuszczone luźno psy biegały w panice odurzone moim zapachem i zmartwiały ze strachu. Silvyr jednym ruchem ręki zabrał ich energię życiową. Zwierzęta padły na śnieg martwe. Poczulałam żal, jednak wołałam, żeby odeszły w ten sposób, niż by żywcem zostały rozerwane przez wybuch bomby.

Biegliśmy ile tchu w płucach, byleby odejść jak najdalej od budynku. Gdy byliśmy kilkanaście metrów od ogrodzenia, moją uwagę zwrócił trzask wybijanej szyby. Było za wcześnie na wybuch. Obejrzałam się, widząc czarną postać powstającą ze śniegu. Quentin był zgarbiony niczym hiena i wpatrywał się we mnie z bezbrzeżnym gniewem i nienawiścią wypisanymi na twarzy. Stracił cały swój urok arystokraty i ogładę — przypominał zranione, zaszczute zwierzę toczące

pianę z pyska. Rana na ramieniu już nie krwawiła, jednak dotykał jej pozostałą jedną ręką, jakby jakimś cudem chciał odnaleźć oderwaną kończynę. Ryknął w niebo niczym bestia na skraju szaleństwa. Zawarty w tym ból i gniew zjeżyły mi sierść na całym ciele. Jego kitel powiewał na zimnym wietrze niczym pokrwawione żagle zniszczonego statku. Wyglądał, jakby chciał za nami ruszyć, jednak tkwił w miejscu nieświadom zbliżającego się końca.

Wybuch poprzedziło tyknięcie, jakby w powietrzu przestawiła się niewidzialna zasuw. Łuna ognia rozjaśniła mrok, oświetlając najbliższe kilometry upiornym, białym blaskiem. Płomienie pochłonięły budynek w ciągu jednej sekundy falą pożerającą ściany, okna, metalowe ogrodzenie i ciała uwięzione w środku. Widziałam kątem oka, biegnąc dalej, jak ściana ognia pochłania także wygiętą sylwetkę Quentina. Jego krzyk gniewu zamienił się w wycie cierpienia i niewysłowionego bólu, który zdawał się zdierać mi skórę z grzbietu. Ten nieludzki dźwięk towarzyszył mi całą drogę ucieczki, gdy coraz bardziej oddalaliśmy się od miejsca wybuchu, unikając złowrogiej ściany śmiertelnych płomieni.

Przedostaliśmy się przez górską ścianę w niewiarygodnym tempie. Wspinanie się po stromym wzniesieniu było trudne i męczące, jednak Flesh nie rozwinął skrzydeł i nie odleciał przodem, trwając u boku całej grupy. Parłam naprzód, ryjąc pazurami w skałach i lodzie. Dotarliśmy na szczyt zalany światłem księżyca po długim czasie bardzo zmęczeniu, ale bezpiecznie. Gdy wszyscy skierowali się do jaskini, z której zaczynałam podróż w głąb gór, oddzieliłam się od nich, skręcając w las. Ignorowałam ich nawoływania gnana niewidzialną siłą. Jakby łapy same biegły, pchając mnie do przodu coraz dalej i dalej.

Dotarłam do urwiska wysokiego na kilkanaście metrów i zatrzymałam się gwałtownie, hamując pazurami. Kilka kamińców spod moich łap stoczyło się w dół, brzęcząc cicho wśród nocnych cykad świerszczy. Dyszałam ciężko, a każdy oddech palił mnie w płucach niczym kwas. Ucisk w piersi, dotychczas rosnący z każdym zabitym wampirem tego dnia, wzrósł do maksymalnych rozmiarów.

Opadłam na kolana, niemal nieświadomie powracając do ludzkiej postaci. Naga, otoczona zimnym światłem księżyca, objęłam się ciasno ramiona, żeby nie rozpaść się na kawałki, a potem zawyłam boleśnie, pozwalając szlochowi odnaleźć ujście. Łzy leciały potokiem po moich brudnych policzkach, zmywając zaschniętą krew. Mój upiorny głos wznosił się echem wśród drzew i wzgórków niczym zjawa odstraszaająca nocne stworzenia wędrujące wśród cieni.

Gdy zarejestrowałam uścisk silnych ramion dookoła mnie, w pierwszej chwili chciałam szarpnąć się i uciec z krzykiem. Jednak Flesh przytrzymał mnie bezlitośnie, nie zwracając uwagi na moje próby wyswobodzenia i szloch rozdzierający płuca oraz struny głosowe. Przycisnął mnie do siebie w milczeniu, pozwalając mi płakać. Chwyliłam go paznokciami jak tonący pochłaniany przez

zimne fale oceanu i niemal zadrapałam go do krwi. Nie powiedział ani słowa, nie odsunął się. Trwał przy mnie długo, do momentu, gdy ostatnia fala łez wyschła, a zrozpaczone wycie ucichło.

Tylu ludzi zmienionych w potwory, tyle ciał i przelanej krwi, tyle cierpienia... Moje myśli zwały się w jeden ciąg ponurych wniosków, który przewijał się w mojej głowie niczym elektryczny neon. Zacisnęłam spuchnięte, piekące powieki.

— Powinnam była umrzeć z nimi wszystkimi — wychrypiałam, kuląc się tak, że włosy zasłoniły moją twarz. — Powinnam była zginąć tam, nie wciągając was w to wszystko. Powinnam była zabić Quentina, tego sukinsyna, przy pierwszej okazji.

Bolały mnie flaki. I mózg. I serce. Płuca pulsowały jak otwarta rana, a ciało przebiegały zimne dreszcze. Czułam się chora. Delikatna dłoń Flesha odgarnęła kosmyki z mojego policzka. Jego twarz była zalana księżycowym światłem. Nie widziałam na niej złości, nienawiści czy nagany, jedynie troskę ukrytą głęboko w oczach.

— Postąpiłaś słusznie, uwalniając dusze tych wampirów — rzekł głosem jedwabistym niczym miód na moje psychiczne rany. — Zniszczyłaś gniazdo szcurów. I przeżyłaś. To największy dar dla świata, jaki wszyscy mogą sobie wyobrazić.

Spojrzałam na niego zdziwiona.

— Powinnaś teraz wygłosić żałobę — dodał zachrypniętym tonem. — Zaintonować pieśń dla wszystkich, którzy zginęli dzisiejszej nocy. — Spochmurniał na twarzy. — Prawie dla wszystkich.

Przyjrzałam się jego twarzy, a potem lekko przytaknęłam, jakby sama do siebie. Tak, to było słuszne. Powinnam była to zrobić, ku cześci wszystkich ofiar Quentina — niewinnych ludzi skazanych na krótki, tragiczny żywot łaknących śmierci potworów.

Obróciłam się przodem do księżyca i uniosłam głowę. Cały las zamilkł momentalnie, gdy z mojego gardła wydobyło się wysokie, głośnie wycie, nasączone żalem, smutkiem i powagą, tak jak w chwili, gdy opłakiwałam Bruno. Pieśń stanowiła niewidzialny pomnik dla wszystkich żyć, które dzisiaj odebrałam ja oraz moi towarzysze. Ofiary, które nie miałyby miejsca, gdyby nie egoistyczne, szalone pobudki Mistrza. Gdyby nie jego chore ambicje i bezwarunkowe poczucie władzy. Gdyby nie jego zepsuta krew.

Ukończyłam pieśń, czując wielkie zmęczenie. Popatrzyłam na Flesha z gorzkim uśmiechem na ustach całkowicie pozbawionym wszelakiego humoru. W mojej głowie zakwitła pieśń w żadnym ze znanych języków pochodząca prosto z serca Banshee. Wilczyca podpowiadała mi słowa, niemal śpiewając w moim sercu. Poczułam falę ciepła zalewającą ciało i kości, aż po policzkach stoczyły się

gorące łzy wzruszenia.

*Gdy wśród tajemniczych drzew
złociste dusze rozpoczną pobożny taniec
niech króluje im ziemia i niebo, ptaki i jaszczurki, lisy i węże.
A wilki niech wyją do księżyca
żałobną pieśń zwycięstwa.*

Rozdział XXIV

~ KIRA ~

W domu panowała ponura, ciężka atmosfera, w której z trudem dało się swobodnie oddychać. Cała moja ekipa rozsiadła się w salonie, większość opatrzona i nasmarowana ziołami przez wyjątkowo milczącą Charlotte. Gdy tylko znalazłam się za progiem, wszelkie szmery, szepty i chrząknięcia umilkły, a wzrok wszystkich pełen bóleści, oskarżenia i złości skierował się tylko na mnie. Jedynie Flesh już nie patrzył na mnie z dezaprobatą — stał z tyłu, dotykając dołu moich pleców ciepłą, silną dłonią. To dodało mi sił, by nie skulić się pod naporem spojrzeń okaleczonych towarzyszy.

Charlotte, dotychczas podająca każdemu kubek herbaty pachnącej rumiankiem i dziką różą, teraz wyprostowała plecy i uniosła błękitną brew nad chłodnymi, pociemniałymi oczyma. Wydawała się zupełnie odległa, bez dawnej sympatii, którą darzyła mnie przez te wszystkie lata.

— Musisz nam wiele wyjaśnić — niemal warknęła, krzyżując ramiona na piersi. — Chcemy wiedzieć wszystko, od samego początku. I chcemy wiedzieć, CO takiego widzieliśmy w tamtym obozie — niemal wypluła słowo „co”, marszcząc przy tym nos.

W moich płucach wezbrał bulgot, a poczucie winy zostało przytłumione przez gniew. Mówienie z takim obrzydzeniem o Banshee nie mogło nie wzbudzić mojego oburzenia. Wilczyca uniosła się i ponownie przejęła władzę za moim pełnym przyzwoleniem, chociaż nie w takim stopniu jak w górach. Niech sama tłumaczy się przed tą całą zgrają.

— Nie powinnaś potępiać czegoś, o czym nie masz pojęcia — zamruczała wilczyca głosem równie nieludzkim co w momencie, gdy kontrolowała moje ciało podczas tortur. — Macie prawo nie rozumieć mojego istnienia i motywów, jednak nic nie uprawnia was do nienawiści, skoro jeszcze mnie nie poznaliście.

Wycofałam się w głąb siebie, obserwując rozmowę z bezpiecznego, myślowego dystansu. Po raz kolejny widziałam zaskoczenie na twarzach zabójców, kiedy zrozumieli, że już nie rozmawiają ze mną, lecz z kimś zupełnie obcym — obcym bytem dzielącym ze mną ciało oraz duszę.

— Kim jesteś, do cholery? — odezwała się Charlotte, kipiąc gniewem. — Kim jesteś i jakim cholernym prawem nas pouczasz?!

Banshee rozszerzyła usta w szerokim uśmiechu, ukazując zaostrzone, wilcze kły. Z trudem utrzymywała ludzką postać, chętna pokazać swoje prawdziwe oblicze po raz kolejny. Frederic powstał powoli z kanapy, przyglądając się mojej twarzy ze zmarszczonymi brwiami i ognistymi iskrami w oczach.

— To jakiś rodzaj opętania — stwierdził, ostrożnie dobierając swoje słowa.

Wyczułam furie, która poruszyła każdym mięśniem mojego ciała. Frederic grał na nerwach Banshee niczym mucha, która wprawia w ruch pajęczą sieć, nieświadomie wpakowując się w sam środek śmiertelnej pułapki.

— Miarkuj się, czarodzieju — zawarczała cicho Banshee, jeżąc włosy na głowie. — Nie przejęłam tego ciała bez zgody jego właścicielki. Kira daje mi wolną rękę, kiedy tylko chce i kiedy da jej to odpowiednie korzyści. — Mlasnęła językiem. — Więc nigdy nie używaj określenia „opętanie”. Nie jestem pasożytem.

— Nikt tego nie sugerował. — Silvyr podniósł się także i spojrzał krótko na Frederica oraz Charlotte z przyganą. — Chcemy zrozumieć, kim jesteś i co robisz w ciele Kiry? Nigdy przedtem...

— ...mnie nie znaliście? — dokończyła za niego z uśmiechem piranii rozszerzającym usta. — Nie wiedzieliście o moim istnieniu? Owszem, wiedzieliście o mnie i znaliście mnie, jednak pod przykrywką małego wilczka kulącego się w ciemnościach. Chyba nadszedł czas, by moja legenda ponownie ożyła w tych ponurych, chaotycznych czasach.

— Jesteś białą wilczycą — zamruczała cicho Amelia, niemal kuląc się pod szybkim spojrzeniem Banshee.

— Owszem, białą wilczycą starszą od kogokolwiek z was, młode rozrabiaki — zarechotała basowym głosem. — Żyłam w czasach, które uważacie za odległe, niemalże prehistoryczne. Czasy wielkich lasów i silnych potoków, stad łownej zwierzyny, dostatku i śpiewu ptaków nawet po zmroku. To były czasy dzikie, nieokiełznane i młode dla tej ziemi. Przez wieki obserwowałam zmiany, które wprowadził człowiek. Zniszczył ziemię, porąbał drzewa, wysuszył rzeki. Upadły stare lasy, góry zmieniły kształt, a stada zwierzyny zmały. Pozostała pustka w moim sercu po tamtych latach, która nigdy się już nie zapełni.

— Ile dokładnie masz lat? — zapytał z szacunkiem w głosie Frederic poruszony opowieścią wilczycy tak samo jak ja.

Banshee posłała mu rozbawione spojrzenie.

— Mam prawie dwa tysiące lat — powiedziała tonem ubawionej sytuacją matki, obserwującej szok na twarzach swoich dzieci.

Wszyscy zamilkli, wpatrując się w twarz Banshee z szokiem. Jedyne Flesh nie wydawał się wielce zaskoczony — przypuszczałam, że sam miał na karku tyle samo lat, jeśli nie więcej. Czytając mi w myślach, wilczyca spojrzała na demona kątem oka.

— Jedyne twoja dusza jest starsza od mojej, Dziecię Ognia — zamruczała jedwabście. — Widzieliśmy wiele. Wiesz dobrze, tak jak i ja, że czasy się zmieniły, tak samo jak cała ta planeta.

Flesh jakby w transie kiwnął głową na zgodę, a potem odwrócił wzrok. Wydawał się zamyślony. Banshee powróciła do swojej opowieści — poprzez lata swojego życia, aż przeszła do momentu, gdy moi rodzice poprosili ją o opiekę nad

nowo narodzonym dzieckiem. Zesztywniałam wewnętrznie na ponowne wspomnienie tej historii, jednak nie przejęłam z powrotem kontroli nad ciałem, pozwalając towarzysze kontynuować. Powiedziała tylko ogólnikowo to, co stało się, gdy złączyłyśmy się w jedno. Nie wspominała szczegółów, za co byłam jej niezwykle wdzięczna. Podczas kolejnych minut opowieści zebrani w salonie towarzysze mizernieli na twarzach i wpatrywali się w moją sylwetkę z coraz większą troską i ponurym błyskiem w mętnych oczach. Włos zjeżył mi się na głowie. *Oni mi współczują*, zamruczałam w głębi świadomości, zwracając na siebie uwagę Banshee. *Nie pozwolę na to!*

Wilczyca bez protestu wycofała się, przywracając mi kontrolę. Spojrzałam na Frederica, Silvyra, Amelię i Charlottę ze złością. Moje brwi zmarszczyły się, gdy ledwie powstrzymałam się przed wyszczerzeniem kłów w agresywnym proteście.

— Nie oczekuję od was litości, rozumiano?! — wrzasnęłam głośno, kipiąc gniewem. — Nie jestem biednym szczeniakiem o ponurej przeszłości, który oczekuje klepania po główce. Jestem na szczycie łańcucha pokarmowego, nie podlegam nikomu, ani niczemu! Rzucę wyzwanie każdemu, kto śmie mi współczuć. Nawet wam. — Widziałam ich nieufność i szok wymalowane w oczach, jednak nie cofnęłam swoich słów. — Zapamiętajcie sobie, że nadal jestem tą samą łowczynią, którą znaliście przez lata i której umiejętności tak ceniliście. To, że znacie teraz moją ponurą przeszłość, nie oznacza w ogóle, że zmieniłam się w kogoś innego i powinniście patrzeć na mnie inaczej...

— Owszem, zmieniłaś się — przerwała jej gwałtownie Charlotta. — Zmieniłaś się, od kiedy to wszystko się zaczęło. Od lat obawiałam się, że zmienisz się w zwierzę, które nosisz w środku. Nie sądziłam jednak, że tkwi w tobie prawdziwa bestia.

Zanim zdążyłam zareagować, Flesh wyrwał się z dotychczasowego bezruchu i wyprostował się z rękoma zaciśniętymi w pięści. Jego twarz była ściągnięta i nieruchoma, jednak widziałam w jego oczach błysk gniewu. Stał przed Charlottą drżąc ze wzburzenia.

— Wiele razy w ciągu swojego długiego życia widziałem, jak ludzka głupota wyrządza szkody w racjonalnym myśleniu i osądzie, ale od początku naszej znajomości nie przypuszczałem, że coś takiego będzie dotyczyć ciebie, moja droga.

— O czym ty... — Charlotta niemal skuliła się z oburzenia.

— Znasz Kirę od lat i dobrze wiesz, jaka jest. Od kiedy zaczęła się ta cuchnąca sprawa z wampirami, stara się chronić was wszystkich kosztem własnego życia. Sami zdecydowaliście się ją wesprzeć i chcieliście pomóc jej przeżyć. Nie masz prawa oceniać jej po tym, że się zmieniła. Ona może tak, ale nie zmienił się za to wasz sojusz i przyjaźń. Chyba, że się mylę...? — Uniósł brew, wyczekując odpowiedzi.

Frederic stanął za jej plecami, jakby szykował się do obrony wróżki. Silvyr odwrócił wzrok, tak samo jak Amelia. Obserwowałam wszystko nieruchomo niczym posąg, gotowa na interwencję. Ciekawa jednak byłam odpowiedzi Charlotty.

Wróżka wydawała się całkowicie zszokowana wtrąceniem Flesha, a raczej sensem jego słów. Patrzyła na niego nieruchomo niczym mały, niebieski posązek nieszczęścia, a potem bez słowa podeszła do mnie i przytuliła mnie, oplatając dłońmi szyję. Musiałam przyznać, moja złość na nią wyparowała w ciągu jednej sekundy. Modliłam się, żeby nie zaczęła płakać, bo łez tej silnej, drobnej kobiety nie mogłabym znieść.

Po kolei otoczył mnie wianuszek zagubionych dusz, które przez tyle lat służyły mi swymi zabójczymi umiejętnościami oraz wsparciem — Federic otoczył mnie ramieniem w talii, Silvyr stanął obok z lekkim uśmiechem, a Amelia uwiesiła się na mojej szyi tuż obok Charlotty. Nie czułam się przytłoczona, lecz... kochana. Banshee w moim wnętrzu milczała. Czułam od niej dziwne pokłady energii.

Co się dzieje, staruszko?

Wilczyca otarła się o moją podświadomość niczym zadowolony kocur.

Twoi rodzice właśnie takiej przyszłości dla ciebie chcieli.

W stanie otwartego konfliktu z wampirami, z wieloma morderstwami na koncie i przypince wroga publicznego numer jeden wszystkich istot nadnaturalnych? — zaśmiałam się gorzko, tylko półzartem.

Nie, przyszłości w której masz kogoś, kto stanie za tobą murem.

Pod moimi powiekami zebrały się piekące łzy, ale nie pozwoliłam im popłynąć. Uśmiechnęłam się do swoich przyjaciół, kierując wzrok ponad głowę Charlotty i Amelii prosto na Flesha. Przez moment wpatrywał się we mnie tak intensywnie, jakby chciał mnie spopielić ogniem płonącym w oczach, a potem posłał mi uśmiech, od którego zmiękły mi kolana. Ten facet miał w sobie prawdziwą iskrę.

Chciałam do niego podejść, jednak Banshee odwróciła moją uwagę. Stałam nieruchomo i zaczęłam nasłuchiwać. Huki dochodzące z zewnątrz powoli starły uśmiech i kolor z mojej twarzy, aż pozostałam biała jak płótno, całkowicie wmurowana w podłogę. Słyszałam zaledwie echo, słabe dźwięki płynące z głębi gór, jednak wystarczyły one, bym rozpoznała zagrożenie. Flesh wpatrywał się w moją minę, aż dotknęłam palcem ucha na znak, żeby zaczął słuchać. Demon zmarszczył brwi, ale zrobił to, co chciałam. Po kilku sekundach jego oczy rozblęły białym blaskiem niczym supernowa potrafiąca zniszczyć samo piekło.

— Idzie armia — wydukałam płaskim głosem, wpatrując się w podłogę. — Wymaszerowują z gór.

Wszyscy patrzyli na mnie z niedowierzaniem. Silvyr zaklął tak szpetnie, że dziwiłam się, że nie ścierpł mu język.

— To niemożliwe — zaprotestowała Charlotta, a Amelia poparła ją energicznym kiwnięciem głowy. — Przecież zniszczyliśmy bunkier i zabiliśmy Quentina. Zginął w ogniu!

Złe przecucie ścisnęło mi żołądek i zawiązało go w podwójny supeł. Głosy nadal były odległe i rozmyte niczym grzmiące pod wodą, jednak mogłam rozpoznać tupot dziesiątek stóp. Dziesiątek stóp nowonarodzonych wampirów śpieszących ku zagładzie własnej, ale przede wszystkim wilkołaków. A wilki nie były przygotowane na bitwę. Termin, który przepowiedziała wcześniej Sonya, wypadał dopiero za kilka najbliższych dni. Byli bezbronni wobec maszerującej armii.

— Flesh, musisz natychmiast powiadomić wilkołaki — powiedziałam twardym głosem. — Muszą przygotować się jak najszybciej do walki z wampirami.

— Nie zdążą w tak krótkim czasie — stwierdziła Amelia z kamiennym spojrzeniem. — Trzeba by zawiadomić całe stado za jednym zamachem teraz, zaraz. Ale jak to zrobić...?

Spojrzałam na nią najpierw z otępieniem, a potem szerokim uśmiechem jak u rekina. Flesh, zaniepokojony moją miną, dosyć głośno przełknął ślinę niczym nastolatek przeczuwający, że impreza, na którą wpakował się bez zaproszenia, będzie ostrzejsza niż przypuszczał wcześniej. Wampirzyca nie rozumiała mojego grymasu, tak samo jak reszta towarzystwa. Nie powiedziałam nic, prostując plecy niczym przed walką bokserską. Musiałam przydzielić wszystkim zadania, zanim wyruszymy na front.

— Charlotta, zbierz wszystkie swoje zioła oraz przyrządy lekarskie i jedź razem z Fredericem do domu Samuela. Tam zbiorą się wszystkie dzieci oraz kobiety, którymi trzeba będzie się zająć. Jeśli sytuacja podczas walki będzie gorąca, wezwę cię — rzuciłam głośno, ucinając protesty czarownika. — Amelia, Silvyr i Flesh, przygotujcie się do walki. Pistolety, noże, miecze, gołe pięści, magia... wszystko może się wam przydać i uratować życie. Dobrze się zaopatrście.

Musimy być gotowi na konfrontację.

— Ja też z wami pójdę.

Westchnęłam i powoli odwróciłam się w kierunku schodów, gdzie na najwyższych stopniach stał i patrzył na nas z góry Joseph. Odzyskał już normalny kolor skóry i nabrał sił po niedawnych torturach, jednak nawet moja krew nie mogła wyleczyć go do końca w tak krótkim czasie. W moich oczach musiał wyczytać te informacje, bo zacisnął szczęki tak mocno, że żyła na jego skroni zaczęła pulsować zgodnie z przyspieszonym rytmem serca. Palce skuliły się w pięści, a złote brwi zmarszczyły się na jasnym czole.

— Potrafię walczyć. Mogę wam pomóc! Chcę się zemścić na Quentinie za to, co mi zrobił — warknął, schodząc na dół i stając przede mną. — On zasługuje na...

Jednym ruchem ręki szybszym niż u jakiegokolwiek człowieka uderzyłam go łokciem w skroń. Opadł na kolana, a potem na brzuch. Był nieprzytomny. Spojrzałam na niego z góry. Nikt z moich towarzyszy nie zaprotestował przeciwko takiemu rozwiązaniu. Nie mogłam dopuścić go do walki, był zbyt słaby, żeby obronić się przed hordą nowonarodzonych pobratymców. Ukucnęłam nad nim, odgarniając złote loki z jego policzka.

— Twoja zemsta nie jest warta tego, żeby stracić własne życie przed jej dopełnieniem — wymruczałam cicho. — Obiecuję, że pomszczę twoje krzywdy. Zabiję wampirzego Mistrza lub zginę sama, próbując. — Ugryzłam się w nadgarstek na tyle głęboko, by na bladą skórę wypłynęły krople krwi.

Flesh zagotował się z wściekłości. Na ramionach Charlotty pojawił się szron, aż Frederic przytrzymał ją ramieniem, gdy chciała do mnie podejść.

— Złożyłaś przysięgę krwi! — warknęła wróżka, spoglądając na mnie ze złością. — Wiesz, co to oznacza?

— Że jeśli złamię obietnicę, będę potępiona po wszelkie wieki przez duchy ziemi, które dopilnują, żebym już nigdy nie zaznała spokoju duszy — odpowiedziałam spokojnym głosem, nie odwracając wzroku. — Znam konsekwencje. Nigdy nie zламаłam danej obietnicy i nie mam zamiaru tego zrobić także teraz. Zabiję Quentina własnoręcznie, skoro nawet ogień nie potrafił zetrzeć go z powierzchni ziemi. — W moim głosie narastała siła i wola walki. — Mam zamiar pokazać mu najprostszą drogę powrotną do piekła, skąd wypęłzył wiele wieków temu. Zabił zbyt wiele niewinnych istot, bym mogła to zignorować. A także zranił mnie osobiście i słono za to zapłaci.

Z Charlotty w trakcie mojej przemowy powoli wyparowywała złość i oburzenie, a pojawił się stalowy błysk w oku. Pokiwała głową na znak, że zgadza się z moimi słowami. Jej drobna dłoń wylądowała na moim ramieniu, a potem policzku. Chłód jej palców sprawił, że zadrżałam. Czułam jej magię na swojej skórze, jakby była motylem muskającym mnie skrzydłami. Usta wróżki były tak

samo chłodne, gdy złożyła pocałunek na moim czole. Na moment przed moimi oczyma zatańczyły błękitne iskierki, po czym w kościach rozlało się zimno, jakby ktoś polał je ciekłym azotem. Spojrzałam na uśmiechniętą twarz Charlotty z ciekawością wypisaną na twarzy.

— Nigdy nie mówiłaś, że potrafisz kogoś Pobłogosławić — powiedziałam cichym głosem, dziwnie zduszonym i zachrypniętym.

— Zrobiłam to po raz pierwszy — odpowiedziała z coraz szerszym uśmiechem. — Nie sądziłam, że to podziąła. W końcu jestem tylko pół-krwi elfem.

— Dokonałaś tego. — Także się uśmiechnęłam. — Nie mogę teraz umrzeć. Szkoda by było zmarnować taką magię.

Dostałam za te słowa mocnego kuksańca w bok. Spojrzałam po wszystkich twarzach moich wiernych towarzyszy. Miałam nadzieję, że nie stracę ich w bitwie, która czekała nas zaledwie za kilka godzin.

— Flesh, zabierz Josepha na górę — poprosiłam łagodnie. — Obudzi się zapewne wtedy, kiedy będzie już po bitwie. Zarobił porządnie w głowę.

Skierowałam swoje kroki na zewnątrz. Gdy byłam już metr od drzwi, ktoś chwycił mnie za ramię. Z kamienną twarzą spojrzałam wampirzycy prosto w oczy. Miała zmarszczone brwi i skórę nienaturalnie bladą nawet jak na Dziecko Nocy.

— Co chcesz zrobić? — zapytała cicho Amelia, mierząc spojrzeniem moją twarz.

Delikatnym, niemal matczynym ruchem zdjęłam jej dłoń ze swojego ramienia. Nie zaprotestowała, jedynie jej oczy zrobiły się szkliste. Odwróciłam się i wyszłam na podwórko. Słabe światło słońca przykryły ołowiane chmury ciężkie niby zasłony. Czułam nadchodzącą burzę, która była dodatkowym utrudnieniem — jej siła mogła zakłócić przebieg bitwy lub nawet przechylić szalę zwycięstwa na stronę tej rasy, która lepiej poradzi sobie z kaprysem brutalnego żywiołu.

Skryłam się za domem, a potem metodycznie, niezwykle ostrożnymi ruchami zaczęłam zdejmować ubrania. Było tak zimno, że nawet moją skórę pokryła gęsia skórka. Odgarnęłam długie włosy z twarzy, a potem przyjrzałam się swoim dłoniom. Wkrótce miały się pokryć krwią wrogów. Na samą myśl, że ponownie dostanę w swoje dłonie Quentina, do ust napłynęła mi ciepła ślina. Banshee już chciała zanurzyć kły w jego karku i rozerwać ciało do kości, aż głowa oddzieli się od ciała.

Nigdy nie brałam udziału w bitwie na taką skalę. Owszem, zabijałam pojedyncze szumowiny, czasami całe klany, które tworzyły podziemie nadnaturalnego świata, jednak nigdy nie miałam zmierzyć się z całą armią. Zacisnęłam dłonie w pięści, czując jak paznokcie zmieniają się w pazury ostre jak u orła. Zacisnęłam także szczęki, kiedy poczułam charakterystyczne mrowienie rozrastających się dziąseł. Moje ciało pokryło gęste futro, kręgosłup wygiął się i zmienił kształt, tak samo jak czaszka i wszystkie kości. Stojąc na czterech łapach,

otrząsnęłam się jak pies po kąpieli. Czułam siłę swoich mięśni oraz potężnego ciała. Byłam drapieżnikiem, z którym każdy musiał się liczyć.

Obejrzałam się, słysząc ciche kroki na śniegu. Flesh patrzył na mnie oczami lśniącego szafirem. Bardzo sentymentalnie i melancholijnie stwierdziłam, że jest piękny — czarne włosy sięgały już poniżej karku, blada skóra zdawała się skrzyć, wysoka sylwetka emanowała siłą, a oczy miały w sobie magię, które nie potrafiłam się oprzeć. Wyczuwałam jego zmieszane emocje, równie trudne do odgadnięcia co moje. Patrzyliśmy na siebie kilka minut, zanim odwróciłam wzrok.

Nie potrafię mu powiedzieć, co czuję — stwierdziłam, dzieląc się z Banshee wątpliwościami. — Być może czeka mnie tam śmierć. Zostawię go.

To nie musi się tak skończyć — odpowiedziała wilczyca, jednak z wahaniem. — Jesteśmy silne, nie musimy dzisiaj zginąć. Jeśli nie chcesz wyznaczyć tego, co czujesz, nie zmuszę cię do tego. Jednak obydwie wiemy, że...

Kocham go — wyznałam otwarcie, bez wahania. — Jednak teraz to nic nie znaczy. Musimy skupić się na zadaniu, które nas czeka. Skoro wizja Sonyi się nie sprawdziła, może potrafimy walczyć z przeznaczeniem zacieklej niż myślałyśmy.

Uciszyłam Banshee i przeszłam obok demona. Śledził mnie wzrokiem, póki nie przystanąłam pośrodku podjazdu. Poczułam falę magii płynącą od Flesha. Jego czar chronił mnie przed ewentualnymi spojrzeciami ludzi. Nie protestowałam, choć czułam wobec tego pewną obojętność. Dzisiaj nie liczyło się to, by nie zdradzić mojej tożsamości. Dzisiaj liczyło się to, że czekała nas walka na śmierć i życie. A przed tym miałam zamiar złamać wszelkie konwenanse obowiązujące od wieków.

Usłyszałam, że Frederic, Amelia, Silvyr i Charlotta także wyglądają na zewnątrz. Ich obecność wpłynęła na mnie kojąco. Wiele ze mną przeżyli, a ból, jakiego wtedy doświadczyli, był dla mnie cierniem w sercu. Musiałam dzisiaj ich ochronić — walczyć tak, by oni nie musieli umrzeć, ani nawet krwawić.

— Kira, co ty wyprawiasz...? — zapytał z niedowierzaniem Frederic, przeczuwając coś złego. — Kira...

— Co ona chce zrobić? — zapytał Silvyr, przytrzymując Amelię, jakby wampirzyca chciała ruszyć w moim kierunku.

Czekałam, aż Flesh się odezwie. Czytał w moim umyśle, czułam to,

jednak nie protestowałam. Znał moje zamiary. I nie miał zamiaru mi przeszkodzić.

— Chce zostać Alfą — mruknął w odpowiedzi tak cicho, że niemal tego nie usłyszałam, pomimo wilczego słuchu.

Uniosłam łeb do nieba i przyjrzałam się ciemnym chmurom. Rzuciłam im wyzywające spojrzenie, a potem wzięłam głęboki wdech. Napełniłam płuca mroźnym powietrzem, oczyszczając jednocześnie umysł. Zamknęłam oczy, a potem jednym skokiem uniosłam się na dwie łapy, wyjąc tak głośno, że zatrzęsły się szyby we wszystkich oknach w okolicy. Moje wezwanie do walki uleciało w powietrze niczym deszcz strzał, przesywając każdego wilka w okolicy. Czułam to. Moi towarzysze cofnęli się do tyłu, jakby w nich także uderzyła fala mojego głosu. To było wycie silne, zatrważające, porywcze i drapieżne. Wzywałam wilkołaki do walki u mego boku. Wyłam długo, nie marnując ani jednej cząstki powietrza w płucach. Wycie niosło się echem niczym wybuch bomby. Amelia szarpała się w ramionach Silvyra, a łzy toczyły się po jej policzkach. Z jej gardła wyzierał szloch.

— Coś ty zrobiła?! — wrzeszczała, niemal powalając Silvyra na ziemię. — Oni cię za to zabiją!

Zrozumiała, co uczyniłam. Tak samo jak rozumiał to Flesh, jednak Charlotta, Frederic i Silvyr patrzyli dalej na to wszystko z pytaniem w oczach. Opadłam na cztery łapy. Odwróciłam się do towarzyszy, dysząc jak po biegu przez las. Nadal czułam wibrowanie własnego głosu w całym ciele. Poprosiłam wzrokiem Flesha, by wytłumaczył wszystkim, co przed chwilą zrobiłam. Zrobił to z ponurą miną, pełną żalu i skrytego oskarżenia do mojej osoby. Chciał deklaracji uczuć, której nie mogłam mu dać. Nie teraz.

— Użyła swej mocy Alfę, by wezwać stado Samuela do walki — powiedział na głos pustym, mętnym głosem. — Jeśli jej posłuchają, według zasad wilkołaków nieoficjalnie została ich przywódcą. Samuel musiałby pokonać ją w walce, by odzyskać swoje stado.

Gdy wszyscy zrozumieli powagę mojego czynu, poczułam emanujące z nich uczucia. Amelia nadal płakała z boleścią wypisaną na twarzy.

— Stado stanie do walki, tego jestem pewien — powiedział Silvyr. — Jednak zaraz po bitwie skażą cię na śmierć. Nie odsłonią przed tobą karku. Uznają jedynie Samuela za swego Alfę. Nie pokonałaś go w uczciwej walce, a wręcz ukradłaś jego władzę podstępem, więc nie zostaniesz potraktowana łaskawie. Zabiją cię.

Niech spróbują! — Mój głos zadudnił niczym dzwon w głowach łowców. — *Teraz liczy się tylko walka z wrogiem i zwycięstwo nad wampirami. Nic więcej!*

Zostawiłam swoich towarzyszy i ruszyłam biegiem przez miasto główną ulicą. Poczułam, jak mocniej otula mnie chłodna mgiełka magii Flesha, która wciąż chroniła mnie przed wścibskimi spojrzeniami ludzi. Coś przez ten skromny gest ścisnęło mnie w gardle, jednak nie przerwałam, ani nie zwolniłam biegu. Domy i sklepy wydawały się przepełnione radością, pulsujące światłem oraz migoczące od świątecznych ozdób. Za niedługo, bardzo niedługo Wigilia, a potem Boże Narodzenie. Wszyscy już kupowali prezenty oraz składniki na tradycyjne potrawy, które miały uświetnić spotkania rodzinne przy stole. Dzieci czekały niecierpliwie na stosy prezentów pod choinką, a dorośli na wspólne chwile przy śpiewaniu kolęd oraz dzieleniu się opłatkiem. Ja mogłam nie dożyć do świąt. Poza tym, moje święta nigdy nie były tak radosne jak u innych. Jak u zwykłych ludzi.

Spod moich pazurów ulatywał śnieg i drobinki lodu, które zdrapywałam z asfaltu i chodników. Przebiegałam obok samochodów wolno sunących po zamrożonej drodze. Ludzie mijali mnie tuż obok, na chodniku, nie widząc mnie dzięki urokowi rzuconemu przez demona. Gdy dotarłam do końca miasta, mijając złomowisko, od którego niedawno zaczęła się cała sprawa z wampirami, usłyszałam wokół siebie tupot dziesiątek łap. Magia przestała działać. Zza budynków wybiegły ciemne sylwetki teraz truchtające tuż za mną. Na tle białego śniegu okalającego pola pojawiły się kolejne cienie zbliżające się w szybkim tempie. Dołączyły do mnie wszystkie wilki ze stada Samuela, błyskawicznie przebijając łapami. Niektóre kłapały na mnie kłami tuż przy bokach tak blisko, że niemal czułam ich gorącą ślinę na futrze. Nie skrzywdziły mnie jednak, podążając w kierunku ruin, gdzie zbierało się stado. Ten szaleńczy bieg trwał dopóty, dopóki wszystkie wilki nie przystanąły naprzeciwko swego przywódcy, a raczej prawdziwego przywódcy. Samuel w swej ludzkiej postaci miał kamienną twarz i nienawiść wymalowaną w oczach, jednak nie powiedział ani słowa w moim kierunku. Jego żona i zarazem Omega stada chowała się za jego plecami, kołysząc opatulone w koc dziecko na rękach. Mały chłopczyk słodko spał w ramionach matki, a jego rumiana twarzyczka niemal zniknęła wśród fałd ciemnobrązowego, puszystego materiału.

Na moment zamarłam zaskoczona. Wpatrzyłam się w kobietę oraz dziecko, które udało mi się niedawno uratować od śmierci pod gruzami kościoła, kiedy jeszcze ukrywał się w łonie matki. W moich oczach zalśniło zadowolenie. Skuliłam lekko uszy, podchodząc nieco bliżej. Samuel warknął w ludzkiej postaci szaleńczo, jednak Katherine odsunęła się od niego, aby zbliżyć się do mnie. Alfa patrzył na nią z ponurym grymasem wykrzywającym oblicze, jednak nadal nie odezwał się słowem.

Katherine spojrzała mi prosto w oczy, unosząc głowę. Maleństwo w jej ramionach poruszyło się w swym ciepłym kokonie. Przez cały ten chaos nie

wiedziałam, że Katherine już urodziła. Poczułam ciepło w sercu.

— Dziękuję za to, co zrobiłaś — powiedziała wzruszona kobieta. — Dzięki tobie żyję. A raczej żyjemy oboje — poprawiła się, ściskając mocniej swoje dziecko i nie wstydząc się łez spływających z kącików oczu. — Chcę, byś mi obiecała, że jakiegokolwiek zatargi łączą cię z moim mężem i ze stadem, nigdy nie skrzywdzisz naszego dziecka. Ten chłopiec żyje dzięki tobie i nie chcę, abyś w zemście na nas, postanowiła kiedyś go skrzywdzić.

Wpatrzyłam się w niemowlę wierzące się delikatnie we śnie, a potem powoli przeniosłam spojrzeniem na twarz Katherine. Wzdrygnęła się lekko, jednak nie powiedziała już nic, czekając na moją reakcję. Obwąchałam bardzo ostrożnie twarz malucha, przy czym dziecko po chwili kichnęło, mlaszcząc pod noskiem. Zachichotałam w myślach, a potem polizałam dłoń Katherine.

To dziecko w niczym nie zawiniło, więc nie zostanie ukarane. Nie jestem tyranką, ani morderczynią, wbrew wszelkim opiniom i plotkom rozpowszechnionym wśród was. — Zerknęłam wymownie w stronę Samuela oraz jego watahy, a oni w odpowiedzi wspólnie warknęli niczym wściekły chór. — Nie musi obawiać się o swoje życie. Ani on, ani ty. Ocaliłam wasze życia nie po to, by potem je odebrać. Konflikt zostanie między mną, a Samuelem i nie zrani osób niewinnych. A uważam, że jako jedyna tutaj, a raczej ty i twoje dziecko, nie zawiniлиście.

Katherine otarła kolejny potok łez i kiwnęła głową w niemym podziękowaniu. Jej oczy iskrzyły, gdy mocniej otuliła małego synka ciepłym kocem. Matczyne ciepło, które od niej biło, na moment zmyło ze mnie strach oraz niepokój przed nadchodzącą bitwą. Dla takich istot warto było utoczyć krwi, nie tylko swojej, ale i wrogów. Myślałam, że Katherine będzie bronić także męża, jednak żyła w stadzie od wielu lat i wiedziała, że takie spory Alfa musiał rozwiązywać sam. Nikt nie mógł przewodzić stadu, jeśli nie potrafił o nie zawalczyć lub go obronić przed konkurencją, którą w pewnym sensie byłam.

Bez przedłużeń odwróciłam się do stada i ignorując ich warkot oraz odsłonięte kły, zawylałam ponownie, rażąc ich mocą z bliska. Skuliły się w sobie, nawet Samuel, chociaż walczył zaciekle, by nie ulec mojemu głosowi. Katherine tuliła do siebie dziecko z boku, przyglądając się wszystkiemu z niepokojem, ale i niesamowitym zachwytem wypisanym w oczach. Czułam, że sama miała wielką ochotę odpowiedzieć na ten pierwotny zew.

Niech część z was zbierze broń i przywiezie ją na wyznaczone miejsce. —

Spojrzałam na Samuela pewna, że ustalił już z grupą miejsce bitwy. — *Reszta niech ustawi się już na bojowych pozycjach. Jestem pewna, że armia Quentina i sam Quentin przyjdą właśnie tam, gdzie zbierze się wataha. Dla nich miejsce jest obojętne, liczy się tylko zagłada stada. Podążą za waszym zapachem niczym sępy oczekujące sowitej uczyty.*

Przez pierwszą chwilę Samuel nie odpowiedział, jednak potem z wielką niechęcią przełamał milczenie.

— Aidan poprowadzi ciebie oraz stado na wyznaczone pole bitwy.

To jedno zdanie całkowicie mi wystarczyło. Z gęstwiny kłów i najeżonej sierści wszelakich kolorów wyłonił się Aidan. Jego wilcza forma nie przejawiała wobec mnie żadnych oznak agresywności, w przeciwieństwie do jego towarzyszy. Pokłonił przede mną głowę, w tym momencie nie patrząc w stronę swojego Alfę. Wstrzymałam oddech, chyba tak samo jak wszyscy zebrani. Wilk odsłonił kark, a potem wyprostował się z wyprężoną dumnie pierśią. Odpowiedziałam na ten gest jedynie kiwnięciem łba, na nic innego nie mogłam się zdobyć.

Właśnie otwarcie porzucił lojalność wobec Samuela jako swego Alfę — stwierdziła zaskoczona, ale i dziwnie zadowolona tą sytuacją Banshee. — Poważne i bardzo odważne posunięcie, a zwłaszcza w tej chwili. Samuel teraz równie dobrze może podczas bitwy wykończyć go w ramach selekcji naturalnej. Aidan to zdrowy młodzik, który w każdym momencie może rzucić wyzwanie przywódcy, strącić go z piedestału i przejąć stado. Właśnie teraz, pokazując nam, że porzuca swego Alfę, pokazał własną siłę oraz stanowczość, a te cechy są cenione u przywódców stada.

Nie mnie dane jest osądzać jego decyzję, ani tym bardziej jej zmieniać — odparłam spokojnie, lecz z lekkim warkotem, aby uciszyć wilczycę. — Najważniejsza jest teraz bitwa oraz jej wynik. Nic innego nie powinno nam zaprzętać głowy. Później, jeśli dane będzie nam przeżyć, zobaczymy, co wyniknie z całej tej farsy.

Samuelowi drgała powieka i drżał nerwowo mięsień szczęki z wściekłości, gdy wpatrywał się prosto w Aidana. Jego wilcza powłoka drżała tuż pod skórą gotowa postawić na swoim, jednak Alfa miał teraz pod opieką swego syna oraz żonę, więc powstrzymał gniew oraz przemianę. Odprowadzał stado wzrokiem, gdy Aidan bez dalszej komunikacji niewerbalnej i przy tym ani słowa wyjaśnienia na

temat swego zachowania, ruszył przez ośnieżone pola, z chrzęstem gniotąc pod swymi łapami lód. Biegłam na równi z nim, mimo że z łatwością mogłabym go wyprzedzić. Pędziliśmy na złamanie karku, jakby ścigał nas sam Lucyfer. Być może to nie tupot jego stóp oraz jego sługusów słyszeliśmy mimo wielu kilometrów, jednak groźba ze strony wampirów była równie trwożąca, jakby nad naszymi głowami wisiał katowski miecz samego diabła.

Zauważyłam, że wilkołaki wybrały miejsce z daleka od miasta, na prawdziwym uboczu, w środku pól uprawnych, które na zimę zostały zasypane grubą warstwą śniegu i zapomniane aż do wiosny przez wszystkich okolicznych ludzi. Domyśliłam się, że stado chciało tym samym odciągnąć wampiry od ludzi z miasta oraz swoich rodzin, które czekały w ukryciu na ostateczny wynik bitwy. Przerażone kobiety tulące dzieci oraz pilnujące starców, jednak gotowe w każdej chwili gotowe walczyć w ich obronie. Takie właśnie były wilki — samice potrafiły zaatakować z zawziętością niedźwiedzia tego, który chce położyć nikczemne łapy na członkach ich stada, a już szczególnie szczeniaków. Samce wiedziały, że w razie konieczności mogą wezwać do pomocy swe samice, jednak... byłam w pełni świadoma, że nie uczyniliby tego nawet w obliczu śmierci oraz porażki. Nie chcieli narażać życia swoich kobiet i woleli, by pozostały w ukryciu do samego końca, aż ich wygrana pozwoli im na świętowanie lub porażka zmusi do jak najszybszej ucieczki.

Dotarliśmy na miejsce wśród tupotu wielu łap i szybkich oddechów. Gdy tylko zatrzymaliśmy się na połaciach zamarznętej ziemi białej od śniegu i pogrążonej w martwej ciszy, brak jakiegokolwiek dźwięku niemal zabrzączał mi w uszach. Rozejrzałam się, rozmyślając, jak najkorzystniej ustawić stado na naszej części pola bitwy. Mieliśmy trochę czasu, zanim wampiry pojawią się na miejscu gotowe do ataku.

Kiedy tylko dotrą na nasz teren, będziemy już gotowi do walki.

Chcesz poprowadzić atak? — zapytała Banshee zaciekawionym tonem. — Wiesz doskonale, że taka decyzja może sprawić, że będziesz całkowicie skreślona w oczach Samuela. To będzie rzeczywisty pokaz tego, że próbujesz przejąć jego stado.

Nie poprowadzę ataku, jeśli mi tego zabroni — odparłam zirytowana. — Jestem sprzymierzeńcem, a nie wrogiem. I dobrze wiesz, że tak naprawdę wcale nie chcę przejmować stada.

Ja to wiem, jednak Samuel może być gorzej poinformowany. Wasz konflikt może przyczynić się do tego, że wśród bitewnego kurzu i morderczej wrzawy spróbuje znaleźć odpowiednią chwilę, by usunąć cię jako ewentualne zagrożenie.

Na moment mój przyspieszony po długim biegu oddech całkowicie zamarł.

Może spróbować, jednak wtedy nie zawaham się go zabić — odparłam stalowym głosem, bez chwili wahania. — Chcę tylko wykurzyć Quentina oraz pozostałości jego armii z tych ziem, żeby wszyscy byli bezpieczni. Żadne przejmowanie władzy nad wilkołakami mnie nie interesuje. Niech lepiej Samuel to zrozumie, zanim użyję mało delikatnych metod, żeby wbić mu prawdę do głowy.

Banshee zamilkła, jednak czułam, że chciałyby coś dodać, a raczej powtórzyć swoje słowa. Byłam świadoma, że aktualnie byłam dla Samuela cierniem w łapie, jednak nie mogłam się tym przejmować, kiedy czekała nas walka. W tej bitwie byłam po stronie zarówno Samuela, jak i jego stada. Pragnęłam im pomóc.

W żyłach pulsowała mi wola walki i buzowała adrenalina. Czułam narastające napięcie w mięśniach, które na samą myśl o walce rwały się do działania. Aidan zauważył moją gotowość i to, że niemal podskakuję w miejscu. Jego wilcze oczy wyrażały ponurą determinację i siłę — on także nie miał zamiaru pozwolić wampirom wygrać. Obnażył zęby, co bardzo przypominało mi uśmiech. Odpowiedziałam tym samym, mrugając do niego złotymi oczyma.

Wilkołaki ustawiały się na połowie pola, jednak trzymały się bliżej linii lasu, a niektóre z nich kręciły się wśród drzew. Wszystkie były nerwowe, czułam to w powietrzu tak samo jak widoczne napięcie. Ich sierść była postawiona na sztorc, a w gardłach drżały groźne pomruki. Nastrój pogarszał się z minuty na minutę.

Podjęłam szybką decyzję, spontaniczną i wyjątkowo szaloną, tak jak ostatnio wszystko moje działania. Pobiegłam kilkanaście metrów do przodu. Zatrzymując się, wznieciłam chmurę śniegu spod łap i uniosłam pysk do nieba. Wycie, które wydarło się z mojego gardła, było wysokie, dzikie i niepowstrzymane niczym huragan. Niosło się potężnym echem aż do gór, wiedziałam to. To było coś w rodzaju wyzwania — dawałam znak wrogom, że nie boję się ich sił i jestem gotowa stawić im czoło. Wyjąc, uniosłam się na tylnych łapach i stanęłam dęba,

wzmacniając swój głos. Opadłam na ziemię i obejrzałam się na wilkołaki. Aidan wpatrywał się we mnie z uszami postawionymi na sztorc. Reszta stada przyglądała mi się równie wnikliwie, zaskoczona moim zachowaniem. Czekałam, aż w końcu po połaciach zamrożonej ziemi przetoczyło się kolejne wycie, tym razem ze strony Aidana. Jego głos był niski i melodyjny, bardzo silny. Zadowolona dołączyłam do niego w tym bitewnym śpiewie. W moim sercu zakwitło zupełnie nowe, pierwotne uczucie, gdy po kilku sekundach moje wycie niemal zagłuszyło głos wszystkich wilków z watahy. Wszystkie wilkołaki wzniosły łby do nieba i wyzwały do walki wampiry oddalone o wiele kilometrów, lecz nieuchronnie dążące na miejsce przeznaczenia.

Gdy pieśń ucichła, spojrzałam na stado z nowym błyskiem w oku. Skulone uszy wyprostowały się, nastroszona sierść opadła, a pociemniałe oczy szybko pojaśniały. Przywróciłam wilkom wolę walki oraz pewność, która powinna poprowadzić ich do ostatecznego zwycięstwa.

Czułam, że dzisiaj zwycięstwo było zdecydowanie po naszej stronie.

Rozdział XXV

~ KIRA ~

Samuel wraz z kilkoma pozostałymi wilkołakami ze stada przybyli na miejsce niecałą godzinę po wojennej pieśni, którą wykonałam z całym jego stadem. Alfa spojrzał na mnie w swojej wilczej formie, jednak nie zobaczyłam w jego spojrzeniu wrogości, którą spodziewałam się ujrzeć. Musiał słyszeć nasze wycie, które ciągnęło się zapewne daleko poza miasto. Skuliłam lekko uszy i pozwoliłam Banshee połączyć się z umysłem Samuela. Wilkołak nie zaprotestował, jednak czując obcą obecność w podświadomości, drgnął minimalnie.

Cieszę się, że możemy porozmawiać.

Zaskoczona spojrzałam na niego, nadstawiając uszu.

Myślałam, że będziesz wściekły. Nie spodziewałam się chęci do rozmowy.

Zdaje się więc, że najpierw coś robisz, a potem myślisz --- zaśmiał się Samuel, a potem wyszczerzył lekko kły. — Twój... wybryk niejako przyczynił się do tego, że podniosły się morale w moim stadzie. Widziałem, jak bardzo moje wilki bały się starcia oraz opuszczenia swoich rodzin, by narażać życie. Teraz, po usłyszeniu twojej pieśni i dołączeniu się do niej, mają w sobie nową siłę, by stawić czoła wrogowi.

Pozwoliłam mu kontynuować i nie przerywałam. Chciałam, żeby dokładnie opisał mi swoje uczucia. Dzięki temu mogliśmy dojść do jakiegoś porozumienia.

Nie myśl jednak, że nie jestem także wściekły — odparł Samuel.

Nie mogło być przecież zbyt kolorowo — rzuciłam z sarkazmem. --- Wiedz, Samuelu, że i ja mam w sobie urazę. Zdaje się, że przez ostatni czas sporo się między nami wydarzyło. Odnoszę jednak wrażenie, że stwierdzam fakt oczywisty

dla nas obojga.

Łeb Samuela przechylił się na znak niemego potwierdzenia. Wydawał się zamyślony. Obserwowałam go, kątem oka dostrzegając niedaleko Aidana, który wydawał się z całych sił ignorować obecność przywódcy stada. Miałam ochotę podpiąć go do naszej mentalnej rozmowy, jednak po chwili uznałam, że to wyjątkowo głupi pomysł. Mieliśmy z Samuelem kilka spraw do omówienia w cztery oczy, bez żadnych świadków.

*Jedyne, o czym mogę cię zapewnić, to fakt, że nie garnę się na twoje stanowisko, staruszk*u — rzuciłam do Samuela z nutką ponurego humoru, przerywając ciszę. — *Pomagam tobie i twojemu stadu w wygraniu bitwy i nie w głowie mi teraz, ani nie będzie nigdy, aby przejąć twoje stado. Ja... mam swoją własną watahę.* — Uniosłam spojrzenie i zastrzygłam uszami, słysząc daleki warkot motoru. — *Ja też muszę bronić swojego stada.*

Samuel uśmiechnął się pod nosem ledwie zauważalnie i puścił mi oko. Daleko na drodze zobaczyłam motor Frederica. Tuż nad nim szybował Flesh, zasłaniając sporą część nieba czarnymi skrzydłami — przypominał dużego, groźnego smoka. Gdy wylądował kilka metrów ode mnie, uderzenie powietrza sprawiło, że dookoła stada zawirował śnieg. Większość wilków zjeżyło się natychmiast i warknęło wspólnie. Jedyne Samuel nie drgnął, mimo tego, że jego mięśnie widocznie się napięły, a oczy przybrały bardziej wilczego wyrazu. Po chwili dopiero doszukałam się powodu takiego zachowania — Flesh był w swojej pierwotnej, demonicznej formie. Zagięte rogi, które wydawały mi się większe i dłuższe od tych, które widziałam wcześniej, lśniły niczym plama oleju w słońcu. Białe tęczówki wydawały się zimne niczym lód i jednocześnie pełne ognia. Skóra nabrała barwy marmuru, a palce zmieniły się w długie szpony z poczerniałą skórą. Były ostre jak brzytwy i przypominały pazury lwa. Złożył skórzaste skrzydła na plecach, nie odzywając się słowem. Sprawiał wrażenie odległego, potężnego i groźnego. Dotychczas skrywał cały swój majestat pod płaszczem ludzkiego wcielenia, więc teraz, w pełnej krasie demonicznego dziedzictwa, nawet dla mnie wyglądał jak potwór.

Przyglądałam się mu, póki nie skrzyżował swojego spojrzenia z moim. Powoli biel ustąpiła pięknemu odcieniu szafiru, a ogień płonący w źrenicach zmienił się w ciepłą iskrę. Podeszłam do niego, nie mając już na uwadze warczących i gotowych do ataku wilkołaków, tchnącego ostrzeżeniem wzroku

Samuela, ani dalekiego echa idącej na nas wrogiej armii. Wzrostem byłam niewiele wyższa od demona. Będąc już na odległość oddechu, oparłam potężny łeb na jego ramieniu, a potem przycisnęłam czoło do jego piersi. Stado wraz ze swoim Alfą zamarło i wydawało się, że wszyscy wstrzymali oddech ze zdumienia. Ten gest uczucia mógł wyrazić więcej niż jakiegokolwiek słowa. Flesh także to wiedział i przytulił policzek do mojego futra, zaciskając delikatnie na nim swoje szpony. Trwaliśmy tak kilkanaście sekund. Czułam chłód jego skóry nawet w wilczej postaci, jednak nie przeszkadzało mi to, tak samo jak twardość jego rogów oraz metaliczny zapach połączony z wonią siarki, którym przesiąkły jego ciemne włosy.

Jesteś mój, Flesh — zamruczałam w jego głowie; mój głos zmieszał się z głosem Banshee. — *Jesteś mój, niezależnie co się dzisiaj wydarzy i niezależnie od tego, kim albo czym jesteś.*

Spojrzałam na niego złotymi oczyma, odczuwając wewnątrz spokój, który spłynął na mnie mimo głęboko czającego się strachu. Odsunął się na tyle, by móc w pełni odwzajemnić to spojrzenie. Jego oczy ponownie zalała biel, a aura zafalowała ciemną mocą. Zadrżałam, jednak nie poczułam niczego oprócz ciepła płynącego od tej energii — złączyła się z moją, tworząc wokół nas świetlistą lunę. Nawet wilkołaki mogły ją zobaczyć. Wilki postawiły uszy na sztorc, umilkły ich warkoty, a zamyślane spojrzenia wbiły się w nasze sylwetki.

Ty też jesteś moja, Kira — odparł po chwili niskim, magnetycznym głosem, od którego mogłabym dostać gęziej skórki jako człowiek. — *Będę bronił ciebie oraz to stado ze wszystkich sił, jakie tylko posiadam. Poświęcę choćby swoje życie, abyście wygrali to stracie.* — Chciałam ostro zaprotestować, czując przy tym ucisk w piersi, ale nie dał mi dojść do słowa. — *Kocham cię. I nic tego nie zmieni, nawet jeśli dzisiaj zginę. Zapamiętaj to sobie, wilczyco.*

Zerwał nasz psychiczny kontakt, zanim zdołałam cokolwiek powiedzieć. Jego szczere wyznanie sprawiło, że poczułam się sparaliżowana. Wpatrywałam się w niego, gdy odwrócił się i wzbił w powietrze, wzniecając chmurę lodu oraz śniegu dookoła. Uniosłam łeb, żeby śledzić jego powolny lot nad polami.

Stałam tak jeszcze kilka minut, zanim moje wnętrzości skrzyły się gwałtownie, po czym rozluźniły się tak nagle, że niemal upadłam bezwładnie na ziemię. *On mnie kocha.* Powtórzyłam to w myślach jeszcze z pięć razy. W końcu

Banshee delikatnie warknęła, żeby sprowadzić mnie do rzeczywistości. *Kocha mnie, pomyślałam, tak jak ja kocham jego. I niech to da mi dzisiaj siłę do walki.*

Z daleka zobaczyłam, jak Frederic zsiadł z motoru. W rękę ścisnął czarny plecak, a na jego ramieniu wisiał pokrowiec z moimi katanami. Patrzyłam na niego zdziwiona, podczas gdy podszedł do mnie i uśmiechnął się łobuzersko.

— Nie wiem, w jakiej formie zamierzałaś walczyć — zaśmiał się wesoło — jednak dam ci prawo wyboru. Tu masz ubranie i ostrza, gdybyś zechciała wrócić do ludzkiej postaci.

Przypatrzyłam się mu, a potem jakby od niechcienia chwyciłam w zęby plecak. Pobiegłam do lasu, aby odnaleźć trochę prywatności. Przemieniłam się między drzewami i szybko narzuciłam na siebie ubranie. Dopasowane czarne rurki i ciemna koszulka z napisem „Fuck the system” musiała być pomysłem Charlotty, chyba że czarodziej zaraził się tym specyficznym rodzajem humoru od tej zadziornej wróżki. Wróciłam do towarzyszy. Wszystkie wilki śledziły mnie wzrokiem, gdy podeszłam do czarodzieja i chwyciłam w dłoń moje miecze. Były dobrze dopasowane do mojej dłoni, lekkie i ostre niczym brzytwa. Zamachnęłam się, przypominając sobie, że od jakiegoś czasu nie trenowałam porządnie walki wręcz.

Samuel w swojej wilczej formie, obrzucił mnie oraz moją broń zamyślonym, ponurym spojrzeniem.

Nie walczysz jako wilk?

Odpowiedziałam odważnie na jego spojrzenie, a potem zacisnęłam palce na rękojeści jednego z mieczy. Najpierw ułożyłam myśl w głowie, zanim się odezwałam.

— W walce poradzę sobie zarówno jako wilk i jako człowiek. — Zrobiłam młynek w powietrzu ostrzem katany, a potem uśmiechnęłam się krzywo, jakby z bólem. — Ty jesteś ich przywódcą i to ty poprowadzisz ich do walki. Ja tylko bym ci przeszkadzała.

Moje ostatnie słowa zakończył zbliżający się łomot. Odwróciłam się i spojrzałam w stronę przeciwnej strony pola, skąd miała przybyć armia. Frederic zmrużył powieki niczym kot i syknął pod nosem.

— Dość sporo tutaj tych szkodników — zamruczał pod nosem bynajmniej bez sympatii. — Zaraz się zaczniesz.

Dotknęłam jego ramienia, a potem niemal siostrzanym gestem zmierzwiłam

mu włosy. Spojrzał na mnie z iskrą w oczach.

— Obiecaj mi, że nie zginiesz — powiedziałam zdławionym głosem, nawet nie kryjąc oczu zachodzących łzami.

— Wiesz, że oczekuję od ciebie w zamian takiej samej obietnicy, prawda? — odparł czarodziej z równie lśniącościami oczyma i odwrócił wzrok w kierunku gór. — Poruszają się wyjątkowo szybko. Podejrzewam jednak, że połowa zginęła w pożarze.

— Nawet piekło nie chciało Quentina z powrotem — warknęłam pod nosem. — Nie uwierzę, że te potwory ruszają na wojnę bez swojego przywódcy.

Frederic nie skomentował tego, jednak widziałam na jego twarzy niemą zgodę. Zacisnęłam palce na uchwytach mieczy i wzięłam głęboki oddech. Wilki zgromadzone dookoła mnie zdawały się emanować jeszcze większym napięciem niż wcześniej. Im bliżej było do bitwy, ich zdenerwowanie rosło. W moim ciele każdy mięsień delikatnie drżał, jednak w żyłach oprócz strachu krążyła ogromna dawka adrenaliny. Czekałam, aż zacznie się ostateczna bitwa. Chciałam jej, wręcz pragnęłam rozlewu krwi — tylko to mogło zakończyć konflikt i uwolnić wilkołaki od wiszącego nad nim topora, który dzierżył Quentin oraz jego podwładni.

Kroki wrogiej armii były coraz głośniejsze, a ziemia drżała pod stopami niczym podczas zejścia górskiej lawiny. Nie musiałam długo czekać, tak samo jak i pozostali, aby armia wampirów pojawiła się na widoku. Około setka ubranych na ciemno postaci maszerowała w naszym kierunku. Ich biała skóra lśniła w nikłym świetle pochmurnego dnia niczym skóra trupa. Szli w nierównych odstępach, chaotycznie, jakby nie panowali nad własnym szykiem. Większość twarzy nowonarodzonych była splamiona krwią, więc podejrzewałam, że ich przemarsz przez góry pozostawił po sobie szlak złożony z martwych, wyspanych do cna zwierząt. Na samą myśl o tym zawrzała we mnie krew.

Zobaczyłam na czele znajomą postać w czerni, przez co wzięłam głęboki oddech i zacisnęłam zęby, czując mrowienie na karku. Quentin szedł do przodu, ledwie widocznie kulejąc. Połowa jego twarzy zniknęła zastąpiona martwą, spaloną skórą przypominającą rozpuszczony воск. Jedno oko zniknęło w płomieniach wybuchu. W ocalałej dłoni trzymał długi, srebrny miecz. Już z daleka czułam wibrującą w nim moc — nie był zaklęty przez wiedźmę, jednak napełniony był hipnotyczną magią wampira oraz najczystszy metal, który mógł zabić każdego wilkołaka ze zgrai zebranej za moimi plecami. Mnie także.

Być może wraz z połową armii zniszczyliśmy także zapasy srebra, ale widocznie już wcześniej sporo metalu poszło na utworzenie tej strasznej broni dla przywódcy wampirów.

Zabójca Wilków — zawarczała napiętym głosem Banshee, strosząc sierść. —

Ten miecz zasieje dzisiaj wiele śmierci i przeleje morze krwi. Musisz być ostrożna.

Nie odpowiedziałam, jedynie zacisnęłam mocniej palce na rękojeściach swoich katan. Moja krew śpiewała coraz głośniej. Uspokoiliam oddech, a potem przymknęłam powieki. Poczułam rozlewającą się po ciele energię Banshee. Moja aura niemal raziała w oczy złotem. Stojący blisko mnie Frederic wciągnął gwałtownie powietrze przez zęby i wypuścił je ze świstem.

— Podobno nie chcesz używać magii — stwierdził z gorzką nutą w głosie.

Uśmiechnęłam się drapieżnie w odpowiedzi. Quentin wraz ze swoją armią ruszał na nas coraz szybciej. Poruszali się szybko, ale nadal chaotycznie, niczym wygłodniałe pasożyty sunące na wspólny żer. Drgnęłam lekko, przenosząc ciężar ciała bardziej na prawą stronę, a stado wilkołaków zafalowało. Ich warknięcia zmieniły się w gwar głośnych warkotów i wycia. Byli gotowi do walki. Czułam to całą sobą.

Skupiłam swoją energię i rozciągnęłam sieć umysłu nad świadomością całego stada. Objęłam mentalnymi mackami każdy wilczy umysł w pobliżu. Nie było to łatwe, ale z pomocą Banshee dałam radę.

Macie być szybcy, silni i bezwzględni. Miażdźcie ciała, wrywajcie serca. I zachowajcie swoje życie dla swoich rodzin oraz przyjaciół. Niech mogą być pewni, że wrócicie z tej bitwy żywi!

Odpowiedziało mi żywe wycie niesione echem daleko poza terytorium pola walki. Fala dźwięku uderzyła w pędzącą armię wroga, jednak jej nie zatrzymała. Westchnęłam cicho i uniosłam katanę, celując nią w stronę pędzącej hordy.

— Wygrana lub śmierć, bracie? — rzuciłam w stronę Frederica, nie spuszczając oczu z nowonarodzonych wampirów.

Jego uśmiech zajaśniał wśród półmroku, a niski śmiech połączył się z pomrukiem zbliżającej się burzy. Samuel z głośnym parsknięciem wściekłego wilka zawył na wezwanie swych wilków. Poczułam tę bitewną pieśń w każdym centymetrze swego ciała. Banshee wewnątrz mnie wysunęła pazury i wyszczerzyła długie kły, pragnąc jedynie śmierci i krwi wampirów. Dostrzegłam ciemną sylwetkę Flesha krążącą nad połaciami ziemi. Posłałam mu ostatnie spojrzenie i zamknęłam powieki.

Wszystko ucichło, gdy wataha ruszyła w stronę wampirów szybko niczym zgraja psów piekielnych. Były szybkie i krwiożercze, a z ich pysków toczyła się piana. Wampiry i wilkołaki zderzyły się ze sobą niczym dwie fale na gniewnym

oceanie. Dźwięk stali, krzyków i przerażającego wycia uderzyły we mnie niczym betonowy blok. Otworzyłam powieki, poprawiłam uchwyt na broni i ruszyłam do przodu biegiem. Frederic ruszył razem z wilkołakami, jednak dopiero razem ze mną zdołał dotrzeć do bitwy. Jego krótkie sztylety były naszpikowane zaklęciami i cięły ciała wampirów niczym nóż miękkie masło. Odcięte kończyny płonęły Świętym Ogniem i rozpadały się w popiół w ogromach śmiertelnego wycia.

Moje ruchy były szybkie, niemal niewidoczne dla nikogo. Cięłam, zabijałam i uderzałam bezwzględnie w najczulsze miejsca, niemal nie celując, a zdając się na instynkt. Magia Banshee niemal paliła mi skórę. Obróciłam się i młynkiem swojej broni rozciąłam jednego wampira na pół, a potem przebiłam mu serce. Kolejny próbował napaść mnie od tyłu, jednak nie dałam się zaskoczyć i po chwili ostrze przebiło jego czaszkę z głośnym chrzęstem.

Flesh opadł na armię wroga z góry niczym czarny smok. Jego skrzydła zmiotły w śnieg kilkanaście wampirów. W rękę trzymał zakrzywiony sztylet z ząbkowanym ostrzem wielkości tasaka do mięsa. Cały był pokryty nieznanymi mi runami napełnionymi magią, przy której energia Frederica wydawała się zaledwie kroplą w morzu. Zapatrzyłam się na niego i w tym momencie mocne ramię złapało mnie za szyję od tyłu, a potem ścisnęło potężnie, niemal zgniatając grdykę. Odrzuciłam napastnika do przodu przez głowę, a potem dokończyłam sprawę swoimi mieczami. Krew trysnęła na śnieg strugą, sprawiając, że wszystko dookoła wyglądało jak zalane szkarłatnym deszczem.

Walczyłam u boku kilku wilkołaków, które istotnie pamiętały moje nauki jak zabijać nowonarodzone wampiry, jednak ledwie nadażały za swoimi dzikimi napastnikami. Krwiopijcy byli szybsi i silniejsi, a ich niepokonowana żądza krwi pchała je do przodu mimo odniesionych już ran, mniejszych lub większych.

Mimo szału bitewnego, który ogarnął wszystkich, w tym także mnie, aura Quentina przyciągała mnie niczym drapieznika przyciągała świeża woń krwi rannego zwierzęcia. Stał poza centrum walki i przyglądał się beznamiętnie rzezi, którą sam rozpętał. Przebijałam się przez kłębowisko wilków oraz wampirów, po drodze zabijając kolejne dziesiątki nowonarodzonych, aby do niego dotrzeć. Gdy gdzieś dalej na ziemię padło kilka martwych wilkołaków, zawylałam w głos z wściekłości i zimnej furii ścinającej mi krew. Parłam do przodu pchana gniewem, aż zobaczyłam ciemną postać Mistrza odcinającą się na tle białego śniegu. Nie zdążyłam jednak zadać pierwszego ciosu, gdy wampir wziął zamach i ciął mieczem w powietrzu. Czubek ostrza drasnął mnie w ramię, jednak zabolalo co najmniej tak, jakby wyrwał mi całą rękę razem z kością. Spojrzałam na ranę i obserwowałam krew sączącą się na ziemię. *Kurewskie srebro, zasyczałam w głowie. To ostrze może zabić mnie zaledwie po kilku ciosach.*

Quentin przyjrzał mi się z uśmiechem kwitnącym na połowie twarzy. Wargi na spalonej części głowy opadały w dół, niemal ginąc w fałdach spalonego ciała.

Oderwaną rękę skrywał długi rękaw czarnego płaszcza.

— To miecz, który wykuły dla mnie wynajęte elfy — powiedział z zadowoleniem, gdy ścisnęłam palcami pulsującą ranę. — Potrzebowały mocnej zachęty, aby wykonać zamówienie, ale ostatecznie wyszło perfekcyjnie. To czyste srebro napelnione moją mocą, idealne do zabijania wilkołaków, ale nie tylko. Mogę nim poćwiartować każdą żywą istotę, nie dając jej możliwości regeneracji. Czujesz to, prawda? — Wyszczrzył kły z szaleńczym błyskiem w oczach. — Srebro zabija także i ciebie.

Zacisnęłam zęby tak mocno, że niemal poczułam ból w skroniach. Poprawiłam uchwyt na katanach i posłałam wampirowi wściekłe spojrzenie.

— Zabiję cię, ty stuknięty sukinsynu — warknęłam głosem niskim od nabrzmiałej we mnie furii. — Nigdy już nie doprowadzisz do śmierci żadnej żywej istoty, człowieka czy magicznego.

— A założymy się o to? — rzucił zadziornie, niemal z przekorą.

Rzuciłam się w jego kierunku z szybkością światła i niemal upadłam prosto na ziemię, gdy Quentin zrobił szybki unik, a potem zaczął mknąć w stronę skraju lasu. Złapałam równowagę i wbiłam w niego spojrzenie. Uśmiechnęłam się pod nosem mimowolnie. *Biegnie w stronę mojego terytorium. Już mi nie ucieknie, nie tym razem.* Ruszyłam za nim, obserwując z daleka, jak jego sylwetka znika między drzewami. Zostawiłam za plecami bitwę rozgorzałą pod wodzą Samuela. Szum skrzydeł Flesha oraz okrzyki Frederica szybko zmieniły się w dalekie głosy, gdy zjawiłam się na niewielkiej polanie usianej śniegiem z trzech stron otoczonej drzewami.

Weszłam głębiej w półmrok, nasłuchując uważnie. Cisza niemal dzwoniła w uszach. Chwyciłam mocniej swoje miecze. Włosy na całym ciele stanęły mi dęba. On tu był i to blisko. Zaczaił się na mnie. Zdradziło go jednak słońce — niewielki odblask srebra wśród igieł potężnych drzew upewnił mnie co do pozycji wampira. Przygotowałam się na atak z jego strony i gdy Mistrz zeskoczył z drzewa niczym rzucający się na ofiarę jastrząb, obróciłam się i wyciągnęłam ostrze pod odpowiednim kątem. Ciało Quentina nabiło się na katanę z głośnym młaśnięciem i chrupnięciem, gdy stal przebiła skórę, mięśnie i otarła się o kości. Jego rozszerzone oczy nabrzmiały bólem i wściekłością, ale i zaskoczeniem. Wypluł krew na moje ubranie. Gwałtownie wyszarpnęłam miecz, patrząc z satysfakcją, jak Mistrz głośnie upada na ziemię i czołga się, próbując wstać. Jego miecz wylądował obok niego na śniegu, srebrzyście odbijając niewielkie promienie słońca przebijające się przez chmury i gałęzie drzew.

— Jesteś śmieciem i już zawsze nim pozostaniesz w oczach swego ludu, gdy wyjawię Radzie oraz wszystkim wampirom, co zrobiłeś — zasyczałam mu w twarz, a potem splunęłam, trafiając w jego spalony policzek.

Nie zdążyłam zinterpretować uśmiechu, który wślizgnął się na zakrwawione

wargi Quentina, zanim poczułam ból rozrywający mnie od środka. Krew trysnęła na boki niczym fontanna, a mój krzyk poniósł się wśród drzew niczym wycie potępieńca. Srebrne ostrze wampira przebiło mój brzuch pod takim kątem, że drasnęło także żebra i przez nie wślizgnęło się do lewego płuca. Gdy miecz wysunął się ze mnie, padłam na śnieg bezwładnie. Z trudem łapałam oddech, czując krew napływającą do ust. Magia Banshee nie mogła mnie uleczyć, tak samo jak moje wrodzone umiejętności regeneracji. Srebro było śmiertelne, nawet jeśli byłam hybrydą. Słabość, którą odziedziczyłam po wilczych przodkach, miała stać się dzisiaj moją zgubą.

Leżałam na boku, widząc zaledwie czubki butów Quentina, gdy przechadzał się chwiejnie dookoła mojego ciała. Jego ciemna krew leciała mniejszym strumieniem niż przed chwilą, co już było oznaką gojenia się rany zadanej kataną. Charczałam, próbując złapać oddech, jednak przebite płuco szybko napełniało się krwią. Mój wzrok mętniał z sekundy na sekundę, a serce powoli zwalniało niczym samochód, któremu brakuje paliwa.

Czubek srebrnego miecza błysnął mi przed oczyma, tuż przy mojej twarzy.

— Zabiję cię, wredna suko i świat pozna, że nie byłaś żadnym Ogarem Boga — niemal wypluł z siebie te słowa — ale zwykłym kundlem zasługującym na śmierć.

Przymknęłam powieki. Do moich uszu dotarł świst broni, jednak nie poczułam ciosu, który miał zakończyć mój żywot. W tle usłyszałam szamotaninę, trzepot skrzydeł, a także wściekły głos Flesha tak zimny, że mógł zamrozić cały kraj.

— Ona jest moja! — wrzasnął potężnie, aż zatrzęsły się drzewa i zerwał się wiatr. — A ty zginiesz, ścierwojadzie i wrócisz do piekła, tam gdzie twoje miejsce!

Głośny grzmot zagłuszył okrzyk Quentina, gdy demon chwycił go pazurami za gardło i uniósł do góry, jakby ważył tyle co nic. Zaciskał palce tak mocno, że po chwili dało się słyszeć chrzęst grdyki, a potem kręgosłupa. Ciało wampira opadło bezwładnie jak worek ziemniaków. Jego wytrzeszczone, martwe oczy wpatrywały się w niebo. Flesh zabrał mu srebrny miecz i uciał trupowi głowę. Jeden ruch ręki wystarczył, by truchło zajęło się Świętym Ogniem w barwie jasnego błękitu, w który wpatrzyłam się tępo, starając się chwytać drobne skrawki chłodnego powietrza.

Demon opadł obok mnie na śnieg i podniósł moją głowę dłonią. Oparłam się o jego kolana, coraz słabiej odczuwając wszelkie bodźce. Nawet odgłosy kończącej się bitwy wydawały się dalekimi szeptami wśród ciszy drzew, która coraz bardziej mnie pochłaniała. Banshee w moim gasnącym umyśle zalewała się łzami, które złościły szlak w jej jasnej sierści. Złociste oczy przepełnione były bólem. Widziałam ją tak samo wyraźnie jak wtedy, gdy pokazywała mi moich rodziców. Chciałam ją pocieszyć, ale nie miałam teraz siły na puste farmazony. *Umieram,*

uświadomiłam sobie. *Naprawdę umieram.*

— Kira! — Głos Flesha na chwilę sprowadził moją świadomość z powrotem. — Nie waż się zasypiać, słyszysz? Uleczę cię. Musisz tylko chwilę wytrzymać.

— Flesh... — Wyplułam kolejną porcję krwi, aż głowa opadła mi bez siły. — Nie możesz...

Nie zdołałam dokończyć. Wiedziałam, że nawet jego moc jest ograniczona w moim wymiarze. Jakąż dawkę mocy musiałby zużyć... Nie, nie mógł...

Jednak mimo moich słabych protestów, magia demona przeszła moje skostniałe członki niczym tysiące wolt żywego pioruna. Wrzasnęłam, zaciskając powieki. Po chwili strumień nieco się zmniejszył, a ból zaczął powoli ustępować. Otworzyłam powieki, by w ciemnej aurze demona ujrzeć jego twarz. Miał łagodny wyraz twarzy i uśmiech tak delikatny, że ledwie dostrzegalny. Jakbym była nowonarodzonym dzieckiem, które on trzymał w swoich ramionach. W jego niebieskich oczach powoli gasło światło i pojawiły się łzy.

— Wszystko będzie dobrze, wilczyco. Wrócę do ciebie. Obiecuję — powiedział cicho, wpatrując się we mnie niemal błogo.

Chciałam zaprotestować, wyrwać się z jego uścisku, lecz nie zdażyłam. Chwyciłm go za ramiona, lecz w dłoniach pozostał jedynie popiół — ciało demona rozpadło się niczym rzeźba z piasku. Pokręciłam głową i zerwałam się na nogi, z powrotem zdrowa i silna. Rana zniknęła, a ja znów mogłam złapać oddech. Żyłam. Upadłam na kolana i chwyciłam popiół, który lśnił na śniegu niczym pokruszone srebro. Żyłam, ale za jaką cenę...

Uniosłam głowę i na wpół wrzasnęłam, na wpół zawyłam z rozpacz i bólu, który rozrywał mi serce tysiącami igieł. Po moich policzkach strumieniem polały się gorące łzy, a ja skuliłam się w ataku drgawek i spazmów. Ponownie zawyłam jak zranione zwierzę, a potem wtuliłam głowę w skulone ramiona. Nie mogłam myśleć, nie mogłam oddychać, nie mogłam zrozumieć tego, co się właśnie stało.

Gdzieś nad moją głową rozległa się seria grzmotów, a potem z nieba sypnął śnieg. Najpierw delikatne płatki, a potem kawałki lodu smagające boleśnie niczym kawałki szkła. Ktoś dotknął mojego ramienia, jednak ja nie zareagowałam. Łagodny głos Frederica docierał do mnie jakby spod wody. Poczułam przypływ energii, a potem moje ciało przejęła inna świadomość. Na wpół za moją zgodą moje włosy jeszcze bardziej pojaśniały, a skóra przybrała barwę śniegu. Potem poczułam transformację rozciągającą moje kości, ścięgna, mięśnie i narządy. Stałam na czterech łapach jako biały wilk — Banshee w swej fizycznej postaci.

Frederic spojrział na mnie pociemniałymi oczami z żalem malującym się na twarzy. Nie mogłam znieść jego smutku, tak jak nie mogłam znieść własnego. Uniosłam łeb i posłałam cały swój żal oraz rozpacz prosto w zachmurzone niebo, nie zważwszy na siekający śnieg. W oddali słyszałam ostatnie pomruki

trwającej bitwy, wśród których przebijały się zwycięskie warkoty wilkołaków.

Ruszyłam w tamtym kierunku rozpalona rozpaczą i szalejącym gniewem. Wbiłam się z powrotem wśród wygasający rój wampirów, rozrywając je na kawałki, łamiąc kości i urywając kończyny. Stado odsunęło się na bezpieczną odległość ze strachem w oczach. Szalałam niczym prawdziwy Cerber[1], aż na polu walki pozostały tylko krwawe ochłapy wrogiej armii i chaotycznie rozrzucone ciała.

Stałam pośrodku tej rzezi, dysząc ciężko jak po maratonie. Nie mogłam złapać głębszego oddechu, mimo że moje płuco było z powrotem całkowicie zdrowe. Uniosłam ponownie łeb do nieba, a potem wydobyłam z siebie pieśń, przez którą wilkołaki nastroszyły sierść, skuliły uszy i posłały mi pociemniałe spojrzenie. Poznały tę melodię i po kilkunastu sekundach dołączyły się do mnie w tym żałobnym chórze.

Moje wycie było rozrywające niczym przedśmiertny akt samozagłady. Ja i wilki wyliśmy za straconą miłość, za śmierć swoich ukochanych, za rozlaną dzisiaj krew. Za utraczone szanse, za złość, za nienawiść, za wszystkie błędy. Płakaliśmy nad sobą i wszystkimi, którzy brali udział w tym całym szaleństwie teraz i wcześniej.

Ta bezsensowna wojna ich zraniła — moich towarzyszy, Samuela oraz stado, a jednak mnie — zabiła.

[1] Cerber — w mitologii greckiej trzygłowy pies strzegący wejścia do świata zmarłych.

Epilog

~ KIRA ~

Nad miastem zawisło widmo śnieżycy i burzy wprawiającej w drżenie nawet odległe góry. Ślady bo bitwie zostały zamaskowane przez naturę, a martwe ciała poległych nowonarodzonych wampirów zabrało słońce, które wychyliło się zza zasłony chmur jedynie na moment, jakby chciało pomóc nam w porządkach. Kilkanaście poległych wilkołaków zabrano do rezydencji Samuela, gdzie miały się nimi opiekować rodzina oraz przyjaciele — przygotować ich poranione, poszarpane ciała do pochówku. Straty stada w porównaniu do przetrzebionych szeregów wampirów były niewielkie, jednak to nie umniejszało bólu ich bliskich, gdy ciała zostały im przekazane przez resztę wilków. Pochówek odbył się kilka dni później, gdy dopełniono wszystkich formalności oraz tradycyjnych rytuałów. Na uroczystości stałam w odległości kilkunastu metrów, przyglądając się ceremonii pod szerniałym pniem starej sosny zasadzonej tutaj wiele lat temu. W moich oczach nie było łez — wszystkie wylałam pod bitwie nad szczątkami Flesha.

W sercu czułam jedynie pustkę, która powiększała się z dnia na dzień. Żyłam jak w transie, pomagając przyjacielom uleczyć rannych wojowników oraz dałam się zbadać Charlotte, która uparła się na to, mimo że magia demona uleczyła nie tylko rany zadane przez Quentina, ale także sprawiła, że moje wieloletnie blizny na całym ciele zbledły i niemal zniknęły, po nich pozostały jedynie ledwie wyczuwalne zgrubienia. W jednym tylko miejscu ślad nie zniknął — czerwona linia szpecąca moje żebra była znakiem śmierci, która niemal zabrała mnie z tego świata przez miecz martwego Mistrza. Broń została zabrana przez Silvira — nekromanta zapewnił, że ukryje go tam, gdzie nie znajdzie go nikt oprócz niego.

Amelia, gdy tylko powróciłam z pola bitwy żywa, wyściskała mnie zalana łzami radości tak samo jak Joseph, którego złość na mnie za wykluczenie z bitwy podstępem zniknęła, jak tylko zobaczył krew na moim ubraniu i ciele. Pozwoliłam się wyściskać, a potem bez słowa zamknęłam się w swojej sypialni. Opadłam tam na kolana i zaszlochałam rozdzierająco, nie mogąc po raz kolejny opanować rozpacz. Usłyszałam, jak ktoś wślizguje się do pokoju, a potem wylądowałam w ramionach Amelii. W progu pokoju stała reszta moich przyjaciół. Nie mogłam spojrzeć im w twarz. *Zginął przede mną. Oddał własne życie, by mnie uratować.*

— Wszystko będzie dobrze, Kira — wymamrotała rzewnie Amelia, nie mogąc powstrzymać własnych łez. — Pomożemy ci przez to przejść.

Próbowała się uśmiechnąć, ale po chwili chwyciłyśmy się w mocnym uścisku i obydwie zaszlochałyśmy. Siedziałyśmy tak, aż popłynęła ostatnia łza, a ja poczułam się jak skorupa człowieka bez duszy i serca. Ziałam pustką. W tamtych chwilach przypominałam sobie odległe obrazy z dzieciństwa, gdy jako dziecko

uciekałam przez las przed wilkołakami, które próbowały mnie zabić. Wilki, które się mną opiekowały, pokazały mi tajne wyjście zakryte klapą w podłodze — wykopany tunel był na tyle szeroki, by mogło się nim przecisnąć jedynie dziecko. Zanim zniknęłam w gęstwinie lasu, widziałam na zewnątrz przez szybę domu, jak horda dopada moich opiekunów, którzy zaopiekowali się mną po śmierci rodziców. Nawet wtedy, gdy wilki rozrywały ich na kawałki w akcie okrutnej kary, złapałam spojrzenie mojego przybranego ojca. Uśmiechnął się, zanim skonał. Tak samo jak Flesh, zanim rozpadł się w pył.

Pod prysznicem zmyłam z siebie ślady krwi, a zniszczone ubrania spaliłam w kominku. Wegetowałam niemal tydzień, dzień za dniem, godzina za godziną, a każda minuta goniła minutę. Przyjaciele zostawiali przy mnie samą, ale krążyli blisko. Żaden z nich nie potrafił do mnie dotrzeć. Utrzymywali dystans, będąc w pobliżu, jakby tylko czekali, żeby złamać odłamki, na które mogę się rozpaść, jakbym była kruchą, pękniętą wazą.

Tydzień i cztery dni po bitwie, już po pogrzebie wszystkich poległych i wielu dniach spokoju po tamtej upiornej burzy, zapragnęłam wyrwać się z domu na świeże powietrze. Narzuciłam na siebie ciemne spodnie, długą tunikę z rękawami do nadgarstków w odcieni kruczej czerni oraz wysokie buty. Zawiązywałam właśnie na szyi szal, gdy w korytarzu pojawiła się Amelia. Była blada i wymęczona. Ja sama nie zerkałam w lustro od wielu dni, by nie widzieć swojej zmarnowanej twarzy, długich włosów w nieładzie, tych martwych oczu... Nie mogłam spojrzeć sobie w oczy, jakbym miała zobaczyć w nich odbicie jego, jego uśmiechu i łagodnego spojrzenia, którym mnie obdarzył, zanim... odszedł. Zanim odszedł, a zanim zdołałam mu powiedzieć, jak bardzo go kocham. Do teraz plułam sobie w brodę, że nie wyznałam mu tego wcześniej.

Bez słowa ubrałam się i wyszłam na zewnątrz. Duch, pies Amelii, wędrował po zaśnieżonym parkingu i węszył entuzjastycznie w śniegu. Spojrzał na mnie i pomachał ogonem, jednak minęłam go szybko, kierując się w stronę miasta główną drogą. Szłam wolno, jednak czułam wewnętrzny przymus, jakbym zaraz miała rzucić się biegiem w stronę centrum, potem złomowiska, a potem jeszcze dalej, aż wróciłabym tam, skąd przybyłam do tego miasta kilka lat temu.

Będę grzeczny — powiedział wprost do mojego ucha. — Obiecuję.

Karaoke brzmi nieźle — stwierdził spokojnym, szemrzącym głosem. — Zarezerwuj dla mnie jedną piosenkę.

Przecież już widziałem cię nago — odpowiedział spokojnie. — Jaka to będzie różnica, jeśli zobaczę to ponownie? Oczywiście oprócz tego, że sprawi mi to przyjemność?

Będę bronił cię oraz to stado ze wszystkich sił, jakie tylko posiadam. Poświęcę choćby swoje życie, abyście wygrali to stracie. Kocham cię. I nic tego nie zmieni, nawet jeśli dzisiaj zginę. Zapamiętaj to.

Nie mogłam powstrzymać ucisku, który nagle odebrał mi oddech. Zatrzymałam się na moment na środku drogi, łapiąc powietrze ustami. Wypłakałam już wszystkie łzy, ale ból nie mógł odejść i nawet nie chciałam, by odchodził. Musiałam czuć go raz za razem, by nie zapomnieć, dlaczego Flesh nie żyje.

Nie możesz wiecznie obwiniać się o to, co się stało — warknęła stanowczo Banshee, jednak po chwili jej głos złagodniał. — Poświęcił się dla ciebie. Dla nas. Powinnaś więc wykorzystać to życie, które ci podarował, najlepiej jak potrafisz.

Nie potrafię.

Ucięłam szybko rozmowę i szłam dalej wolnym krokiem. Wcześniej stchórzyłam i nie powiedziałam mu, jak bardzo go kocham, mimo że on wyznał mi uczucie tuż przed bitwą. Był gotów oddać za mnie życie, za mnie i stado, i zrobił to. Wygraliśmy wojnę, jednak nie potrafiłam się z tego cieszyć.

Znany dreszcz biegnący od karku przez cały kręgosłup zatrzymał mnie gwałtownie w miejscu. Zamarłam w bezruchu, a potem rozejrzałam się powoli na boki. Czułam to, gdzieś głęboko w środku. Ten korzenny zapach, dotyk ciepła niczym łaskotki płomieni na skórze, ten głos...

Wszystko będzie dobrze, wilczyco. Wrócę do ciebie. Obiecuję...

Gwałtownie się obróciłam, ledwie mogąc wciągnąć powietrze do płuc. Na pagórku, za którym stał mój dom, pojawiła się ciemna, wysoka sylwetka. Nie mogłam myśleć, nie mogłam płakać, ale mogłam czuć. Moje serce eksplodowało

radością tak wielką, że niemal ugięły się pode mną kolana. Stałam w miejscu jeszcze kilka minut, zanim ruszyłam szybko w jego kierunku. W biegu pożerałam wzrokiem jego sylwetkę, potargane włosy, niebieskie oczy, leniwy i ciepły uśmiech, jasną skórę, znowu te oczy. Rozłożył ramiona i przyjął w nie cały impet, z jakim na niego wskoczyłam. Uniósł mnie i obrócił dookoła jak dziecko, aż poczułam, że z mojego gardła wyrывa się szloch zmieszany z głośnym śmiechem, niepohamowanym i szczerym.

— Wróciłeś! Naprawdę do mnie wróciłeś!

Zaśmiał się razem ze mną, a potem przycisnął swoje usta do moich, tłumiąc mój śmiech. Zatopiłam się w tych znajomych wargach i tym smaku, który wspominałam, od kiedy odszedł. Zarzuciłam mu ręce na szyję, nie wierząc, że naprawdę tu był, cały i zdrow. Żywy. To nie mógł być sen.

Ponad jego ramieniem zauważyłam Amelię, Silvyra, Frederica, Charlotte i Josepha wpatrujących się w nas spod mojego domu. Mężczyźni pomachali nam z entuzjazmem, a kobiety niezbyt dyskretnie zalały się łzami. Ponownie zaniosłam swój śmiech do nieba, nie ocierając własnych łez radości i ulgi, które ciekły mi po policzkach gorącym strumieniem.

— Kocham cię, Flesh. Bardzo cię kocham — powtarzałam raz po raz, nie wypuszczając go z objęć.

Już nie bałam się tego powiedzieć. Byłam głupia, że wcześniej stchórzyłam. Mówiłam to teraz w imieniu swoim i Banshee, która w ciszy także zalewała się łzami szczęśliwa z jego powrotu. Flesh uśmiechał się w milczeniu, trzymając mnie nad ziemią na ramieniu niczym dziecko. Wtulał się w moją pierś niczym zadowolony kot. Pogłaskałam go po ciemnych włosach ponownie zaszlochałam i zaśmiałam się jednocześnie.

— Musiałem umrzeć, żebyś mi to powiedziała? — zachichotał pod nosem, unosząc wzrok i wpatrując się we mnie tak samo, gdy oddawał mi swoją ostatnią iskrę życia wiele dni temu. — Uparciuch z ciebie, moja panno. Ale ze mnie także: obiecałem, że do ciebie wrócę. I dotrzymałem słowa.

— Kiedyś mi to wszystko wyjaśnisz, najlepiej niedługo — powiedziała stanowczo, dotykając jego policzków. — Wy tłumaczysz mi, jakim cudem zdołałeś do mnie wrócić zza grobu.

Ponad jego ramieniem dostrzegłam ciemny zarys na drodze. Wpatrzyłam się w niego z niedowierzaniem, czując coraz mocniejszy ucisk w piersi. Flesh postawił mnie z powrotem na ziemi, a potem obejrzał się w kierunku, w który się wpatrywałam. Nie był zaskoczony, a jego uśmiech był łagodny i melancholijny.

— Odnalazł mnie, gdy wędrowałam pomiędzy światami — powiedział cicho. — Chciał się z tobą pożegnać. Nie mogłem mu odmówić.

Bruno zamachał ogonem na mój widok i zaszczekał donośnie. Po moim mokrym policzku spłynęła pojedyncza łza, gdy patrzyłam jak ostatni raz

podskakuje radośnie, szczeka pojedynczo, a potem zaczyna rozplýwać się niczym mgła. Jeszcze przez minutę słyszałam echo jego głosu w swojej głowie.

Przytuliłam się do Flesha i westchnęłam pod nosem z ulgą, jakby ktoś zdjął mi z barków ogromny ciężar. Po raz pierwszy od dawna czułam, że wszystko jest w porządku.

